



nerw i poczucie humoru:
linowski to mistrz
zawskich opowieści.

SYLWIA CHUTNIK

To powieść gangsterska,
na którą czekała cała Warszawa.

MARIA SEWERYN

ŚMIERĆ JEROM

EMNICZ SZPERRU

GRZEGORZ KALINOWSKI

ŚMIERĆ
FRAJEROM
TRJEMNICA SRRBBU
RLR CAPONE



Wydawnictwo Literackie
Warszawa

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redakcja: *Adrianna Michalewska*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Monika Paduch*

Zdjęcie wykorzystane na okładce ©
CREATISTA/Shutterstock

Autor i wydawnictwo dziękują
panu Andrzejowi Żmirkowi za udostępnienie mapy
wykorzystanej na wewnętrznej stronie okładki (plan Warszawy z
1929 r.)

© by Grzegorz Kalinowski

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2016

ISBN 978-83-287-0415-2

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2016

Mamie, która nas opuściła

Synom, którzy są przyszłością

Spis treści

PROLOG

CZEŚĆ PIERWSZA OTO AMERYKA

I 1927. Wyprawa do raju

II W krzywym zwierciadle

III Spokojnie, to tylko awaria

IV Huck Finn

V Fighting Marine

CZEŚĆ DRUGA CHŁOPCY Z FERAJNY

VI Jak to się robi w Chicago

VII The sting

VIII Gang, który nie umiał strzelać

IX Śpiewak jazz-bandu

X Człowiek z blizną

CZEŚĆ TRZECIA CAŁY TEN JAZZ

XI Światła wielkiego miasta

XII Barwy kampanii

XIII Amerykański gangster

XIV Droga do zatracenia

XV Wielki Gatsby

CZEŚĆ CZWARTA DZISIEJSZE CZASY

XVI Upadek

XVII Kasyno

XVIII Czy leci z nami pilot?

XIX Masakra w dniu świętego Walentego

XX Million dollar baby

CZEŚĆ PIĄTA POWRÓT DO DOMU

XXI Dziewczyna gangstera

XXII Zakazane imperium

XXIII Wall Street

XXIV New York, New York
XXV Odlot
CZĘŚĆ SZÓSTA Z DNIA NA DZIEŃ
XXVI Uśmiech losu
XXVII Uroda życia
XXVIII Przeznaczenie
XXIX Mocny człowiek
XXX O czym się nie mówi
CZĘŚĆ SIÓDMA VABANK
XXXI VIP
XXXII Déjà vu
XXXIII Uwikłanie
XXXIV W ciemności
XXXV Killerów dwóch
POSŁOWIE
BIBLIOGRAFIA

PROLOG

Warszawa, jesień 1930

Aspirant Kornel Strasburger w swojej policyjnej karierze widział już wiele: porąbane trupy, topielców wyciągniętych po miesiącach z nurtu rzeki, ofiary wybuchów, ale to, co zobaczył w dorożkarni na Siekierkach, odjęło mu mowę. Na ziemi, w kałużach krwi, leżało pięciu ludzi rozsiekanych kulami. Ich ciała, a raczej to, co z nich zostało, były podziurawione jak sito. Niektóre kule utknęły w zabitych, inne poprzewiercały ich na wylot, a jeszcze inne po prostu nie trafiły w cel, więc wbiły się w ściany i meble. Śladów po pociskach było tak wiele, że nie dało się ich zliczyć. Strasburger zdjął kapelusz, ale nie z szacunku dla zmarłych, bo byli to znani policji kryminaliści, tylko po to, by ochłonać.

– Cie choroba – odezwał się przodownik Zygmunt Stolarczyk. – Jak oni to zrobili, ilu ich było? – zastanawiał się zakłopotany, chociaż był starym policyjnym wygą.

– To przecież wygląda jak robota wykonana przez pluton wojska lub ciężki karabin maszynowy – powiedział niepewnym głosem Strasburger, bo sam nie do końca wierzył w to, co mówi. – Ktoś musiał tu wstawić maszynkę.

– Szef wie, że to przecież niemożliwe, po pierwsze miejsca mało, a poza tym... Nie ten kaliber – uśmiechnął się Stolarczyk, który właśnie przypalił sobie papierosa. – Zapalisz, komisarzu?

Na nieregulaminowy zwrot Kornel Strasburger zareagował jak zwykle bez zbędnego komentarza. Znali się zbyt dobrze, by Zyga Stolarczyk mówił do niego per panie komisarzu. Oczywiście tylko wtedy, gdy byli sami, jak teraz, nie licząc pięciu gości, którzy już nic nie usłyszą i nikomu nic nie

powiedzą. Strasburger bez słowa wziął papierosa i włożył go do ust. Stolarczyk podał mu ogień. Tytoń i bibułka szybko zajęły się żarem. Aspirant chciwie zaciągnął się dymem i raz jeszcze spojrzał na zwłoki.

– Sam chyba widzisz, że to niemożliwe – raz jeszcze zagadnął Stolarczyk.

– Tak, to niemożliwe – przyznał Strasburger, lustrując zwłoki. – To same kiziorzy, tylko szemrani i w dodatku z bronią. Nie dość, że ktoś ich musiał zaskoczyć, to na dodatek tamci mieli wielką przewagę i dużo czasu.

– Nie tak dużo, nie tak dużo – dołączył się krawężnik z komisariatu przy Łazienkowskiej, który przestąpił właśnie próg meliny. – Okoliczni mówili, że było ich dwóch, a może trzech, i że trwało to jakąś minutę, na pewno nie dłużej. Poszło migiem, tak mówią.

– Minutę? – zdziwił się komisarz.

– Tak, minutę. – Stolarczyk pokiwał głową na potwierdzenie własnych słów. – To znaczy od momentu, gdy usłyszano strzały, sama strzelanina, ma się rozumieć. Jedni mówili, że to było tak, jakby wojsko biło z karabinu maszynowego, ale z kolei Nowakowa, która sprząta w biurze, mówi, że zdawało się jej, jakby urzędnicy walili w maszyny do pisania. Tra ta ta ta – przez parę sekund i przerwa, a później znów, ale krócej. Tra ta ta – przerwa i króciutko tratata! A potem jeszcze dwa pojedyncze wystrzały. Jej mąż służył w kompanii ciężkich karabinów maszynowych i twierdzi, że stara ma rację. To nie mógł być browning.

– Widziano kogoś? – zapytał z nadzieją Strasburger.

– Tylko przez moment, bo ludzie wybiegli z domostw dopiero po strzałach, a dorożkarnia stoi na uboczu. – Krawężnik pokręcił głową. – Tego, jak podjechali autem, nie zauważono,

ale jak odjeżdżali – tak. Widziano oddalającą się we mgle maszynę, a w środku, dwie, a może trzy sylwetki. O trzech ludziach mówił tylko jeden świadek. Twarze mieli zasłonięte – zakończył raport mundurowy.

– To było formalnie tak, jak w tym amerykańskim Chicago!
– podsumował Stolarczyk, zaciągając się dymem.

– I jak w Chicago nikt nic nie widział – dorzucił krawężnik.
– Czytałem o tym w gazetach. Podjeżdżają limuzynami i wałą z tych swoich pistoletów maszynowych, nie stawiając nawet nogi na trotuarze. Wałą w biegu i tyle ich widzieli.

Strasburger zadumał się, warto słuchać ludzi, czasem nawet zwykły mundurowy może coś ciekawego powiedzieć.

– Dziękuję za tę uwagę, a czytanie, panie posterunkowy, to piękna rzecz, bo im więcej się wie, tym lepiej – pochwalił starszego od siebie, ale młodszego policyjnym stopniem mężczyznę.

Posterunkowy wyszedł przed melinę, by odegnąć ciekawskich, a Strasburger przysiadł na stole stojącym pośrodku pobojuwiska. Czuł się jak podróżnik, którego wysadzono z łodzi na atrakcyjny, lecz kompletnie nieznany brzeg. Zwykle w takiej chwili powiedziałyby coś do śmiechu, jakiś żarcik czy kawał, który spuentowałby sytuację. Z tego był znany nie tylko w Urzędzie Śledczym przy Daniłowiczowskiej, ale i w całej warszawskiej policji. Teraz jednak nic nie przychodziło mu do głowy. Czuł się bezradny, jak przysypany lawiną, bo takiej sprawy jeszcze w swojej karierze nie prowadził, ale przecież wielu śledczych przed nim, a i nawet on sam, doświadczało od czasu do czasu tego stanu.

Zaciągnął się raz jeszcze, stanął w progu i rzuciwszy papierosa, wgniótł obcasem w ziemię niedopałek. Po chwili poszukał w marynarce papierośnicy. Wyciągnął faraona i zapalił,

czując lekki powiew optymizmu. Przecież skoro inni sadzali Szpicbródkę, a on sam złapał warszawskiego Kubę Rozpruwacza, to może i teraz mu się poszczęści. Nie ma przestępcy, który nie popełniłby błędu czy nie zostawiłby jakiegoś śladu. Nie ma też tajemnicy, która nie wypłynęłaby po jakimś czasie w szynku czy burdelu albo pokoju przesłuchań. To nie jest jakieś tam szczęście czy przypadek, tylko ciężka policyjna robota. Musi zajrzeć do archiwów i sprawdzić dossier nieboszczyków. Trzeba poczytać, za co i z kim siedzieli, jakie mieli znajomości, powęszyć, co ostatnio robili, gdzie przebywali, trzeba puścić w miasto psy gończe i porozmawiać z informatorami. Na razie musiał się uzbroić w cierpliwość.

Na miejsce przybyli kolejni policjanci z Łazienkowskiej, jednego z nich odesłał do bernardynów, bo tam był telefon. Dał mu numer do laboratorium na Ciepłej, niech przyjadą, może znajdą coś ciekawego. Było już dwóch mundurowych do pilnowania gapiów i tego całego bałaganu, więc mógł się zabrać do rozmów z miejscowymi. Może ktoś coś widział, niekoniecznie teraz. Na razie mieszkańców Siekierek przesłuchiwał Stolarczyk, umiał to robić lepiej niż większość śledczych, można było o nim śmiało powiedzieć, że należy do najlepszych w swoim fachu. Mając taki luksus, aspirant Strasburger mógł się zatopić w rozmyślaniach. Uznał, że papierosowy dym pomoże, szkoda, że nie było kawy, chłopaki z Ciepłej na pewno przywiozą ją w termosie, ale trzeba będzie długo czekać. Pozostało spojrzenie po raz setny na miejsce zbrodni, sięgnięcie po kolejnego papierosa i powtarzanie pod nosem tego, co usłyszał od posterunkowego z Łazienkowskiej:

– Jak w Chicago, nikt nic nie widział. Tam podjeżdżają limuzynami i walą z tych swoich pistoletów maszynowych, nie stawiając nawet nogi na trotuarze. Walą w biegu i tyle ich

widzieli.

CZEŚĆ PIERWSZA

OTO AMERYKA

Floryda, Miami, 21 kwietnia 1986

Kwadrans przed rozpoczęciem programu *Tajemnica krypty Ala Capone*

„Prezydent” siedział wygodnie w fotelu i czekał na program, który miał wstrząsnąć Ameryką. Cwaniak z telewizji, Geraldo Rivera[1], obiecał widzom, że w specjalnym programie *Tajemnica krypty Ala Capone*[2] dotrze do tajnej skrytki gangstera wszech czasów. Rivera w trakcie telewizyjnej transmisji miał wejść do zamurowanego pomieszczenia w piwnicach hotelu Lexington. Przez parę lat w gmachu przy 2135 South Michigan Avenue Al miał kwaterę, a teraz była to przeznaczona do rozbiórki ruina, w której grzebał telewizyjny poszukiwacz sensacji. „Prezydent” doskonale znał to miejsce i aż się uśmiechnął na wspomnienie dawnych czasów. Sięgnął do szuflady i wyjął cygaro, z którym zamierzał zrobić coś nielegalnego. Lekarz zabronił mu i cygar, i papierosów. Piwa też, a tymczasem i tak browarek chłodził się w lodówce. Dolores nie było w domu, pojechała z przyjaciółkami do restauracji, więc musiał radzić sobie sam. Tak było lepiej, bo program, taki jak ten, na pewno uruchomiłby w niej babską ciekawość. Zaczęłyby go pytać o tamte czasy, zupełnie niepotrzebnie, bo wiedziała, że jej nic nie powie. Przecież założył na plotki embargo, takie jak Ameryka na Fidela. O niektórych rzeczach może mówić tylko z najbardziej zaufanymi chłopakami z gangu, a nie z młodszą o dwadzieścia lat żoną.

Wstał z fotela i ruszył w kierunku kuchni, gdzie królowała potężna dwuskrzydłowa lodówka. Wyciągnął z niej butelkę piwa. Pociągnął łyk i pomyślał o czasach, gdy prawdziwe piwo

było zakazane. Wielu dorobiło się na prohibicji, ale niewielu ocaliło majątek. Bo z kasy trzeba umieć korzystać, nie można być kutwą ani też szastać szmałem na lewo i prawo, jak – nie przymierzając – Al Capone.

Człowiek z blizną, nie skorzystał ze swoich bogactw, rozpuścił je albo stracił na rzecz Wujka Sama. To były tak wielkie pieniądze, że ludzie myślą, że coś z tego musiało zostać. Dlatego tak bardzo ciekawiło ich, co znajdzie cwaniak z telewizji. Program miał się zaraz zacząć, od startu dzielił go tylko ostatni blok reklamowy.

I

1927. Wyprawa do raju

Poczuł coś na karku, ocknął się, przebudził. Choć chciał spać, bo był już wyczerpany i wciąż lekko pijany, to jednak od razu było mu błogo.

– Jesteś doskonała – usłyszał jej głos. Gładziła go po plecach dłonią, a po chwili dotknęła czule wargami szyi.

Było mu dobrze, tak dobrze, jak nie było od wielu tygodni. Znów poczuł podniecenie, z początku delikatne, a z czasem coraz mocniejsze. Ileż można? – pomyślał. Wiele razy, bez przerwy, na okrągło. Wciąż miał siły, a znużenie mijało jak ręką odjął.

– To ty jesteś doskonała, Patricio – odpowiedział i odwrócił się w jej stronę. Objął ją ramieniem, przysunął się bliżej. Zaczął ją pieścić. Nie trwało to długo, szybko dała mu do zrozumienia, że chce więcej. Przyciągnęła go, mruczając:

– Heinrichu, Henry... O tak, właśnie tak, dobrze, nie przerywaj.

Tak wyglądały jego ostatnie dwa dni, rozkoszne, pełne igraszek i wyuzdania. Katastrofa i ucieczka zmieniły się w podniecającą przygodę, w zabawę, która rozgrywała się między elegancką sypialnią, suto zastawionym stołem i barem z doskonałym alkoholem. Było mu dobrze, tak dobrze, że zapomniał o tym, w jak podłym położeniu się znajdował.

Dwa miesiące wcześniej był zbiegiem, którego ściagała policja, wiał przez góry, balansując na granicy życia i śmierci, uciekając nie tylko przed swoim osobistym wrogiem aspirantem Denhelem, ale i przed lawiną. A przecież niedawno zerwał z kasiarstwem i lewymi interesami, usatkwował się, przykładowo opiekował swoją siostrzyczką i babcią, wreszcie planował

wspólną przyszłość ze swoją miłością, Leokadią Rostocką. Myślał o tym usilnie, choć wiedział, że było to budowanie zamków na piasku. Przecież, prędzej czy później, papcio panny Leokadii doszedłby do tego, że jego córka, będąca znakomitą partią, odrzuca awanse wszystkich tych dziarskich, majątnych i ustosunkowanych kawalerów nie dlatego, że chce się poświęcić nauce, jak jej mistrzyni Maria Skłodowska-Curie, ale dlatego, że jej serce i ciało należą do jednego z ludzi, z którymi on walczy.

Edward Rostocki był zastępcą naczelnika Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego w Komisariacie Rządu na miasto stołeczne Warszawę, nie był więc gamoniem. Kiedyś musiał się zorientować, a jak nie on, to brat Łodzi, ten elegancki oficerek w błyszczących szklankach i rogatywce. A może jeszcze inaczej zakończyłby się ten ich wielki bal? Przez niedyskrecję jednej z zaufanych koleżanek, wścibstwo służącej, czy niefortunne wyjście do lokalu lub teatru. Kiedyś kapitan Beniowski przyuważył ich w Cristalu, ale Beniowski to Beniowski. Stało się jeszcze inaczej. Inaczej, choć nie zaskakująco, bo Heniek cały czas podskórnie wyczuwał, że znajdzie się jakiś pies, który pozna jego tajemnicę.

Niewielu wiedziało o tym, że niedoszły absolwent szkoły Wawelberga, prawie „pan inżynier” bez matury i kawaler Krzyża Walecznych, to były członek gangu Stefańskich i współpracownik samego Szpicbródki. Ale przecież nie takie tajemnice wychodziły na jaw, nie takie asy jak on wpadały w ręce policji i sądów, nie takie przypadki się zdarzały. Okazało się, że ten był jak najbardziej typowy; zawiedzione uczucia i zemsta. Skąd mógł przypuszczać, że do jego Leokadii smalił cholewki młody, ambitny pies z Urzędu Śledczego. Ona sama pewnie o tym nie wiedziała. Ten cały aspirant Denhel poświęcił prawie dwa lata, by dojść do tego, kto mu tak bardzo

pokrzyżował plany względem Leokadii. Gdy Karol Denhel był na jego tropie, on przez swoje zobowiązania towarzyskie wpakował się w dwie hece, przez które narobił sobie kolejnych tyłów.

Najpierw pomógł nawiać z poznańskiego aresztu współnikowi i przyjacielowi Szpicbródki Adamowi Stemplowi, a następnie, po raz kolejny, wziął udział w „robótce” dla „dwójki”[3]. Jego przyjaciel od lat najmłodszych, kapitan Juliusz Beniowski, jeszcze jako peowiak[4] wpakował go w skok na kasę, w której niemiecki agent trzymał dokumenty. Później poszło z górki. Zdolny młody ślusarz nauczył się, że z kas można wyciągać nie tylko tajne dokumenty. Za ochronę przed policją i niezłą stawkę – był to bardziej szantaż niż propozycja – zrobił dla kapitana skok na kasę czerwonych agentów. Wynikły z tego same kłopoty, ale wiać musiał dopiero po ostatniej robocie.

Beniowski poprosił go o pomoc przy rabunku indiańskiej złotej maski. Polski wywiad wojskowy dobrze żył z japońskim, a ich mikado i premier obiecali pomoc Peruwiańczykom w odzyskaniu części inkaskiego skarbu. Verne, Vulpius i Dumas razem wzięci nie wymyśliliby takiej figury. A może wymyśliliby, gdyby wiedzieli, że to w Polsce zakończyła życie Umina, księżniczka Inków, i że to pod Tatrami trzeba szukać drogocennego przedmiotu. Miało być łatwo, ale poszło jak zawsze, zupełnie inaczej. Zamiast prostego skoku, który mogliby zrobić wsiowi złodzieje, zrobiła się chryja z niepotrzebnym trupem, bo Jędrus Olczański, góral, który był z nimi, musiał wyrównać rachunki sprzed lat i wypalił w łeb Kadarowi, sługusowi barona Jungenfelda.

Później była ucieczka sportową lanią po tatrzańskich serpentynach, a następnie pieszo przez góry. Nie powinni tego

robić, bo w żlebach leżał jeszcze śnieg po zimie, a nagle załamanie pogody sprawiło, co zdarza się w czerwcu niezwykle rzadko, że napadało mnóstwo świeżego puchu. Poszli jednak, bo śledczy Denhel zorganizował na nich obławę. Aspirant z warszawskiego Urzędu Śledczego, który, rozgryzając jego sprawę, przyjechał do Zakopanego, przekonał miejscowych stójkowych, że to Wcisło i Murakami zabili Kadara i okradli barona Jungenfelda. Zakopiańska policja puściła się więc w pościg za dwójką turystów oraz ich przewodnikiem Jędrusiem Olczańskim. Denhel nie miał dowodów, ale był tego pewien, a przynajmniej chciał być pewien, bo i tak pragnął pod byle pretekstem zatrzymać Heńka. W Warszawie nazbierał dość, by go uziemić na ładnych parę latek. Skończyło się to wszystko zejściem lawiny, w której zginął japoński szpieg pan Murakami.

– O czym myślisz? – oderwała go od wspomnień Patricia.
– Powiedz mi!

Chętnie by powiedział, ale nie mógł. Nie tylko dlatego, że była to jego tajemnica, po prostu wzięłaby go za mitomana, a może nawet i za wariata. Złota maska Inków, oficer cesarskiego Kempeitai i lawina w czerwcu! O tym teraz myślał, to właśnie wspominał. Brzmiało to jak czysta niedorzeczność, ale tak było! Innym się takie rzeczy nie przytrafiały, tylko jemu. Który to już raz to wspominał? Trzydziesty, pięćdziesiąty, a może setny?

Przez góry przeszli z Jędrusiem do Popradu, tam się rozdzielili i Heniek na starych niemieckich dokumentach, które wywiad wyrobił mu, gdy służył w powstaniu śląskim jako dywersant, dotarł do Berlina. Znów nosił nazwisko swoich kuzynów ze Skoroszy[5] i znów był Heinrichem Haasem. W stolicy Niemiec zameldował się w japońskim poselstwie i oddał złotą maskę oraz dokumenty pana Murakamiego.

Okazało się, że jeden z urzędników doskonale znał misję Murakamiego, który naprawdę nosił nazwisko Mifune. Dyplomata – mimo cywilnego ubrania na bank był wojskowym – podziękował wylewnie i sownie Heńka wynagrodził. To były duże pieniądze, mógł się teraz za nie urządzić za granicą. Na koniec urzędnik poselstwa, kłaniając się Heńkowi nisko i z szacunkiem, dał mu kartkę zapisaną japońskimi znakami, wyjaśniając, że jeśli kiedykolwiek wpadnie w kłopoty, a będzie w Japonii lub w jednej z japońskich ambasad albo nawiąże kontakt z japońskim wojskiem, to ma prosić o pomoc oficera Kempeitai i pokazać mu ten papier.

Heniek uprzejmie podziękował i od tego czasu nosił dokument przy sobie. Nie przypuszczał, żeby kiedykolwiek mu się przydał, traktował go raczej jak piękną pamiątkę, kartkę zanego czerpanego papieru, na którym wprawne ręce wykaligrafowały jakieś magiczne znaki. Mógł to sobie czytać jak egipskie hieroglify albo żydowskie czy arabskie litery. Dokument stał się dla niego japońskim talizmanem, który kojarzył mu się ze wspaniałym człowiekiem, jakim był pan Yoshiho Murakami. Gdzież by go miał użyć? Nie wybierał się przecież do Azji, tylko do Ameryki, jako urodzony w Polsce niemiecki obywatel Heinrich Haas.

– Heinrichu, Henry, a co ty właściwie robisz, kim ty jesteś?
– zapytała Patricia. – Z kim ja się tak bardzo zapomniałam?
– Milczał, więc mówiła dalej. – Stać cię na pierwszą klasę, jesteś dobrze ubrany, nawet dość obyty, choć nie jesteś kimś z towarzystwa. Wyglądasz na kogoś, kto zarobił niedawno pieniądze, prowadzisz jakiś interes...

To dobre pytanie, pomyślał sobie, i nie ma na nie jednej odpowiedzi. Jest uciekającym przestępcą, współpracownikiem wywiadu, ale także człowiekiem interesu.

– Tak – odpowiedział. – Prowadzę interes.

Nie kłamał, tak w istocie było, od niedawna był przedstawicielem berlińskiej firmy Eisenschloss. Jej siedziba okazała się drugim adresem, który odwiedził w Berlinie. Dawniej była to uznana fabryczka, która jednak tak jak wiele innych podupadła w czasie wojny. Gdyby Eisenschloss produkował działa albo armaty... Produkcja kas pancernych nie była w tym czasie najlepszym interesem. Nieszczęście jednych jest szansą dla innych, skorzystali na tym ludzie kapitana Juliusza Beniowskiego. Decyzja okazała się szybka, bo kto produkuje, sprzedaje i serwisuje kasy, ten może więcej niż inni, więc dwójkarze wykupili firmę. Z tego pomysłu Beniowski był szczególnie zadowolony. Stary znajomy Heńka od lat nie chodził już w mundurze, a oficjalnie zajmował stanowisko dyrektora w Towarzystwie dla Handlu Zagranicznego Bałtyk–Świat, zatem Eisenschloss stał się dla niego kolejnym narzędziem wywiadowczej walki oraz źródłem nowych dochodów.

Kupili upadłe przedsiębiorstwo i byli przygotowani na to, że będą do niego dopłacać, ale Beniowski i chłopcy z „dwójki”, którzy siedzieli w Berlinie, mieli smykałkę do interesów i firma zaczęła przynosić dochody. Wkrótce ktoś dał cynk, że w Chicago są sklep i manufaktura do wzięcia za bezcen, więc postanowili spróbować ulokować się także w Ameryce. Tak powstała firma Iron Castle. Co im szkodziło, to już była ich forsa, a nie „dwójki”, bo szefowie dawno stracili kontrolę nad interesami grupy Beniowskiego, zresztą niewielu wiedziało, że jest taki oficer, a jeszcze mniej miało pojęcie, czym on się zajmuje. Iron Castle nie znaczyło dokładnie tego samego, co po niemiecku, ale także brzmiało nad wyraz dobrze.

Na razie amerykańską filią kierował przypadkowy gość

z Berlina, Felix Magath. Przejął on trochę towaru w postaci blach, galanterii metalowej i przede wszystkim maszyny oraz budyneczek manufaktury. *Herr* Magath szykował produkcję na niemieckim patencie oraz sprowadzał kasy z Berlina. Miał opinię dobrego fachowca, a zarazem kutwy i nudziarza, ale jednocześnie człowieka niezwykle sumiennego i uczciwego. W Berlinie mówiono o nim, że jest pantoflarzem i gościem bez jaj, którego żona i córka traktują jak jo-jo na gumce. Nie podejrzewano go o to, że podejmie takie wyzwanie. Tymczasem Magath zgłosił się, bo płacili dobrze, a on spełniał warunki: pracował już dość długo w firmie i jako jedyny znał jak trzeba angielski. Gdyby nie to, że chciał zarobić na lepsze życie i liczył też na awans po powrocie z placówki, nigdy nie podjąłby takiej decyzji. Do Niemiec miał zamiar wrócić jak najszybciej zaraz po tym, jak ktoś będzie zdolny przejąć po nim interes. Siedział w Chicago półtora roku i usychał z tęsknoty za rodziną i Berlinem, chciał więc w trzy miesiące przygotować swego następcę i wracać do domu. W tym czasie Heniek miał zostać wprowadzony przez *Herr* Magatha w miejscowe układy i nauczyć się jako tako języka i zarządzania. Raporty finansowe z Chicago i stan konta amerykańskiej filii pokazywały jednoznacznie, że Heniek będzie miał wysoko postawioną poprzeczkę, ale jednocześnie może liczyć na dobre zarobki.

– Jesteś Niemcem, ale płyniesz tak jak ja z Cherbourga. Z Hamburga lub Bremy byłoby ci bliżej.

– Lubię zwiedzać, przez ostatnich parę lat Niemcy raczej nie podróżowali do Francji, wspomnienia są zbyt mocne.

– Wielka wojna... – Patricia zamyśliła się. – Wy w Europie wciąż do tego wracacie, my w Ameryce też. Niemcy nie są mile widziani, niemieckie imiona także, pamiętaj o tym, Henry, pamiętaj.

Zaokrętował się we Francji, bo taki spadek dostał po panu Murakamim. Mieli płynąć razem do Ameryki, celem Heńka było Chicago, a Japończyka San Francisco, z którego miał się udać do Japonii, wcześniej jednak Murakami miał coś do załatwienia w Paryżu. Bilety były na podróż z Cherbourga do Nowego Jorku, więc Heniek skorzystał z okazji i wpadł po drodze do Paryża, by przekonać się w końcu, jak wygląda miasto, o którym tyle słyszał od Leokadii i Mietka Kosiorka. Tam, gdzie mieszkał, było faktycznie elegancko, ze smacznym, choć nieco zbyt wymyślnym żarciem. Do tego zwiedzanie; wieża Eiffla, z jej szybką windą, robiła wrażenie, a ilość wina i serów oraz tłumy szykownych kobiet przyprawiały o zawrót głowy.

Podobało mu się bardziej niż w Berlinie, który wydał mu się, nawet jak na jego gusta, zbyt dekadenski. Było w niemieckiej stolicy coś odpychającego, kabarety bardziej przerażające niż śmieszne i z pozoru komiczne, ale w swej masie niebezpieczni, umundurowani ludzie. Jakieś pajace w uniformach; esamani i esesmani, wykrzykujący hasła i prowadzący bójki z komunistami. Berlin robił wrażenie miasta nadchodzącego końca świata, a Paryż pełen był życia i elegancji.

Do tej pory Warszawa wydawała mu się pępkiem świata, ale to, co zobaczył podczas podróży po Europie, kazało mu zadać sobie pytanie: jaki Paryż Północy, do cholery, jaki Paryż? Chyba tylko ruskie mogli dać Warszawie tak piękny przydomek. A my to kupiliśmy, pomyślał. Paryżew, a nie Paryż. Paryżew... Im dalej od centrum, tym gorszy bruk, a później całkowity brak bruku. Całe połacie miasta bez elektryki, kanalizacji i wodociągów, dzielnice bud i marnych domów. Może i takie były w Paryżu, ale ich nie widział, szukał, ale nie znalazł, idąc kilometrami po równych trotuarach i jadąc kolejką wzdłuż szeregów murowanych kamienic. Francja-elegancja. Może

dlatego, choć uciekał z Warszawy, to za nią nie tęsknił. Był spragniony dalszych widoków, ciekaw świata. Cieszył się, że nie musiał płynąć z Hamburga czy Bremy z całym tłumem niemieckich emigrantów, tylko jako Heinrich Haas, młody, ale poważny człowiek interesu, startował za ocean z Francji.

W Cherbourgu zobaczył wieżę Eiffla oceanów. Do portu wpłynął jeden z najwspanialszych statków świata, RMS Majestic. Gdy przybywał z Southampton, prezentował się jak gigantyczna kamienica. Był potężny niczym Cedergren[6], z tym swoim czarno-czerwonym kadłubem, białą, wysoką na pięć pięter nadbudówką i trzema strzelistymi złotymi kominami. Majestic to był pomnik nowoczesności i możliwości człowieka! Heniek zrozumiał, czemu największe sterowce porównywano do transatlantyków, choć uważał, że porównanie do wieży Eiffla jest bardziej stosowne. Okręt mierzył prawie trzysta metrów, czyli niemal tyle, co paryska wieża. W broszurze przeczytał, że był dłuższy nawet od słynnego Titanica i jego braci. Titanic zatonął, a Majestic odbywał regularne rejsy z Europy do Ameryki.

Już samo wejście po trapie było jak przeniesienie się do innego świata. Heniek kroczył przy dźwiękach orkiestry, na pokładzie witali go oficerowie, a podczas uroczystej kolacji przemówił sam kapitan, pan Metcalfe. Witał Heńka i innych pasażerów pierwszej klasy, bo to, podobnie jak piękne kabiny, lepsze pokłady i wyborne jedzenie, było ich przywilejem. W jeden rejs zabierało się dwa tysiące stu czterdziestu pięciu pasażerów i drugie tyle obsługi: marynarzy, mechaników, kucht, kelnerów, muzyków i pomywaczy. Byli także lekarz i pielęgniarki oraz nianie do dzieci. Gdyby zebrać do kupy tych wszystkich ludzi, to byłoby tu parę gęsto zaludnionych kwartałów, ale każdy z innej parafii. Ten kolos był jak osiedle

dla obsługi i hotele dla gości. I to hotele trzech różnych kategorii!

W trzeciej klasie płynęli ci, których na ładzie stać by było na odnajęcie jakiegoś kąta bez wygod lub na miejsce w domu noclegowym. Na Majesticu mieli wspólne sale z malutkimi okienkami oraz prycze, a kotłowało się ich aż ośmiuset pięćdziesięciu. Tam nikt nie myślał o wygodach, luksusach i zbytkach, dla nich liczyło się tylko dotarcie do Ameryki. Wygody były za to dla państwa podróżujących drugą klasą, którzy w trakcie podróży zatrzymują się może nie w hotelach pierwszorzędnym, ale na pewno porządnym. Dla tych, których stać było na Hotel Francuski, Savoy czy Rzymski, przygotowano pięćset czterdzieści pięć miejsc, co zajmowało o wiele większą przestrzeń niż ta, w której tłoczyli się pasażerowie trzeciej klasy. Najwyżej, z pięknymi widokami z kajut i apartamentów pierwszej klasy, mieszkało siedmiuset pięćdziesięciu bogaczy, dla których w Warszawie jedynymi możliwymi hotelami byłyby wyłącznie te pierwszorzędne: Bristol, Polonia Palace i Europejski.

Do świata tych niesłychanych luksusów trafił też Heniek. Piękne pokoje i apartamenty nie były jedynym przywilejem podróży w pierwszej klasie, Wcisło cieszył się, wraz z innymi majątnymi pasażerami, wielkim jak pałacowa oranżeria salonem z palmami, restauracją niczym w najlepszym hotelu oraz mniejszymi kawiarniami i salonikami, pokładami z leżakami, a także biblioteką. Największe wrażenie zrobił na nim basen, który wyglądał jak z ilustracji przedstawiających rzymskie łaźnie. Prowadziły do niego marmurowe schody, a strzeliste kolumny podpierały sklepienie ze świetlikiem. Całość przypominała atrium starożytnej willi, ale takiej lepszej, może nawet cesarskiej. Tak przynajmniej Heniek zaczął sobie

wyobrażać otoczenie, w którym żyli najbogatsi Rzymianie. Oczekiwał po tym rejsie przygody i rzeczy niezwykłych, ale nie aż tak niezwykłych.

Było lepiej niż w książkach, które czytał, było jak w jakiejś bajce, chociaż w żadnej z nich statek nie był tak wielki i nie ciał fal z tak niebywałym impetem. W środku tego wszystkiego był on, syn majstra z Woli i spolszczonej Niemki ze Skoroszy, który jako majątny człowiek interesu Heinrich Haas stał się częścią eleganckiego towarzystwa. Po polsku na statku nie mówił nikt, francuskiego i angielskiego Heniek nie znał, ale dzięki niemieckiemu i rosyjskiemu oraz modnemu ubraniu, które kupił w Paryżu, był jednym z nich. Sprzedawca spisał się na medal, dobierając mu elegancki strój wieczorowy, w którym mógł zadawać szyku podczas uroczystych kolacji, oraz sportowy komplet do przechadzek po pokładzie. Pewności siebie dodało mu obycie, którego nabrał podczas zakopiańskich zabaw z oficerami, przemysłowcami i artystami. Poczul się pewnie, może nawet zbyt pewnie. Od muzyki, szampana, widoku pięknych kobiet i zbytku, który tu panował, dosłownie zaszumiało mu w głowie, więc poszedł na nocny spacer po pokładzie. Myślał o tym, co zostawił w Warszawie. Babcia, Stefa, zemsta za śmierć matki i wreszcie Leokadia...

Nostalgia, zemsta i miłość szybko zostały usunięte z jego myśli przez alkohol i nie tylko. Spacerując po pokładzie, spotkał piękną, starszą od siebie, niezwykle szykowną damę. Na pewno była dobrze po trzydziestce, ale nie przeszkadzało mu to, wprost przeciwnie. Nabrał ochoty na kobietę dojrzałą i nieco wyniosłą, o pełnych biodrach i słusznych rozmiarów biuście. Podobała mu się także twarz o klasycznej urodzie i regularnych rysach oraz kasztanowe włosy. Z bliska zobaczył, że ma piwne oczy. Uśmiechnęła się do niego, a on zagadał po niemiecku.

Zrozumiała. Okazało się, że jest Amerykanką, która wraca z wakacji. Spędziła je na Riwierze i w Paryżu.

Wypili przy barze szampana, potem poszli tańczyć, a następnie znów spacerowali po pokładzie. Po kolejnych tańcach i kieliszkach Patricia, bo tak się nazywała nowa znajoma, zaoferowała, że udzieli mu lekcji angielskiego. Tak też się stało, a intensywna nauka odbywała się zarówno podczas spacerów po pokładzie, jak i w czasie kolacji, a także później...

Heniek miał wyrzuty sumienia, ale łagodziło je ciało Patricii. Była piękną, gorącą babką, zupełnie jak Leokadia, która pozostała w Warszawie, ale tamta była dziewczyną, a ta dojrzałą kobietą. Każda dawała mu coś innego, miłość z obydwoma była pięknym przeżyciem. Myślał o tym z coraz większym spokojem, który mąciła mu tylko wizja jakiegoś obcego faceta, który mógłby wleźć do łóżka jego ukochanej. Tego by nie wybaczył! Złapał się na pełnej złości myśli, która zderzyła się natychmiast z inną. Nieomal słyszał głos Leokadii: Jak mi to mogłeś zrobić, łajdaku! Po czym szloch i przerywane płaczem pytanie: Dlaczego, dlaczego? Wizja wściekłej Leokadii była do zniesienia, ale wizja płaczącej powodowała uczucie gorsze niż kac.

– O czym myślisz, Heinrichu? A w zasadzie Henry.

– Pogłaskała go po policzku. – Pamiętaj, że w Ameryce nie lubią Niemców prawie tak samo jak we Francji. Anglikom przeszło jakoś szybciej, ale za oceanem nie chcą niemieckich imion. Pamiętaj, od teraz jesteś Henry. A więc, o czym myślisz?

– O życiu, moja pani – odparł Heniek. – Znakiem tego z językiem niemieckim furory w Ameryce raczej nie zrobię...

– Już ci mówiłam, lepiej się z jego znajomością nie obnosić.

– Ale ty mówisz...

- Pamiątka rodzinna.
- To znaczy?
- To znaczy tyle, ile powiedziałam, i staraj się mówić do mnie po angielsku, w końcu miałam cię czegoś nauczyć.
- Patricia była wspaniałą i tajemniczą kochanką, nie wyjawiała bowiem Heńkowi swojego nazwiska, ale próba zachowania incognito się nie powiodła. Nie z Heńkiem takie numery!
- Patricio, a dlaczego ty nie masz nazwisko? Dlaczego nie?
- zapytał łamaną angielszczyzną. – Chcę znać nazwisko.
- Niech to będzie moją słodką tajemnicą – odpowiedziała daleko lepszym niemieckim i przeciągnęła się jak kotka.
- Robinson to wcale nie jest źle. To dobrze jest. Okay!
- Heniek szlifował swój angielski.
- Kobieta podskoczyła na łóżku.
- Skąd wiesz, jak się nazywam?
- Bo wszyscy to wiedzą!
- Przecież podróżuję incognito! – wykrzyknęła oburzona.
- Ale żeby wsiąść na statek, trzeba mieć jakieś dokumenty i bilet...
- Śledziłeś mnie jak jakiś prywatny detektyw? – Patricia odruchowo zasłoniła swą nagość pościelą, tak jakby jej ciało stanowiło dla Heńka jakąś tajemnicę. – A może ty jesteś prywatnym detektywem, George cię nasłał?
- Nic z tych rzeczy – zaśmiał się Heniek. – Część pasażerów i personel wie, kim jesteś, ale udaje, że to tajemnica, i gra z tobą w tę grę.
- Jeśli on się o tym dowie... – Lekcja angielskiego skończyła się definitywnie, ona mówiła po angielsku, a Heniek po niemiecku.
- George? – zapytał z uśmiechem Heniek. – Tak się nazywa twój mąż, prawda?

– Zamilcz!

– Nikt nas na niczym nie przyłapał, to tylko plotki...

– zaśmiał się Wcisło. – Dlaczego mu to robisz? – Patricia Robinson patrzyła na niego, jakby nie rozumiała pytania.

– Jesteś, moja droga, mężatką, masz męża, to jasne jak słońce! A kim jest ten George, kierowcą? – mówił, śmiejąc się, bo bawiły go te kłamstewka kochanki. – Masz męża i go zdradzasz. Ale zdradzasz go ze mną i dlatego wcale a wcale cię za to nie winię. Ba, nawet to pochwalam!

– Bo to nudziarz! – wykrzyknęła. – Zdradliwy nudziarz! Nie chciał ze mną jechać do Paryża, nie chciał się bawić na Riwierze! Podejrzewam go o zdradę, te wszystkie aktoreczki, te jego wyjazdy w interesach! Oni uważają, że mogą mieć utrzymanki, chodzić po lupanarach, a kobiety... Miejsce kobiet jest w domu, tak uważają, ale koniec tego dobrego, panowie hipokryci!

– Mój angielski nie nadąza za twoim, Patricio, mów proszę po niemiecku!

– Jak trzeba, to doskonale rozumiesz – odpowiedziała i zaczęła mu rozpinąć koszulę, którą właśnie na siebie włożył.

– Za chwilę ostatnie śniadanie podczas tego rejsu... Nie możemy się na nie spóźnić, to chyba rozumiesz?

Heniek jak najbardziej rozumiał, pocałował ją w usta i położył dłoń na jej kształtnej piersi.

Pół godziny później zjedli śniadanie i tak zakończyła się ich znajomość, która nie miała przyszłości.

To był romans bogatej dojrzałej mężatki i szemranego chłopaka z Warszawy, co wciąż myślał o swojej ukochanej, którą zostawił po drugiej stronie oceanu.

II

W krzywym zwierciadle

Pierwsze spotkanie z tym kontynentem było obiecujące, i to jak! Niemałą już chęć poznania Ameryki rozpałała w nim Patricia, a w godzinę po wyjściu z kabiny jak piorun z jasnego nieba trafił Heńka widok Statui Wolności. Bez dwóch zdań, to Kolos Rodyjski naszych czasów, pomyślał Heniek. Jeśli symbol Nowego Jorku i Ameryki można było porównać do jednego z cudów świata starożytnego, to była tu także Latarnia z Faros. Jedna, druga, trzecia, czwarta, piąta, i kolejna, i jeszcze jedna... Gigantyczne budynki wylaniały się z mgły jeden po drugim. Coraz wyraźniej było widać zarys miasta i Heniek szybko pojął, dlaczego amerykańskie niebotyki nazywano drapaczami chmur. Nie były tak wysokie jak wieża Eiffla, ale ich kamienne sylwetki robiły jeszcze większe wrażenie. Jeden z budynków wyraźniej od innych wybijał się ponad spowijającą zatokę mgłę.

– Patrzcie państwo, to najwyższy budynek świata, Woolworth Building! Mam tam swoje biuro – dumnie oświadczył jegomość z wąsikami.

– A ten obok? – zapytała starsza dama.

– O, madame, to Pulitzer Building, jego starszy sąsiad i przez parę lat najwyższy gmach globu. Później były inne, wiele innych.

– Na ten przykład Singer Building – wtrącił się młodzieniec w słomkowym kapeluszu. – Jest przepiękny, wręcz boski – rozmarzył się.

Za chwilę został zagłuszony przez innych nowojorczyków, którzy, nie zważając na wiatr i zacinający deszczyk, komentowali widoki z górnego pokładu. Padały nazwy gmachów, opery, Central Parku, giełdy.

– To imponujące – mówili ci, którzy po raz pierwszy widzieli Nowy Jork.

– A będzie jeszcze wspanialej. – Młodzieniec w słomkowym kapeluszu stanął tyłem do panoramy miasta i machał rękoma jak profesor na katedrze. – Nowy Jork urośnie jeszcze bardziej, w planach jest mnóstwo nowych jeszcze wyższych gmachów.

– Giełda stanowczo wymaga nowego budynku, który odpowiadałby jej pozycji w świecie finansów – tokował dżentelmen w stonowanym garniturze. – To nie Londyn, lecz Nowy Jork jest centrum światowej finansjery, trzeba to więc koniecznie podkreślić! Gmach nowojorskiej giełdy musi się stać tego symbolem i tak będzie! – zakończył dobitnie.

– Co pan mówi, giełda to tylko budynek, jeden z wielu w naszym mieście, a dla mnie najważniejsze jest to, czego nie widać! – Ktoś skutecznie przerwał wykład bankiera.

– W listopadzie skończą Holland Tunnel, ponad półtorej mili drogi pod rzeką Hudson pozwoli połączyć, lepiej niż jakikolwiek most, Nowy Jork i New Jersey w jedną całość!

Entuzjasta tunelu mówił dalej, ale zagłuszył go ryk syreny okrętowej. Heniek zdał sobie sprawę z tego, że tak jak od kilku minut oni patrzyli na Nowy Jork, tak po przeciągłym wyciu syreny także oni stali się przedmiotem obserwacji. Pasażerowie Majestica podziwiali z pokładu łąd, na którym było niezwykle miasto drapaczy chmur, z kolei nowojorczyki z zaciekawieniem spoglądali na największy linowiec, jaki pływał po morzach.

Heniek niemal sfrunął z trapu, by jak najszybciej znaleźć się na tej nowej ziemi obiecanej. Jego papiery były mocne, ubiór porządny, a podróż pierwszą klasą niezbitnie świadczyła o tym, że nie jest ubogim emigrantem, lecz człowiekiem interesu. Wszystko to trochę trwało, ale w końcu przeszedł na drugą

stronę, tam gdzie kłębił się tłum oczekujących oraz ich pomagierów, służących i tragarzy. Po paru minutach rozglądania się wyłowił w końcu spośród nich człowieka, który trzymał kartkę z jego nazwiskiem. Był to łysawy jegomość z wąsikami godnym pruskiego oficera, ale w zupełnie nie po oficersku wymiętym, tanim garniturze i w równie tandetnym kapeluszu. Heniek stanął przed nim i się uśmiechnął, a osobnik szybko zlustrował jego elegancki strój i przedstawił się z szykiem sierżanta żandarmerii:

– Felix Magath, generalny przedstawiciel firmy Eisenschloss i zarządca majątku firmy Iron Castle. – Taksując jego paryski garnitur, zapytał: – Heinrich Haas, jak sądzę?

– Tak, *Herr* Magath, jestem Heinrich Haas!

– Przyjechałeś pan do pracy?

– Oczywiście!

– A już myślałem, że na jakieś, jak to oni mówią, party czy do kabaretu.

– Nie przeczę – uśmiechnął się Heniek. – Kabarety chętnie odwiedzam. – I zaraz szybko dodał: – Ale ma się rozumieć, dopiero po pracy!

Wymięty jegomość z wąsikami chyba nie kupił jego dowcipu.

– I lubisz pan wypić? – Przekrzywił głowę, co skojarzyło się Heńkowi z papugą. Papugi miały jednak bogatsze upierzenie.

– Jak każdy dorosły mężczyzna... – Niepomny skwaszonej miny Magatha, kiedy wspominał o kabaretach, Heniek brnął dalej.

– Więc ja nie jestem dorosły? – zdziwił się Magath.

– Oczywiście, że tak! – Heniek wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, ale już wiedział, że nie trafił w punkt. Magath nadawał na zupełnie innych falach.

– Bo ja nie piję i nie piją miliony Amerykanów, czy wiesz pan, że tutaj jest prohibicja? Bezwzględna prohibicja, bezwzględny zakaz produkcji, sprzedaży i picia alkoholu!

– Mówiąc to, Magath rozglądał się za kimś lub za czymś.

– Heinrichu Haasie, czeka tu na ciebie ciężka praca! Mamy zaledwie trzy miesiące na przygotowanie cię do prowadzenia firmy.

– Wierzę, że da pan sobie radę. – Mając w głowie lekki szum po porannym szampanie, Heniek zdobył się na kolejny żarcik, ale na wszelki wypadek dodał: – Wygląda pan na gościa, który mnie nauczy wszystkiego, co trzeba. – Po czym uśmiechnął się szeroko, ale także ten dowcip najwyraźniej nie przypadł do gustu *Herr* Magathowi, więc Heniek dorzucił: – Jestem pojętny, wiem, jak się robi pieniądze, pracowałem w fabryce kas, jestem, nie chwaląc się, dobrym ślusarzem i specjalistą od szaf pancernych, kas i sejfów.

– *Let's see...* – odpowiedział chłodno Magath i widząc, że Heniek zastrzygł uszami, dodał po niemiecku: – Zobaczymy, czy dasz pan radę opanować język. Od jutra przez trzy miesiące czeka pana dziesięć godzin pracy dla firmy i po trzy godziny dziennie nauki angielskiego. Co pan tak patrzysz? W ten czas wliczona jest przerwa śniadaniowa i przerwa obiadowa. Jeśli chcesz pan do czegoś dojść, to musisz pan rzetelnie pracować. – Magath skończył wykład, gdyż w końcu wypatrył swojego bagażowego. – A teraz szybko na dworzec, bo spóźnimy się na pociąg.

– Nie zwiedzimy Nowego Jorku?

– Jak pan Haas zarobi i kupi sobie bilet, to może sobie pojechać z soboty na niedzielę na wycieczkę. Na krótką wycieczkę, żeby wrócić w poniedziałek do roboty. Urlop jeszcze ci nie przysługuje, młody człowieku, a jutro pierwszy dzień

pracy! Jestem tu dość długo i jakoś niczego nie zwiedzam, bo tu się pracuje! Pan to zapamięta, Heinrichu, żadnych kabaretów, picia, bo to nielegalne, a wycieczki będziesz pan sobie robił po moim wyjeździe, oczywiście, jeśli będziesz pan miał czas. Słuchaj mnie, Heinrichu, jak chcesz pan tu odnieść sukces, musisz się mnie słuchać, przynajmniej przez te trzy miesiące.

Wystarczyła krótka wymiana zdań z amerykańskim szefem i przewodnikiem, by Heniek poczuł, że uchodzi z niego powietrze. Wspaniała, gościnna i pełna klawych rzeczy Ameryka wyparowała w try miga, a *Herr Felix Magath* sprowadził go na ziemię. Z każdą minutą amerykański sen oddalał się, a Heniek czuł się jak dziecko liżące czekoladę przez papierek. Nowy Jork i jego atrakcje były tuż-tuż, ale nie dane mu było zobaczyć, choćby przez parę godzin, tego słynnego miasta. *Herr Magath* ani myślał o jakichkolwiek przyjemnościach. Szczęście, marzenia, luksusy i rozkosz pozostały na oceanie, na pewno są także w Ameryce, ale na razie dostępu do nich pilnował człowiek będący połączeniem buchaltera z podoficerem żandarmerii.

Po spędzeniu prawie tygodnia w objęciach *Patricii Robinson* spotkanie z krępy, łysiejącym facecikiem było jak zderzenie z górą lodową. W głowie Heńka zrodziła się nawet rozpaczliwa myśl, by powiedzieć *Herr Magathowi*, żeby go pocałował w dupę, zgarnąć swoje bambetle i pójść w siną dal. Przez jakiś czas Heniek nie musiałby pracować, bo miał przy sobie gotówkę z Polski i podarunek od Japończyków oraz rezerwę w zielonych zdeponowaną na koncie, które mu *Beniowski* założył w chicagowskim banku. Miał kilkanaście tysięcy dolarów, czyli niezłą sumkę, w Polsce by za to pożył przez wiele lat i do tego jeszcze pohulał, a tutaj?

Nie wprost, tylko na okrągło, zapytał *Herr Magatha*

o zarobki:

– *Herr Firmen*[7], a ile zarabiają Amerykanie? Podobno to kraj wielkich możliwości.

– Ile zarabiają najbogatsi, tego nie wie nikt i nie można sobie tego nawet wyobrazić, ale za to wiadomo, jakie są najgorsze płace. – Felix Magath uwielbiał sprowadzać Heńka na ziemię. – Robotnicy, policjanci i agenci federalni mają rocznie od tysiąca stu do dwóch i pół tysiąca dolarów. Nie możemy więc płacić więcej niż dwa, trzy tysiące rocznie, bo rozpuścimy ludzi. Trzy tysiące rocznie to już dobry pieniądz. Dobry pieniądz i wielkie zepsucie, bo nic nie psuje ludzi tak bardzo, jak pieniądze. Ty też nie będziesz na początku zarabiał dużych pieniędzy. – Magath przeszedł na ty, pokazując dobitnie, kto tu rządzi. – Gdy wyjadę, możesz sam sobie ustalić pensję, oczywiście, jeśli firma będzie dochodowa i centrala w Berlinie się na to zgodzi – powiedział ze srogim wyrazem twarzy. – Z czego się śmiejesz, Heinrichu?

Ten typ widział wszystko albo czytał w myślach.

– Wcale się nie śmieję – wyjaśnił Heniek. – A jeśli już, to z tego, że będę się musiał starać i wyrębać swoje, a ja to lubię!

Tak naprawdę myślał wtedy o tym, że gdyby chciał, to miałby trzy tysiące dolarów rocznie i leżałby wentylem do góry. Gdyby o tym powiedział *Herr Magathowi*, to ten pewnie dostałby apopleksji. Nie zrobi tego i nie kopnie go w tyłek, bo choć był narwańcem, ale nie aż takim. Przede wszystkim musiał się tu jakoś zahaczyć, zobaczyć, co jest grane, poznać kogo trzeba, no i nauczyć się mówić po ichniemu. Znajomość angielskiego, którą zawdzięczał pani Robinson oraz krótkim gadkom z kelnerami przy zamawianiu drinków i szampana na pokładzie *Majestica*, mogła go jedynie doprowadzić do błyskawicznego roztrwonienia floty w domach uciech

i knajpach. Poza tym obiecał Beniowskiemu i jego ludziom, że nie wytnie żadnego numeru. Ma przypilnować firmy, zarobić forszę i poczekać, aż czarne chmury, które zgromadziły się nad nim w Warszawie, zwieje w siną dal jakiś dobry wiatr. Przez trzy miesiące musi słuchać tego upierdliwca, a potem jakoś to będzie. Ale tylko w pracy, bo po niej to hulaj dusza. Mówi po polsku, niemiecku i rosyjsku, więc i angielskiego się jakoś nauczy, słówka i zwroty łykał szybko, więc da radę. Poza tym, kto wie... Może uczyć go będzie jakaś kolejna pani Robinson? Za dwa miesiące na pewno będzie mówił, jakby się tu urodził. W końcu niemieckiego nauczył się bez niczyjej pomocy. Miał talent!

Na razie zamiast pięknych kobiet był wymięty i zgrzytający jak zdarta płyta *Herr Magath* i wielki czarny bagażowy. Tego ostatniego zastąpił wkrótce miejscowy taryfiarz, który powoził piękną żółto-czarną limuzyną.

– Co to za wóz? – zapytał Heniek po niemiecku.

– *What?* – skrzywił się kierowca.

Herr Magath łaskawie przetłumaczył, a szoferak wyglądający na Włocha lub Hiszpana rzucił nazwą:

– Peerless[8]!

– Piirli... I co dalej, esss? – Heniek nigdy nie słyszał takiej nazwy.

– Peerless! – zaśmiał się szoferak.

Heniek pierwszy raz słyszał tę nazwę, ale ważne, że auto było prima sort. Toczyło się pięknie, silnik przyjemnie buczał, a siedzenia były wygodne. Szkoda tylko, że jego piękna żółto-czarna blaszana buda nie pozwalała patrzeć na miasto. Był to elegancki wóz z zamkniętą karoserią, czyli taki, o jakim zawsze marzył, ale teraz najchętniej podróżowałby starym odkrytym fordziakiem. Ledwo o tym pomyślał, lunął deszcz,

więc i przestał żałować, że limuzyna ma dach.

Padalo strasznie, strugi wody leciały po szybach, więc Nowego Jorku nie mógł zobaczyć nawet z samochodu. Za ścianą wody kryło się coś, co przypominało Wolę, fabryczki, magazyny, niskie kamienice.

– Jedziemy przez Manhattan, ale wiele nie zobaczysz, to Hell's Kitchen, tu rządzą bandyci z Irlandii, rudzi, pijani i bezwzględni. Ale zaraz zacznie się porządne miasto, nie ujrzesz go za wiele, bo na stację jest mniej niż dwie mile. Jakies dwadzieścia minut i będziemy na miejscu. – *Herr Magath* okazał ludzkie oblicze i jak na człowieka, który niczego nie zwiedził i bez przerwy pracował w Chicago, całkiem dobrze orientował się w topografii Nowego Jorku. – Tu jest serce miasta, ważny jest także Brooklyn, ale to tu, na wyspie Manhattan, jest giełda, Central Park, Fifth Avenue z jej wszystkimi luksusami i ten cały Broadway, gdzie są teatry. – Słowo „teatry” *Magath* wypowiedział z wyraźnym lekceważeniem. – Tu także jest dzielnica czarnych, Harlem, a tam osławiony Cotton Club.

– Co to jest?

– To okropne miejsce – powiedział z odrazą. – Tam czarni grają tę swoją muzykę, a biali tańczą i piją alkohol. Rozpusta kwitnie!

Trzeba zapamiętać ten adres, pomyślał Heniek i postanowił podejść *Magatha*.

– A ja myślałem, że to w Chicago są najgorsze spelunki?

– Nie brakuje ich, a bracia Capone założyli budę o identycznej nazwie, tam też pije się alkohol i słucha jazzu!

– *Alcohol?* – ucieszył się kierowca. – *Whisky, vodka, beer?*

Herr Magath nakrzyczał na szofera, a ten wzruszył ramionami i popatrzył na swoich pasażerów, jakby byli nieboskimi stworzeniami.

– O co chodzi? – spytał Heniek.

– Ten typ oferował nam sprzedaż alkoholu – zatrzeszczał *Herr* Magath. – To oburzające, oburzające.

A jednak, co Ameryka, to Ameryka, pomyślał Heniek. Mówisz, masz! Ledwie padło jedno słowo, a wódeczka mogła wjechać na stół i to już w czasie jazdy. Z tą ichniejszą prohibicją musi być tak, jak z tą w Polsce. Jak ruszał na wyprawę kijowską, uchwalono prawo, które kładło szlaban na sprzedaż i picie napojów wyskokowych, ale jakoś nie bardzo to respektowano, bo kto chciał, ten się napił, choć drogo to wszystko kosztowało. Wódzia nie może mieć więcej niż czterdzieści pięć procent, bo takie są przepisy i w to mnie graj, mawiał Genio Aptekarz, znajomy bimbrownik z Woli, który produkował mocne trunki, reklamując je słowami: „Po mojem bimbrze łeb urywa, bo ja robię tylko napoje dla dorosłych, ale jak ktoś delykatny, to niech sobie rozcieńczy mój bimber w wodą, to będzie tak, jakby pił tatę z mamą!”[9].

Przepisy zakazywały też picia w soboty i niedziele oraz święta kościelne i państwowe, w czasie wyborów, poboru do wojska, targów, pielgrzymek i odpustów oraz przy mnóstwie innych okazji.

– Jakby ktoś chciał tego wszystkiego przestrzegać, toby nasza Warszawa uschła – mawiał Kosiorek i dodawał wtedy przy najbliższej kolejce: – No to Lex Moczydłowska[10]. To ta dewotka i za przeproszeniem, abstynentka wymyśliła te wszystkie przepisy – wyjaśniał Miecio. – Więc pijąc za zdrowie tej paniusi, robimy jej moralne krzywdę!

Wedle szofera Szpicbródki słowo „abstynent” należało do najcięższych obelg. W swej obywatelskiej walce z przepisami prohibicyjnymi Mietek Kosiorek nie był osamotniony, walczyli starzy pijacy, robotnicy pijący po wypłacie, panie i panowie

z towarzystwa oraz oficerowie. Heńkowi przypomniało się, jak w Poznaniu w bezalkoholowe niedziele i święta radzili sobie, pijąc mocne trunki z filiżanek. Niezła to była komedia!

A herbaciarnia u Grubego Joska? Szynek, nie herbaciarnia! Picia nikt nie zakazuje, nawet ruskim się to nie udało i jak na początku wojny wylali spirytus z gorzelnii na Żąbkowskiej, to naród z Pragi, Grochowa i Kamionka ruszył czerpać ze źródła, które płynęło ulicą. Ani policja, ani wojsko, nikt nie był ich w stanie zatrzymać.

Tu na pewno musiało być tak samo, bo jak mawiała babcia Eleonora, „Ludzie wszędzie są jednakowe”.

Dojechali w końcu na pierwsze piętro pięknego budynku. Dosłownie na piętro, bo taksówki miały specjalny podjazd, co wspinał się wzdłuż ściany gmachu, który wyglądał jak pałac albo opera. Kamienną fasadę zdobiły trzy gigantyczne okna i kolumny, a na szczycie stała wymyślna rzeźba z wielkim złożonym zegarem.

– Grand Central Terminal! – zakrzyknął szoferak, który od czasu bury, jaką zaliczył za próbę ożenienia im flaszki, siedział cicho jak trusia.

– Jesteśmy na dworcu kolejowym – oświadczył *Herr Magath*.

Szybko doskoczył bagażowy, a po chwili weszli do hali. Nowojorski dworzec kolejowy już z zewnątrz zrobił na Heńku wrażenie, ale to, co było w środku, zaparło mu dech w piersiach. Nie chodziło tylko o surowe kamienne wnętrza z wielkimi kolumnami, gigantyczne schody i snopy światła puszczane przez łukowate okna. Dworce, które znał z Warszawy, Krakowa i Poznania, zmieściłyby się razem w tej wielkiej hali i jeszcze zostałyby miejsca na przynajmniej jedną z Hal Mirowskich. Tylko ten z Paryża dawałby mu radę, bo berliński był stanowczo

zbyt mały i nie dość elegancki. Największe wrażenie robiło sklepienie, była na nim wymalowana mapa nieba. Nie granatowa, a turkusowa, ze złotymi gwiazdami i znakami zodiaku. Pośrodku zwisała wielka amerykańska flaga. Heniek aż zagwizdał.

– Nie byle co, prawda? – zagadał *Herr* Magath. – Bez dwóch zdań, że tak! Union Station w Chicago też jest niczego sobie, zobaczysz.

To było wszystko, co zobaczył w Nowym Jorku, a kolejny dzień miał spędzić w pociągu.

– To trasa od Wschodniego Wybrzeża do Wielkich Jezior, żaden dystans. Jakieś osiemset mil, czyli metrycznie, po europejsku, prawie tysiąc trzysta kilometrów – wyjaśnił Magath. – *From coast to coast*, czyli od wybrzeża do wybrzeża, to już około pięciu tysięcy kilometrów, tam jedzie się trzy dni bez przerwy. Nie dla każdego Ameryka jest krajem wielkich możliwości, ale na pewno dla każdego jest krajem wielkich odległości.

Z Nowego Jorku do Chicago to tyle, co z Warszawy do Moskwy, pomyślał Heniek, albo niemal tyle, co z Warszawy do Kijowa i z powrotem. Da radę, tyle że wtedy do Kijowa jechał w innym nastroju. Może bez wygod, ale za to kompania była fajowa i grzali na front, gdzie polska armia gromiła bolszewików. Był młody, głupi i pełen nadziei, no bo nadzieja jest przecież matką głupich. Teraz miał nastrój, jak podczas odwrotu. Tak jak wtedy rozczarowany był opuszczaniem Kijowa, tak teraz wnerwiało go szef, który przypominał pruskiego podoficera. Ważne, jak będzie się czuł, wracając do Polski! Ma wrócić z dobrym humorkiem i kasą, i ten typek mu tego nie popsuje. Na razie jednak miał Amerykę na opak. To, o czym marzył, oglądał teraz jak w krzywym zwierciadle. Walcząc

z lekkim kacem i bojąc się, że *Herr* Magath znów powie coś, czego nie będzie chciał usłyszeć, po prostu usnął, nakrywając twarz płaszczem.

III

Spokojnie, to tylko awaria

Pierwszy sen w Ameryce zaczął się dobrze. Heńkowi śniło się, że jest w łóżku z kobietą. Było rozkosznie, tajemniczo, ale momentami piękna wizja stawała się koszmarem. Nie wiedział do końca, kim jest jego kochanka, choć znał ją znakomicie, poznawał kolor włosów, oczy, usta, piersi... Ale coś się nie zgadzało, czuł się jak ktoś, kto włożył buty nie do pary. Oczy Leokadii, usta Patricii. Która to z nich, co się dzieje? Bał się zapytać, by nie popełnić niepotrzebnego błędu, miotał się więc, próbując coś powiedzieć. Wychodził z tego jakiś bełkot, aż w końcu usłyszał:

– Nie poznajesz mnie? Otwórz oczy, powiedz coś!

To nie był głos żadnej z nich, więc czyj, do cholery? Coś kojarzył, brzmiał znajomo, ale nie... To niemożliwe! Otworzył oczy. Jakaś ręka ściągnęła z niego płaszcz, odetchnął z ulgą, ale w oczy uderzył go strumień oślepiającego światła.

– Wstawaj, już LaSalle, przespałeś całą drogę, Heinrichu – usłyszał głos *Herr* Magatha! – Czy ty na tym statku nie spałeś, nie było tam łóżek, czy teraz pierwsza klasa oznacza podróż w barze? Śmierdzi od ciebie na kilometr przetrawionym alkoholem!

Łóżka były, a i owszem, pomyślał Heniek. Ale w nocy nie spał, jeśli już, to trochę w dzień. Teraz byłaby pora na mimozę, czyli szampana z sokiem pomarańczowym.

– Napijesz się wody, Heinrichu? Jeśli tak, to szybko, zaraz wjedziemy na dworzec.

Piwa, stary idioto, piwa, pomyślał Heniek. I tak w ogóle, to dlaczego on go ciągle pogania, czemu nie ma spokoju, czy będzie tak przez całe trzy miesiące? Ciągnąc swe walizy,

począł do wyjścia. Na szczęście nie trwało to długo, bo tak jak w Nowym Jorku, skorzystali z usług bagażowego, który zapakował rzeczy na wózek, a następnie pociągnął go w kierunku ulicy.

Mógł się z *Herr* Magathem nie zgadzać, bo może nie znał Ameryki, ale co do chicagowskiego dworca, to na pewno on, a nie ten pruski kapral, miał rację. Był równie wielki, jak ten w Nowym Jorku, ale gdzież mu było do niego! Duży, fakt, ale tak poza tym, żadne halo.

– *Herr* Magath, ten cały dworzec jest duży, ale żeby go porównywać z nowojorskim...

– Bo to dworzec LaSalle, ten, o którym mówiłem, Union Station jest jakieś pół mili stąd, po drugiej stronie rzeki. Tamten to prawdziwe cacko! Co się tak krzywisz, ciesz się, że przejechałeś się słynnym *The 20th Century Limited*, wnukom będziesz opowiadał, że zrobiłeś tę trasę!

– Wnukom tobym opowiadał, jakbym spędził ten czas w wagonie sypialnym...

– Nie mantykuj, spałeś prawie całą drogę, czyli niemal dwadzieścia godzin! Chciałem ci to i owo przez ten czas opowiedzieć, ale nie dało się z tobą rozmawiać. A teraz prędeej, szkoda czasu, czekają na nas! – Szef żandarm poganiał go jak na musztrze.

– Taksówka?

– Nie, czeka na nas auto z firmy.

Ton głosu i oczy *Herr* Magatha mówiły: pierwsze przykazanie nie przepłacaj, a Heniek zastanawiał się, co podjedzie po nich na dworzec.

Gdy Magath pokazał bagażowemu, gdzie ma ładować walizki, Wcisło pomyślał, że to żart. To nie był żart, przed dworcem na obecnego i przyszłego szefa firmy *Iron Castle*

czekała ciężarówka, jednotonowy ford TT. Walizy poszły na pakę, a oni sami wsiedli do kabiny. Zmieścili się z trudem, bo wygodnie mogły tam jechać tylko dwie osoby. Kierowca burknął coś pod nosem, przedstawiając się chyba imieniem Jürgen. Heniek widział różnych typów za fajerą, w tym samego Miecia Kosiorka, szofera Szpicbródki, ale ten gość był wyjątkowy. Podobnie jak Miecio, był ubrany na bogato, ale wyglądał na jeszcze większego zakapiora. I zapewne takim był, bo Heniek zauważył, że ma przy sobie rewolwer.

– Chicago zapracowało na złą markę, tu kierowca wożący towar musi mieć broń.

Herr Magath zorientował się, że Heniek zauważył klamkę.

– Takie mamy czasy i choć prowadzimy spokojny interes, to jednak warto mieć coś pod ręką.

Szoferak uśmiechnął się na te słowa i wyglądał jak zadowolony zbój, który właśnie skroił kupiecką karawanę.

Ciężarówka wpasowała się w ruch uliczny, a Heniek dostrzegł, że świat za oknem szoferki jest mu dziwnie znajomy, ale i jednocześnie inny niż wszystko, co do tej pory widział. Elementy były te same co wszędzie, ale zwielokrotnione i powiększone. Wszystko było spotęgowane, pomnożone i napędzane jakąś ogromną mocą. Chicagowska ulica wydawała się większa i bardziej ruchliwa od tych, które widział w Berlinie i Paryżu, choć nie tak elegancka. To była jakby powiększona Warszawa, to samo tempo i te same pojazdy: wozy konne, tramwaje i automobile. Było ich jednak o wiele więcej, zwłaszcza aut wszelkiego rodzaju, które dominowały nad innymi środkami transportu. O ile w Warszawie były ich dziesiątki, o tyle tutaj setki, a po przejechaniu kilku ulic Heniek szybko zrozumiał, że tysiące, dziesiątki tysięcy.

Najwięcej było doskonale znanych mu fordów T, niemal

wszystkie pomalowano zgodnie z zaleceniem właściciela fabryki Henry'ego Forda na karawaniarski czarny kolor. W Warszawie większość aut to były właśnie fordys z demobilu, więc szybko ochrzczono je mianem warszawiaków, tu jednak miały sporą konkurencję, a większość wozów, podobnie jak nowojorską taryfę peerless, widział po raz pierwszy w życiu. Choć niedawno oglądał z pokładu Majestica nowojorskie drapacze chmur, to jednak rozmach, z jakim budowano w Chicago, też robił wrażenie. Heniek nie mógł oderwać wzroku od rudawej wieży wyrastającej za rzeką, którą właśnie przekraczali.

– Uważaj Heinrichu, bo sobie ukręcisz szyję – zaśmiał się *Herr Magath*, patrząc na to, jak Heniek wygina się w szoferce, by zobaczyć szczyt budynku. Do szefa dołączył kierowca, jego śmiech wydawał się złowieszczy, jakby się cieszył, że głowa odpadła Heńkowi od szyi za sprawą jego potężnych łap. – To hotel Morrison – ciągnął *Magath*. – Najwyższy budynek poza Nowym Jorkiem, sto sześćdziesiąt metrów wysokości i czterdzieści pięter! Z auta ostatniego piętra nie zobaczysz.

Ruch odbywał się nie tylko na poziomie ulicy. Przejechali most na rzece i wjechali do elegantszej części miasta, która otoczona była sunącą ponad ulicami kolejką miejską. Wagoniki jechały po specjalnych wiaduktach, coś takiego widział także w Paryżu i Berlinie, ale tu tory sprawiały wrażenie, jakby zaciskały wokół Chicago żelazną pętlę. Zatrzymali się na chwilę przed jakimś lokalem. *Magath* wbiegł i gdy wrócił, oznajmił z chytrą miną:

– Załatwione, kolejna kasa sprzedana – Kierowca skwitował to grymasem zbójeckiej radości.

Ruszyli, dołączając do morza aut i tramwajów ciągnących ulicą. Gdy przejeżdżali pod wiaduktem, przetoczyła się po nim z łoskotem kolejka.

– To centrum miasta, nazywają je The Loop, pętla
– wyjaśnił *Herr Magath*. – Tu są największe sklepy, najwyższe budynki, najważniejsze biura, tu mieszkają niemal wyłącznie bogaci, a jeszcze majątniejsi robią tu zakupy, mają swoje biura i oczywiście się bawią. Granicę The Loop wyznaczają tory kolejki, stąd nazwa, a niemal w samym środku stoi Morrison Hotel.

– *Herr Magath*, czy to tutaj mamy sklep? – zapytał Heniek z nadzieją, że będzie pracował w tej eleganckiej, hałaśliwej dzielnicy.

– Heinrichu, wiesz, jakie tu są czynsze? – *Magath* natychmiast go skarcił. – Nie stać nas na taką ekstrawagancję, poza tym nie mamy sklepu, tylko skład firmowy.

– Wydawało mi się, że powinniśmy mieć jakiś elegancki sklep – Heniek ciągnął niezrażony. – Kasy pancerne są dla tych, którzy mają pieniądze, nie sprzedajemy ich przecież biedakom.

– I nie jedziemy do biednej dzielnicy. – *Felix Magath* nie był zadowolony z tej wymiany zdań i z tego, że musiał się Heńkowi z czegokolwiek tłumaczyć.

Heniek spędził resztę podróży w milczeniu, obserwując miasto. To, co widział za oknami, przypominało przekładaniec. Gdy ruszyli z dworca Union Station i minęli rzekę, wjechali do bogatej dzielnicy The Loop, później kolejny most, krajobraz wciąż się zmieniał, niedługo za torami i wiaduktami kolejki zrobiło się biednie i podle. Nędzne domy, gorzej ubrani ludzie, obskurne witryny.

– Koniec luksusów – rzucił *Felix Magath*. – Tu jest ludzi jak mrówek, tłoczą się w brudzie, chodzą do tanich spelun i burdeli, a pracują w miejscowych zakładach. To głównie ci, którzy niedawno przyjechali do Ameryki, czyli tacy jak ty.

Kierowca zaśmiał się z dowcipu szefa, ale Heńkowi ten

żarcik nie przypadł do gustu.

– Jak się ten śmietnik nazywa?

– Mówi się o tym: strefa przejściowa, zaraz za nią zobaczysz dzielnicę dla tych, co już się troszkę dorobili, to tak zwana strefa trzecia.

Krajobraz za oknem nie był jakiś przesadnie piękny, ale z pewnością schludniejszy od tego, który widział przed chwilą. Niskie drewniane domy, coś jak na Woli od strony przedmieścia. Po parunastu minutach jazdy wjechali do innego świata, lepszego, bogatszego.

– Dostatnio, wręcz bogato, można by powiedzieć, ale naprawdę luksusowo jest tam. – Magath machnął ręką w kierunku jeziora. – Przy Lake Shore Drive, możesz sobie o czymś takim tylko pomarzyć, piękne wille nad wodą.

Pewnie ichniejszy Konstancin pożeniony z Ujazdowskimi, pomyślał Heniek.

Jadąc przez przekładaniec bogactwa, biedy i luksusu, ponownie dotarli w miejsce, które nie przypadło Heńkowi do gustu. Poczul się jak w okolicach Żelaznej, Wroniej i Łuckiej, gdzie stały fabryczki i manufaktury. Przejechali przez obskurną bramę i znaleźli się w podwórku przed jakąś nieszczególną budą. Może to tylko przystanek? – pomyślał. Biorą stąd towar albo muszą załatwić jaką sprawę. Na próżno się łudził, byli na miejscu!

Okazało się, że pojęcie „to nie jest biedna dzielnica” jest w Chicago inne niż w Warszawie, a *Herr* Magath to mistrz robienia dobrego wrażenia. Heniek nie miał żadnych wątpliwości, że skład mieścił się w podłym zaułku, tymczasem Magath przechadzał się po podwórku, jakby to był ogród otaczający pałacyk Sobańskich w Alejach Ujazdowskich. Wcisło czekał na to, że przełożony palnie za chwilę kilka słów

o niewiarygodnych zaletach tego miejsca, i się nie mylił.

– Tu jest nasz skład, dwa wejścia od podwórka i od frontu.
– Magath wygłosił to takim tonem, jakby front miał elegancką facjatę i stał przynajmniej obok domu towarowego Hersego.
– Na piętunku będziesz miał, mój Heinrichu, służbowe mieszkanie. Nie będziesz musiał za nie płacić! – Dla Heńka było jasne jak słońce, że dla Felixa Magatha największą wartość przedstawiały każda rzecz lub usługa, którą można mieć za darmo. – Jürgen i jego brat Hermann, nasz drugi kierowca, też tu mieszkają i bardzo im się to miejsce podoba. Tobie będzie tu jak w domu, to North Side, stąd blisko do Warszawy i do Berlina – zaśmiał się. – Tu mieszkają prawie sami Niemcy, Polacy, Irlandczycy i trochę Skandynawów. Wsiadaj, Heinrichu, z życiem, z życiem! Jürgen musi jechać dalej, tu się pracuje, tempo, tempo, tempo, Heinrichu!

Heniek zeskoczył na rozmiękłą ziemię podwórka i powlókł się w kierunku wejścia, taszcząc swoje kojby. Jürgen nawet nie raczył wyjść z szoferki i przyglądał mu się z wysokości swojego siedzenia, przypalając papierosa. Z kolei Magath był szefem, więc Wcisło nie mógł też liczyć na jego pomoc. Kupione w Paryżu trzewiki szybko pokryły się błotem, a brudne krople upstrzyły eleganckie spodnie. Był wściekły, ale nie tylko z powodu pobrudzonej garderoby. Czuł, że przebrała się miarka, że granica rozczarowania została przekroczona.

Nie podobało mu się to, że będzie mieszkał na tym podwórku razem z Jürgenem i jego bratem. Heniek nie był cykorem, dawał w życiu dowody brawury, szukał zwady i przygody, stawał twarzą w twarz ze śmiercią, ale szoferak *Herr* Magatha budził w nim niepokój. W dodatku miał braciszka. Będzie znosił te dwa szwabskie goryle tuż obok, za ścianą. Czuł się z tym nieswojo, coś mu tu śmierdziało, miał wrażenie, że jest

w potrzasku. Musi jakoś przetrwać, nie takie przygody już zaliczył, trzeba wytrzymać trzy miesiące, po których zacznie rządzić. Tylko czym? Dwoma zakapiorami i tą podłgą budą? Czy ta firma w ogóle istnieje? W Berlinie mówili mu, że wyniki są dobre, ale może to wszystko lipa?

Od pierwszej chwili nie ulegało wątpliwości, że Magath chciał na wszystkim oszczędzać i sprawiał wrażenie, jakby był handlarzem starzyzną, a nie szefem poważnej firmy, która sprzedaje niezbyt tanie sprzęty dla dzianych gości. Jak upłynniać kasy, nie mając porządnego sklepu w dobrej dzielnicy, tylko kantorek na zadupiu, w którym co najwyżej da się obżeniac węgiel albo skupować złom? Może mieli dobrą reklamę i dawali ogłoszenia w gazetach, ale to raczej nieprawdopodobne, skoro Magath ściubił ze wszystkim. Heniek nie lubił tandety, chciał zatrudniać dobrych, solidnie opłacanych fachowców. Tak robił Szpicbródka i znakomicie się to sprawdzało w warsztacie, który Wcisło prowadził wspólnie ze stryjkiem. Aż strach pytać, co z produkcją! Domyślał się, że w takiej sytuacji mają parę zamówień na krzyż na sejfy zrobione pod klienta i że wcale o więcej nie zabiegają. Przecież Magath dostałby apopleksji, gdyby musiał zapłacić za materiały i pracowników. Pewnie pracuje ze dwóch giserów i ślusarz, a za ladą stoi jeden sprzedawca.

Nie wytrzymał, postawił walizy w progu i zapytał:

- A ilu ludzi zatrudniamy?
- Kogo? – Magath zdziwił się oburzony, za to Jürgen, który wyszedł z szoferki, wyglądał na rozbawionego.
- Jak to kogo? No, naszych pracowników!
- W tej chwili sklep firmowy i przedstawicielstwo handlowe to ja oraz kierowcy, Jürgen i jego brat Hermann.
- Felix Magath z dumą wypiął pierś. – Nie stać nas jeszcze na

ludzi.

Heniek pokiwał głową jakby z uznaniem i szacunkiem oraz burknął nawet dla świętego spokoju:

– Taaa, no przecież nie można dać zarobić darmozjadom!

Grał, bo przestał ufać Magathowi i bał się Jürgena oraz jego braciszka Hermanna. Spróbował więc zrobić dobre wrażenie i powiedział z werwą naiwnego głupka:

– Tak, to teraz sklep i przedstawicielstwo to będą już cztery osoby, pan, *Herr* Magath, panowie kierowcy i ja. – Wyszczrzył zęby w radosnym uśmiechu. – A produkcja?

– Co produkcja? – zdziwił się szef, a Jürgen zaśmiał się po swojemu, złowieszczo jak asystent kata, którego rozbawił skazaniec ślizgający się na zakrwawionym szafocie.

– No, manufaktura, maszyny i tak dalej? Ilu ludzi przy tym pracuje?

– Maszyny są doskonałe, ale wymagają pewnego wkładu – odparł Magath. – Za to lokalizacja pierwsza klasa. Hala i magazyn oraz podwórze położone są pierwszorzędnie!

– A ludzie?

– Jacy ludzie?! – zaśmiał się Niemiec, a Jürgen zawtórował mu swoim strasznym głosem. – Heinrichu, ludzie są nam nie-po-trzeb-ni! – przesylabizował. – To piękna nieruchomość, którą wraz z maszynami i dwiema ciężarówkami firma nabyła za dobre, co nie znaczy, że małe, pieniądze! Mój zmysł handlowy, doświadczenie i umiejętność prowadzenia interesów nakazały mi wstrzymać się z inwestycjami i niezwłocznie przystąpić do zarabiania. Mówiłem, że to świetna lokalizacja, więc puściłem nieruchomość i ciężarówki w najem! Płacą nam za pomieszczenia manufaktury i udostępniamy im także magazyn przy składzie, a Jürgen i Hermann, poza godzinami pracy dla nas, pomagają im wozić towary. To razem daje większe wpływy,

niż przyniosłaby produkcja kas! Na razie wszystko, co sprzedajemy, sprowadzamy z Niemiec, niemiecka jakość wciąż się liczy, więc kasy idą świetnie. Jak chcą amerykańskich, to malujemy je na inny kolor i przykręcamy tabliczki z miejscową marką! – Magath i Jürgen zaśmiali się, tym razem nieco przyjaźniej. – Wszyscy są zadowoleni, a najbardziej centrala w Berlinie, bo ma zbyt swoich produktów oraz pieniądze z nieruchomości!

Fakt, w Berlinie byli bardzo zadowoleni z tego, jakie dochody przynosiła chicagowska filia. Heniek nie miał już więcej pytań, choć nie kleiło mu się to wszystko, a zwłaszcza fakt, że oszczędny jak starozakonny z dziesiątką dzieci Magath zatrudniał aż dwóch kierowców. Po kiego grzyba, bo Jürgen nie wyglądał na kogoś, kto dymałby od świtu do zmierzchu, chyba że jego brat był jakimś skończonym pracusiem. Od myślenia głowa boli. Wie na razie za mało, by rozgryźć ten orzech, więc postanowił już o nic nie pytać.

Herr Magath zaprowadził go chybotliwymi schodami na górę i rzucił niczym dobrotliwy władca:

– Rozgość się w swoim królestwie i odpocznij, jutro rano przyjdę i zacznę cię wprowadzać w temat.

Jego królestwo to był niezły pierdolnik. Skrzypiące łóżko na trzeszczącej podłodze, miska, taboret i stół z dwoma krzesłami. Żadnych książek, szafy czy fotela. Z luksusów był kran ze zlewem, żarówka na drucie i lustro. Patrząc na swoje lokum i okolicę, zrozumiał, że cofnął się w czasie do lat dzieciństwa, które spędził na Czystem. Tak to on mieszkał przy Dworskiej przed przeprowadzką do Hrabiaka. A tu masz, historia zatoczyła koło, oby wkrótce zaczęła nowe. Obejrzał drzwi i zamek. Drzwi solidne i zamek też, ale pierwsze, co robi, to założyć nowe. Sąsiedztwo Jürgena i Hermanna kazało mu

zachowywać czujność. Gdy *Herr* Magath i Jürgen odjechali, zszedł do składu i zaczął grzebać w rupieciach. Znalazł gazrurkę, żelazną sztabę, młotek, drewniane kliny, gwoździe i metalowe części. Gazrurkę schował pod łóżko, a ze sztaby i drewnianego klina zrobił prowizoryczne zamknięcie.

Podłoga była podła, ze zwykłych dech, więc nic nie mogło jej zaszkodzić, a drzwi jego nory otwierały się do środka. Wbił więc w podłogę klin i oparł o niego sztabę tak, by wchodziła równo pod klamkę. Ta konstrukcja blokowała nie tylko drzwi, ale i klamkę. Poczul się bezpieczniej, teraz mógł rozłożyć rzeczy, umyć ręce i się położyć. Wtedy zauważył radio. Aparat stał na małym stoliczku przy łóżku, w samym kącie pokoju. Dopadł do odbiornika, włączył go i zaczął słuchać. W uszy trafiła melodia, inna niż w Warszawie. Szybko skojarzył ją z występem murzyńskiej trupy, który odbył się w Czarnym Kocie, ten sam rytm, ale mniej dzikości. Czuł, że to była ta sama muzyka, choć grana i śpiewana przez białych. Chłonał z ciekawością, a po utworze wsłuchał się w głos spikera. Bezwzględnie musi się nauczyć tego języka!

Po kwadransie radio zatrzeszczało, fala jakby zanikała, więc zaczął kręcić gałką i wtedy usłyszał modlitwę! To była inna częstotliwość i inne radio. Znał po angielsku ledwie parę zwrotów, ale był pewien, że człowiek, który przemawia, jest kaznodzieją. Mówił dostojnym głosem, a na jego słowa odzywał się cały chór wiernych. Pokręcił gałką dalej i odkrył, że każdy ruch to jakaś inna stacja, inna muzyka, inni spikerzy. Niektóre częstotliwości ledwie słyszalne, inne zakłócane przez piski i trzaski, ale znalazł ich ze dwadzieścia albo i więcej. Był pod wrażeniem swego odkrycia i spędził przy radiu bite dwie godziny.

W nocy obudziło go szarpanie drzwiami. Ostrożnie wstał

z łóżka i przyczaił się z gazrurką. Szarpanie ustało, słyszał szept, a potem śmiech i trzaskanie. To na pewno Jürgen i Hermann próbowali go odwiedzić. Ciekawe, po co?

Spał nerwowo, tak jak wtedy, gdy w 1920 roku nocował na pierwszej linii frontu. Rano zbudziło go energiczne stukanie do drzwi i głos Magatha.

– Heinrichu, Heinrichu! Wstawaj! Tempo, tempo, tempo!

Schował gazrurkę do łóżka i zdjął sztabę, przekręcił klucz w zamku, po czym otworzył drzwi.

– Heinrichu, ty się zabarykadowałeś! – *Herr* Magath zaśmiał się rubaszenie. – Po co to wszystko?

Śmiali się także Jürgen i Hermann, którzy stali w drzwiach swojego pokoju. Heniek z niepokojem stwierdził, że Hermann jest równie brzydki jak jego brat i o pół głowy wyższy. Hrubeschowie przypominali mu wielkich bliźniaków z Dworskiej, którzy mieli swój interes przy Hali Mirowskiej. Nazywali się Skrzeczyńscy i tak jak Jürgen oraz Hermann byli do siebie podobni, lecz różnili się wzrostem. Jeden był wysoki, a drugi jeszcze wyższy. Słyszał, że Skrzeczyńscy, choć nie za bardzo się lubili, to jednak potrafili łączyć siły i walić innych, aż miło. Nawet potężni żydowscy tragarze, którzy przesiadywali przy Gnojnej w herbaciarni u Grubego Joska, traktowali ich z należyтым szacunkiem. Tego, że tak samo szacunek zdobywali Hrubeschowie, był pewien. Na bank. Mieli łapy jak bochny, poruszali się jak goryle i patrzyli spode łba. Jedno celne trafienie któregokolwiek z nich mogło wyrwać łeb razem z płucami. Heniek ogarnął się po chwili i jak gdyby nigdy nic założył gadkę:

– *Herr* Magath, mieszkałem w Warszawie wystarczająco długo, by wiedzieć, że nocą dzieją się różne rzeczy. Zresztą w Berlinie wcale nie jest lepiej, to zupełnie inne miasto niż to,

które pan opuszczał. – Poczuli się nieco pewniej i postanowili przejść do ofensywy. Przekroczył próg pokoju, wyszedł na korytarz i podszedł do braci. – Jürgena już znam, a ty powinieneś być Hermann? Ja nazywam się Heinrich Haas, urodziłem się w Warszawie. – Mówiąc to, podał rękę olbrzymowi.

– Hermann Hrubesch. – Uśmiechnął się krzywo. – My pochodzimy z Hamburga, w nocy słyszeliśmy radio i chcieliśmy wpaść i się zapoznać, co nie, Jürgen?

Jürgen pokiwał głową i wykrzywił twarz w nieprzyjemnym uśmiechu.

– To zapoznacie się na przerwie obiadowej. – *Herr* Magath przypomniał, że ma duszę służbisty.

Bracia Hrubeschowie ruszyli schodami w dół, wyglądali jak dwie wielkie małpy. Magath ruszył za nimi.

– *Herr* Magath! – zawołał Heniek. – Co mam robić?

– Ubierz się porządnie, będziesz czekał ze mną na klientów, a potem pokażę ci księgę przychodów i rozchodów.

Magath okazał ludzkie oblicze, przyniósł kanapki i kawę w termosie. Popijając parujący napój i zajadając bułkę z wędliną, przechodzili miesiąc po miesiącu przez firmową księgę. Heniek umiał liczyć i szybko się zorientował, że dziadowski styl działalności Magatha faktycznie przynosi firmie dobry dochód. Nie mogło być zresztą inaczej, skoro Berlin był zadowolony z wpływów. Na papierze oraz w banku wszystko się zgadzało, choć zdaniem Heńka przypominało przedstawienie Houdiniego. Chłopak z Warszawy był spryciarzem, znał paru większych od siebie i wiedział, jak prowadzą interesy, ale nadal nie mógł pojąć, w jaki sposób Magathowi i jego upiornym bliźniakom schodzą importowane z Niemiec kasy pancerne. Jak to możliwe, że ten wymięty pruski żandarm siedząc tam, gdzie

psy szczekają dupami, opylał każdego miesiąca po dwa, trzy stalowe mebelki?

Spokojnie, to tylko awaria, pomyślał Heniek. Jakoś się wszystko ułoży, wszystko da się naprawić i spasować z powrotem do kupy, potrzeba tylko cierpliwości.

IV

Huck Finn

Kolejne dni wprowadziły Heńka w beznadziejną rutynę. Od ósmej rano do szóstej wieczorem siedział w składzie, czekając na klientów, którzy nigdy się nie pojawiali, oraz pilnował telefonu, na który dzwonił wyłącznie Magath, by sprawdzić, czy Heniek jest na miejscu. Po dwóch tygodniach uznał, że ma tego dość. Czuł, że traci czas jak nigdy dotąd. Nie miał sposobności poznania Chicago, nie rozumiał interesów prowadzonych przez firmę, której szefem miał zostać za parę miesięcy. Nawet szkolenie w wojsku miało sens, nawet nauka w kolejówce była ciekawsza, nie mówiąc już o najnudniejszych lekcjach u Wawelberga. Mieszkanie i praca w Chicago to była niezła ryfa, spodziewał się wszystkiego, tylko nie tego, że Ameryka będzie tak nudna i beznadziejna.

Zawsze zazdrościł ludziom, którzy potrafili się opieprzać, mistrzom, co robili dużo hałasu i ruchu, a mieli dwie lewe ręce. On tak nie umiał, mógł albo zapieprzać, wiedząc, że będą z tego konkretne pieniądze i fajrant, albo leżeć brzuchem do góry. Udawanie roboty nie było ulubionym zajęciem Heńka Wcisły, a tak właśnie miały się sprawy w Iron Castle. W końcu ponownie zaświtała mu w głowie myśl, czy nie rzucić tego wszystkiego w kibinimaty. Tak po prostu zmyć się z tego zapyziałego zaułka, po cichutku, dyskretnie, po angielsku opuścić to beznadziejne przyjęcie.

Postanowił jednak trwać. Z ciekawości i nie tylko. Czuł, że bracia Hrubeschowie zagięli na niego parol i nie byli tu tylko kierowcami. Magath też coś ukrywał, a rozwiązanie zagadki tkwiło z pewnością w magazynie. Co tam zwozili, co takiego cennego kryły skrzynie, że zawsze jeden z braci, najczęściej ten

olbrzym Hermann, był na miejscu? Ciekaw był także, co robi całymimi dniami Felix Magath, co się dzieje na terenie manufaktury i kto ją wynajmuje. Musi to rozpracować jak tajny detektyw, nie tylko po to, by zaspokoić swoją ciekawość, ale także by uchronić dwójkarzy przed jakąś chryją. Gdyby się zrobiła poważna granda, to idąc po nitce do kłębka, miejscowe psy mogłyby dotrzeć nie tylko do Berlina, ale nawet i do Warszawy, a to nikomu nie było potrzebne.

Postanowił się przyczaić i trafić na chwilę nieuwagi Magatha i Hrubeschów, czekał na dogodny moment, powtarzając powiedzonka babci Eleonory. Co nagle, to po diable oraz ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Jak tylko zyska pewność, że nikogo nie będzie w składzie przynajmniej przez pół godziny, to dobierze się do drzwi. System zabezpieczeń nie był jakiś szczególnie wyrafinowany, ale liczba zamków nawet jemu zajmie chwilę. Później trzeba będzie poświęcić parę minut na zwiedzenie magazynu, a następnie z powrotem zamknąć ten kramik. Korciło go coraz mocniej, by tam zajrzeć, ale był zbyt doświadczony, by wpaść w jakiś głupi sposób. Na razie nie miał szczęścia, Magath i Hrubeschowie byli czujni jak ważki.

Nie szło mu także z innymi sprawami, z utęsknieniem czekał na listy z Polski, a te nie nadchodziły. Umówili się z Julkiem, że będą przesyłane na poste restante. Jak dotąd jednak na poczcie głównej w Chicago ani razu nie pojawiła się przesyłka na hasło Karol May.

W angielskim Heniek robił postępy, ale jeszcze nie takie, by swobodnie sobie radzić. Dwa tygodnie to było stanowczo zbyt mało. Na razie mógł tylko zajrzeć na pocztę i zapytać o list dla Karola Maya, zrobić zakupy albo... pójść na ewangelicką mszę. Felix Magath zorganizował mu bowiem jako przewodnika po języku Szekspira nie ponętą panią Robinson, lecz pastora

Jacoba Luttelmanna. Wielebny nauczał dobrze i być może był nawet lepszym nauczycielem angielskiego niż kaznodzieją, ale nauka języka, w której podstawową pomoc naukową stanowiła Biblia, nie była tym, czego oczekiwał Heniek. Niedługo stanie się takim specjalistą od Biblii, że spokojnie będzie mógł zostać katechetą, o ile w jakimś znanym mu kościele czy szkole chcieliby mieć za nauczyciela gościa, który omawia mniej znane fragmenty Pisma Świętego. Ale nie ma co narzekać, dzięki pastorowi znał angielski coraz lepiej, choć wciąż brakowało mu praktyki. Praktyki i znajomości, a bez tych drugich nie sposób było załatwić to, czego bardzo potrzebował.

W Warszawie zawsze miał pod ręką małego einhanda albo browninga, tu mógł liczyć tylko na pięści i spryt. Pistolet albo rewolwer leżący przy łóżku daje spokojniejszy sen niż łom czy gazrurka. Kawałkiem żelaza potrafiłby zrobić krzywdę, ale mistrzem nie był, za to strzelcem był wyborowym. Skombinowanie klamki to coś więcej niż tylko kwestia marnego angielskiego, w tym mieście chodziło wystarczająco dużo ludzi mówiących po polsku, niemiecku i rosyjsku, ale do tej pory nie poznał żadnego, któremu mógłby zaufać. Nigdy w życiu nie czuł się tak źle, bez broni był zagubiony, a na dodatek samotny, bez języka w gębie i kobiety. Coraz mocniej tęsknił za porządnym rosołkiem, schaboszczakiem, pyzami, porcją flaków i... książką.

Od razu przypomniał mu się ten cały latarnik od Sienkiewicza. Dostał chłop pudło z książkami i zaczytał się śmiertelnie. Śmiertelnie, bo zapomniał włączyć latarnię, przez co statek wpadł na skały i poszedł na dno. Jak go inżynier Beniowski zapytał, jaki morał płynie z *Latarnika*, to Heniek odpowiedział:

– Z czytania i nostalgii potrafią wyjść marne rzeczy, można puścić okręt na dno i stracić robotę. Szkoda, bo ja lubię czytać!

Inżynier, który był dobrodziejem rodziny Wcisłów, śmiał się serdecznie z jego słów i on sam też się z nich śmiał po latach, bo tu, w zaułku na North Side w Chicago, brzmiały one wyjątkowo komicznie. Mógł tu przeczytać całą bibliotekę i nic by się nie stało.

Nadeszła przerwa obiadowa, bracia Hrubeschowie jak zwykle pałaszowali swoje bułki z mielonym, które nazywali hamburgerami. Nie przyłączył się do nich, bo nie czuł się pewnie w towarzystwie tych goryli, a do tego jadł ichniejsze wynalazki od dwóch tygodni. Pora coś zmienić i poszukać nowego żarcia i ciekawszego towarzystwa. Zapytał grzecznie Hrubeschów, gdzie jest najbliższa ulica ze sklepami, i poszedł w jej kierunku.

Nagle zobaczył szyld z polskim nazwiskiem, a potem kolejny i jeszcze jeden. Tablic ze znajomo brzmiącymi nazwiskami i nazwami sklepów przybywało, miał wrażenie, że idąc nieco ponad kwadrans, przepłynął ocean i wrócił do Polski. Czuł się teraz jak ta cała Alicja, co przez norkę czy inną króliczą dziurę trafiła do Krainy Czarów. Przeszedł przez uliczkę i trafił do miejsca, które przypominało mu dom, tu nawet wielu przechodniów mówiło po polsku. Skoro tak, to może będzie jakiś rzeźnik, który sprzedaje swojskie specjały? Brak książek znosił z trudem, ale brak dobrej szyneczki, baleroniku czy kiełbasy dawał mu się we znaki jeszcze mocniej. Teraz nawet za pasztetową oddałby wszystkie bogactwa świata. Tylko za salcesonem nie tęsknił, bo podobnie jak mózdzku czy wątróbki zwyczajnie go nie lubił.

W końcu zobaczył sklep z szyldem Best Sausages in Chicago, Richard Kunicki. Najlepsze Kiełbasy w Chicago. Wszedł i choć tego nie chciał, zamiast łamaną angielszczyzną powiedział po polsku:

– Dzień dobry, czy jest krakowska?

– Dzień dobry, witam rodaka z Loop – ucieszył się rumiany jegomość stojący za ladą. – Czego pan sobie winszuje? Krakowskiej, dobrej szyneczki, a może pasztetowej albo salcesoniku? Proszę próbować i zamawiać!

Heniek skosztował wędlin, które choć nie były takie jak w Warszawie, to i tak rozplływały się w ustach. Kiełbasa była konkretna, a nie z papieru, a szynka aromatyczna. Zaczął składać zamówienia.

– Ale pan sobie zawinszował – zaśmiał się rzeźnik. – Ale stać pana, to miłe, że coraz więcej rodaków zaczepia się w The Loop.

– A skąd pan wiesz, że z Loop?

– Ubrany pan jesteś jak lord i nie szczypiesz się pan z rachuneczkami – odparł handlarz.

– Masz pan świetne wyroby, więc pieniążki same wyskakują z kieszeni.

– A nie chciałby pan tatarka? Mogę na miejscu nasiekać i zje pan tutaj świeżutkiego! Żona dorzuci cebulki i czego tam trzeba. No, oczywista nie będzie grzybków marynowanych, bo grzybki to tutaj towar deficytowy.

– To u pana zupełnie jak w handelku! – Heniek przypomniał sobie o sklepach, które były w Warszawie jeszcze w jego dzieciństwie, o składach, w których można było nie tylko kupić, ale i zjeść wyroby garmażeryjne.

– Żeby był prawdziwy handelek, to powinienem jeszcze podawać ciepłe parówki, ale tutaj – skrzywił się – nie wygram konkurencji z tymi ichniejszymi, jak im tam, frankurterami. Ładują kiełbasę do bułki i jedzą w biegu na ulicy, niektóre mówią na to hot dog. Kto to słyszał, żeby jeść coś, co się nazywa gorący pies? Ale wie pan, oni tu takie rzeczy jedzą, co smakują

jak papier albo jak pies mielony z budą. – Rzeźnik machnął ręką jakby z odrazą albo rezygnacją, po czym dodał z uśmiechem:

– Ale dzięki temu ja mogę sobie prowadzić swój interesik!

– Czyli interesik w porządku?

– No, prawie – skrzywił się rzeźnik.

– Wędlinki jak marzenie, klientela pewno jest, więc o co chodzi?

– Wiesz pan, takie tam sprawy rodzinne. Nie ma o czym gadać.

– A już myślałem, że to gangsterzy panu dokuczają.

– Panie, ja nie robię w alkoholu, ale... – Kunicki zrobił smętną minę. – Gdyby nie gangsterzy, to rodzina byłaby w komplecie. Wiesz pan, jak to jest, czasem trzeba rodzinie pomóc, chociaż się wychodzi na tym jak ten cały Zabłocki na mydle. Mam tu pomagiera, siostrzeńca, co się nazywa Ronald. Nie powiem, robotny, ale potrzebny mnie jak świni kamizel. Trzymam go, bo inaczej siostra z dziećmi zostałaby na lodzie, bo widzisz pan, mój szwagier Irlandczyk tragicznie kojfnął. Gangsterzy go rąbnęli!

– Gangsterzy?

– No tak, gangsterzy. – Rzeźnik rozejrzał się po pustym sklepie, ale i tak mówił cicho, jakby w środku była kolejka ludzi.

– On był szoferakiem, ten cały Nigel Kennedy – wyszeptał.

– Widzisz pan, on woził alkohol ciężarówkami. Szmuglował trunki, krótko mówiąc, pracował dla gangsterów, ale ci mieli konkurencję i...

– I co?

– I zrobili zasadzkę na transport, wycięli z maszyn ganów trzy osoby, w tym tego mojego szwagra. – Rzeźnik był plotkarzem, ale Heniek słuchał go z przyjemnością. Po dwóch tygodniach przymusowego szwargotania po niemiecku i nauki

angielskiego cieszyła go polska mowa. Widząc, że ma słuchacza, rzeźnik gadał dalej jak najęty: o handlu, gangsterach, wódce, prohibicji, miejscowym księdzu, sąsiadach, a później znów o rodzinie. – No i rozumiesz pan, dlatego siostra została się sama z dzieciakami... – Już miał zacząć nowy temat, ale nagle jakby wpadł na genialny pomysł. – Panie...

– Henryk Haas – przedstawił się Heniek.

– Panie Haas, a nie potrzebujesz pan może jakiego pomagiera? Gońca, takiego podaj, przynieś, pozamiataj, no rozumiesz pan, nie masz pan posady dla tego Ronalda? Porządny chłopak, mówię panu! Masz pan coś?

– A wiesz pan, że może będę miał?

– Panie...

– Ale nie od razu, nic od ręki!

– To weź go pan na razie na próbę!

– Za miesiąc, drogi panie, za dwa miesiące z dużym okładem. Na razie nie jestem jeszcze panem w swojej firmie.

– Za dwa miesiące? Jeszcze przed *Christmas*, przed świętami, przed Bożym Narodzeniem, powiadasz pan?

– Niczego nie obiecuję, niczego poza stażem, panie Kunicki!

– Dziękuję panu, dziękuję!

Heniek wziął pakunek z wędliną i ruszył w kierunku drzwi.

– Panie...

– Henryk Haas – powtórzył Heniek.

– Panie Haas, zostaw pan jaki numer telefonu czy adres – rzucił Kunicki.

– Nie trzeba, jak wszystko będzie już gotowe, sam was znajdę, przecież wiem, gdzie pana szukać.

Rzeźnik Kunicki stał za ladą, nie wiedząc, czy przybysz z The Loop mówi prawdę. Heniek nie kłamał, jeszcze dwa i pół

miesiąca dzieliło go od wyjazdu Felixa Magatha do Niemiec i przejęcia firmy Iron Castle. Cieszył się z tego i zarazem bał jak jasna cholera.

Zakupy u rzeźnika Kunickiego poprawiły Wciśle nastrój tylko na chwilę. Żołądek był pełen, wałóweczka na najbliższe dni leżała w pokoju, ale w głowie znowu chaos. Heniek coraz poważniej martwił się tym, co będzie po przejęciu przez niego firmy. Felix Magath mówił mu to, co chciał, a gdy Heniek pytał o magazyn i najem oraz swoje obowiązki, *Herr Firmen* zbywał go jak natrętnego gówniarza.

– Heinrichu! Ile razy ci mówiłem, żebyś się zajął swoimi sprawami?

– *Herr* Magath, przecież ja na razie tylko sprawdzam kasy, które przychodzą do nas z Niemiec, albo serwisuję te, które już są zakupione. To znaczy tę jedną, do której pojechałem w ciągu tych dwóch tygodni. Poza tym całym dniami siedzę w składzie, do którego nikt nie przychodzi!

– Ależ Heinrichu! Co ty wygadujesz? – Magath niemal wrzasnął na niego. – Nie mów przy mnie takich bzdur! Znasz moje wyniki sprzedaży, zaznajamiałem cię z naszymi rachunkami, więc wiesz, ile sprzedawałem, kiedy skład znajdował się pod moją opieką! Jeśli nie, to ci przypomnę, że jak ja się tym zajmowałem, to szły po dwie, trzy kasy miesięcznie, więc nawet nie próbuj mi mówić, że to niemożliwe! Zajmij się robotą, przyłóż się! Niedługo będziesz tu prawie trzy tygodnie i nic, myślisz, że samo się sprzeda? Masz jeszcze jakieś pytania?

Nie miał. *Herr* Magath wypunktował go tak, że czuł się jak zagoniony do kąta szczeniak. Według ksiąg firmowych Felix Magath jawił się jako cudotwórca, mag i czarodziej, który siedząc w tym położonym w dupie składzie, robił taki obrót, jakby był doświadczonym handlarzem z Nalewek. Tylko że

Magath absolutnie nie wyglądał na starozakonnego, a ich zaulek na centrum handlu w żydowskiej dzielnicy.

Im więcej Heniek o tym myślał, tym bardziej cokolwiek przestawał rozumieć. Robił sobie odciski na tyłku, siedząc i czekając na klienta, ale nawet pies z kulawą nogą nie zatrzymywał się przed skromnym szyldem z napisem „Iron Castle – Solidne i niezawodne kasy z Europy oraz produkcja własna”.

Koń by się uśmieł, produkcja własna polegała na tym, że z jednego z wzorów kas, które przychodziły z Niemiec, Heniek odkręcał tabliczkę z napisem „Eisenschloss – Berlin 1898”, a w jej miejsce przykręcał miejscową z napisem „Iron Castle – Chicago 1906”. Do tej pory wydawało mu się, że umie prowadzić interes, ale tylko mu się tak zdawało. Teraz powoli dochodziło do niego, że ten cud, który nastąpił w warsztacie stryja, to był tylko zbieg okoliczności i znajomości, a nie jego nos do robienia interesów. Janowi Wciśle szło marnie, bo było mało aut, a ulica przestała być szosą na Poznań, gdyż budowano wiadukt kolei obwodowej. Gdy Heniek został współnikiem i sypanął kasą, otwarto przejazd, Wolska znów stała się wylotówką, a aut, zwłaszcza taksówek, zaczęło przybywać jak grzybów po deszczu. Do tego większość zmotoryzowanych sałacińskich powoziła steranymi fordami T z demobilu.auta te często musiały przechodzić przeglądy i łatwo się psuły, więc kierowcy co i rusz przyjeżdżali na wymianę części. Bardzo ważna była pomoc Tasiemki, który naganiał mu kierowców z Powązek i Woli. I tak to się kręciło. Teraz, gdy opuścił go fart i został oderwany od warszawskich układów, był jak dziecko we mgle, a nie człowiek interesu.

Po raz pierwszy zamiast radośnie odliczać czas, który został do wyjazdu Magatha, pomyślał ze zgrozą, że już niedługo

pozostanie sam z tym całym bajzlem i dwoma niemieckimi gorylami o nazwisku Hrubesch. Obawiał się prowadzenia firmy, której nie rozumiał, kraju, którego wciąż nie znał, języka, którym władał jak kaleka, i bliźniaków, którzy budzili lęk. Wolał nie mieć z nimi do czynienia i wynieść się z tej nory w jakieś inne, bardziej komfortowe miejsce. Musiał też koniecznie załatwić sobie jakąś klamkę.

Przerwę obiadową wykorzystał na zwiedzanie najbliższej okolicy, nie uszedł jednak daleko. Zatrzymał się, bo zobaczył plakat przedstawiający dwóch pięściarzy i napis PIĘŚCIARSKA WALKA STULECIA, JACK DEMPSEY vs. GENE TUNNEY, STADION SOLDIERS FIELD.

Dwudziestego drugiego września! To dosłownie za parę dni! Spisał ołówkiem na kartce adres biura sprzedaży biletów, po czym zapytał kogoś swoim łamanym angielskim, gdzie się to biuro znajduje. Kto wie, może by się dogadał, bo przecież w Chicago co trzeci to Niemiec, Ruski, Polak albo Żyd, który przyjechał z Polski lub Rosji. Szybko znalazł biuro i zobaczył napis: *Sold out*. Nie rozumiał, co to znaczy, ale szybko się dowiedział – bilety były wyprzedane. Szkoda, bo zapieprzał tutaj i chciałby zobaczyć coś wyjątkowego. Kupił więc sobie na pocieszenie pamiątkową pocztówkę za ćwierć dolara, byli na niej obaj pięściarze, a za nimi arena walki, stadion Soldiers Field. Na pocztówce miejsce, w którym mieli walczyć, przypominało rzymskie Koloseum. Czy faktycznie stadion tak wyglądał, czy też poniosło grafika i dodał coś od siebie, by Dempsey i Tunney wyglądali jak gladiatorzy?

Możliwość obejrzenia walki z udziałem wielkich czempionów rozpałała w nim ciekawość. Obejdzie się jednak smakiem, biletów brak, a miejscowych koników nie znał.

Kolejnego dnia Heniek zabrał się do robienia nowego

szyldu na składzie. Uznał, że ten obecny jest za mały i nie rzuca się w oczy. Był to kawałek blachy z odpadającą farbą. Wyskrobał więc dolara z centami na farbę i pędzel, a w składziku znalazł deskę, która wydawała mu się wprost idealna do tego, by rozświetlać firmę Iron Castle. Sądził, że do końca dnia buda, w której urzędował, będzie ozdobiona nowym szyldem. A guzik z pętelką! Deskę trzeba było jeszcze przyciąć i oheblować. Chciał też nabić listewki, by szylid nie był płaską dechą. Co innego robota ślusarza czy kasiarza, a co innego wbijanie gwoździ. Wyszczypał parę listew, połamał gwoździe i poobijał palce. Jürgen i Hermann mieli niezły ubaw, patrząc na beznadziejne próby Heńka. Dopiero drugiego dnia przystąpił do malowania. Finał był taki, że klnąc na czym świat stoi, najpierw kopnął puszkę z farbą, a następnie połamał deskę. Tak się skończyła jego próba rozreklamowania firmy.

Usiadł na krześle w składziku i próbował wyciągnąć z kieszeni paczkę papierosów. Nie było łatwo. Dłonie miał pobrudzone farbą, do tego poobijane młotkiem i naszpikowane drzazgami. Był tak wkurzony, że palce mu drżały, ale w końcu udało mu się sięgnąć po zieloną paczkę papierosów. Widniało na niej czerwone kółko z napisem Lucky Strike. Czemu je palił, a nie camele, viceroye czy marlboro? Nie wiedział, może dlatego, że opakowanie było inne, ta zieleń z czerwonym kółkiem? Papierosów był tu duży wybór, ale niestety żadne z nich nie były egipskimi. Dałby majątek za paczkę egipskich, których nie palił od ponad dwóch miesięcy. Nile, kluby, faraony czy kowboje też by pasowały. Czy polskie papierosy były lepsze od amerykańskich? Były lepsze, bo polskie, przyzwyczaił się do nich i kojarzyły mu się z zapachem domu i Warszawy. Wypalił papierosa, czując, że staje się powoli kłębkim nerwów, że rozkleja się jak przemoczone buty. Dopadały go na przemian

tęsknota, cykoria, beznadzieja i na koniec furia. W czasie robienia szyldu wkurzył się tak, jak nigdy przedtem, dopiero, gdy zrobił przerwę i zapalił lucky strike'a, uspokoił się, a palce przestały drżeć. Zgasił papierosa i zabrał się do doprowadzania dłoni do porządku. Zmywał farbę i wyskrobywał ją z paznokci. Jak przejmie ten interes i zostanie przedstawicielem firmy Eisenschloss na Stany Zjednoczone oraz zarządcą majątku manufaktury Iron Castle, to zatrudni do tego człowieka. Miał jeszcze pół godziny przerwy obiadowej, zerwał się na równe nogi i pognał w kierunku sklepu Richarda Kunickiego.

– Witam szanownego pana – ucieszył się rzeźnik, widząc wchodzącego przez drzwi Heńka. – Masz pan spust!

– Ja nie na zakupy...

– Ooo – ucieszył się jeszcze bardziej Richard Kunicki.

– Masz pan pracę dla tego mojego siostrzeńca, Irlandczyka?

– Tak, ale na razie tylko taką po godzinach. – Heniek rozłożył ręce. – Ale mogę dać mu zarobić, a przy okazji zobaczę, czy chłopak jest obrotny.

– A co ma zrobić? – Kunicki mało nie wyskoczył z ciekawości z za lady.

– W grudniu przejmuję firmę, uczę się angielskiego, poznaję jej rachunkowość, zwyczaje, jakie tu panują. Potrzebuję przewodnika, który po pracy pokazałby mi miasto, nauczył potrzebnych zwrotów, załatwił to i owo. Ten pana chłopak nada się do tego?

– Złociutki, to obrotny dzieciak – prawie zaśpiewał Kunicki. – Mam go zawołać?

– Wołaj pan!

– Może pogadacie na zapleczu, co ja mówię na zapleczu, nad sklepem mamy mieszkanie. Żona robi herbatki i poczęstuje czymś smacznym.

Po minucie Heniek siedział przy stole przykrytym koronkowym obrusem i pił herbatę podaną przez Alicję Kunicką, tęgą niską kobietę, która gdy tylko usłyszała, że Heniek może zdjąć im ciężar w postaci nadprogramowego pracownika, zaczęła szczebiotać i biegać wokół Heńka na paluszkach. Skrzypnęły drzwi, wszedł przez nie Kunicki, po czym w środku pojawił się chłopak. Liczył z osiemnaście, dziewiętnaście lat, był nie za wysoki, łykowaty i o szybkich nerwowych ruchach. Twarz miał piegowatą, zielone oczy, wystające zęby i niemal czerwone włosy. Heniek tak sobie wyobrażał Huckleberry'ego Finna, kolegę Tomka Sawyera i bohatera powieści Marka Twaina.

– Dzień dobry, jestem Ronald Kennedy – chłopak przedstawił się po angielsku bez jakiegokolwiek tremy. – Stryjek Ritchie mówi, że ma pan dla mnie jakąś ciekawą robotę. – Po czym przeszedł na polski. – Gadam też po polsku, chociaż gorzej, ale żeby w Chicago ugrać coś porządnego, trzeba mówić po angielsku!

Richard Kunicki momentalnie strzelił chłopaka w łeb, po czym ze słodką miną dodał:

– Ma trochę niewyparzony język, ale to dobry chłopak, choć w połowie Ajrisz[11] – brzmiało to jak usprawiedliwienie.

– Dobrze, że nie jestem rudym Murzynem albo czarnym Żydem – zaśmiał się chłopak, pokazując, że niewiele robi sobie ze słów wujka. – A pan jest szkop, że ma takie nazwisko?

– Niewątpliwie Ronald był równie bezczelny jak Huck Finn.

Gdyby wzrok umiał zabijać, Ronald Kennedy byłby już trupem, Kunicy patrzyli na niego jak ludzie, którzy nie kończą spokojnie dnia, nie posyłając do piachu przynajmniej jednego pyskatego nastolatka.

– Nazywam się Heinrich Hass i jestem Niemcem z Polski.

– To zmień pan imię na Henry, nikt tego panu nie powiedział?

– Pracuję z samymi Niemcami – uśmiechnął się Heniek, który w pyskującym rudzielcu dostrzegł nie tylko podobieństwo do bohatera powieści Twaina, ale i coś więcej. Ronald miał takie gadane, że mógł być godnym następcą Antka Bożyczki.

– Wszyscy w firmie mówią po niemiecku, więc to normalne, że zwracają się do mnie Heinrich. To wygodne, ale także niedobre, bo ja muszę zacząć mówić jak tutejszy. Już mi o tym wspomiano i to w drodze do Ameryki. Pomożesz mi, chłopaku, i zostanę Henrym, a nie Heinrichem, o to mi właśnie chodzi – powiedział, patrząc na przerażonych Kunickich. – Dlatego potrzebuję kogoś o niewyparzonej gębie, kto nie będzie się bał powiedzieć, jak jest.

– Czyli załatwione? *Are you my boss, mister Henry Haas*[12]? – zaśmiał się rudzielec. – Może pan do mnie mówić Ronnie!

Heniek się roześmiał, po czym spoważniał.

– Jak to się mówi w Ameryce? – Nie potrafił znaleźć odpowiedniego słowa.

– *Easy, easy?* – Ronald wyszczerzył w uśmiechu swe wystające zęby.

– Tak, *easy, easy* – powtórzył Heniek. – Musimy jeszcze pogadać...

– Musimy jeszcze pogadać, okay? – Ronald był bystry i bezczelny.

– Okay – powtórzył Heniek. – Porozmawiamy sami, jeśli państwo pozwolą?

– Oczywiście – przytaknął Kunicki i wraz z żoną wynieśli się z mieszkania.

Heniek usiadł za stołem i wskazał Ronaldowi miejsce.

– Siadaj. Czy wujek mówił, co masz robić?

– Z grubsza tak, rozumiem, że mam z pana zrobić mieszkańca Chicago. Nie mówił jednak jakiego. – Widząc, że Heniek patrzy na niego z zaciekawieniem, wyjaśnił: – Możesz pan być mieszkańcem North Side, a możesz pan też mieszkać w Loop albo Oak Park. To zupełnie różne miejsca i ich zwiedzanie kosztuje inaczej. Będę szczery, szefie, Loop znam raczej z krótkich wizyt, bo tam nawet oddychanie kosztuje spore pieniądze.

– Chcę się nauczyć poruszać po mieście, poznać słowa i zwroty, których nie mówią na lekcjach w parafii, umieć skombinować to i owo.

– A na ten przykład, co?

– Bilety na walkę Dempseya i tego drugiego.

– Tunneya. Ile sztuk?

– Dwie, dla mnie i dla ciebie. Pójdiesz ze mną, to będzie twoja zapłata. Okay?

– Okay – zaśmiał się Ronald. – Tak to mogę pracować nawet za darmo. Ale uwaga – to może kosztować stówkę albo i więcej.

Heniek kiwnął głową.

– Wiem, że to nie będzie tanie, ale nie próbuj mnie oszukać. Rozumiemy się?

Ronald wyszczerzył po swojemu zęby i w okamgnieniu znalazł się przy drzwiach.

– Rozumiemy się! – krzyknął. – A teraz się zmywam, szefie, bo muszę skołować bileciki!

Heniek podniósł się z krzesła i ruszył na dół. Chłopak wyglądał na obrotnego, oby tylko nie chciał być za sprytny.

V

Fighting Marine

Heniek zapomniał o nieudanej przygodzie z szyldem i upierdliwej, bezsensownej robocie w Iron Castle. Przestał nawet tęsknić za domem, myślał tylko o tym, co się wydarzy w piątek na stadionie Soldiers Field.

Nie był sportsmenem, wspinał się po górach, poznał narty, ale tak naprawdę jedynym popularnym sportem, którego spróbował, był boks. Niektórzy mówili, że miał nawet zadatki, był wysoki, szybki i walczył zarówno lewą, jak i prawą ręką. Prawą miał naprawdę niekiepską, ale to lewa była mocniejsza. Mógł zacząć walkę jako praworęczny, a później przejść na boksowanie z odwrotnej pozycji. Chwalono go, a on sam nieskromnie mógł do tego dopowiedzieć, że parę razy w życiu się bił, ale żadnej walki jeszcze nie przegrał. Prawda była taka, że taki był z niego bokser, jak z koziej dupy trąba. Nie dostał nigdy porządnie po ryju, ale to nie dlatego, że umiał jakoś szczególnie dobrze boksować. Liznął podstaw u trenera Izraela Fajna z Maccabi, miał też wymagającego sparingpartnera w osobie Adasia Goldfarba, a reszty dopełniły cechy jego charakteru: spryt i brawura zmieszane z ostrożnością i umiejętnością podejmowania właściwych decyzji. To wystarczało na bijatykę w wolskim szynku z komunistami albo na dołożenie na Krupówkach jakimś pewnym siebie bogatym chamom.

Bił się tylko wtedy, gdy musiał. Najchętniej sam zadawał pierwszy i zarazem ostatni cios w walce, tak jak tym studenciakom, którzy obrażali prezydenta i marszałka. W czasie bijatyki w śląskiej piwiarni powalił całe mnóstwo przeciwników, ale w tumultcie, jaki tam panował, Niemcy nie zauważali, jak się

przemykał pod stołami i zachodził ich od tyłu. Były same ciężkie nokauty, a każdą ze swych ofiar trafiał znienacka, wspomagając się w dodatku nogą od krzesła lub butelkami. Parę szybkich strzałów i pozamiatane, bo walka odbywała się na jego zasadach. Lubił się bić, a raczej bić frajerów, ale żeby to robić w ringu? Ooo, nie! Co to, to nie! Znał swoje możliwości i wiedział, że tam, gdzie plac otoczony jest linami, a sędzia dba o koszerność zabawy, nie miałby szans z kimś, kto jest w tym fachowcem. A teraz nadarzała się okazja, by tych najlepszych zobaczyć w walce, na którą czekało nie tylko całe Chicago, ale i cała Ameryka.

Felixa Magatha to nie interesowało, ale bracia Hrubeschowie chcieli go namówić na zakłady i słuchanie transmisji w radiu. Ten pojedynek miały relacjonować stacje radiowe z całej Ameryki! Z czymś takim się jeszcze nie spotkał. Cały kraj przy odbiornikach, a on, Heniek Wcisło, na stadionie, wśród stu tysięcy wybrańców, którzy wezmą udział w tym święcie. Bilety kosztowały słono, ale z każdą chwilą przekonywał się, że było warto.

W dniu walki poszedł z pracy na angielski do pastora, a później do Kunickich. Wpadł spóźniony, ale Ronald nie wyglądał na specjalnie zmartwionego, a taksówkarz, któremu płacono za postój, był nawet z tego powodu zadowolony. Gdy ruszyli w kierunku stadionu, zaczął zapadać zmierzch, a gdy dojechali na miejsce, został już tylko kwadrans do walki. Heniek był zdenerwowany, bo miał wrażenie, że objechali cały świat, ale rudzielec zachowywał się spokojnie.

– Bez paniki, szefie, jeszcze zdążymy kupić program!

Kupili i zaczęli się wbijać na stadion, który wyglądał dokładnie tak, jak na plakacie. Soldiers Field miał potężne kolumnady, które upodabniały go do rzymskiego Koloseum.

Heniek bywał na derbowych gonitwach na Polu Mokotowskim, oglądał w Warszawie futbolowe mecze Legii, a w Poznaniu był na Warcie, ale czegoś takiego jeszcze nie widział. Tłum był tak wielki, że Heniek mógł go porównać jedynie z tym, co widział pięć lat temu podczas pogrzebu chorążego PPS Kałuszewskiego, którego w czasie pochodu zastrzelili endecy.

Do walki było już naprawdę parę minut, a oni nie dotarli jeszcze na miejsce, przepychali się w kierunku swojej trybuny, spoglądając na pusty ring. Światła, które go oświetlały, były dość wątle, ale Ronald uspokajał:

– Nie zaczną bez nas, szefie, a światła załączą, jak wejda bokserzy, to tak dla lepszego wrażenia.

Nagle tłum zafalował, ludzie dostrzegli coś, co ich zaintrygowało, i komentowali to, wstając z miejsc.

– Ooo, jest, przyszedł i on! – wykrzyknął Kennedy, patrząc nie w kierunku ringu, tylko gdzieś na widownię.

Heniek widział, jak ludzie krzyczą do kogoś, a z najlepszych miejsc przy dechach podnosi się w górę jakaś zwalista postać w białym garniturze i uchyla kapelusza. Tylko mu to mignęło, bo wstający widzowie zasłonili mu człowieka, który wzbudził tak wielkie zainteresowanie.

– Kto to? – zapytał Heniek. – Jakiś dawny mistrz boksu, zapaśnik?

– No co pan? – zaśmiał się Ronald.

– Sam Douglas Fairbanks?

Chłopak o mało nie skręcił się ze śmiechu.

– Boss musi się jeszcze sporo o Chicago nauczyć!

– Od tego, do cholery, ty jesteś!

– To jest Al Capone, najważniejszy człowiek w mieście, a może nawet i w całej Ameryce. Jak Douglas Fairbanks przyjechał do Chicago, to chciało go zobaczyć mniej ludzi niż

Ala!

– Niemożliwe! Fairbanks to gwiazda!

– Tak jest, Douglas Fairbanks to tylko gwiazda, a Alphonse Capone to król!

– Król?

– Wszyscy lubią wypić, a to przede wszystkim on prowadzi sprzedaż alkoholu, bez jego bimbru, whisky, piwa i innych procentów ludzie uschliby jak stare drzewa, a Chicago zamieniłoby się w pustynię.

– Przecież za darmo tego nie robi?

– Owszem, a Fairbanks gra za damskiego fiuta? Też kosi kaskę aż miło. Al to pewnie najbogatszy człowiek w Ameryce, a już na pewno najszybciej się dorabiający. Amerykanie podziwiają takich, a zwłaszcza Amerykanie tacy jak my, jak ja i pan! To człowiek sukcesu, a tu o sukces się rozchodzi. Poza tym daje pracę. Wiesz pan, ilu chłopaków jest jego żołnierzami, ilu handluje, prowadzi gorzelnie, bary i kluby? A kierowcy? Wiesz pan, ile zarabia zwykły kierowca, a ile szofer, który wozi alkohol dla butlegerów?

– No właśnie, ile zarabiał twój ojciec i czy jego śmierć warta była tych pieniędzy?

Ronald Kennedy skulił się w sobie, Heniek myślał, że może się nawet rozplącze, ale szybko się pozbierał i wypalił:

– A gdyby pracował w rzeźni, dokach albo fabryce, to może zdechlibyśmy z głodu, a on sam zapracowałby się na śmierć? Nie był frajerem, spróbował!

– A czemu ty nie spróbowałeś?

– Pewnie, że bym spróbował, ale jestem za młody, poza tym nie jestem frajerem! Wyczekałem na dobry moment, wujek Kunicki spotkał pana i tak się zaczęła moja wielka kariera, co nie?

– Na razie sprzedałeś mi bilet, a do tego nie możemy dojść na miejsce.

– Spokojna głowa, ważne, że weszliśmy na stadion, a później na trybunę. Bilety skasowane, klienci, znaczy się my, wpuszczeni.

Rozmowę przerwało kolejne falowanie tłumu, szli dalej, przepychając się i patrząc w kierunku ringu.

– Ooo, niech tylko szef zobaczy – Ronald zgrabnie zmienił temat. – Znow się podniósł Al Capone! Stoi teraz tyłem do ringu i coś krzyczy. On jest wielkim fanem Dempseya, mówią, że jak była poprzednia walka, to postawił na niego pięćdziesiąt tysięcy dolarów!

– Ile? – Heniek nie mógł uwierzyć.

– Pięćdziesiąt, myślałem, że to prawie niemożliwe, ale tak było! Wie szef, ile on zarabia? Miliony!

Od strony, gdzie siedział Al Capone, znow się coś zakotłowało, ktoś krzyknął, ktoś odpowiedział, a głuchy telefon przynosił po trybunach wiadomości.

– O co chodzi? – zapytał Heniek.

– Mówią coś o sędziach! – odpowiedział Ronald. – Bali się, że Al ustawi walkę, i w ostatniej chwili zmienili sędziego! Miał być Davy Miller, a wzięli Dave'a Barry'ego. Ale numer! Podobno Al się śmieje, że boją się go nawet na ringu.

Dalszą wymianę informacji przerwał ryk tysięcy gardeł, do ringu zbliżył się człowiek w rękniku zarzuconym na gołe ramiona.

– To Jack Dempsey, to Jack Dempsey – ryczał Ronald, a wraz z nim cały stadion.

Tymczasem Dempsey wszedł na ring i przywitał się z ludźmi, którzy na niego tam czekali. Za chwilę stadion znow ożył.

Nie było już człowieka, który by nie stał. Wiwatowano, wznoszono do góry ręce, niektórzy machali programami, inni czapkami i kapeluszami. Uniesienie było takie, jak wtedy, gdy Heniek wchodził z Marszałkiem do Kijowa. Przy okazji wyglądało na to, że są już na swoich miejscach. Heniek myślał, że przysiadzie, ale nic z tego, ludzie byli jak w amoku.

– To Gene Tunney! – wrzask Ronalda o mało nie rozsadził Heńkowi uszu.

– Przecież wiem, że nie Charlie Chaplin – odkrzyknął Wcisło. – Skoro tamten był Dempsey, to ten musi być Tunney!

Krótki wykład z logiki nie zdał się na nic, Ronald dalej darł się jak opętany.

– On jest niepokonany, niepokonany – wrzeszczał, pokazując palcem na Tunneya, który chodził po ringu w szlafroku. Czempion był elegancki i nonszalancki zarazem. W swej nonszalancji poruszał się sprężysto, podawał rękę, kłaniając się, ale drugą miał schowaną w kieszeni szlafroka.

– Elegancki gość ten Tunney, co nie? – W uchu Heńka znów rozległ się świdrujący głos Ronalda. – Grał w kinie, rok temu wystąpił w filmie, którego bohater był niczym on sam[13]. Dempsey też jest aktorem i to od wielu lat!

Światła nad ringiem rozbłysły jeszcze mocniej i jeszcze mocniej dała o sobie znać publika. Gdyby Heniek nie słyszał z bliska lawiny, gdyby nie był na liniowcu, który tnie przez ocean, nie miałby, z czym porównać tego, co może ponad sto tysięcy gardeł. Ludzie co prawda nie krzyczeli, ale wystarczyło, że mówili i gwizdali, a robił się niezwykły szum. Oni siedzieli w połowie wysokości trybun, a uszy i tak przewiercał niepokojący dźwięk, a co czuli ci siedzący na płycie boiska i pod ringiem, co docierało do samych bokserów?

Taka atmosfera musiała być w Koloseum, pomyślał Heniek

i spojrzął na kolumnady zdobiące stadion, tylko że wtedy przegrany nie miał prawa do rewanżu, najczęściej zaś nie miał nawet prawa do łaski. Tu pięściarze dzielili między sobą nadzwyczajne dochody, byli ustawieni do końca życia.

– Dempsey to ten w ciemnych spodenkach
– podeksycytowanym głosem krzychał Heńkowi do ucha Ronald.
– Ciekawe, za kim będzie publika, zdania są podzielone, wielu lubi starego mistrza, ale na pewno weterani trzymają za Tunneyem.

Nim Heniek zdążył o coś zapytać, jakiś gość stojący za nimi wydarł się:

– *C'mon, Marine! C'mon.*[14]

Ronald szybko wyjaśnił:

– Gene Tunney służył w czasie wojny w piechocie morskiej, dlatego ma ksywkę Marine, a Dempsey migał się przed wojskiem, często mu to wypominają.

Emocje narastały, Heniek wyciągnął papierosy, przypasowały mu fajki marki Lucky Strike, też ulubione Ronalda. Na widowni byli niemal sami mężczyźni i niemal wszyscy palili, więc nad Soldiers Field unosiła się mgiełka pary i dymu wypuszczanego z płuc ponad stu tysięcy ludzi. Był wieczór i temperatura spadła na pewno poniżej dziesięciu stopni. Nikt jednak nie był zmarznięty, wszystkich rozgrzewała myśl o pojedynku, który zaraz miał się rozpocząć.

W końcu rozległ się gong i pięściarze ruszyli na siebie. Wyglądało na to, że Dempsey jest żądny rewanżu i chce załatwić sprawę jak najszybciej. Były czempion rzucił się na Tunneya z wielką mocą i agresją, ale ten nie pozostawał dłużny, choć ograniczał się do spokojnego punktowania. Sprawiał wrażenie, jakby się czał, jakby dawał się Dempseyowi wystrzelać.

– Ale się dzieje! – wył Heńkowi do ucha Ronald.

– Dempsey naciera, ale Tunney nigdy jeszcze nie przegrał między linami!

– Ronald, zamknij wreszcie tę swoją jadaczkę!

– odkrzyknął Heniek. – A przynajmniej nie pleć bzdur, Tunney przegrał pięć lat temu! – Mówiąc to, Heniek wyciągnął z kieszeni program walki i wskazał palcem na miejsce, gdzie było napisane: 23 maja 1922, porażka z Harrym Grebem w piętnastorundowej walce. Decyzja sędziów.

– Decyzja sędziów, decyzja sędziów – odpyskował Ronald.

– Ale on nigdy nie leżał na deskach! Nigdy!

Tak minęło sześć rund i wtedy, w siódmym starciu, stało się coś, czego ludzie oglądający walki Tunneya wcześniej nie widzieli. Dawny czempion ruszył do ataku. Fighting Marine zablokował jego prawy cios, ale lewy był celny. Tunney poczuł trafienie, stracił równowagę i się odsłonił. Lewy zamachowy dał Dempseyowi możliwość rozpoczęcia siedmiostrzałowej serii. Po ostatnim ciosie czempion osunął się groteskowo w dół, lewą ręką próbował się chwycić lin, ale siadał coraz niżej, aż w końcu jego plecy dotknęły desek ringu. Elegancki Marine wyglądał teraz śmiesznie i nieporadnie. Próbował dźwignąć z ziemi tułów, mając cały czas stopy ustawione na ringu, wyglądało to tak, jakby podeszwy były przyklejone do dech i tylko dlatego Dempsey nie wysłał go swoją serią poza liny. Wydawało się, że to koniec, że Jack Dempsey odzyska utracony pas, a Gene Tunney po raz pierwszy zejdzie z ringu pokonany przez nokaut. Sędzia podszedł do leżącego, a wraz z nim Dempsey, tak jakby z bliska chciał zobaczyć, jak kończy jego rywal. Sędzia odsyłał Jacka Dempseya do narożnika, ale ten próbował go minąć, by stanąć nad Tunneyem.

– Sędzia, licz go!

– Tunney znokautowany!

– Koniec, koniec! – darli się kibice Dempseya.
– Co on robi? – krzyknął Heniek.
– Kto? Sędzia? – wrzasnął mu do ucha Ronald.
– Nie, Dempsey! Sędzia odsyła go do narożnika, takie są przepisy. On musi stać daleko od rywala, inaczej sędzia nie może zacząć liczyć!

Minęło ładnych parę sekund, zanim Dempsey zrozumiał, że ma się oddalić, tymczasem jego rywal nadal leżał na deskach jak na jakiejś otomanie i wydawało się, że nie wstanie już do dalszej walki. Sędzia zaczął go liczyć i nawet niektórzy kibice Dempseya już żalowali, że widowisko jest skończone.

– Sześć, siedem, osiem, dziewięć – liczono razem z sędzią. Wtem Gene Tunney się podniósł i na „dziesięć” był już na nogach. Tłum zafalował, zwolennicy pięściarza wydali radosny okrzyk, reszta pomruk zdziwienia i rozczarowania. Najbardziej zdziwiony musiał być Dempsey, który był pewny, że rywal nie wróci już do walki.

– Ten Tunney ma łeb na karku! – krzyknął do Ronalda Heniek. – Przeczekał spokojnie kilkanaście sekund, które dali mu sędzia i przeciwnik. Odpoczął i ma szansę przetrwać rundę do końca.

Heniek miał rację, mimo że Dempsey ruszył do przodu, by dobić przeciwnika, ten jednak miał już najgorsze chwile za sobą. Tunney, wspaniale poruszając się po ringu, trzymał dystans, a gdy Dempsey w końcu go dopadł, sklinczował.

– Wykończy go w ósmej albo góra dziewiątej! – darł się Ronald.

Podobnie uważało wielu innych.

Heniek jednak pokręcił przecząco głową.

– Nie znam ich, ale Dempsey jest troszkę starszy i sam mówiłeś, że wygrywał z reguły przed czasem. Jego atutem jest

siła, to widać, ale Tunney więcej myśli, jest jak szachista, ma plan na walkę, a do tego jest szybki. Zwróć uwagę na jego pracę nóg! Może się okazać, że Tunney zamęczy go w ostatnich rundach, bo Dempsey nie umie już boksować na pełnym dystansie.

Heniek wiedział, że boks to nie tylko mocne ciosy i technika, to także odporność i kondycja, a wyglądało na to, że Tunney miał jedno i drugie. W ósmej rundzie Fighting Marine trafił Dempseya lewym prostym, po czym poprawił prawym sierpem. Cios wytrącił Dempseya z równowagi i to go uratowało. Serię kończył lewy zamachowy, ale Tunney minimalnie przestrzelił, nie przewidział, że Jack Dempsey runie na twarz jak długi. W kolejnych rundach już było wiadomo, że Ameryka ma nowego bohatera, że Gene Tunney obroni tytuł, a Jack Dempsey nie zasiądzie z powrotem na tronie. Werdykt sędziów był jednomyślny i dał wygraną Tunneyowi.

– No i Al znów jest z pięćdziesiąt tysięcy do tyłu – podsumował walkę Ronald. – A swoją drogą to szef zna się na boksie jak mało kto. Ja też boksuję, a szef?

– Kiedyś to robiłem. Są tu jakieś kluby?

– Dla pana tak!

– Jak to dla mnie tak, bo drogie? Uważasz, że można ze mnie zedrzeć pieniądze?

– Nie, że irlandzkie – uśmiechnął się Ronald. – Mówię po polsku i matkę mam Polkę, ale nazwisko, ryży łeb i ojca z Irlandii. A boks uprawia się tu tylko w irlandzkich klubach.

– Boksowałem z Żydami, mogę i z Irlandczykami – wyduł wargi Heniek. – W czym problem, ja nie widzę żadnego!

– Problem, szefie, w tym, że do irlandzkich klubów wstęp mają tylko Irlandczycy! – Ronald Kennedy uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „Hej, boss, tu cię mam i zatańczysz

tak, jak ci zagram”. Po chwili jednak zmienił minę z hardej na przymilną i wyjaśnił: – No bo rozumie szef, jak już szef będzie moim szefem, to znaczy jak szef mnie zatrudni, to będziemy jak rodzina, a wtedy ja mogę przedstawić szefa w klubie jako wujka z Polski, matki brata szwagra stryjka! Wszystko da się załatwić.

Szczeniak ubawił Heńka serdecznie, może dlatego, że na każdym kroku przypominał mu przyjaciela z dzieciństwa Antka Bożyczkę. Miał już na końcu języka: „To załatwione, mały, robisz u mnie”, ale postanowił być twardy. Lepiej być twardym, niż potem żałować, że się miało miękkie serce.

– Słuchaj, młody, musisz poczekać, bo ja na razie nie jestem żadnym szefem.

– To się wie, szef przejmuje firmę w grudniu!

Ten szczeniak na wszystko miał odpowiedź.

– Nie to miałem na myśli, zastanawiam się, czy wiesz, co jest najważniejsze.

Chłopak słuchał, a jego twarz dalej wyrażała bezgraniczną pewność siebie.

– Wiesz, co najbardziej cenię w ludziach?

– Spryt? – ucieszył się Ronald, a widząc, że Heniek kręci głową, dodał szybko: – Odwagę?

– I to, i to jest ważne, ale najsampierw liczy się dla mnie lojalność. – Mówiąc to, spojrzał chłopakowi głęboko w oczy.

– Ja muszę ufać tobie, a ty musisz zaufać mnie, inaczej to wszystko nie będzie miało sensu. Kapujesz?

– Że co? – Ronald mówił po polsku, ale niezbyt biegle, więc nie mógł znać warszawskiego powiedzonka.

– To w moich stronach znaczy, czy rozumiesz, inaczej – kapewu?

– Rozumiem – odpowiedział niepewnym głosem rudzielec Kennedy.

– Więc teraz odpowiedz mi, dlaczego bilety były takie drogie?

– No bo od konika!

– Od najdroższego w mieście. W pracy słyszałem, że było drogo, ale że nie aż tak.

– No coś musiałem przyciąć, ale jak mówiłem, żeby być pana przewodnikiem!

– Dlatego zapłaciłem trzy razy tyle?

– No, nie dlatego, a różne koszty, na taksówkę, żeby przywieźć i odwieźć szanownego szefa...

– Droga ta taksówka, zwłaszcza że na stadion płaciłem ja!

– Ma się rozumieć, z powrotem płacę ja, no i już mogę zwrócić pieniążki za tamten kurs.

Ronald wyciągnął z kieszeni dziesięć dolarów.

– To wszystko?

– Ale później jakaś zabawa, co nie?

– Słucham?

– No whisky, jazz i panienki. Chce pan przecież poznać miasto, no i ma się rozumieć, chcesz się pan rozerwać, nie wyglądasz pan na naiwniaka.

Bezczelność Ronalda Kennedy'ego przekraczała wszelkie granice, ale chłopak wciąż go bardziej bawił, niż denerwował.

– Nie jestem frajerem, to fakt, więc po pierwsze wiedz, że panienek nie organizują mi jakieś szczeniaki, a po drugie bilet z takim przebicciem załatwiłbym sobie sam!

Ronald popatrzył na niego z wyrzutem, ale jednocześnie z uległością. Wiedział, że przegrał.

– Okay, niech stracę, to stówka za bilet, ma szef rację, skoro dla pana pracuję...

– Jak będziesz wobec mnie lojalny, to na pewno tak.

– Szefie! – ryknął rozpaczliwie Ronald.

– Sądzę, że nie do końca jest tak, jak mówisz – powiedział spokojnym tonem Heniek i położył mu dłoń na ramieniu.

– W poniedziałek spotkamy się podczas przerwy obiadowej u twojego wuja, a wtedy zobaczymy, czy ufamy sobie wzajemnie. – Chłopaka wyraźnie obleciał strach. – Nic strasznego nie będzie się działo – uśmiechnął się Heniek. – Ja ufam tobie, że powiesz mi prawdę, a ty będziesz wierzył, że nawet jeśli ta prawda nie będzie dobra, to ja przyjmę cię do roboty.

Twarz Ronalda Kennedy’ego zrobiła się czerwona bardziej niż jego włosy.

– Bardzo chciałbym, żebyśmy razem pracowali, chłopaku.

– Podał Ronaldowi rękę na do widzenia i rzucił jeszcze:

– Pamiętaj, zaufanie ponad wszystko, jakby powiedzieli Niemcy, *über alles!* Spotykamy się dwudziestego szóstego września tam, gdzie mają najlepsze kiełbasy w Chicago, wierzę, że będziesz! To już w poniedziałek – dodał i klepnął go na do widzenia w ramię, po czym pozostawił oniemiałego na środku ulicy.

Był pewien, że w swoim życiu Ronald Kennedy nie przeżył jeszcze takiego wieczoru i że przez najbliższych kilkadziesiąt godzin będzie miał twardy orzech do zgryzienia. On sam też, bo w tej chwili nie wiedział, czy ktoś z takim charakterkiem jak Ronald jest mu potrzebny. Na dwoje babka wróżyła.

CZEŚĆ DRUGA

CHŁOPCY Z FERAJNY

Floryda, Miami, 21 kwietnia 1986

Ostatni blok reklamowy przed programem *Tajemnica krypty Ala Capone*

Nareszcie skończył się blok reklamowy i rozpoczęła się transmisja z hotelu Lexington. Przez dwie godziny programu na żywo widzowie musieli podążać za ekipą, która w finale miała dotrzeć do tajnego pomieszczenia należącego do gangstera wszech czasów Ala Capone. Czy tak będzie? Dokumenty, trupy czy niewyobrażalne skarby?

Na ekranie ukazał się wąsaty Geraldo Rivera, czterdziestoparoletni brunet ubrany w ciemną, krótką kurtkę ze stójką. Miała ona podkreślić, że nie jest sztywniakiem ze studia, tylko kipiącym energią reporterem, który odsłoni tajemnice słynnego gangstera. Pod sportową kurtką były koszula i krawat, tak dla dodania powagi. Rivera miał uśmiech, z którym spokojnie mógłby reklamować kondomy, i głos, jakiego mogliby pozazdrościć ringowi anonserzy i aukcjonerzy.

Geraldo zatrajkotał na dzień dobry, po czym poleciała czołówka – piękny film przedstawiający Lexington Hotel z lotu ptaka, a podniecony głos lektora przypominał, że program nadawany jest na żywo i kto jest jego sponsorem. Później nawijał o czasach, gdy z luksusów hotelu korzystali ci, co nie pękali i brali sprawy w swoje ręce. Kretyńska osiemnasta poprawka odebrała ludziom alkohol, więc trzeba było im jakoś pomóc i przy okazji dobrze zarobić. Ale tam, gdzie są wielkie i do tego nielegalne pieniądze, zaczyna się wojna. Nie można wtedy być samotnym jeźdźcem, trzeba należeć do ekipy i mieć wsparcie, inaczej można zostać zimnym trupem. Na ekranie pojawiły się scenki z chłopakami w kapeluszach, uzbrojonymi

w maszyn gany. Działo się wtedy, oj działo. Ale kto nie ryzykował, ten nie miał szmalu.

„Prezydent” znów pociągnął łyk piwa i nagle poczuł problemy z hydrauliką. Poczuliby je nawet gówniarz z nowiutkimi nerkami i prostatą. Każdemu pękłby pęcherz od takiej ilości piwa; pierwsze na pół godziny przed programem, drugie przed czołówką, trzecie w trakcie niej, czwarte teraz. Lekarz i żona narobiliby hałasu, że alkohol. Jaki alkohol? W czasie prohibicji pompowało się do takich szczyń bimber, żeby nabrały właściwej mocy. Jakiegokolwiek by to piwo było, to nacisk na pęcherz czuł coraz większy. Nadusił na pilocie głośność niemal na maksimum i pokolebał się do toalety. Trudno, przecież się nie zleje w gacie, był w życiu w nie lada opałach, a portki zawsze miał suche. Gdy stanął przy drzwiach od łazienki, Geraldo zaprosił na przerwę. To się nazywa mieć timing, gdyby Jack Dempsey go miał...

VI

Jak to się robi w Chicago

Heniek wracał z walki oszołomiony, to było widowisko, jakiego jeszcze nie oglądał. Nawet w cyrku na Okólniku nie było takich emocji. Teraz tylko brakowało mu do szczęścia tego, by z jakąś fajną ferajną uderzyć w gaz. Ale tu nie było ani znajomych, ani gazu. Ameryka to podobno wolność. Gówno prawda! Nie można się napić, a do tego dymasz w jakimś popapranym interesie, którego sensu i sposobu działania nie możesz pojąć. Jeśli mógłby porównać tego cholernego Magatha do kogoś, to tylko do inżynierka Hoflandera, który go ścigał w fabryce kas o byle co. Hoflander miał przynajmniej powód, bo po prostu Heńka nie lubił, no i był dupkiem i nieudacznikiem. Felix Magath czepiał się i był do bólu akuratywny oraz uparty, ale przynajmniej miał wyniki. Hoflander mógłby położyć na łopatkę każdy interes, ale ten stary kutwa Magath zarabiał dla firmy pieniądze i miał z tego porządny procent. Heńkowi za prowadzenie Iron Castle ludzie z Eisenschlossa także obiecali procent, ale będzie miał z tego figę z makiem, a nie pieniądze. Magath wyjedzie, a on położy ten interes w try miga. Nic, tylko się urżnąć.

Z kim, jak i gdzie? Ten gówniarz Ronald znał na pewno odpowiednie adresy, ale z nim nie mógł iść na gorzałkę. Taki rudzielec to być może jego przyszły pracownik, oczywiście o ile przyzna się do tego, że go skrzył na biletach. Polubił szczyła, ale ten z miejsca musiał go naciąć na kaskę. Wyczuł to, a jak walnął w stół, to nożyce się odezwały. Chłopak się przyznał, że był wałek, ale nie taki duży. I tak dalej, i tak dalej, farmazon. Jak chce u niego działać, to ma być lojalny, żadnego kręcenia i cwaniakowania. Przypominał mu Antka Bożyczkę, więc

z jednej strony zdenerwował go, a z drugiej wzbudzał sympatię. Na pewno przydałby się Heńkowi już teraz, z rudym Ronniem na pewno szybko wydostałby się z tego galimatiasu, ale przecież wziął się na ambit i pogonił gówniarza do domu, żeby mu pokazać, że da sobie radę bez niego. No i daje sobie, jak cię mogę, posuwając się w tłumie noga za nogą, jakby szedł w kondukcje za trumną.

Nie bardzo wiedział, gdzie się obrócić, więc dał się ponieść nurtowi ludzkiej rzeki, co wylewała się ze stadionu. Pewnie wszyscy walili w kierunku kolejki, ale przecież nie ma takiej kolejki, która by ich pomieściła. Sto, a może i więcej niż sto tysięcy ludzi strawi z pół nocy na czekaniu na pociąg lub na wałęsaniu się po okolicy. Przekichane i tyle!

Wtem ktoś go chwycił za rękaw.

– Nie wiedziałem, Heinrichu, że lubisz boks. – Obok stał Felix Magath i śmiał się jakoś dziwnie.

– Lubię – odparł Heniek. Pojawienie się znajomej osoby tylko na moment poprawiło mu humor. Każdy, tylko nie Magath!

– Ha, ha, ha, to dobrze! – zarechotał Niemiec. – Zatem zorganizujemy kiedyś twoją walkę z którymś z braci Hrubeschów!

Heniek burknął coś pod nosem, bo wizja bijatyki z gośćmi, z których każdy był potężniejszy od Tunneya i Dempseya, nie była tym, czego teraz potrzebował. Teraz marzył o tym, żeby uderzyć w gardziółko czymś konkretnym albo po prostu szybko i bezszmerowo znaleźć się w norze nad składem i pójść spać.

– Żartowałem. – Magath był w doskonałym nastroju.

– Dokąd oni wszyscy idą?

– Do Near South Side, zapełnią tam wszystkie lokale, inni walą do The Loop, jakieś dwie mile stąd. Za trzy kwadrans tam

dotrą i nie będzie gdzie włożyć szpilki, w tym samym czasie ci, którzy się dopchają do kolejki jadącej na południe, dojadą do murzyńskich klubów na The Stroll, a my... – Magath sięgnął nagle do wewnętrznej kieszeni marynarki – nie będziemy tracić czasu. Jest już jesień, Heinrichu, trzeba coś kropnąć dla zdrowia!

– Oczom Heńka ukazała się sporych rozmiarów piersiówka. Nie mógł uwierzyć, stary kutwa Magath wracający z bokerskiej walki i częstujący alkoholem!

– Jesteś nietrunkowy, Heinrichu? – zaśmiał się Felix, po czym zmienił ton na niemal rozkazujący. – Pijesz czy nie? Pospiesz się, niby wszyscy piją, ale w końcu jest to nielegalne.

Heniek pociągnął solidnego łyka. Zapiękło go w gardle, niezła nafta, nie ma co! Ani się obejrzał, wypił wszystko do końca, zapowietrzając się na finał jak silnik, który ciągnie z pustego baku. Tak na dobrą sprawę to był tylko solidny łyk, bo piersiówka, którą mu podał Magath, była już prawie pusta.

– Spokojnie, spokojnie, panie Haas! Ten wieczór jeszcze się nie kończy. Jestem za dwie godziny umówiony... na bardzo ważne rozmowy, oczywiście biznesowe. Mamy chwilkę, wpadniemy więc do miłego lokalu na North Side! Czeka na nas taksówka, w niej strzelimy sobie po kielichu!

Heniek oniemiał, trzy tygodnie znajomości z Felixem Magathem nie wskazywały na to, że kiedykolwiek dojdzie do takiego rozwoju wypadków! Taryfą, w której kierowca miał skitraną małą piersióweczkę, zajechali do jakiejś knajpy.

– Mają tu alkohol? – zapytał Heniek.

– Oczywiście, że nie! – zapiał Magath.

Gdy weszli do środka, obsługa pilnująca pustawej sali wyraźnie się ożywiła, a kierownik sali poprowadził ich w kierunku drzwi na zapleczu. Ciec wystukał na drzwiach jakiś rytm, po chwili w drewnie uchyliła się klapka, a z niej łyknęła

para oczu. Cerber zlustrował ich uważnie, po czym szczęknęły otwierane zamki. Drzwi stanęły otworem, a na progu zmaterializowało się gigantyczne indywiduum.

– Trzeba było mówić, że pan Magath! Witamy!

Minęli człowieka górę, a Heniek aż sapnął.

– Co to, trzeci bliźniak?

– Raczej pierwszy, jeśli masz na myśli Hrubeschów.

Zniszczyłby ich w sekundę!

Pokluczyli korytarzykami i weszli do sali, w której tak nadymiono, że można byłoby w powietrzu powiesić siekierę.

– Tam nie było alkoholu, ale za tymi drzwiami jest

– triumfalnie oznajmił Magath. – A teraz pijemy, Heinrichu, pijemy, ale nie śpiewamy! Ten przybytek, jak się domyślasz, jest nielegalny i nazywa się tak jak inne sympatyczne budy: Spikies. To oznacza ni mniej, ni więcej, by zachowywać się cicho, gadać szeptem i robić swoje, czyli pić!

Ledwo przysiedli, na stół wjechała butelka whisky.

– Kanadyjska, na tym nie oszczędzam, bo nie chcę pójść do okulisty – Magath zaryczał głośnym śmiechem, za który od razu przeprosił barmana. – Prohibicja ma swoje ofiary, giną gangsterzy, kierowcy i... klienci. Alkohol nie zawsze jest kryształowo czysty. Jak tylko śmierdzi, to pół biedy, ale kilkaset osób rocznie ciężko się truje, są nawet tacy, co ślepną, a wielu umiera, ale my pijemy dla zdrowia. Prosit! – Wzniósł do góry szklaneczkę z bursztynowym napojem.

Heniek nie mógł uwierzyć, Magath whisky pił tak, jakby łykał kompocik. Po trzech kwadransach od wejścia do knajpy zrobili się na perłowo jak nieboskie stworzenia.

– A teraz chwilka przerwy, Heinrichu – uśmiechnął się pod pruskimi wąsikami Felix Magath. – Idę odcedzić kartofelki, jak wrócę, to dam ci jeszcze jedną instrukcję i wypijemy

pożegnalnego drinka. Oczywiście tylko na dziś, bo jutro rano widzimy się w pracy!

Ciekawe, co to mogło być? Pewnie jakiś genialny pomysł związany z dyscypliną, oszczędnością albo inny szajs. Heniek wypił wzmacnianego wódką piwa i pomyślał sobie, że ten cholerny pruski żandarm łamie wszystkie swoje zasady. Nie dość, że pije, to jeszcze w czwartkowy wieczór, więc nazajutrz obaj spotkają się na ciężkim kacu. Na pewno jak Magath wróci z ubikacji, przypomni swojemu Heinrichowi o robocie. Może tak zrobić, proszę bardzo, bo Heniek czuł, że za chwilę będzie pod dobrą datą. Teraz musi jeszcze cierpliwie wysłuchać gderania *Herr* Magatha, po czym wypiją rozchodniaczka. Ale stary kutwa nie wracał. Zjawił się dopiero po jakichś dziesięciu minutach, kolebiąc się jak pingwin. Prawą ręką dopinał spodnie, a lewą przeczesywał resztki włosów. Minę miał zadowoloną, jakby przy sedesie spotkało go coś wesołego. Idąca za jego plecami panienka rzuciła mu jakąś uwagę, a on zaśmiał się głośno. Usiadł naprzeciw Heńka i zamiast zacząć truć o pierdołach związanych z robotą, pstryknął palcami na kelnera.

– Panie starszy! – rzucił. – Szampana!

Heniek o mało nie spadł ze stołka, szampan potrafił kosztować wielkie pieniądze! Może to jakiś gazowany sikacz?

– Prawdziwego ma się rozumieć! – Magath rzucił w stronę kelnera dwudziestodolarówkę, czym po raz kolejny tego wieczoru zaskoczył Heńka. Ten, nim ochłonął, usłyszał odpowiedź kelnera:

– Oczywiście, przecież pan innego nie zamawia, panie Magath!

W ciągu ostatniej godziny Heniek dowiadywał się o swoim drętwym szwabskim szefie coraz ciekawszych rzeczy!

Kelner otworzył z fasonem butelkę i nalał pieniący się płyn

do kieliszków.

– Prawdziwy, francuski – zachwalał *Herr* Magath. – Za nasze zdrowie i za przyszłość!

– Wiem, poznaję – powiedział Heniek po pierwszym łyku.
– Za zdrowie!

– Taki z ciebie znawca szampana?

– Piłem go przez prawie tydzień na Majesticu...

– Raczej na Bismarcku – zasępił się *Herr* Magath. – Ale nieważne, liczy się, że niedługo ja wyjeżdżam, a ty zostajesz i każdy z nas zaczyna nowe życie.

Pamiętliwy szkop, pomyślał Heniek. Faktycznie Majestic był kiedyś Bismarckiem, pływającą dumą Niemców i ich kajzera. Po przegranej wielkiej wojnie został sprzedany Anglikom i przechrzczono go na Majestica. To musiało Niemców boleć, tak miało być.

– Ale to dopiero za dwa miesiące z lekkim okładem – zauważył Heniek, choć jego głowa coraz mniej nadawała się do rachunków.

– Myślę jednak, że dałbyś radę nawet jutro! – zaśmiał się Magath.

Herr Firmen wzniosł kieliszek i wychylił go ze smakiem.

– Pan mnie chyba przecenia. Mam pewne doświadczenie w tym zakresie, ale tu w Chicago muszę się jeszcze sporo nauczyć. – Alkohol wydobył z Heńka pokłady zupełnie niepotrzebnej szczerości.

– Wielu rzeczy o sobie nie wiemy. – Magath uśmiechnął się tajemniczo. – Ty na pewno nie jesteś tym, kim masz być. Nie rozgryżłem cię, chłopaku, ale polubiłem.

Herr Felix miał jeszcze coś powiedzieć, ale chyba zapomniał, alkohol wpływał nie tylko na umysły. Teraz to Heniek wykonał marsz do toalety, po drodze dziwka, która

zagadywała Magatha, zaproponowała, że może mu pottrzymać, a jak się wysika, to i nie tylko pottrzymać. Pogonił ją i zaczął się zastanawiać, czy czasem jego szef nie skorzystał z tej subtelnej pomocy. Załatwił się bez przygód i wsparcia płatnej siły fachowej, po czym wrócił do stolika.

– Twoje zdrowie, Heinrichu! – ryknął Magath. – Cieszę się, że wkrótce wracam do Berlina, a jeszcze bardziej z tego, że jesteś właściwym człowiekiem na właściwym miejscu!

– *Herr Ober!*...

– *Žaden ober, żaden szef, żaden boss.* – Magath chwycił go za ramiona, a zlana potem pożyczka z rzadkich włosów odkleiła się od czaszki i opadła aż na nos. – *Mein lieber Heinrich!* Mów mi Felix!

Po trzech tygodniach nudy i sztywniactwa Felix Magath niespodziewanie pokazał swe ludzkie oblicze. Okazało się, że ma słabości i też potrafi wypić. Rozkręcił się i zaczął nawijać o swoim życiu. Kiedyś pił tak dzień w dzień, ale się opamiętał. To picie było przez wojnę, okopy, śmierć i strach przed nią. Wszedł z wojska poważnie okaleczony, a później w cywilu robił wszystko, by prowadzić spokojne, bezpieczne życie. Heniek doskonale go rozumiał, bo ileż razy marzył o tym samym, ileż razy zapowiadał sobie zmianę. Ale nie wychodziło, bo i on, i los chcieli inaczej. Teraz się uparł, bo postanowił, że wygra z przeznaczeniem. Dzięki temu wytrzymał te trzy parszywe tygodnie w pruskim drylu Magatha. To wszystko było bezsensowne, ale tylko z pozoru, to miało jakiś sens, inaczej Magath nie robiłby na tym dobrej forsy.

– Czuję, Heinrichu, że jesteś obrotny. Poznaję to po tym, o co pytasz! – zaśmiał się. – Dobrze kombinujesz, dobrze!
– Magath wznosił kolejny toast. – Nie sądziłem, że tak dobrze to wytrzymasz, no bo to wszystko faktycznie wygląda na sprawę

bez sensu. Zrozumiesz jednak, że nie. – Zachichotał, jakby był nieco szalony. – Zrozumiesz! – To mówiąc, klepnął go w plecy z siłą, o jaką Heniek go nie podejrzewał.

Znów wzniesli toast, a Felixa Magatha jakby nagle olśniło.

– A co cię tak właściwie przygnało do Niemiec, a później tu, do Ameryki? Już dawno miałem cię o to zapytać, Heinrichu.

– Ciekawość.

– No to za ciekawskich! – ryknął Magath.

Wypili i nie zanosilo się na to, że szybko nadejdzie koniec.

– Posłuchaj mnie – szepnął Magath. – Wszystkie moje najważniejsze kwity ma pastor Luttmann. To u niego jest moje archiwum. – Był tym wyraźnie rozbawiony. – Czego nie zrozumiesz, znajdziesz tam. Jacob Luttmann to poczciwy człowiek, wie, że ma ci wydać kwity. Wsparłem go solidnymi datkami, a nikt inny nie ma pojęcia o tym, co trzyma u siebie w domu. To nasza mała tajemnica, ja, pastor i ty!

– A Hrubeschowie?

– Broń Boże! – zachnął się Magath. – Te dwa draby są głupie jak but i jedyne, o czym potrafią mówić, to podwyżki, a przecież płacę im wyśmienicie! W dupach im się przewracało! – zaśmiał się złośliwie i w tej chwili jak na zamówienie do lokalu wszedł Hermann Hrubesch i jeszcze jeden gość.

Heniek widział go już dzisiaj, jak rozmawiał w składzie z Magathem. Nazywał się Bernard i choć nie tak potężny jak Hrubeschowie, to z pewnością nie był typem faceta, którego normalny ojciec zażyczyłby sobie na zięcia. Ubrany w ciuchy, co nawet z daleka wyglądały, jakby kosztowały połowę rocznej pensji Heńka. Trudno go było nazwać elegantem, raczej bandziorem, który zrobił skok na dobrego krawca i w pośpiechu dobrał sobie ubranie.

– Świątujemy pierwszy miesiąc pracy Heinricha!

– Jakby było co świętować – burknął Hermann. – A poza tym o tydzień za wcześnie.

– Jakby to był ostatni miesiąc... – dopowiedział Bernie – to co innego. Ale to się zawsze da zrobić! – Pokazał wymownym gestem na szyję i zaśmiał się ze swojego mało wyszukanego żartu.

– Panie Vogts, Hermannie, Heinrichu! – Magath podniósł głos, po czym zrobił dobrotliwą minę. – Ja stawiam!

– Prosit! – pojednawczo powiedział Hermann.

– Prosit! – dodał Bernard.

– *Cheers!* – Heniek wznosił swoją szklankę.

– No, brawo! – ucieszył się Magath. – Robisz postępy, robisz postępy.

Wypili po kolejce i Magath jakby się usztywnił.

– Hermannie i Heinrichu, już nic tu po was, jutro czeka robota! Weźcie resztę wódki i wypijcie z Jürgenem za moje zdrowie.

Tak, to zdecydowanie był sygnał do odwrotu. Hermann błyskawicznie ściągnął flaszkę ze stołu, pożegnali się i opuścili lokal. O tej porze wchodziła w grę tylko taksówka, ale gdy doszli do samochodów czekających przy krawężniku, Heniek nie wsiadł do taryfy razem z Hrubeschem.

– A ty co, dokąd to? – zapytał bliźniak, widząc, że Heniek idzie do innego pojazdu.

– A ja... – Coś musiał wymyślić. – Mam jedną ciepłą wdówkę...

Hermann zarechotał. Dziwka, wdówka, siostra żydowskiego sklepikarza, a nawet młodziutka córka pastora, każde dobre rżnięcie budziło szacunek i było dobrą wymówką.

– To idź i się spraw – Hermann wykonał parę

obscenicznych gestów i się zaśmiał. Na pewno wizja rozpicia flaszki bez udziału Heńka poprawiła mu humor. – Jedna gęba mniej, wypijemy z braciszkiem za ciebie.

Heniek pomachał ręką za odjeżdżającą taksówką, po czym wsiadł do następnego samochodu i łamaną angielszczyzną zaordynował:

– Czekać, długo tu czekać.

Kierowca wybałuszył oczy. Zlecenie dziwaczne, angielski pasażera też nie z tych normalnych. Heniek pomógł rozmowie, wyciągając pięć dolarów.

– *Half* – wyjaśnił kulawą angielszczyzną. – *Another five for you if you will wait. Okay[15]?*

– Okay – odrzekł kierowca, po czym uśmiechnął się i odjechał na bezpieczną odległość.

Spryciarz, pomyślał Heniek. Tu nie będę się rzucać w oczy.

Czekali z godzinę, częstując się papierosami, ale nie rozmawiając. Angielski Heńka nie był nawet tak dobry, by konwersować choćby z taryfiarzem, a ten się z kolei też zorientował, że ma do czynienia z nierozmownym klientem. W końcu po godzinie z knajpy wytoczył się *Herr Magath*. Holowała go jakaś dziwka, ale już nie ta, która kręciła się przy toalecie. Chwilę potem specjalistka od pomagania sikającym mężczyznom wyszła z Vogtsem. Po donośnym pożegnaniu każda z par zapakowała się do swojej taksówki.

– Za którąś z tych taksówek? – Kierowca był bystrzakiem.

– Nie – odpowiedział Heniek i podał mu adres spisany na papierze.

Wolał nie kusić losu, był wlany, a Magath okazał się kimś innym, niż jest, a kim dokładnie, tego się wkrótce dowie. Co nagle, to po diable!

Taksówka ruszyła w kierunku magazynu. Po półgodzinie

byli na miejscu, Heniek z trudem trafił kluczem do zamka, po czym wpasował się w drzwi, które tej nocy także były jakieś szczególnie wąskie. Łóżko jakby się zbiegło, niczym wełna po ciepłym praniu, bo waląc się na nie, przygrzmocił o ramę, aż miło. Klnąc z bólu, usiłował zdjąć z nóg trzewiki. Nie udało się, łatwo poszło tylko z kapeluszem. Trudno, będzie kimał w opakowaniu.

Poranek nie należał do najmiłszych. Kto to słyszał organizować walkę bokserską o mistrzostwo świata w czwartek?! To tak, jakby zrobić Wielką Warszawską albo derby w środku tygodnia. We łbie mu huczało i czuł się wymięty nie mniej niż jego ubranie. Wszyscy zabarłoczyli, nawet Magath! Bracia Hrubeschowie chrapali jak hipopotamy, a on sam obudził się tylko dlatego, że pękał mu łeb. Klina! Klina! Klina! Nic z tego, jedyne, na co mógł liczyć, to woda. Zbierał się w sobie, gdy nagle ktoś załomotał do drzwi składu.

Jasna cholera, pomyślał. O co chodzi? Przez trzy tygodnie nie przywiało tu psa z kulawą nogą, a teraz przyszedł jakiś awanturujący się klient. Co to, apteka, żeby na gwałt kupować lekarstwa albo prezerwatywy? Jemu najbardziej przydałby się proszek z kogutkiem. Proszek z kogutkiem i piwko.

Łomot narastał.

– Idę, idę! – zawołał.

Ruszył do schodów i postanowił, że jeśli Henry Haas zacznie sprawować rządy w Iron Castle, to firma będzie działała z większym rozmachem, ale za to swoje biuro i sklep może otwierać najwcześniej o dziesiątej! Spojrzał na zegarek i zaklął:

– O cholera, właśnie minęła jedenasta, a więc może otwierać o jedenastej?

Zszedł na dół i stanął przed drzwiami.

– Dobrze, już dobrze, otwieram!

Uchylił drzwi i zanim się zorientował, dostał fangę w nos. Świat się zamglił i zakołysał. Heniek walnął w dół, jakby był z waty. Wcześniej mu się coś takiego nie zdarzało, a więc trafił na kogoś takiego jak on, gościa, co przystępuje do walki na swoich zasadach. Spodziewał się teraz, że dostanie z fleka, skulił się więc i dobrze zrobił, bo zamiast wyhaczyć z obcasa w głowę, oberwał w rękę. Usłyszał tupot, a więc gość strzelił go z kopa i poleciał dalej. Zatrzeszczały schody, Heniek spojrzał w górę i ujrzał Vogtsa, który wbiegał po trzy stopnie. Zniknął mu z oczu, a później usłyszał, jak pakuje się do pokoju Hrubeschów i ryczy:

– Wstawać, leniwe małpy, gdzie jest ten wasz pieprzony treser, gdzie ten wymoczek z wąsikiem alfonsa?

Heniek spodziewał się teraz usłyszeć łomot potężnych pięści Hrubeschów i wycie Vogtsa, ale nic takiego się nie stało. Dotarł do niego za to plask ciosów, które zadawano otwartą dłonią, i podniesiony głos Vogtsa.

– Wstawać, skurwysyny, gdzie jest wasz szef, spieszy mi się! Jak dziś nie wyjadę z towarem, to będzie chryja! Czemu ciężarówki nie są załadowane, gdzie są klucze do magazynu?

Niedługo potem poganiani przez Vogtsa Jürgen i Hermann zbiegali pokrotnie po schodach, odbierając od niego kopy w siedzenie.

– Ruszać się, tępe małpy, ruszać się, klienci czekają na towar, mamy dwa dni na dojazd. Gdzie jest Magath?! Miał mnie odebrać o dziewiątej z hotelu!

Bracia skurczyli się w sobie i wyglądali jak małe myszki, które na moment wsadzono w obce, za duże ciała.

– Jak Boga kocham, nie wiemy, nie wiemy! – zawodzili jeden przez drugiego. – Bernie, w końcu to szef z tobą się dogadywał!

Wy tłumaczenie nie przypadło Vogtsowi do gustu, dwa siarczyste plaskacze obróciły bliźniakami jak bączkami, zaczerwieniając ich policzki.

– Kurwa, co? – zawył. – Jaki Bernie, dla was Bernard, pan Bernard, gnoje!

W oczach budzących strach goryli pojawiły się łzy.

Gdzie macie gnaty, gamonie? – pomyślał Heniek. Bernie jakby czytał w myślach, odwrócił się i podskoczył do Heńka.

– A ty? Ty też nic nie wiesz?! – ryknął i zamierzył się nokautującym ciosem.

Zamachowe budzą największą grozę, ale są najłatwiejsze do odczytania, więc Heniek spokojnie zrobił unik i dołożył Bernardowi Vogtsowi na rozpęd kopa w siedzenie. Napastnik poleciał przed siebie i gdyby byli w ringu, to wpadłby w liny. Ale nie byli, więc rozpędzony jak pocisk Vogts przygrzmocił w szafę.

– Zabiję cię, skurwysynu! – zasyczał i wyciągnął zza pazuchy ołowianą kulkę na sprężynie.

To już nie były żarty, Bernie miał paragraf[16], którym mógł mu przeorać łeb. Nie czas na kombinowanie. Heniek zrobił zwód, jakby chciał dać pełnym gazem w drzwi, ale gdy Niemiec skoczył, by mu je zablokować i przy okazji rozłuc głowę ołowiem, Heniek skręcił i ruszył z impetem przez okno. Rozległ się huk łamanych okiennic i trzask szyb. Wylądował na podwórku, robiąc koziołka, nie potłukł się, ale poczuł ból w kostce i pokaleczył sobie dłonie o kawałki szkła. Usłyszał odgłos kroków, nie oglądał się za siebie, tylko pruł w kierunku ulicy.

Co jest grane, jak rany! – pomyślał. Kim jest ten typ, czemu Hrubeschowie dawali sobą pomiatać jak chłopcy do bicia? Gdzie jest i co namieszał Felix Magath?

VII

The sting

Biegł, ile sił w nogach. W końcu spojrzął za siebie, było pusto. Hrubeschowie powinni sobie dać radę, byli więksi, mieli broń i przede wszystkim wiedzieli, co jest grane, a on zrozumiał tylko tyle, że wpięprzył się w coś, o czym nie miał pojęcia. Do dzisiaj firma Iron Castle była tylko dziwna i zalatywała jakąś tajemnicą, ale teraz śmierdziała jak trup. Nie chciał śmierdzieć tak samo, musiał coś z tym zrobić.

Normalnie wszystko byłoby proste; kontakt z ferajną z Woli, najlepiej z samym Tasiemką, kurs do Mietka Kosiorka albo jeśli sytuacja byłaby wyjątkowa – telefon do kapitana Beniowskiego. Gdyby był w Warszawie, uderzyłby właśnie do niego, bo w końcu Iron Castle to firma, którą miał kontrolować w imieniu Beniowskiego. Na razie to może kontrolować gacie, czy się nie zesrał ze strachu. Dawno nie widział kogoś takiego jak Bernard Vogts. To prawdziwy bandyta, a może nawet i morderca. Szybki, bezwzględny i przygotowany na wszystko. Żeby stanąć z nim do walki, musiałby mieć gwarancję, że na początek będzie mógł dać mu od tyłu gazrurką w łeb. Jeśli nie, to tamten przecież zatłucze go paragrafem, udusi gołymi rękoma, zje i wypluje. Na pewno ma broń, gdyby i Heniek ją miał, to byłoby pozamiatane, bo akurat w te klocki nie było wielu lepszych od niego. Nie ma co, był w ciężkiej dupie. Stracił już jeden atut – element zaskoczenia, teraz Vogts wie, na co go stać, i podejdzie do niego poważnie.

Pierwszą broń stracił, a drugiej nie miał. Klamka, jakakolwiek, byle z prostą lufą! Cholerne trzymilionowe miasto, w którym znał tylko trzy osoby: Patricię Robinson, Richarda Kunickiego i Ronalda Kennedy'ego. Patricia mogła pomóc tylko

w jeden sposób, ale na co umarłemu leczenie z bólu jajec? Poza tym i tak nie zna jej adresu, a nawet gdyby znał... Jej mąż nie zawsze barłoczy z aktoreczkami. Richard Kunicki mógłby go nakarmić, co też nie pomaga na pięć minut przed egzekucją. Zostaje Ronald Kennedy. Czy ten rudzielec jest w stanie go uratować? Może po prostu trzeba brać kasę z banku i pruć na jaką Alaskę, do Kalifornii albo Meksyku? Pewnie tak, ale Iron Castle powinna być jego firmą, a poza tym był zawzięty i chciał odwetu na Vogtsie. Nie miał zresztą wyboru, bo pod podłogą schował komplet dokumentów. Na razie funkcjonował tu jako obywatel Niemiec, ale jak się zdomowi i będzie szprechał jak miejscowi, to zacznie korzystać z pięknego amerykańskiego paszportu, który Beniowski zamówił u najlepszych żydowskich fałszerzy w Warszawie i w ogóle w całej Europie.

Kapitan zrobił to, zanim policja wpadła na trop ich szefa, którym okazał się Daniel Bachrach... aspirant policji państwowej i kierownik brygady fałszerskiej Urzędu Śledczego. Dosłownie w ostatniej chwili Julek odebrał od niego komplet dokumentów dający Heńkowi możliwości większe niż odpust zupełny udzielony przez papieża. Musi je odzyskać, musi zapanować nad firmą, zniszczyć Bernarda i dowiedzieć się, co jest grane. Skręcił w ulicę, z której miał bliżej do sklepu Kunickiego. Otrzeptał się po drodze, ale i tak nie wyglądał najlepiej. Wparował do środka i jak gdyby nigdy nic zapytał:

– Dzień dobry, panie Richardzie, czy jest Ronnie?

– Aaa, dzień dobry, już go wołam.

Po chwili przyszła żona Kunickiego.

– Ronnie bardzo przeżywa to spotkanie – wyszeptwała.

– Mówił, że w poniedziałek macie się spotkać. Jakiś egzamin masz pan mu robić czy jak? Niech pan wejdzie na zaplecze, proszę, proszę.

Stanęli naprzeciw siebie. Heniek uściskał Ronniemu dłoń.

– Witaj, Ronnie. – Po czym zwrócił się do Kunickiego.

– Czy mogę zapalić?

Wędliniarz się stropił.

– Oj, nie, tylko nie tu, proszę tu nie palić, bo mamy tu towar, wędliny i mięsko – poprosił. – Jakby co, to tu jest wyjście na *backyard*[17].

Heniek czekał, aż rzeźnik wyjdzie, spojrzał na chłopaka i wyciągnął paczkę lucky strike'ów.

– Zapalisz?

– Zapalę.

– To chodźmy na podwórko.

Ledwie wyszli, Ronald wystrzelił jak z karabinu:

– Szeffie, ja z tymi biletami nieźle zakombinowałem...

– powiedział to bez mrugnięcia okiem.

Heniek popatrzył na niego zrozumieniem i pokiwał głową.

– To nie wszystko, co masz mi do powiedzenia, nieprawdaż, Ronnie?

Chłopak przełknął ślinę.

– To znaczy, ja je kupiłem, ale to nie były bilety.

– Wyszczrzył bezczelnie zęby w szelmowskim uśmiechu. – To były fałszywki, więc trochę na szefie zarobiłem. Ale walka się podobała, co nie?

To wyjaśniało, dlaczego bez trudu weszli na stadion, ale długo krążyli, szukając miejsca. Musieli się pojawić przed samą walką, gdy ludzie poderwali się w górę i nie pilnowali swoich miejscówek.

– I co mam teraz zrobić? – zapytał Heniek.

Ronald podrapał się po rudej głowie i odpowiedział:

– Nno, chyba przyjąć do roboty. Zaufałem szefowi i powiedziałem wszystko, jak na spowiedzi, taka była umowa, co

nie?

Heniek ruszył w kierunku Ronniego, ten się napreżył i niemal stanął na baczność, ale nadal uśmiechał się z ufnością.

– Gdybyś się nie przyznał, tobym cię strzelił w ucho, ale dotrzymałeś umowy, ja też dotrzymuję. Ronaldzie Kennedy, witaj w firmie Iron Castle!

Ronald rzucił mu się na szyję, tego Heniek się nie spodziewał, ale że miał refleks, szybko zapytał:

– Czyli od dziś mówisz mi wujku? Wiesz, co mam na myśli?

– Oczywiście! – wykrzyknął rudzielec. – Mam wciągnąć swojego bossa do irlandzkiego klubu bokserkiego!

– Masz łeb na karku, Ronnie, nie ma co! – powiedział z uznaniem Heniek. – A teraz przedstawię ci listę obowiązków: będziesz moim sekretarzem... – Tu zawiesił głos.

– Wiem, o czym boss teraz myśli – zaśmiał się Ronald.
– Umie czytać i całkiem ładnie piszę, dodaję, mnożę i dzielę.

– Oraz tłumaczem i przewodnikiem – dodał Heniek. – Masz do mnie mówić po angielsku, rozumiesz? Muszę szybko poznać język i twoja w tym głowa.

– Szef wygląda raczej na pojętnego – z typową dla siebie bezczelnością wypalił Kennedy. – Więc powinien szef dać radę.

– Jakież postępy robię...

– No właśnie, ktoś już szefa uczy. I co, za krótki jest?

Heniek zaśmiał się i zaciągnął lucky strikiem.

– Mam niezłego nauczyciela, ale trochę oderwanego od ziemi.

– Pilot? – zagadnął Ronald.

– Lepiej! Pastor!

Śmiali się do rozpuku, a gdy doszli do siebie, Heniek ciągnął:

– Lekcje angielskiego pastora Luttelmanna muszę uzupełnić o bardziej życiowe słowa i zwroty. Owszem, niedługo będę mógł przeczytać Stary i Nowy Testament, ale piwa w barze nie zamówię, co najwyżej wino. Albo wodę. O zagadaniu do jakiejś babki nie wspomnę, chyba że bym ją wziął na biblijny bajer. Niewiasto, czy chcesz grzeszyć ze mną tak, by Pan nasz rzucał gromami, a aniołowie niebiescy i serafini odwracali ze wstydu głowy?

Znów śmiali się do rozpuku, a Ronald postanowił jeszcze postawić kropkę nad i.

– Ja bym jeszcze dorzucił z parę linijek o Sodomie i Gomorze, miałby szef branie u mamusiek ze szkółki niedzielnej!

Pośmiali się, pożartowali i wypalili jeszcze po jednym papierosku. Nagle Heniek spoważniał.

– Ronnie, jest jeszcze jedna sprawa.

– Skołować szefowi jakąś babkę? A może dwie?

– Nie. – Heniek się skrzywił. – Nie biorę cię na etat alfonsa, takie sprawy lubię organizować sam, nawet z biblijnym angielskim dam radę, a jak mnie przypili, to poszukam dziewczyny, która będzie miała na imię dziesięć dolarów.

– Fiu, fiu, rozrzutny szef, nie ma co.

– Żartujemy sobie, ale pora kończyć ten przydługi wstęp. Sprawa jest poważna. Ronnie, twój ojciec pracował dla gangu, czy miał broń? – Heniek spojrział na Ronalda i dodał: – Nic nie musisz, wystarczy, że powiesz, że nie masz broni, albo wspomnisz wujkowi, że jestem sknerą i że za mało płaciłem. Chcę być pewny twojej decyzji, to może cię kosztować życie, bo pakujesz się do pracy u faceta, który miewa problemy.

– A kto ich nie ma?

– Ja miewam tylko te większe.

– Fakt, jak elegancik taki jak szef szuka broni, to wygląda to wszystko poważnie. Matka by umarła, jakby mnie walnęli. To co, ja mam kogoś kropnąć?

– Nie, ty masz dostarczyć broń i pracować dla faceta, który jest to w stanie zrobić. Rozumiesz?

– Szef jest gangsterem?

– Nie, jestem przedsiębiorcą.

– Al Capone w każdym wywiadzie mówi, że jest przedsiębiorcą...

– Ale ja nie należę do gangu.

– To po co szefowi broń?

– Powiedzmy, że to prywatna sprawa, pewne nieporozumienie towarzyskie. Im wiesz mniej, tym lepiej. Rozumiesz?

Ronnie pokiwał głową i nabrał powietrza w płuca. Pokręcił się po pokoju, jakby to powiedział Mietek Kosiorek, „jak gównu w przeręblu”, po czym usiadł i ciężko westchnął.

– Mam gnata po ojcu, ale tylko trzy kulki.

– Tylko trzy kulki? – zdziwił się Heniek.

– Poszedłem postrzelać, no wie szef, to piękna rozrywka. Heniek się zasępił, lepszy gnat z trzema kulkami niż nic.

– Co to za broń?

– Colt peacemaker, prawdziwa armata.

Tak, to była prawdziwa armata, tylko że mogła wystrzelić zaledwie trzy razy. Ronald przyniósł rewolwer pół godziny później. Colt był w fatalnym stanie, ale po kwadransie już błyszczał. W ustronnym miejscu Heniek wyczyścił i naoliwił broń. Sprawdził wszystkie mechanizmy, armata wyglądała na sprawną i gotową do „czynienia pokoju”[18].

Od momentu ucieczki przed Bernardem Vogtsem minęła grubo ponad godzina. W tym czasie Heniek dokładnie

przemyślał plan: po pierwsze, musiał wrócić do składu tak, by Bernie go nie dostrzegł, po drugie, musiał wziąć pod uwagę, że ten może sprowadzić posiłki, po trzecie, zająć miejsce, które da mu przewagę. Byli na uboczu, mając z lewej strony jakąś rudere, której ślepa ściana wychodziła na ich podwórko, z prawej równie beznadziejny jak ich skład interes, a podwórko zamykał opuszczony magazyn. Właśnie magazyn wybrał jako miejsce, które da mu przewagę. Był wysoki na jakieś trzy, trzy i pół metra, więc dostatecznie górował nad placem, z drugiej zaś strony można było z niego zeskoczyć, nie łamiąc nóg. Poszedł sam, nie mówiąc Ronaldowi, dokąd idzie, i surowo zabraniając podążania swoim śladem. Heniek wdrapał się na magazyn i pełzł po dachu w kierunku podwórka. Był ustawiony pod słońce, ale bał się wyjrzeć, zresztą nie musiał, bo miał ze sobą namiastkę peryskopu.

Ukrył się za kominem i obserwował to, co się dzieje, na podwórku za pomocą lusterka przyczepionego gumką do kija od szczotki. Widział niewiele, ale przynajmniej był bezpieczny. Ku swojemu zdziwieniu zorientował się, że drzwi do magazynu nadal są zamknięte, a na podwórku sterczy Hermann Hrubesch. Gdy Heniek był pewien, że Hrubesch jest sam – gwizdnął.

– Gdzie jest Vogts?

– Pojechał raz jeszcze do mieszkania Magatha, może po prostu *Herr Felix* zabalował. Byłby to pierwszy raz, dziwna sprawa, będą z tego same nieprzyjemności.

Heniek zeskoczył na dół.

– A gdzie Jürgen?

– Wziął go ze sobą, ja mam pilnować tego wszystkiego aż do powrotu Vogtsa. Sądzę, że nie wróci tu sam, wiem, że w mieście jest jeszcze jego kumpel z Nowego Jorku. To nie są przyjemni goście. Vogts powiedział, że jeśli się ruszę, to rozwali

Jürgenowi łeb.

– Wziął go na zakładnika?

– Coś tak jakby.

– Takiego wielkiego chłopca?

– Ale Vogts ma rewolwer smith & wesson.

– Przecież wy też macie swoje.

– Ale... – Hermann wyglądał za zawstydzonego. – Nosimy je na postrach, nie potrafimy dobrze strzelać, a Vogts i ten jego koleżka to gangsterzy z Nowego Jorku.

– Więc?

– Nie znasz ich, to największe zabijaki w Nowym Jorku, ich szef nazywa się Schultz. To wariat i morderca i takich właśnie sobie ludzi dobiera.

– Nie sforsowali drzwi magazynu?

– Nie, za mocne.

– OK, powinniśmy zdążyć, zrobimy tak... – Podniósł palec w górę, po czym zaczął wyjaśniać Hermannowi, co ma zrobić.

Po kwadransie na podwórko zajechała ciężarówka prowadzona przez bliźniaka. W szoferce siedzieli Bernard i drugi mężczyzna, który nerwowo trzymał się za połą marynarki. Wyhamowali z piskiem opon i hamulców, wznecając kurz. Cała trójka wyskoczyła z szoferki.

– Gdzie twój braciszek? – Bernard dał Hrubeschowi klapsa w policzek. – Widzisz, jak to jest? Olał cię! No, nie mazgaj się, podważaj drzwi!

Nie tylko Jürgen, ale także Bernard i ten trzeci, do którego Vogts mówił Ruby, przystąpili do wyłamywania drzwi. Systematycznie, z ogromną siłą, którą dawały długie łomy i łapki, wrywali zawiasy, w końcu brama magazynu puściła i zwała się z łoskotem.

Gdy cała trójka stanęła w drzwiach do magazynu, wtedy

zza skrzyń stojących po drugiej stronie placu wyszedł Heniek i krzyknął po angielsku: *Hands up*[19]! Hermann go tego nauczył i wydawało się, że jeśli dobrze wykrzyczy ten zwrot, to najtrudniejsza część akcji będzie za nimi. Tylko Jürgen podniósł ręce do góry, natomiast Ruby ruszył w jego stronę, sięgając dłonią w kierunku wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Co, kurwa, powiedziałaś? Ja się chyba, kurwa, przesłyszałem?!

– Stop! – krzyknął Heniek, ale wiedział, że był w tym mało przekonujący. – *Hands up!*

Ruby się zaśmiał i szedł w jego kierunku jak po swoje. Niepewny angielski Heńka wziął za strach, była to jego ostatnia pomyłka w życiu. Gdy Heniek zobaczył kolbę rewolweru, która wylaniała się zza marynarki, palnął mu z colta prosto w łeb. Nie mógł chybić, bo zrobił to spokojnie, jak przystało na doświadczonego strzelca, który walił już nie tylko do tarcz, ale i ludzi. Dzieliło ich ledwie parę kroków, więc potężna kula kalibru 45 trafiła w cel. Ruby dostał w brew nad lewym okiem, kula przeszła na wylot, zrywając płat skóry, rozrywając czaszkę i wrywając oko. Ze zdemolowanej przez pocisk głowy Ruby'ego i wystrzeliła fontanna krwi i kawałków mózgu. Heniek nie zdążył się zająć Bernardem, bo ten szybko stanął za Jürgenem i wbił mu lufę pod brodę.

– Jeden krok i twój koleżka leży!

Heniek wiedział, że blefuje. Zabijając Jürgenem, pozbawiłby się ostatniej karty przetargowej i żywej tarczy. Lufa colta celowała w jego głowę, a Heniek pokazał przed chwilą, że nie jest to cel, w który by chybił. Bernard przegrał wojnę nerwów, chcąc bardziej się schować za Jürgenem. Zaczął przekładać rewolwer tak, by wycelować w tył głowy bliźniaka, na moment oderwał się więc od celu. Wtedy z ogromną siłą spadła na jego

głowę gazrurka trzymana przez Hermanna. Głowa rozsypała się w drobny mak, a krew trysnęła, jakby ktoś uderzył łyżką w talerz pełny pomidorówki. Hermann i Jürgen cali byli we krwi i kawałkach mózgu Bernarda Vogtsa. Podstęp się udał. Heniek otworzył wytrychem zamki i mimo protestów namówił Hermanna Hrubescha do tego, by się ukrył w magazynie. Dał mu do ręki gazrurkę, którą miał rozwalić łeb napastnikowi. Pewnie Hermann nigdy by tego nie zrobił, gdyby nie to, że Vogts groził jego bratu Jürgenowi śmiercią.

Zaraz po wszystkim bliźniacy porzygali się jak koty. Heniek, nie tracąc czasu, ruszył do bramy. Szybko zamknął wjazd na podwórko i próbował zagnać braci do biura. Na próżno, dwa wielkie goryle okazały się cykorami. Bliźniacy straszili tylko swymi gabarytami, twarzami jak ze złej bajki i bronią, którą nie potrafili się posługiwać. Heniek sprawdził kieszenie zabitych, były tam grube zwitki forsy i broń, którą odebrali Hrubeschom. Jednym z gnatów był browning. Heniek się ucieszył i sprawdził magazynek. Był pełen. Miał teraz trzy sztuki broni i dwie wielkie sieroty, z których nie było żadnego pożytku.

Hrubeschowie siedzieli na podwórku i Heniek nie za bardzo wiedział, co z nimi zrobić.

– Uspokójcie się, trzeba posprzątać!

– Jak się mam, kurwa, uspokoić, czy wiesz, kogo zastrzelełeś? – zawył Jürgen. – A wiesz, komu mój brat rozwalił łeb?

– Załatwiłem jakiegoś Ruby’ego, a Hermann załatwił Berniego Vogtsa, faceta, który próbował nas pozabijać.

– Dokładnie to Bernarda Killera Vogtsa, jednego z żołnierzy Dutcha Schultza[20], a Ruby to porucznik Schultza, Arnold Rubinstein. – Widząc, że Heniek wiele sobie z tego nie

robi, Jürgen ciągnął dalej. – Shultz to jeden z największych gangsterów Nowego Jorku, kawał skurwiela, który jest nieobliczalny i gotowy mordować dla sportu! Zabiłeś jego faceta, a on próbował nas zastraszyć, bo podejrzewał, że umoczył forszę swojego szefa w interesach z Magathem!

– Gównu mnie na razie obchodzi, kogo załatwiliśmy, ważne, że to nie oni nas rozwalili. Ruszcie tyłki, musimy naprawić bramę i sprzątnąć ciała.

Hrubeschowie gramolili się z trudem, wyglądając w swoich zabrudzonych pyłem, krwią i rzygami ubraniach jak nieboskie stworzenia.

– Szefie, ja pomogę!

Na szczycie magazynu stał Ronald. Po chwili rudzielec zeskoczył i stanął naprzeciw Heńka.

– Co tu robisz, przecież mówiłem, żebyś za mną nie laźł!

– Pracuję dla szefa, mogę choćby sprzątać!

– Jak się nie porzygasz, to pomagaj!

Ronald Kennedy wyglądał niepewnie, ale widać było, że jego kiepełe pracuje na pełnych obrotach.

– Trzeba ich wrzucić na pakę ciężarówki, niech to zrobią ci goście, bo wyglądają na silnych i mają już upaprane gajery. Wieczorem zawieziemy truposzy na przejażdżkę.

– Co ty gadasz?

– Tak się mówi w Chicago. Gangsterzy porywają albo zaskakują swoich przeciwników, wywożą autami za miasto i trach! Potem wyrzucają trupy do rowów. To jest właśnie zabrać kogoś na przejażdżkę. Jak ich wywalimy za miastem, to za parę dni będzie o tym w gazetach. „Kolejne ofiary wojny gangów”. Prasa, policja i pół Chicago będą ich dopasowywać do jakiejś gangsterskiej układanki.

Hrubeschowie wrzucili trupy na pakę i zaciągnęli plandekę,

po czym poszli się umyć i zmienić ciuchy, a Heniek i Ronald musieli się zabrać do naprawiania drzwi do magazynu. Najpierw Heniek pokazał Ronniemu, co się kryje w środku.

– Ożeż ty! – Ronald zobaczył rzędy skrzynek z napisem Champagne Dom Pérignon. Magazyn nie był duży, ale wypełniony szampańskim towarem po brzegi. – Każda butelka dwadzieścia dolców, w hurcie oczywiście mniej, ale to niezły majątek, o to musiało pójść! – oznajmił Ronald.

– Tyle to i ja wiem, jest większa zagadka. Ci dwaj sztywni mieli to wieźć do Nowego Jorku.

– To komplikuje sprawę.

– Bardzo, bo ktoś na to czeka, więc twój numer z przejazdką chyba odpada.

– Na pewno coś wymyślimy – bąknął Ronald. – Albo i nie, jeśli robili interes na boku.

– Mogło tak być, wpytamy Hrubeschów, ale na razie ja biorę się do bramy, a ty zasyp ziemią plamy po krwi.

Po jakiejś godzinie dołączyli do nich bliźniacy. Zmyli ślady, włożyli świeże ubrania, a poplamione spalił w piecyku Ronald. Bracia ochłonęli na tyle, by wyjaśnić, o co chodziło z szampanami i nie tylko z szampanami.

– Koniec tajemnic, co tu się dzieje, to mniej więcej wiem, a co jest w manufakturze? Co tam robicie, na czym polega ten interes? I kim wy, kurwa, jesteście?

– Jednym słowem pytasz, co teraz mogą robić niemieccy browarnicy w Ameryce? – zaśmiał się gorzko Hermann.

– Z gównianego piwa robimy porządne, kupujemy beczki legalnych szczyn i dolewamy bimbru, żeby miało moc.

– Wiercimy małe dziurki, ulewamy ile trzeba i pompujemy bimber, później zatykamy małymi szpuncikami i gra muzyka – dodał Jürgen.

– Magath sam to wymyślił?

Ronnie zaśmiał się głośno.

– Szefie, tysiące tak robią!

– Po części to była spółka z dwoma gośćmi. Manufakturą rządzą tak naprawdę dwaj cwaniacy Głupek O’Berta[21] i Alex Sycowski[22]. O’Berta pracuje dla gangu Big Tima Murphy’ego. Al Capone go toleruje, bo mają dobre wejścia w związkach. Murphy jest Irlandczykiem, ale O’Berta to tak naprawdę Oberta, Polak, tylko zmienił sobie nazwisko, żeby zbierać głosy od Irlandczyków, więc jest mu potrzebny.

– Mówią o nim Dingbat – dorzucił Hermann.

– Co to znaczy?

– Tyle co głupek, bo to taki pocieszny gość z kreskówek.

– Jakiś debil kieruje gangiem?

– On robi z siebie głupka, chciał być chyba komikiem. To cwany gość, niezwykle elegancki i przebiegły, ale cały czas dowcipkuje, robi miny i opowiada kawały. Mówią, że wcześniej czy później dopnie swego i zostanie jak nie senatorem, to przynajmniej radnym. Ma spore szanse, ludzie go lubią, ma gadane.

Drugi Tasiemka, pomyślał Heniek.

– A ten Sycowski?

– To Żyd, który pracuje bezpośrednio dla Ala. To dla nich taki zarobek na boku, ale oczywiście płacą coś Alowi, takie są zasady.

– Dla tych dwóch – Heniek wskazał ciężarówkę, w której leżały trupy – to też była fucha na boku?

– Dokładnie tak, Dutch Schultz nie wiedział o tym, chłopaki postanowili sobie przyjechać na gościnne występy i trochę zarobić.

– No to zarobili – uśmiechnął się Ronald. – Na przejażdżkę

w jedną stronę.

Problem trupów rozwiązany, wywiozą ich za miasto jako ofiary gangsterskich porachunków. Ktoś zbierze gniew tego całego Schultza, ale w końcu na aniołów nie trafi.

– Ile na tym boku wyciągają?

– Rocznie pewnie nie mniej niż sto, a nie więcej niż dwieście tysięcy dolców na łebka – powiedział ze spokojem Hermann Hrubesch. Heńkowi aż zaszumiało w głowie od takiej kwoty, to jakieś milion złotych! – Ale to nie jest ich jedyny interes, oni tam tylko dorabiają – dodał olbrzym, jakby faktycznie chodziło o jakieś drobne.

– Bardziej dają zarabiać Magathowi i zapewniają mu ochronę. Oni mają kontakty i pozwalają na pracę.

– Jak urząd podatkowy?

– Trochę jak urząd podatkowy, a trochę jak junkrzy w swoich majątkach. Oni tu rządzą, choć nie są na samej górze.

– Ile zarabiał Magath?

– Tego nie wiemy, ale na pewno w okolicach tego, co oni. Odpalał też pieniądze firmie, tak żeby zachować pozory, że tu wszystko jest Okay. Miał swoje koszta, łapówki i tak dalej, ale pewnie od początku ze dwieście, trzysta przytulił.

– A wy?

– My? – Hermann wzruszył ramionami. – My mamy swoją kasę tutaj!

– Dorzuciliśmy się do interesu Magatha, sprowadziliśmy przez Kanadę szampana z Francji.

– Ile tego jest?

– Tysiąc skrzynek po dziewięć butelek w każdej, czyli...

– Sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów!

– Tyle to kosztuje szampan w saloonie albo klubie, w hurcie połowa. To było warte sto tysięcy. Dołożyliśmy się do

tego, poszło na to dwadzieścia pięć tysięcy z naszych oszczędności, ale... mamy zarobić drugie tyle.

Słowa „mamy zarobić drugie tyle” Hermann wymówił z niepewnością i wahaniem.

– A Magath?

– Dołożył resztę.

Zapadło milczenie. Gangsterzy z Nowego Jorku byli gotowi ich pozabijać, bo, jak mówili, Magath ich orznął na kasę i zniknął.

– Może ktoś go załatwił? – wyrwał się Ronald Kennedy, ale nikt go nie słuchał.

Heniek oraz Hrubeschowie ruszyli w kierunku skrzynek. Szybko niemal rozerwali jedną z nich i wyciągnęli butelkę. Wyglądała jak trzeba, ale po otwarciu nie było charakterystycznego wystrzału.

– Wykiwał nas, w środku jest woda! – ryknęli bliźniacy.

– Magath nabił w butelkę dwóch olbrzymów i dwóch gangsterów! Felix Magath, ten biurokrata i dusigrosz? – Heniek nie mógł się powstrzymać od śmiechu, mimo że bliźniacy mieli twarze czerwone ze złości.

– Felix Magath orznął nowojorskie grube ryby na jakąś stówkę zielonych! – śmiał się Ronald.

Jürgen też się roześmiał, ale nagle przestał i załadował bratu z plaskacza w kark.

– A nas na pięćdziesiąt. Razem sto pięćdziesiąt, a jak dodamy to, co zarobił wcześniej, to będzie jakieś pół miliona – podsumował.

– Pół miliona? – Ronald gwizdnął z podziwem.

– A my daliśmy całe nasze oszczędności, pięćdziesiąt tysięcy dolarów, bo liczyliśmy na to, że zarobimy przynajmniej dwadzieścia pięć, jak nie więcej. Nic, tylko strzelić sobie w łeb!

– parsknął Hermann.

– Nie będę sobie strzelał w łeb. Dorwę gnoja i zabiję

– syknął Jürgen. – Zabiję gnoja, zabiję!

Na placyku zapanowała cisza, którą przerwał Ronald.

– No to mamy *the sting*! – wypalił.

– Co to znaczy? – zapytał Heniek.

– Formalnie to znaczy żądło, a tak naprawdę numer. Ale was ten tatusiek załatwił.

Załatwił, i to jak! Mają na podwórku trupy z nowojorskiego gangu Dutcha Schultza, zrobionych na szaro Hrubeschów i cholera wie, co jeszcze. Heniek bał się najgorszego: że Magath wyczyścił konto firmy.

VIII

Gang, który nie umiał strzelać

Dobiegała pierwsza, był najwyższy czas na przerwę obiadową. Tego dnia musieli jednak zapomnieć o posiłku. Po tym, co się wydarzyło w piątkowe przedpołudnie dwudziestego trzeciego października, pracownicy chicagowskiej firmy Iron Castle mieli pełne ręce roboty. Padali ze zmęczenia, ale nie mogli zrobić przerwy, bo za nimi była tylko część ciężkiej pracy, jaką mieli jeszcze do wykonania. Hrubeschowie wyglądali już jako tako, ale drzwi do magazynu były naprawione tylko prowizorycznie, a trupy nowojorskich gangsterów nadal leżały na pace ciężarówki. Jedyne, co tak naprawdę zostało doprowadzone do porządku, to ziemia na firmowym podwórku. Ronaldowi udało się zasypać miejsca, które zlała krew i kawałki mózgow ludzi Dutcha Schultza i Arnolda Rubinsteina. Heniek zastanawiał się, jaki kolejny ruch wykonać, gdy nagle Hermann zajęczał:

– Musimy pojechać do rozlewni! Przyjechał nowy towar, będziemy wzmacniać piwo, jak się spóźnimy, to Dingbat i Alex dostaną szału!

Nie posprząтали jeszcze po tym, co się wydarzyło niespełna dwie godziny temu, a już mieli nowe kłopoty. Heniek nie wiedział, jak to wszystko zorganizować. Teraz to on był nowym szefem. Zastąpił Felixa Magatha w stylu, który nie pozostawiał wątpliwości, że Henry Haas jest ich bossem nie tylko na papierze, ale i w rzeczywistości. Hrubeschowie byli bierni i wyczekiwali na rozkazy, ale rudy Ronnie chciał koniecznie mieć coś do powiedzenia. Na razie gadał z sensem:

– Mamy dwie ciężarówki, i w te dwie ciężarówki jedziemy do tej waszej rozlewni, lepiej mieć nieboszczyków przy sobie.

Nie ma się nad czym zastanawiać!

– Zostawiamy skład bez opieki? – zdziwił się Hermann Hrubesch.

– A co się może stać? Przecież nas nie okradną – zaśmiał się Heniek.

– A jeśli tamci dwaj mieli tu współników? – wsparł brata Jürgen.

– To nie zabiją tego, który będzie pilnował składu, co najwyżej wywiozą z magazynu skrzynki z szampanem, który w trakcie drogi do Nowego Jorku cudownie przemieni się w wodę – ucieszył się Ronald.

– Nie za dużo gadasz, szczeniaku? – Jürgen spojrzał na Ronalda spode łba.

– Mówię tyle, ile trzeba, jak masz lepszy pomysł, to go sprzedaj! – odpyskował Ronnie.

– Moim zdaniem... – zaczął Jürgen, ale nie dokończył.

Hermann bardzo chciał wesprzeć brata, ale nie przyszło mu do głowy nic konkretnego, stanął więc obok bliźniaka i wyglądali jak dwa zafrasowane goryle. Silni, ale bezradni. Z ciężkimi głowami, które obciążało wszystko, tylko nie intelekt.

– Jürgen ma rację – wysapał w końcu Hermann.

– A zatem? – zachęcił go Heniek.

– A zatem skoro zastępujesz Felixa Magatha, to powinieneś podjąć jakąś decyzję.

– Już podjąłem. Z braku innych pomysłów robimy tak, jak powiedział Ronald.

– A kim on, kurwa, jest? – niemal równocześnie zapytali bliźniacy.

– Ronald jest moim... – No właśnie, kim on jest, zastanowił się Heniek. – Ronald jest moim asystentem, doradcą,

pomocnikiem i przewodnikiem. Ja jestem szefem, czyli jestem oficerem, a on jest moim...

– Zastępcą? – wypalił Ronald ze szczęśliwą miną na twarzy.

– Ordynansem? – Bracia Hrubesch aż tak wysoko nie cenili młodego rudzielca.

– Raczej adiutantem! – Heniek z zadowoleniem stwierdził, że w końcu potrafił określić jednym słowem funkcję, którą miał sprawować rudy chłopak.

– Zbieramy się! – zarządził. – Ja jadę z Hermannem i truposzami, a Jürgen i Ronnie drugą ciężarówką.

Heniek był ciekaw, gdzie jest manufaktura. Jak tylko ruszyli, zapytał o to Hermanna.

– W Cicero, to takie miasto, które przylega do Chicago od zachodu. To miejsce, którym rządzi Al Capone, dlatego ludzie tacy jak Dingbat czy Alex mogą tam prawie wszystko. Między składem i rozlewnią jest pół godziny drogi.

– Czemu to wszystko jest tak porzrzućane?

– Nie wiem, ale zdaje się, że nim Iron Castle wpadło w tarapaty, to kupiło tę budę. Może przez to zbankrutowali, nie wiem.

Heniek wyciągnął papierosy, przypalił sobie jednego i zapytał:

– Chcesz zapalić?

Jürgen skinął głową, więc Heniek wetknął mu szluga w usta. Bliźniak przyjął to z wdzięcznością, bo obie ręce miał zajęte prowadzeniem samochodu.

– Kiedy mieliście zwieźć szampany?

– W zasadzie to powinniśmy już być w drodze, przed nami było osiemset mil, a to pudło nie może jechać szybciej niż dwadzieścia dwie mile na godzinę.

Heniek pokiwał głową, trzydzieści pięć kilometrów na godzinę dla wozu, który może wieźć prawie tonę towaru, to wcale dobry wynik, ale fakt, odległość była potężna, przed nimi były ponad dwa dni jazdy.

– Dokąd mieliście jechać, do Nowego Jorku?

– Ich szef Dutch Schultz rządzi w Bronksie i w Harlemie, ale mieliśmy stanąć chyba w New Jersey.

– Czemu?

– Nie uzgadniali tego z Dutchem. On kontroluje niemal wszystko, co płynie przez jezioro Erie i z Toronto trafia do Nowego Jorku przez Buffalo. Chłopcy chcieli mu zrobić małą konkurencję, dorobić na boku.

– Więc ukrywali to przed Dutchem.

– Raczej tak.

Raczej na pewno tak, pomyślał Heniek. Skoro ten cały Schultz ma opinię skończonego bandyty, to nie miał prawa się dowiedzieć o małym interesiku swoich ludzi.

– Ktoś miał z wami jechać?

– To żaden duży konwój, poza tym oni czują się silni, znają gliny i mniejsze gangi. Poradziliby sobie.

– Ktoś miał im pomagać?

– Mieliśmy jechać w dwie ciężarówki, tylko my i ich dwójka.

Jest dobrze, pomyślał Heniek. Mogą więc spokojnie wyrzucić nocą trupy do rowu za miastem. Teraz większym problemem będzie pozbycie się prawie tysiąca butelek po szampanie. Na razie mógł więc zmienić temat i pytać Hrubescha o inne rzeczy.

– Więc jesteście z Hamburga?

– Tam się urodziliśmy – bąknął Jürgen.

– Słyszałem, że ci z Hamburga to niezłe typy, zabijaki,

twardziele, że nie pękają!

– No, urodziliśmy się w Hamburgu, a potem mieszkaliśmy w Bawarii, nasz ojciec był piwowarem, ale jak mówiliśmy, że jesteśmy z Hamburga...

– ...to wszyscy patrząc na was, myśleli, że jesteście wielkie zabijaki i że lepiej z wami nie zadzierać – dokończył Heniek i szybko postawił kropkę, bo nie chciał brnąć dalej. On też przeraził się ich nieprzyjaznych twarzy, wielkich sylwetek i hamburskiego pochodzenia. Wyglądali jak zawodowi bandyci, tymczasem okazali się gamoniami, którzy nie wiedzą, co zrobić z pistoletami. – Nie potraficie się posługiwać bronią, byliście w wojsku?

– Na szczęście nie. Jak wybuchła wojna, to mieliśmy po trzynaście lat i wprost przebieraliśmy nogami, żeby pójść do wojska. Byliśmy jednak za młodzi, o wiele za młodzi, więc zazdrościliśmy kolegom, którzy mieli rok więcej, że się zaciągnęli i jako bohaterowie szli na front, a później... – Jürgen zawiesił głos – chodziliśmy na ich pogrzeby. Na początku to były wydarzenia, potem już spowszedniało. Wiedzieliśmy, że nie byli bohaterami, tylko mięsem armatnim, baliśmy się, że śmierć zapuka też i do naszych drzwi, że pošlą nas pod Verdun albo w inne z tych okropnych miejsc, gdzie odbywały się rzezie. W gazetach o tym nie pisali, ale ci, co wracali z frontu, zwłaszcza kalecy, opowiadali o tym, jak to naprawdę wygląda. Maszynka do mielenia mięsa, tak mówili. Wojna skończyła się w samą porę, urodziliśmy się w końcu listopada, jeszcze parę dni i... – Jürgen zachichotał i po raz pierwszy chyba jego śmiech wydał się Heńkowi naprawdę zabawny i wesoły. – I tak uratowaliśmy swoje tyłki, a niedługo później udało nam się wyemigrować do Stanów.

– Parę lat temu, czyli tuż po wielkiej wojnie... – zastanowił

się Heniek. – To chyba nie był dobry kierunek dla Niemców. Ameryka nie pokochała ich za wojnę w Europie.

– Meksyk to też Ameryka i też Stany Zjednoczone, nie wiedziałeś? – Zerkając na zdziwioną twarz Heńka, Jürgen mówił dalej, popisując się swoją wiedzą. – Meksykańskie Stany Zjednoczone, tak się oficjalnie nazywa państwo kaktusów, seniorit i tequili. Tam trafiliśmy na początku, bo wszędzie potrzebują fachowców od piwa, a do tego Meksykanie nie bili się z Niemcami, jak Jankesi. Było pięknie i słonecznie, ale tylko parę tygodni. Szybko znaleźliśmy się w Chicago, tam były wielkie browary. Matka błagała, żebyśmy się nie pakowali w tę historię, bo w czasie wojny wprowadzano ograniczenia w produkcji i sprzedaży alkoholu. Ale ojciec mówił, że to niemożliwe, by ktoś ustanowił prohibicję, a już zupełnie nie wierzył w to, że można zakazać produkcji piwa. Był tu ustawiony, wiele lat temu wyjechał do Chicago jego brat i on to wszystko zorganizował. W październiku, tuż po naszym przybyciu, przegłosowali tę cholerną osiemnastą poprawkę, a w styczniu tysiąc dziewięćset dwudziestego prohibicja weszła w życie.

– I co się z wami stało?

– Browar produkował cienkie piwo, ale oczywiście prawie nikt nie chciał pić tych legalnych szczyn, poszło więc z górki; bankructwo browaru i wszyscy ludzie na bruku. Pracowaliśmy więc jako tragarze, jakoś dawaliśmy radę, choć nie po to przyjechaliśmy do Ameryki – mówił Jürgen. – Mimo wszystko było lepiej niż w Niemczech. Tam od roku tysiąc dziewięćset piętnastego było słabo, przez kolejne dwa lata wojny jeszcze gorzej, a ostatni rok to już głodno i chłodno. – Heńkowi nie trzeba było tego tłumaczyć, to były czasy strasznej biedy. – To się nie skończyło wraz z wojną, Niemcy wciąż nie mogą się

wygrzebać, reparacje i tak dalej. Jest słabo, więc w sumie nie ma czego żałować, tylko Meksyku żal! Było cienko, ale z czasem poznaliśmy szemranych gości, a raczej oni nas wyłowili. Lubimy trochę wypić, więc szybko trafiliśmy do nielegalnych barów, a w jednym z nich dostaliśmy nocną robotę nad jeziorem Michigan. Rozładowywaliśmy tam kutry i łodzie, które szmugłowały whisky z Kanady. Zaczęły się przyzwoite pieniądze, ale tak naprawdę dobrze było dopiero wtedy, kiedy spotkaliśmy Magatha. Szukał ludzi mówiących po niemiecku, chciał się jakoś wprowadzić w temat i trafił na nas. Wyglądał nieszczerólnie, ale okazał się spryciarzem. Wystarczyło, że poznaliśmy go z Alexem, który zorganizował sobie szmuglerską flotyllę, i razem wpadli na pomysł wzmacniania piwa. Magath się śmiał, że przyjechaliśmy tu pracować w browarze, więc pracujemy przy piwie. Bardzo go to bawiło. Pies go ganiał, zarabialiśmy dobrze aż do czasu, gdy przekręcił nas na te pięćdziesiąt kawałków. Przekręcił jeszcze Vogtsa i Rubinsteina, po czym wziął nogi za pas.

– Czemu to zrobił?

– Jak to czemu? Z Niemiec przyjechał jego zmiennik, niejaki Henry Haas – zaśmiał się Jürgen. – A on sam miał wracać do Berlina. Z rok temu może by wrócił, ale tu poczuł wolność. Żona trzymała go pod pantoflem, córka go nie szanowała, a tu... Zobaczył inne życie, poznał luksus, a dziwki go kochały i to wcale nie za wygórowane pieniądze. Na koniec poznał pewnie jakąś ciepłą wdówkę i zupełnie mu odbiło, pewnie dlatego zrobił przekręt i pojechał w siną dal.

– Pewnie dlatego – przytaknął Heniek i od razu pomyślał, czy Magath zdążył wyczyścić bankowe konto firmy i ile pieniędzy mogło tam być.

Miał do Jürgena jeszcze jedno pytanie.

– Nie podobał wam się wyjazd Magatha?

– Nie za bardzo, myśleliśmy, że nas zwolnisz, że rozwalisz ten interes. Magath nas przed tym ostrzegął, dlatego włożyliśmy w ten szampański biznes wszystkie oszczędności. Plan był taki, że dostaniemy trochę zaległej kasy, do tego szmal zarobiony na szampanie, i zmyjemy się razem z nim.

– Czemu?

Jürgen popatrzył na Heńka, jakby to on był mało lotnym, ociążałym olbrzymem.

– Wychodziło na to, że zamkniesz ten kramik, tak to malował Magath, dlatego trzymaliśmy cię z dala od manufaktury.

– A teraz jedziemy tam razem.

Hrubesch kiwnął głową, był już zupełnie skołowany, jeszcze parę godzin temu był bogaty i miał razem z bratem plan na przyszłość, teraz zaś został bez grosza i był na łasce typa, przed którym ostrzegał go Magath. Ich stary szef okazał się oszustem, a ten nowy staje się ostatnią deską ratunku.

– Jak już tak sobie wszystko mówimy, to powiedz, jak działa ta nasza – Heniek zaakcentował słowo „nasza” – gorzelnia.

– Tu bardziej mieszamy i składujemy, owszem, jest parę bojlerów coopera, ale to tylko na zapas i wszelki wypadek. Nie ryzykujemy, bo to strasznie śmierdzi.

– No to skąd macie bimber?

– Z małych domowych wytwórni. Wymyślili to Włosi, Al Capone ma tysiące takich dostawców. W każdym domu we włoskiej dzielnicy jest mała gorzelnia, więc Alex, Dingbat i Magath zrobili to samo w Avondale. Dogadali się z Polakami z tego ich Jackowa i stąd mamy bezpieczny, sprawdzony towar. Dlatego nie było nas na miejscu, jeździliśmy po alkohol, jeden

z nas zlewał i nosił, a Magath trzymał kasę. A jak była jakaś awaria, to wymienialiśmy na poczekaniu bojler, żeby produkcja nie stawała. Proste?

– Proste.

Zajechali pod manufakturę, która wyglądała jak warsztat samochodowy prowadzony przy Wolskiej ze stryjkiem Jankiem. Dawna wytwórnia kas wydawała się oczywiście większa, ale nie było to tak naprawdę nic specjalnego. Gdy wjechali, na miejscu stały dwie przyzwoite limuzyny, przy których kręcili się elegancko ubrani goście. Było ich ze sześciu, wszyscy mieli wyglansowane buty, porządne garnitury oraz kapelusze z czarną wstążką. Dwaj z nich trzymali się razem i to oni ruszyli w kierunku ciężarówek prowadzonych przez Hrubeschów.

– Co to jest, czy to poważny interes, czy jakiś burdel?

– zaśmiał się pierwszy z nich, zaczesany na brylantynę przystojniaczek, niewiele pewnie starszy od Heńka. Śmiech miał jak szakal, tak przynajmniej Heniek wyobrażał sobie dźwięk, który w książkach opisywano jako śmiech szakala. – I to marny burdel, bo w porządnym bajzlu wszystko musi grać, a przede wszystkim, oczywiście poza kurwami, musi być alkohol. Dziś piątek, a jutro sobota, chcecie, żeby klienci byli trzeźwi? Mniej wypiją, mniej zapłacą, mniej będą mieli ochotę na panienki, a każda panienka przynosi dolara od numerka!!! – Tym razem śmiech przystojniaczka nie przypominał już wycia szakala, to było jak pianie koguta. Heniek doszedł do wniosku, że musi być to gangster nazywany Dingbatem.

– John, rozgadałeś się jak zwykle, a sprawa jest prosta, mamy opóźnienie. – Drugi z gości był nieco starszy, ubrany na ciemno, a rysy zdradzały, że musi być starozakonnym, a więc to pewnie Alex. – Gdzie jest Magath?

Heniek nagle poczuł, że ma inny scenariusz niż ten, który

z trudem realizował od rana.

– Ja teraz jestem nowym Magathem, Henry Haas. – Z dumą złożył zdanie po angielsku. – A o to, gdzie jest Felix, zapytajcie ich.

To mówiąc, podszedł do ciężarówki, Alex i Dingbat podążyli za nim, Heniek pokazał Hrubeschom, by opuścili burty, po czym wskoczył na pakę i zerwał plandekę.

Widok zrobił wrażenie nawet na gangsterach.

– Ho, ho, ho – zapał Dingbat. – To chyba te dwa skurwysynki z Nowego Jorku, które przyjechały do nas węszyć! Coś niewyraźnie wyglądają. – Mówiąc to, zaczął się zwijać ze śmiechu i kręcić taneczne piruety.

– Czy to są chłopaki od Dutcha Schultza? – Alex nie mógł uwierzyć. – Czy to oni?

– Nie wiem, kto to jest, wiem tylko, że przyszli do nas i zaczęli się rządzić, a wuj Felix jakoś to znosił. Miałem wrażenie, że robią jakiś interes.

– Jesteś kuzynem Felixa? Nic nie mówił o tobie.

– Miałem mu pomóc, ale zamiast być jego prawą ręką, musiałem przejąć interes. – Heńkowi skończył się słownik, więc popatrzył wymownie na Ronalda, by ten ratował sytuację. On sam już nie bardzo wiedział, jak dokończyć opowieść, a na pewno nie chciał pozwolić na to, by zrobili to Hrubeschowie.

– Pan Haas, nowy wiceprezes firmy, obawia się, że panu Magathowi stała się krzywda.

– A ty, chłopczyku, jesteś Piotruś Pan czy jakiś cholerny Huck Finn? – zaśmiał się Dingbat.

– Panie Oberta, panie Sycowski – rudzielec z szykiem uchylił czapki. – Miło mi panów poznać i mieć okazję do przedstawienia mojej skromnej osoby. – Ronald i skromność, to niemożliwe, przemknęło przez myśl Heńkowi. – Jestem

asystentem pana Haasa. Szef jeszcze nie mówi po angielsku, jeśli panowie są gotowi na konwersację po niemiecku lub polsku, to proszę bardzo. Jeśli nie, to ja opowiem, co zaszło. Dżentelmeni, którzy leżą na ciężarówce, umówili się w The Loop z panem Magathem, po czym przyjechali i powiedzieli, że pan Magath przekazał im firmę, a także interesy, które robimy z panami w Cicero. Byli mało uprzejmi i grozili, ale...

– Panowie wiedzą, że jesteśmy spokojnymi ludźmi, ale ci dwaj przekroczyli wszelkie granice. – Przemowa Ronalda dodała odwagi bliźniakom. – Musieliśmy ich uciszyć. – Jürgen powiedział to w sposób tak zdecydowany, jakby to on, a nie Hermann, rozłupał czaszkę Bernardowi.

– Niestety nie zdążyliśmy się z nimi rozmówić
– powiedział zafrasowanym głosem Hermann. – Nie było okoliczności, musieliśmy się bronić, życie za życie.

Zapadła cisza.

– Nie zdążyliście się z nimi rozmówić? – wykrzyknął Sycowski, teraz on zaczął się śmiać. – Moim zdaniem odbyliście z nimi wyczerpującą, twardą rozmowę! Al mówi do mnie Little Tiger, ale to, co zrobiliście, to robota porządnych tłustych kotów!

– Dobra robota – podchwycił Dingbat. – Myślałem, że nadajecie się tylko do mieszania i noszenia, a tymczasem okazujecie się wcale sprawnym gangiem.

– Ten strzał to cudowna robota – mówił z autentycznym podziwem Alex Sycowski, przyglądając się przestrelonemu oczodołowi.

– Panowie wybaczą, ale przetłumaczę wszystko panu Haasowi – wtrącił się Ronald. – Szefie, oni mówią, że jesteśmy silnym gangiem i potrafimy pięknie strzelać i twardo rozmawiać.

– Podziękuj za te miłe słowa – powiedział Heniek i od razu

pomyślał, że powinni mieć nazwę „gang, który nie umie strzelać”, bo tylko on wiedział, jak się naciska na cyngiel, tylko on umiał walczyć. Umiejętności RONALDA nie był pewny, poza tym, że na pewno chłopak przytomnie myślał i był mocny w gębie. O Hrubeschach nie mógł powiedzieć nawet tego.

– Dobrze, że mamy tych gnojków z głowy – Dingbat wskazał na ciężarówkę, Al i Big Tim[23] się ucieszą. Musimy tylko zastanowić się, jaki pogrzeb im zgotować.

– Wrzucamy ich do rowu? – zastanowił się głośno Alex.

– A może jakaś zupełna nowość i zamiast na przejażdżkę w jedną stronę po szosie wyślemy ich na wycieczkę po jeziorze?

– Dingbat ucieszył się ze swojego pomysłu.

– To faktycznie byłoby coś nowego! – Alexowi Sycowskiemu też się spodobało.

Oberta i Sycowski wydali swoim ludziom odpowiednie polecenia.

– I to się nazywa owocna współpraca – zapał po swojemu Oberta i zakręcił się tanecznym krokiem. – Henry i jego ludzie zorganizowali dwóch interesujących nieboszczyków, a my ich pięknie zagospodarujemy! Wyślemy obu jako pocztówkę do tych dupków z Nowego Jorku. Jak tylko dwa tak pięknie zrobione trupy zostaną odnalezione w łódce, reporterzy oszaleją z zachwytu. Będzie artykuł na artykule! Koniecznie trzeba im zostawić dokumenty, bo twarze mają coś niewyraźne. – Tym razem śmiech Oberty przeszedł z piania koguta w skowyt szakala. – A Dutch ma się dowiedzieć, że jego pętaki niepotrzebnie wyjechały na wycieczkę. Szkoda tylko Felixa. – Oberta rozłożył ręce w teatralnym geście. – Nasz przyjaciel, świeć Panie nad jego duszą, nie przeczyta już raczej tytułów w gazetach. – Tu wzniosł wzrok, po czym wykonał gest błogosławieństwa. – No, chyba że mają prasę u świętego Piotra.

– Na finał Oberta obowiązkowo zaśmiał się przeraźliwie.

– Szkoda, wielka szkoda, ale zostawił godnego następcę, witamy na pokładzie! – powiedział Sycowski. – A teraz do roboty, klienci czekają na nowe dostawy!

Wszystko poszło sprawnie, według ustalonych procedur, tak jakby to była praca w fabryce marmolady, a nie dystrybucja zakazanego przez prawo alkoholu. Heniek był trochę skrępowany faktem, że mówił głównie przez tłumacza, ale szybko doszło do niego, że mocniej niż najkwieściej wypowiedziane słowa przemówiło do Dingbata i Alexa wykończenie nowojorskich cyngli. Wielokrotnie klepali jeszcze Heńka po plecach i mówili *good job*. To faktycznie była dobra robota, prawie bezszmerowa, z jednym tylko wystrzałem, ale za to kompletnie nieplanowana. Heniek nie planował też, że tak dobrze wczują się w swoje role Ronald i Jürgen. Przez to wyszli na zimnych killerów. Gdy już się rozstali z Alexem i Dingbatem, Hermann doskoczył do Heńka:

– Słuchaj no, Heinrich, jak żeś opuścił burty i ściągnąłeś tę plandekę, to myślałem, że umrę ze strachu.

– Ja też – dorzucił Jürgen.

– A ja wiedziałem, że jak zobaczą sztywnych killerów z Nowego Jorku, to nabiorą szacunku. – Ronald był jak zwykle pewny siebie.

– To czemu żeś tego nie zaproponował, jak wyjeżdżaliśmy?
– spytał Jürgen.

– Jakbym umiał wymyślać takie rzeczy, to byłbym szefem – zaśmiał się rudzielec. – Na szczęście mister Henry Haas ma głowę na karku, dobre oko i nie pęka.

– Tylko co będzie dalej? – powiedział ze spuszczoną głową Jürgen.

– Ciesz się, że w ogóle będzie jakieś „dalej” – spokojnie odpowiedział mu Heniek. – Musimy kombinować i nie tylko grać twardzieli, ale i być nimi.

Wszyscy pokiwali głowami. Bliźniacy Hrubesch jak skazańcy, którzy dowiedzieli się właśnie o terminie egzekucji, a Ronald z entuzjazmem.

– My musimy być górą! – zawołał.

Śmierć frajerom, pomyślał Heniek i zrobił minę, jaką powinien mieć pewny siebie przywódca gangu. Ale tak naprawdę czuł się marnie. Przyjechał tu po spokój, a tymczasem, nawiewając przed galimatiasem, w jaki wpadł w Polsce, tu w Chicago wplątał się w jeszcze większy młyn. Wszystko działało się za szybko i zmierzało w niespodziewanym kierunku. Nie minął miesiąc, a stał się szefem, ale nie porządnej firmy, lecz gangu, który nie tylko łamał ustawę o prohibicji, ale także zyskał u gangsterów morderczą reputację. Firma Iron Castle pokazała się Obercie i Sycowskiemu jako ta, która sprawnie wysyła na tamten świat najgroźniejszych ludzi Ameryki. Wszedł w buty, z których trudno było wyjść, widocznie takie było jego przeznaczenie.

IX

Śpiewak jazz-bandu

Heniek szybko wchodził w nowe środowisko i nowy biznes. Coraz więcej i odważniej szprechał, a co najważniejsze, pojął, jak się kręci chicagowski interes. To było jak dobrze naoliwiona maszynka, a on i jego ludzie byli bezpieczni, bo ich rozlewnia okazała się tylko małym dodatkiem do tego, co robili Oberta i Sycowski. Najważniejsze, że dzięki nim byli kryci z góry. Al Capone i Big Tim to szefowie ich szefów, a z takimi ludźmi można było w Chicago jeśli nie wszystko, to prawie wszystko. Korumpowali nie tylko policjantów i urzędników, ale także sędziów. Na strzał wystawiani byli jedynie drobni zbóje i płotki. Oni szli do mamra, gdy gangsterzy zażywali nie tylko wolności i bogactwa, ale także sławy. Ten cały Al Capone był popularniejszy od Douglasa Fairbanksa i Mary Pickford razem wziętych, a jego dowcipne wypowiedzi powtarzano tak, jakby to były gagi z filmów Chaplina.

Heniek pojął, że Amerykanie są trochę jak dzieci. Gdy był chłopakiem, to chciał być Robin Hoodem albo Rinaldo Rinaldinim, a tu w Ameryce dorośli nie wyrastali z takich marzeń. Prawie każdy chciał zostać po trosze sławą jak Al Capone. Bo któż nie marzył o tym, by być obrotnym, silnym gościem, co z szykiem prezentuje swe nieskończone bogactwo? Wielcy tego świata byli jego współnikami, bo pili dostarczany przez niego alkohol i mieli wspólnego wroga, czyli policjantów i federalnych. Zresztą czy w Polsce nie było tak samo? A ilu szemranych i żyjących w zgodzie z szemranymi było w Warszawie? Pewno więcej niż mniej. On sam pierwszy powinien to wiedzieć i rozumieć. Zwłaszcza fakt, że facet z blizną mścił się na wrogach w koncertowy sposób.

Zapalił lucky strike'a i pomyślał, co by tu zrobić, by zgarnąć bezpiecznie pieniądze i we właściwym momencie wrócić do Polski po to, by w chicagowskim stylu porachować się ze swoimi wrogami. Tu takie rzeczy robiono faktycznie z rozmachem, zajeżdżano pod lokal albo doganiano inne auto i z tych małych maszynek pruto, póki nie zrobiono z przeciwnika ludzkiego sita. Raz usłyszał ten terkot i wtedy zrozumiał, czemu mówią na to chicagowska maszyna do pisania. Faktycznie terkotało tak jak wtedy, gdy wprawna maszynistka uderzała palcami o klawisze.

Poszedł na miejsce zdarzenia i od razu pojął, czemu mówią o tym rozpylacz. Pociski leciały, jakby ktoś polewał ze szlauchu. Samochód, który rozwalono, i jego dwóch pasażerów przewierciła setka kul, a świadkowie mówili, że napastników było tylko dwóch. Policja już tego nie usłyszała, bo ludzie, którzy chętnie dzielili się swoją wiedzą z przechodniami, szybko nawiali, gdy tylko usłyszeli gwizdki pieszego patrolu i gong policyjnego auta. Takie było Chicago, wszyscy wiedzieli, co jest grane, ale policja nie miała dowodów i świadków. Heniek był już na prawdziwej wojnie oraz brał udział w szybkich ani wariackich akcjach. Wiedział, jak iść do ataku i jak nękać przeciwnika z zaskoczenia, bił się na bagnety i wjeżdżał do Kijowa tramwajem, był dywersantem na Śląsku, gdzie wysadzał mosty, a w Warszawie strzelał do komunistów w czasie pochodu pierwszomajowego i atakował wojska rządowe jako snajper w maju 1926. Widział więc i przeżył bardzo wiele, ale to, co działo się w Chicago, było całkowitą nowością.

Machine guns i auta zmieniły taktykę walki, poza tym istniały jeszcze ananasy, czyli bomby, którymi wysadzano konkurencję. Na szczęście byli dobrze skitrani i nie wchodzili w żadne układy poza tym z Sycowskim i Obertą. Po tym, gdy Al

Capone usunął z północnej części West Side braci Genna, zrobiło się w Chicago spokojniej. Na południu West Side siedział gang z Valley, czyli ludzie Ala – Terry Druggan i Frankie Lake. Na South Side rządzą Joe Polack Saltis i najbrutalniejszy zabójca, Frank McErlane, którzy nie wchodzili im w paradę. Gorzej było z North Side, gdzie mieli skład i magazyn, bo tam był George Bugs Moran, którego poprzedników wykończyli ludzie Ala. Nie było otwartej wojny, ale wciąż zdarzały się egzekucje przy użyciu thompsonów oraz wybuchy ananasów, czyli bomb domowej roboty. Byli też federalni, którzy podobnie jak część policjantów przestali już pukać do drzwi. Heniek wciąż nie mógł się przyzwyczaić do komfortowego poczucia bezkarności. Nie tylko Ronald, ale także Alex i Dingbat tłumaczyli mu, że zgarnięcie przez federalnych to nie koniec świata. Można było wziąć dobrego papugę, który potrafił przekupić prokuratora lub sędziego. Często sami federalni wypuszczali za głupich parę setek dolarów, a jak byli uparci, to kosztowało zwyczajnie więcej, bo prokurator i sędzia mieli swoje potrzeby. Nie było jednak przypadku, żeby siedział jakiś poważny gangster. Wpadały tylko płotki, amatorzy i ci, którym zachciało się zamordować kogoś na oczach sądu.

Heniek był jednak ostrożny i postanowił rozwijać legalną część interesu. Zajrzał więc do papierów, które Magath trzymał u pastora Luttelmanna. Okazało się, że były to prawdziwe księgi rachunkowe, które odsłoniły przed Heńkiem tajemnice funkcjonowania firmy. Dowiedział się, ile faktycznie było dochodu z kas, a ile z alkoholu. Z tych pierwszych kompletnie nic, ba, nawet się do nich dopłacało, ale jak się okazało, miały one kolosalne znaczenie w całym biznesie. Kilkadziesiąt kas, które „sprzedał” Magath, było tak naprawdę prezentami dla

skorumpowanych urzędników. Lista „kupujących” kasy była imponująca: sędziowie, prokuratorzy i oficerowie policji, a nawet agenci federalni.

Każdego miesiąca, według ustalonej listy, pieniądze z alkoholowego biznesu trafiały do właścicieli kas. Kto „kupił” kasę, ten był na pensji, pierw Felixa Magatha, a teraz Henry’ego Haasa. W tym miesiącu ich aniołowie stróże dostali swe wypłaty dosłownie w ostatniej chwili, a wypłacił je z własnej kieszeni Heniek. Tak jak przypuszczał, firmowa kasa świeciła pustką, podobnie jak jego własne kieszenie. Najważniejsze, że nie było długów i wiedział, co się dzieje. Zachodził w głowę, czemu Magath to zrobił, dlaczego nawiał i jednocześnie zostawił wszystkie papiery? Pastora Jacoba Luttelmanna nurtowało coś zupełnie innego.

– Jak to możliwe, że Felix wyjechał bez pożegnania?
– kręcił siwą głową duchowny. – Przecież zawsze był taki obowiązkowy, zresztą widzisz, mój chłopcze, całą księgowość prowadził z niezwykłą starannością.

Heniek nie powiedział Luttelmannowi o podwójnym życiu Magatha, starał się natomiast wyciągnąć z pastora jakieś przydatne informacje. Na próżno, wychodziło na to, że Felix Magath naprawdę był doktorem Jekylllem i panem Hyde’em. Był defraudantem, cwaniakiem, oszustem, rozpustnikiem i pijakiem, który wyrósł z pruskiego podoficera – urzędnika, co prędzej dałby sobie uciąć rękę, niż zaniechałby wykonywania swoich obowiązków i prowadzenia ksiąg. Musiał stracić kupę czasu na tę zabawę, ale widocznie wprowadzanie pruskiego drylu sprawiało mu tyle samo przyjemności, co chadzanie do szynków i lupanarów. A swoją drogą, ciekawe, jak on lubił się zabawiać z kurwami, pomyślał Heniek. Nałgał jeszcze pastorowi o tym, że Magath został pilnie wezwany do Berlina, po czym powiedział

do widzenia. Nie żegnał się z pastorem na zawsze, nadal bowiem uczył się u niego angielskiego, a jego plebania była najlepszym miejscem w Chicago, w którym można było trzymać papiery.

Po powrocie zasiadł za koślawym biurkiem Magatha, które przejął w firmowym składzie, i napisał sprawozdanie dla Beniowskiego i jego ludzi. Opisał ucieczkę Magatha, ale pominął informacje o tym, czym naprawdę się zajmowała chicagowska filia Eisenschloss. Przy okazji postanowił także sam pójść na pocztę, może w końcu będzie coś dla niego na poste restante.

– To na New East Side. – Ronald był jak połączenie mapy z książką telefoniczną i rozkładem jazdy. – Oczywiście, jeśli to poczta główna. Musimy wyciągać nogi, to zdążymy przed zamknięciem, dziś sobota i nawet pocztiarze chcieliby się zabawić!

New East Side i poczta położone były między rzeką, jeziorem i The Loop. Gmach przytłaczał swą wielkością i budynek Poczty Głównej z placu Wareckiego wydawał się teraz Heńkowi maleńki jak miniatuurka. Niestety, na pana Karola Maya z Silver Lake nie czekała żadna przesyłka.

Ściemniało się, więc poszli do The Loop, które świeciło piękniej niż choinka na święta. Heniek nigdy nie widział takich świateł i neonów, a przecież był nie tylko na Marszałkowskiej i Nowym Świecie. Chicago było o zmierzchu miastem bez porównania jaśniejszym niż Paryż i Londyn, nie mówiąc o Berlinie.

– Szefie, czy szef próbował frankfurterek, no, tych z bułką, co niektórzy mówią na nie hot dogi?

– Próbowałem, ale nijak to się ma do dawnych handelków, gdzie podawano serdelki.

Ronald nie ustawał w gastronomicznych propozycjach i na

widok wózka z hamburgerami zapytał:

– A hamburgerka by szef nie zjadł?

– Jak się pytasz, czy to dobre, to powiem, że możliwe, ale przy dobrym mielonym z bułką to to nawet nie leżało. Chcesz, to sobie kup, czy może wydałeś już wszystkie pieniądze?

– W zasadzie to tak.

– Co ty robisz z kasą?

– Postawiłem na okazję roboty parę kolejek chłopakom z gangu.

– Z jakiego gangu?

– No, z mojego, tu każdy należy do jakiegoś gangu. Każdy ma swoją paczkę, która najpierw się gania, później bije szyby, tłucze chłopaków z innych gangów, a koniec razem z resztą wieje przed policją. Szef nie był w gangu?

– U nas to się nazywało ferajna albo banda.

– Pewnie to znaczy to samo, ale gang brzmi lepiej

– napuszył się Ronald.

– To duży ten gang, skoro się splukałeś – zaśmiał się Heniek, klepiąc Ronniego po plecach.

– Zwyczaj, kilkunastu takich jak ja. – Rudzielec się naprężył, jakby był co najmniej Dempseyem lub Tunneyem.

– Tylko ty pracujesz?

– Mało kto pracuje, każdy by się chciał poobijać, ale każdy kombinuje, jak może. Szef wie, jak to jest, co nie? – Chłopak uśmiechnął się po swojemu, od ucha do ucha.

– A ciebie wujek zagonił do roboty, a do tego kutwił

– skwitował jego uśmiech Heniek.

Ronald pokiwał głową.

– Zgadza się – odpowiedział bez entuzjazmu.

– Czemu kutwił? Bo kutwa z niego czy może wyciąłeś mu jakiś numer?

– To mój stary wyciął numer, że dał się zastrzelić. Wujek Ritchie się stara, złego słowa nie dam o nim powiedzieć, on musi wykarmić swoją sześciuosobową rodzinę, matkę i teściów, a do tego siostrę i jej czwórkę dzieci, to za dużo, nawet jak na jeden dobry sklep rzeźnicki. Cały czas podrzuca coś do żarcia, a mnie zatrudniał, choć nie potrzebował żadnej pomocy do roboty.

Heniek pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Dajesz pieniądze matce? – zapytał, wbijając w rudego chłopaka wzrok.

– Ma się rozumieć! – odpowiedział Ronnie.

Rudzielec na pewno umiał zakładać bajer i był w tym mistrzem, ale Heniek miał wrażenie, że tym razem mówi prawdę.

– A ktoś jeszcze pracuje? – drażył dalej.

– Starsza siostra sprząta w fabryce.

– Okay, rozumiem, to co... – Heniek wskazał na ulicznych sprzedawców.

– No to po hamburgerze albo po frankfurterze!

– Jedno i drugie, Ronald, jesteśmy po fajrancie, a jutro niedziela!

Ronald zjadł trzy porcje i nadal nie wyglądał na najedzonego, Heniek zaś najadł się od samego patrzenia na to, jak chłopak pałaszował bułki, parówki i hamburgery.

– Trzeba to jakoś popić – zarządził Wcisło.

– Szef jest *wet* czy *dry*? Pytam, bo nie widziałem, żeby szef konsumował.

– Nie rozumiem.

– Czy szef woli trunki dla dorosłych, czy też jest za prohibicją? Jak szef jest pijący, to jest *wet*, czyli mokry, a jak nie, to jest *dry*, znaczy się suchy! Tak się teraz podzieliła

Ameryka.

– Jestem zdecydowanie za prohibicją, bo mamy z tego dobry pieniądz, ale pić, piję. Jak cię znam Ronald, to chcesz się napić?

– A jak?!

– Znasz jakiś adres?

– Tutaj to nie, musimy wracać do nas. Tu tacy jak ja mogą pracować na zapleczu, a nie bawić się przy alkoholu. Wracamy do siebie!

Po pół godzinie byli w tajnej speluncie i tłoczyli się przy barze. Heniek usłyszał, jak Ronald zamawia dwa razy *coffin varnish*! Znów jakiś cholerny rebus, popatrzył, co wydarzy się dalej. Barman nalał wódki.

– Lakier do trumny – szepnął Ronald, jakby był suflerem w teatrze. – *Coffin varnish* to znaczy lakier do trumny.

– Politura?

– No, coś tak jakby!

– Chyba wszędzie na wódkę mówią tak samo!

– *A white mule*?

– Biały muł?

– Bardziej ścieki, biały syf – wyjaśnił Ronald.

– Trucizna?

– W sumie tak.

Heniek pokręcił głową, ludziom wszystko się podobnie kojarzy.

– Szeף się nauczy tego, jak wołają na konkretny alkohol, a pół słownika będzie z głowy!

Stuknęli się szklankami.

– Dawaj!

– *Horse liniment*!

– Końskie... szczyzny?

- Nie! – Ronald wybuchnął śmiechem. – Końska maść!
 - To będzie proste: *monkey rum*. – Heniek pokiwał głową, tu nie było żadnych wątpliwości.
 - *Panther sweat?*
 - Słodka pantera?
 - Nieee! Szefie, *sweat*, a nie *sweet*; pot pantery. *Tarantula juice?*
 - Sok z tarantuli!
 - *Moonshine?*
 - Coś z księżycem?
 - Księżycówka!
- Dopili podłą, ale mocną whisky do końca.
- No to co zamawiamy?
 - *Fuel! Heavy fuel!* – ryknął Heniek do barmana, pokazując dwa palce.
- Barman zrozumiał bez pudła.
- Kto nie jest suchy, zawsze da radę! – wykrzyknął Ronald na cały głos.
 - Zdrowie wszystkich mokrych! – odpowiedział ktoś z drugiej strony baru.
 - Psss! – Barman przypomniał o tym, że nie są w zwykłym lokalu.
- Ronald przeprosił ruchem ręki, podobnie jak facet, który odpowiedział na jego toast.
- Było miło, ale Heńka trochę uwierał nastrój. Ludzie szeptali, nie podnosili głosu, nie śmiali się i nie śpiewali. Heniek nie lubił rejuwachu, ale jak na jego gust było troszkę za cicho. Alkohol też nie był najlepszy.
- Takie czasy – skrzywił się Ronald.
 - A znasz inne?
 - Znam tylko prohibicję, bo jak ją wprowadzili, to miałem

jedenaście lat.

Heniek zauważył, że barmani podają także dziwne kolorowe trunki.

– Co to jest?

– To koktajle, mieszają berbeluchę z różnymi sokami i lepszymi alkoholami, żeby tak nie śmierdziało. Babki to lubią!

Faktycznie, to, co różniło szynk w Chicago od tego w Warszawie, to liczba kobiet, które piły równo z mężczyznami.

– To flapperki, młode babki, które chcą być jak faceci, ale na szczęście wciąż wyglądają jak kobiety, chociaż niektóre z nich uważają, że duże cycki to obciach. Noszą się krótko, włosy mają obcięte, pokazują nogi, piją i łażą na *petting parties*.

– Na co?

– *Petting parties*, czyli imprezy, na których się obściskują z facetami, a nawet trochę macają.

– Są takie hop do przodu?

– Głównie te z lepszego towarzystwa.

– To prostytutki chodzą głodne.

– Gdzież tam, aż tak wyrywne to te panusie i dziewczuchy nie są. Więc poobściskuje się taki gość, napali się, jak trzeba, a tu kramik zamknięty, więc trzeba walić na pogotowie ratunkowe i oddać się w złote rączki jakiej panny. Dwa dolary i po bólu! Niektórzy od razu walą tam, gdzie trzeba, rach-ciach-ciach i po wszystkim, bez żadnej straty czasu. Wie szef, jak to jest, facet zakochuje się szybko, zwłaszcza jak przyjmie parę kolejek – roześmiał się Ronald. – A babki to tak powoli, za to romantycznie. Im się najbardziej podoba wszystko to, co przed, więc tak kombinują, żeby mieć sto razy przed! Facetom te korowody niepotrzebne, więc panienki z lupanarów z głodu nie padną. No to co? – Widząc przyzwolenie Heńka, Ronald zawołał barmana: – Trzepnij nas pan Białym

Piorunem[24]!

Walnęli więc po kolejce, a Heńkowi zebrało się na pytania.

– Ronald, a jak tu wodują statki?

– Mówią, że walą o kadłub butelką z wodą gazowaną, ale na mój gust to mają to gdzieś.

– A ten cały Al Capone jaki jest?

– Rozrzutny! Każdy z nich jest rozrzutny, ale Snorky to wyjątkowo.

– Jak na niego mówisz?

– Snorky, znaczy się elegant. I to jaki! Chyba co tydzień ma nowy garnitur szyty na miarę, nosi pełno złota, no i te diamenty! Jak wpada do swojego lokalu i nie ma melodii do zabawy z innymi, to zamyka budę i siedzi sam, ze swoimi chłopakami i panienkami, ale jak ma nastrój, to daje pieniądz na stół i wszyscy się bawią na jego koszt. Gazeciarzowi potrafi dać piątkę, a taksjarszowi stówkę, tak w ogóle to nie zna innych banknotów jak studolarowe, a pozbywa się ich tak, jakby padał wokół niego zielony śnieg. Ale stać go na to. Połowa burdeli, gorzelni, browarów i domów gier pracuje dla niego.

– Lubi się zabawić.

– Jak cholera, spotkać go na swojej drodze to szczęście, chyba że się jest butlegerem, który robi interes na jego sajcie.

– Kim, co?

– Butlegerem, nielegalnym sprzedawcą gorzały, który prowadzi handel tam, gdzie rządzi Al Capone, znaczy się na jego podwórku. Rząd i policja cię nie złapią, ale Al Capone zawsze! Jest bezwzględny, ale ludzie go kochają.

– Jak się lubi zabawić, to znaczy się, lubi wypić...

– A wcale że nie! Mówią, że pije akuratnie tyle, ile trzeba. Al to nie jest *whale*, na pewno nie!

– *Whale*? – Tego słowa nie mógł sobie przypomnieć,

a może jednak... – Ryba? – wykrzyknął zadowolony.

– Ryba to *fish* – zaśmiał się Ronald. – Ale od teraz szef będzie pamiętał, *whale* to wieloryb, a wieloryb to taki, co lubi wypić.

– Rozumiem, czyli Al nie jest wielorybem, Al się nie upija.

– Pije tyle, ile trzeba, a dokładnie mniej niż więcej. Tak mówią. – Ronald podawał to jak nie lada jaką sensację. – Robi w alkoholu, jest kozakiem i nie pije!

– Może dlatego tak dobrze sobie radzi? Marszałek pije mało, za to dużo pali, pali jak smok i niszczy swoich wrogów jak smok.

– W jakiej branży robi ten Marszałek? – zainteresował się Ronald. – Nie znam tej ksywki, gdzie jest jego rewir, Warszawa czy Berlin?

– Bywało, że i Wilno, Kijów, Petersburg, a nawet Tokio.

Ronald pokiwał z uznaniem głową.

– Szef dla niego pracował?

– Tak. Dla niego i organizacji.

– Jak się ten gang nazywa?

– Kiedyś ci opowiem – westchnął Heniek, klepiąc Ronalda po plecach. – Kiedyś ci o tym opowiem, a teraz do domu. Już ustaliliśmy, że ci, którzy dużo robią, nie piją najwięcej! Chcę pójść jutro do kina, mieszkam w Ameryce, a nie obejrzałem tu jeszcze żadnego filmu.

– Doskonale! – ucieszył się rudzielec. – W niedzielę ci, którzy wybierają się na tamten świat, walą do kościoła, żeby wyprosić o dobrą miejscówkę w niebie. Ci, którzy mają tu jeszcze coś do zrobienia, mogą pójść do kina.

– A grają co dobrego? – zapytał Heniek z głupia frant. Bo w końcu był w Ameryce, gdzie kręcono najlepsze filmy.

– *Wings!*

– Co?

– *Wings*, znaczy się *Skrzydła*, film o lotnikach i wojnie!

– Serio, jest taki?

– W Ameryce jest wszystko!

To był film, na który czekał i o którym marzył. Samoloty zawsze pobudzały jego wyobraźnię, każdy lot aeroplanu nad Warszawą był świętem, a w czasie wojny najpiękniejszą rzeczą, jaką widział, były sterowce. Był świadkiem, jak niemiecki zeppelin rzucał ulotki, pamiętał, jak inny ciskał bomby. Po zajęciu Warszawy przez Niemców urządzono na Polu Mokotowskim przystań dla sterowców. Podchodził tak blisko, jak było można, a potem czekał na start. W czasie wojny z bolszewikami podziwiał przeloty Amerykanów, którzy walczyli w dywizjonie kościuszkowskim. Jego marzeniem był lot samolotem, ale póki było to niemożliwe, mógł pójść do kina na film o lotnikach.

– Ronald, czy ten film na pewno jest dobry?

– Dobry? – Rudzielec wykrzywił twarz. – On jest do-sko-na-ły!!! Byłem już na nim i mogę pójść z szefem, będę czytał napisy.

– Gdzie to grają?

– To wciąż świeży film, więc grzeją nim po zeroekranach, musimy jechać do Uptown albo Loop. Uptown to jest dzielnica na północny wschód od nas – wyjaśnił.

– Loop, chcę się tam w końcu trochę pokręcić.

– Okay, a jak do Loop, to walimy do Orientala! To piękny teatr[25], wyjątkowy, a wiem, że tam na bank grają *Wings*!

– Duży ten Oriental?

– Ogromny, wchodzi tam dwa i pół tysiąca ludzi, to istny pałac z wielkim ekranem i z doskonałą muzyką.

Heniek przypomniał sobie seanse w filharmonii, która

popołudniami zamieniała się w kino.

– Jedziemy tam autem?

– Ciężarówką pod tak eleganckie kino? Szefie, wygodniej będzie kolejką, pakujemy się w „elkę” i dojeżdżamy prosto pod kino.

– To co? Jutro pod kolejką. O której?

– Kwadrans po pierwszej!

Nazajutrz spotkali się na stacji i pojechali do The Loop. Na peronie Ronald wyciągnął gazety.

– Może lekturka? – Uśmiechnął się, jak to on, po szelmowsku. – „W Chicago Tribune” i „Chicago Examiner” piszą o nieszczęsnych turystach z Nowego Jorku. Na jeziorze Michigan znaleziono łódkę ze zwłokami dwóch ludzi. Reporter z „Tribune” pisze, że to gangsterskie porachunki, a ten z „Examinera” wie jeszcze więcej! To podobnie chłopaki z Nowego Jorku, podwładni Dutcha Schultza! – Mówiąc to, podetknął Henkowi pod nos gazety.

– Jest coś, o czym nie wiem?

– Nieee – zaśmiał się Ronald.

Po krótkiej jeździe było tak, jak mówił Ronald. Wysiedli z kolejki na położonym nad ulicą peronie, zeszli schodami w dół i za minutę stali już pod wielkim gmachem. Heniek nie mógł się oprzeć i zaczął liczyć:

– Jeden, dwa, trzy...

– Szkoda fatygi, szefie, dwadzieścia cztery piętra

– przerwał mu Ronald. – Szkoda fatygi i czasu, walmy do kasy, bo inaczej będziemy kupować od koników.

Zaopatrzyli się w bilety i weszli do wnętrza. Heniek zrozumiał, że w słowie pałac nie było żadnej przesady. W takim wnętrzu jeszcze nie był, sklepienia i ściany niemal jak w starym kościele, ale nie katolickim, tylko jakimś hinduskim czy

arabskim. Pełno zdobień, malowideł i złoceń. Ze ścian wręcz kapą. Sala była wielka, z piękną czerwoną kurtyną, wyściełane fotele lśniły tym samym kolorem. Usiedli na ogromnym balkonie, a Heniek po momencie oszołomienia doszedł do wniosku, że czuje się jak w Warszawie. Kino Colosseum przy Nowym Świecie też było piękne i mieściło prawie dwa i pół tysiąca widzów. Splendid w Galerii Luxenburga nie był tak wielki, bo mieścił tysiąc dziewięćset krzeseł, ale pod każdym innym względem był doskonały. Wyglądał jak egipski pałac, a sufit miał ze szkła. Gdy rozpoczynał się seans, dopływ światła odcinała mapa nieba, która zasłaniała wielki świetlik. To kino było jednak najpiękniejsze, w jakim był do tej pory.

– Super, co nie?

– Pięknie, naprawdę pięknie.

– Ale szef nie boi się nieboszczyków, co nie? – Ronald wyszczerzył zęby.

– Nie, a dlaczego pytasz?

– Bo tu był kiedyś teatr Iroquois i jak raz, poszedł cały z dymem. Spaliło się, zaczadziło i zdeptało ponad sześćset osób[26], a z kilkaset wylądowało w szpitalach. Ci, co wtedy kojfnęli, mają pewnie abonament i będą razem z nami oglądać film – zaśmiał się rudzielec i w tym momencie zgasły światła.

Zaczął się widowisko, jakiego Heniek jeszcze nie widział. Początek, jakich wiele, dwóch kumpli Jack i Richard oraz Mary, w której się kochali, ale później cała trójka poszła na wojnę, oni wstąpili do lotnictwa, a ona została kierowcą sanitarki.

– Pojeździłbym taką sanitarką – zachichotał Ronald.

Nie ma co, Heniek też by pojeździł, ale filmów z pięknymi kobietami widział wiele, a parę nawet miał możliwość poznać bliżej, za to samolotem jeszcze nie leciał. Walka z Latającym Cyrkiem barona von Kelermana wbiła go w fotel, myślał, że

Metropolis był wszystkim, co widział, ale tamto to była czysta fantazja, a tu poczuł prawdziwe emocje wojny i latania. Denerwował się, gdy Jacka zestrzelili Niemcy, i trzymał za niego kciuki, gdy przedzierał się do swoich. Wszystkie sceny lotnicze nakręcono z rozmachem i już w połowie filmu wiedział, że z *Wings* będzie tak, jak kiedyś było ze *Złodziejem z Bagdadu*. Będzie oglądał ten film na okrągło.

Lot samolotem tylko sobie wyobrażał, ale ujęło go, z jakim realizmem przedstawiono sceny walk na zwykłym froncie, marsze kolumn żołnierzy, okopy, walkę. Wybuchające pociski przypomniały mu ostrzał, w który dostali się pod Borowianką. Franek został wtedy ranny, a Walek Doliniak został tam na zawsze. Cholera, czemu nie na odwrót? Pijaństwo filmowego Jacka przypomniało mu, jak się zaprawili w Kijowie i wylądowali w areszcie. Wszystko było takie prawdziwe, a kolejne sceny tylko utwierdzały go w przekonaniu, że tak znakomitego filmu jeszcze nie widział. Nagie ramiona i plecy Mary[27], którą grała Clara Bow[28], wzbudziły jego namiętność, myślał o Leokadii, wspomniął szaleństwa na Majesticu, ale wkrótce o nich zapomniał, bo na ekran znów wleciały samoloty.

Jeszcze znakomitsze walki powietrzne, dramatyczny finał, w którym Jack stracił porwany przez Richarda niemiecki samolot. Skąd mógł wiedzieć, że strzela do maszyny, którą ucieka z niewoli jego przyjaciel? Ich pożegnanie, a na koniec powrót Jacka do domu i Mary, która wciąż go kochała. Znakomite, po prostu wyborne!

– To co, jestem Heinie? – zaśmiał się Heniek, bo tak właśnie mówiono o Niemcach w filmie.

– Jak szef jest Heinie, to ja jestem Rudzielec – parsknął Ronald. – Ale wolałbym, żeby szef mi mówił Ronnie!

– Okay, Ronnie. „Rudy” ciągnie się pewnie za tobą od zawsze.

– A żeby szef wiedział. – Pokiwał ryżą łepetyną. – To dlatego muszę być mocny i szybki. – Ronald Kennedy zatańczył jak bokser i zadał kilkanaście szybkich ciosów. – Pif-paf, pif-paf! – krzyczał.

Raz i dwa, trzy i cztery, kolejny mięczak padł na pysk! Jego ruchy były kocie, a ciosy dynamiczne, Heniek wyobraził sobie, że nawet przy jego mizernej wadze mogły siać popłoch. Na pewno wśród rówieśników, a jakby dobrze trafił, to złałby także sporego gościa.

– Widział szef lepszy film?

– Nie – odparł z całym przekonaniem Heniek. – Niczego lepszego nie widziałem.

– Ależ to byłby film, gdyby był z dźwiękiem – rozmarzył się Ronald. – Byłby wtedy absolutnie doskonały.

– Film z dźwiękiem?

– No tak! Od niedawna leci już film z dźwiękiem!

– O lotnikach?

– Nie, o jazzie, nazywa się *Śpiewak jazz-bandu*.

– Dobry?

– Jeszcze nie widziałem, ale mówią, że dobry.

– Jak dobry, to czemu nie byłeś?

– Świeżutki, październikowy, więc bilety drogie jak psia mać.

– Idziemy, sprawdź, gdzie grają!

– W Chicago ma się rozumieć. Biegnijmy, to minutę stąd!

Ronald nic nie przesadził, kinoteatr Chicago stał dosłownie minutę od Orientala. Budynek nie był tak wystawny, ale miał niesamowity, pionowy, wysoki na trzy piętra szyld z napisem Chicago. Wnętrze zostało urządzone z nie mniejszym

przepychem niż w teatrze Oriental, a sala była jeszcze potężniejsza.

– Ile tu jest miejsc?

– Ponad dwa osiemset. Kolos, co nie?

Kolejne dwie godziny spędzili, oglądając przygody młodego Żyda, Jakiego Rabinowitza, który nie chciał być kolejnym kantorem[29] w rodzinie. Ojciec nalegał, a chłopak się zawziął i śpiewał jazz przebrany za Murzyna.

– Lipa – powiedział po filmie Heniek. – Możliwy, ale po *Wings* to lipa, do pięt mu nie dorasta. A dźwięk... Myślałem, że będą mówić, a oni tylko śpiewali.

– Co racja to racja, ten Al Jolson przytomny śpiewak, ale... jakbym chciał posłuchać piosenek, tobym kupił płytę – dołączył do narzekania Ronald. – Ale w sumie nie żałuję.

– Ja też, ale spodziewałem się czegoś lepszego. Poza tym ten jazz był jakiś taki grzeczny, coś mi się wydaje, że czarni grają z większym biglem.

– Co racja to racja, jak szef chce posłuchać prawdziwego jazzu i zobaczyć ludzi, którzy rządzą Chicago, to możemy się przejść do knajpy Green Mill na North Broadway. Tam jest najlepsza muzyka i prawie wszyscy najważniejsi ludzie spotykają się w tym miejscu. Al Capone i jego porucznik Jack Machine Gun McGurn mają tam udziały, zresztą, gdzie oni nie mają udziałów!

– Byłeś tam?

– Nie, ale słyszałem.

Heniek się zorientował, że Ronald prawie wszystko wiedział, ale jeszcze niewiele widział. Nic dziwnego, bo na The Loop i modne kluby nie było stać szczeniaka, który dopiero co zaczął zarabiać i musiał jeszcze wykładać flotę na rodzeństwo. Po półgodzinie kolejką i pieszo dotarli w końcu na North

Broadway. Było już ciemniej i to nie tylko dlatego, że zaszło słońce. Po prostu w The Loop było więcej latarni, neonów i oświetlonych witryn. Przy tamtej wspaniałej dzielnicy ta okolica była tylko dwu-, trzypiętrowym przedmieściem, a Green Mill Jazz Club wyglądał przy kinach, w których byli, jak psia buda. Ale wokół kręciło się sporo ludzi i grała muzyka. Wbili się do środka i Heniek ruszył w kierunku wolnego stolika, a wtedy drogę zastąpił mu kelner.

– To miejsce jest zajęte!

– Jest puste.

– To miejsce jest zawsze zajęte! – Kelner był stanowczy, a Ronald pociągnął Heńka za rękaw.

– Daj pan spokój, szefie.

Heniek posłuchał, kto wie, do kogo należał ten stolik.

Stanęli przy barze i zamówili piwo. Heniek

z zadowoleniem stwierdził, że było wzmacniane alkoholem.

Trafili w punkt, bo właśnie na scenę wyszedł Murzyn z trąbką.

Usta miał wielkie nawet jak na czarnego, a po reakcjach publiczności widać było, że był znany i lubiany. Wszedł na scenę i pomachał ręką widzom. Zaczął grać. Grał niezwykle, a do tego śpiewał.

– Kawał artysty!

– Słabych to nie wpuszczają na scenę – skwitował Ronald.

Tak, z pewnością ten gość nie był słaby! Po krótkim występie była przerwa, a po niej trębacz powrócił. Zrobiło się trochę zamieszania, bo na scenie pojawili się nowi ludzie.

Artysta przemówił:

– Oto mój następca w tym miejscu, Cab Calloway! Nie gra na trąbce, bo nie musi, posłuchajcie tego głosu i popatrzcie na jego ruchy!

Szczupły wysoki młody Murzyn z wąsikami istotnie ruszał się w niebywały sposób; miękko jak kot i nawet gdy stał, zdawał

się płynąć. Był połączeniem niebywalej elastyczności, miękkości i energii. Cały czas poruszały się jego biodra i kolana, jakby się skradał po scenie. Klepnął na powitanie dłoń trębacza, po czym wykonał piruet i kilka kroków jak czapla lub bocian.

– Dzięki, Louis. Witam państwa, zaczynamy!

Do niezwykłych ruchów doszedł jeszcze piękny głos, przejmujący, melodyjny, w sam raz stworzony do śpiewania. Był niesamowity!

Ci Murzyni, którzy grali półtora roku temu w Czarnym Kocie u Szpica i Stempla, byli świetni, ale to teraz... Wtedy jazz Heńka zainteresował, ale teraz porwał.

– Spytaj kogoś, jak się nazywa ten z trąbką.

Ronald zrobił to we właściwy dla siebie sposób, poszedł do baru i zamówił dwa piwa.

– Barman mówi, że to grajek z Nowego Orleanu Louis Armstrong, dziś żegna się z publiką. Nazywają go Satchmo – znaczy się wielkie usta, no faktycznie, wargi ma jak poduchy, to chyba od tego pociskania w trąbkę!

Właśnie zaczęło się solo Armstronga i Heniek zrozumiał, że jeśli kiedyś wróci do Warszawy, to zrobi tak jak Szpic, Stempel, Weiss i wielu innych – otworzy knajpę, klub albo kino. A może wszystko naraz? Był w Ameryce niespełna trzy miesiące, a już czuł, że podbija świat!

X

Człowiek z blizną

Kolejne tygodnie przyniosły ważne zmiany, wydarzenia i decyzje. Przede wszystkim w wielkim gmachu poczty pan Karol May z Silver Lake doczekał się wreszcie przesyłki. Heniek szybko odebrał kopertę i żegnając towarzyszącego mu Ronalda, udał się do swojej nory nad składem. Ronnie wprost wychodził ze skóry, żeby się dowiedzieć, kto, co i jak. Koperta mieściła w środku list i jeszcze dwie mniejsze koperty. List był od Julka, a w kopertach... W pierwszej, którą otworzył, znajdował się list od Stefy. Siostrzyczka pisała, że wraz z babcią dzielnie znoszą jego nieobecność i że niczego im nie brakuje, bo dbają o to przyjaciele i rodzina, oraz że ma dobre stopnie i nowe przyjaciółki. Po szybkiej lekturze rzucił się na drugą kopertę, w której znajdował się list od Leokadii. Był smutny, pełen ledwo powstrzymywanych wyrzutów. Na koniec informacja, że go kocha, pragnie i że znów pojechała do Paryża do Instytutu Radowego, i że jeśli wszystko dobrze pójdzie, to za kilka lat będzie pracowała w identycznym instytucie, który ma być otworzony w Warszawie. Poczuł się dziwnie, może spodziewał się łez, lamentu i bezgranicznej tęsknoty? Ale czemu, przecież nie chciał, by cierpiała. A jednak był rozczarowany.

Sam nie wiedział, co o tym myśleć, pragnął jej i kochał ją, ale wciąż wracał myślami do tygodnia, który spędził z Patricią Robinson. Wątpliwości i niewygodne myśli oddalił od siebie czytaniem listu od Julka. Beniowski przeproszał, że przesyłka szła do niego tak długo, bo najpierw musiał stworzyć bezpieczny kanał przerzutowy. Faktycznie list nie szedł prostą drogą, bo stempel na kopercie i znaczku wskazywał, że przyszedł do niego z Nowego Jorku. Ktoś najpierw wyekspediował go do Ameryki,

a dopiero później, jako jedna z tysięcy przesyłek, trafił z Nowego Jorku do Chicago. Pisząc list, Julek nie znał jeszcze sprawy Magatha, donosił tylko o tym, żeby się uczył angielskiego i był gotowy na przejęcie firmy. Pytał, jak idą sprawy, jak wyglądają księgi, prosił o comiesięczne raporty. Pewnie zaraz przyjdzie kolejny list. Najważniejsze było na końcu. Kapitan opisywał, co się dzieje w Warszawie. Zapewnił go o pomocy dla rodziny i przede wszystkim podzielił się z Heńkiem swoimi podejrzeniami. Wychodziło na to, że tym, który kilka lat temu zdradził i doprowadził do śmierci dwóch bliskich mu osób, był Franek Wlazło – koleżka z wojska i apasz z Czerniakowa.

Towarzysz broni nie okazał się honornym bandytą, a zwerbowanie go do akcji, podczas której wyczyścili z dokumentów i pieniędzy kasę sowieckich agentów, było wielkim błędem. Franek musiał wejść w komitywę z czerwonymi, bo jak wytłumaczyć, że w czasie skoku robił dziwne rzeczy? Niby posunął majchrem Reniaka, który pilnował kasy i gotów był zabić Heńka, ale zaatakował też i Wcisłę. Franio wymawiał się zamieszaniem i nawet trzymało się to kupy. Tak naprawdę chciał zabić i agenta, i jego, bo oszukał i komunistów, i „dwójkę”. Dlatego ciało stojącego na czatach Antka odnaleziono potem w Wiśle. Następny w kolejce był Heniek, ale zamiast niego zginęła matka. Franio, szukając kasy, zrobił kipisz w wielu miejscach, ale nie tam, gdzie należało szukać. Łotr nie wiedział o tajnym lokalu Beniowskiego, więc splądrował bez powodzenia prywatne mieszkanie kapitana, mieszkanie Heńka przy Młynarskiej oraz warsztat samochodowy jego stryja.

Węsząc za pieniędzmi, bandyci poszli też na Wolską, gdzie mieszkały matka, babcia i Stefa. Floty nie znaleźli, ale zabili

matkę Heńka... Zaraz po tym ktoś wypalił do niego z rewolweru. Kto to mógł być? Pół szemranej Warszawy. Franiowi wrogów nie brakowało, ale najpewniej to sowiecka agentura próbowała dokonać zemsty. Oni szybciej się zorientowali, w co grał Franciszek Wlazło. Wykaraskał się, a oni – kapitan Beniowski i Heniek – widzieli w nim ofiarę. Ostateczny dowód przyszedł wiosną, kiedy to przyciśnięty przez śledczego Denhela wypucował Wciślaka i w gratisie obciążył go również swoimi zbrodniami. To dlatego aspirant Karol Denhel pojechał za nim aż do Zakopanego i puścił się w niebezpieczny pościg po górach. Gdyby nie to, to śledczy nie ścigałby go w Zakopanem, nie byłoby lawiny, śmierci Japończyka Murakamiego i ucieczki Heńka za granicę. Odpłaci mu za to, a przede wszystkim za śmierć matki i Antka. Nie dziś i nie jutro, ale podziękuj. Gdy tylko nadejdzie dogodna chwila, wróci z Ameryki i wydobędzie go choćby spod ziemi. Na razie jednak nie mógł jechać do Polski, bo sprawy nie przyschły. Musiał więc żyć tutaj, pilnować firmy, nauczyć się języka, zarobić pieniądze, no i w końcu zmienić norę nad składem na coś porządniejszego.

– Ronnie, chcę się wynieść z tej budy, znajdź mi jakieś biuro i pokój, nie przepadam za tym miejscem – zarządził następnego dnia.

– Fakt, spać tam, gdzie zakatrupiliśmy dwóch gości, to kiepska sprawa.

– Jasne, ale nie tylko o to chodzi, wolałbym mieć wygodniejszy pokój.

– Blisko składu?

– Tak, i załatw jakieś radio, może być używane.

– Okay, wszystko załatwię.

Ronald działał szybko, następnego dnia Heniek zamieszkał u jego kuzynów. To było dobre miejsce, choć daleko mu było do

luksusów Majestica. Obejmowało czysty, w miarę duży i jasny pokój, wspólną łazienkę, ale za to sąsiedzi byli całkiem mili. Poczul się dobrze, na pewno lepiej niż w tamtej norze i w towarzystwie bliźniaków. Hrubeschowie zostali, bo szkoda im było każdego grosza. Przez cały czas nie mogli przeboleć pięćdziesięciu tysięcy dolarów, z których oskubał ich Felix Magath. Muzyka raczej ich nie pociągała, więc zaczął się zastanawiać nad ściągnięciem radia, które było w jego pokoju. Pewnie, nie był już zdany na braci Hrubeschów. Nim zdążył się ruszyć, usłyszał pukanie do drzwi i głos Ronalda:

– Dostawa!

– Jaka dostawa?

– Szef chciał jakieś niedrogie radio – mówił zza drzwi podniecony Ronald.

Heniek otworzył drzwi i z ciemniej sieni dobiegło go sapanie i szuranie. Z mroku wyłoniło się dwóch łebków, mniej więcej w wieku Ronniego. Targali jakiś przedmiot, a rudzielec dyrygował nimi jak kierownik firmy tragarskiej.

– Tylko ostrożnie, nie porysujcie, bo szef potraci za porysowany mebelek!

Oczom Heńka ukazał się nie zwykły odbiornik, lecz wielka komoda na nogach, coś, co widział na reklamach. Był tu miesiąc, ale ceny tego, co go interesowało najbardziej, czyli samochodów i odbiorników radiowych, znał niemal na pamięć. Taka radiola, superheterodyna, kosztowała majątek, pół tysiąca dolarów, czyli więcej niż nowiutki „warszawiak”!

– Ronald, miało być tanio!

– To okazja, prawda? – zapytał chłopaków.

– Tak, to okazja, używany, ale wygląda jak nowy!

– potwierdzili chłopcy.

– Jak bardzo okazja?

– Panie szefie, stówka, choć takie stoją po sto pięćdziesiąt!

– Stówka?

– Bardziej nie spuścimy, koszty organizacyjne!

– Koszty organizacyjne, powiadacie?

– Daliśmy ogłoszenie do gazety! – Szczeniaki były wyszczekane, nie ma co!

– A właściciel?

– Jak sprzedawał, to płakał! Musiał, sytuacja życiowa!

Z pewnością płakał, gdy po powrocie do mieszkania nie znalazł tak cennego mebelka, pomyślał Heniek. Miał ich teraz wyrzucić precz?

– Dobrze, macie to sto i po dychu za fatygę, ale...

– Co ale?

– Nie opychajcie mi więcej żadnych trefnych rzeczy!

– Trefnych? Ależ, panie Haas, to wszystko legalne!

– Przestańcie! Co ja jestem, naiwniak?

– No, raczej nie, inaczej nie szykowałibyśmy oferty na auto...

– Na auto?

– Tak, chcieliśmy panu zaoferować pakiecik.

– Dasz pan drugą stówkę i masz pan do kompletu auto!

– Lekko bite, ale odlakierowane!

– No jak, życzysz pan sobie fordzika? – Mówili jeden przez drugiego.

Jakby kupił fordzika, to wkrótce mógłby zostać zawodowym paserem. Ciekawe, co ci spryciarze mogli mu jeszcze obżenić.

– A jachtu nie macie? – zapytał, robiąc poważną minę.

Chłopcy popatrzyli strapieni, chwilę poszeptali, po czym ten nieco starszy odezwał się z szerokim uśmiechem:

– Żaglówka może być, tylko że nie od ręki, tak za jakichś

parę dni!

Heniek bał się pomyśleć już o czymkolwiek i słusznie.

– Bo kajak to z miejsca, na dziś. – Młodszy popatrzył na starszego, a ten pokiwał głową.

– Tak, kajak od ręki! Nowiutki.

– Chłopcy, spadajcie stąd! Macie pieniądze i nie męczcie mnie już! Jeszcze trochę, a opylacie mi lokomotywę!

Chicagowskie andrusy popatrzyły na siebie z rozpaczą.

– To by było ciężko, ale możemy zorganizować przejażdżkę...

– A jeśli się rozchodzi o samolot...

Miarka się przebrała.

– Do domu, matka was nie szuka?

– No raczej nie, ale skoro tak...

– Do widzenia, polecamy się na przyszłość!

Chłopcy wyszli, a Heniek spojrzał na Ronalda piorunującym wzrokiem.

– Oni nie kradną, tylko... – Ronald wspiął się na szczyty swoich umiejętności, mówił z przekonaniem i czarował, ale Heniek mu nie wierzył.

– Organizują?

– No, dokładnie tak, jakby szef przy tym był!

– Taaa, można powiedzieć, że byłem.

I Heniek z miejsca pomyślał o tym, że on i jego ferajna byli takimi samymi kozakami, jak ci z Chicago. Przypomniało mu się, jak razem z Antkiem Bożyczką i Walkiem Doliniakiem buchnęli tramwaj. To była niezła akcja! Pół Warszawy o tym mówiło i śmiało się do rozpuku, bo zakosili ten wagon Niemcom. Uciekali spod Teatru Wielkiego, a na Nalewkach, gonieni przez zmotoryzowany patrol żandarmerii, rozbili tramwaj o drugi, w którym jechały szkopy z jakimiś fantami.

Dali potem długą w Kupiecką i schronili się u Adasia Goldfarba. Adaś dał im chałaty i jako mali Żydzi przedostali się do piekarni na Tarczyńskiej, gdzie Tasiemka, ojciec Heńka i inni goście z PPS szykowali się na strajk, który mieli zacząć odpaleniem bomby. Tasiemka o mało nie padł, gdy się okazało, że z tramwaju zabrali worek z rzeczami, wśród których była parabelka.

Pistolet dali bojowcom, a dla siebie zostawili resztę drobiazgów, w tym pięknego sikora, którego sprzedali potem mistrzowi doliniarzy, Profesorowi Grajzelmanowi. Było byczo! Szkoda tylko, że z tej trójki został tylko on. Walek, chłopak z Czerniakowa, zginął w czasie odwrotu spod Kijowa, a Antka zabił ten bandzior Franek Wlazło, ten sam skurwysyn, który zamordował także jego matkę... Żył Adaś Goldfarb, ale on nie był pasażerem szalonego tramwaju, dołączył do zabawy dopiero na końcu, a poza mieszkał teraz w Palestynie, gdzie też łatwo było o guza.

– Szefie, co jest? – Z rzeki wspomnień wyrwał go głos Ronalda. – Wszystko w porządku?

– Nic, zamyśliłem się – odparł Heniek.

– Mam coś dla szefa. – Ruda facjata Ronalda promieniała. – Whisky z Kanady, żaden tam szlam z kiszek przepuszczany przez chleb! – Mówiąc to, postawił na stole butelkę bursztynowego trunku. – Na zdrowie, szefie! Niech się pięknie mieszka!

Był już przy drzwiach, gdy Heniek gwizdnął.

– Hej, Ronnie, dokąd zmykasz, myślisz, że będę pił do lustra?

Wcisło rozlał whisky do szklanek i wzniósł toast:

– Panie Ronaldzie Kennedy, za pana pracę w firmie Iron Castle!

- Za pierwszą pracę! – Ronald uniósł szklankę.
- Poprzednie były dorywcze, a tak w ogóle to zdrowie szefa!
Cheers!

W drugą sobotę grudnia Heniek wstał jak zwykle rano, umył się nad miednicą, włożył ubranie, poszedł poszukać czegoś do jedzenia, bo wędliny od Kunickiego skończyły się w niedzielę. Kupił od ulicznego sprzedawcy dwie ciepłe bułki z parówkami i zjadł je w składzie, popijając kubkiem herbaty. Dzisiaj był dzień dostaw i robienia rachunków; wysłali towar, rozliczyli się z Sycowskim i Obertą. Po wszystkim Ronald podszedł do Heńka i zapytał:

- A może pójdziemy zobaczyć tę miejscóweczkę?
- Co takiego upatrzyłeś?
- Hotel Lexington!
- Gdzie to jest?
- Na południe od Loop, o wiele bliżej od Cicero! Przy tej samej ulicy w innym hotelu mieszka sam Al Capone!
- Mieszka?
- Ma tam cały swój interes, zajmują z pół hotelu, a on podobno często tam nocuje.
- Nie ma rodziny?
- Ma, podobno mieszkają wszyscy na kupie, może chce odpocząć od mamuśki i żony, ale tak naprawdę to chodzi o to, że tam jest bezpiecznie. W hotelu zawsze jest ze dwudziestu jego goryli, prawie wszyscy z maszin ganami!
- A rodzina? – zapytał oburzony Heniek.
- Co rodzina?
- On jest bezpieczny, a rodzina?
- Eee, co szef? – Ronald spojrział na Heńka z politowaniem.
- Są pewne zasady, rodzin się nie tyka. Gangsterzy koszą się jak zboże, ale rodziny są bezpieczne.

Znaczy się, były tam jeszcze jakieś zasady, pomyślał. Poszli na 2135 South Michigan Avenue do hotelu Lexington, który faktycznie okazał się pięknym miejscem. Był to dziewięciopiętrowy niebotyk, który od strony Cermak Road miał wykusze przypominające wieżę. Hall był wystawny, z wielkim kryształowym żyrandolem, może nie był to Bristol czy Europejski, ale na pewno bardzo podobny standard. Faktycznie, było stąd blisko do Cicero oraz The Loop, a jeszcze bliżej do jeziora Michigan. Spodobały mu się narożne pokoje z wykuszami wiszącymi nad ulicą, jasne i na pewno ciepłe, bo z kominkami. To właściwe miejsce na firmę, tu można z klasą robić interesy. Ronald wypytał o cenę dwóch apartamentów, jednego narożnego, w którym byłoby biuro, i drugiego, w którym Heniek urządziłby swój nowy dom. Na razie nie było ich na to stać, ale kto wie, może za dwa, trzy miesiące...

– No i co, klasa, nie? – zapytał Ronald.

– Tak, klasa, ale pierw musimy na to zarobić.

– Się rozumie!

– Ale na początek zjemy! Dawno nie jadłem nic naprawdę dobrego, oczywiście poza wędlinami od twojego wujka.

– Steki i żeberka są w porządku, ale żeby zjeść coś porządnego, trzeba zajrzeć do jakiej włoskiej knajpy.

– I spotkać włoskich gangsterów? – uśmiechnął się Heniek.

To był z jego strony żart, ale chłopak wiele rzeczy traktował ze śmiertelną powagą.

– Jak pan sobie życzy, szefie!

Wyszli z hotelu i ruszyli na piechotę, bo jak powiedział Ronald, z 2135 South Michigan Avenue do knajpy było mniej niż dwieście jardów. Heńka męczyły te jardy, mile, stopy i cale. Cale najmniej, bo w calach mierzyło się precyzyjne mechanizmy. Tę jedną rzecz miał opanowaną, no i polski

z niemieckim, ale to wciąż było zbyt mało w tym cholernym Chicago. Skręcili w Cermak Road i ruszyli na zachód. Po kilkudziesięciu metrach weszli w pierwszą przecznicę w lewo.

– To już tu! – krzyknął chłopak. – 2126 South Wabash Avenue!

– Mów wolniej, nie rozumiem!

– 2126 South Wabash Avenue.

– Czy mógłbyś powtórzyć raz jeszcze, proszę?

– Dwadzieścia jeden, dwadzieścia...

– To rozumiem! Dwadzieścia jeden, dwadzieścia sześć.

– South...

– To też!!!

– Wabash...

– Co?

– Wabash, to nazwa miasta w Indianie... jakieś dwieście mil stąd na wschód, niedaleko Warszawy.

– Warszawy?

– Tak, jest w Indianie Warszawa.

– A *avenue* to aleja, okay! – ucieszył się Heniek.

– No to wszystko pan rozumie! A ten napis?

Heniek spojrział na owalny szyld i wyrecytował:

– *Colosimo's Cafe, Restaurant*, to lokal jakiegoś Colosima!

– A właśnie że nie – ucieszył się Ronald.

– Jak to nie? – Heniek zmarszczył brwi. Z angielskiego wciąż był nogą, ale tego, że zrozumiał, jak należy, napis na szyldzie, był pewien, tak jak tego, że jest w Ameryce.

– Colosimo, ten z szyldu, nie żyje już od siedmiu lat.

– Gówniarz był bezczelny niczym Antek Bożyczko.

– A nie dostałeś nigdy w ucho, szczeniaku? – wyjechał po polsku.

– *English please, sir!* – Tak, ten gówniarz był równie

bezczelny i wyszczekany jak Antek.

– Widzę, że pieniądze na ciebie wydane to dobrze wydane pieniądze! – uśmiechnął się Heniek.

– Okay, mister Haas, wchodzimy do środka!

Wnętrze było miłe, a lokal pełen. Usiedli przy stoliku pod ścianą. Te przy oknie były zajęte.

Kelner przyniósł menu, Heniek spojrzął i na wszelki wypadek przeliczył pieniądze.

– Szefie, pokazywać w eleganckim lokalu *nickel-and-dime*?

– Co to znaczy *nickel and dime*?

– To znaczy to samo, co nic niewarte, drobica, czyli piątka albo dziesiątka centów.

– A jak się mówi na jednego dolara?

– Szef nawet nie powinien znać tej nazwy, szef z forsy powinien kojarzyć tylko grandy! – Widząc, że jego boss robi wielkie oczy, Ronald kontynuował wykład. – Ktoś taki jak boss z poważnej forsy powinien znać przede wszystkim grandy, czyli tysiąki! Papier z trzema zerami, coś dla poważnych ludzi.

– Może tak po kolei?

– Okay, jak szef chce, to objaśniam, raz jeszcze jedziemy po małych moniakach; jeden cent to *penny*, *quarter* to dwadzieścia pięć, potem są srebrne półdolarówka i dolarówka.

– A złote dolary?

– Dwuipółdolarówka z głową Indianina, piątka, dziesiątka i dwudziestka. Wszystkie z Indiańcem. – Widząc błyszczące oczy Heńka, dodał tonem dyrektora banku: – To *piece of shit*, złom, liczą się tylko papierowe!

– Nie widziałeś inflacji...

– I nie zobaczę – zaśmiał się rudy szczeniak. – Tu jest Ameryka!

– Jeszcze zobaczysz, jeszcze zobaczysz! – Heniek

wymachiwał palcem jak kaznodzieja. – Pieniądze łatwo zmieniają się w papier! Pieniądze i akcje!

Jego wykład z ekonomii przerwał hałas. Nagle z rozmachem otworzyły się drzwi i do środka weszła głośna grupka mężczyzn. Przewodził im typ, którego nie sposób było przegapić – niższy od Heńka, ale postawny jak sam Mietek Kosiorek albo Szafa Karolak. Łapy miał jak bochny, a nos płaski, prawie taki, jakie widział u Murzynów. Jego wargi były tego samego sortu, wydatne, jakby spuchnięte, a na lewym policzku widać było bliznę.

Ale nie te szczegóły, lecz strój przyciągał uwagę Heńka. Niedźwiedziowaty facet ubrany był w różowy garnitur i krawat w kolorze wozu strażackiego, na nogach miał biało-czarne buty, a na głowie kapelusz z czarną wstążką. W oczy, niczym reflektory, świeciły pierścienie i brylantowe zdobienia. Z pozoru wyglądał jak krzyżówka klauna z gorylem, ale tak naprawdę był księciem, bo ludzie, z którymi wszedł, wyraźnie byli jego świtą, a ich pojawienie się w lokalu wywołało poruszenie.

– Co to za pajac? – wyszeptał Heniek do ucha Ronaldowi.

– To nie pajac, to przecież sam Al Capone! – jeszcze cichszym szeptem odparł chłopak.

A więc to on, słynny gangster, pomyślał Heniek. Widział go do tej pory raz, na meczu bokserskim, ale przecież patrząc na jego pucułowatą twarz, powinien się tego domyślić, bo zdjęcia były w gazetach. Policzek naznaczony blizną, ma od tego ksywkę Scarface, no i do tego ten dwór, złożony z elegancko ubranych oprychów.

– Ma tupet – powiedział po polsku Ronald. – Przecież to on najwięcej wygrał na śmierci Colosima.

– Faktycznie, tupeciarz jakich mało kto – także po polsku rzucił Heniek. Teraz nie było miejsca na naukę języka, teraz

było lepiej, by nikt nie rozumiał, o czym mówią. – Nie będzie z tego jakiejś chryi?

– Na pewno nie, Al Capone chętnie się bawi ze spotkanymi ludźmi i jest grzeczny. Lubi być podziwiany, więc jest miły, stawia kolejki i rozdaje prezenty.

Było tak, jak mówił mały Ronald. Al Capone zajął ze swiątą środek sali. Obsługa wniosła dodatkowe stoliki, a reszta gości ścisnęła się, by najsłynniejszy mieszkaniec Chicago miał dość miejsca. Gangster podziękował królewskim gestem i kazał kelnerowi, by zebrał od gości zamówienia.

– Ci ludzie byli na tyle uprzejmi, by zrobić mi miejsce, więc niech piją na mój koszt – powiedział do kelnera, ale na tyle głośno, by słyszała go cała sala. – A mnie podajcie spaghetti Colosimo i nie sypcie do środka żadnych diamentów, bo od tego to ja jestem teraz specjalistą. – Zaśmiał się, a do jego potężnego śmiechu dołączył chór dworzan oraz goście znajdujący się w sali.

– Nie zrozumiałem, o co chodzi – szepnął Heniek.

– Powtórzę powoli...

– Zrozumiałem co do słowa, ale nie wiem, o co chodzi!

– Właścicielem knajpy był Big Jim Colosimo. Kiedyś największy gangster w mieście. Nazywali go Diamentowy Jim, bo lubił diamenty w każdej postaci, ale teraz to Al Capone jest królem diamentów, a wszyscy jego przyjaciele i znajomi obdarowywani są przez niego klamrami wysadzanymi diamentami. – Widząc, że szef nie zrozumiał ostatnich słów, chwycił za klamerkę przy pasku od spodni. – Klamra, klamra wysadzana diamentami, to znak Ala Capone i jego ludzi.

– Rozumiem, klamry wysadzane diamentami, ma gest!

– A najlepsze jest to, że to najpewniej on sprzątnął Colosima! Po jego śmierci Torrio, szef Ala, i on sam stali się

największymi ludźmi w mieście.

Nagle ich rozmowa została przerwana.

– Nie wiem, o czym tam gadacie, ale coś mi się wydaje, że ten mały pokazywał na klamerkę od paska. Chcesz zobaczyć prawdziwą klamrę Ala Capone czy próbujesz w knajpie ściągnąć portki? – zaryczał głos kogoś, kto był wyraźnie z siebie zadowolony. Do ich stolika zbliżał się Al Capone, a dwa kroki za nim szli jego ludzie.

– To wygląda tak! – Gangster rozchylił poły marynarki i wypiął brzuch w taki sposób, by zobaczyli wysadzaną diamentami klamrę paska. – Widzisz? Oni wszyscy je mają, a kto wie, może nawet i wam trafi się kiedyś taki podarek. – Al Capone śmiał się tubalnym głosem. – A co ten gość, chłopaku, taki cichy?

– To cudzoziemiec, mój wujek z Europy.

– Wszyscy kiedyś byliśmy z Europy, ale to się skończyło, tu w Stanach jesteśmy wszyscy Amerykanami! Moi rodzice byli Włochami, ale ja jestem Amerykaninem! Ty też będziesz Amerykaninem, rozumiesz mnie?

– Będę Amerykaninem i uczę się języka!

– Jak się nazywasz?

– Henry Haas.

– Ejdz Ejdz[30], czy ty nie jesteś czasem szkopem?

– zaśmiał się Al Capone. – To wiedz, że w czasie wojny byłem w zaginionym batalionie! Może nawet strzelałem do ciebie? Nie, chyba jesteś za młody, żeby umierać w okopach za kajzera!

– Jestem Niemcem z Polski, byłem w polskim wojsku i walczyłem przeciwko bolszewikom.

Al Capone odstał od stolika o dwa kroki i przyglądał się Heńkowi, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, po czym powoli zaczął klaskać w dłonie.

– Brawo, bolszewicy to bezbożnicy, nie chodzą do kościoła i zagrażają naszej amerykańskiej wolności. Brawo, chłopie!

– Oklaski stały się coraz szybsze i mocniejsze, a do dłoni Ala Capone dołączyły ręce wszystkich klientów restauracji.

– Oni jedzą na mój koszt, więc jedzą to samo co ja!

– zaśmiał się Al, który po odegraniu roli amerykańskiego patrioty wrócił do stolika.

Gangster mówił niby to do Heńka i Ronniego, a niby do kelnerów, dla których była to jasna dyspozycja, ale słyszała go cała sala. To był jego popis, jego gest.

– On był w wojsku? – zapytał RONALDA HENIEK.

– On mówi różne rzeczy, szefie.

W tym momencie RONALD przerwał, bo kelner podszedł do nich z flaszką wina i przystawkami. Jako goście specjaliści ALA CAPONE byli obsługiwani równo ze stolikiem gangstera. Spaghetti Colosimo było smaczne, choć jedzenie sprawiało Heńkowi z początku kłopot. Szybko jednak połapał się, jak nawijać długie nitki makaronu na widelec. Spaghetti było podane z kulkami mielonego mięsa oraz z sosem pomidorowym.

– Niebo w gębie... – wyszeptał HENIEK.

Jedzenie okazało się smaczne, a wino znakomite. To całe chianti było wspaniałe i pomyślał, że chyba tracił czas i pieniądze na picie piwa. A może po prostu nie miał szansy spróbować wcześniej czegoś równie dobrego? Było cudnie, swojsko i smacznie jak u Wróbla, więc chwilowo nie rozpytywał już RONALDA, tylko jadł. Rudzielec szybko wyrwał go jednak z miłego letargu, gdy kątem oka HENIEK zobaczył, jak gówniarz nalewa sobie wina.

– A ty, chłopaku?

– Ja też chcę się napić!

– Zdążysz, jako twój wujek muszę cię pilnować!

– zażartował. – Co z boksem?

– Klub czeka, dopytywali się już o mojego wujka O’Haasa

– zaśmiał się Ronnie.

– No dobra, to napij się pod ten boks, ciekawe, czy będzie ci smakowało.

Ronald wychylił kieliszek.

– Przereklamowane, drinki są lepsze! – Ronald skrzywił się, jakby pił sok z cytryny. – Nie mogę tego wymienić na porządnego drinka?

– Jak będziesz pił za swoje – mruknął Heniek i dodał:

– Miałeś mi opowiedzieć, co z tym wojskiem Ala...

Ronald zbliżył się do Heńka i szepnął:

– To wielka lipa, on w żadnym wojsku nie był, a już zwłaszcza tam, w zaginionym batalionie. To był oddział bohaterów, a Al to owszem, był żołnierzem, ale tylko w gangach.

– I wszyscy to wiedzą?

– Z grubsza tak, ale Al opowiada różne rzeczy i o Alu też krążą niestworzone opowieści. Taki jak on może wszystko, nawet pisać o sobie bajki, co nie? On wymyśla różne historie, żartuje sobie, ale nie dla picu, tylko dla żartu, ludzie łykają wszystko, co im powie. Boją się go i nie rozumieją, że to żarty, kupują wszystko, jak leci.

Heniek pokiwał głową. Al Capone przypominał trochę Tasiemkę, który dużo opowiadał o sobie i z czasem trudno było się zorientować, co jest prawdą, a co zwykłym picem. Tata Tasiemka miał też skłonność do wkładania dziwnych ubrań, potrafił do lakierków włożyć sztuczne spodnie, a zamiast marynarki dobierał do tych portek smokingową marynarkę i kolorową kamizelkę.

– Miałem jeszcze powiedzieć szefowi o tym, jak załatwili

Diamentowego Jima – przerwał wspomnienia Ronald. – To było jakieś sześć, siedem lat temu. To wymyślił Torrio, który przybył tu z Nowego Jorku i przyciągnął ze sobą Ala. Podobno Capone skatował tam jakiegoś gościa i musiał uciekać z miasta.

– Gdzie i jak go załatwili?

– W knajpie! Gdzieś tu, może tu, gdzie siedzimy, a może tam, gdzie siedzą Al Capone i jego gangsterzy. Podobno zrobił to morderca z Nowego Yorku Frankie Yale, a Al był tylko pomagierem. Jak dokładnie było, nie wie nikt, ale na pewno Torrio i Capone najbardziej skorzystali na śmierci Jima Colosima. Niezły gość, odstrzelić konkurenta i chodzić później do jego knajpy!

– A wygląda sympatycznie.

– A jakże, jest taki sympatyczny, ale ma niesympatycznych kolegów. Niedawno jeden z nich o mało nie załatwił tego komika Joeya Smitha. Gość występował w knajpie Ala, w tej, w której byliśmy, Green Mill Jazz Club. Zarabiał nieźle i przyciągał tam publikę, ale jak mu się kończył kontrakt, to postanowił szukać szczęścia gdzie indziej. No, rozumie szef, coś nowego i większa kaska! Zaczął więc gadać z gangsterami, do których należy The New Rendezvous, i umówił się na zmianę pracodawcy.

– I co?

– Mówią, że Al był bardzo rozczarowany, nie dość, że lubił tego Joeya i uważał, że płaci mu dobrze, to na dodatek przebili go konkurenci. Przejął się tym, nawet go prosił, ale jak nie pomogło, to się wkurzył. Koleś zmienił robotę i wtedy to poszedł do niego Jack McGurn, sierżant Ala,. Nazywają go Machine Gun, bo na zlecenie Snorky'ego elegancko odstrzeliwuje z rozpylacza konkurencję. Całe miasto to wie, tylko nie policja, a już na końcu sędziowie, bo jak go policja

przez pomyłkę zatrzymuje, to sędziowie szybciotko te pomyłki naprawiają i wypuszczają go z kryminału. Jack podszedł do tego na poważnie, bo w tym Green Mill nie tylko ma udziały, ale i robi za szefa. Przejął się więc sprawą i jak go wziął w obroty, to mało mu nie ukręcił głowy i uciął mu kawałek języka! Gość ledwie przeżył, a teraz sepleni! Ale Al w tym wszystkim zachował się porządnie, oczywiście powiedział, że nic z tą sprawą nie ma wspólnego, że lubi Smitha i że dał mu dziesięć tysięcy dolarów na dojście do siebie. To ładny pieniądz!

– A skąd ty wiesz takie rzeczy?

– Czytam gazety! Niech i szef czyta, to będzie miał wieści z pierwszej ręki.

– A co, gazety też należą do Ala?

– Te największe nie, ale reporterzy są na każde wezwanie gangsterów. Gangsterzy robią nakład, gangsterzy lubią rozgłos, a Al Capone najbardziej. Część wiadomości przekazują osobiście.

– I co mówią?

– Że robią to, czego oczekują od nich ludzie! Alkohol, hazard i panienki, tego nie da im nikt inny, ani kościół, ani synagoga, ani rząd. Gangi nie chcą zawieść obywateli, więc robią, co mogą – zaśmiał się Ronald. – Torrio miał burdele na sto dziwek, ale Al go przebił! Dwa lata temu w Cicero Capone zorganizował bajzel, w którym pracuje kilkaset panienek. St. John, taki młody reporter z miejscowej gazety, jak to zobaczył, to aż usiadł, a potem napisał artykuł. Ależ to była reklama! Szkoda tylko, że był mało uprzejmy, więc dostał w nos. Al jak to Al, wybaczył i jeszcze dał mu parę stówek, ale on był chorobliwie ambitny i ich nie przyjął.

– I co się z nim stało?

– Nic, kompletnie nic, Al kupił gazetę, w której pisał,

i stracił robotę!

Heniek słuchał i przyglądał się stolikowi gangstera. Nagle zrozumiał, że tam także nie tylko rozmawiają, ale i przyglądają się innym gościom. Po chwili poczuł, że uwaga skupia się na ich stoliku. O co chodzi, czyżby jakimś cudem usłyszeli i zrozumieli, o czym gadał z Ronniem? Nie było wątpliwości, szło o nich, bo Al wstał od stolika i pozełgował w ich stronę. Gangster podszedł, dał ręką znać, by zostali na swoich miejscach, i pochylił się nad Heńkiem.

– Henry Haas, to ty przejąłeś ten mały interesik w Cicero?
Heniek zdrętwiał.

– No nie mów, że nie – syknął Al. – Mój księgowy szybko skojarzył twoje nazwisko!

Pokiwał głową, że tak. Co będzie dalej?

– Nie mam z tego dużych pieniędzy, ale...

Co ale, co ale, o co chodzi temu goryłowi? Heniek czuł, że po plecach płyną mu strużki potu.

– ...ale twoja działalność bardzo mi się opłaca – zaśmiał się Al, klepiąc go po plecach. – Wyrwałeś tego chwasta Magatha, który chciał robić za moimi plecami interesy z Nowym Jorkiem, i posłałeś do diabła tych śmieci od Dutcha!

Heniek zdrętwiał jeszcze mocniej.

– Brawo, chłopaku, brawo, Ejdz Ejdz! Tak trzeba, usunąłeś idiotę, który myślał, że tu, pod moim nosem, będzie pracował dla Dutcha Schultza. Pięknie to zrobiłeś, Alex mówił mi, że Magatha zapisałeś na konto Nowego Jorku. Niech będzie, tak to się sprzeda psom, jak trzeba, a ty jesteś czysty. Dobra robota!

– Al raz jeszcze poklepał go po plecach. – Masz moje pełne poparcie i ochronę, oczywiście, jeśli dalej będziesz nam odpalał działkę. – Capone zrobił pauzę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni w marynarce. – A to premia specjalna. – Mówiąc to, wyciągnął

z kieszeni piękną złotą papierośnicę wysadzaną brylantami.

– Posłuchaj, Ejdz Ejdz, jest na niej mój monogram, każdy mój człowiek wie, że ktoś, kto ją nosi, musi być moim kumplem.

– Potem klepnął Heńka na pożegnanie i ruszył do swojego stolika.

Taaa, zamyślił się Wcisło. Nie miał już żadnych wątpliwości, że przenosząc się do Chicago, trafił z deszczu pod rynnę. Miał się tu ustakować, uciec przed problemami i przeczekać, więc kłopoty nie były mu potrzebne, a tymczasem po paru miesiącach, zamiast nauczyć się języka, został szefem poważanego gangu, pupilkiem Ala Capone i dystrybutorem nielegalnego alkoholu.

– Szefie, ale klawo, co nie? – cieszył się Ronald.

Ale Heniek się nie cieszył, tylko kombinował, co z tym fantem dalej zrobić.

CZEŚĆ TRZECIA

CALY TEN JAZZ

Floryda, Miami, 21 kwietnia 1986

W trakcie oglądania programu *Tajemnica krypty Ala Capone*

Program mknął pięknie jak jeden z ekspresów, które zasuwały z Chicago do Nowego Jorku. *Tajemnica krypty Ala Capone* miała tempo 20th Century Limited i Broadway Limited, tylko zamiast miarowego stukotu kół słychać było z ekranu terkot maszyn ganów. Lufy pluły pociskami, Al uśmiechał się promieniście, a bywalcy nielegalnych klubów pili bez skrępowania alkohol i słuchali jazzu. Jazz, swing i boogie-woogie, piękna muzyka i tańce. Nogi aż same niosły... Kiedyś to były melodie i wspaniali artyści... To znaczy nadal są, jak nie na żywo, to na płytach, ale młodzi nie potrafią docenić dobrej muzyki. Frank Sinatra, Bobby Vinton, Elvis Presley... Z Elvisem to nawet występował! Są na to dowody. W sierpniu 1970 wzięli z Dolores ślub w Las Vegas, a później poszli na koncert Elvisa. Klaskali razem z nim, każdy może to zobaczyć na filmie *Elvis: Tak to jest*.

Kiedyś artyści mieli trudniej, zwłaszcza w Chicago. Musieli wejść do zadymionej budy i porwać towarzystwo. Musieli, bo jak przynudzałeś, to publika mogła sobie zrobić z twojego pianina bandžo albo z kontrabasu tarczę do strzelania. Kto został z tamtych lat? Cab Calloway! Po tym, jak zaśpiewał w *Blues Brothers* Minnie naciągaczkę, to nawet dzieciaki go znają. To dobrze, bo to pierwszorzędny śpiewak, szkoda tylko, że młodzi nie mają pojęcia, jak było w tamtych czasach. Nie było do końca tak kolorowo i nie była to prosta zabawa w Indian i kowbojów. Trzeba było być czujnym, zawierać sojusze, trzymać się właściwego gangu. Coś jak w tym cholernym średniowieczu,

gdzie każdy był czyimś wasalem. Trzeba było mieć oczy naokoło głowy, podejmować właściwe decyzje i na koniec wychodzić z tego żywym. Może dlatego wielu nie potrafiło zachować z tego żadnych pieniędzy. Dolary leciały tak szerokim strumieniem, że niewielu przejmowało się tym, by je odkładać.

Może dlatego pomysł, by znaleźć coś ciekawego w byłej kwaterze Ala, wydawał mu się od początku niezbyt mądry. Prawdziwe skarby były gdzie indziej, a frajerstwo sprzed telewizorów podniecało się wraz z Geraldem Riverą. A niech tam, niech się cieszą, dzięki temu programowi i on miał wieczór wspomnień. Był wtedy młody, bawił się jak trzeba, zarabiał pieniądze i co najważniejsze, dożył pięknego wieku. Czas na kolejne piwko, Prezydencie!

XI

Światła wielkiego miasta

Minęły święta, przyszedł Nowy Rok i sroga zima. Mroźny wiatr dawał do wiwatu, ale kto by się tym przejmował? Gangowi Heńka wszystko szło jak złoto, skupowali bimber, mieszały z piwem, które jechało później w miasto, dostawali swoją działkę od Alexa i Dingbata, płacili łapówki, a w gratisie dostarczali kasy, na które spisywali fikcyjne umowy. Iron Castle płaciło podatki i dawało dochody swej firmie matce z Berlina. Julek zdenerwował się informacją o Magacie, ale szybko się uspokoił, bo Heniek błyskawicznie nadrobił straty. Oczywiście nic nie wiedział i nie miał prawa się dowiedzieć, jak naprawdę wyglądała działalność firmy. Może powie mu kiedyś o tym, ale nie dziś i nie jutro. Przyjdzie jeszcze na to czas. Z kolei Stefa pisała, że u niej i u babci wszystko w porządku. Tylko listu od Leokadii dawno nie było, ale jakoś go to nie bolało. Czuł się tu ważny, kierował ludźmi, miał szacunek Ala Capone i wszystko mu się w robocie zgadzało: forsa, bezpieczeństwo i rachunkowość. Zarabiali pięknie, ale nie zawsze jednak dużo oznacza w sam raz.

Pewnej soboty bracia Hrubeschowie zaczęli się wiercić i przestępować z nogi na nogę.

– Czego chcecie?

– No taaak – zaczął Jürgen.

– Bo na piwie można zarabiać więcej niż my teraz

– dołączył się Hermann.

– No pewnie, nawet piętnaście, dwadzieścia dolarów za beczkę!

Zapadła cisza.

– Tak faktycznie jest, za beczkę dostaje się do dwudziestu

dolarów! – powiedział Ronald.

Spokojny dotąd Heniek ledwie się opanował, by nie wybuchnąć: I ty, Brutusie?

Tymczasem rudzielec ciągnął swój wywód dalej:

– Można oczywiście zarobić więcej i jest to pieniądz bardzo potrzebny, trzeba odłożyć na sosnową jesionkę, kwaterę, karawan i całą resztę.

Hrubeschowie patrzyli na niego wybałuszonymi oczami.

– Jak dużo zarabiasz, bo się nie dzielisz, z kim trzeba, to zapadasz na ołowicę. Tra ta ta, tra ta ta. – Ronald przyjął pozę, jakby walił z thompsona. – Łykasz kulki, jak trzeba, raz dwa i po tobie, a później trumna i sześć stóp pod ziemię! Warto na to być przygotowanym, bo to cholerne koszty, trzeba kupować nowe ciuchy dla nieboszczyka. Te, w których go dopadli, są dziurawe, poplamione krwią i nadają się tylko na śmietnik.

– Nie wcinaj się, gówniarzu! – Hrubeschowie znów byli groźnymi mięśniakami.

Heniek się nie wtrącał, tylko słuchał z zainteresowaniem, a Ronald ciągnął swoją tyradę.

– Wozicie małe ilości mocnego alkoholu, nikt nie szarpnie się na wasz konwój, mają was w dupie! Ryzyko biorą na siebie inni, ci oczywiście więcej zarabiają, mój ojciec jeździł w konwojach dla wielkich hurtowników, a wielcy hurtownicy mają równie wielką konkurencję. Jeździł i zarabiał aż do czasu, gdy jego transport rozwalila konkurencja. I wieście, że zarabiał mniej niż wy, dużo mniej! Zaczął od trzydziestu pięciu dolców, jak każdy kierowca, który woził detal po mieście, a skończył, jak miał trzysta za tydzień, wożąc poważne transporty. A wy, grube pały, macie pewnie co najmniej o pięć dych więcej.

W rzeczywistości mieli po czterysta na łebka, czyli więcej, niżby mogli sobie zamarzyć. Źle to wszystko ocenił, myślał, że

Hrubeschowie poczują, że złapali Pana Boga za nogi, a z kolei Ronald będzie pazerny na pieniądze. Mylił się, dlatego zdziwiły go słowa rudzielca. Sądził, że chłopak zrobi wszystko, żeby zarobić jak najwięcej i jak najszybciej, ale okazało się, że pamięć o ojcu była jednak silniejsza od pazerności i uznania u kolegów ze szczeniackiej bandy. W końcu zdecydował, że w tej sztuce pora na jego rolę, rolę szefa firmy i gangu.

– Ronald ma rację, po pierwsze, ruscy mówią: *Tisze jediesz, dalsze budiesz*. Po drugie, jest taka zasada: Podziel, kolego, pieniądze. Tak, dzielimy się z gangsterami, ale biedni nie jesteśmy. Ile zarobiliście u Magatha w ostatnie dwadzieścia miesięcy?

– Razem po dwadzieścia siedem grandów! – gruchnęli niemal równocześnie bracia Hrubeschowie.

– Ale...

– Magath zrobił nas w konia i nie mamy nic!

Heniek szybko przeliczył, dwadzieścia pięć tysięcy wpakowali w oszczędności, które potem mieli pomnożyć, oddając je Felixowi Magathowi. Wychodziło na to, że przeżyli we dwójkę te niespełna dwa lata za dwa tysiące, to po mniej niż dziewięć dych na dwóch miesięcznie! Dziadowali i nadal dziadują przez swoją naiwność. Dali się zrobić na cacy i dlatego dalej mieszkają w norze nad składem, dlatego żrą byle co i dlatego mają po jednej zmianie ubrania.

– No to nie macie nic, trudno, za pół roku będziecie mieli tyle samo, chyba że przehulacie. A może nie zauważyliście, że macie teraz więcej niż za Magatha? Dobra pensyjka, o którą ludzie się zabijają i o której marzą, to trzy stówki miesięcznie, a wy macie więcej w tydzień.

Hermann przytaknął głową, ale Jürgen chciał jeszcze dyskutować.

– A ten cały Sycowski, zafajdany Tygrysek Ala, kosi sto, dwieście tysięcy rocznie! A ten Polaczek – Ajrisz Oberta, czy jak mu tam, to co?

– Tylko nie Polaczek, tylko nie Ajrisz – wyskoczył jak kogucik Ronald. – Zapakować ci w japę?

– Ty, synku?

– Ja! O mało się nie zesrałeś, jak cię dopadli ci kolesie z Nowego Jorku!

Bójka między małym rudzielcem i wielkim Jürgenem wisiała w powietrzu, Heniek był nawet ciekaw, jak by to wyglądało, czy w końcu wielkolud z Niemiec wykorzystałby swoją siłę, czy też bezczelność i szybkość szczeniaka byłyby górą? Jürgen pozował na twardziela, ale był tchórzem, a tacy potrafili uruchomić pokłady waleczności, gdy mieli naprzeciwko siebie niższego o dwie głowy i lżejszego o połowę rywala. Albo wtedy, gdy ktoś wyprowadził ich z równowagi. Tu były szanse na każdą z tych okoliczności, ciekawe... Ale nie tym razem! Heniek wkroczył między nich jak sędzia na ringu bokserskim.

– Stop! – krzyknął. – Każdy do swojego narożnika – uśmiechnął się. – Jürgen, a jak myślisz, ile razy więcej od Alexa i Dingbata zarabia Al Capone? Pięć, dziesięć, sto?
– Jürgen milczał, a Heniek ciągnął dalej. – Tak, daleko im do Człowieka z Blizną, ale mają dość oleju w głowie, by go nie wkurzać. A może są tchórzami? Nie wiem, nazwij to, jak chcesz. A zresztą... Wolna wola, decyduj sam, tak samo jak oni możesz zrobić interes. Masz pomysł, masz siłę, uważasz, że dacie radę? Droga wolna, przymusu nie ma. – Heniek rozłożył ręce.

– Możesz założyć własną bandę, sieć dystrybucji albo namówić kurwy, by pracowały tylko i wyłącznie dla Hrubeschów. Nikt ci nie broni zarabiać tyle, ile Alex i Dingbat, a może nawet tyle, co Człowiek z Blizną. Nie ma problemu, do odważnych świat

należy!

Jürgen miał zaciętą twarz, koniecznie chciał coś powiedzieć, ale Heniek poczuł, że w słownej walce na argumenty zepchnął go w liny i bliski był zakończenia walki.

– Pamiętaj jednak, że Vogts i Ruby zastraszyli was pistoletami tak, że gdyby nie ja, to wachałobyście kwiaty od spodu! Zapłacilibyście za samodzielność Magatha życiem, a tak... Kosztowało to was jak darmo, głupie dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Felix nawiał, ale musi się ukrywać, bo jak wystawi nos na powierzchnię, to straci całą głowę. Kto wie, może być tak, że nikt go nie ściga albo ma na karku pół Ameryki. Oczywiście można spróbować takiej loteryjki, ale tych, którzy rozdają karty, jest więcej i mają swoje gangi uzbrojone nie w pukawki, lecz w maszyn gany, jesteście na to gotowi?

Jürgen już nie chciał mówić, spuścił głowę jak niepyszny, więc Heniek postanowił zadać nokautujący cios.

– Nie potrzebujemy rozgłosu, szastania kasą i ryzyka. Chcemy po prostu dobrze zarobić i nic nie stracić; ani forsy, ani tym bardziej życia. I jeszcze jedno, chcę wznowić produkcję w manufakturze.

Ta informacja zdziwiła Hrubeschów najbardziej, była jak gong kończący walkę.

– Ale Magath mówił, że to się nie kalkuluje!

– A kalkuluje się rozdawanie kas i dawanie łapówek?

A opłaca się utrzymywanie tego szyldu? Tu się musi coś dziać, nie chcę żadnych federalnych, którzy łażą po takich miejscach; opuszczonych fabrykach, magazynach i zaułkach. Nie wszystkich da się przekupić, a nalotów konkurencji tym bardziej nie potrzebujemy. Al Capone nie jest wieczny. Wznawiamy produkcję, koniec kropka. Oczywiście od frontu, bo na zapleczu

będziemy robić swoje! Są pytania?

– Otworzy szef nowe biuro? – Ronald zawsze myślał o atrakcjach.

– Tak, przenosimy się w bardziej eleganckie miejsce.

– A co ze składem? – jęknął Jürgen.

– Nie sprzedaję go, zostaje w firmie. Możecie tam mieszkać, zajmiecie dwa pokoje na górze i ten na dole.

Wyremontujcie to na koszt firmy.

Hrubeschowcie odetchnęli z ulgą.

– Ja wynoszę biuro do hotelu Lexington, idę podpisać umowę i wpłacić zaliczkę.

– A będziemy przyjmować ludzi? – zapytał Hermann.

– Tylko potrzebnych, nie jestem Magathem, ale nie zrobię z tej firmy przytułku. Rozumiecie? Zresztą w składzie róbci, co chcecie, bylebyście nie zaniedbali obowiązków w rozlewni.

Heńkowi udało się zażegnać bunt na pokładzie i wytłumaczyć bliźniakom, że nie potrzebują do szczęścia ryzyka. Teoretycznie byli bezpieczni, ale mimo wszystko miał ogromną potrzebę posiadania porządnej klamki i do tego legalnej. Colt po ojcu RONALDA nie był zbyt poręczny, a pistolety po gangsterach z Nowego Jorku mogły być trefne. Cholera wie, z czym kojarzone są numery tej broni. Musi kupić klamki bez historii i mieć na nie papiery. Wiedział, że można załatwić wszystko, wiedział też, że tym razem to nie radio, lecz dużo grubsza sprawa. A do grubszej sprawy potrzeba kogoś, kto jest grubą rybą. Chcąc nie chcąc, musiał się podpytać Sycowskiego, więc po drodze do hotelu Lexington wpadł do kawiarni, w której przesiadywał. Nie lubił go pytać o cokolwiek, bo ten spryciarz chciał za dużo wiedzieć. Dla niego każda informacja miała wartość, każdy, nawet najmniejszy szczegół zamieniał na pieniądze, ale Heniek nie miał wyjścia.

– Abram – zagadnął Sycowskiego przy barze, stawiając mu kolejkę porządnej kanadyjskiej whisky. – Gdzie mogę jak najbardziej legalnie, szybko i bez problemów załatwić sobie pozwolenie na broń?

– Szybko... – Sycowski uśmiechnął się znacząco. – Jak szybko?

– Jak najszybciej, ekspresowo.

– Podejrzewam, że szybko, każdemu się zawsze spieszy. Można i szybko, ale... – Abram zrobił chytrą minę. – To kosztuje. Nawet Tygrysek Ala nie ma niczego w gratisie.

– Wiesz, nie jestem skąpy.

– Ale czy wiesz, że powinieneś mieć do tego jakieś amerykańskie papiery...

– Paszport wystarczy?

– Ho, ho! Nie wiedziałem! A masz coś więcej, na przykład prawo jazdy, tu nikt nie paraduje z amerykańskim paszportem, bo najbliższe miejsce, w którym może się na coś przydać, to granica z Kanadą.

– Prawo jazdy? Przydałoby się, umiem prowadzić auto. Podpowiedz mi, czego jeszcze potrzebuję, i zorganizuj mi to za jakieś ludzkie pieniądze.

– Wszystko jest do zrobienia, szybko, elegancko i za przystępne pieniądze – uśmiechnął się Sycowski. – Znam pewnego sędziego pokoju. To złoty człowiek, który kocha zielony papier i nie zdiera ze swoich klientów.

– Mogę tam wysłać swojego chłopaka? Nie za bardzo mam czas.

– Boisz się, że twój angielski jest słaby i że się nie dogadasz?

– No raczej...

– A ja ci mówię, że jest idealny – zaśmiał się Alex.

– Żartujesz!

– Nie żartuję, jeśli rozpoczniesz rozmowę od wyciągnięcia z kieszeni granda, to nasz drogi sędzia w mig pojmie, o co chodzi. Pamiętaj, dobra spluwa albo gruby portfel to najlepszy sposób na porozumienie między ludźmi!

Heniek śmiał się razem z Sycowskim. Wszędzie zasady były takie same, trzeba było tylko trafić na właściwą osobę, w zależności od sytuacji, tchórza lub łapówkarza. Zastraszać nie miał zamiaru, ale sięgnąć do kieszeni? Jak najbardziej!

– Zacznę od portfela, okay?

– To też jest sposób, który lubię najbardziej. Pomogę ci wszystko zorganizować tak, byś jak klient w porządnym sklepie podszedł do kasy, uiścił rachunek i odebrał, co twoje. Jak już sędzia ustali swoją dolę, wtedy chłopak, jak mu tam?

– Ronald.

– O właśnie, Ronald pojedzie załatwić resztę. Jak mówiłem, to będzie kosztowało, choć bez przesady, będzie cię na to stać, ale ważne, że masz już jeden dobry dokument i mnie! Po przyjacielskiej stawce mogę ci załatwić wzbogacenie dokumentacji, pan sędzia ma ode mnie sporo zleceń, mogę powiedzieć, że jestem stałym klientem. To wszystko?

– Sycowski wykonał gest jak subiekt stojący za ladą. – A może jeszcze szanowny pan czegoś sobie życzy?

– Taaak – odpowiedział Heniek, któremu właśnie się coś przypomniało. – I jeszcze jedno... Załatw mi, mistrzu, kieszonkowy pistolet.

– Co? Taki babski?

– Tak, taki babski, ale taki, który robi dziury, jak trzeba. Załatw mi pistolet systemu Lignose Einhand.

– Różowy? – zaśmiał się Little Tiger.

– Może być różowy, chociaż szybciej dostaniesz taki

z rękonością wykładaną masą perłową.

Abram Sycowski popatrzył na Heńka z politowaniem.

– Jestem człowiekiem, który lubi pomagać, ja jestem jak dobry Samarytanin, ale coś takiego, to małe gównno, to może pomóc jak umarłemu kadzidło.

– A żebyś wiedział, pomaga i to dokładnie tak samo, kompletnie nie czuć smrodu! Człowiek się nie boi i może palnąć, kogo chce i jak chce.

Sycowski pokręcił głową i rozłożył ręce.

– Płacisz – to masz, co chcesz!

Wypili jeszcze po kolejce i rozeszli się, każdy w swoją stronę.

Zima trwała w najlepsze, gdy przyszedł list od Stefy, który go wzruszył i sprawił, że aż mu się zaszklily oczy. Tymczasem Leokadia nadal nie pisała, wiedział tylko, że jest w Paryżu i że korespondencja od niej idzie przez Warszawę, ale jakoś nie uznał tego za okoliczność łagodzącą. Gdy poprzednio w poczcie z Polski, którą organizował Beniowski, nie było listu od niej, jakoś tego nie zauważył, a teraz... Nie, nie poczuł się smutny, raczej urażony. Nie myślał o niej tyle co kiedyś i brak odpowiedzi na jego krótkie liściki poruszył mu ambicję. Słyszał, że kobiety poprawiają sobie nastrój zakupami, więc zrobił tak samo. Pojechał z Ronaldem do The Loop i się obkupili. Zmienił w końcu ciuchy, które kupił parę miesięcy temu w Paryżu, na dwa komplety zgodne z chicagowską modą. O ile jednak Ronald ubrał się jak kolejny gangster, o tyle Heniek poszedł w bardziej stonowanym kierunku. Musiał wyglądać jak szef normalnej firmy, a nie jak facet, który nosi pod marynarką rozpylacz. Wracali z ubraniami do domu, gdy Wcisło zaproponował:

– Hej, Ronnie, wyskoczmy gdzieś wieczorem? Trzeba sprawdzić, czy na te nowe wdzianka będzie dobre branie.

Mrugnął porozumiewawczo okiem i nawet nie czekał na odpowiedź, bo ją znał. Rudzielec nic nie mówił, więc Heniek zapytał:

– To dokąd skaczymy?

– Szef wybaczy, ale dziś ustawiłem się z kumplami, idziemy na podryw. Muszę oczarować jakąś sikorkę, bo sprawa jest ciężka, swędzi mnie końcówka wtyczki i muszę ją załadować do jakiegoś miłego gniazdka, a z szefem...

A gdybym poszedł z szefem, to wybralibyśmy się w miejsce, gdzie mógłbym tylko pooglądać damy. Trafilibyśmy do jakiejś eleganckiej budy, w której żadna z nich nie spojrzalaby na takiego pętaka jak ja. Gdybym szefa namówił na mniej wystrzałowy lokal, na przykład taki w naszej dzielnicy, to owszem, załapałbym się, ale tylko na gorszy sort. Szef wybrałby najlepsze towary, co nie? – Ronnie rozłożył szeroko ręce.

Heniek poklepał rudzielca po plecach; raz, że rozumiał go doskonale, a dwa, wiedział, że kiedyś czas się usamodzielnic. Musi w końcu wypłynąć sam na nocne łowy i to właśnie był ten moment.

Pojechał do The Loop, w którym było jak zwykle jasno i pięknie. Tam ulice wyglądały niczym świetliste kaniony, a w sklepach były tłumy kupujących. Tu dom Hersego był na co drugim rogu, a między nimi rozparło się po parę miejscowych odpowiedników Braci Jabłkowskich. Światło odbijało się od równiutkiego asfaltu i chodnika. Było jasno jak w dzień, ale wciąż zimno. Gdyby tu była Leokadia, to kupiłby jej jakieś futro. Tak, kupowanie szło mu na pewno lepiej niż pisanie listów. A może to jego nieporadność w pisaniu, te kilka banalnych zdań, które z siebie wydusił, rozczarowały Lodzie? Może to o to chodziło? Mogło tak być, bo babki są przecież dziwne. Nagle na plecach poczuł ucisk i w tym samym

momencie ktoś w stanowczy sposób chwycił go za ramię.

– Stać, tu agent federalny – usłyszał słowa, które szybko przeszły w skowyt zadowolonego szakala. – Agent federalny John Oberta, dla przyjaciół Dingbat! – Do wycia Oberty dołączył rechot jego pięciu znajomków, którzy ubawieni przyglądali się całej akcji.

– A jakbym cię ze strachu zastrzelił? – odparował Heniek.

– Ha, ha, ha, to cały Henry, cały Ejdz Ejdz, cały on!

– zawył Oberta i zwrócił się do typów, którzy stali obok niego.

– Chłopaki, to jest właśnie Henry, z nim prowadzę interesy, to on, wiecie... – Oberta zrobił porozumiewawczą minę i pokazał na palcach strzał z pistoletu, jego kumple zaśmiali się uznaniem, a Dingbat znów zapytał: – Idziesz z nami?

Wyczuł, że nie ma wyjścia, po prostu tego wieczoru będzie miał innych niż Ronald przewodników.

Ruszyli w rozświetlone ulice The Loop. Oberta i jego ferajna byli hałaśliwi, jakby szli w jakimś pochodzie. Czuli się pewnie, tak jakby byli panami miasta. Oberta nie pozwalał jednak chłopakom na machanie bronią i zaczepki. Zachowywali się dość wstrzemięźliwie, miało być z fasonem, ale bez niepotrzebnego kozakowania. Ten cholerny Głupek wcale nie był takim głupkiem. Pewnie gdyby nie był gangsterem, to pracowałby jako artysta w kabarecie. Podobnie jak Sycowski, Oberta wszystko wiedział albo wszystkiego się domyślał. Alex łapał w lot i był takim samym gadułą jak Oberta, ale w przeciwieństwie do niego pozostawał jedną wielką tajemnicą. Mówił o sobie wiele i niemal przedstawiał wyciągi ze swych kont bankowych, ale Heniek nie wierzył w jego opowiadania o milionach i flotylli statków wożących dla niego alkohol. Wszystko to, co nawijał o swoim majątku Sycowski, Heniek dzielił przez sto, a czasem i tysiąc, a statki były pewnie łódkami.

Było nie było, Alex miał jednak jakiś mająteczek, choć nie taki jak Al Capone, o którym opowiadał w taki sposób, że po pewnym czasie skołowany słuchacz mógłby dojść do wniosku, że to Capone pracuje dla Sycowskiego, a nie na odwrót. Abram Alex Sycowski potrafił wstawiać kit jak mało kto, a z kolei Oberta potrafił każdego rozśmieszyć.

– Dokąd idziemy? – zapytał Obertę Heniek.

– Na Randolph Street, między Dearborn i Clark, do Henrici's! Nazywa się jak żabojad, ale to austriacki lokal, chyba że wolisz co innego?

– Na przykład?

– Niedaleko, na West Adams Street, Berghoff to szwabski lokal! Taaak, szwabski lokal dla szwaba! Wpadniemy na kiełbachę albo sznycla.

Dla Heńka nie był to najlepszy pomysł, wolał grać rolę Niemca u Amerykanów.

– Johnny, najlepsza whisky jest irlandzka, wino i makaron włoskie, a kiełbasa polska...

– A sznycel wiedeński! Tylko że w Henrici's nie podają sznycli! – zatroskanym tonem powiedział Oberta. – Ale pierw pójdziemy tam, bo kocham ich bar.

Po kilku minutach dotarli na West Randolph Street pod numer 67. Szyld restauracji był widoczny z daleka, wisiał bowiem w poprzek nad chodnikiem i były na nim wielkie świecące litery. Po wejściu Heniek oniemiał z wrażenia, w tak pięknej i zarazem odmiennej od reszty knajp jeszcze nie był. Gdy weszli do środka, w oczy rzucił mu się wielki bar, który wił się jak wąż. To naprawdę robiło wrażenie, podobnie jak wspaniały salon zastawiony stolikami i krytymi czarną skórą fotelami. Jakby tego było mało, na granatowej, niemal czarnej ścianie było malowidło przedstawiające żółto-czerwone pierrotty.

– Elegancko, prawda? – zaśmiał się Oberta. – Aż chce się pić. Tu alkoholu nie podają! – Widząc zdziwioną minę Heńka, ryknął: – Nie podają byle komu!

Na widok Oberty i jego ludzi kierownik sali szybko pstryknął na kelnerów i dał znać barmanom. Zasiedli przy barze i jak to w austriackim lokalu, podano im piwo.

– Bezalkoholowe – zarechotał Oberta, a wraz z nim reszta gangsterów.

Heniek spróbował, było to zwykłe, porządne piwo, żaden tam prohibicyjny sikacz. Do tego podano im kanapki z kurczakiem, wypili po dwa kufle i ruszyli dalej, do Berghoffa. I ta restauracja miała z daleka widoczny szyld, z tym że inny niż Henrici's. Ten był pionowy i wysoki na dwa piętra, ze świecącym napisem „Restaurant”. Na górze i dole były dwie poprzeczne tabliczki obwieszające: „The Berghoff”.

– Tu nie mają tak fikuśnego baru, ale za to mają sznycele!

I to wnętrze było eleganckie, z biało-czarną posadzką i okrągłymi stolikami. Sznycel faktycznie był dobry i porządnych rozmiarów, a kelnerzy mówili po niemiecku gorzej niż Heniek. Po godzinie Oberta zarządził:

– A teraz idziemy się napić!

Przed wyjściem z restauracji skorzystali jeszcze z toalety. Były tam automaty z papierosami, Heniek z radością zobaczył markę, która kojarzyła mu się z jego ukochanymi egipskimi. Sphinx i Ramzes! Szybko wrzucił monety, po chwili sięgał do automatu i wtedy usłyszał pianie Oberty:

– Ha, ha, ha, Henry pokazuje nam kierunek! Kto kupuje tyle gumek, ten chce iść na panienki, w końcu możemy przecież się napić w jakimś dobrym burdelu, albo jeszcze lepiej! Sprowadźmy panienki do hotelu!

Heniek czuł, że palą go uszy. Nie chodziło o to, że wstydził

się hurtowego zakupu kondomów, tylko tego, że jak gamoń nie odróżnił ich od papierosów. Dopiero po wyjściu z toalety zorientował się, że automaty z fajkami były w hallu lokalu. Kupił więc tradycyjnie lucky strike'i i z miejsca zapalił. Po paru dymkach ochłonął, w końcu mógł się gorzej wygłupić. Jak płacić frycowe, to takie. Po kwadransie wylądowali w burdelu, tam jeszcze popił i nabrał animuszu. O tym, że Leokadia nie napisała od dawna listu, już nie pamiętał.

W kolejnym tygodniu John Oberta i Alex Sycowski odwiedzili Heńka w nowym biurze. Hotel Lexington zrobił na nich wrażenie.

– Apartamencik, dwa pokoje i salonik niczego sobie
– zagwizdał Dingbat Oberta. – Kominek, szóste piętro i widoczek na ulicę, blisko w każde miejsce z wyjątkiem The North!

– To i dobrze, bo im dalej od Bugsy'ego Morana, tym lepiej! – pochwalił lokalizację Sycowski. – A oto prawie podarek na nowe miejsce – zatrajkotał i gestem rewolwerowca wyciągnął z wewnętrznej kieszeni palta grubą kopertę. – Prawie podarek, bo było za półdarmo. Półtora granda i papiery są twoje! Tyle za to zapłaciłem sędziemu.

– Półtora granda to faktycznie jak darmo – zarechotał po swojemu Oberta.

– Szybko poszło – zdziwił się Heniek.

– Jak ja załatwiam sprawy, to jest i tanio, i szybko! To teraz już jesteś pełną gębą Henry Haas, Amerykanin z Chicago! Zwracam paszporcik, a to inne potrzebne papiery: prawo jazdy i pozwolenie na broń! A nawiasem mówiąc, paszport to pierwszorzędna robota, pokazywałem kilku swoim specom i byli pod wrażeniem.

– Bo to robili specjaliści, którzy nie podrabiają, a robią

nowe dokumenty, tylko trochę drożej od rządu – powiedział Heniek, nalewając gościom po szklaneczce whisky.

– No i jeszcze coś ekstra – dodał Sycowski, podstawiając szklanekę. – Masz oto swój wcidupny pistolecik.

– Czuję się z tym pewniej, dziękuję.

– Ale jeszcze pewniej z prawem jazdy. À propos, ten paszport jest świetny, ale na co ci? Będziesz jeździł do Kanady? Nuda i tyle, a może planujesz się wybrać gdzieś dalej? Coraz częściej robi się interesy na Kubie, Bahamach i Jamajce. Warto się wgryźć w ten temat, to dobry kierunek i nikt mi nie powie, że Al kupił dom na Florydzie tylko po to, żeby sobie poleżeć na słońcu.

– Być może. Ale tak poza tym to wyjechać jest stąd łatwo, ale wjechać pewnie nie zawsze. Tutaj wygodniej mi być niemieckim człowiekiem interesu, ale już za granicą Amerykaninem.

– Masz rację, łebski z ciebie chłopak.

Wypili po kolejce, po czym zabrał ich do Colosima. Zaraz po obiedzie natychmiast pognął do najbliższego sklepu z bronią, bo teraz mógł nie tylko kupić, ale i legalnie nosić pistolet. Browninga, którego zabrał Ruby’emu, schował. Lepiej mieć na boku broń, której będzie można użyć, a potem wyrzucić. Przy sobie nosił colta M1911, który kupił legalnie w sklepie i na który miał pozwolenie wystawione przez sędziego pokoju lubiącego portrety prezydentów. Czuł się lepiej, mając przy sobie gnata i do tego takiego, który przypominał mu starego dobrego bronka.

Okazało się, że są z M1911 bliskimi kuzynami, a w zasadzie braćmi, bo ten colt także był dzieckiem Johna Browninga. Miał pod ręką dodatkowy argument, co było ważne dla szefa gangu, który był jedynym w ferajnie potrafiącym strzelać. Dodawało mu to pewności nie mniejszej od coraz

lepszego posługiwania się angielskim. Pół roku nauki u pastora Luttelmanna, pomoc RONALDA i wreszcie obracanie się wśród ludzi mówiących po angielsku były niezwykle skuteczną mieszanką. Swobodnie poruszał się po mieście i był już niemal pełną gębą jankesem, ze wszystkimi papierami i zezwoleniami. Talię trefnych dokumentów uzupełniały paszporty, niemiecki oraz szwajcarski, które zawdzięczał fałszerzom wynajętym przez kapitana Beniowskiego. Wszystko było załatwione na lewo, ale za prawdziwe pieniądze, które pochodziły albo z zasobów „dwójki”, albo z jego pracy. Bo kto ma pieniądze, ten może wszystko. Czuł to coraz mocniej i było mu z tym dobrze.

XII

Barwy kampanii

Tutejsza zima nie była tak obfita w śnieg jak ta w Warszawie, ale też dawała się we znaki. Temperatura spadła jeszcze bardziej, mróz ścisnął jak w Polsce, ale tam nie było takiego wiatru.

– Jak zadmie od jeziora czy od wielkich równin, to może urwać łeb przy samym tyłku – śmiał się Oberta. – Już teraz wiesz, czemu Chicago to Windy City – wietrzne miasto!

Nie chciało się pracować, ale trzeba było, bo zapotrzebowanie na alkohol rosło wraz ze spadkiem temperatury i nasilającymi się wiatrami. Zima i karnawał to były piękne żniwa. Heniek, jako Henry Kennedy, od kilku tygodni chodził do Holy Family Boxing Club, irlandzkiego klubu bokserskiego. Szło mu nawet nieźle, trzymanie na dystans prostym i punktowanie za jego pomocą były bardzo pomocne, a jeszcze bardziej to, że był oburęczny. Mógł zacząć sparing, walcząc z normalnej pozycji, a później zmieniał ją na odwrotną. Nikt nie lubi walczyć z mańkutom, zwłaszcza wtedy, gdy ten wypuszcza rywala, udając, że jest zwykłym, praworęcznym pięściarzem. Trener, stary fachura Shaun McQueen, chwalił go za to, ale też uważał, że nie potrafi dominować na ringu.

– Nie próbuj mi tylko pieprzyć o szermierce na pięści czy partii szachów w ringu! Co ty jesteś, Fighting Marine? – śmiał się z niego. – Musisz, synu, iść jak taran, walić seriami, tłamsić przeciwnika! Siła, siła, siła! Jak to osiągniesz, możesz się zacząć bawić w wirtuoza.

Skakanka, ciężary, bieganie i niekończące się serie w worek. Zupełnie inaczej niż u Izraela Fajna, tam był balet i zwodzenie przeciwnika, tu siła i tłamszenie od frontu. Heniek

zacisnął zęby i robił to, co kazał mu McQueen, ale nie zapominał o lekcjach u Fajna i gdy wchodził na ring, starał się łączyć obie szkoły. Pracował ciężko, pot lał się z niego strumieniami. Miał potem wilczy apetyt, bywało, że miał dość tej harówki, ale zauważył, że zrobił się silniejszy, szybszy i bardziej wytrzymały. Nakręcało go to, więc pracował sumiennie.

– Chcesz walczyć w turnieju? – zapytał pewnego razu trener.

– Nie o to mi chodzi – odpowiedział Heniek. – Chcę być po prostu lepszy. Jestem za stary na to, żeby tuc się w turniejach, poza tym szkoda facjaty.

– A ze mną byś się spróbował?

Nagle zobaczył, że spod zacienionego miejsca w rogu sali przysłuchuje im się niższy od niego, ale za to mocno zbudowany typ.

– Może by tak mały sparing, przyda się taka zabawa na początek dnia, co nie?

Zlustrował gościa szybkim spojrzeniem, to nie był gawędziarz ani lamus. Instynkt podpowiadał mu, że to dobry bokser. Ale nie było wyjścia, nie był tchórzem, więc choć typ wyglądał na kozaka, zgodził się.

– Okay, powalczymy!

Gość szybko zdjął marynarkę, krawat i koszulę i został w samym podkoszulku oraz spodniach. Heniek przyjrzał się z bliska jego garderobie. To, co jego przyszły rywal rzucał na stojące przy ringu krzesło, było jak wizytówka. Szary kapelusz z czarną wstążką, najlepsza wełna, jedwabie, krzyczący kolorami krawat, spinki i klamra wysadzane diamentami. I wreszcie buty, lakierki tak błyszczące, że można byłoby ich używać zamiast lustra. Wszystko razem było jak służbowy

uniform. Nie ulegało wątpliwości, że facet był gangsterem i to nie byle jakim. Zauważył, że nawet pan i władca gymu, którym był trener McQueen, traktował go z atencją. Jak na Irlandczyka miał dość ciemną karnację, ale wbrew wszystkiemu sporo było takich Ajriszy, choć nie tak wielu jak Walijszyków. Butów nie zmienił.

– Nie ma czasu na takie pierdoły – zaśmiał się głośno. – To nie będzie piętnastorundówka o tytuł, tylko mały sparing, co nie?

Z wprawą założył rękawice, a trener pomógł mu je zasznurować. Jak już był gotowy, rażno wskoczył na ring. McQueen dał znak. Heniek myślał, że tamten ruszy na niego. Nic z tego, rywal się przyczaił i czekał na to, co zrobi przeciwnik. Tak jakby chciał go trafić i przy tym nie spocić się za bardzo. Podpuszczał go, opuścił gardę i prowokował do ataku. McQueen zalecał frontalny atak seriami, ale Heniek zrobił to po swojemu i próbował trafić go lewym prostym. Gość nie dał się uderzyć, robiąc elegancki unik. Było tak raz, drugi i trzeci, aż w końcu nastąpiło to, czego spodziewał się dużo wcześniej. Przeciwnik wypuścił kombinację ciosów, szybką, płynną i cholernie mocną. Heniek zatoczył się po uderzeniu na korpus, uniknął trafienia podbródkowym, a sierp przeszedł mu po policzku. Każde z trafień mogło być nokautujące. Odskoczył i odbił się od lin, przelatując obok rywala i przy okazji zadając cios, który tamten w ostatniej chwili sparował na rękawicy.

– Niezły jesteś!

Skomplementował go, ale natychmiast ruszył, ustawiając się bardzo niewygodnie. Heniek chciał przejść na odwrotną pozycję, ale czuł, że tamten się tego spodziewa. Że wie, że jest szmaja. Tak też było.

– Kiedy chcesz mnie zaskoczyć, że jesteś mańkutem?

– zaśmiał się i znów zmienił położenie. Praca nóg była jego mocną stroną, Heniek bardzo chciał tak chodzić w ringu.

– Skąd wiesz, że jestem leworęczny?

– Patrzyłem na ciebie, lubię takich spryciarzy! Jak McQueen doda ci siły, będziesz naprawdę dobry.

Po tych słowach runął na Heńka z kolejną kombinacją ciosów. Ten znów się obronił, ale z trudem, odpowiadając pojedynczymi uderzeniami. Wtedy postanowił gwałtownie przejść do ofensywy, zaskoczył go, ale na krótko, szybko więc zrobił odskok. Czuł, że z czasem każdy krok i ruch zaczęły mu sprawiać coraz więcej kłopotów. Nogi i ręce stawały się jak z ołowiu, tracił szybkość, a wraz z nią dokładność i pewność siebie... Nigdy walka w ringu nie kosztowała go tylu sił, nigdy nie walczył z tak dobrym przeciwnikiem i nie robił tego z taką intensywnością. Na szczęście tamten nie chciał go zabić, a po serii, którą przyjął na podwójną gardę, rywal się zatrzymał, stanął przed nim i opuścił rękawice.

– Okay, masz dość, ja też się zmęczyłem – mruknął.

– Dawno się w to nie bawiłem!

– A szkoda – włączył się McQueen. – Zapowiadałeś się na dobrego zawodowca!

– Dalej nim jestem, ale w poważniejszej konkurencji! Nie jestem gigantem, ale walczę w superciężkiej! – Zaśmiał się, po czym przy pomocy trenera zdjął rękawice i podał dłoń Heńkowi.

– Ubierz się szybko, czekam na ciebie. Zainteresowałeś mnie, więc mamy troszkę do pogadania.

Kim jest ten gość i czego ode mnie chce? – pomyślał Heniek.

Dowiedział się w szatni. Jeden z klubowiczów poklepał go po plecach i z podziwem rzucił:

– Jesteś kumplem McGurna? Ho, ho, szacunek chłopie!

McGurn, McGurn... Co to za jeden? Coś mu się kojarzyło, ale nie do końca mógł wydobyć z pamięci, co znaczy to nazwisko. Pewnie ma ksywkę, która powie mu wszystko, ksywki częściej były w użyciu niż nazwiska. Gdy wyszedł z szatni, McGurn czekał przy stoliku stojącym pod ringiem i patrzył na kolejny sparing. Shaun McQueen nie tolerował w klubie alkoholu, ale widać było, że ten facet mógł więcej niż inni, bo na stoliku stały piersiówka i dwie szklaneczki.

– Jak sądzę, nie jesteś chyba suchy, co nie?

– Zdarza się, że bywam suchy, ale wtedy od razu chcę się naoliwić!

– Naoliwić – zaśmiał się McGurn. – Naoliwić, nie znałem tego! Dobrze! Jesteś...

– Henry!

– Ha, ha, ha, no faktycznie – roześmiał się. – Henry, ale nie Kennedy, ten Kennedy to jakaś lipa. – Mówiąc to, puścił do Heńka oko. – Bo nazwisko masz chyba na „h”, bo słyszałem, jak parę osób mówiło o tobie Ejdz Ejdz. Ejdz Ejdz – dobra ksywka! A ja jestem Jack, Jack McGurn. Wyglądasz na gościa z Europy, ten szyk, bardziej umiarkowany od naszego. Ale twoje pieniądze nie są stare, co nie?

– Nie – zaśmiał się Heniek. – Stara jest tylko bieda.

– Zupełnie jak ja, jak większość z nas. Czeka, czeka, skąd cię przywiało, akcent masz kompletnie porąbany, na pewno nie irlandzki, bo te skurczybyki najczęściej mówią po angielsku od urodzenia, ale nie jak Angole, nienawidzą ich zresztą. Ty Ajriszem na pewno nie jesteś, Dago też nie! Ja jestem Dago – zaśmiał się perliście. – Przypomnij mi, Ejdz Ejdz, jakie jest to drugie h, Henry...

– Henry Haas, Nazywam się Haas.

– Żyd albo szkop. Ale włosy coś za jasne, szkop, co nie?

– Z Polski.

– No, znam paru gości z tego kraju, Żydów i Polaków, rzecz jasna, ale Niemca jeszcze nie znałem. – Jack zamyślił się, jakby szukał czegoś w pamięci. – Skąd ten Kennedy, kolego?

– Kennedy to od nazwiska mojego bratanka.

– Kennedy, Kennedy. – Facet szukał w pamięci. – No tak, taki rudy chłopak, ma szybkie ręce, potrafi dać parę strzałów i odskoczyć, niezły spryciarz! Ty też, kolego, niezłe dajesz.

– Dzięki za dobre słowo, szkoda tylko, że późno zacząłem.

– To zupełnie jak ja w golfa. Całkiem niedawno, ale mam jeszcze większą smykałkę niż do boksu – powiedział z dumą.

– Tak mi się ten golf spodobał i tak to szybko poszło, że nie potrafię sobie przypomnieć, czy pierw zacząłem grać na poważnie, czy kupiłem udziały w polu golfowym. – Śmiejąc się, stuknął szklaneczką o szkło Heńka i wzniosł toast. Whisky była dobra, z tych najlepszych. – Nie przejmuj się, że straciłeś czas – ciągnął Jack McGurn. – Masz dobrą koordynację i jesteś szybki, a to połowa sukcesu! W golfa też możesz spróbować, mówię ci to, bo jestem dobry. Byłem zawodowcem w boksie, będę też i profi w golfie. I to dobrym profi!

– Skoro nie jesteś Irlandczykiem, to pewnie jesteś Włochem?

– Wiesz, jak jest. – Rozejrzał się. – Gdzie trzeba, jestem Vincenzo Gibaldi, a znowu gdzie indziej – Jack McGurn, zupełnie jak ty, kolego.

– Gibaldi?

– Gibaldi, przecież mówiłem, że jestem Dago! I to z Sycylii!

– Czarny Włoch! – Heniek ugryzł się w język, wielu z nich podobno dostaje szału, gdy to słyszą. Ale było już za późno, zupa się wylała.

– I czarny charakter. – Na szczęście Jack był niezłym dowcipnisiem. – Zapraszam cię na kolejkę do jakiegoś konkretnego baru, nie będziemy wkurzać starego McQueena, należy mu się szacunek, co nie?

Pojechali do baru i tam Heniek poczuł, jak ważną osobą jest McGurn, kłaniano mu się w pas, a ci, którzy znali go lepiej, klepiąc po plecach, witali się słowami:

– Jak się masz, Machine Gun?

Machine Gun! Jack Machine Gun McGurn, cyngiel Ala Capone! A więc to ten sławny typ od rozwiązywania problemów przy użyciu rozpylacza... Heniek dumiał, co z tego wyniknie, a tymczasem McGurn dalej gadał o golfie i boksie:

– Zawodowcem nie będziesz, ale trochę umiesz. Numer ze zmianą pozycji znakomity, póki będziesz nieznany, masz w rękach patent na szybki nokaut, ale zrobisz kuku kilku gościom, to będziesz musiał wymyślić coś nowego!

– Jestem oburęczny, w zasadzie bardziej leworęczny, ale piszę prawą, bo się czepiali w szkole. Jak już się nauczyłem pisać prawą, to inne rzeczy poszły z górki.

– A którą ręką walisz konia? – niespodziewanie zapytał McGurn i zaryczał ze śmiechu, zadowolony ze swojego żartu.

– Tą, której nie trzymam na cipce – odciął się Heniek.

– Ha, ha, ha, dobre! – zaśmiał się gangster. – Dobre! Wyszczekany jesteś! Więc powiedz, którą rękę trzymasz na cipce?

– Tę, w której nie trzymam kieliszka...

– Dobry jesteś, nie ma co! – ryczał McGurn, uderzając dłonią o udo. – A którą ręką trzymasz kieliszek?

– Prawą, przyzwyczałem się do tego, bo ludzie nie lubią, jak ktoś wznosi toasty lewą ręką.

– Taki jesteś wrażliwy na to, co ludzie powiedzą?

- O szczegóły klócić się nie będę...
- Cwany jesteś!
- Raczej ostrożny.
- Ostrożny bokser!
- Sam powiedziałaś, że bokserem to ja nie będę.
- Ale umiesz inne rzeczy. Wiem, że strzelasz...
- Czyżby?
- Nie mam czasu na pierdoły, wiem, kim jesteś i co

potrafisz! – Ton głosu McGurna zrobił się szorstki, choć na twarzy był szeroki uśmiech. – Palnąłeś tych gnojków od Dutcha, co nie? Myślisz, że zainteresowałeś mnie, Ejdz Ejdz, bo jestem łowcą talentów, jakimś pieprzonym bokserem agentem?

– Palnąłem, bo musiałem.

– Musiałem, musiałem... – uśmiechnął się dziwnie – nie bądź taki skromny, ja też od czasu do czasu... – zawiesił głos – muszę... – Na słowo „muszę” uśmiechnął się szeroko. – Coś taki skwaszony jak dziewica w burdelu, he?

– Bo mnie ta reklama nie jest potrzebna.

– Czyżby? – McGurn uniósł brew do góry. – Ciekawe, ciekawe. A czy wiesz, że dzięki temu możesz troszkę więcej niż inni i że Al cię lubi za ten numer?

– Tak, wiem, wpadłem na niego u Colosima i sam mi to powiedział.

– No to pięknie, wiesz, ilu chłopaków o tym marzy? Czegoś taki smutny?

– Bo z tego lubienia może wyjść tyle, że mi kupi kwiatów za tauzena i osobiście położy na sosnowej jesionce...

McGurn się uśmiechnął, złapał go za policzek i wytarosił. W pierwszym odruchu Heniek chciał się szarpnąć, ale się powstrzymał, bo widział, że czasem tak robią makaroniarze.

– Nie bój się, o tym wie jedynie parę osób, tylko ci co

trzeba!

– Mam nadzieję...

– Co, mam nadzieję? – Uścisk na policzku zrobił się mniej delikatny. – Co ty, kurwa, sobie myślisz, że traktuję cię jak kumpla, a wciskam ci *bull shit*? Chodź, walniemy kolejkę, musisz się zrelaksować. *Relax, relax, my Henry!*

Heniek coraz lepiej rozumiał, z jakim typem ma do czynienia, i czuł, że nie doprowadzi to do niczego dobrego.

Mijały tygodnie, ale wbrew obawom Heńka Machine Gun nic od niego nie chciał. Parę razy skrzyżowali w ringu rękawice, po czym strzelili sobie po drinku. Robota szła coraz lepiej, wyprodukowali pierwszą kasę na zamówienie, stosując patent z wypełnianiem ścianek trucizną. Chodziło o jakość, renomę i popularność, bo pieniądze robili na alkoholu. Coraz większe i coraz łatwiejsze, ale podobno miało się to zmienić. Zbliżały się wybory lokalne i wszyscy ludzie, z którymi współpracował Heniek, bali się o ich wynik.

– Jak ludzie burmistrza Thompsona stracą władzę, to on sam będzie mało znaczył – tłumaczył zatroskany Oberta.
– A wtedy parę osób może mieć kłopoty. Żeby ich uniknąć, wysadzą pod lokalami i domami reformatorów parę ananasów. Tamci też to robią, paru gangusów zostało nieźle opłaconych i straszą ludzi Thompsona. Będzie wesoło, będziemy mieli ananasowe przedwiośnie. Właśnie odstrzelono Esposito, bo mu się zachciało polityki po niewłaściwej stronie, Brylantowego Joe rozsiekano pięćdziesięcioma ośmioma nabojami wywalonymi ze strzelb i rewolweru, dobry wynik jak na lokalną politykę!
– Oberta zakończył tę myśl po swoim, śmiejąc się jak szalony.
– À propos, wpadnij do mnie na wiec wyborczy, sam Big Murphy będzie zagajał. Gdzie dwóch się bije, tam Oberta korzysta, zostanę radnym, a później senatorem. Już teraz jestem

ważną postacią w związkach. To jest to, co mnie interesuje, fajna posadka i golf. Swoje już odłożyłem, więc mogę zacząć kombinować jak najwięksi cwaniacy, kapitaliści i politycy.

– Zaśmiał się jak szakal. – Ale dalej będziemy w swoim grajdołku, a ja awansuję do najważniejszego gangu, którym rządzą kolesie z Wall Street i Waszyngtonu! Al popiera jednych, Esposito drugich, a ja, przyjacielu, popieram w tej kampanii siebie. Porozklejasz mi plakaty. – Znow zarechotał jak szakal lub kojot. – Żartowałem, żartowałem. – Nagle jednak spoważniał. – Udział w kampanii cię nie ominie, jest pełna mobilizacja, sięgną i po ciebie. Czasem płaci się procent, a czasem oddaje się pracą własnych rąk. Na pewno się zaangażujesz, bo mieszkaniac Stanów Zjednoczonych powinien brać udział w życiu politycznym; konstytucja, demokracja, wolność, trzeba się tym cieszyć!

– Już się w życiu napolitykowałem – odciął się Heniek.
– Póki nie będę musiał, nie wpakuję się w żadną historię.

Mówił jak najbardziej serio, bo w dupie miał politykę, skończył z nią dawno, w Polsce. Jak wróci do Warszawy, żadnego Tasiemki, żadnej partyjnej ferajny, żadnych pochodów i bijatyk. Jest teraz człowiekiem interesu i jak trzeba będzie, to może dawać łapówki, innych kontaktów z politykami i polityką sobie nie wyobrażał. Oberta miał inne ambicje, bez dwóch zdań to był łebski gość, inteligentny, obrotny i czujny. Niezły cwaniak po prostu, który wiedział, co robi, i potrafił się ustawić z wiatrem. Ale on dobrze wiedział, skąd wieje wiatr, i przeszedł już parę burz, on był tutaj od urodzenia, a Heniek dopiero pół roku.

John Oberta odrobił już swoje w gangsterskim wojsku, jego boss Big Tim siedział, a obaj oskarżani byli kiedyś o morderstwo. Teraz to inni robią, co im się każe, inni, to znaczy

tacy jak Heniek.

Trzeba się będzie jakoś do nich przykleić, pomyślał. A na razie musi się trzymać od tej zabawy jak najdalej, żadnych spotkań z Machine Gunem, żadnych ananasów. Nawet w Warszawie nie politykowano w ten sposób, choć wszyscy, którzy robili w tym dłużej, wiedzieli, jak rzucić bombę i to poważniejszą, nie takie gówiączko. W Warszawie to było na ulicach; wiece, pochody, zabójstwo prezydenta, pierwszomajowe strzelanki, bójki na dzielnicach, aż w końcu... W końcu przecież była u nas prawdziwa wojna, krótka, bo krótka, ale wojna, uznał. Marszałek urządził czterodniową drakę, w trakcie której poleciało coś poważniejszego niż ananasy. Swoje odrobił, trzeba się gdzieś schować, choćby do mysiej dziury.

Nazajutrz zamiast jak zwykle odwiedzić Holy Family Boxing Club, poćwiczyć i posparować z trenerem McQueenem, zrobił sobie wolne. I kolejnego dnia także, ale jak się okazało, nie była to dobra metoda. Jack McGurn pofatygował się osobiście do biura.

– Mam do ciebie sprawę, musisz spłacić dług.

– Jaki dług?

– Dług zaufania – zaśmiał się Machine Gun. – Al i ja ufamy tobie, bo jakbyśmy nie ufali, to byśmy nie prosili cię, żebyś podłożył ananasa pewnemu facetowi, który nas uwiera.

Jack McGurn bez ogródek i zbędnych ceregieli powiedział mu, czego od niego chcą. Ot, taki żarcik.

– Ananas w ogródku, kumasz? Znasz się chyba na ogrodnictwie na tyle, żeby podjechać autem, zrobić bum i spokojnie udać się dalej – zaśmiał się McGurn, jakby to wszystko było bajecznie proste i banalne, niczym strzelanie petardami na rezurekcji. – Umiesz chyba odpalić małą bombkę,

nie stracić przy tym łap i nie wysadzić w powietrze domu z ludźmi? Aż takiego przedstawienia nie potrzebujemy, tu chodzi o delikatny komunikat, po którym kumpel Brylantowego Joe wyciągnie właściwe wnioski. To jak, dasz radę zrobić małą eksplozję?

– Pewnie, że tak.

– Nie dasz ciała?

– Nie.

– Tu masz adres. – McGurn dał Heńkowi zmiętą kartkę.

– Ten pierwszy to hodowla ananasów. – Gangster zaśmiał się ze swojego żartu. – A ten drugi to trawnik, gdzie masz go zasadzić. Podjedziesz pod ten pierwszy adres, wejdiesz do baru i powiesz, że jesteś ode mnie.

A więc nikt się z niczym specjalnie nie krył, pomyślał Heniek. Zupełnie jak z handlem wódką, szmuglem i produkcją. Ale ostrożność nie zawadzi, w końcu był konspiratorem w drugim pokoleniu i wiele się nauczył od Taty Tasiemki i Szpica. Może niepotrzebnie jest taki czujny? Ale zaraz w myślach odpowiedział sobie: *Tisze jediesz, dalsze budiesz* oraz „Strzeżonego Pan Bóg strzeże”. To dziwne, że myśli w ten sposób, jego jedyny kontakt z kościołem to były wizyty u pastora, który uczył go angielskiego.

Schował bombę do kieszeni i ruszył w kierunku ulicy, przy której stało dużo aut i warkot silnika nikogo nie dziwił. Przeważały fordzy T. Wybrał jednego z nich. Czarne fordziaki nie rzucały się w oczy, bo było ich najwięcej i nie sprawiały niespodzianek.

Zdecydował się na najnowszego, włamał się i wsadził wytrych w stacyjkę w desce rozdzielczej. Zakręcił w lewo i rozległ się turkot silnika, który pracował równo, bateria była okay, bo motor zapalił od razu. Co prawda wskaźnik, jedyny,

jaki był na desce auta, pokazywał, że bateria jest naładowana, ale bardzo często zegary kłamały, ważniejsze więc było to, co usłyszał. Ruszył tym najpopularniejszym i jednocześnie najdziwniejszym z pojazdów, w którym do jazdy w tył był oddzielny pedał, w którym biegi zmieniało się, ruszając pedałem jazdy w przód i wajchą, co była równocześnie hamulcem ręcznym, a gazu dodawało się wihajstrem przy kierownicy. Ale ważne, że fordziak był niezawodny. Oczywiście pod warunkiem, że nie był to, tak jak w Warszawie, pojazd z demobilu i jak każde auto miał odpowiednią ilość paliwa.

Ujechał ze dwie mile i stanął pod latarnią. Uniósł do góry siedzenie, pod nim była metalowa beczka z benzyną. Odkorkował i wsadził patyk, wyciągnął i obejrzał. Było w porządku, benzyny nie zabraknie. Nie miał jej nadzwyczajnie dużo, ale nie będzie jechał pod górkę. Ford T nie posiadał pompy paliwowej i benzyna po prostu płynęła do silnika z góry do dołu, dobry patent, zakładając, że przy ostrych podjazdach zbiornik był odpowiednio wypełniony, w przeciwnym razie trzeba było ją tłoczyć ręczną pompką znajdującą się w desce rozdzielczej. Wolał do tego nie dopuścić, bo lepiej było mieć jedną rękę wolną, by trzymać w niej broń. Jeszcze olej... Motor nie wydawał podejrzanych odgłosów, więc nie będzie włąził pod auto, żeby sprawdzić jego poziom. Dojedzie i wróci, a jak się silnik na koniec zatrze, to właściciel będzie miał pecha, trzeba było dolewać.

Jechał powoli, nie spiesząc się. Był co prawda już dwudziesty ósmy marca, ale leżał świeży śnieg, a w takich warunkach łatwo było o wypadek. Podjechał pod wskazany adres i się rozejrzał. Na ulicy było ciemno i pusto, tak jak w dzielnicy domów jednorodzinnych o tej porze. Wrzucił bieg na luz i zaciągnął hamulec. Zamienił kapelusze. Zamiast

ciemnego, wcisnął na głowę specjalnie przygotowany na tę okazję szary kapelusz z czarną wstążką. Wyglądał teraz jak jeden z kilkuset chicagowskich gangsterów. Wysiadł z auta, podbiegł pod ganek, odbezpieczył ananasa i biegiem wrócił do samochodu. Gdy ruszał, bomba wybuchła z wielkim hukiem. Posypały się drzazgi, poszły szyby. Było jak trzeba, teraz tylko spokojnie opuścić okolicę, porzucić auto i wrócić do hotelu.

Następnego dnia w gymie spotkał McGurna, który leniwie boksował w rogu sali.

– No i jak poszło, Ejdz Ejdz? Z tego, co czytałem w gazetach, było jak trzeba, chyba nie za trudne dla ciebie?

Heniek nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął. Pewno że nie, pomyślał.

Wybuch na trawniku to faktycznie żart. Gdyby Jack wiedział, że Heniek przeszedł kurs dla dywersantów, gdyby wiedział, że brał udział w wysadzeniu solidnego mostu kolejowego... Oby nigdy nawet nie podejrzewał go o takie umiejętności. Przybił piątkę z McGurnem i wziął leżącą na stoliku gazetę. Tytuł krzyczały *Wybuchy pod domami senatora Deneena i sędziego Swansona*. Świadkowie widzieli mężczyznę w szarym kapeluszu.

Nie wiedział, który z nich był jego „klientem”, ale nie ulegało wątpliwości, dokuczył komuś, kto miał długie ręce. Grubo, pomyślał. Bardzo grubo. Oby McGurn nie wpadał już więcej na podobne pomysły i nie obsadzał go w takich akcjach. Ale dobrze wiedział, że były to pobożne życzenia.

XIII

Amerykański gangster

Diamentowy Joe Esposito został podziurawiony jak durszlak, a ananasy wybuchały tam, gdzie miały wybuchać, po czym uznano nagle, że na tym koniec kampanii. Heniek odetchnął, ale to wcale nie musiał być koniec, bo wybory zaplanowano dopiero jesienią. Miał teraz inną sprawę na głowie, od maja pod hotelem Lexington zaczęły się pojawiać lepsze auta. Im bardziej miesiąc zbliżał się do końca, tym częściej można było spotkać najnowsze i najdroższe lincolny, a z nich wysiadali goście, co do których profesji nie było żadnych wątpliwości. Elegancko ubrani, mocni, pewni siebie, uzbrojeni i z taką ilością biżuterii, że kilku z nich mogłoby zapłacić swoimi pierścionkami, sygnetami, łańcuszkami, kłami, spinkami oraz szpilkami do krawatów mały, ale za to specjalizujący się w wyjątkowo drogich precjozach, sklep jubilerski. Przyjeżdżali gangsterzy, chłopaki od Capone. Niektórych znał z widzenia, ale żadnego osobiście. Coś się kroi, tylko co?

W czerwcu już było wiadomo, pewnego słonecznego dnia do pokoju wparował zdyszany Ronald.

– Szefie, ale ruch, coś się stało na dole!

– Coś się stało i nie wiesz co?

– Stało albo się stanie! Jest tam cała masa chłopaków od Ala Capone, widziałem samego Frankiego Rio!

Heniek poderwał się z krzesła. Frankie Rio i McGurn to złoci chłopcy Ala, coś się kroi, czyżby znowu kłopoty?

– Wracaj na dół i zobacz, co się dzieje, bądź ostrożny!

– Wiadoma sprawa, tylko durnie nadstawiają łeb, jakby co, to powiem, że pracuję dla Ejdź Ejdza, który jest kumplem

Machine Guna – zaśmiał się Ronald, po czym wcisnął czapkę na głowę i ruszył do drzwi.

Ta cała znajomość z Machine Gunem pewnie mu kiedyś wyjdzie bokiem, ale akurat teraz mogła być bardzo przydatna.

Po kwadransie było już wiadomo, co jest grane.

– Szefie, ale numer, będziemy mieli sąsiedztwo!

– Rudzielec był podekscytowany jak mała kiedy. – Al Capone wynajął tu dwa piętra, dwa całe piętra, no i salę balową!

– Co? – Heniek nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– Tak, właśnie Rio szykuje najem dla niejakiego George’a Philipsa, będzie mieszkał równo pod szefem, tu ma mieć nowe biuro, apartament i kwaterę główną. Ten cały Philips to oczywiście Al Capone! – Ronald miał wypieki na twarzy.

– Przenosi się tu razem z całym kramem z hotelu Metropole.

Będziemy w środku wielkiego świata!

Heniek przysiadł na brzegu biurka i myślał. W głowie międlily mu się dziesiątki myśli, krążyły sprzeczne komunikaty. W końcu wyjął lucky strike’a, zapalił i się zaciągnął, a wypuszczając dym, powiedział:

– Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, na dwoje babka wróżyła. Zobaczymy, a na razie przejdę się na obiad.

– Jak szef chce pójść do pizzerii naprzeciwko, to nie tym razem, siedzi tam z dziesięciu chłopaków od Scarface’a i wcinają, aż im się uszy trzęsą, a ci, co się nie zmieścili w lokalu, siedzą u nas w lobby.

– Ilu ich jest?

– Ze dwudziestu.

W hotelu Lexington zaczęły się nowe porządki. Kilka dni i było to zupełnie inne miejsce. W lobby i w sali balowej siedzieli żołnierze Ala. Ci na dole pełnili służbę jako wartownicy, niemal zawsze siedzieli rozwaleni na kanapach jak

sułtani. Tony Joe Batters Accardo oraz Louis Little New York Campagna. Obaj bez cienia żenady trzymali na kolanach thompsony, w których zawsze były pełne magazynki i to te najłystsze, na sto nabołów. Gdyby otworzyli ogień, to z wejścia do hotelu zrobiłoby się sito.

Accardo, nazywany także Big Tuna, był protegowanym Machine Guna, a Campagna miał jeszcze mocniejsze referencje. Tak jak Al pochodził z Brooklynu i podobnie jak on należał w młodości do Five Points Gang. Tam jako szczeniak spotkał młodego Capone, znali się więc jak łyse konie i Al miał do niego oraz do Accarda bezgraniczne zaufanie. Sam Machine Gun też często przebywał na dole. Co prawda jego pokój był tuż przy apartamencie Ala, ale w lobby była imitacja golfowego greenu. Machine Gun był namiętym graczem, więc często wpadał tam, by poćwiczyć patowanie. Piętro wyżej, w sali balowej, stacjonowały odwody Scarface'a. Jedni drzemali na sofach, inni trenowali, bo sala balowa była przerobiona na gym. Drugie piętro było neutralne, chodziły tam zawsze gangsterskie patrole, trzecie i czwarte były dla postronnej publiczności zamknięte. Ludzie Ala mieli na nich swoje pokoje, a nawet kuchnię. Wszystko razem przypominało krzyżówkę koszar z pałacem prezydenckim. Piąte piętro, na którym miał swoje biuro i apartament Heniek, było także wykorzystywane przez Ala. Połowa pokoi czekała na jego gości, najczęściej rodzinę.

Czasem czuć było, że się coś wydarzy. Ludzie Ala byli nerwowi, na korytarzach zaczynał się ruch, później komentowano przy szklaneczce whisky to, co się stało na mieście. A działo się jak zwykle sporo. W czerwcu ktoś zastrzelił na progu jego własnego domu Big Tima Murphy'ego, podobno zrobił to Camel Humphreys, ale czemu pociągnął za cyngiel, nie wiadomo. Akurat w lobby hotelu Lexington tego nie

komentowano, a i następca Big Tima, Dingbat Oberta, nie był skory do wynurzeń.

– Takie jest, mój drogi przyjacielu, ryzyko pracy związkowej. Człowiek się poświęca dla innych, a tu traaach. Mam też problem, muszę opanować sytuację, a przede wszystkim pocieszyć wdowę. Margaret bardzo przeżywa śmierć Big Tima.

Nim Oberta zdążył pocieszyć wdowę po Big Timie, na początku lipca gruchnęła kolejna wieść. W Nowym Jorku został zabity dawny człowiek Ala, słynny Frankie Yale. Łączyło ich nie tylko wspólne kropnięcie Jamesa Colosima, ale i nowojorska młodość i udział w jednym gangu. Gdy na brooklińskiej 44 ulicy rozwalano Yale'a, Al przebywał na Florydzie, wystarczająco daleko, by nie zostać uznany za zabójcę dawnego współnika. Oczywiście Al, jak to Al, udzielał się w prasie, gdzie opowiadał, że ubolewa z powodu „gwałtownego i przedwczesnego” odejścia przyjaciela z dzieciństwa i młodości.

Wojna gangów pociągała więcej ofiar, ale trupów gangsterskiej drobnicy nikt nie liczył, cały czas wywożono kogoś na przejażdżkę albo porywano transport whisky. To, co było naprawdę ważne, wydarzyło się we wrześniu. W samym środku The Loop zastrzelono jednego z najbliższych ludzi Ala, Tony'ego Lombarda. Wtedy w hotelu zawrzało jak w ulu, oczywiście Ronald szybko wiedział, co i jak.

– Szefie, kropnęli go w biały dzień na zatłoczonym chodniku na Madison! Killer podszedł do Lombarda i wpakował w niego kulki. Walnął cztery razy, Lombardo dostał za ucho, a ochroniarz w kręgosłup. To prawdziwy zawodowiec! Uciekł, jak gdyby nigdy nic, drugi ochroniarz nie dorwał go w tłumie, wiadomo tylko, że miał brązowy garnitur.

W hotelu Lexington było jak w piekle. Pogrzeb Lombarda,

pełen przepychu i tysięcy ludzi, okazał się najważniejszym wydarzeniem kończącego się lata. Oczywiście Al wrócił do Chicago i na lewo i prawo udzielał wywiadów, grając rolę zatroskanego ojca rodziny. Reporterom nie potrafił wyjaśnić, czemu zginęli Yale i Lombardo, którzy byli przecież przyjaciółmi. Snorky wciskał pismakom kit, ale Heniek wiedział, że doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co jest grane, i planuje kolejne ruchy.

Kilka dni po pogrzebie Lombarda zahaczył go Machine Gun. Stał w hotelowym lobby i trenował grę w golfa. Zawołał Heńka, dał mu do ręki putter[31] i wskazał piłeczkę.

– Ejdz Ejdz, trafisz do tej dziury?

Heniek pamiętał, jak ustawiał się McGurn, i imitując jego ruchy, uderzył. Piłeczka pomknęła po zielonym suknie udającym golfowy green i wpadła tam, gdzie trzeba.

– Nieźle, naprawdę nieźle – pochwalił gangster. – Trochę sztywno, ale dobrze się ustawieś.

– Gdybym mógł uderzyć z drugiej strony...

– Ano tak, jesteś mańkutem – przypomniał sobie McGurn.

– Nie ma sprawy, na Evergreen jest wszystko, co trzeba.

– Evergreen?

– Evergreen to pole golfowe – wyjaśnił. – Jestem tam cichym, ale mocnym współnikiem.

Tak jak wszędzie, pomyślał Heniek. Bary, restauracje, rozlewnie, pralnie, tory wyścigowe, na których ścigały się psy i konie. Oni wszędzie byli „wspólnikami” albo przynajmniej „ochraniali” właścicieli. Heniek też był ich współnikiem, jak wasal, który miał ochronę pana i jak trzeba było, musiał się stawiać z mieczem i koniem na jego wezwanie. Tym razem chodziło tylko o grę w golfa.

Pojechali autem McGurna, szofer prowadził, a oni popijali

na tylnym siedzeniu.

– Ciekawe, ile ci zajmie zdobycie zielonej karty
– zastanowił się gangster.

– Czego?

– Zielona karta, takie golfowe prawo jazdy, musisz coś umieć, by cię wpuścili na pole, nikt nie da gamoniowi grać na porządnej trawie – zaśmiał się McGurn. – Najpierw musisz się nauczyć uderzać na tyle, żebyś nie zrył pola.

Obsługa pola wydała mu kije, a Machine Gun poinformował, że Heniek nie tylko jest jego gościem, ale także, że to on osobiście zajmie się jego golfową edukacją. Uderzanie do dołka na greenie, czyli na poletku przystrzyżonej trawy, było dziecinnie łatwe. Tak to sobie przynajmniej wyobrażał po paru uderzeniach w lobby hotelu Lexington. Nie miał za to żadnych wątpliwości, że palnięcie, tak by piłka przeleciała ponad sto metrów, było trudną sztuką. Raz zarył kijem w ziemię tak, że o mało nie wybił sobie barku.

– Uważaj, golf bywa niebezpieczny... – zaśmiał się McGurn. – A nawet śmiertelnie niebezpieczny. – To mówiąc, odchylił połą marynarki i wskazał na solidny rewolwer.

– Czyżby?

– Niedawno Snorky został postrzelony, gdy grał w golfa z burmistrzem Burnham.

Faktycznie Al ostatnio kulał, ale w jego kwaterze było spokojnie, jakby nic się nie stało. Do tej pory Snorky był bezpieczny, jego ludzie potrafili zadbać o szefa. Heniek wyobrażał sobie, że gdyby doszło kiedyś do takiej sytuacji, to byłby wokół wielki szum. Coś mu w tym wszystkim nie pasowało.

– Kto go trafił? – zapytał.

Jack zrobił tajemniczą minę, rozejrzał się wokół

i powiedział teatralnym szeptem:

– Ja wiem...

– Więc kto?

McGurn rozejrzył się raz jeszcze i niespodziewanie ryknął:

– On sam! On sam, ha, ha, ha! Pamiętaj, nie graj w golfa z odbezpieczonym rewolwerem i nie noś go w spodniach!

A teraz ty, kolego – zaśmiał się, uderzając kijem od golfa w otwartą dłoń. – No dawaj, ja takie rzeczy widzę, nawet jeśli ktoś ma dobrze skrojoną marynarkę, a już na pewno nie noś gana w spodniach. Ale miał rewolwer w spodniach i stało się...

Oczywiście, mówi, że to nieprawda, zaklina się na wszelkie świętości, i... mówi prawdę.

– To w końcu się postrzelił czy nie?

– Tak, postrzelił się, ale nie w nogę, tylko w wora!

– McGurn zarżał na cały głos. – *Big Fellow* przestrzelił sobie wora, ale jaja ma całe. Szczęściarz, co nie? – Gangster się uspokoił, spowaźniał i wyciągnął rękę w kierunku Heńka.

– A teraz pokaż, co tam masz, zawsze byłem ciekawy, jaki sprzęt nosisz.

Heniek odchylił marynarkę i pokazał swój pistolet.

– Ooo. – Jack był zdziwiony. – Spodziewałem się czegoś konkretniejszego! Podobno temu przybłądzie z Nowego Jorku mało nie urwałś głowy?

– Miałem wtedy kawaleryjskiego colta, a ten... To też jest konkretny, może i wygląda nie tak dobrze jak rewolwer, ale jest mniejszy, poręczniejszy, poza tym nie wszyscy są tacy spostrzegawczy jak ty. Jest wygodny, dla mnie niezastąpiony.

– Mówisz jak doświadczony gość, tamten strzał między oczy to nie był przypadek...

– Takie miałem życie w Europie... – uśmiechnął się Heniek. – Sprawy rodzinne i inne historie. Wszyscy wokół

używali browningów, dlatego mam sentyment do tego nazwiska, stąd lubię też colty. Tam, skąd pochodzę, browning to więcej niż pistolet.

– Opowiadaj!

– To wizytówka, kto miał browninga, był swój. Ale to dawne czasy.

– Chętnie posłucham na dziewiętnastym dołku przy dobrej whisky. A tak przy okazji, strzelałeś już z rozpylacza?

– Nie, ciekaw jestem, jak to jest – wypalił Heniek i zastanowił się, czy ta szczerłość nie będzie go drogo kosztowała.

– Musisz spróbować! Dla mnie nie ma lepszej broni od thompsona. Generał[32] to nieźle wymyślił.

– Widziałem raz, jak ładowali z tej małej maszynki, i jak na liczbę pestek, które wypluli...

– Pestek?

– Tak się mówi w moich stronach.

– Dobrze, muszę to zapamiętać! Ale przerwałem ci.

– Więc ładują z tych maszin ganów, a trafiają, jak cię mogę. Jack uśmiechnął się szeroko.

– No bo mówiłem, że trzeba umieć! Ludziom się wydaje, że to jak z nasraniem do wentylatora. Walisz kupę w maszynę, a po chwili wszyscy obsrani. Z tommym też tak jest, wszyscy są uwaleni, aż od nich śmierdzi, bo czasem chodzi tylko o to, by klientów przestraszyć, a nie zabić. Kto był pod ogniem rozpylacza, ten staje się grzeczniejszy. Oczywiście to też trzeba umieć. Jak ładuje się ostrzegawczo, to jest nie lada sztuka, żeby wywalić cały bęben, zdemolować lokal, rozsypać szkło, a nie trafić nikogo. Jeszcze ważniejsze jest, by zdejmując jakiegoś gościa, nie postrzelić przypadkowego pacjenta. Rozumiesz, wtedy są kłopoty, bo pismaki narzekają, że zginął niewinny,

a i policja inaczej prowadzi sprawy, jeśli pukniętym nie jest gangster. To tak jak na wojnie, jak giną żołnierze, to tylko ich się liczy, jak padnie cywil, to od razu jest larum. A poza tym szkoda człowieka, co nie?

– A jak się strzela z rozpylacza?

– Celnie – zahuczał Jack. – Zupełnie jak w golfie!

Mówiąc to, walnął woodem[33], a piłeczka poleciała z tee[34] na dobrych dwieście metrów.

– Tak to się nigdy nie nauczę! – Heniek pokręcił głową i dodał: – życia mi nie starczy, żeby to opanować.

– Spokojnie, spokojnie – nawijał Jack. – Nie stój tak daleko od piłki, nogi nie tak szeroko i nie idź w górę po uderzeniu. Lewa noga w tył, bo wywalisz w bunkier[35], tnij!

Heniek przyłożył, szybki półobrót i ruch ramionami. Kij i piłeczka wydały przyjemny dźwięk świadczący o tym, że zetknęły się ze sobą jak trzeba. Dopiero po chwili Wciślak spojrzął za piłeczką, a ta leciała jak oszalała. Nie był to strzał tak daleki jak Jacka, ale na pewno pierwszy porządny i najdłuższy w życiu Henia.

– Super! – krzyknął Jack. – Mówiłem, że dasz radę!

– Powinieneś to robić zawodowo!

– Mówiłem ci, że wróżą mi karierę profi. – Jack był wyraźnie zadowolony, ten komplement był strzałem w dychę.

To była dobra gra, dla Heńka najlepsza do tej pory. Teraz już wiedział, że to będzie jego rozrywka, a miał już ich kilka; chodzenie i wspinaczka po górach, automobile i od dziś golf. Podziękowali sobie, a Jack, podając rękę, rzucił:

– Kto przegrywa na osiemnastu dołkach, ten stawia na dziewiętnastym! My nie graliśmy partyjki, ale...

– Ale to ty jesteś mistrzem, z przyjemnością!

Rozsiedli się w wygodnych klubowych fotelach, Heniek

zamówił whisky i zaczęli rozmowę.

– Ciekawy gość z ciebie, Henry – zaczął Jack. – Pewnie niezły bokser, choć sędzę, że jesteś jednym z tych, co radzą sobie poza ringiem, co nie? – Heniek milczał, a Jack ciągnął dalej: – To, jak grasz w golfa, tylko upewnia mnie, że jesteś spryciarz i szybko się uczysz. Dużo wiesz o broni, tak mi się przynajmniej wydaje, wiem o co najmniej jednym trafieniu i to nie byle jakim, i nie byle kogo. Z ananasem też sobie poradziłeś, machine guna opanujesz, moja w tym głowa... – McGurn wznosił szklaneczkę.

Wypili i sięgnęli po solone orzeszki ziemne. Jack wyciągnął papierosy i zapalki, po czym uważnie spojrzał na Heńka, ale nie zapytał, czy zapali. Po prostu podstawił mu papierośnicę i powiedział:

– Sędzę, że masz jeszcze jakieś ukryte talenty...

– Być może.

– Skromny z ciebie gość, ale wal śmiało. Co jeszcze umiesz?

Heniek milczał.

– Polubiłem cię, gościu, polub więc i mnie – westchnął Jack. – Mówi się, że takim jak ja się nie odmawia.

– Nie jestem kobietą – powiedział z uśmiechem, ale szorstko Heniek.

Zapanowało krępujące milczenie, przerwał je Jack.

– No i zagadać też potrafisz! – wybuchnął radośnie. – Tym bardziej chcę z tobą pracować. – Zmienił jednak wyraz twarzy na bardzo poważny. – Słuchaj mnie, przyjacielu, umówmy się tak, ja będę wymieniał, kogo potrzebuję, a ty, Henry, jak porządny kumpel Jacka McGurna Machine Guna, zgłosisz się jak w szkole. Okay?

McGurn gestem dłoni przywołał kelnera i poprosił o nową

kolejkę. Dopili to, co mieli w szklankach, i gangster zaczął wyliczankę:

– Kierowca?

– Daję radę – niepewnie odpowiedział Heniek.

– Coś taki skromny – zaśmiał się Machine Gun.

– Prowadzisz dobrze czy źle?

– Dobrze, lepiej niż dobrze, ruszę też samochód, jeśli nawali, ale jest parę rzeczy, które umiem robić lepiej.

– Ho, ho, ho! – ucieszył się McGurn. – to gramy dalej, gramy dalej! Nagle spowaźniał. – Bomby! Wiem, że umiesz rzucać, a może umiesz je także robić?

– Tylko jak muszę. Nie jestem mistrzem.

– Stajesz się mistrzem – zaśmiał się gangster. – Jeździsz, bijesz, strzelasz, no i potrafisz sklecić bombę. Nie ma rzeczy, której byś nie umiał robić, ale wciąż szukamy tej, na której się znasz najlepiej, i takiej, której ja najbardziej potrzebuję. Jesteś bystrzak, ale w sumie mam ludzi, którzy potrafią dobrze strzelać, choć ma się rozumieć, nie tak dobrze jak ja. – Gangster mówił to z wyraźną dumą i zadowoleniem. – Mam też kierowców oraz takich, którzy pięknie biją w mordę, ale jeszcze parę specjalności mi brakuje.

Machine Gun się zamyślił, widać było, że kombinuje.

– A może potrafisz stać na świecy?

– Tak! – wykrzyknął Heniek. – Jestem w tym doskonały!

Czyżby udało mu się wykpić? Jack McGurn chwycił go za ramiona i krzyknął:

– Brawo! W końcu, nareszcie mam właściwego człowieka! Heniek poczuł, że gangsterowi naprawdę o to chodziło.

– Żartowałem! – Próbował obrócić wszystko w żart.

– Żartowałem!

Jak mógł się dać nabrać! Jak głupi szczeniak, jak naiwne

dziecko, pomyślał. Tymczasem Jack McGurn rżał ze śmiechu jak koń. Po chwili się opanował i znów zatonął w myślach.

– Pobawmy się w psa, w dobrego gończego psa... – Jack pociągnął głęboki łyk i jakby chciał jeszcze mocniej rozjaśnić umysł, zaciągnął się mocno papierosem. – Ha, ha, ha, chyba mam! Umiesz naprawić auto, jesteś szefem firmy, która handluje kasami pancernymi, umiesz otwierać kasy! Jesteś kasiarzem!

– Jack McGurn nie pytał, on to ogłosił, nie było sensu kręcić. Szkoda języka, palców i cholera wie jeszcze czego.

– Tak jest, zgadłeś, jestem kasiarzem. – Heniek z ulgą zakończył zabawę.

– *Bene, molto bene! Bene, molto bene!* – wrzeszczał McGurn. – Trafiłem! Na razie nie wiem, do czego mi się przydasz, ale przydasz się na pewno. Wcześniej czy później coś dla mnie otworzysz!

Heniek odetchnął z ulgą, lepiej coś dla niego otworzyć, niż kogoś palnąć. Znając gangsterów, mogli zwrócić się i z taką prośbą, która byłaby rozkazem. Dodatkowo zanosilo się na to, że nie będzie musiał otwierać żadnej kasy, tu przecież nie robiono takich skoków, sejfy pruto, wysadzano, a najczęściej napadano na banki z bronią. Jak na westernach. Jego talent może spać spokojnie, chyba że... McGurn wyglądał na gościa, który niejedno potrafi wymyślić.

Z Alem widywali się dość często, ale ich kontakty były przelotne, mijali się w hotelu i mówili sobie dzień dobry, jak to sąsiedzi. Inni czuliby niedosyt, że znając takiego gościa, nie mogą sobie z nim pogadać. Ileż interesów można by dzięki temu załatwić i w jakie sprawy wkręcić. Ale Heńkowi to odpowiadało, bo instynktownie czuł, że sam McGurn może sprowadzić na niego kłopoty. I się nie mylił. Dwa dni po partyjce golfa Ronald zapukał do pokoju i powiedział, że czeka

na niego ochroniarz Ala, Little New York. Uzbrojony w pistolet maszynowy typ bez ceregieli oświadczył, że wzywa go Al Capone.

Po dwóch minutach był w gabinecie identycznym jak Heńka, z wykuszem, pięknym widokiem na miasto, kominkiem i biurkiem. To, co wyróżniało pokój Ala, to portrety. Na ścianie były podobizny prezydentów Waszyngtona i Lincolna, syna Ala Sonny'ego, burmistrza Chicago oraz jego własny, przedstawiający Ala w pozie i stroju golfisty.

– Ładne, prawda? – zagał Snorky, paląc wielkie cygaro.
– A tam masz prezydentów, szanujesz ich?

– No jasne, są dla mnie ważni, a najważniejszy to Grover Cleveland.

Al wybuchnął śmiechem.

– Ja też go kocham! – Niemal turlał się ze śmiechu, wydymając przy tym swoje obfite purpurowe wargi. – Ja też!
– Wyciągnął z kieszeni gruby zwitek tysiącdolarówek.
– Nowiutkie, z prezydentem Clevelandem.

Nagle jednak spowaźniał, wypuścił kłąb dymu i zbliżył się do Heńka. Buldogowata twarz stężała, a blizna na policzku i usta zdawały się bardziej niż zwykle wydatne i purpurowe. Gangster wyglądał jak postać ze złej bajki.

Patrząc na niego, Heniek pomyślał: czy to możliwe, że jest ode mnie starszy tylko o pięć lat?

– Słuchaj, Ejdz Ejdz, mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia...

Al zaciągnął się grubym cygarem, po czym wypuścił z ust obłok dymu. Przez chwilę nie było widać jego twarzy.

– Zapalisz dobre cygarko?
– Zapalę – powiedział Heniek, bo wiedział, że i tak nie ma wyboru. Z Alem wypadało zapalić, nie wolno też było odrzucić

jego propozycji, zwłaszcza po tym, co Król Chicago powiedział przed chwilą.

– Kubańskie?

– A jakież by inne?! – zaśmiał się Al, po czym znów spoważniał. – Mam do ciebie interes. Wiem, że jesteś sprytny, toleruję cię, a nawet lubię. Nie próbujesz mnie przekręcać...

– Może dlatego, że jestem rozsądny?

– Może dlatego, że mnie szanujesz? – Oczy Ala znów zakryły kłęby dymu. – Tak, to się pewnie jakoś łączy, szacunek dla mnie i rozsądek. Ale nie wszyscy są rozsądni i nie wszyscy mnie szanują. Na przykład Frankie Yale, który był moim kumplem przez lata, zaczął mnie oszukiwać. Oszukiwać i okradać, mnie, Ala Capone. I wiesz, co się z nim stało?

– Słyszałem, miał drobny wypadek.

– Ha, ha, ha, drobny wypadek – zaśmiał się Al. – Dokładnie tak, miał wypadeczek na Czterdziestej Czwartej w Brooklynie, jego samochód dopadła chmura ołowiu. Frankie i jego lincoln zamienili się w sito! Był tak pewny siebie, że jeździł kabrioletem, przecież nawet ja nie mogę sobie na to pozwolić. W dupach im się poprzewracało w tym Nowym Jorku! Szkoda tego skurwiela, byliśmy jako szczeniaki w Five Point Gang, później pracował dla mnie, ale czy było inne wyjście?

Al znów spoważniał i wciągnął w usta kolejną porcję dymu z cygara, po czym wypuścił chmurę na pół gabinetu.

– Zrewanżowali się nam, zabili Tony’ego. Zabili go w biały dzień, pośrodku ulicy, w Loop! Kurwa, zrobili to tak, jakby byli u siebie!

Al walnął pięścią w stół i ryknął:

– Zapłacą mi za to, skurwysyny!

– Z pewnością tak będzie, twoi chłopcy są najlepsi w Chicago.

– Dobrze mówisz – zgodził się Al. – Dowiem się, co to za biedny dupek połasił się na pieniądze, i stukniemy go! To jasne jak słońce, że dorwę tych gnojków. Moi żołnierze zrobiliby z nich sito, ale nie o to chodzi.

– A o co?

– Chodzi o zasady. To ma być cicha sprawa, coś jak partia szachów. Mój ochroniarz Louie Campagna pochodzi, tak jak ja, z Brooklynu, dlatego nazywają go Little New York. Oczywiście Louie aż wyrywał się do tego, by pojechać na stare śmieci i kropnąć tego, który odważył się sprzątnąć Lombarda.

– Ale Campagnę wszyscy znają... – Heniek już się domyślał, o co chodzi.

– Taaak – zaśmiał się Al Capone. – Przypomnieli sobie o nim niedawno, jak przyjechał robić porządki z Frankiem Yale'em. Za to ciebie nie zna nikt! Dlatego mam dla ciebie propozycję!

– Nie do odrzucenia – kwaśno zauważył Heniek.

– Nie do odrzucenia. – Stanowczym i zarazem wesołym głosem odpowiedział Al. – Propozycję, a nawet pakiecik. Pojedziesz do Nowego Jorku, kropniesz tego dupka, zainkasujesz forszę i będziesz we mnie miał przyjaciela. Jeszcze większego przyjaciela!

Heniek pokiwał głową, bo robiło się niewesoło.

– Dam ci tyle, ile mógł dostać ten łajza, czyli dwadzieścia pięć tysięcy, i drugie tyle za wyprawdzkę z hotelu Lexington. Nie chcę, by nas za mocno kojarzono, tak jak już mówiłem, to ma być ciche. Lubię rozmach, ale tym razem tak trzeba. Zabijesz jednego, a innym może się to nie spodobać, wiesz, jak jest. Zacznie się zwijać już jutro. Tak będzie lepiej, będę miał swojego jokera! Większość chłopaków, którzy potrafią ciągnąć za cyngiel, to jak moja rodzina, a ty, Ejdz Ejdz, jesteś tu wciąż

zupełnie nowy. Stara gwardia wie, że potrafiłeś kropnąć, jak stary, tych gnojków od Dutcha Schultza, ale reszta nie ma o tobie zielonego pojęcia. Mam pod ręką fachowca, prawdziwego *silent killer*[36], który może wyskoczyć jak diabełek z pudełka. Co ty na to? Wchodzisz do naszego klubu?

– Są kluby, którym się nie odmawia – powiedział Heniek, usiłując się uśmiechnąć.

– Dobrze mówisz! – Al znów wypuścił kłęb dymu. – Są propozycje nie do odrzucenia i kluby, którym się nie odmawia! A Snorky, czyli ja, daje właśnie takie propozycje i tworzy klub, któremu żaden gość z jajami nie odmówi. Mów mi Snorky, tak mówią do mnie przyjaciele.

– Okay, Snorky.

– A teraz, Ejdz Ejdz, masz tu pięć dyszek na wydatki związane z przeprowadzką. Znajdź sobie jakieś fajne miejsce w Loop, tam gdzie żyją ci złodzieje od giełdy i akcji. – Al pochylił się w jego stronę. – Wiesz chyba, że to są najwięksi złodzieje i gangsterzy. Robią wałki, oszukują ludzi, a rząd wchodzi im w dupę i jest ich współnikiem. Ten cały cyrk z akcjami pieprznie mocniej niż ananas na trawniku u senatora. Ty chyba nie lokujesz forsy na giełdzie?

– Kupuję złoto, może zainwestuję w ziemię, ale akcje mnie nie kręcą!

– Brawo, czuję, że cię coraz bardziej lubię. A teraz bierz kasę i rób przeprowadzkę. Stoi?

I to była dobra wiadomość, Heniek już dawno by się wyprowadził, ale wiedział, że król gangsterów przyjąłby to bardzo źle. To był zaszczyt, nobilitacja, być jego sąsiadem, tak przynajmniej uważali gang Ala oraz Ronald. Nawet braciom Hrubeschom to imponowało. Pół Chicago byłoby zachwycone, ale Heniek już miał dość tego upierdliwego towarzystwa. Marzył

po cichu o tym, by Al któregoś dnia powiedział: „Spadaj, Ejdz Ejdz, do innego hotelu, bo potrzebne mi są twoje pokoje”. Miał więc to, czego chciał, i do tego dwadzieścia pięć tauzenów na odchodne. Ale miał też i drugie dwadzieścia pięć kawałków i to go przerażało. To zapłata za to, że tak po prostu kropnie kogoś, pozbawi życia za pieniądze.

Zabijał już. Na wojnie, w obronie własnej, w obronie innych ludzi. Bolszewicy w czasie szturmu mostu pod Drohiczynem, szaleniec, który strzelał z dachów do ludzi, oprych z Nowego Jorku... Za każdym razem była to walka, a teraz miał dostać gażę jak skrzypek, tapicer czy kierowca i uszczęśliwić klienta, ale nie grą, kanapą czy fachowym kręceniem fajera, tylko czyjąś śmiercią. Tego jeszcze nie było, nie miał w planach zabijania ludzi. Oczywiście cały czas rozmyślał o zabiciu Frania, ale to miała być zemsta, a tu chodziło o śmierć za pieniądze. Czy miał wybór? Tak, miał, zwinąć dupę w troki i wiać. Tylko dokąd?

– I jak, stoi? – zapytał Al.

– Stoi! – odpowiedział Heniek, z trudem przetykając ślinę.

– Tylko kogo i jak mam kropnąć? – Wpadł jak śliwka w kompot. Wziął ciężki oddech i rzucił: – Kto to może być?

– Jeszcze nie wiem, ale się dowiem – zaśmiał się złowrogo Capone.

– Ile mamy czasu?

– Jakiś miesiąc, dwa. Bardziej dwa, tak sędzę.

Heniek pokiwał głową, podał na pożegnanie rękę Alowi i wyszedł z pokoju. Po niespełna roku mieszkania i pracy w hotelu Lexington zmieni kwaterę i będzie to najłatwiejsze, co ma do zrobienia w najbliższym czasie.

Ronald sprawnie kierował przeprowadzką, ale cały czas kwękał.

– To było fajowe miejsce, tyle się działo, takie kontakty można było załapać! Czemu tak się stało, szefie?

– Bo Al potrzebuje naszego piętka, a ja potrzebuję lepszego biura i wygodniejszego pokoju. Niech moje graty zawiozą do hotelu Renaissance.

– To elegancka miejscówka, ale tu jednak było fajnie!

– Jak było fajnie, to wynajmij tu sobie pokój.

– Drogo!

– Jak drogo, to nie marudź, okay?

– Okay, ale szkoda...

– Czego szkoda?

– Tego wszystkiego. – Ronald wskazał na ludzi Ala rozpartych na fotelach. – Byliśmy w środku Chicago, miejscu, w którym robi się interesy i podejmuje decyzje!

Tak, tu się podejmowało decyzje, z których niestety wiele dotyczyło jego samego. Ledwo zdążył o tym pomyśleć, gdy poczuł na plecach dłoń. To Machine Gun poklepał go i huknął:

– Masz dobrą robotę i jesteś mi winien dobrą flaszkę!

– Co?

– Jajco! – zaśmiał się Machine Gun. – To ja podpowiedziałem Alowi, że się nadajesz. Było wiele propozycji, taka kasa piechotą nie chodzi, co nie?

Machine Gun znów klepnął go plecach, Heniek poczuł zapach alkoholu, a więc gangster był albo mocno wczorajszy, albo już zdążył sobie strzelić kolejkę. Pewno jedno i drugie.

– Dwadzieścia pięć kawałków się przyda...

– Chyba pięćdziesiąt? – zarżał Machine Gun. – To ja powiedziałem Alowi, że jak stukniesz tamtego killera, to lepiej by było dla ciebie, gdybyś się wyniósł gdzie indziej, i to ja uznałem, że należy ci się odszkodowanie! Po takim numerze lepiej być w cieniu, choć cholera wie, jak to zostanie odebrane?

Może być głośno, a może być kompletna cisza. Tym razem chyba nie zrobisz takiego numeru jak ostatnio, puszczenie na jezioro trupów tych gości z Nowego Jorku to był przedni numer!

– To był pomysł Oberty i Little Tigera.

– Ha, ha, ha, wiem, wiem, ale nie wiem, co tym razem wymyślą, w końcu to twoi kumple, co nie?

– Ty też jesteś moim kumplem i wymyśliłeś, że pojedę do Nowego Jorku stuknąć killera...

– Bo kumple to grunt – podsumował McGurn Machine Gun i wyciągnął z kieszeni piersiówkę z whisky. – Zdrowie kumpli! A ty mi coś podpowiesz?

– Napijmy się!

– I to rozumiem! Napijmy się, tak mówi kumpel, a nie jakieś tam pierdoły w stylu „za dużo pijesz, Jack”.

W rzeczywistości Heniek uważał, że Jack McGurn pije za dużo. O wiele za dużo, a do tego wpakował go w kłopoty.

XIV

Droga do zatracenia

Wyprowadzka trwała w najlepsze, w sobotę mieli już być w nowych lokalach. Heniek chciał mieć to z głowy, bo nie lubił przeprowadzek. O zabiciu killera z Nowego Jorku myślał jak o sprawie, która nigdy się nie odbędzie. Wziął od Ala forszę na przeprowadzkę, wziął zaliczkę za kropnięcie faceta, którego nie znał, i na tym koniec. I niech tak zostanie. Nic z tego, w lobby zatrzymał go Louis Campagna. Little New York podszedł do niego, trzymając thompsona, z którym nie rozstawał się nawet na moment.

– Jest cynk, kto to jest.

A więc sprawy potoczą się teraz szybko, pomyślał Heniek.

– Co to za typ? – Najchętniej usłyszałyby, że jest już martwy.

– Pewien Żyd, nazywają go Kosher Shark.

– Brzmi groźnie.

– Bo to groźny typ, mówi się o nim, że gdyby w jego spluwie zabrakło nabojów, to rozszarpałby przeciwnika jak rekin. Podobno jakby się zawziął, to mógłby odgryźć głowę albo przynajmniej przegryźć gardło.

Heniek wyobraził sobie siebie samego z przegryzionym gardłem. To kiepska sprawa i aż się wzdrygnął na myśl o takim końcu. Wziął się jednak w kupę, nie chciał sobie narobić wstydu, nie chciał, by było po nim widać, że opowieść o starozakonnym rekinie zrobiła na nim takie wrażenie.

Tymczasem Louie Campagna opowiadał dalej:

– To cwany skurwysyn – zaznaczył nie z pogardą, lecz z wyraźnym szacunkiem. – Cwany i silny, ale przyzwyczajony do tego, że to on jest myśliwym. Ale teraz to Kosher Shark

będzie zwierzyną i wierz mi, będzie tak zaskoczony, że jak do niego wymierzysz, to się zesra, ale nie ze strachu, tylko ze zdziwienia.

Heniek z uwagą pokiwał głową, zrobił do tego taką minę, jakby zawodowych zabójców z Nowego Jorku odstrzeliwał co miesiąc i to bez mrugnięcia okiem.

– Masz już zarezerwowany hotel, a na miejscu spotkasz się z człowiekiem, który da ci broń – ciągnął Little New York.

– Sprawa jest prosta jak drut. Powiedz, co wybierasz, załatwię to dla ciebie.

– Pistolet, browning albo colt.

– Okay, zadzwonię do niego. Dziś jedziesz do Nowego Jorku pociągiem. Zamieszkać w hotelu Piccadilly przy Times Square, stamtąd wszędzie jest blisko, a hotel ma dobrą opinię, psiarnia go nie obskakuje. Poza tym jest nie tylko luksusowy, ale i ogromny, łatwiej tam wmieszać się w tłum. Jutro o drugiej po południu masz spotkanie w knajpie U Bamonte, to jest przy Withers trzydzieści dwa na Brooklynie. Dobrze tam karmią, bardzo dobrze. Włóż do butonierki czerwoną chusteczkę, typ, z którym się spotkasz, nazywa się Luigi Grimaldi. To lawirant, przemytnik, co pracuje, dla kogo się da. Za pomoc ma dostać kasę, więc cię nie wsypie. Znamy go z Alem jeszcze z Five Point Gang. On też będzie miał w butonierce czerwoną chusteczkę. Powodzenia – zakończył Little New York i klepnął go w plecy.

Nazajutrz Heniek udał się na dworzec LaSalle i ruszył w prawie dwudziestogodzinną podróż do Nowego Jorku. Tym razem nie jechał z tym kutwą Magathem, lecz na koszt Ala, podróżował więc pulmanem w eleganckim jednoosobowym przedziale. W Nowym Jorku był dalszy ciąg luksusów, bo hotel Piccadilly był nie tylko wysoki, ale i wygodny. Wszystko fajnie, ale przyjechał tu po to, by zabić faceta. Będzie killerem, który

sprzątnie innego killera. Czuł się dziwnie, działał jak we śnie, jak gdyby był Henrym Haasem, który gra w filmie oglądanym przez Heńka Wcisłę. W recepcji czekał na niego liścik, otworzył kopertę, w środku była karteczka z krótkim komunikatem:

Bądź o ósmej wieczorem w barze Casa Blanca, będę siedział po lewej stronie. Mam garnitur w tenis i biały goździk w butonierce. Ty też wsadź sobie goździk do butonierki. LG

A więc zmiana planu. Niby nic, ale był zdenerwowany i nerwy miał napięte do granic możliwości. Nie po południu, tylko wieczorem, nie z czerwoną chusteczką, tylko z kwiatem, nie U Bamonte, tylko w jakimś innym lokalu. Mógł więc wyrzucić z pamięci tamten adres, Brooklyn Withers 32. Teraz nie ma żadnego adresu, po prostu nazwa lokalu, Casa Blanca, tak jakby każdy w Nowym Jorku wiedział, gdzie to jest. I w istocie tak było, boy stojący przy drzwiach szeroko się uśmiechnął.

– Casa Blanca, fajne miejsce, polewa tam sam Larry Fay!
– Widząc, że Heniek nie wyraża właściwego podziwu, wyjaśnił:
– Larry to jeden z największych butlegerów – dodał konfidencyjnym szeptem. – To Kanadyjczyk i zawsze ma przednią whisky, no i bywa tam jego panna, ta cała Texas Guinan!

Texas Guinan widział wraz z jej rozkrzyczaną trupą w Chicago, energiczna babka, nie ma co, ale miał ważniejsze problemy niż gwiazdy i ewentualny program artystyczno-towarzyski.

– Daleko stąd?

– Skąd! Pójdiesz pan Siódmą Aleją w kierunku Central Parku i przy Carnegie Hall skręcisz pan w prawo, tam jest Pięćdziesiąta Szósta ulica. Niedaleko, jakiś kwadrans na

piechotę, chyba że szanowny pan życzy sobie taksówkę?

– Przejdę się – podziękował Heniek.

Za dwadzieścia ósma ruszył wolno w kierunku Central Parku, zastanawiając się, czym jest ta Carnegie Hall, przy której ma skręcić w prawo. Na szczęście numeracja ulic pomagała w tym, by się nie zgubić, trzeba byłoby być ciężkim idiotą, żeby nie trafić. A jeszcze cięższym, by przegapić Carnegie Hall. To była miejscowa filharmonia, więc trafił na nią bez pudła. Skręcił w prawo, w Zachodnią 56 i doszedł na miejsce. Lokal było widać z daleka, bo kręciło się pod nim sporo ludzi. Przepchał się przez tłumek i wszedł do środka. Spośród klienteli wyłowił gościa, który siedział z lewej strony od wejścia, miał na sobie garnitur w prążki i biały goździk w butonierce. Nosił też fryzjerski wąsik i był typowym Dago, ale przecież tego mógł się spodziewać, beżowi makaroniarze rządzą tą branżą. Heniek podszedł do niego i demonstracyjnie, wyjmując kwiat z butonierki, powiedział:

– Jestem kuzynem z Chicago...

– Witaj, mam na imię Luigi.

Przy szklaneczce whisky Luigi Grimaldi zaczął wprowadzać Heńka w szczegóły. Ten słuchał uważnie, ale niezbyt chętnie. We Włochu było coś odpychającego. Niby butleger – przemytnik i handlarz gorzałą, ale miał w sobie coś z alfonsa. Może przez ten wąsik?

– A więc, kochany, masz stuknąć niezłego bandziora...

A może dlatego, że był jakiś oślizgły, a jego oczy mówiły „jestem trefny gość”? Musi na niego uważać. Grimaldi pitolił, jakby chciał swoją gadaniną przekonać rozmówcę o swojej niebywalej wartości, był przy tym przymilny i wylewny. Heniek znał ten typ, tych wazeliniarzy, którzy mówią „kochanieńki”, „szanowny”, „mój lordzie”, a jak przyjdzie odpowiedni moment,

to buchną portfel, przekręcą na pieniądze albo ożenią kosę. Mietek Kosiorek też tak mówił, ale miał inne oczy, nie było w nim chytryści i oślizgłości, tylko prawdziwe ciepło, a ten alfonsiak był zimny, śliski i lepki.

– Rozumiesz, mój drogi, walnięcie takiego człowieka to nie w kij dmuchał, ale wszystko będzie perfekcyjnie zorganizowane...

Grimaldi kontynuował swą niekończącą się opowieść, w której było pełno ozdobników, ale mało faktów.

– To Koszerny Rekin, Żydowski Rekin, starozakonny zabójca...

Heniek miał się powstrzymać, ale wypalił:

– Domyślam się, że nie Dago czy Ajrisz. Nie jest też pewnie Chińczykiem?

– Mówię wszystko, jak leci, od początku do końca – syknął Grimaldi. – A ty, mój złociutki, albo będziesz słuchał, albo nie, droga wolna. Słuchasz czy się dąsasz? – Heniek dał mu znać skinieniem głowy, że słucha. – A więc Koszerny Rekin to starozakonny zabójca... – Grimaldi z lubością powtórzył to, co już wcześniej powiedział, żeby pokazać, że tę rozmowę prowadzi właśnie on, a Heniek ma co najwyżej tylko pytać i to sensownie. – Tak naprawdę nazywa się Lejb Rosenthal i należy do ulubieńców i ochroniarzy Braina Rothsteina[37].

– Coś o nim słyszałem...

– Coś o nim słyszałem – zakpił Luigi Grimaldi. – To gość, który dla połowy nowojorskiej ferajny jest nie tylko Mózgiem, stąd jego ksywka, i przywódcą, ale i wielkim nauczycielem!

Ta informacja nie spodobała się Heńkowi. Stuknięcie Kosher Sharka to znaczy zrobienie przykrości Brainowi, który trząśł Nowym Jorkiem.

– Rothstein jest dla chłopaków mózgiem, nauczycielem,

przewodnikiem i... wielkim wstydem. – Grimaldi był wyraźnie zadowolony ze swojej zaskakującej puenty. – Tak, tak, mój drogi, wielkim wstydem... Otóż on bardzo lubi hazard, podobnie zresztą jak Al, ale Al, przynajmniej tak się mówi, zawsze reguluje swoje rachunki. Arnold Rothstein tego nie robi, ma więc tyle karcianych długów, że gdyby wystawiał na nie weksle, to wypełniłyby cały Broadway. Nie ma honoru, tym bardziej po tym, co zrobił ostatnio. Przez trzy dni walił w karty i przegrał trzysta kawałków, po czym powiedział, że nic nie jest winien, bo gra była ustawiona. Brakuje mu klasy, jest dupkiem i tyle.

– Ale dupkiem, który ma bezpieczną dupę...

– O taaak, Koszerny Rekin to wielki killer i wspaniały ochroniarz.

– W końcu to on zabił Lombarda?

– Jak nie on, to przynajmniej on to zorganizował, ale nie sądzę, by na świecie było aż tylu tak pewnych siebie killerów, którzy potrafią zastrzelić kogoś w tłumie i zniknąć, jak gdyby nigdy nic. Poza tym... – Grimaldi upajał się swoimi tajemnicami.

– Poza tym co? – Heniek miał dość tej gadki, ale starał się być cierpliwy.

Grimaldi teatralnie rozłożył ręce, po czym wygłosił kluczowe zdanie, akcentując je ruchem dłoni z wystawionym do góry palcem wskazującym:

– Bo brązowy garnitur to znak rozpoznawczy Rosenthala!

– Wskazujący palec wystawiony do góry irytował Heńka, ale postanowił sobie wziąć na wstrzymanie. – Koszerny Rekin kocha brązy! Brązowe buty, garnitur, auto... Brąz to jego wizytówka!

– Ile ma lat? – Heniek chciał więcej konkretów i otrzymał je, oczywiście, w potoku innych informacji.

– To nie jest taki młodzieniaszek jak ty czy Machine Gun...
– uśmiechnął się pod swoim burdelowo-fryzjerskim wąsikiem Grimaldi. – Shark to silny gość i bardzo sprawny, choć ma już pięćdziesiątkę. To unikat w tej branży, w której nawet najsprytniejsi i najbardziej utalentowani przedwcześnie odchodzą. – Ta uwaga zmroziła i wkurzyła Heńka, ale słuchał dalej. – On jest nieśmiertelny, odporny na rany, przebiegły i... bogaty. Żyje przy Rothsteinie i od czasu do czasu idzie na jakąś robótkę. Jest takim emerytowanym skurwysynem.

– Nie lubisz go?

– Nikt go nie lubi. To bezwzględny typ. Myślę, mój kochany, że jakbyś go kropnął, a potem dał ogłoszenie w „New York Times”, że to ty, to wyjechałbyś z NYC jako milioner!

– Albo cięższy o kilkaset pocisków...

– Ha, ha, ha, takie jest ryzyko w tej robocie, złociutki. Babe Ruth jest podziwiany w całej Ameryce, ale nikt za nim nie przepada w dniu, w którym jego zespół gra z New York Yankees! À propos, tu masz jego fotkę. – Grimaldi podał Heńkowi zdjęcie, na którym stała grupa mężczyzn. – To on!
– Przemysłownik wskazał palcem na stojącego w środku potężnego gościa. – Dorodna rybka z naszego rekinka, prawda? Zdjęcie nie jest najlepsze, ale rozpoznasz go bez pudła. Wszystko wydarzy się we wtorek, dziewiątego października, właśnie podczas meczu Jankesów.

– Mam go zastrzelić na stadionie?

– O, kolego, ty się chyba nie interesujesz baseballlem?!

– Absolutnie.

Grimaldi popatrzył na niego ze zdziwieniem, a może nawet i z odrazą.

– Jak można nie interesować się baseballlem, dziwię się takim ludziom!

Nie było w tym nic szczególnie wkurzającego, nic ponad to, co do tej pory usłyszał, ale właśnie to zdanie, wypowiedziane przez wypomadowanego, lepkiego kozła, było kropelką, która przelała czarę goryczy.

– Można... Mnie zaś dziwi, że są pasterze, którzy posuwają swoje owce i kozy.

Twarz Grimaldiego spurpurowiała, ale nie mógł nic powiedzieć. Kalabryjczycy nie lubili takich gadek, a jednak zacisnął zęby, widocznie znał przysłowie „uderz w stół, a nożyce się odezwą”.

– Taaak, mój drogi – odparł przez zaciśnięte usta.

– Podobno są tacy w pustynnych krajach i na Sycylii. – Luigi Grimaldi odbił piłeczkę, z trudem hamując złość. – To są krainy kozojebców, tak to widzimy, my, porządni ludzie z Kalabrii.

Przemytnik o powierzchowności alfonsa popił whisky i wrócił do tematu, ale nie był już taki słodki.

– Ten mecz jest grany w Saint Louis, to czwarta, pewnie ostatnia gra finałowa. Pierwsze dwie w Nowym Jorku wygrali Jankesi, trzecią, wczorajszą, która odbyła się na stadionie Ptaszków, też wygrali nasi chłopcy, jutro będzie pewnie ostatni mecz. Kosher Shark ma fioła na punkcie baseballa i Yankees, był na dwóch pierwszych meczach w Nowym Jorku i na pewno jak zwykle będzie słuchał audycji radiowej. Mecz zaczyna się o drugiej dwadzieścia pięć tamtejszego czasu, a więc u nas o trzeciej dwadzieścia pięć, czyli niedługo po porze obiadowej, a on ma swój ulubiony lokal. Lubi dobrze zjeść i na bank napcha się żarciem, a później przy deserach i jakichś trunkach będzie słuchał radia.

– Nie ma radia w domu?

– W domu ma, jakie chce, ale tu chodzi o atmosferę, o to, żeby być w tym momencie nowojorczykiem!

– To jakaś koszerna knajpa?

– Skądże znowu, jest Koszer Mafia, żydowska gangsterka i Jude Shark, ale nasz killer wyznaje zasadę, że w sobotę trzeba iść do synagogi, a w niedzielę i każdego innego dnia na włoski obiad. Zdarza mu się, i to często, że do synagogi nie trafia, ale w ulubionej włoskiej knajpie jest zawsze. Nie je szynki, ale makarony i wołowinę wciąga aż miło. Na bank będzie z dwoma chłopakami, którzy za nim chodzą, U Andrei na Brooklynie.

– Ma ochroniarzy, killer potrzebuje ochrony?

– Killer, ale i człowiek interesu. Kata chroni policja, generała wojsko, a prezydenta wszyscy, coś taki zdziwiony? Sprawa jest prosta, oni się niczego nie spodziewają, badają gości na wejściu, dość pobieżnie sprawdzają każdego, kogo nie znają z widzenia. Oklepią pod pachami, sprawdzą przy łydce i pasku na plecach, ale ty się tym nie martwisz, twoja broń będzie w sraczu, ukryta za rezerwuarem.

– W sraczu? – Heniek pomyślał, że wygląda to wszystko na numer jak z filmu lub z powieści za dziesięć centów. Zabójca wychodzi ze sracza i zabija ważną osobę pistoletem, który przed chwilą tkwił za rezerwuarem.

– Tak, w sraczu, za rezerwuarem. To dobra metoda, jutro przed południem to załatwię. No co się tak patrzysz? Wszystko opracowane tak, jakby to wymyślili goście, którzy kręcą filmy w Hollywood – powiedział z dumą Grimaldi, jakby był co najmniej wielkim reżyserem. – Szkoda tylko, że takiego numeru nie można za często powtarzać. Little New York mówił mi, że chcesz mieć pistolet, colta albo browninga.

– Zgadza się.

– Załatwiłem ci colta.

– Okay.

– Dziwny wybór, większość woli rewolwery.

– Jestem sentymentalny.

– Dobrze sobie, sentymentalny. – Grimaldi popatrzył uważnie na Heńka, jakby chciał się przyjrzeć rzadkiemu okazowi. – Niech ci będzie, możesz się nawet wzruszyć, bylebyś nie skrewił roboty.

– Nie skrewię. Jak będę miał czym strzelać.

– To się zobaczy – zaśmiał się Grimaldi. – Oczywiście żartowałem. Spotykamy się jutro o drugiej dwadzieścia pięć w knajpie Ferdinando przy Union Street sto pięćdziesiąt jeden. Tam będziemy słuchać meczu, jak już będzie tuż przed samym końcem, podwiozę cię pod knajpę, w której będzie Rosenthal.

Jego słowa zagłuszył szmer na sali, który szybko przeszedł w jazgot, ponad którym jak grom przetoczył się okrzyk:

– *Hallo, suckers!*

Cześć, frajerzy – znał ten okrzyk z występów w Chicago, więc się nie zdziwił, że głos należał do wysokiej, dojrzałej babki w futrze. To była Texas Guinan, która właśnie objęła lokal we władanie. Publika kochała ją, a ona publikę.

– Zaczyna się *show* – zamlaskał z zadowoleniem Grimaldi.

– Popatrzysz, mój młody przyjacielu?

– Już widziałem, zmywam się. – Heniek pstryknął palcami w rondo kapelusza.

Pożegnali się, Luigi Grimaldi był wylewny i lepki, choć w jego oczach było coś niepokojącego.

Wcisło wrócił do hotelu Piccadilly, ale tylko po to, by się spakować. Zajęło mu to pięć minut, miał tylko jedną małą torbę i jeszcze mniejszy pistolet. Jak zwykle zabrał ze sobą einhanda. Od czasu, gdy taki pistolecik uratował mu podczas wojny z bolszewikami życie, nie rozstawał się z tą śmiercionośną zabawką. Skoro już raz patent inżyniera Chylewskiego i precyzja berlińczyków z firmy Aktiengesellschaft Lignose

uratowały mu tyłek... Na razie jednak musiał znaleźć nowy hotel. Czuł instynktownie, że Grimaldi nie jest człowiekiem, któremu można ufać. Lepiej, by przemytnik o powierzchowności alfonsa, który wchodził w tyłek jak sałata proszący o napiwek, nie znał jego adresu.

Niedaleko był hotel Waldorf-Astoria, uznał, że to dobre miejsce, by się zgubić przed gangsterami, a jak trzeba, to i przed policją. Poszedł sobie 47 ulicą i po kwadransie dotarł do 301 Park Avenue. Dobra zmiana, pomyślał. Trafił do jeszcze lepszego hotelu i nikt nie zna jego adresu. Położył się spać z myślą, by nie była to jego ostatnia noc w życiu.

Nazajutrz o umówionej porze siedzieli w knajpie Ferdinando na brooklińskiej Union Street. Grimaldi pochłaniał makaron, a Heniek siedział ze ściśniętym żołądkiem. Zbliżało się to, co nieodwracalne. Nie miał apetytu, Luigi Grimaldi drażnił go jak cholera, a do tego z głośnika leciała transmisja z mistrzostw w amerykańskim palancie. Spiker o mało nie wyskoczył z radia po kolejnym uderzeniu piłki pałką. Heniek miał wrażenie, że Babe Ruth, ulubiony gracz nowojorczyków, jeśli nie zostanie błogosławiony, to przynajmniej dorobi się jakiegoś małego ołtarzyka. W sumie było blisko, bo na honorowym miejscu w knajpie wisiało zdjęcie baseballisty ozdobione autografem. Heniek zorientował się, że toasty wznoszone są w stronę portretu świętego z baseballową pałką. W lokalu panowało nieustanne podniecenie, a alkohol lał się coraz szerszymi strumieniami. Jeżeli tak jest w całym Nowym Jorku, to znaczy, że jeszcze przed zachodem słońca pół miasta będzie zrobione na cacy. Gdyby był kieszonkowcem, to wybrałby się kroić frajerów. Ale nie był kieszonkowcem, był kasiarzem, który stanie się dziś gangsterskim cynglem.

– To już, dwa, trzy uderzenia od mistrzostwa – zarządził

Grimaldi. – Ruszamy, kochanieńki!

Wskoczyli do jego granatowoczarnego buicka mastera i pojechali. Po paru minutach stanęli.

– Pamiętasz gdzie? Wiesz, jak iść?

– Druga przecznica, trzecia knajpa od rogu.

– Załatwisz to raz-dwa i wracasz. Wiesz, co masz robić?

– Wiem.

Heniek ruszył w kierunku baru U Andrei, ale zanim tam doszedł, wszedł do innego lokalu. W nim przełożył z kieszeni do majtek swojego einhanda. Parę kroków dało się zrobić z tym kawałkiem metalu w czułym miejscu, ale na dłuższy dystans byłoby to niemożliwe. Niemożliwe byłoby też, gdyby nie miał przy sobie sprawdzonej broni, broni, którą znał i której ufał.

Wszedł do lokalu. Był wypełniony niemal po brzegi. Tłum falował, krzycząc:

– Zaraz będziemy mistrzami, *c'mon Yankee, go, Yankee go!!!*

Zanim wbił się w ciżbę wznoszącą toasty za Jankesów i Babe Rutha, dwóch typów, wielkich jak szafy, zagroziło mu drogę.

– Nie znam cię, koleżko, czego tu szukasz?

– Chciałem wpaść na transmisję i się napić. Słuchałem w domu, ale w takim momencie chce się być z innymi kibicami Yankees!

– Może i masz rację, ale musimy cię pomacać – powiedział wyższy z goryli.

– To obowiązkowe, przyjacielu, bo to porządny lokal – zaśmiał się drugi z nich.

Lokal faktycznie był porządny, to znaczy normalny. Żaden przepych, spora, ale rodzinna włoska knajpa, w której stoły przykryte były kraciastymi obrusami. Obszukali go wszędzie,

ale nie tam, gdzie dumny goryl może przeszukać innego mężczyznę. Poza tym nie było broni, która mieściłaby się w rozporku, przynajmniej ochroniarze Sharka nic na ten temat nie wiedzieli. Klepnęli go po plecach, że może wejść do środka. Wszedł więc i już po chwili wiedział, że nie będzie tak łatwo, jak mówił Grimaldi. Rosenthal nie siedział przy stoliku sam, lecz w towarzystwie dwóch kolejnych goryli. Razem czterech! Żeby wykonać robotę, musi zastrzelić nie tylko Lejba Rosenthala, ale i czterech jego ludzi. Każdy strzał z rewolweru musi być celny. Dobrze, że ma swoją małą pukawkę...

Poszedł do łazienki, była pusta. Nikt rozsądny nie będzie sikał, gdy Jankesi są o krok od mistrzostwa. Zamknął się w kabinie i sięgnął do majtek. Wyciągnął einhanda i przełożył go do kieszeni w marynarce, później zaś wymacał za rezerwuarem znajomy kształt pistoletu. Rozwinął go ze szmaty, wyciągnął magazynek i przeliczył naboje, było tyle, ile trzeba. Siedem kulek, kaliber 11,43 mm czyli, jak chcieli miejscowi, 0,45 cala. Ósmy nabój był w lufie. Nacisnął mocniej kapelusz i opuścił rondo, tak, by jak najbardziej zakryć twarz, by przynajmniej oczy pozostały dla świadków zagadką. Wziął głęboki oddech i wyszedł z toalety ostro, jakby miał za chwilę skoczyć na głowę do głębokiej wody. W uszy uderzył go ryk publiki i wrzask spikera radiowego:

– Yankees zdobyli punkt i zostali mistrzami World Series!!!
Co za mecz, trzy *home runy*[38] Babe Rutha, wielki mecz Bambino, który wyautował samego Starego Peta Alexandra!!!!

Goście w restauracji szaleli, mężczyźni padali sobie w ramiona, krzyczeli, jeden nawet płakał ze szczęścia. Minął zdecydowanym krokiem faceta, który chciał mu się rzucić na szyję, zbliżył się do stolika i krzyknął:

– Koszerny Rekinie!!!

– Czego chcesz? – odkrzyknął rozbawiony olbrzym o czarnych jak węgle oczach.

Nagle twarz Rosenthala znieruchomiała, bo zobaczył skierowaną ku sobie lufę rewolweru.

– Zadarłeś z niewłaściwymi ludźmi! – krzyknął Heniek i wystrzelił prosto w skroń Sharka. W tej samej chwili skierował lufę w kierunku ochroniarzy siedzących przy stoliku. Szybkimi strzałami trafił pierwszego z nich w dłoń sięgającą po rewolwer, a drugiego w obojczyk. Teraz zostali mu dwaj stojący przy drzwiach.

W lokalu zapanowało zamieszanie, Heniek kompletnie zaskoczył obstawę Rosenthala. Dwóch siedzących przy stoliku zwijało się z bólu, nie myśląc o dobytciu broni, a tych dwóch stojących przy drzwiach miał już na muszce.

– Spierdalać chłopcy, puśćcie mnie. Wasz pracodawca już wam nie zapłaci! Nie ma w tym nic osobistego, ja skończyłem swoją robotę, a wy swoją!

W lokalu panowała prawie zupełna cisza. Prawie, bo kilka obecnych w restauracji kobiet piszczało wniebogłosy, a radio wciąż ryczało głosem sprawozdawcy:

– To już koniec, Jankesi i Babe Ruth, oni obronili tytuł...

Heniek wypalił w sufit, rozległo się jednak tylko kliknięcie, trzask, i jeszcze jeden, i kolejny. Do tego momentu szło łatwo, zupełnie jak w kinie, ale to nie był jakiś cholerny film, to była prawdziwa historia o gościu, który wyciągnął ukrytą w sraczu broń i wypalił z niej w łeb facetowi, który siedział przy stoliku z obstawą. Pozornie genialny scenariusz Grimaldiego, w którym on grał zabójcę, nie zakładał happy endu. Skończyło się kino, w którym bohater musi dożyć do końcowych napisów, zaczęło się za to życie, a życie to przeważnie prawdziwe kłopoty. Zaklął, naboje były trefne, po chwili zauważyli to także ochroniarze,

którzy ruszyli ku niemu. Pierwszy z nich zdziwił się jednak, bo Heniek wystrzelił do niego z einhanda. Ten strzał złał się ze odgłosami dochodzącymi z ulicy. Dzieciaki strzelały z korkowców i puszczały petardy, ciesząc się z wygranej Jankesów. Mogło się wydawać, że na Brooklynie w późne październikowe popołudnie odbywa się wielkanocna rezurekcja. Kulka wystrzelona z kieszonkowego pistoleciku trafiła gangstera w pierś. Napastnik osunął się na ziemię, ten drugi nie był już taki odważny. Heniek mierzył do niego, gdy podniósł ręce do góry.

– Odsuń się od drzwi, na ziemię!

Ochroniarz potulnie wykonał polecenie. Wcisło popatrzył na salę. Nie było chętnych, by otrzymać kulkę, zaczął więc wycofywać się w kierunku drzwi. Minał się w nich z kilkoma gośćmi, którzy niemal wbiegli do lokalu. Śmiali się i wołali to samo, co reszta ulicy:

– Yankee mistrzami, Yankee obronili tytuł!

Nikt go nie gonił, zgodnie z instrukcją nie biegł, pistolet wrzucił do ulicznego śmietnika, a dłoń z einhandem wcisnął do kieszeni marynarki i spokojnym, ale szybkim krokiem poszedł w kierunku rogu, na którym miał czekać Grimaldi. Tak jak się spodziewał, nie było go tam. Złapał taksówkę i pojechali w kierunku Union Street i restauracji Ferdinando. Trafił bez pudła, w środku z grupą jakichś typów siedział Grimaldi. Wejść i tak po prostu zastrzelić drania? Ale wtedy nie dowie się, dlaczego został wystawiony... Czekanie w obcym mieście, na nieznanej mu ulicy, też nie jest wyjściem. Samochód! On przecież zajechał autem! Rozejrzał się i znalazł granatowocznego buicka mastera należącego do Grimaldiego. Podszedł do niego i nacisnął na klamkę, ta ustąpiła, wszedł więc do środka i zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Poszło łatwo, jak po maśle, bo zapewne Luigi Grimaldi nie spodziewał się, że ktoś

będzie śmiać tknąć jego auto. Najpierw siedział zwyczajnie, jak pasażer czekający na kierowcę, po czym, gdy się okazało, że nikt nie widział, jak wchodzi do auta, zsunął się na podłogę. Teraz pozostawało cierpliwie czekać...

Minęła godzina, zdrętwiał niemal i miał już dość, gdy rozległy się głosy. Było zupełnie inaczej, niż miało być, Grimaldi był jeszcze z jakimś człowiekiem.

– Mówiłeś, że będziemy mieli z głowy Koszernego Rekina i że całość spadnie na tych durni z Chicago, tymczasem nie znaleziono tam żadnego obcego trupa!

– Może go postrzelili, musieli go postrzelić! Dałem mu tylko trzy dobre naboje!

Samochodem zabujało, dwóch mężczyzn zajęło miejsca na przedniej kanapie. Silnik zapalił i auto ruszyło.

– To skurwysyn... Jak to możliwe, jak to możliwe? Tak czy owak, był na odstrzał i na początku nic do niego nie miałem, ale podczas spotkania pyskował tak, że gdybym mógł, to bym go własnoręcznie udusił!

– Pomógłbym ci, zwłaszcza po tym, jak wyjechał z tymi kozojebcami, obraził nas wszystkich i powinien zdychać powoli – wysapał w gniewie ten drugi. – Kalabryjczycy nie puszczają płazem takiej obrazy.

– Bo jesteście kozojebcami. – To było ostatnie, co usłyszał pasażer, bo Heniek wypalił mu w tył głowy. Gangster bezwładnie poleciał na przednią szybę. Grimaldi nawet nie zdążył się zdziwić czy zaprotestować, gdy Heniek szybko przystawił mu lufę do potylicy.

– Dla kogo pracujesz?

– Dla siebie.

– Dlaczego chciałeś mnie wystawić?

– Bo widocznie przeczuwałem, że jesteś gnojkiem. Pieprzę

ciebie i twoją matkę, jeszcze nam za wszystko zapłacisz, mieli cię tylko zastrzelić, a za swój długi język zobaczysz, jak psy zjadają twoje jaja! – Mimo tragicznego położenia Grimaldi nie tylko wykazywał butę, ale i groził.

– Jemu już zapłaciłem... a tobie mogę w każdej chwili.
Zatrzymaj się!

Grimaldi zamiast stanąć, przyspieszył, dając tym samym do zrozumienia, że nie boi się jego pogróżek. Przemysłnik jechał jak szalony, jakby chciał zapewnić sobie przeżycie szybką jazdą.

– Stój, bo cię zastrzelę!

I jeszcze szybciej. Albo drań jest już blisko miejsca, gdzie dostanie wsparcie, albo szachuje go strachem przed wypadkiem, myślał Heniek. Słyszał było klaksony innych aut i pisk hamulców. Teraz albo nigdy! Pociągnął za cyngiel i przygotował się na wstrząs. Ten nastąpił chwilę po wystrzale, auto z impetem trafiło w latarnię. Heniek poczuł ból, na szczęście pistolet nie wyleciał mu z dłoni. Był półprzytomny, poobijany, bolało jak cholera, ale kości były chyba całe. Szumiało mu w głowie, ale coraz wyraźniej słyszał krzyki.

– To auto pana Grimaldiego, tam są ludzie! Pomocy, pomocy!

– Tam jest pan Grimaldi i chyba pan Gentile!

A więc ten alfonsiak doholował ich do swojej ulicy. Nie było dobrze, gapie wyrwali drzwi i zaczęli wyciągać trupy Grimaldiego i jego współnika Gentile.

– Nie ruszają się, chyba nie żyją! Ten trzeci się rusza!!!

Heniek poczuł, jak ktoś błyskawicznie wyciągnął go na zewnątrz. Byleby broń nie wyleciała z kieszeni, pomyślał. Złapał równowagę, był jednak podtrzymywany przez dwóch ludzi. Rozejrzał się, wokół byli Włosi, zapewne sąsiedzi Grimaldiego, znali też Gentile, to mogą być nie tylko sąsiedzi, ale i ich

żołnierze. Impet rozbił na miazgę twarz Grimaldiego, wszystko zalało się krwią, a kawałki z rozbitej szyby utkwiły w twarzach bandziorów. Na razie nikt się nie zorientował, że każdy z nich ma w tyle głowy po małej krwawej dziurce wywierconej przez kulkę kalibru 6,35. Zatrzymano taksówkę, dwóch facetów wskoczyło wraz z nim do środka. Jeden usiadł przy taryfiarzu, a drugi razem z Heńkiem na tylnym siedzeniu. Usłyszał komendę – do szpitala!

– Jesteś cały? Pracujesz dla Grimaldiego? – usłyszał, a więc byli to ludzie tego drugiego.

– Tak powiedział.

– Co się stało? Co się, kurwa, stało?

Nie miał ochoty opowiadać, co się stało, ujechali kilkaset metrów i wtedy wyszarpnął z kieszeni pistolecik i przyłożył go do brzucha swojego sąsiada. Był skoncentrowany do granic możliwości, bo z siedmiu kulek – sześciu w magazynku i kolejnej w lufie wystrzelił już cztery. Zostawały trzy, najlepiej, gdyby nie musiał już ciągnąć za spust.

– Stać – zakomenderował – nie szarp, jeśli nie chcesz ich krwi na swojej tapicerce. Prawda, chłopaki?

– Pogadajmy...

– Już pogadaliśmy, nie chcę drugiego wypadku, stać!

Kierowca zatrzymał taksówkę.

– Ty obok mnie, wysiadaj, ale bez numerów, żebym nie musiał odstrzelić łba kumplowi!

Heniek błyskawicznie przyłożył lufę do faceta siedzącego obok kierowcy, więc gość posłusznie, rakiem, opuścił taksówkę.

– A teraz jazda, przed siebie – rzucił do taksówkarza.

Ujechali parę przecznic i Heniek ponownie kazał stanąć.

– Z tobą będzie bardziej skomplikowana sprawa...

– warknął Heniek do drugiego ze swoich opiekunów, po czym

uderzył go w skroń pistoletem. Gangster osunął się na siedzenie. – A teraz, panie kierowco, proszę wysiąść i wyciągnąć pasażera, zasłabł albo się upił. Tylko bez numerów, rób, co ci każę, bo mam cię na muszce!

Po tym pokazie siły szofer bez szemrania wyskoczył z wozu i zaczął wyciągać nieprzytomnego człowieka Gentile.

– A teraz wracaj i wieź mnie na Manhattan!

Kierowca bez pytania ruszył w stronę mostu Brooklińskiego, po mniej niż kwadransie byli na Manhattanie. Heniek dał szoferakowi dychę i ulicę dalej złapał kolejną taksówkę. Mimo chłodu zdjął płaszcz, który zabrudzony był krwią nowojorskich gangsterów i jego własną. Złożył go tak, by nie było widać plam. Taksówką dojechał na róg 59 ulicy i Piątej Alei, a stamtąd ruszył na piechotę. Do hotelu Waldorf-Astoria było jakieś pół mili. Szedł spokojnie, nie spiesząc się, po drodze miał o czym myśleć.

To pewne, że wkurzył Grimaldiego i porywczy Kalabryczyk za głupią odzywkę zaplanował zemstę, ale tak czy owak, i tak miał zginąć. Przeszło mu przez głowę, czy to czasem Al lub jego ludzie nie chcieli go wystawić, ale w uszach brzmiały mu przecieź słowa „będziemy mieli z głowy Koszernego Rekina i całość spadnie na tych durni z Chicago”. Nie, to nie Al, to nie Little New York i nie Machine Gun zaplanowali numer z trefnymi nabojami.

Zapalił papierosa i wziął głęboki oddech, kiepełe pracowało mu jak przy grze w szachy albo przy otwieraniu kasy. Myślał i palił, o mało nie zderzył się z jakimś przechodniem i nie zauważył kurwy, która złapała go rękaw. Strząsnął ją z siebie i poszedł dalej. Wszedł do pełnego przepychu, marmurów i światła hotelu Waldorf-Astoria i nagle doznał olśnienia. To Al i spółka zostali wmanewrowani w sprawę Koszernego Rekina!

Najważniejsi ludzie z Chicago posłużyli, wraz z nim, cwaniakom z Nowego Jorku do załatwienia wewnętrznych porachunków.

Zapewne to Shark stał za zabiciem Lombarda, ale miejscowi rozgrywali coś poważniejszego. Wszystko go bolało, więc aż przysiadł na kanapie, minę musiał mieć taką, że ktoś z obsługi hotelowej zaproponował mu szklankę wody. Podziękował, napił się i wtedy zdał sobie sprawę z tego, jak musi wyglądać. Wsiadł do windy i spojrzał na swoje odbicie w lustrze, na twarzy miał siniec, była to pamiątka po wypadku samochodowym.

W pokoju rozebrał się i zobaczył, że cały jest posiniaczony. Co teraz? Jeśli szukają go fagasy od Grimaldiego i Gentile, jeśli w ogóle o nim wiedzą, to ruszą do hotelu Piccadilly. Tam go nie znajdą, poszukają więc na dworcach. Paru typów może pamiętać jego twarz, są tacy, którzy mają do tego dryg. Co zrobić? Przede wszystkim trzeba się wyspać.

Spał do południa. Gdy się obudził, wstał i obolały zaczął chodzić po pokoju. Przeczytał gazety, które wziął spod drzwi, najwięcej było o tym, że Yankees pokonali w St. Louis Cardinals i wygrali serię 4 do 0, broniąc tym samym tytułu. Rozpisano się o tym całym Babe Rucie, a o tym, co się stało na Broadwayu, były tylko notki. Pierwsza o strzelaninie w knajpie, podczas której zabito jedną i raniono trzy osoby, oraz o wypadku samochodowym, w którym zginął kierowca i pasażer. Pisano, że trzecia osoba jadąca autem doznała szoku i uciekła. Cholera, nie było czasu i miejsca, żeby odebrać broń gangsterom, z którymi jechał taksówką, trudno, ważne, że żyje. Czytał dalej i zeszło mu się na tym aż do pół do pierwszej. Wtedy to poczuł nagle silny impuls, wziął telefon i zadzwonił do recepcji.

– Kiedy jest najbliższy pociąg do Chicago?

– Może pan pojechać 20th Century Limited, odjeżdża jutro o dziewiątej dwadzieścia pięć z...

– Tak, wiem skąd, a wcześniej?

– Mowa oczywiście o szybkim i wygodnym ekspresie?

– Tak!

– Za nieco godzinę z Pennsylvania Station odjeżdża Broadway Limited...

– A dokładnie?

– Odchodzi za pięć trzecia.

– Jak daleko jest dworzec?

– Kwadrans na piechotę, a taksówką...

– Proszę zadzwonić i zarezerwować dla mnie bilet, pierwsza klasa!

– Oczywiście, panie Smith.

– Dziękuję!

Nie tracił czasu, poszedł pod prysznic i się przebrał. Zakrwawiony płaszcz planował wyrzucić w Chicago, teraz zawinął go tak, żeby nie było widać plam, i przerzucił go sobie przez ramię. Zjechał do recepcji...

– Czy...

– Dziękuję – przerwał, bo wiedział, do czego zmierza recepcjonista. – Potknąłem się na schodach w metrze, wszystko w porządku, to nic groźnego – uśmiechnął się. – Czy bilet do Chicago został zarezerwowany?

– Tak jest, będzie na pana czekał u konduktora na hasło Waldorf-Astoria.

Podziękował i wyszedł. Po drodze miał czas, by nad wszystkim się zastanowić i być może wycofać się z pomysłu, by wracać teraz do Chicago. Idąc Siódmą Aleją, zobaczył sklep z artykułami dla skautów i sportsmenów, spojrzął na zegarek. Zdąży, musi zdążyć.

- Czego pan sobie życzy?
- Szukam noża skautowego.
- Najlepiej idą remingtony o wielu ostrzach, uniwersalne, trwałe, ale nie tanie...

Heniek obejrzał scyzoryk z przyzwoitym ostrzem, śrubokrętem, pilnikiem oraz otwieraczami do konserw i butelek.

- Interesujące, nieprawdaż?
- Taaak – zastanowił się Heniek. – Poproszę.
- Może kupi pan dwa, będzie taniej...

Sprzedawca nalegał, więc Heniek, żeby było szybciej, kupił dwa scyzoryki remingtona. Teraz był uzbrojony po zęby! Miał kieszonkowy pistolet z trzema nabojami oraz dwa scyzoryki. Koń by się uśmieł!

Pennsylvania Station była kolejnym wielkim amerykańskim dworcem, który zobaczył. Wyglądała jak ogromne muzeum albo pałac ze szklanym dachem. Skarcił się za przyglądanie się budynkowi, nie był wsiowym gapiem, tu należało zwracać uwagę na coś zupełnie innego. Nagle zrozumiał, że każdy może być jego wrogiem, że każdy dorosły mężczyzna, zwłaszcza taki nie starszy niż czterdzieści lat, może należeć do gangsterów z Brooklynu. Poczul się jak ścigane zwierzę.

Zanim dotarł na peron, kilka razy myślał, że to już... Facet z futerałem od skrzypiec, inny, sięgający po portfel, młodzik obierający jabłko... Czuł, że się poci, że coraz bardziej piecze go rozbita twarz, a w tłoku każde dotknięcie przez innego przechodnia powodowało szybsze bicie serca. W końcu dotarł do konduktora. Odebrał bilet, wszedł do wagonu i znalazł swój przedział. Szybko wszedł do środka i zamknął się na zamek oraz łańcuch. Usiadł i czekał, co będzie dalej... Wtem rozległo się pukanie.

- Tu konduktor wagonu, czy napije się pan czegoś?

– Niecee, dziękuję, już śpię.

– Jest południe, nie będzie pan spał w nocy! – powiedział na odchodne konduktor.

Siedział, a potem leżał, jak zając pod miedzą. Wsłuchiwał się w każdy szmer, w każdy odgłos, który nie był stukotem kół, i tak aż do wpół do piątej. Pociąg zwolnił i w końcu się zatrzymał. Filadelfia, pomyślał. Teraz odważył się wyjść z przedziału.

– Wyspał się pan? Może czas na lunch? – zachęcał go konduktor. – A może czyszczenie ubrania i prasowanie?

– Dziękuję.

– Masażu twarzy nie proponuję – konduktor okazał się dowcipnisiem – ale fryzjer... Strzyżenie z myciem za dolara, a jakby pan sobie życzył kąpieli, to za jedyne siedemdziesiąt pięć centów.

– Dziękuję – powiedział Heniek. – Poproszę tylko o dwie butelki wody.

– Już pan wypił tę z przedziału? – zdziwił się konduktor.

– Tak, wypilem...

Heniek był tak zaaferowany, że nie zauważył, że w szafce nad umywalką stały butelki. Ma co pić, ale czeka go kolejne wyzwanie, chyba że... Czy tylko on w tym pociągu sika do umywalki?

To była najgorsza podróż w życiu, spędzona na oczekiwaniu na coś, co nie nastąpiło. Waszyngton, Baltimore i po dwudziestu nieprzespanych godzinach dotarł do celu. Zmięty i wymęczony wysiadł z wagonu. Żegnający go konduktor patrzył na niego jak na dziwaka. Tymczasem z Heńka zeszło napięcie, znów jest u siebie, w Chicago. Ciekawe, że pierwszy raz pomyślał tak o mieście, w którym mieszkał od roku.

Spojrzał na dworcowy zegar, była 8.57. Na Heńkowym dochodziła dziesiąta. Faktycznie, przecież w Nowym Jorku jest czas Wschodniego Wybrzeża, a tu, w Chicago, jest środkowoamerykański. Zbliżał się właśnie do wielkich dworcowych schodów i zdał sobie sprawę, że teraz może obejrzeć Union Station. Hala była gigantyczna i przypominała rzymską świątynię, ale za to schody z miejsca skojarzyły mu się z tym sowieckim filmem, który widział w Berlinie. *Pancernik Potiomkin* i wielkie schody w Odessie... Wszedł do połowy i się rozejrzał, bo przypomnieli mu się carscy żołnierze, którzy schodzą w dół z mosinami w rękach, i właśnie wtedy o kilka metrów za nim mignęła mu jakaś twarz, znajoma twarz... To był ochroniarz z baru na Brooklynie! Ten, którego nawet nie drasnął, ten, któremu odpuścił.

To nie był przypadek, nie mógł być. Stał w tłumie, ale przecież to nie uchroniło Tony'ego Lombarda przed śmiercią. Zwykle strzelał lewą ręką, ale teraz przełożył einhanda do prawej kieszeni, a lewą, silniejszą dłoń, którą miał schowaną pod zakrwawionym płaszczem, chwycił scyzoryk kupiony na 7th Avenue. Wyciągnął ostrze, trochę się z tym miotał, biwakowa zabawka to nie porządna sprężyna. Czy tamten wie, że został dostrzeżony? Wszystko jedno. Przyspieszył kroku i wskoczył przed idącą przed nim osobę. Instynktownie poczuł, że tamten też zaczął przeskakiwać po stopniach. Był już na szczycie, zrobił krok w kierunku drzwi i wtedy gwałtownie odwrócił się, by wyciągniętym spod płaszcza scyzorykiem zadać ścigającemu go człowiekowi cios. Tamten jęknął, chwytając się za klatkę piersiową, a Heniek doskoczył do niego, krzycząc:

– Ratunku, złodziej, złodziej!

Poprawił mu w zwarciu, jeszcze raz tnąc po dłoni, po czym pchnął go w dół, odskakując jak oparzony. Tymczasem gangster

runął, przewracając parę osób. Zrobiło się zamieszanie, a Heniek przeszedł przez tłum gapiów. Znalazł się na zewnątrz, tam zdał sobie sprawę z tego, że w zaciśniętej dłoni ma ociekający krwią nóż. Nikt go jednak nie zauważył, bo ramię i dłoń schowane były pod płaszczem. Jak gdyby nigdy nic wskoczył do taksówki i spokojnym głosem powiedział:

– Poproszę do hotelu Renaissance.

Po kilku minutach był w swoim nowym domu. Wciąż miał przy sobie skrwawiony płaszcz i scyzoryk. Runął na łóżko, to był wyczerpujący poranek, to były wyczerpujące dni.

Obudził go telefon z recepcji. Pytali, czy zna pana Evergreena.

– Evergreen? – Nim zdążył się domyślić, o kogo chodzi, usłyszał w tle znajomy głos. – Proszę powiedzieć, że dzwoni kolega z golfa.

– Tak, oczywiście, zaraz do niego zejdę, albo... proszę wprowadzić pana Evergreena na górę.

W pierwszej chwili nie skojarzył, o co chodzi. Czuł się zmęczony i wyrwany ze snu. Evergreen to była nazwa pola, którego współwłaścicielem okazał się Jack McGurn.

Po dwóch minutach Jack stał w drzwiach jego pokoju.

– Ho, ho, wyglądasz jak po starciu z Jackiem Dempseyem. – McGurn, podobnie jak Al Capone, uważał Dempseya za najlepszego boksera świata. – Albo po wypadku samochodowym.

– To drugie.

Heniek wyjaśnił, co się stało. Opisał swój pobyt w Nowym Jorku, ale na wszelki wypadek zmienił nieco treść rozmowy, którą podsłuchał w samochodzie.

– Ten cały Gentile powiedział do Grimaldiego: Mówiłeś, że jak wypucujemy Ałowi Koszernego Rekina, to wyślą kogoś

z Chicago i posprząta za nas, i na dodatek da się złapać albo zabić, żeby wyszło na tych durni od Ala.

– To naprawdę kozojebcy – z poważną miną powiedział Machine Gun. – Jestem z Sycylii, a wiadomo, że kozy i owce ruchają tylko ci idioci z Kalabrii!

– Zdrowie Sycylijczyków. – Heniek nalał whisky. Stuknęli się szklanką z Machine Gunem, a ten dokończył toast:

– Zdrowie! Jebać Kalabryjczyków, oni nie dorastają nam do pięt!

Tak po prawdzie to Heniek myślał, że Grimaldi jest Sycylijczykiem, ale po co mówić o tym McGurnowi.

– Jest jeszcze coś.

– Nno, no – zainteresował się Machine Gun.

– Zrobili na mnie obławę, ochroniarz Kosher Sharka pojechał za mną z Nowego Jorku, ale nie odważył się mnie dosięgnąć w pociągu. Chciał to zrobić na schodach Union Station...

– W stylu Rekina, w tłoku, w tłumie, jak naszego Tony’ego... I co?

– No i pijemy whisky!

– A ten śmieć z Nowego Jorku?

– Może żyje, może nie, nigdy wcześniej nie pociągnąłem nikogo nożem.

– Sprawdzimy to, a teraz wypijemy za killerów

– powiedział Machine Gun, nalewając następną kolejkę.

Ile jeszcze będzie tych kolejek? – zastanowił się Heniek. Trzeba pomyśleć o tym, jak się z tego rozsądnie wyplatać, i nie miał wcale na myśli whisky, co musiał ją wypić z McGurnem, tylko zlecenia, które mu dał wspólnie z Alem Capone. Udało się, żyje, zrobił swoje, ale nie miał już na to więcej ochoty.

XV

Wielki Gatsby

Rok zbliżał się ku końcowi, było gites. Wydało się, po co było to całe zamieszanie z Koszernym Rekinem. Ci z Nowego Jorku wystawili go, żeby pozbawić ochrony Arnolda Rothsteina. Ten znów narobił karcianych długów i w listopadzie zebrał za to w hotelu Central Park parę kulek. Ale nie o karty chodziło, Rothstein zawadzał wszystkim, Ałowi także. Teraz coraz głośniejsz mówiono się o jego porachunkach z Bugsym Moranem, to była długa i krwawa historia. Heniek miał nadzieję, że ta sprawa nie będzie go dotyczyć. Od czasu wyjazdu do Nowego Jorku miał święty spokój, ale wolał dmuchać na zimne. Nie chciał spieprzyć tego, co osiągnął, a osiągnął wiele. Siedział ledwie rok z małym okładem, a już był bogaty i żył jak pan, choć nie oszczędzał tak, jak ta kutwa Magath. Ten stary cap żył jak szaraczek, ale musiał mnóstwo forsy przepuścić na dziwki, no i pewnie na hazard.

Takich, co przegrywali w karty, było wielu, ale większość z przegranych nie robiła z tego problemu. Pieniądze szybko przychodziły i jeszcze szybciej odchodziły. Wystarczyło więc wziąć się w kupę i szybko odrobić straty, a to wszystko dzięki prohibicji. Ileż majątków powstawało na jego oczach, jakie fortuny! Bo przebitki były piękne, skrzynka dobrej whisky kosztowała w Kanadzie dziesięć dolarów, a w barze miała już wartość okrągłej stówki. Pięknie też można było zarobić na szampanie, ale z oczywistych względów Heniek wolał nie wracać do pomysłu starego oszusta Magatha. Od tego i jego stylu życia starał się trzymać z daleka, owszem, popił, wydał na panienki, ale przede wszystkim lubił żyć wygodnie.

Coraz bardziej mu się to podobało, rozsmakował się na

całego. Mimo wszystko odłożył trochę dolarów, no i miał też skitrane pieniądze, które dostał za zastrzelenie żydowskiego Rekina. W sumie było tego ponad sto tysięcy dolarów! Lubił liczyć swoje pieniądze i myśleć o tym, co zrobi z nimi po powrocie do Warszawy. Ile to teraz jest na złote? Pół miliona, a może sześćset tysięcy? Nieważne, dużo, bardzo dużo. Z taką kasą mógł wracać w każdej chwili i zarządzać w Warszawie jak jaki hrabia lub przemysłowiec. Już teraz Heniek nosił się, jak przystało na szefa poważnej firmy, choć nie miał, jak gangsterzy, kilkunastu garniturów i kilogramów biżuterii. Nie kupował podarków, nie rozpuszczał bezmyślnie pieniędzy, za to lepiej mieszkał i urzędował.

Nie mógł pojąć, że wielu chłopaków z ferajny, a nawet oficerów Ala, mieszkało dość podle, a swoje interesy prowadzili z nor godnych samego króla skąpców Magatha. Heńkowi coraz bardziej się podobało to, że przeniósł się z 2135 South Michigan Avenue pod numer 636, czyli półtorej mili na północ. Był prawie w samym The Loop i mieszkał w luksusowym hotelu Renaissance. Miał tu posiedzieć tylko przez chwilę, ale mu się spodobało. A co tam! Stać go było i tyle. Opłacało się, wszędzie blisko, widok na jezioro i park. Ale za to lokalu na biuro poszukał już w nieco tańszym miejscu, w Monadnock Building przy 53 West Jackson Boulevard. W tańszym, co nie znaczy, że w tanim. To był wciąż modny adres w pięknym wysokim gmachu, w jednym z najwyższych w mieście. Znalazł tam trzy pokoje na przedostatnim piętrze, w jednym z nich, na upartego, dałoby się spać, bo stała tam wygodna kanapa, ale czy kiedykolwiek z niej skorzysta? Z hotelu do biura było na piechotę nieco ponad dziesięć minut.

– Żyje szef jak Remus – powiedział któregoś dnia z podziwem Ronald.

– Kto?

– Remus, król aptecznego alkoholu. Albo Wielki Gatsby[39], ten Gatsby też robił interesy na aptekach i lekarskim spirytusie.

Tego drugiego znał, bo był to gość z filmu. Taka sobie historyjka o facecie, co go nie chciała babka, bo był za biedny, a on się napiął i wszedł w świat bogaczy. Dobrze na tym nie wyszedł, bo choć w sumie fajny był z tego Gatsby'ego gość, to jednak frajer. On takich błędów nie popełni, zresztą tu, w Chicago, mu to nie groziło, może w Warszawie jako człowiek znikąd z pół milionem złotych wszedłby do elity, ale tu... Tu znał swoje miejsce w szeregu i było mu z tym dobrze. Brakowało mu tylko dwóch rzeczy, o których marzył od dawna, lotu samolotem lub sterowcem oraz auta.

W Polsce jako posiadacz samochodu za bardzo rzucałby się w oczy, poza tym nie za bardzo było dokąd jeździć, nie wszystkie ulice w Warszawie były asfaltowane lub brukowane. Na przedmieściach było z tym słabo, a szosy prowadzące ze stolicy były krzywe i często pozbawione nawet bruku. Podróż autem wybierał ktoś, kto nie miał innej możliwości, pociąg, zwłaszcza w pierwszej klasie, był pierwszorzędym rozwiązaniem. Pociągi nie gnały tak jak w Ameryce, jeździły raczej powoli, ale były za to punktualne. Kiedyś wystarczyło mu, że objeżdżał auta, które naprawiane były w warsztacie, gdzie był współnikiem, ale teraz nabrał apetytu na więcej.

Tu sprawa wyglądała zupełnie inaczej, aut było istne zatrzęsienie, czytał nawet, że co dziesiąta amerykańska rodzina miała już swój samochód i że było ich sto razy więcej niż w Italii, gdzie produkowano przecież fiata, bugatti, lancię i alfę romeo. Samochody były tu po prostu tanie, fordziak T, jak go jeszcze produkowali, kosztował czterysta dolarów, a dobry

robotnik zarabiał sto pięćdziesiąt albo nawet dwie stówki. Jedna wypłata i robociarz miał dwuletniego forda! Granicę porządnej pensji, czyli trzystu dolarów na miesiąc, przekraczało wystarczająco dużo ludzi, by aut przybywało jak grzybów po deszczu.

Heniek od samego początku oglądał katalogi i ogłoszenia prasowe, znał marki i ceny na pamięć; studebaker był piękny i drogi, prawie dwa tysiące dolarów. Ale za duży. Na co mu sześciuosobowe auto! Buicki, hudsony, greye, maxwelle, dodge'e i willysy też były za masywne. Jakby miał kupować wielkie auto, to raczej poszedłby na całość i postawił na cadillaca. Prawie trzy tysiące dolarów, ale co klasa, to klasa. Ale... *Tisze jediesz, dalsze budiesz*. Kto jeździł cadillakiem, ten się wybijał, tego nie można było przegapić. Poza tym to pojazd, do którego wypadało zatrudnić szofera, a Heniek chciał się cieszyć jazdą.

Wspomnienie ucieczki lancią barona Jungenfelda po krętych tatrzańskich drogach kazało mu przyjrzeć się bliżej sportowemu chryslerowi. Nie był tani, ale za to wspaniały. Miał dwa wygodne miejsca kryte brązową skórą oraz pojemny bagażnik, w którym można było rozłożyć dodatkowy fotelik dla drugiego pasażera. Ale najważniejszy był ponadczterolitrowy silnik o sześciu cylindrach i dwunastu zaworach; siedemdziesiąt pięć koni mocy! Sportowa wersja świetnie spisywała się w słynnym wyścigu Le Mans. A na koniec – wygląd! Chrysler był zgrabny i pomalowany dwoma kolorami lakieru. Niemal całość była błękitna, a dodatki – progi, obramowanie karoserii, błotniki oraz atrapa chłodnicy – ciemnoniebieskie. Felgi także były dwukolorowe, ale z przewagą ciemnej barwy, a gumy eleganckie, z białym paskiem. Nawet dwa koła zapasowe, zamontowane na burtach, dodawały chryslerowi uroku.

Kosztował ponad półtora tysiąca dolarów, czyli niemal równowartość czterech fordów T. Ale nie ma co oszczędzać, trzeba kupić i się cieszyć! Kupił więc chryslera i poczuł się jak pan świata.

Samochód prowadził się pięknie, miło było posłuchać dźwięku silnika i cieszyć się wciśnięciem gazu. A gdyby tak pewnego dnia opuścić miasto, wjechać na rozpoczynającą się za jego rogatkami drogę 66 i zatrzymać się w słynnym Hollywood? Czemu nie, ale to prawie dwa i pół tysiąca mil, czyli cztery tysiące kilometrów. Sporo czasu zajmie dojechanie do Los Angeles, a trzeba przecież jeszcze wrócić. Pozwolił więc sobie tylko na wypad do Springfield.

Pojechał w niedzielę z rana i zabrał ze sobą Ronalda, który kwękał, że zamiast się porządnie wyspać po sobotnim balu, będzie się zrywał, żeby zobaczyć jakieś niepoważne miasto.

– To w końcu stolica stanu, nie chcesz obejrzeć? – zdziwił się Heniek.

– Może i stolica, ale psy tam dupami szczekają – odciął się Ronald. – A stolicą Stanów nie jest ani Nowy Jork, ani Chicago czy nawet San Francisco, tylko Waszyngton! – Wzruszył ramionami. – Ale jak szef nie chce tłuc się sam, a będzie tam jakaś wyżerka, to mogę się poświęcić.

Faktycznie, Ronald miał rację, ale nie o miasto chodziło, lecz o jazdę, po długiej, równej drodze. Było pięknie, ponad dwieście mil dobrym autem po to, by zjeść obiad, zobaczyć stanowy Capitol i parę pomników Lincolna, a potem wrócić. Auto spisało się świetnie, dmuchawa nawiewająca ciepłe powietrze sprawiała, że nie marzli, droga była równa, a stacje benzynowe rozmieszczone, jak trzeba. Heniek sycił się pojazdem bez reszty.

Następnego dnia Ronnie podwiózł go na pocztę, bo Heniek

uznał, że to czas, by sprawdzić, czy do pana Karola Maya z Silver Lake nie przyszedł list. Przed gmachem panowało zamieszanie. Do aut z włączonymi silnikami podbiegło kilku facetów w płaszczach. Mijając ich, zobaczył, że są uzbrojeni, ale ani nie byli ubrani jak gangsterzy, ani też nikt ich nie ścigał, nie był to więc napad. Faceci wymieniali nawet porozumiewawcze spojrzenia ze strażnikami.

Heniek podszedł do okienka i podał swoje hasło, czekała na niego koperta. W środku nie było koperty od Leokadii, był za to list, a raczej raport, od kapitana Beniowskiego. Julek informował go o tym, co się dzieje z jego pieniędzmi. Było tego niemało i powinno starczyć na pomoc nie tylko Stefie i babci, ale jeszcze paru innym osobom. Już w Berlinie Heniek sporządził dla kapitana dyspozycje; część pieniędzy miała iść przede wszystkim do stryjka Janka, bo Heniek mu ufał i wiedział, że brat ojca jest obrotny.

Drugą osobą, do której miał podobne zaufanie, był Mietek Kosiorek. Beniowski przekazał szoferowi z Grochowa flotę, którą ten miał dawać kuzynce Henia Zośce Wyględzie-Klajster oraz szemranym, którzy mu kiedyś pomogli. Jego sąsiad z kamienicy Krongolda, Lucek Traszka, ostrzegł go za pośrednictwem rodziny Goldsteinów przed śledczym Denhelem. Traszka i Salomon, mąż Sary Goldstein, odsiadali długie wyroki, więc Heniek w dowód wdzięczności za lojalność i pomoc postanowił ich wynagrodzić. Lucek Traszka, którego kiedyś doprowadził do pionu, okazał się honornym facetem i nie wydał go. Podobnie Salomon Goldstein. Nie wszyscy tacy byli, bo Franciszek Wlazło przyparty przez Denhela do ściany nie tylko go wykapował, ale i obciążył swoimi zbrodniami. Dla niego nagrodą będzie kulka w łeb. Za kapowanie, ale jeszcze bardziej za śmierć mamy i kumpla z dzielnicy, Antka Bożyczki.

W natłoku zdarzeń zapomniał o Właźle, bo tu na miejscu miał dość nowych zmartwień. Teraz wspomnienia odżyły, choć nie na długo. Zemsta jest dobrą pożywką, ale strach nie gorszą.

– Był liścik? – zagadał go w aucie Ronnie.

– Był.

– To dobrze, bo jeszcze bym pomyślał, że szef był na małym meetingu z federalnymi – zaśmiał się rudzielec.

Heniek nie rozumiał dowcipu.

– O co ci chodzi, Ronnie?

– Nie rozumie szef?

– Nic a nic.

– Serio?

– Nie gładź, tylko mów, o co chodzi!

– Przecież federalni urzędują na poczcie!

– Cooo? – Heniek nie mógł uwierzyć.

– Jak najbardziej, szef minął się z nimi, to byli ci goście, na których czekały auta.

Heniek nadal nie mógł uwierzyć.

– Wyglądali na tajniaków, ale do głowy by mi nie przyszło, że tam pracują.

– Pracują tam, bo gdzieś muszą! – Ronald nie widział żadnej sensacji w tym, że agenci federalni urzędowali na poczcie.

– A nie mogą na policji albo w ratuszu?

– A jakim cudem?

– Zwyczajnie!

– Przecież ratusz jest miejski, a policja miejska albo stanowa.

– Tak czy siak, amerykańska, tak jak agenci federalni!

– To nie jest takie proste, każdy stan ma swoje prawo i sądy, a tylko niektóre przestępstwa są ścigane przez

federalnych. Bywa, że jest im mocno nie po drodze z policją, a już na pewno nikt nie pozwoli robić ofisu, gdzie im się tylko spodoba.

– A poczta? – Heniek był tym wszystkim zdumiony.

– Poczta jest federalna, należy do rządu, więc psy, co czekają i gryzą dla Waszyngtonu, mogą mieć tam swoją budę. Dokąd jedziemy? – zapytał Ronnie, który uznał, że wykład jest zakończony.

Przedostatni weekend przed gwiazdką był symboliczny. Nie byli fabryką, biurem czy urzędem, ale Heniek postanowił wprowadzić pewne zasady. Wzorem swojego imiennika Forda zarządził, że skoro często pracują nocami, to należą im się dwa wolne dni w tygodniu.

– Czyli sobota? – niemal jednocześnie wypalili bracia Hrubesch.

– Nie, poniedziałek – odpowiedział Heniek.

– Świętujemy od soboty, jak Żydzi. – Ronnie jak rzadko kiedy poparł bliźniaków.

– Nie jak Żydzi, tylko jak ludzie od Forda – obruszyli się Hrubeschowie.

– Ale my nie robimy aut w Detroit, tylko zajmujemy się gorzałą w Chicago – zaśmiał się Heniek. – Wprowadzam też zasadę, że w piątki po pracy omawiamy tydzień przy lunchu, przez godzinkę razem jemy, trochę pijemy i rozmawiamy. Chcę wiedzieć, co się dzieje. Stawia fabryka, stoi?

– Stoi – odpowiedzieli chórem pracownicy Iron Castle.

W sumie było tak od zawsze, ale Heniek postanowił zrobić z tego stały obyczaj i płacić za to z firmowej kasy. Nie był to jakiś wielki wydatek, bo obiad dla całej ósemki, zakrapiany alkoholem, kosztował razem z solidnym napiwkami nie więcej niż dwadzieścia dolarów. Nie liczyła się forsa, ale gest,

chłopakom bardzo się to podobało. Tego wieczoru poszli do włoskiej knajpki, zamówili focaccię, rosół z tartym serem oraz makaron po bolońsku. Kto chciał, mógł się jeszcze dopchać drugim daniem, ale na to stać było tylko Hrubeschów. Nawet Ronnie, który najadał się kiedyś za każdym razem tak, jakby to miał być jego jedyny posiłek w tygodniu, spasował.

– Nie mogę, opilem się tego wina.

– Chianti – zauważył Luigi, jeden z czwórki pomagierów.

Luigi był Włochem, pozostałą ekipę stanowili: Żyd, Polak i Irlandczyk. Trójka z nich to byli kumple Ronniego, z jego ulicznego, szczeniackiego gangu.

– Bardzo dobre wino, choć nie jest zbyt mocne – zauważył Heniek.

– Może to i wino stołowe, ale ma swoją moc – zachwalał Luigi. – Doskonale pasuje do każdego posiłku, i do pasty, i do mięsa, a nawet i do ryby. Nie docenia się go, bo nie jest ciężkie, ale tak samo jak inne działa na głowę i nogi.

– Nawet mi smakuje – potwierdził Ronald. – Daje niezły szmerek. Możemy zamówić jeszcze trochę tego kompotu?

Rudzielec porozumiewawczo mrugnął okiem, a reszta ferajny mu przytaknęła. Tylko Hrubeschowie tradycyjnie posmęcili, więc dla nich zamówiono whisky.

– Kelner, prosimy jeszcze o kompot, a dla tych dwóch dżentelmenów herbatkę – zarządził Heniek.

Obsługujący porozumiewawczo skinął głową, bo w ich lokalu wino podawano w dzbankach i rozlewano do kubków, nazywając kompotem, a herbatką była lana do filiżanek whisky. Nikogo to nie dziwiło, tak było w większości chicagowskich restauracji.

– Jest pięknie, byleby tylko politycy tego nie spieprzyli!
– zaczął narzekać po swojemu Hermann Hrubesch.

– Nie wierzę takim cwaniaczkom, co mówią, że jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej – wsparł go brat Jürgen.

– Wszystko jest w porządku. – Jak zwykle Ronald lubił się podrażnić z niemieckimi bliźniakami. – Ludzie dobrze zarabiają i będą zarabiać jeszcze więcej, więc nie sknerzą i chętnie wydają pieniądze. Kupują domy i auta, chodzą do kina i na dziwki, a przede wszystkim lubią wypić!

– A skąd ta pewność, że będą zarabiać jeszcze więcej?
– zapytali Hrubeschowie. – Na czym się tak dorobią?

– No, na akcjach!

– Masz te akcje?

– Mam.

– No i co?

– No i są teraz warte więcej!

– To ty na to wydajesz pieniądze? – zainteresował się Heniek.

– Tak! – Ronald podniósł dumnie głowę. – Zmieniłem się, pomagam matce, kupuję akcje, jestem przedsiębiorczy!

– Wierzysz w to, że sprzedasz te papiery z zyskiem?

– Tak!

– To je sprzedaj i zarób! – Heniek nie lubił akcji, spółek i innych bajerów. Złoto to złoto, ziemia to ziemia. Nawet Al Capone myślał podobnie, najwięksi złodzieje są na giełdzie i w bankach. Nie wierzył, po prostu nie wierzył, nijak nie mógł zrozumieć, jak to jest możliwe, że w krótkim czasie wiele akcji poszło w górę tak, że na te, które podwoiły czy potrojiły swoją wartość, nawet nie zwracano uwagi. Wróci kiedyś do tego tematu, pogada z chłopakiem, a na razie nie ma co psuć atmosfery. Jak go dociśnie przy Hrubeschach, to weźmie się na ambit i stanie okoniem. Musi z nim pogadać sam na sam.

– Najważniejsze, że nowy prezydent jest zwolennikiem

prohibicji!

Wszyscy podzielali ten zachwyt, gdyby wygrał jakiś mokry gość, to jeszcze cofnąłby prohibicję i zakończył ich piękne interesy.

– Ale w Chicago wygrali nie ci, co trzeba – stęknął Jürgen Hrubesch. – Reformatorzy, psia ich mać!

– Reformator nie wielbłąd, wypić musi! – zaśmiał się Hermann. – Reformator musi też zarobić pieniądze, a wiadomo, że munszajnerzy i butlegerzy płacą najlepiej!

Pośmiano się, wypito jeszcze trochę, a gdy skończyli, byli już pod dobrą datą i każdy ruszył w swoją stronę. Tylko młody Irlandczyk Shaun miał żonę i małe dziecko, ale i on poszedł z Ronniem i resztą młodzików. Hrubeschowie jak zwykle poszli lać wódkę do swojej kanciapy, a Heniek wyruszył w kierunku kabaretów i teatrzyków w The Loop. Pokręcił się tam trochę, ale nie mając towarzystwa, pojechał tam, gdzie jest ono zawsze i na zawołanie.

Zajrzał najpierw do Speakeasy mieszczącego się niedaleko Teatru Chicago, ale coś mu tam nie pasowało. Było niby jak trzeba, głośno, gęsto od dymu, ale muzyka, choć grana z biglem, jakoś go nie przekonała. Zaszedł więc do kolejnego i tam mu się nie spodobało. Pożeglował w kierunku lokalu, który okupowało jakieś dziane towarzystwo. Oblepili bar jak zwierzaki wodopój. Chciał się przez nich przepchnąć, gdy zauważył kogoś, kogo znał krótko, ale niezwykle intensywnie.

Nie sposób było jej nie poznać! To była Patricia Robinson! Usiadł przy stoliku i patrzył na nią, czekając, jak to się wszystko rozwinie. Towarzystwo, w którym była Patricia, na dobre przycumowało do blatu. Z czasem jednak ten i ów wychodził potaćnić. Damy porywane przez dżentelmenów śmiały się i szły szaleć. Ludzie wszędzie byli tacy sami. Biedacy marzyli

o luksusach i salonach, a ci z salonów chętnie zapuszczali się w miejsca, które miały posmak sensacji i skandalu.

W Warszawie państwo z towarzystwa chadzało dopijać się do herbaciarni Grubego Joska przy Gnojnej oraz do dorożkarskich szynków, a w Chicago cylindry, futra i kolie zwiedzały, wraz ze swoimi właścicielami, lokale z jazzem granym przez czarnych muzyków i z lejącym się strumieniami nielegalnym alkoholem. Patricia bawiła się doskonale, tańczyła, ale chyba nie była tam z żadnym facetem. W końcu, gdy wyszła do toalety, skorzystał z okazji i gdy wracała, podszedł do niej.

– Witaj, Patricio...

– Henry, to ty!

– Co tu robisz?

– Jak to co? Bawię się!

– W takim miejscu?

– Tak, w takim miejscu, modnym i szalonym!

Wyglądała pięknie i cokolwiek wyzywająco.

– Byłam ze swoimi przyjaciółmi w operze, a teraz bawimy się przy jazzie.

– Mąż znów w delegacji?

Nie odpowiedziała.

– Zatańczymy?

Wciąż milczała.

– Wypijemy drinka?

Znów bez odpowiedzi.

– Więc?

Błyskawicznie dotknęła jego dłoni.

– Wszystko, co zechcesz, ale nie tutaj. Ja

w przeciwieństwie do mojego męża zachowuję pozory. Kobieta w tej grze może więcej niż kiedyś, ale wciąż nie tyle, co mężczyzna.

- A zatem?
 - A zatem wychodzimy, zmieniamy lokal. Powiem tylko jednej z przyjaciółek, że wracam do domu. Gdzie się spotkamy?
 - U Szweda.
 - Gdzie?
 - W tawernie Simonsa Sumberga, tam na pewno nie będzie nikogo z twojego towarzystwa, każdy taryfiarz wie, gdzie to jest.
- Patricia poszła do swoich, a on opuścił lokal i pojechał taksówką na North Clark Street, gdzie mieścił się szwedzki bar. Zamówił specjalność zakładu, kieliszek akwawity, i czekał przy drzwiach. Czekał tak trzy kolejki, Patricia przyjechała po czterdziestu minutach...
- To koniec świata...
 - Tylko dwadzieścia minut z Loop.
 - Może i tak, ale to koniec świata!
 - Będziesz mi teraz robić wymówki?
 - Tak, nie po to porzucałam banalne towarzystwo, żeby teraz być w jakiejś szwedzkiej speluncie...
 - Za to tu nie wpadniesz na przyjaciół męża...
 - Tak, zdecydowanie tak nie będzie – uśmiechnęła się. – Co tu podają?
 - Szwedzki likier, akwawitę. Starzona wódka z ziołami, przy tym, czym się truje ludzi, to naprawdę ciekawy wybór.
- Patricia skosztowała, po czym uścisnęła Heńkową dłoń.
- Henry, to chyba już rok, prawda? – Kiwnął głową.
 - Nieźle sobie radzisz z angielskim, tak w ogóle musisz sobie nieźle radzić. – Obejrzała go uważnie. – Może byś mi o tym opowiedział w jakimś ciekawszym lokalu.
 - W ciekawszym i z tańcami?
 - W ciekawszym, z tańcami i w równie dyskretnym
 - zamruczała mu do ucha.

– Znam takie miejsce, gdzie nie będziesz się nudzić...

– A czy tam potańczymy?

– Potańczymy.

– Na pewno?

– Na pewno! – Heniek objął ją, wyszli z lokalu i wsiedli do taksówki.

– Dokąd jedziemy? – zapytał kierowca.

– Do Renaissance!

Samochód ruszył w kierunku hotelu, który był domem Heńka.

– A co tam jest? – szepnęła mu do ucha Patricia Robinson.

– Tam mieszkam – uśmiechnął się Heniek.

– W takim razie nie będę się nudzić, ale pamiętaj, że obiecałeś tańce...

Położył dłoń na jej udzie i szepnął:

– Mam patefon i odpowiednie płyty. Mam wszystko, co trzeba, dobre drinki, miejsce odpowiednie do dyskretnej konwersacji, a także na tańce...

– Jakie tańce?

– Namiętne tańce.

Zamruczała jak kotka, spojrzała na jego dłoń i odwzajemniła się tym samym, a po chwili już czymś znacznie więcej.

– Przestań!

– Zmieniłeś zainteresowania? – zaśmiała się z teatralnym oburzeniem.

– Nie, ale chcę przejść koło portierni z godnością, wyprostowany i nie trzymając na przyrodzeniu kapelusza.

– To nie moja wina, że się tak spieszysz...

– A nie po to to robisz?

– Ach, Henry... To sprawia mi przyjemność, ale w sumie

masz rację, nie muszę okazywać tego całemu światu!

– Chłopcy i dziewczęta są inaczej skonstruowani, musisz to pojąć – szepnął jej do ucha.

– Na to właśnie liczę – odpowiedziała cicho. – Tam, gdzie nas jest mniej, was jest więcej, bardzo chcę wykorzystać te różnice. – Znów zamruczała, a na koniec delikatnie ugryzła go w ucho.

Gdy znaleźli się w apartamencie Heńka, nie zdążył nawet nastawić gramofonu. Patricia zanuciła jakąś melodię i przycisnęła się do niego niczym w gorącym tangu. Ten ich niby taniec bez muzyki nie potrwał długo, zwalili się na łóżko, a tam wydarzenia potoczyły się w błyskawicznym tempie.

– Dobrze, że znów się spotkaliśmy – wyszeptała.

– Też tak uważam.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– Czuję tyle samo co ty, można to zawrzeć w kilku słowach, ale jeszcze więcej mogą wyrazić ręce i usta...

– Ho, ho, poeta! – prychnęła.

– W takim razie jesteś muzą!

Zaśmiali się.

– Wiesz, lubię cię, chłopaku – powiedziała, gładząc jego włosy.

– Tak mi się wydawało, bo nie traciłabyś czasu na kogoś, kogo nie lubisz... Ty nie lubisz się nudzić.

– Nienawidzę.

– Ze mną nie będziesz się nudzić.

To mówiąc, objął ją i zaczął całować. Padli na łóżko i robili szalone rzeczy, tak szalone jak wtedy, gdy kochał się po raz ostatni z Leokadią. Odegnął jednak myśli, które przypominały mu pozostawioną w Europie ukochaną. Myślał, że nie będzie tak, jak na statku, że to fale, szampan, oszołomienie wielkim

światem i luksusami tworzyło wtedy nastrój, ale w jego hotelowym pokoju magia nie prysnęła. Co więcej, miał wrażenie, że Patricia była jeszcze bardziej namiętna. Nagle podniosła się gwałtownie.

– Dokąd idziesz?

– Wziąć prysznic.

– Nigdzie sama nie pójdziesz.

– A jak pójde z tobą? – bardziej zaproponowała, niż zapytała.

Nigdy nie robił tego w łazience, strumienie wody, mydło, niezwykły dotyk...

– Stop! – Patricia regulowała tempo. – Wracamy do łóżka, opłucz mi plecy, a później je wytrzyj.

Kolejny etap nastąpił w łóżku, kolejny i ostatni zakończył się prawdziwą eksplozją, miłosnym uniesieniem, jakiego wcześniej nie zaznał. Nie ulegało wątpliwości, Patricia była jego najlepszą kochanką.

Leżeli obok siebie zmęczeni i szczęśliwi.

– Zapalisz? – zapytał.

Pokręciła głową, że nie, ale wzięła od niego papierosa i zaciągnęła się.

– Wolę się napić.

– Szampana?

– Oczywiście.

– I czego jeszcze nienawidzisz? – powiedział, podając jej kieliszek z szampanem. – Czy jest coś, czego nienawidzisz bardziej od nudy?

– Mężczyzn nieszanujących kobiet, z którymi sypiają. Żony i dziwki wiedzą o tym najlepiej.

– Na szczęście nie jesteś ani dziwką, ani moją żoną, jesteś moją kochanką.

Zaczął jej delikatnie dotykać.

– Nie przerywaj! – Chwyliła jego drugą dłoń i przycisnęła do swojej piersi.

– Spotykamy się jutro?

– Oczywiście – potwierdziła nieco leniwym, rozmarzonym głosem. – Jutro u ciebie o drugiej po południu.

– Tak, jutro o drugiej. – Zgodził się, choć miał na ten dzień zupełnie inne plany.

Patricia układała mu kalendarz przez najbliższe dwa tygodnie, nawet w Wigilię przyszła do niego oddawać się namiętnościom. To było coś innego niż na transatlantyku, ale trafiło go jak nic przedtem. Czuł się od niej uzależniony, to przestała być przygoda, Patricia stała się jego obsesją, a z kilkunastu dni ledwie dwa razy nie doszło do ich pełnych szaleństw i uniesień spotkań. W wigilijne wczesne popołudnie Patricia ubierała się szybko. Zwykle się nie spieszyła, ale przecież dzień był wyjątkowy.

– Służba wie, co czynić, ale jak ich nie przypilnuję, mogą narobić zamieszania – powiedziała, podciągając pończochy.

– Mają dobrze, płacimy im, pozwalamy jeść w naszej kuchni, a oni nie potrafią zadbać o drobiazgi. Ale co zrobić, trudno dziś o dobrą służbę.

Heniek chciał dać Patricii świąteczny prezent, bransoletkę, którą kupił za piętnaście tysięcy dolarów, istne cacko, najdroższy przedmiot, jakikolwiek posiadał w życiu. Do tej pory jego największym zbytkiem było niedawno kupione auto, a jednak było pięć razy tańsze od biżuterii, która miała być bożonarodzeniowym prezentem.

– Co to jest? – Patricia zainteresowała się paczuszką, którą Heniek niezgrabnie próbował wyciągnąć zza pleców.

Łatwiej było otworzyć kasę pancerną lub pociągnąć za

spust, niż wręczyć ukochanej kobiecie prezent, pomyślał. Ukochanej kobiecie, pierwszy raz tak właśnie pomyślał o Patricii, kochał ją, tak, po prostu kochał. Dojrzała mężatka wypchnęła z jego serca dziewczynę z Warszawy. Stało się, finito.

– Mam dla ciebie prezent – powiedział wzruszony. – Jutro Boże Narodzenie.

– Tak, *Christmas* – uśmiechnęła się, kończąc podciągać drugą pończochę.

Wyglądała zjawiskowo, była jego panią, była jego miłością. Podał jej pudełeczko. Rozwiązała wstążeczkę, otworzyła i uśmiechnęła się.

– Henry, to piękne, to takie słodkie...

– Podoba ci się?

– O tak! – Pogładziła go po policzku, a później pocałowała.

– To naprawdę piękne, ale...

– Ale?

– Nie będę jej mogła nosić. – Uśmiechnęła się rozbijając.

– Ta bransoletka jest gustowna i... zapewne niezwykle droga, ale właśnie dlatego mój mąż zwróci na nią uwagę. To by było ryzykowne, choć jak wiesz, lubię ryzyko.

– Będiesz ją nosiła podczas naszych spotkań...

– Tak, masz rację, ale szkoda, by przez trzy najbliższe miesiące leżała w szufladzie. – Powiedziała to lekko, jakby informowała go o tym, że zaplamiła sobie rąbek spódnicy.

– Słucham? – Heniek poczuł, że krew odpływa mu z głowy.

Nigdy dotychczas nie był tak zdziwiony, nawet gdy się okazało, że Grimaldi włożył mu do magazynka trefne kule. Wtedy był przygotowany na taką możliwość, miał drugi pistolet i użył go, poradził sobie. Teraz nie miał żadnej broni, nie miał słowa, które mógłby wypowiedzieć, czuł pustkę i bezradność.

Tymczasem ona spojrzała na niego, jakby zapytała ją, czy przedstawi go swojemu mężowi.

– Przecież jeszcze przed sylwestrem jadę do Nowego Jorku!

– Kiedy wracasz?

– Mówiłam ci już, ty głuptasie, że za trzy miesiące.

Milczał, a ona jak gdyby nic, mówiła dalej:

– Za trzy miesiące, bo klimat w Chicago robi się teraz nieznośny. Mróz, śnieg i ten ohydny wiatr, rozumiesz chyba?

Nie rozumiał. Był zaskoczony i czuł się jak smarkacz. I jak smarkacz, jak naiwny smarkacz, zapytał:

– Mogę cię odwiedzać?

Zaśmiała się, jakby palnął jakąś bzdurę, jakby się ośmieszył wyjątkową głupotą. Jej śmiech nie był miły.

– Żartujesz!

Czuł, że czerwienieją mu uszy.

– A czemu miałbym żartować? Mogę wpaść do Nowego Jorku, bardzo chciałem poznać to miasto.

– Możesz mnie co najwyżej odwiedzić, ale co ja powiem mężowi? – Znów zaśmiała się w sposób, który mu się nie spodobał. – Jesteś słodki, Henry, ale ja jadę do Nowego Jorku po to, żeby wsiąść na statek i popłynąć do Europy! Przecież ci mówiłam, że zima jest nieznośna! Czy naprawdę sądzisz, że pojechałabym na trzy miesiące do Nowego Jorku? To absurd!

– Powiedziała to z wyrzutem, jakby ją czymś obraził. – Uciekać przed zimą do Nowego Jorku! To absurdalne, jak mogłeś wymyślić taką głupotę? Jedziemy na Riwierę, tę francuską i włoską, zwiedzimy Rzym, Pompeje i Neapol. Słyszałeś w ogóle o Pompejach? – W jej głosie brzmiała wyższość. – No i Prowansja, to też jest modne. Ach, ty mój chłopaku!

Heniek milczał, był wściekły, potraktowała go jak pikolaka.

– Ale... – Przyłożyła palec do ust, zastanawiając się nad czymś. – Ależ tak, oczywiście, mógłbyś przyjechać do Prowansji, mąż będzie ze mną tylko pierwszy i ostatni miesiąc. O, tak – ożywiła się. – To doskonały pomysł! Mógłbyś popłynąć do Europy, a potem wrócić – powiedziała zupełnie poważnym głosem.

Heniek nie wiedział, co powiedzieć, czuł, że wzbiera w nim złość.

– Tak, to bardzo dobry pomysł! – powiedziała z entuzjazmem. – Przyłyń do mnie, będzie mi przyjemnie i nie będę się nudzić!

Tego już było za wiele!

– Spływaj sama! – krzyknął i wziął w rękę słuchawkę, po czym spokojnym głosem powiedział: – Chciałem zamówić taksówkę na nazwisko Haas.

– Cooo? – Patricia nie mogła uwierzyć własnym uszom. – Jak ty mnie traktujesz? Co ty sobie wyobrażasz?!

– Nic już sobie nie wyobrażam. Nic, kompletnie nic! Już nic. – Wstał, okręcił się kołdrą i poszedł do drugiego pokoju. W drzwiach rzucił do Patricii: – Taksówka jest opłacona, ubierz się i wyjdź.

– W głowie ci się przewróciło, co ty sobie myślisz, chłopaku, że kim ty jesteś?

Nie słuchał jej. Zamknął drzwi, usiadł w fotelu i nalał sobie whisky. No właśnie, co on sobie myślał? Czy się czasem nie zagalopował, czy nie zakochał się w tej starszej o kilkanaście lat kobiecie? A co ona sobie myślała? Potraktowała go jak gnojka, jak wycior do swojej cipki, jak żigolaka, męską kurwę.

Najpierw był smutny, a później wściekły. Zadzwoił do biura, ale po dwóch zdaniach zamienionych z Ronaldem zbeształ go, nie wiadomo za co, a na finał roztrzaskał słuchawkę

telefonu. Była Wigilia, a on zrugął go jak gnoja.

To były samotne święta. Kolejne samotne, ale jeszcze gorsze od poprzednich. Pijane, wściekłe, złe, koszmarnie. Zapomnieć, zapomnieć, zapomnieć. Po świątecznej przerwie ruszył do biura, był trzeźwy i jak mu się wydawało, spokojny. Do czasu, gdy mijając księgarnię, zobaczył książkę o znajomym tytule. *Wielki Gatsby*. Nie czytał jej, ale oglądał film. Jest takim samym palantem jak ten cały *Wielki Gatsby*. Przecież on do niej i do świata zafajdanych bogaczy nie pasuje, zawsze będzie obcy, chyba że ich będzie mógł kupić, że zacznie im płacić za to, by go kochali. Wszedł do biura, nie było nikogo. Wziął do ręki książkę telefoniczną i zaczął szukać hasła Robinson, okazało się, że było kilkanaście firm o tej nazwie. Jak ona wtedy powiedziała na statku? Czy nasłał cię George? Zadzwoił do Oberty.

– Czym się zajmuje George Robinson?

– A czym się nie zajmuje? – zarżał Oberta. – Nie jest chyba tylko butlegerem! Rzeźnie, fabryki, koleje, handel! To jeden z tych dupków, do których należy w Chicago to, co widać, bo to, co ukryte i pod ziemią, należy do nas!

– Rozumiem...

– A na co ci ta wiedza?

– Spotkałem się z tym nazwiskiem parę razy.

– Ten dupek należy do bandy tych dzianych gości, którzy chcą zrobić z nami porządek – zaśmiał się Oberta. – To naprawdę dupek. Dupek i parodysta.

– Parodysta?

– Tak, parodysta, są bogaczami, ale mają kompleksy, bo są bogatsi od nich, więc ich naśladują. Robinson chciał być drugim McCormickiem, tamten ma osiemdziesiąt milionów dolarów, a ten tylko dziesięć, ale stara się robić dokładnie te same bzdury, co tamci. Pałac, podróże do Europy, rezydencja we Francji, no

i służba, całe tabuny. Robinson ma żonę i córkę, i chyba też syna, wszyscy są świrnięci, podobno każde w inny sposób. Żyją oddzielnie, spotykają się parę razy do roku na wielkich balach, żeby pokazać światu, jaką są rodziną, zupełnie jak ci McCormickowie. Na tych popisach są razem, na fotografiach też, ale wiadomo, że George Robinson ma słabość do aktoreczek, a niektórzy mówią, że do aktorów też. A jak tam ona, nie wiem, ale jak nie jest kulawa, to pewnie nie pozostaje mu dłużna – zaśmiał się Oberta. – Niezła błazenada, jaśniepaństwo, cholera jasna.

– Mają tyle pieniędzy i są takimi błaznami? – zapytał głośno sam siebie Heniek.

– Chaplin też jest błaznem, ale mniej zarabia – zarżał Oberta. – Pobłaznowałbym za takie pieniądze, mogłoby się ze mnie śmiać całe Chicago, a ja bym się zapakował na transatlantyk i popłynął do Francji, bo tam miło i ciepło. Siedzą tam sobie, jedzą frykasy i piją wino... O, właśnie, piją jak inni, ale oczywiście stary Robinson popiera prohibicję. Niech popiera, w sumie to pożyteczni idioci, bo cały czas twardo trzymają za osiemnastą poprawkę, a jak długo trwać będzie prohibicja, tak długo to my będziemy tu rządzić!

Skończyli rozmowę. A więc to tak. Jest żoną bogacza, świętojebliwego dupka, który zdradza żonę z aktoreczkami, a ona sama się puszcza i pije alkohol w melinach. Święci, kurwa ich mać! Poczul, że kipi ze złości i zaczął walić słuchawką w blat stolika. Tłukł bez opamiętania i kolejny bakelitowy aparat padł ofiarą jego furii.

Drzwi otworzyły się z hukiem, to Ronnie wbiegł bez pukania do gabinetu.

– Szefie, co jest?

– Nic, kurwa, nie jest, poza tym, że spóźniłeś się do roboty!

– Ale...

Rudzielec podszedł i pochylił się nad Heńkiem. Delikatnie dotknął jego ramienia. Heniek wprost wybuchnął, odepchnął chłopaka tak, że ten się zatoczył i potykając się, z całym impetem wylądował na ścianie. Ronnie walczył o to, by nie zrobić sobie krzywdy, udało się połowicznie. Głowy sobie nie rozbił, ale boleśnie uderzył się w łokieć. Stał teraz oparty o ścianę, masował obolałe miejsce i pytającym wzrokiem patrzył na swojego szefa.

– *Fuck off!* – ryknął Wciślak, używając po raz pierwszy miejscowego przekleństwa. – Wypierdalaj!!!

– Ale ja od środka nocy pilnowałem dostawy...

– Wypierdalaj!!!

Ronnie z miną zbitego psiaka pospiesznie zamknął drzwi.

Heniek usiadł przy biurku i wyciągnął z szuflady papierosy. Zanim zapalił, podszedł do szafki i nalał sobie pełną szklanę whisky.

– Stara kurwa! – powiedział i wychylił duszkiem szklanę.

Skrzypnęły drzwi i w szparze między nimi a futryną zamajaczyła twarz Ronalda.

– Co tu robisz? – ryknął.

– Myślałem, że szef mnie wołał?

To go wcale nie rozbawiło.

– Wy-pier-da-laj! – zasyczał. – Ale już!

Ronald nie miał już żadnych wątpliwości. Jakaś szantrapa wbiła jego szefowi nóż w serce. Wycofał się więc i poszedł skołować jakąś flaszkę, po namyśle doszedł do wniosku, że niejedną. Życie, co zrobić...

CZEŚĆ CZWARTA

DZISIEJSZE CZASY

Floryda, Miami, 21 kwietnia 1986

Końcówka pierwszej godziny programu *Tajemnica krypty Ala Capone*

Podczas oglądania programu odżyły wspomnienia o czasach, gdy przemytnicy alkoholu i gangsterzy byli bohaterami ulicy. Al był prawdziwym królem, a wszyscy, którzy byli blisko jego osoby, też cieszyli się popularnością. Ludzie byli wdzięczni i trzymali z nimi sztamę, a na bycie gangsterem można było wyrwać niejedną dziewczynę. Wiadomo, miało się ten szyk i pieniądze, dużo pieniędzy. Czasem się je głupio traciło, a czasem wpadały w ręce same. Było klawo, było ciekawie, choć czasem trochę strasznie, ale jakoś się udawało. Interesy załatwiano się szybko, jak się ludzie nie dogadywali albo łamali umowy, to były wybuchy ananasów, szybkie pif-paf albo tra ta ta. Tak, zdecydowanie częściej to drugie.

Maszin gan albo, jak kto woli, chicagowska maszyna do pisania, to dla gangsterów był instrument tak samo ważny jak klarnet czy trąbka dla jazzmanów. Geraldo Rivera też na nim zagrał i to na żywo w swoim programie. Taki pokaz dla frajerstwa, ale trzeba przyznać, że efektowny. Ciekawe, czy by kogo trafił, jakby przyszło co do czego. Pewnie nie, bo trupów aż tak wiele nie było, choć ludziom się wydaje, że były całe stosy. Gówno prawda, to wszystko przez tych dupków z Hollywood i telewizji. Z roku na rok produkują w tych swoich filmach coraz więcej nieboszczyków, inna sprawa, że muszą tak robić, bo publika jest żądna sensacji. Kiedyś lot samolotem to było coś, a dzisiaj? Dzisiaj wsiada się jak do tramwaju albo do metra. W sumie głupie porównanie, bo w Chicago nie było wtedy metra, a dzisiaj nie ma tramwajów. Wszystko jest teraz

inne, wszystkiego jest więcej, nawet trupów. Kilku czarnych wyrostków albo Portoryków potrafi natłuc jednego dnia tyle, ile chicagowscy killerzy w miesiąc. Teraz są zupełnie inne czasy, więc klientela musi dostać coś, co jej nie rozczaruje, gawieź w kinach ogląda zatem prawdziwe wojny i trupy w ilościach hurtowych. Dziesięciu? Nie ma sprawy! Tymczasem kiedyś siódemka to był rekord.

Sięgnął po kolejne piwo i użył otwieracza. Rozległ się miły syk, w powietrze poleciała chmurka pachnąca chmielem.

XVI

Upadek

Niespodziewanie dla samego siebie Heniek zamieszkał w biurze. Po burzliwie zakończonym romansie z Patricią hotel Renaissance źle mu się kojarzył. Chrzanił go! Ronnie przeniósł mu graty do pokoju, miał teraz bliżej do ludzi, mógł kierować ruchami. A działo się dużo, bardzo dużo. Zbliżał się Nowy Rok, a później karnawał, już jest pite, a będzie jeszcze bardziej. No właśnie, jest pite, dlaczego więc i on nie miałby się trochę napić? Patrzył na szklaneczkę whisky, obracając w drugiej dłoni bransoletkę za piętnaście tysięcy dolarów. Nalał sobie mały łyżeczek i wydał dyspozycję:

- Rooonie!
- Tak, szefie.
- Wiesz, co masz robić?
- Wiem.
- To rób!

Taaa, to jest najważniejsze, umieć pokierować ludźmi! Kurewsko ciężka sprawa, bo oni mówią, że wiedzą, ale nic nie wiedzą. Doszedł do wniosku, że polecenie trzeba uszczegółowić.

- Rooonie!
- Słucham!
- Wiesz, skąd odbieracie whisky i dokąd ją wieziecie?
- Tak jest!
- No! – Wyprostował się za biurkiem, unosząc w górę palec. – W takim razie niczego nie spieprz, chłopaku. – Bo ludziom można było do usranej śmierci przypominać, co mają zrobić, a oni i tak robili swoje.

- Wiesz, ile płacisz i ile potem odbierasz?
- Oczywiście!

– To bardzo dobrze, to bardzo dobrze!

Wszystko pod kontrolą, ta suka nie spieprzy mu życia, o nie! Trzeba tylko napić się jeszcze kolejeczkę i troszkę się przespać. Taaak, można się przespać, przecież wszystko Ronniemu wytłumaczył, zrobił to tak dokładnie, że nawet Hrubeschowie pojęliby w lot. Po minucie chrapał, było miło, tylko trochę bujało, zupełnie jak na transatlantyku.

Obudził się zlany potem, przyśniła mu się noc na statku, i znów ten sen, w którym nie wiedział, z kim jest, z Leokadią czy z Particią. Ponownie nalał sobie troszeczkę whisky, tak dosłownie kropelkę i pomyślał z ulgą: Przecież mam kobietę w Warszawie! W Warszawie albo w Paryżu, ale mam, przecież mam Leokadię!

Ma kobietę i co dalej? Dawno nie jeździł na pocztę po listy. Tak! Pojedzie na pocztę, musi tylko wziąć trochę drobnych. Sięgnął do szuflady, wygarnął garść dolarów, jak leci, z parę grandów i jakieś setki, trochę drobnicy, na pocztę starczy! Na pocztę i na drinka. Chwiejnym krokiem ruszył w kierunku windy.

Ho, ho, pomyślał, musisz wziąć się w garść, marynarzu!

Odetchnął głęboko, wrócił do pokoju i strzelił strzemiennego, po czym poszedł, prościutko, równo i bez zarzutu, a podłoga Monadnock Building przestała być pokładem statku. Na dole zaszedł do fryzjera, kupił nową koszulę i bieliznę oraz skarpetki, skorzystał z łaźni oraz usług pucybuta. Był nowo narodzony człowiekiem, a nowo narodzony człowiek niczego nie potrzebuje tak bardzo, jak małej kolejeczki! Łyknął z piersiówki, po czym rześki i zadowolony z siebie ruszył na pocztę.

– Czy jest list dla Karola Maya z Silver Lake? – zapytał.
Był.

Jeszcze szczęśliwszy ruszył do najbliższego baru, tam, szącąc kolejeczkę, zaczął lekturę. W kraju było wszystko okay, ale żaden z listów nie był od Leokadii. To na pewno pomyłka, pomyślał. To moja kobieta, więc musiała napisać list. Wrócił na pocztę.

– Czy nie ma przypadkiem jeszcze jednego listu dla Karola Maya z Silver Lake? – zapytał przymilnie bardzo sympatyczną i powabną urzędniczkę.

Okazało się, że był, właśnie przed chwilą przesyłka trafiła do przegródki.

– Wygląda to na nieco spóźniony świąteczny list.

Pani z okienka uśmiechnęła się czarująco. Nic, tylko się zakochać, ale przecież on był już zakochany, a w ręku trzymał list od najbliższej mu osoby. Zaczął czytać jeszcze w holu poczty.

Heniu, nie wiedziałam, jak ci to powiedzieć, ale to wszystko nie ma sensu, zbyt mocno oddaliliśmy się od siebie.

Wydał z siebie bezgłośny jęk, nie mógł uwierzyć w to, co widział.

Jestem w Paryżu, a ty w Chicago, każde z nas zaczęło nowe życie...

Jakie nowe życie, niczego przecież nie zaczął! Ale dalsza lektura nie pozostawiała złudzeń. Został sam, kompletnie sam. No, niezupełnie sam, a Patricia? Przecież to on ją rzucił, ale zrobił to pochopnie, niepotrzebnie, bezmyślnie! Ku kompletnemu zdumieniu interesantów Heniek wlał w siebie wszystko, co było w piersiówce, po czym wyszedł z poczty, jak gdyby był to bar, i złapał taksówkę. Dochodziła druga, 20th Century Limited odchodzi za pół godziny, powinien zdążyć na LaSalle! Był 30 grudnia 1928 roku.

Wagon Pullmana sprawia, że podróż jest wygodna, a jak

jest łąbski konduktor, to da się nawet coś wypić. Bo jedzenie, i to dobre, mają w standardzie. Droga zeszła jak z bicia strzelił, nazajutrz wysiadł na Grand Station i wciągnął w płuca nowojorskie powietrze. Gdzie ona może być? Pewnie w jakimś dobrym hotelu!

Zaczął poszukiwania od wzięcia taryfy.

– Po najdroższych hotelach! – wydał krótką dyspozycję popartą zmiętą stówką. – Kręć, gościu, kierownicą jak trzeba, a jak znajdziemy to, czego szukam, dostaniesz kolejną.

Kierowcy nic bardziej nie mogło przekonać do tego, by zostać w najbliższych godzinach zmotoryzowanym sługą podpitego młodego dżentelmena. Ruszyli z kopyta.

– Ja bym zaczął od Waldorf-Astorii! – oznajmił szofer.

– To jedź!

– Może coś do picia? – zapytał. – Mam pełen wybór!

I to jest kierowca, i to jest jazda, nie taka, jak z tym kutwą i oszustem Magathem. Ale nawet najlepszy kierowca z najlepszym zapasem whisky nie potrafił z miejsca wyczarować hotelu, w którym byłaby Patricia. Nie znaleźli jej ani w Waldorf-Astorii, ani w innych hotelach: Ritz, Plaza, Marseilles, Aberdeen, Knickerbocker... Każdy piękny jak Bristol, Europejski czy Polonia Palace, a wiele z nich tak wielkich, że jeden z luksusowych kolosów mógłby pomieścić trzy z najlepszych warszawskich hoteli. Odwiedził już ze dwadzieścia z nich, wiele miało po kilkanaście pięter wysokości i oficyny. Szofer, mimo że bardzo chciał zarobić kolejną stówkę, stracił nadzieję.

– To nie są pensjonaciki, parę z nich miało przecież po tysiąc pokoi, a taki Saint George ponad dwa tysiące, więc nawet dobry napiwek nie sprawi, że portier zapamięta każdego gościa.

– Ją by zapamiętał – twardo powiedział Heniek. – Jedziemy

dalej, co teraz?

– Broadway, między Siedemdziesiątą Trzecią a Siedemdziesiątą Czwartą ulicą, hotel Ansonia, też po byku, trzysta apartamentów i tysiąc dwieście pokoi, mają basen i pocztę pneumatyczną!

Hotel wyglądał jak gigantyczny piętnastopiętrowy pałac z wieżyczkami i mansardowym dachem. Heniek wysiadł z taksówki, było już ciemno, a on miał coraz bardziej dość tych poszukiwań. Ale nie może się poddawać, nie straci tej kobiety, jest jego i musi to wiedzieć, to było chwilowe, wytłumaczy jej, co i jak, jeśli trzeba, padnie do nóg. Dotyk, zapach, idealne kształty i ta niezrównana namiętność, potrzebował tego wszystkiego jak powietrza. Była jego boginią i potrzebował tygodnia, by do tego dojść. Niepotrzebnie się uniósł, nie potrafił jej zrozumieć, ale teraz już nie popełni żadnego błędu! Wszedł do środka i zobaczył, jak Patricia wysiada z windy. Zatkąło go, nieomal odebrało mu zmysły, a więc cierpliwość, wytrwałość i wierność zostały nagrodzone! A jeśli jest z nią mąż?

Zawahał się, zszedł nieco w bok. Taką sytuację przewidział, więc nie wziął ze sobą pistoletu, ani colta, ani einhanda. Żeby nie kusilo, żeby nie wpadł na jakiś tragiczny pomysł, bo przecież pije, taaak, pije, ale przecież przez nią i tylko trochę. Owszem, ma wigor, czuje się mocniejszy, no i zachowuje trzeźwość umysłu.

Ta jednak została wystawiona na kolejną wielką próbę.

Oniemiał, bo na widok Particii Robinson z kanapy obok poderwał się elegancki młodzieniec. Przywitali się, a napięcie, jakie między nimi panowało, nie podobało się Heńkowi. Usiedli i zaczęli rozmawiać. Podeszedł bliżej i zajął sofę stojącą w pobliżu, ukrytą za wielką palmą, tuż za nimi, ale tak, aby byli widoczni, gdy on sam pozostawał w ukryciu.

– Wysłałem ci liścik pocztą pneumatyczną – wyszeptał elegancik, chwytając Patricię za rękę.

– Poczta pneumatyczna to pożyteczny wynalazek...

– wyszeptała tak, jak tylko ona to potrafiła. – Wsadzasz coś do tuby...

– Tak, jest w tym coś ekscytującego, zwłaszcza gdy wiesz, że twój mąż jest jeszcze w budynku giełdy...

– Nie ma go w budynku giełdy... Doskonale wiem, gdzie jest.

– Gdy widziałem, jak list niknie w tubie... – rozpoczął wielbiciel Patricii i poczty pneumatycznej...

– W tubę zaraz dostaniesz, a na razie masz prztyczka w ucho – powiedział Heniek, strzelając fagasa otwartą dłonią.

– Proszę mnie zostawić, pan śmierdzi alkoholem – zawołał oburzony dobiegacz. – Obsługa, wzywam obsługę, natychmiast wyprowadzić tego człowieka!

– Wezwij grabarzy, lamusie – powiedział Heniek, wolno zbliżając się do elegancika.

– Henry, to jest pomyłka! – Kłamała, broniła go, a to jeszcze bardziej rozwścieczyło Heńka.

– To ty jesteś jedną wielką pomyłką! Czy wszyscy wiedzą, że przez pomyłkę rzniesz się z całym światem? – syknął jej prosto w twarz.

– To obraza, oberwiesz za to, łobuzie! – Fagas wstał i wtedy z bliska okazało się, że jest wysoki i dobrze zbudowany.

Był pewny siebie, bo gestem dłoni pokazał portierom, by się nie wtrącali.

– Sam to załatwię – powiedział, zrzucając marynarkę.

Gdy wstał i się wyprostował, robił wrażenie. Był wyższy od Wciślaka, a gdy przyjął pozę boksera, okazało się, że miał też lepszy zasięg ramion. Heniek nie lubił takich przeciwników, do

tego wyuczonych tego i owego. Fagas gardę trzymał, jak należy, nogi pracowały sprawnie, był elastyczny i sprężysty, ułożony przez dobrego trenera. Wygląda jak bokser i chodzi w wyższej wadze, ma dłuższe ręce, ale czy umie się bić?

Heniek sprowokował go, podchodząc jak amator, bez gardy.

– Masz jeszcze szansę, spadaj stąd, muszę z nią pomówić!

Zaczął chodzić wokół rywala jak kogut. Gość napiął się i nagle wystrzelił, Heniek zrobił unik, poczuł na policzku nie tylko pęd powietrza, ale i ból. Syknął, odskoczył i przejechał dłonią po twarzy, była na niej krew. Spojrzał na dłonie przeciwnika, a więc drasnął go sygnetem, było blisko, jest szybki. Koniec żartów, ruszył na niego z całym impetem; siła, serie, kombinacje, atak, siła, uderzenie, stłamsić, zasypać ciosami, nie ustawać, zgubić jego gardę, wszystko tak, jak radził McQueen! To była fachowa młócka, która rozbiła gardę elegancika, fala, która odrzuciła rywala i ustawiła w dogodnej dla Heńka pozycji. Wątroba, policzek, żołądek, podbródek i na koniec zamachowy, który zabiłby pętaka, gdyby ten wcześniej nie poleciał na pysk, dlatego Heniek nie trafił go czysto, tylko przeleciał pięścią po czuprynie.

– Ratunku, ratunku!!! – rozległ się krzyk hotelowych gości.

W hotelu zawrzało, trzeba wyjść, Patricia jest stracona, a gnojek pobity, więc nic tu po nim.

– Zapłacisz za to – syknęła Patricia.

– Lepiej siedź cicho, chyba że chcesz opowiedzieć publiczności, co nas łączy – wyszeptał. – Chyba nie chcesz skandalu? I pamiętaj, ja zawsze płacę swoje rachunki

– dopowiedział ze śmiertelnie poważną miną. – Jedź do Europy i baw się dobrze!

Patricia przetrwała to, co usłyszała, i z zaciśniętymi ustami

pomaszerowała w kierunku windy, mijając pobitego fagasa.

– Patricio – zaskomlał ten, zbierając zęby.

W tym momencie pokazała, kim jest naprawdę, nawet na niego nie spojrzała, najwidoczniej lubiła się zadawać tylko ze zwycięzcami.

– *Au revoir* rezerwuar – rzucił Heniek w kierunku przerażonego portiera. – Dobrze się bawiłem! – Wcisnął w kieszeń jego uniformu zwitek banknotów i we włoskim stylu poklepał go po policzku. – Nie bądź łajzą i podziel się z kolegami.

Wyszedł z hotelu, wsiadł do taksówki i rzucił do kierowcy:

– Masz stówkę.

– O, czyli znalazł pan to, czego szukał?

– Niekoniecznie tak, jak bym tego chciał – zaśmiał się Heniek. – Ale twoja robota wykonana, prawie, bo jeszcze musisz mnie odwieźć.

– To dokąd teraz szanowny pan sobie życzy?

– Gdzieś, gdzie się bawią!

– To podrzucę pana w kierunku Times Square, gdzie już się gromadzą ludzie, tam jest zawsze najlepsza zabawa. Na dachu „New York Timesa” ustawili maszt, po którym o północy spuszcza się w dół świetlistą kulę. Jest wielka, ma średnicę pięciu stóp i jest tak ciężka, że opuszcza ją sześciu chłopów – mówił podniecony szoferak. – Punktualnie o północy dojeżdża na dół i wtedy wiadomo, że zaczął się nowy rok. Ludzie się cieszą, strzelają fajerwerki i jest pięknie!

– Dużo ludzi to ogląda?

– Paręset tysięcy!

– Niemożliwe.

– Możliwe, tłum już zatyka ulice, nie dojedziemy na Times Square, nie ma mowy.

Faktycznie tak było, dojechali do ludzkiej ściany, przez którą nie szło się przebić, dał więc taryfiarzowi stówkę i wysiadł. Na odchodnym zapytał:

– A gdzie tu się można napić?

– Wsiadł pan z chicagowskiego pociągu, a tam podobno można napić się w wielu miejscach. Tu jest inaczej.

– Trudno?

– Nie to miałem na myśli, pamiętasz pan, jak mijaliśmy katedrę Świętego Patryka?

Heniek kiwnął głową, że pamięta.

– To jest właśnie to jedyne miejsce, gdzie nie sprzedają alkoholu, ale jak ktoś ma chody, to może dostać kielicha na zakrystii.

To brzmiało dobrze, jest w mieście, w którym nie uschnie, coraz bardziej mu się ten Nowy Jork podobał. Do północy były jeszcze dwie godziny, a on zdał sobie sprawę, że nie ma co ze sobą zrobić, trzeba będzie w końcu odpocząć, zwalić się na wyrko. Zaczął się przebijać przez tłum i nagle przypominał sobie gigantyczny hotel Piccadilly, w którym mieszkał wtedy, gdy przyjechał zabić Koszernego Rekina.

Po kilkunastu minutach walki o każdy metr na chodniku wszedł do środka i znalazł się przy recepcji. Sytuacja wyglądała beznadziejnie, mnóstwo ludzi, tłok, ścisk, niewiele lepiej niż na zewnątrz. Wyciągnął z kieszeni granda i machając nim, zawołał:

– Mam rezerwację na nazwisko Johnson, ale zapomniałem numeru pokoju!

Błyskawicznie pojawił się przy nim recepcjonista.

– Oczywiście, proszę pana, ale...

– Co ale?

– Jest tylko apartament i wynajmujemy go najmniej na trzy dni.

– A zatem?

– Poproszę, by dołożył pan jeszcze dwieście dolarów.

Grand poszedł w kibinimatry, nie będzie przecież chodził i szukał. Apartament był w porządku, tu spędzi Nowy Rok. Pokój był położony wysoko i było widać Times Square oraz budynek redakcji „New York Timesa”, ze świecącą kulą, o której opowiadał taksówkarz. Pokręcił się po pokoju, wziął prysznic i zadzwonił po obsługę.

– Zaszło mi w gardle – powiedział, trzymając w palcach banknot studolarowy. – Tak mi zaszło, że aż boli, sądzę, że lekarz przepisałby mi jakieś lekarstwo z Kanady. Szkocką też lubię! – Portier ledwie zdążył zrobić dwa kroki, gdy dosięgła go jeszcze jedna dyspozycja złożona przez Heńka. – Już niedługo Nowy Rok, nie zapomnij, mój przyjacielu, o jakim dobrym szampanie!

Bateria butelek wjechała parę minut później, wypił kolejeczkę, po czym zszedł na dół. Nie był przygotowany na bal, ale jak to mówią, jeśli ktoś jest niski, a jest bogaty, to wystarczy, że stanie na swoim portfelu i z miejsca staje się najwyższy w sali. Nie był najszykowniejszym dżentelmenem, ale parę zamówień i solidnych napiwków sprawiło, że dla obsługi hotelu okazał się bardzo ważnym klientem. Z ust do ust szła wiadomość, że ten młody człowiek jest co prawda mocno zalany i nieodpowiednio ubrany, ale za to wynajął apartament i chętnie daje napiwki. Dowiedziała się o tym także piękna dziewczyna, która podeszła do Heńka i dotknęła jego policzka.

– Jesteś ranny!

– To tylko draśnięcie – zaśmiał się. – Skaleczyłem się przy goleniu!

– Mosisz uważać...

– Mów mi Henry.

– Musisz uważać, Henry – powiedziała i raz jeszcze dotknęła jego policzka.

To było bardzo miłe dotknięcie, delikatne, czułe, takie obiecujące. Parę minut później byli na górze, zbliżała się północ, podeszli do okna z kieliszkami szampana. Zaczęła go dotykać, delikatnie, ale tak, że odczuwał to całym sobą. Pił szampana i patrzył na Times Square.

– Jak się nazywasz?

– Elizabeth.

– Nie przerywaj, Elizabeth, nie przerywaj.

Pieściła go, a on wyglądał przez okno. Świetlista kula na dachu redakcji „New York Timesa” szła w dół, tłum szalał, było coraz przyjemniej, rozległo się skandowanie, blisko, coraz bliżej.

– *Five, four, three, two, one, zero!!!*

Wybuchły fajerwerki, zaczął się nowy, 1929 rok. Rozpoczął się przyjemnie, bardzo przyjemnie.

– Napijesz się, kochanie? – usłyszał słodki głos, po czym Elizabeth podała mu szklaneczkę z whisky i jednocześnie musnęła ustami jego kark.

Było miło, niezmiernie miło, wypił alkohol duszkiem, czuł się wspaniale.

Obudził go odgłos dochodzący z sąsiedniego pokoju, odkurzacz pracował z taką mocą, jakby był silnikiem samolotowym. Próbował zakryć głowę poduszką, ale dalej hałas był nie do zniesienia, miał wrażenie, że stoi między wagonami. Głowa pękała mu z bólu, a w rękę cały czas trzymał zaciśniętą bransoletkę, którą miał podarować Patricii. Nie podarował, rzucił ponownie swoją amerykańską kochankę, ale później spotkał dziewczynę, z którą wylądowali u niego w hotelowym pokoju...

Taaak, było dobrze, ale gdzie ona jest? Rozejrzał się, zobaczył swoje rozrzucone ubranie. Coś zaświtało mu w głowie, bo w zaciśniętej dłoni nadal trzymał bransoletkę, ale na szyi nie miał łańcuszka, a przecież nigdy go nie zdejmował... Zegarek? Nie ma! Ruszył do marynarki i płaszcza, kieszenie były puściusieńkie, moniaki, srebrne i złote monety oraz banknoty z grandami na czele wyparowały! Kurwa, bo to była kurwa, okradła go ze wszystkiego! Dał się podejść, zrobić jak gnojek! Nie ma przecież nastu lat, żeby dać się zrobić, jak wtedy Mańce w Ogrodzie Saskim. W tamtym czasie był gówniarzem, teraz zapitym, przegranym amantem. Wszystko jedno, i wtedy, i teraz był po prostu frajerem.

Od czego zacząć... Od początku, od zera, od oczyszczenia. Powlókł się do łazienki i zwymiotował. Było lepiej, ale tylko trochę. Wypił wodę z karafki. Pomogło, ale nie dość. Ból, wkurzenie, żal, wściekłość i ten szum, bezwład i bezsilność. Jak ukoić, jak uspokoić swój cierpiący organizm? Trzeba iść na całość, tak, na całość. Podeszedł chwiejnym krokiem do stolika i zrobił przegląd wojsk. Było nieźle, troszkę whisky w jednej i troszkę w drugiej butelce... Zlał wszystko do szklanki i łyknął. Lepiej, o wiele lepiej, ale co dalej? Zadzwoił do recepcji i poprosił o połączenie z biurowym numerem w Chicago. Telefonistka przyjęła zlecenie, a on zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo było to nierozsądne. Przecież jest Nowy Rok, kto odbierze tego dnia telefon? Bzdura, totalna bzdura. Poszedł więc pod prysznic, ledwie odkręcił wodę, rozległ się dzwonek.

– Zamawiał pan rozmowę z Chicago, łączę.

Zdziwił się, zdziwił się jeszcze bardziej, słysząc w słuchawce sapiący głos jednego z Hrubeschów.

– Hermann czy Jürgen?

– Obaj tu jesteśmy – rozległ się chór.

– Co robicie?

– Szef nie wie, ostrzelali nas dziś nad ranem, mieliśmy ekstrazamówienie i ktoś nas napadł, walnęli z maszyn ganów. Ronnie został ranny!

To było jak nokaut, wytrzeźwiał niemal natychmiast, spojrzął na zegarek, zdąży na ekspres, na pewno zdąży!

– Odbierzcie mnie jutro z Broadway Limited, nie mam forsy, będziecie mnie musieli wykupić, pojedę na kredyt.

– Zrobi się!

Dopiero teraz postanowił zadać najważniejsze pytanie.

– A czy Ronald... Czy on z tego wyjdzie?

– Wyjdzie, miał kupę szczęścia.

Odetchnął i już miał kropnąć ostatnią kolejeczkę ze zlewek, ale się pohamował. Wystarczy, na razie wystarczy, trzeba się wziąć w garść, wypił już dość, nie może myśleć fiutem i pompować w siebie tyle whisky.

Dwadzieścia godzin podróży. Tym razem jej nie przepił, za to się wykapał, ogolił i uczesał, a służba wyprasowała jego ubranie. Na dworcu, jak wtedy, gdy pierwszy raz zajechał do Chicago, czekał na niego Jürgen Hrubesch. Tym razem nie jechali starą ciężarówką, lecz jego nowiutkim sportowym autem. Przez ten rok z hakiem wiele się zmieniło, nie tylko auta. Kilka dni temu wyjeżdżał, zostawiając swoich ludzi funkcjonujących w nielegalnym, ale jednak bezpiecznym interesie. Poza draką z bandytami z Nowego Jorku, która była spadkiem po oszuście Magacie, nie było żadnych kłopotów. Wszystko brał na siebie, odsuwał problemy od firmy, której korzenie tkwiły gdzieś daleko w Warszawie. Nie wiedział dokładnie, czy w niby-biurze kapitana Beniowskiego, czy może w pałacu Saskim, gdzie urzędował Oddział II Sztabu Generalnego. Czuł, że to wcześniej czy później musi się skończyć, że jego przeszłość w końcu da

o sobie znać. Swój swojego pozna, więc Machine Gun i Al Capone wyłowili go jako człowieka do specjalnych poruczeń, to gwarantowało spokój, ale jak widać, jedynie do czasu.

– Co się stało, opowiadaj!

– Wojna, po prostu wojna, albo zwyczajnie chcieli nas okraść. W Chicago wszystko jest możliwe. Zajechali nam drogę i zaczęli pruć, Ronnie dostał w rękę i nogę, wypadł z auta, a my za nim. Podnieśliśmy go i udało nam się wydostać.

– A transport? – Hrubesch na te słowa uniósł brwi do góry.
– Nie pytam, bo jestem kutwą, tylko jestem ciekaw, co nimi kierowało.

– Tylko nas ostrzelali, to wszystko. Poszło trochę szkła, auta jak sitko, ale wsiedliśmy i pojechaliśmy dalej.

– A więc to nie byli złodzieje. To wojna, a raczej ostrzeżenie o wojnie. Kto i co chciał nam przekazać?

Odpowiedzi na to pytanie było wiele. Mogli oberwać za Obertę, przecież jego były szef Big Murphy został zastrzelony, a może ktoś kojarzył ich z tego, że mieli biuro tam gdzie Al? Dla typu takiego jak Bugs Moran mogło to wystarczyć. Była jeszcze jedna możliwość i tej się bał najbardziej, że dostali sygnał od nowojorczyków. Skoro tamten facet od Koszernego Rekina o mało nie załatwił go w Chicago, to znaczy, że inny pies Koszernego mógł kontynuować misję. Jeszcze bardziej prawdopodobne było to, że zrobili to ludzie od Gentile i Grimaldiego. Nie, to niemożliwe, zemsta to zemsta, a to jego zdaniem było ostrzeżenie.

– Jak sobie poradziliście z ranami?

– Doktor też człowiek – zaśmiał się Hrubesch.

– Znaleźliśmy konowala, który wyciągnął, co trzeba, i pozszywał. Jedno to draśnięcie, drugie trochę gorzej, ale nie musiał iść do szpitala.

Zajechali pod dom, w którym mieszkał rudzielec, i szybko wbiegli na piętro. Heniek wpadł do pokoju jak bomba i z miejsca zapytał:

– No i co się stało, Ronnie?

Chłopak leżał w łóżku z przymkniętymi oczami i był blady jak ściana.

– Nie wiem, kompletnie nie mam pojęcia!

– Ważne, że jesteś cały. Prawie cały – poprawił się Heniek.

– Do wesela się zagoi.

– Powinno, bo to za dwa miesiące – wypalił Ronie.

– Co?

– Moja dziewczyna... Moja dziewczyna, Norma, jest w ciąży – uśmiechnął się chłopak. – Zakładam rodzinę, potrzebna mi forsa, a tu... Klops.

– Odkładałem forszę dla ciebie, pomyślę także o czymś w rodzaju ubezpieczenia. Będzie dobrze!

Heniek jednak wiedział, że nic już nie będzie takie samo jak kiedyś. Na pewno doszło do tego, że zwykłe pistolety nie wystarczą. Zadzwoił do Oberty, a później spotkali się na mieście.

– Ile to kosztuje? – zapytał, ustawiając się w charakterystycznej pozycji strzelca.

– Co, korba, chcesz kręcić korba? – zaśmiał się Dingbat Oberta. – Czy może popracować trochę na chicagowskiej maszynie do pisania? – Szakali śmiech Oberty poniósł się ulicą.

– Jeszcze niedawno można było kupić w sklepie sportowym.

Dwie wędki, jednego Tommy Guna i magazynek plus dwieście naboji, ale teraz też bez kłopotów będziesz miał, co chcesz, o ile wydasz na to dwieście dolarów. – Oberta prawie turlał się ze śmiechu. – Nie każdy umie się tym posługiwać, ale ty z pistoletu walisz jak trzeba, to i z tym sobie poradzisz! Jak będziesz

strzelał, to się trochę rozluźnij, zrelaksuj.

– Tak jak Machine Gun? Mam wrażenie, że on cały czas jest na gazie.

– Nie, po tym w końcu trzęsą się ręce. – Oberta zaśmiał się jak szalony. – Ale o tym psss, cicho, bo klienci się spłoszą i uwierzą w prohibicję. Miałem na myśli coś innego, murzyńskie skręty.

– Co?

– Marihuanę! – Dingbat spojrzał porozumiewawczo.

– Chodzisz do jazzowych klubów i nie wiesz, o czym mówię?

Nie wiedział, ale jak Oberta zapalił, to poznał ten zapach.

– Aaa, to te zioła!

– Dokładnie, dokładnie to!

Wciągnął dym ze skręta w płuca, był gryzący, zakasłał.

– Wciągnij i trzymaj, Ejdz Ejdz – zarechotał Oberta i zaprezentował, jak to się robi. – Fajnie, baaardzo fajnie. To jest to! Ależ po tym jest humor, zobaczysz! – Zaśmiał się jak zwykle. – Parę lat temu przywieźli to do nas Meksyki, a czarni od razu skumali, o co chodzi. Białe chłopaki, co grają jazz, szybko to podłapali od kolorowych i zapach zaczął się rozchodzić po klubach. – Oberta zaciągnął się, a jego twarz przybrała rozanielony wyraz. – Masz tu parę sztuk na rozweselenie, rozluźnienie i relaks. Jak załatwię machine guna, to zadzwonię!

Heniek szedł mroźną ulicą i myślał o tym czymś, co palili z Obertą. Nieźle gównno. Po prostu gównno, nic niewarte i tyle. Zapalił papierosa, o, to jest to! Płuca aż się cieszą. Cały się cieszył, było mu wesoło, stawiał sprężyste kroki, a ulica raczyła go odgłosami, których nie znał. Światła były dziś wyjątkowe, a apetyt niezwykły. Niedaleko znajdowała się restauracja, którą lubił, ale nie potrafił się oprzeć ofercie ulicznego sprzedawcy.

Hot dog czy hamburger? Jedno i drugie, jedno i drugie. Pycha... Ale miał apetyt. Pochłaniał uliczne jedzenie, smakując każdy kęs, ciesząc się majonezem spływającym po hamburgerze. Nie najadł się, to była tylko przystawka, która wzmogła łaknienie, więc do knajpy wpadł głodny jak wilk.

Najpierw pragnienie, ostrożnie dozował wino, nie ma mowy, by znów się uchlał. Wypił dwa małe kieliszki chianti, ale jedzenia sobie nie żałował. Słyszał własne mruczenie, a zadowoleni kelnerzy przynosili mu kolejne potrawy. Nagle zrozumiał, że jest odprężony i szczęśliwy, a gdy kelner pokazał kartę deserów, wybuchnął radosnym śmiechem.

– Desery, macie tu desery! – rechotał. – Zupełnie zapomniałem, że można jeszcze się dopchać czymś słodkim!

Czuł się cudownie i powoli zaczął łączyć to ze skrętami, które wypalił z Dingbatem. Żałował, że go z nim nie było, ale wyobraził sobie jego szaleńczy śmiech i sam roześmiał się pod nosem. Wziął na wynos jedzenie dla Ronalda i poszedł go odwiedzić.

Pod domem Ronalda stały dwa dobre wozy.

Odkąd tutaj stoją takie fury? – zastanowił się.

Na korytarzu spotkał ludzi od Ala, znał ich, a oni jego.

– Ejdz Ejdz, dobrze, że jesteś, twój młody namieszał!

– Namieszał? Dostał dwie kulki!

– A wiesz dlaczego?

Nie wiedział, ale za chwilę wszystko było jasne. Ronald leżał przerażony, a jeszcze bardziej przerażona była dziewczyna, która stała wciśnięta w kąt między ścianę a łóżko.

Fajna koza, to pewnie ta jego przyszła żona, zauważył w duchu Heniek.

Pośrodku pokoju stał Machine Gun. Nie wyglądał na zrelaksowanego.

– Hallo! – wykrzyknął Heniek. – Ważni ludzie odwiedzili młodego bohatera!

– Młodego bohatera?! – ryknął Machine Gun. – Kretyna! Gdyby to nie był gość od ciebie, tobym go osobiście odstrzelił. Zresztą kompletnie nie mam pomysłu na to, czemu nie zrobili tego chłopaki z North Side!

– Trzeba im dać do wiwatu, niech nie pakują nosa w nie swoje sprawy?

– Cooo? Ejdz Ejdz, ty wiesz, co ten matoł zrobił?

– Machine Gun był naprawdę wkurzony. Heniek uznał, że marihuana poprawiłaby mu nastrój. Wyciągnął skręty z kieszeni, ale gangster dalej wściekle nawijał: – Ten idiota pojechał na North Side zaopatrywać lokale spoza naszego terenu. Czy wiesz, że mógł wywołać wojnę?

– Ci gamonie nie potrafili nastarczyć towaru... – nieśmiało zauważył Ronnie.

– A gówno cię to obchodzi!!! – McGurn był wściekły.

– Zrobiłeś to ostatni raz!

– No raczej... – kwęknął Ronald.

– Panna spada do mamusi, a my jeszcze sobie pogadamy

– zarządził McGurn.

Narzeczona Ronalda pospiesznie opuściła pokój, a gangster kontynuował:

– Mogli i powinni cię zabić, ciebie i te dwa szwabskie kotlety schabowe!

Pięknie powiedziane, Heniek nie wiedział, że Machine Gun jest takim dowcipnisiem! Bracia Hrubeschowie jako schabowe kotlety! Nie wytrzymał i ryknął śmiechem.

– Schabowe, kotlety schabowe! – Zanosił się śmiechem.

– Jack, jesteś wielki!

McGurn spojrzał z uwagą na Heńka.

– Te, Ejdz Ejdz, czy ty paliłeś może to murzyńskie gówno?

– Dokładnie tak! – ucieszył się Wcisło. – Poczęstujesz się?

– Rozmawiamy o poważnych tematach!

– Okay, okay! – Heniek uniósł ręce. – Stało się, pomyłka, duża pomyłka, przez którą młody o mało nie poszedł do piachu, ale już po wszystkim, prawda? To była bardzo ważna lekcja dla nas wszystkich, przykro mi, przepraszam, to już się nie powtórzy.

– Nie pal więcej tego gówna – odpowiedział McGurn i wyszedł z pokoju.

Heniek uznał, że dobrze załatwił sprawę, przysiadł przy Ronaldzie i podał mu skręta.

– A ty zapalisz?

– Mowa!

Zapalili, zrelaksowali się, pogadali o nieporozumieniu. Najważniejsze to wyluzować, nerwy są niepotrzebne.

– Dostałem od Dingbata...

– Ja też mam dojścia, ale teraz trochę niedomagam, niech szef popyta jazzmanów o Mezza Mezzrowa, on ma najlepszy towar.

Popyta, jasne, że popyta!

XVII

Kasyno

Heniek przyhamował z piciem, ustalił już bowiem, że whisky, wino, szampan i cała reszta mogą mu zrujnować życie. Przecież jakaś Robinson nie zrobi z niego pijaka, musi być twardy i panować nad sobą oraz interesami. Chwila nieuwagi i było blisko tragedii! Ronald chciał być za sprytny i o mało go nie sprzątnęli, nie może się to powtórzyć, bo Machine Gun był wściekły nie na żarty!

Oczywiście bywały wyjątki, na przykład wesele Dingbata Oberty, które odbyło się tuż po Nowym Roku. To było wyjątkowe i dość zaskakujące otwarcie karnawału, bo zaskakująca była panna młoda. Dwudziestoosmioletni Dingbat poślubił starszą od siebie Margaret Murphy, wdowę po swoim mentorze i szefie Big Timie Murphym. Impreza była przednia i przypominała połączenie balu, niemieckiej birsztuby z wiecem związkowym. Bawiło się kilkaset osób i widać było, że Oberta przejmuje po Big Timie nie tylko żonę, ale także terytorium i polityczne ambicje.

– Będiesz, kochanie, żoną kongresmana albo senatora!
– mówił, śmiejąc się w swoim stylu, a Margaret Oberta tuliła się do niego, jakby się bała spełnienia jakiejś strasznej obietnicy.

Impreza była udana, Heniek spotkał wielu znajomych, w tym Sycowskiego, który oczywiście próbował go wkręcić w jakiś interes. Ale nie wkręcił, żadnych nowych interesów! Nie namówił go ani Sycowski, ani Oberta. Pan młody uważał, że skoro on w najbliższych wyborach powinien zostać kongresmanem, to mówiący po niemiecku i po polsku Heniek miałby szansę zostać radnym. Heniek grzecznie podziękował i choć Dingbat i Little Tiger byli trochę rozczarowani, to za to

dobrze im się piło, by to niszczyć. Gdy wreszcie zostali sam na sam z panem młodym, zapytał Obertę, czy można przestać być gangsterem, czy komuś się to udało.

– Bo wiesz, myślę, czy by spróbować z tym skończyć, dlatego nie chcę się bawić w związki i politykę, rozumiesz?

Oberta na chwilę spoważniał, spojrział na Heńka i pokręcił głową.

– Wielu chłopaków chciało się z tego wyrwać.

O'Bannonowi się wydawało, że jest florystą, a Anselmiemu, że farmerem. To samo z Machine Gunem. Ma chłopak talent do golfa, jest współwłaścicielem pola i klubu, a do tego świetnie gra. Wali kijem równie dobrze, jak strzela z thompsona, a pieniędzy odłożył prawdziwą kupę. I co? I nic. To jest styl życia, rozumiesz?

Rozumiał i nie rozumiał. Raz już się ustatkował i gdyby go nie dorwała przeszłość oraz ten pies aspirant Denhel, to być może żyłby spokojnie w Warszawie. Z drugiej zaś strony draka go ciągnęła. Szybkie życie, pełne przygód i przemocy, kusiło, non stop dając preteksty do porzucenia planów o ustatkowaniu się.

– Mimo wszystko spróbuję... – powiedział Heniek bez przekonania.

– Próbuj, próbuj – zaśmiał się Oberta. – A jak ci się znudzi, to wracaj do Chicago. To duże miasto, zawsze się znajdzie miejsce dla ciebie.

– Być może, ale ja i tak bym wrócił do Warszawy. Mam u siebie w domu parę spraw do załatwienia.

Johnny Oberta pokiwał z politowaniem głową...

– Ależ pieprzysz głupoty, Henry. Pieprzysz jak najęty! Ty nie chcesz się ustatkować, ty po prostu chcesz się wpieprzyć w nowe – stare kłopoty. Tak po prawdzie to wrócisz do domu po

to, by narobić niezłego bałaganu! – Oberta przerwał na chwilę. – Ty się tak uspokoisz jak ocean na wiosnę, niby wychodzi słoneczko, ludziska idą na plażę, a tu łup! – Zamachał rękoma. – Burza jak skurczybyk. Poznałem cię trochę i myślę, że uporządkować sprawy, to znaczy wyrównać rachunki!

– Moja babcia czuje się coraz gorzej, a siostra nie ma jeszcze szesnastu lat, muszę się nią zająć...

– Być może, ale ja się znam na ludziach. – Oberta zrobił poważną minę. – Może mnie nazywają Dingbat, ale pamiętaj – uniósł palec – bywam błaznem, ale nie jestem idiotą!

Śmiejąc się i klepiąc go po plecach, udał się w kierunku gości, którzy nawoływali do wzniesienia kolejnego toastu. Heniek został sam ze swoim problemem, a problemy najlepiej rozwiązywały alkohol i jazz.

Weekendy spędzał w nowym dla siebie miejscu. Na początku nowego roku odkrył czarne Chicago, taki murzyński Murdziel[40]. Czarnych nie było tylu, co Żydów w Warszawie, ale mimo wszystko wyglądało to, jakby byli pochowani po kątach. Na północy nie było ich prawie wcale, chyba że w jakimś klubie jazzowym, jako orkiestra. W The Loop i okolicach było podobnie, ale tam czarni pracowali w hotelach jako posługacze i pucybuty, a na kolei jako bagażowi. W Warszawie Żydzi, zarówno ci ortodoksyjni, jak i zwyczajnie ubrani, chodzili po głównych ulicach, siedzieli w kawiarniach i przede wszystkim mieli swoje sklepy, składy, banki i kamienice. Żydzi bywali też często wziętymi aktorami, pisarzami, doktorami i mecenasami. Niby miasto dzieliło się na część polską i getto, ale jednych i drugich można było zobaczyć w tych samych miejscach.

Tutaj wyglądało na to, że Murzyni nie mieli kompletnie nic poza jazzem. Jazzem i swoją dzielnicą rozciągającą się na South

Side i w mało wyszukany sposób nazywaną czarnym pasem. Tam właśnie dotarł w poszukiwaniu Mezza, klarncisty i dostawcy najlepszego towaru. Na The Stroll, czyli na odcinku State Street między skrzyżowaniami z ulicami 26 i 39, aż się roilo od klubów z muzyką, tancbud i barów, w których publiką byli nie tylko czarni, ale i biali. Nakręcony skrętem chłonał niezwykłą atmosferę. Mimo wieczoru było tu jasno i tłoczno, jak w środku dnia w The Loop. Muzyka dochodziła niemal zza każdych drzwi. Tańczono, pito, bawiono się. Heniek poczuł, że stracił w Chicago ponad rok, bo mieszkając w tym mieście, nie był ani razu w tym pięknym miejscu.

Słuchało mu się tak dobrze, że aż zapomniał, po co tu przyszedł. W końcu jednak trafił do klubu, w którym miał grać Mezz. Wpadł mu w oko od razu, w grupie czarnych grajków był jedynym białym, dmuchał w klarnet i wyglądał na Żyda.

Po zakończonym secie podszedł do Mezza Mezzrowa i prosto z mostu wypalił, co go sprowadziło do klubu na The Stroll. Klarncista nie wyglądał na zdziwionego.

– Jestem coraz popularniejszy, chyba rzucę granie
– zaśmiał się.

W przerwie między występami pogadali i wypalili po skręcie, Mezz Mezzrow opowiedział mu trochę o sobie, Heniek dowiedział się, że lubi czarną muzykę i czarne kobiety.

– Jestem czarnym ochotnikiem – zaśmiał się. – Murzynem z wyboru, prędzej czy później trafię do Harlemu, tam jest jeszcze więcej czarnego jazzu niż w Chicago. Tu jest super, ale Siódma i Lenox Avenue na Harlemie to jest szczyt szczytów.

– Tam wyjechał Louis Armstrong, byłem na jego pożegnalnym koncercie w Green Mill – pochwalił się Heniek.

– Sam widzisz, w Nowym Jorku grają najlepsi. A wiesz, że ja też z nim grałem? No i nauczyłem go pogłębiać świadomość.

– To mówiąc, zaciągnął się skrętem. – Louis załapał w mig, o co chodzi. – Wiesz, jak się nazywa jego ostatnia płyta? *Muggles* – marihuana, a ja jestem Muggles King, jestem więc ojcem chrzestnym tego grania, o ile Żyd może być ojcem chrzestnym. Pamiętaj, *Muggles* to marihuana, ja to Muggles King, a najlepszy towar w mieście to po prostu mezz – zaśmiał się, obracając w rękach klarnet. – Jak będziesz chciał zadać szyku, to częstując skrętem, zapytaj: chcesz zapalić mezza?

Pożegnali się i spędził, jak wielu innych, na The Stroll czas do białego rana.

Heniek czuł się znakomicie. Interes się kręcił, a on niemal mieszkał na The Stroll. W środę szesnastego stycznia wybrał się jednak na północ do Green Mill, bo właśnie tam miał grać Mezz. Był niby zwykły dzień, a jednak... Lokal początkowo świecił pustkami, ale nagle zrobiło się ciasno. Do wnętrza wparowali silni, dobrze ubrani goście, którzy nosili lakierki z getrami, drogie wełniane płaszcze i szare kapelusze z obowiązkową czarną wstążką. Obsługa szybko zaczęła urządzać pusty stolik, to znak, że za chwilę zasiądzie przy nim Al. Gdy już wiadano, że jest w środku, zespół zagrał *Błękitną Rapsodię* Gershwina. Zawsze tak robili, bo był to ulubiony utwór Capone. Mimo mrozu Król Chicago wynurzył się nagle w okolicach baru ubrany tylko w seledynowy garnitur, kwiecisty krawat, a papuzia poszetka i szary kapelusz z obowiązkowo czarną wstążką uzupełniały garderobę. Nie wyglądał na zmarzniętego, pojawił się nagle i równie nieoczekiwanie zaryczał:

– Jutro siedemnasty stycznia, wielka rocznica, moje urodziny! Kolejka dla wszystkich!

Green Mill rozniósł wybuch radości, a następnie wyśpiewana z werwą urodzinowa piosenka.

Happy Birthday to you

*Happy Birthday to you
Happy Birthday Dear Al
Happy Birthday to you!*

Wypito kolejeczkę, a wyraźnie zadowolony Al Capone zawołał:

– To jeszcze jedna kolejka na tę piękną okazję!

Zgromadzeni w knajpie ludzie zakrzyknęli z radości, a ktoś zaintonował:

*From good friends and true,
From old friends and new,
May good luck go with you,
And happiness too.*

Ludzie byli autentycznie zachwyceni, że mogą celebrować urodziny wielkiego Ala, to była dla nich doniosła chwila, którą będą wspominać całe życie, o której będą opowiadać swoim wnukom. Oni tam byli, spotkali słynnego Ala, władcę Chicago i króla gangsterów, pili jego zdrowie i śpiewali urodzinową piosenkę.

Alphonse Capone patrzył na nich jak triumfujący ojciec i gdy skończyli, krzyknął:

– A co z dalszym ciągiem?

Rozległ się szmerek i ktoś zaintonował zwrotkę, którą niekiedy kończono piosenkę:

*How old are you?
How old are you?
How old, How old
How old are you?*

– Trzydzieści, okrągłe trzydzieści – odpowiedział, uciszając tłum dłońią, tak jak robią to monarchowie.

Mimo wszystko ludzie zgromadzeni w Green Mill ryknęli, jakby Al Capone obwieścił amnestię albo ogólnoamerykańską

podwyżkę.

– Ale to nie wszystko! – Tym razem gest dłoni pomógł, zaległa cisza.

Al zawiesił głos, a ludzie w klubie zamienili się w słuch. Gangster patrzył na tłum i wzmagął tym samym napięcie. Wszyscy czekali na dalszy ciąg, on tymczasem dał znak swoim ludziom, a ci szybko przekazali wolę Ala Capone kelnerom. Szykowano kolejny toast, z zaplecza wyniesiono kanciaste karafki, goście z miejsca rozpoznali najlepszy trunek, Whiskey Jack Daniel's Old Number 7. Nektar, którego pozbawiła ich prohibicja, był równie unikalny jak jednorożec, dało się więc słyszeć szmer podniecenia. Każdy z zadowoleniem komentował szklaneczki, które napełniały się jednym z najcudowniejszych trunków świata. Al wyraźnie się tym bawił i gestem dłoni zachęcał ludzi do aplauzu. Lokal niemal eksplodował. Gangster bawił się nastrojem sali jak wódz przed wojskiem. Znów ich uciszył i uniósł swoją szklanekę.

– To nie wszystko, bo to także rocznica tego, że urodziłem się na nowo! Dziewięć lat temu, siedemnastego stycznia tysiąc dziewięćset dwudziestego roku, rząd wprowadził w życie osiemnastą poprawkę do konstytucji i zaczęła się prohibicja. Każdy z was myślał, że to tragedia, ale wtedy ja, Al Capone, postanowiłem czynić dobro i zacząłem zaspokajać wasze potrzeby!

– Niech żyje Al!

– Sto lat, Al!

– Dziękujemy ci, Al!

Ludzie prześcigali się w komplementach i życzeniach, a Al dobrotliwie machał do nich ręką. W końcu wrócił do stolika i już cichszym głosem powiedział do swojej gangsterskiej świty:

– To nasze święto, nasza rocznica, chłopcy. – Al Capone,

który pił mało albo wcale, wzniosł do góry kieliszek, dołączyli do niego wszyscy przy stoliku. – To piękne – ciągnął Capone – rząd uczynił nas sprzedawcami alkoholu, a tych ludzi naszymi klientami, to piękne. Dzięki tym głupkom w Waszyngtonie oraz ludziom takim jak ci tutaj zarabiamy miliony.

Pili, słuchali muzyki, cieszyli się swoim świętem, świętem butlegerów, ludzi, których prohibicja uczyniła bogaczami i idolami milionów. Bawił się z nimi cały klub, pijący byli coraz bardziej zachwyceni, bo darmowy alkohol przyprawiał ich o radosny zawrót głowy. Pili za darmo, zapominając albo nie zdając sobie sprawy z tego, że oni sami byli sponsorami tej imprezy.

Heniek był w najlepszej sytuacji, sam też na nich zarabiał, a teraz także pił na cudzy koszt. Nagle ktoś poklepał go po ramieniu.

– Piękny wieczór, co nie? – Był to Jack McGurn.

– Piękny, piękny.

– Dobrze zarobiłeś w Nowy Rok?

– Dobrze, bardzo dobrze – odpowiedział Heniek, bo choć miał ostatnio luźne podejście do obowiązków, to czas na liczenie pieniędzy zawsze znajdował.

– Remont ciężarówki to grosze – uśmiechnął się Machine Gun.

– Grosze – przytaknął Heniek. – Ważne, że chłopak cały.

– Ma nauczkę, w sumie poszło jak darmo!

– Gorzałka i piwo same się rozchodzą, ludzie są spragnieni.

– To nowy amerykański sport! Pić, bo rząd zakazał.

– McGurn uderzył pięścią w stół. – I to mi się podoba!

– Bo ludzie zawsze pili.

– Zawsze, ale nie tyle i nie tak – zaśmiał się Machine Gun, patrząc na bawiących się klientów Green Mill. – Wiesz, co

niedawno usłyszałem? Że prohibicja zmieniła tylko tyle, że ludzie piją więcej alkoholu, który jest droższy i gorszy niż przed wprowadzeniem osiemnastej poprawki. Ha, ha, ha, ha, ha! Stare ciotki z Armii Zbawienia i ci kretyni z Waszyngtonu uczynili nas bogaczami i bohaterami, popatrz, jak się cieszą, popatrz, jacy są szczęśliwi, że mogą sobie popić za swoje własne pieniądze, myśląc, że to wszystko stawia Al. Są pocieszni, więc i ja im postawię! Zdrowie Ala, kolejka dla wszystkich! – wydarł się Machine Gun. – A teraz muzyka! – zarządził. W końcu to on był właścicielem Green Mill.

Na estradę wyszli muzycy i zaczęli grać, popłynęła niebiańska melodia, mocna, ale i subtelna zarazem. Mezz, który grał teraz na saksofonie, przymrużył oczy, jakby jeszcze delectował się dymem skręta. Inni muzycy też wyglądali podobnie. Cała sala doceniała ich kunszt.

– Al uwielbia jazz i należy do tych, co mówią, że ludzie, którzy słuchają jazzu, nie płaczą. A Al nie lubi płakać, zwłaszcza w urodziny, dlatego kiedyś porwano dla niego tego pianistę i śpiewaka Fatsa Wallera. Kumple chcieli mu zrobić frajdę, więc zmienili grubasowi plany na wieczór i wyciągnęli gościa z hotelu Sherman. Nie wiedział, co jest grane, myślał, że może komuś podpadł, że jedzie na przejażdżkę w jedną stronę. Na początku był poważnie zesrany, ale zauważył, że chłopcy byli stanowczy, a jednak uprzejmi. Myślał, że ktoś mu chce zrobić kuku, a tu niespodzianka! Fats wyładował na urodzinach Ala jako główna atrakcja. Wszyscy byli zachwyceni!

– Ten grajek też?

– On przede wszystkim – zaśmiał się Machine Gun.

– Czemu? – zdziwił się Heniek.

– Jak to, nie łapiesz? A który artysta nie lubi występów przed wpływową i bogatą publiką, wśród której są ludzie znani

jak gwiazdy z Hollywood? Każdy to uwielbia! A jeszcze bardziej, gdy publika jest zachwycona, częstuje szampanem i płaci parę tysięcy za jeden wieczór! Al był wniebowzięty i wypchał mu kieszenie dolarami! Każdy muzyk w Chicago marzy, żeby go uprowadzono na urodzinowe party Ala Capone!

W Green Mill też bawiono się pierwszorzędnie. Heniek złapał do tańca jakąś fajną dziewczynę i czuł, że wieczór nie skończy się tylko na parkiecie. Był pod dobrą datą i wywijał, aż miło, a do tego ona podobała mu się coraz bardziej.

– Znasz ich? – zapytała, odwracając głowę w kierunku Ala i jego świty.

– Znam – przytaknął z dumą Heniek, bo bycie gangsterem było modne i kręciło dziewczyny.

– To fajnie. – Uśmiechnęła się czarująco. – Znasz ludzi, o których piszą w gazetach.

Robiło się coraz lepiej, już miał jej zaproponować zmianę lokalu na taki z łóżkiem, gdy podszedł do nich Jack McGurn. Gangster złapał dwoma palcami klapę Heńkowej marynarki i pociągnął ku sobie, mówiąc mu do ucha:

– Koniec zabawy, teraz zajmiemy się poważnymi sprawami. Fajna babka, ale bzykniesz ją kiedy indziej, a jak nie ją, to inną. A jeśli jesteś gamoń i nie potrafisz sobie jakiejś znaleźć, to ci poszukam i jej zapłacę, żeby pokazała wszystkie numery świata. Chodź ze mną!

Po czym z czarującym uśmiechem rzucił w kierunku dziewczyny:

– Ten chłopak będzie chwilowo zajęty, żegnaj, laleczko.

Dziewczyna została na parkiecie sama i nie bardzo rozumiała, o co chodzi, zresztą Heniek także nie. Czuł tylko, że cyngiel Ala znów wlał w siebie za dużo i łapie niebezpieczny wiatr w żagle. Na razie Machine Gun ciągnął go w kierunku

baru. Przystanęli przy ladzie, a gangster dał znak barmanowi, by podał im dwie szklaneczki whisky. Gdy pili, McGurn zapytał:

– Panie specjalisto od kas, naprawdę umiesz to robić?

– Umiem.

– To chodź na zaplecze, pokażesz, co jesteś wart.

– Co to, egzamin? – Heniek próbował zażartować.

– Każdy dzień jest egzaminem, ale akurat ja należę do tych, którzy sprawdzają innych. A może ci coś nie pasuje, he?

– Piłem, a na robotę chodzę trzeźwy – postawił się Heniek.

– I coś jeszcze?

– Tak.

– A, kurwa, co?

Heniek wyczuł, że Jack jest nieźle nakrochmalony. Innego pijaka by zbył, ale ten zasłynął z tego, że pokieroszował nożem komika, a tych, których rozsiekał z rozpylacza, nie potrafiono zliczyć.

– Narzędzia. Jestem dobry, ale jak mam narzędzia.

– A wytrych?

– Wytrych to też narzędzie, ale nie przy każdym zamku.

– Nie pieprz! – McGurn pchnął go w kierunku baru. – Coś się znajdzie.

Gdy stanęli przy barze, już poza zasięgiem wzroku ludzi z sali, jeden z barmanów podniósł nagle do góry klapę. Przy barze była piwnica.

– Wchodź! – rzucił McGurn. – No, kurwa, wchodź, Al Capone tędy wchodzi i wychodzi, ja i paru chłopaków z ferajny też. Skoro tak, to i ty możesz, mówi ci to Machine Gun!

Mówił tonem nieznoszącym sprzeciwu, a Heniek nagle zrozumiał, czemu Al pojawił się w sali tak nieoczekiwanie. Zeszli na dół, było tam jakby tajne biuro, w rogu którego stała mała kasa.

– Łap! – rzucił McGurn i w kierunku Heńka poleciała jakaś paczuszka. Złapał, w środku były wytrychy.

– Wytrychy...

– A co myślałeś, że jestem pojebem, który każe ci otworzyć kasę szpilką?

– Niektórzy...

– Ale ja nie jestem niektóry, tylko Jack McGurn Machine Gun! Otwieraj, ciekaw jestem, czy umiesz.

Heniek zaczął dłubać przy zamku. Szybko odetchnął z ulgą i pomyślał: łatwizna.

– Czemu tak patrzysz? – zapytał Machine Guna.

– Bo chcę zobaczyć, jak to robisz.

– Rozczarujesz się.

– Że co?

– Rozczarujesz się, jakie to proste.

– Taaak? Jeśli się rozczaruję, to ty się zdziwisz, jak prosto wali się z maszin ganów. Okay?

– Okay – potwierdził Heniek. – To prosty mechanizm, nie trzymają tu chyba nic szczególnego. Popatrz. – Heniek wykonał kilka wprawnych ruchów i kasa stała otworem.

– Fiu, fiu! – zagwizdał McGurn.

– Zamek szyfrowy, ukryte zamki na dwa klucze, klucze spiralne to są dopiero wyzwania! To naprawdę było proste.

– Fakt, rozczarowałem się. Jutro zajadę po ciebie i pokażę ci, jak się wali z thompsona.

– Teraz już rozumiem, jak Al pojawia się w barze!

– Pojawia się i znika – uśmiechnął się McGurn. – Tu są przejścia do innych piwnic i budynków, to wszystko dla bezpieczeństwa, a czasem trochę dla wygody i zabawy.

Wyszli z piwniczki na górę.

– Po co to wszystko, ten cały egzamin na kasiarza?

– Pięknie kropnąłeś tego killera z Nowego Jorku, ale bez urazy, stary też to potrafi i jeszcze z parę osób. Gdyby nie to, że Al chciał, by to zrobił ktoś nieznany, to kropnąłbym go ja albo Louis Campagna, Tony Accardo, a może Frank Rio. Jest nas paru, ale żaden nie umie otwierać kas. Pochwaliłeś się kiedyś i ja to zapamiętałem – zaśmiał się McGurn.

– Takich, którzy prują kasy, też jest wielu...

– Ale ty powiedziałaś, że umiesz bezszmerowo i szybko.

– Machine Gun wznosił szklaneczkę z whisky. – Ludzie chętnie się chwala, a jak przychodzi co do czego...

– Myślałeś, że ja cię...

– Nic, kurwa, nie myślałem! – zacietrzewił się gangster.

– Ja potrafię rozpoznać, kto jest dobrym strzelcem albo killerem, bo jestem jednym z nich. Swój swojego pozna... Wiem też, kto jest dobry do boksu, a kto do golfa, no i z kim się można napić, bo wszystko to umiem, rozumiesz? – McGurn był coraz bardziej wstawiony. – A na kasach się nie znam, ni cholery, ani tyci, tyci, więc nie wiem, czy ktoś to umie, czy nie. Dlatego cię sprawdziłem!

– Po co?

– Po coś cię, kurwa, sprawdziłem. Niespodzianka, kurwa, dowiesz się we właściwym czasie. Nie wiesz, że ciekawscy żyją krócej? – zaśmiał się złowrogo, ale zaraz klepnął go po plecach i powiedział: – Lubię cię, gościu, więc napijmy się jeszcze troszkę!

Nie takiej puenty Heniek się spodziewał. Po wyjściu z baru z miejsca zaczął szukać wzrokiem dziewczyny, z którą tańczył. Płasała teraz z jakimś typem, ale jakby do niej podszedł, to na pewno dokonałaby właściwego wyboru. Był lepiej ubrany, mógł imponować znajomościami, no i tak poza tym wszystkim był fajniejszy. Się wie, zwłaszcza po skřęcie i paru szybkich

kolejkach. Niestety zabawa zmierzała ku zakończeniu, po sali chodzili kelnerzy i kilku chłopaków Ala.

– Na dzisiaj koniec, każdy ma jeszcze rozchodniaczka, Al chce spędzić kilka chwil z przyjaciółmi, zamykamy lokal!

– Jak to? – Typ, co tańczył z dziewczyną, którą upatrzył sobie Heniek, nabrał odwagi.

– Tak to, mieliście darmowe drinki, ale od teraz Al chce się bawić w swoim towarzystwie.

– Też coś! – zahuczał gniewnie.

– Powiedz jeszcze słowo, a następnym razem, jak będą darmowe drinki, ty się na nie nie załapiesz. Powiedz dwa, a w ogóle tu nie wejdiesz!

Słowa poparte gestem wskazującym drogę do drzwi podziałały magicznie. Absztyfikant położył uszy po sobie i opuścił salę, ciągnąc za sobą dziewczynę.

Heniek ruszył ich śladem, gdy nagle usłyszał charakterystyczny niski głos:

– On zostaje, jego znam!

Wciślak udał, że nie słyszy, i szedł w kierunku drzwi, ale zanim do nich doszedł, ktoś położył mu dłoń na ramieniu.

– Koleżko. – Odwrócił się i zobaczył Frankiego Rio.

– Koleżko, Snorky cię woła! – Nie była to propozycja, tylko rozkaz.

Nie było wyboru, zawrócił wraz z nim i gdy byli już blisko stolika, przy którym siedziało towarzystwo, Al rzucił w jego stronę:

– A ty dokąd się wybierałeś? Nie chciałeś się bawić z Alem?

– Dziękuję, Snorky, to miłe z twojej strony.

– Bo ja jestem miły facet – zaśmiał się Al, a jego śmiech podchwyciła reszta ferajny.

Była tam sama śmietanka, od Machine Guna i Frankiego Rio, przez Tony'ego oraz Louisa Campagnę, aż po małego grubaska, którego często widywał w hotelu.

– Kim jest ten facet? – zapytał McGurna.

– Nie wiesz? – zdziwił się gangster. – To Jake Guzik Greasy Thumb[41], księgowy Ala. Wygląda na pokrakę i gamonia, ale potrafi rachować i jest Snorky'emu wierny jak pies. Jak kiedyś jeden tandeciarz obił mu twarz i zabrał pieniądze, Snorky zajechał do baru, w którym tamten pił, i wypalił mu z gana prosto w pysk. Nie chodziło o pieniądze, nie chodziło o biznes, to była sprawa osobista. Kciuk to ktoś, to nie tylko księgowy, to prawdziwy przyjaciel, więc Al odpowiedział temu kutasińskiemu tak, jak tamten na to sobie zasłużył. Zrobił to osobiście i przy świadkach, tak żeby się rozeszło na całe miasto, co spotka gościa, który podniesie rękę na Greasy Thumba. Myślę, że zrobiłbyś na jego miejscu to samo.

Heniek był w beztroskim jazzowo-skrętowym nastroju, ale wizja Ronalda pobitego przez jakiegoś oprycha wrzuciła go na inne tory.

– Masz rację, zrobił jak trzeba!

Mówiąc, uśmiechał się, ale tylko dlatego, że wyobrażał sobie, jak by się odplacił draniowi, który by podniósł rękę na rudego Ronniego. Porzucił jednak planowanie zemsty za niedokonane jeszcze grzechy, bo zobaczył innego ważniaka, który się kręcił obok Ala.

– A ten obok Ala, czy to jego...

– Tak, to jego starszy brat Ralph, urodził się jeszcze na Sycylii. Al ma jeszcze jednego brata, który był porucznikiem w wojsku i gdzieś się zagubił. Zwinął się z domu pewnego dnia i tyle go widzieli. Ale pewnie żyje, a kolejny starszy brat, Frank, gryzie piach, zginął parę lat temu w strzelaninie z policją.

– Pora na rozrywki. – Niezbyt donośnym, ale czytelnym dla wszystkich głosem powiedział Al. – A nie ma lepszej rozrywki od dobrego hazardu, zagrajmy w pokera.

Łączenie skrętów z alkoholem sprawiło, że Heniek zrobił coś, czego nie robił nigdy przedtem.

– Wchodzę! – powiedział. Jak się bawić, to się bawić.

– Świetnie, Ejdz Ejdz – ucieszył się Al. – Kto jeszcze?

Razem z nim i Alem była piątka chętnych do gry, wszyscy w tym towarzystwie bogatsi od Heńka, każdy obowiązkowo miał przy sobie gruby rulonik, w którym przeważały setki i grandy. Heniek grał parę razy w pokera, ale nigdy na wysokie stawki. Do tej pory unikał hazardu, oczywiście poza wyścigami na Polu Mokotowskim, ale przecież tam miał wszystko pod kontrolą. Tu nie było mowy o czymś takim, siedział przy jednym stole z najgroźniejszymi ludźmi w Chicago, a w dodatku nie miał pojęcia, jaka jest stawka.

– Wchodzimy po dziesięć tysięcy – zaordynował Al. – To nie jest jakaś wygórowana stawka, a nie jesteśmy byle kim, żeby się cieszyć grą o grosze.

Heniek poczuł, że opuszczają go werwa i luz. Dym z ostatniego skręta wyparował, a to, co usłyszał, zmroziło go, jak zimowy wiatr wiejący od jeziora Michigan. Chciał coś powiedzieć, ale zabrakło mu odwagi.

– Co się tak wierzysz, Ejdz Ejdz? – zapytał Al. – Chcesz się wycofać? – W jego głosie brzmiało wyraźne rozczarowanie.

– Przesadziłem, mam tylko piątaka...

Rozległ się śmiech, tak jakby wychodzenie wieczorem na miasto z pięcioma tysiącami dolarów w kieszeni było czymś zabawnym, a może nawet i kompromitującym.

– Niech Greasy Thumb odliczy Henry’emu piątaka, nie mamy zetonów, mamy stówki i grandy – ucieszył się Al.

– Zaczynamy.

Zaczęli, Heniek poczuł się nieswojo, do tej pory, przez dwa tygodnie intensywnego palenia skrętów, był wyluzowany i bezpieczny, teraz zaś pojawiła się wątpliwość. Wyciągnął z kieszeni papierosa i zaciągnął się mocno, a później jeszcze mocniej. Miał wrażenie, że wszyscy patrzą właśnie na niego, na nowicjusza przy stole, który traci panowanie i wpada w panikę. Tak było, patrzono na niego w ten właśnie sposób, ale gracze nie wiedzieli, że w tym przypadku nerwy były dobrym doradcą, a człowiek, którego skazywali na pożarcie, umiał się koncentrować i liczyć. Jak przy otwieraniu kasy, jak przy grze w szachy, tak i tu chodziło o koncentrację i pamięć. Gdy Heniek zastanawiał się, co dalej z tym fantem zrobić, ktoś rzucił na stół talię mocno przechodzonych kart.

– Co to za naleśniki? – usłyszał głos Frankiego Rio.

– To porządne karty – zachnął się właściciel talii. – Żadne naleśniki!

– Tak, bo to nie naleśniki, to racuchy – skrzywił się Al.

– Wyglądają, jakby je miętolił Greasy Thumb.

Towarzystwo się zaśmiało, bo karty były powycierane jak stare banknoty i faktycznie nasiąknięte tłuszczem niczym placki.

– Może w barze mają nową talię? – usłużnie włączył się barman. Po minucie wrócił i oznajmił: – Mam nowiutką paczkę.

– Nowiutką czy prawie nowiutką?

– Ma jeszcze banderolę!

– Gramy oldskulowo czy teksasem? – zapytał ktoś.

– Po staremu, od siódemek – gangsterzy byli młodzi, ale najwyraźniej cenili tradycję.

– Gramy jak kumple w starych czasach, jak taryfiarze czekający na klienta albo marynarze na łajbie – ucieszył się Al.

– Pięknie! – dodał, jakby się rozmarzył i zamyślił nad latami,

gdy nie był jeszcze królem gangsterów i milionerem. – Henry jest najmłodszy, tasuj, Ejdz Ejdz!

Tu wszyscy byli dość młodzi, przecież Al celebrował właśnie trzydzieste urodziny, a jedynym nieco starszym gościem był jego księgowy. Ale fakt faktem, wśród graczy Heniek, który liczył sobie dwadzieścia pięć wiosen, mógł być rzeczywiście najmłodszy. Miał sprawne dłonie, ale tasować kart nie potrafił. Robił to poprawnie, ale nie przesadnie szybko, nie robił harmonijek, nie znał sztuczek.

– Tasujesz jak gamoń – prychnął Frankie Rio. – Myślałby kto, że pierwszy raz siadasz do takiej gry.

A właśnie było tak, jak mówił ochroniarz Ala Capone. Heniek rzadko grał w karty, a do takiej gry siadał pierwszy raz.

– Grajmy, nie traćmy czasu. – Al zatarł ręce i chwycił karty, zaraz jednak powiedział: – Pięćset na otwarcie!

– Twoje pięćset i moje pięćset.

– Nie wchodzę!

– Wchodzę z dwoma.

– Ejdz Ejdz, teraz ty!

Heniek spojrzał w karty i zapytał:

– A jaka jest kolejność?

– Czego kolejność?

– Bo jedni uważają, że kolor jest wyższy od karety, a inni, że na odwrót.

Zrobiło się cicho, wszyscy spojrzeli na Ala.

– Kareta jest wyższa od koloru, to jasne!

Nadal panowała cisza. Heniek poczuł, że teraz wszyscy patrzą na niego, że są pewni, że ma karete albo kolor, no bo w przeciwnym razie czemu by pytał?

Miał tymczasem parę i najchętniej wymieniłby trzy karty. Zrozumiał jednak, że gdy wszyscy wymieniają dużo kart, to

trzeba dalej zgrywać kogoś, kto już wygrał to rozdanie.

Ryzik-fyzik, pomyślał.

– Jestem zdrów i dokładam jeszcze tysiąc – powiedział.

– Sobie – dodał, co oznaczało, że Frankie Rio miał wymienić karty w swojej ręce. – Weź sobie, ja jestem zdrów.

Po sali poszedł szmerek.

– Pas.

– Pas.

Został tylko Little New York.

– Sprawdzam! – rzucił gangster. – Pokaż, co masz!

Heniek wyłożył parę dam.

– Wiedziałem, że blefował – syknął Little New York.

– Kurwa, wiedziałem!

– No to go masz! – ucieszył się Frankie Rio.

– Nie, nie, nie! – ryknął. – Nie, bo ja mam parę z waletów!

Heniek odetchnął z ulgą. Niebawem, wygrał, zgarnął kupę pieniędzy! Wszyscy byli podekscytowani, a najbardziej Al.

W kolejnych dwóch rozdaniach nie wchodził, bo karta mu nie szła. Gra nie była porywająca.

– Beze mnie – zaczął Al.

– Wchodzę z tysiącem!

– Beze mnie.

Heniek rozchylił karty i zobaczył trzy króle, to już było ładnie, a z czwartym zarządziłby przy tym stole.

– Dwa ode mnie.

Zmienił dwie karty i dostał czwartego króla, resztką zioła w jego organizmie wymusiła na nim krótkie parsknięcie śmiechem.

– Tym razem ci się nie uda! – Frankie Rio patrzył na niego wzrokiem belfra, który złapał uczniaka na nieodrobionej lekcji.

– Dokładam!

Heniek zerknął na stół. Frankie poszedł na całość, wpełchnął wszystko, co miał, i patrzył teraz na Heńka z chytrym uśmieszkiem. Nikt nie miał ochoty walczyć z gorylem Ala, jego mina nie była miną pokerzysty, lecz triumfatora. Ci, co go znali, wiedzieli, że nie blefuje.

– Sprawdzam – zaśmiał się Heniek. – Sprawdzam!

Frankie pokazał swoje karty, miał karekę z dam! Po lokalu poszedł pomruk, ale w tym momencie Heniek położył swoją karekę z króli.

– Kurwa, nie czaję, co się kryje za jego oczami – warknął Frankie Rio i rzucił kartami o stół.

– *Easy, easy*, Frank – zaśmiał się Al. – To tylko zabawa!

– Fajna zabawa – odparował Rio. – Ktoś mnie dyma na kasę, a ja nie potrafię zrozumieć jak!

Gangsterzy niemal turlali się ze śmiechu, a Rio wyglądał na poważnie wkurzonego.

– Jesteś niezły! – Rio klepnął Heńka po plecach.

– Blefujesz pierwsza klasa, a teraz zgraj ich wszystkich, żebym nie wyszedł na palanta! – To mówiąc, ryknął śmiechem, który podchwyciła reszta ferajny.

Było tak, jak sobie tego życzył Frankie Rio, kolejni ludzie odpadali od stolika, a Heniek nagle się zorientował, że niemal wszystkie dolary leżą przy nim, że ograł Ala Capone i jego ludzi! Najchętniej odszedłby teraz od stolika, wygrał już pięćdziesiąt tysięcy dolarów, czego chceć więcej. Patrzył po twarzach i widział, że wszyscy mają dość, że wiedzą, że tego dnia Henry jest nie do ogrania, był dla nich nieodgadniony, karta go kochała, a on robił dobre wybory.

– Al, czy nie walisz czasem na Florydę? – zagaił ktoś nieśmiało.

– Może i tak, ale dobrze się bawię – uciał Big Fellow.

– Dawno się tak nie bawiłem! Nie idzie wam, ale ja... – Widać było, że się cieszy, Heniek nie wiedział, czy swoimi emocjami, czy nerwami tych, którzy przegrywali. Tak czy owak, chciał grać dalej.

– Nie będziemy się bawić, żadnego zbędnego ble ble, żadnych wchodzę, wychodzę, pas i tak dalej, daję w ciemno tysiąc! – rzucił Al.

– Twoje tysiąc i moje tysiąc – dorzucił kolejny gracz.

– Ja w ciemno nie wchodzę! – mruknął ktoś z boku.

– Nie umiesz się bawić! – Al był zdeglustowany. – To zabawa, zabawa! A ty się bawisz? – Wskazał dłonią, w której trzymał cygaro, na Heńka.

– Ja? A tak, oczywiście.

– No to rozdajemy!

Karty poszły do graczy, ale po ostatniej Al zarządził:

– Dalej gramy w ciemno! Gramy o wszystko! Kto się bawi ze Snorkym!

Zagrali. Ta partia pokera wyglądała jak wojna dla dorosłych, jednak zamiast pojedynku na pojedyncze karty, zabawą była gra o grubą stawkę.

– Wykładamy, czy może ktoś wymienia? – zażartował Al.

Nikt nie wymieniał, bo nikt nie widział swoich kart.

Wyłożyli je na stół.

– Pieprzony Ejdz Ejdz.

– Henry, kurwa...

– On to wygrał!

Tak, wygrał to trójką siódemek.

– Siódemki zawsze były szczęśliwe!

To wszystko było jego, mógł kupić sobie za to małe ranczo, mógł odbyć podróż dookoła świata, mógł otworzyć w Warszawie jakiś fajny interes.

– Może byś postawił za to kolejkę? – zażartował ktoś przy stole, bo tego wieczoru i tak Al płacił za wszystko.

– Ja dzisiaj stawiam i ja dzisiaj gram! – zarządził Al. – Za dobrze się bawimy, żeby teraz przerwać, trzeba jeszcze postawić kropkę nad i! Ejdz Ejdz, gramy o pięćdziesiąt tysięcy! – Al strzelił palcami na Greasy Thumba, a ten z miejsca wyciągnął ze swoich przepastnych kieszeni odpowiednią ilość gotówki. – No co się tak patrzysz, *easy come, easy go!*[42] Wiele nie stracisz, a możesz wygrać fortunę, nie podnieca cię to? Bo mnie tak, i to jak jasna cholera!

Heniek siedział, mając przy sobie stosik banknotów wart pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dwie wille jak ta, którą kupił Al na Florydzie, kilka dobrych domów na przedmieściach Chicago, cały parking aut takich jak to, którym jeździł, a przecież jego chrysler nie należał na najtańszych wozów...

– A może zagramy o milion – mruknął Al, mrużąc swe szare oczy. – Żartowałem, oczywiście, że żartowałem, nawet mój księgowy nie nosi takiej forsy przy sobie, a przecież przy pokerze trzeba widzieć dolary, bez tego to jak loteryjka dla dzieci. Gramy!

Gangsterzy skupili się nad stolikiem, tymczasem Al zastanawiał się nad wielkim finałem.

– Graliśmy w pokerka, graliśmy w pokera na ciemno, to może zagramy starsza – młodsza! – Uśmiechnął się dobrotliwie i wydymając swe wielkie wargi, pogładził talię kart. – Możemy tak grać? – Widać było, że zapalił się do pomysłu. – Pasuje ci? Kompletne szaleństwo, jak ruletka, jak wyścigi nieznanych chabet.

– To już lepiej chabety, Al, albo co innego! – zaśmiał się ktoś. – Przecież karta mu idzie jak cholera.

Ferajna zaśmiała się z żartu, a Al zasępił się w teatralny

sposób.

– Racja, w karty nie mam z nim dzisiaj szans, a przecież nie o to chodzi, żeby w swoje urodziny Snorky nie miał szans?

– To co? – Kibice się niecierpliwili.

– Ruletka byłaby okay!

– Ale tu nie ma ruletki, nie będę się woził po Chicago, gramy zaraz! Mam na to ochotę!

– W numerki!

– Tak, w numerki!

– Moglibyśmy zagrać, ale nie jestem samobójcą, karta dziś idzie jak trzeba. Lubisz numerki? – zapytał Heńka.

– Kto ich nie lubi? – odpowiedział Wcisło tak na wszelki wypadek, bo do końca nie wiedział, o co chodzi.

Gangsterzy pośmiali się rubasznie, ale szybko zrozumiał, że pytający co innego miał na myśli.

– No to dobrze, będziemy strzelać do banknotów!

Al zakrył kapeluszem stosik z pięćdziesięcioma grandami, które przyniósł Jack Greasy Thumb Guzik. Heniek domyślił się, że będą ciągnąć banknoty. Kto będzie miał wyższy lub niższy numer seryjny, ten wygrywa.

– Wyższy wygrywa? – zapytał na wszelki wypadek.

– No jasne. Ale gramy tak... – Al przybliżył do niego swoją potężną, nalaną twarz buldoga. – Piąta moja, a reszta twoja...

Pasuje, okay?

– Pasuje – odpowiedział Heniek, choć nie bardzo rozumiał zasady, zresztą tu już nic nie zależało od niego, co wypadnie, to wypadnie.

Wszyscy skupili się na stole. Al wyciągnął banknot i uroczyście oświadczył:

– Strzelamy do tego granda!

Heniek już sięgał, by wziąć swój, gdy usłyszał:

– Przecież mówiłem, że piąta moja, a reszta twoja, tak ustaliliśmy! Strzelamy do tego granda, do żadnego innego!

Heniek cofnął rękę i czekał, co będzie dalej. Al uniósł granda i zaczął czytać numer:

– Zero, sześć, trzy, cztery... – zawiesił głos. – A teraz piąty numer, mój, to ósemka!!! Brawo, Snorky, brawo ja!

A więc już po wszystkim. Na trzymanym wysoko banknocie były cyfry 06348510. Al miał ósemkę, nic nie było wyższe od ósemki. Okazało się, że to jeszcze nie koniec.

– Zero plus sześć, plus trzy, plus cztery, plus pięć, plus jeden i jeszcze jedno zero – recytował Greasy Thumb. – To razem...

– Dziewiętnaście! Dziewiętnaście, czyli jeden, dziewięć!!! Zapadła cisza... Heniek kompletnie nie wiedział, o co chodzi w tej zabawie.

– Ejdz Ejdz, wygrałeś. Ależ to był wieczór! – Al kręcił głową, reszta również wyglądała na zaskoczonych. – Miałem ósemkę, ale ty miałeś dziewiątkę!

Heniek zrozumiał sens rozgrywki. Mówiąc: „piąta moja”, Al wybierał piątą cyfrę, do Heńka należały pozostałe. Wartość jego numerka zależała od ostatniej z sumowanych cyfr numeru seryjnego. Na banknocie był 06348510, a więc do Ala należała ósemka, a do niego suma pozostałych: $0 + 6 + 3 + 4 + 5 + 1 + 0 = 19$. Ostatnia jest dziewiątka i to ona była porównywana z numerkiem Ala...

– Henry, Ejdz Ejdz! – McGurn przyłożył mu w plecy. – Nie cieszysz się? Masz stówkę! Przyszedłeś tu z piątkiem, a wracasz ze stówką!

– Pięć pożyczyłem – wystękał Heniek i z kupki wyciągnął pięć grandów, po czym przekazał je księgowemu.

– Tak jest, długi się płaci, ja płacę, Ejdz Ejdz płaci,

wszyscy porządni ludzie płacą, tylko Arnold Rothstein nie płacił i dlatego pożegnał się z życiem! – Al wygłosił te słowa poważnie niczym biblijną przypowieść. – Pora na mnie! – powiedział i zniknął za barem, a jego obstawa podążyła za nim.

Gdy Al i jego ludzie szli tunelem, Heniek siedział i patrzył na swą kupę pieniędzy.

– Takich ludzi się nie ogrywa – wymamrotał.

– Al to honorowy gość, nie obrażaj go – powiedział McGurn. – Honorowy i kochający zabawę. Przegrał, ale się bawił jak rzadko kiedy!

– Powaga?

– Powaga. Przegrał w życiu pewnie z milion, na wyścigach, na walkach bokserskich, w karty, w numerki... Uwielbia to, on ma tyle pieniędzy, że wygrane go nie cieszą, chodzi o emocje. Zwijaj się, ja wychodzę od frontu, możemy cię podrzucić, chyba że chcesz pochodzić po mieście ze stówką w kieszeniach.

– Z dziewięćdziesięcioma pięćcioma, nie ze stówką...

– Ależ z ciebie upierdliwiec!

– Nie upierdliwiec, tylko dokładnie liczę, dlatego tyle dziś wygrałem.

– Łebski z ciebie gość – pochwalił go McGurn. – Kogoś takiego zawsze warto mieć pod ręką. Tylko nie pal tyle tego murzyńskiego gówna!

– Okay, okay! Przez całą grę paliłem papierosy.

– Paliłeś papierosy i były wyniki, no to co? Jeszcze po kolejce, po papierosku i możemy jechać?

– Możemy.

Teraz mógł jechać do samej Warszawy, z taką kasą mógłby wszystko, czuł, że to byłoby w tej sytuacji najlepsze. Był jednak niewolnikiem pewnego układu, zupełnie tak jak ludzie,

z którymi spędził wieczór. Każdy z nich miał pieniądze, dzięki którym mógłby żyć spokojnie do końca życia, ale oni odzwyczaili się już od spokoju, a spokojne życie od nich.

XVIII

Czy leci z nami pilot?

Heniek doszedł do siebie po tym, jak potraktowała go Patricia, ale nie skończył jeszcze balu, który rozpoczął pod koniec ubiegłego roku. Wygrana w karty utwierdziła go, że idzie właściwą drogą.

Listów od Leokadii już nie będzie, pozostały te od Stefy i Beniowskiego. Te pierwsze niosły ciepłe, ale rutynowe pocieszenia, te drugie były raportami. Zawsze czekał, że będzie w nich coś nowego, coś, co go zaskoczy lub ucieszy. I tym razem Stefa pisała, że wszystko jest w porządku, że dają sobie radę, że tęsknią i czekają. Nie wiedział, czy wierzyć jej słowom, w końcu potrafiła kiedyś napisać swoje pamiętniki tak, by były one dowodem na jego niewinność. Może i teraz kapitan Juliusz Beniowski dyktuje jej, co ma napisać, albo ona sama pisze tak, by go nie martwić? A może po prostu pisze, jak jest? On też pisał komunały, także wygładzał rzeczywistość i słał słowa pełne pocieszenia i optymizmu. Inaczej Beniowski. Jego listy były mieszanką raportu z przesłuchaniem. Tyle to a tyle pieniędzy z jego kasy wydane na rodzinę, adwokat stara się zakończyć jego sprawę, skompromitowany Denhel kieruje urzędem śledczym gdzieś na Kresach, a Wlazło rozplynął się w powietrzu. „Dwójka” była lepsza od Urzędu Śledczego, ale Beniowski nie potrafił dopaść zdrajcy. A może nie chciał?

Ronnie doszedł do siebie i pilnował interesu. Chłopak zrobił się pilny i odpowiedzialny. Zbliżający się ślub i dziecko odmieniły go, starał się jak nigdy i praktycznie kierował przedsięwzięciem. A Heniek korzystał z życia i ciągle mu było mało. Wymyślił sobie, że w Chicago jest klawo, ale zimno. Gdzie było ciepło? W Kalifornii! San Francisco, Los Angeles,

Beverly Hills, Hollywood! Chciał tego, ale przecież cały czas się oszukiwał, że to on kieruje interesem, a przecież nie mógł być szefem, jadąc autem w tę i nazad przez dwa tygodnie albo pulmanem w niemal tydzień.

W „Chicago Tribune” przeczytał notkę o tym, że nowe linie lotnicze Boeing Air Transport już od wiosny dwudziestego szóstego roku mają z Chicago regularne połączenie z San Francisco! Zupełnie jak w Polsce z Warszawy do Gdańska, Krakowa i Lwowa! Samoloty latały tam z Pola Mokotowskiego już od 1923 roku. Zamiast latać, szlifował wtedy warszawskie bruki, a później zaczął się dorabiać, kradnąc dla bandy Stefańskich. Czytał tylko plakaty zawieszane w witrynie biura Aerolloyda. Zachodził też pod biuro ich konkurencji, firmy Aero, i oglądał starty na Polu Mokotowskim. Na rok przed tym, jak Marszałek poszedł na Belweder, ruszyły regularne loty do Poznania, miał już wtedy pieniądze, ale co innego zajmowało mu głowę. A więc teraz albo nigdy! Zawołał Ronalda i wydał dyspozycję:

– Masz tu gazetę, piszą w niej, że już od zeszłej wiosny są połączenia lotnicze z Zachodnim Wybrzeżem, nazywają się Boeing Air Transport. Zadzwoń do nich i zapytaj o bilety do San Francisco!

– Ja bym tam to sobie odpuścił, bo to nie jest normalne, żeby coś większego i cięższego od auta latało w powietrzu. Jest szef pewien, że to dobry pomysł?

– Jak najbardziej.

– Na pewno? Ale szef się zastanowi!

– Już dawno temu, gdy po raz pierwszy zobaczyłem nad swoją głową sterowiec, podjąłem taką decyzję!

– Ale jest szef pewien, na bank?

– Przestań mnie pytać, chcę polecieć, jak jasna cholera!

Zadzwoń i powiedz mi w końcu, czy to możliwe, czy nie.

Po paru minutach Ronald wrócił, machnął ręką i powiedział:

– Okay, sam szef tego chciał. Można się dosiąść do tej choleralnej poczty, bo to w sumie samoloty pocztowe, które mają takie dwa specjalne miejsca. Czytałem o tym, bo jedna babka, ta walnięta reporterka z „Chicago Herald-Examiner”, poleciała pierwszym takim lotem.

– Nie opowiadaj mi o jakiejś lalce z „Herald-Examiner” ani o tym, co przeżyła, sprawdzę to sam! Zasuważ z gotówką i nie wracaj mi bez biletów!

– Szefie, ale ja się o szefa boję! Przecież te choleralne ptaki z drewna spadają, w lutym zwałił się taki jeden w Nebrasce, zginął pasażer!

– A pilot?

– Przeżył.

– No to jest nadzieja! – zaśmiał się Heniek, który słyszał o tym wypadku. Samolot wpadł w turbulencję i zleciał, tak jak zlatują z drogi auta, jeśli wpadną w kałużę albo poślizgną się na lodzie.

– A ubiegły tydzień?

– Chodzi ci o wypadek w Wyoming? Tam też było fifty-fifty, jeden zginął, a drugi przeżył.

– Z tego nie można się śmiać, to kuszenie losu!

– O nic się nie bój, spiszę testament i będziesz miał tam zapis, więc spokojna twoja głowa, że jak samolot się zwali, to nie będziesz miał za co żyć! – zaśmiał się Heniek.

Był w doskonałym nastroju i nic nie było go w stanie zmienić, pierwszy lot samolotem zbliżał się wielkimi krokami.

– Uważa szef, że ze mnie taka świnią, że myślę tylko o sobie i pieniądzech? Ja szefa lubię i nie chcę, żeby szef się

zabił w samolocie.

– To nie dawaj mi jeździć samochodem i chodzić po ulicach. W samym Chicago ginie rocznie kilkuset przechodniów i kierowców. Czytam gazety i wiem o tym! – Heniek zrobił sobie z Ronalda zabawę. – A najniebezpieczniej się robi wtedy, gdy daję ci prowadzić. Przecież ty jesteś prawdziwy szaleniec za kierownicą. Nie boisz się, że mnie kiedy zabijesz?

Ronald Kennedy wiedział, że nie przekona swojego szefa, więc darował sobie gadanie, że w jedną stronę taka przyjemność kosztuje dziewięćset dolarów.

Drogo jak skurczybyk, ale cena zawierała także dodatkowe usługi, bilety na pociąg i wynajęcie samochodu, tak by klient linii lotniczej mógł wygodnie podjechać pod same drzwi. Nie ma o czym gadać, byłoby to tylko niepotrzebne strzępienie języka i strata czasu. Zrezygnowany machnął ręką i poszedł załatwiać formalności.

Kilka dni później Heniek stał już na płycie lotniska, miał w ręku bilet i patrzył na maszynę, którą miał lecieć. Wiedział o niej niemal wszystko, boeing 40 był dwusilnikowym dwupłatowcem rozmiarów małych bombowców albo samolotów rozpoznawczych, które widział w czasie pochodu na Kijów i na warszawskich pokazach. Ta konstrukcja miała dobrą opinię, a czy to prawda, przekona się na własnej skórze. Kabina pilota była odkryta i umiejscowiona nieproporcjonalnie blisko ogona samolotu. Wysoki kadłub wypełniał luk na przesyłki pocztowe, miejsce dla dwóch pasażerów było w samym czubie maszyny, tam, gdzie w samolotach bombowych było stanowisko strzelca-obszernika. Wdrapał się po skrzydle do drzwiczek i wszedł do środka. Foteliki były ciasne, wewnątrz niezbyt przytulne i chłodne, ale przynajmniej zakryte przed wiatrem, a tymczasem pilot skryty był tylko za owiewką, jak kierowca

sportowego auta, więc niezależnie od pory roku ubrany był tak, jakby miał się mierzyć z polem lodowym albo przynajmniej z Syberią.

Heniek był jedynym pasażerem. Pilot zajrzał do niego i przywitał się serdecznie, przypominając, że Wciślak musi liczyć na samego siebie i że spotkają się dopiero podczas międzylądowania. Małe okienka sprawiły, że Heniek bardziej poczuł, niż zobaczył lot. Było to trochę jak podglądanie przez dziurkę od klucza, nie przypominało ani trochę widoków, jakie mieli pasażerowie odkrytych kabin, nie mówiąc już o załogach i gościach sterowców. Widział zdjęcia przedstawiające ludzi stojących na gondoli i patrzących na ziemię, tak jak patrzy klient eleganckiego sklepu na ekspozycję przygotowaną przez subiektów. Ruszył wraz z samolotem w górę, jakby był na potężnej huśtawce. Krajobraz migotał za okienkiem, dostał to, czego chciał.

Podróż do Oakland trwała bity dzień. Był zmęczony, ledwie stał na nogach, ale czuł się szczęśliwy. Międzylądowania, przeglądy i tankowanie samolotu, wymiana pilotów, a przede wszystkim uciążliwości spowodowane niewygodnym siedzeniem, wibracjami, skokami samolotu, które pilot nazwał turbulencjami, i przeszywające zimno nie zniechęciły go do kolejnych lotniczych doświadczeń. Mając za sobą pierwsze kroki w awiacji, zaczął marzyć o kolejnych. Cieszył się tym, czego doświadczał, planował już kolejne loty. Samolot i tak był półśrodkiem do zaspokojenia jego powietrznej żądz, ledwie etapem w drodze do gondoli sterowca. Lot wielkim cygarem, takim jak to, które zobaczył trzynaście lat temu nad Warszawą, stał się jego celem. Największym marzeniem. Lubił chodzić na lotnisko na Polu Mokotowskim i oglądać samoloty, a pokazy uwielbiał pasjami. Może powinien zostać pilotem? Pilotem,

podróżnikiem, inżynierem, oficerem... Nie został nawet maszynistą, był za to kasjarzem, kondotierem, gangsterem, krótko mówiąc, był dzianym cwaniakiem, więc mógł być prawie każdym!

Tylko pieniądze określały limit marzeń, jeśli zarobi ich więcej, popłynie sterowcem, a w kajucie będzie spał z jakąś młodą księżniczką albo z tancerką z kabaretu, aktorką lub córką milionerów... A czemuż by nie? Leokadia była córką wysoko postawionych rodziców, a Patricia żoną milionera. Mógł mieć każdą, arystokratkę, gwiazdę, milionerkę. Każdą, byleby była ładna i szalona. Na razie podróżował sam, ale nie cierpiał z tego powodu. Kobiety już zdobywał i to klawe, ale samolotem nie leciał, więc teraz, w tej bajce, były tylko przestworza, maszyna i on. Za trzy dni czekał go lot powrotny, zamierzał przez ten czas obejrzeć San Francisco i Los Angeles.

Linie lotnicze, zgodnie z umową, podstawily auto na swój koszt i w miarę szybko dostał się z lotniska do hotelu w Los Angeles. Nie był to dobry pomysł, powinien pierw zatrzymać się w San Francisco, a nie z miejsca walić w kierunku Hollywood. Samochód był wygodny, ale tłukł się nim prawie osiem godzin. W hotelu najpierw dał boyowi walizy, po czym wpisał się portierowi do książki jako Smith, będąc tylko na jednej, mieszczącej dwadzieścia pozycji, karcie dziesiątym osobnikiem o tym nazwisku. Hotel był w niebotyku, jakiego nie widział w Warszawie. Wyróżniał się nawet na tle tych nowojorskich, nie wydawał się, rzecz jasna, od nich wyższy, ale nie przypominał, jak tamte, wielkiego pałacu. Dość surowy, nowoczesny i lśniący nowością. Otwarto go równo rok temu. Nawet nazwa brzmiała luksusowo. Hollywood Roosevelt Hotel. Tak drogi i nowy hotel nie mógł być zapyziały, tylko przyjemnie pachnący nowością, a poza tym stał przy słynnym Hollywood Boulevard, o dwa

kroki od Chinese Theatre. Pójdzie tam jutro na film, bo być w Hollywood i nie zaliczyć filmu lub gwiazdy kina to jak pojechać do Rzymu i nie zobaczyć papieża.

Następnego dnia uważniej przyjrzał się hotelowi, który z zewnątrz wydawał się dość ascetyczny, ale w środku okazał się pełen przepychu. Był zupełnie jak jakaś gigantyczna hacjenda z filmu *Znak Zorro*. No fakt, przecież to gdzieś w tej okolicy miał swoją posiadłość Diego de la Vega, który jako Lis walczył z Hiszpanami o wolność Kalifornii. Walczył i kradł, czyli coś tak jak on sam, jak Heniek Wcisło. Właściwy człowiek na właściwym miejscu, pomyślał, jedząc śniadanie wśród palm otaczających basen. Podobało mu się tutaj, mógłby tu zamieszkać. Skręć, gdyby go miał, musiałyby wśród tych palm smakować wyjątkowo. Ale i bez tego było miło, zielono i bogato, oczywiście jeśli ma się pieniądze, ale on akurat miał. Teraz właśnie obejrzałby *Znak Zorro* z Fairbanksem, ale jak powiedział kelner, po drugiej stronie ulicy w Chinese Theatre grali *Podwójne życie* z Polą Negri. Fajno, pójdzie. Zanim wstał, kelner zażartował, że jakby poczekał dłużej, to zobaczy tu wszystkie gwiazdy.

– A to jakim cudem? – zapytał Heniek.

– Niemal codziennie ktoś tu mieszka, sprawdzę dla pana, kto tym razem – ukłonił się kelner. – Wkrótce mają tu wręczać nagrody dla najlepszych filmów i reżyserów, ma je dawać Akademia Filmowa. Spotykają się tutaj od roku i szykują do pierwszej gali.

– A kiedy ma być ta gala?

– Jesienią albo w przyszłym roku – zaśmiał się kelner.

– Ale chyba warto poczekać w tak przyjemnym miejscu?

Rozbawiło to Heńka i chętnie by poczekał, ale przecież w Chicago trzymały go interesy. Dał dowcipnemu kelnerowi

dychę i poprosił o polecenie kogoś, kto by go obwiózł dobrym autem po wszystkich atrakcjach. Gdy wyszedł z porannego seansu w Chinese Theatre, czekał na niego szofer zamówiony przez kelnera. Nie tracili czasu i ruszyli oglądać wille gwiazd.

– Pan z Chicago?

– Tak – odparł Heniek.

– A wie pan, że wozilem już kogoś z Chicago?

– powiedział dumnie i konfidencyjnym głosem dodał:

– Samego Ala Capone!

Niepytany zaczął, jak to szoferak, trajkotać, że Al też oglądał wille gwiazd i że stare posiadłości Mary Pickford podobały mu się bardziej niż te nowe. Heńkowi podobały się i te, i te, pięknie tu było, szkoda gadać. Góra Santa Monica i napis Hollywood, to też było fajne.

– Ma czternaście metrów wysokości i długi jest na ponad sto – nawijał kierowca. – A chcesz pan zobaczyć to, czego Al nie zobaczył? Bo wiesz pan, wydali go z miasta!

– A co miał obejrzeć?

– Studio filmowe!

Ta usługa kosztowała kolejne zielone papierki, ale było warto. Szoferak miał jakieś układy i udało mu się wprowadzić Heńka za bramę Metro-Goldwyn-Mayer.

– A wiesz pan, że to dwóch Żydków z Rosji i jeden z Nowego Jorku to wszystko zbudowali?

– Z Rosji?

– No tak, jeden to, pamiętam, jest z Warszawy, ten, co się nazywa Samuel Goldwyn!

Nie z Rosji, tylko z Polski, pomyślał Heniek i szybko uznał, że jako człowiek z Warszawy jest skazany na sukces w Ameryce. Na jeszcze większy sukces niż ten, który już odniósł. Odłożył ponad stówkę i żył tak, jak chciał, ale stać go

na więcej!

– Patrz pan! – wyrwał go z rozmyślania alarmujący szept.
– To ta Szwedka! – Kierowca pociągnął go za rękę. – Greta Garbo, jak rany, to ona!

Faktycznie, z hali zdjęciowej wychodziła wysoka i śliczna kobieta. Czasem spotkanie na żywo kogoś znanego tylko z ekranu rozczarowywało, ale Garbo wyglądała w rzeczywistości jeszcze piękniej. Ubrana była w strój podobny do płaszcza albo starodawnej sukni, co dodawało jej postaci powabu i tajemniczości. Przystanął i patrzył, by zapamiętać ten zjawiskowy widok.

– Kobieta Sfinks – wysapał kierowca, który tymczasem podskoczył do grupy pomagierów.

– Że co?

– Tak ją nazywają, a film ma tytuł *Pokusa*. A ten, ten z tubą, w kaszkiecie – Heniek pokiwał głową, że widzi – to John Robertson, reżyser. On przez tę tubę drze się na aktorów. Wyszli z hali, więc możemy zajrzeć.

Zajrzeli. Oczom Heńka ukazał się niezwykle obraz. W wielkiej hali stały makiety domów, całe ulice i krajobrazy z innych, odległych epok. Z sufitu zwisały lampy, pełno lamp...

– Napatrzyłeś się pan? To musimy się zmywać, nasz czas się skończył. Dokąd teraz?

– Do jakiegoś mokrego miejsca?

– Ha, ha, ha, zna się parę – ucieszył się kierowca.

– Niedaleko w Venice jest przyjemny lokalik u Cesara Menottiego, Del Monte się nazywa. – Widząc, że Heniek się waha, dorzucił jeszcze jeden argument: – Jest blisko oceanu, wspaniałe powietrze i wiaterek.

– No to jedziemy, lubię morze.

Więc ruszyli przez Venice, byli też w podziemnych barach,

do których wchodziło się z tuneli ciągnących się pod miastem. W Chicago były jeszcze dłuższe, podobno wożono nimi pocztę. Bawił się dobrze, choć brakowało mu jazzu. Tu też go grano, ale to nie było to samo, co w Chicago, choć z drugiej strony wiaterek od oceanu był przyjemny.

Autem podstawionym przez linie lotnicze pojechał z powrotem do San Francisco. Tam też sobie nie żałował. Poszedł nad ocean, dobrze zjadł i wypił, zaliczył podróż tramwajem, który przypominał kolejkę górską. Śmiertelnie zmęczony zwałił się do łóżka w hotelowym pokoju. Następnego dnia rano czekał go lot powrotny, a w zasadzie seria lotniczych skoków do Chicago.

Czuł się po tym wszystkim jak z krzyża zdjęty i uboższy o kilka tysięcy dolarów, ale szczęśliwy i pełen kolejnych planów.

XIX

Masakra w dniu świętego Walentego

Luty 1929 był wyjątkowo ciepły, ale nie na tyle ciepły, by nie tęsknić za słońcem Kalifornii. Najlepszą rzeczą do roboty o poranku było wylegiwanie się pod ciepłą kołdrą. Zwłaszcza w niedzielny poranek, następujący po solidnym ubawie. Heniek miał ochotę spać do południa, a może i dłużej. Jeszcze trochę, jeszcze z godzinkę. Najchętniej zostałby obudzony przez delikatne dłonie lub usta. Leżał jednak sam, a przebudzenie było brutalne i stanowczo zbyt wczesne. Telefon zadzwonił, jakby informował o pożarze. Spojrzał na zegarek, była ósma rano! Jeśli to Ronald z jakimiś duperelami, to wyrwie mu nogi z tyłka. Postanowił zignorować telefon, udało się, po jakimś dziesiątym dzwonku aparat umilkł. Minęło paręnaście sekund i sygnał odezwał się po raz kolejny. Zdał sobie sprawę, że to nie Ronald, na pewno nie, przecież wczoraj bawił się na jego weselu. Skoro nie Ronald, to kto?

Uparty skurwysyn, pomyślał. Albo kurwa.

Znów konsekwentnie przeczekał telefoniczny szturm, ale za trzecim razem nie wytrzymał. Uznał, że coś się musiało stać, skoro ktoś dobijał się do niego tak uparcie w niedzielny poranek. Podniósł słuchawkę i nim się odezwał, usłyszał:

– Dzieńdoberek. – To był Machine Gun. – Czas pograć, Henry, nie uważasz?

– W pokerka? – zachrypiał Heniek.

– Nieee, z tobą już nikt nie chce grać w karty, nie każdego stać na takie porażki. Ala tak, ale inni dadzą sobie z tym spokój.

– Ja też sobie daję spokój, lepiej nie wygrywać, królowie tego nie lubią.

– Ale nie Al, już ci to mówiłem – zaśmiał się McGurn.

– Dla niego to nie porażka, tylko kosztowna rozrywka! Stówka to dla Ala jak splunąć, a on przecież przegrał pięć dych.

– Sześć – wychrypiał Heniek. – Na początku każdy dał po dziesiątce, a później zagraliśmy z Alem o pięćdziesiąt.

– Nie pieprz jak Greasy Thumb, od kiedy to z ciebie, kurwa, się taki księgowy zrobił? – McGurn był coraz bardziej zniecierpliwiony. – To jak, grasz?

Heniek potrzebował chwili skupienia, lecz zanim mechanizm w skacowanej głowie zatrybił, w słuchawce ponownie odezwał się głos Machine Guna:

– Zasnąłeś? Masz kaca? To przyda ci się godzinka na świeżym powietrzu.

W końcu zrozumiał, o jaką grę chodzi cynglowi Ala!

– Chcesz grać w golfa, Jack? – zapytał ze zdziwieniem.

– No brawo, zgadłeś! Mamy ciepłą zimę, więc poudierzamy trochę na *driving range* 'u[43], okay?

– Okay, ale...

– Walnij klina i bądź u mnie za pół godziny, Oak Park 1114 Kenilworth. Cześć, chłopaku!

Nim Heniek zdążył odpowiedzieć, słuchawka telefonu McGurna wylądowała na widełkach.

Nie lubił tego, nie lubił pośpiechu i takich telefonów. Niepotrzebnie odebrał, musi więc jechać na partyjkę golfa, choć miał inne plany. Dobrze, że chodzi tylko o grę, jest tysiąc pomysłów, z którymi mógłby zadzwonić do niego Jack McGurn, i każdy z nich mógłby mu skomplikować życie. Zadzwonił na portiernię, by złapali mu taksówkę, a sam wziął się do mycia i ubierania. Spakował kije i ruszył w drogę do Oak Park, gdzie mieszkał Jack. Było to eleganckie przedmieście, mieszkali na nim ludzie majątni, których stać było na dobry adres i piękną posiadłość. Tacy byli także chłopcy z ferajny: Jack White,

zwany Trójpalcym Jackiem, i Machine Gun, którzy wprowadzili się elicie na jej dzielnicę. Ale w końcu nie było się czemu dziwić, żaden z wielkich nie wydałby swojej córki za gangstera, ale co drugi bywał z nimi na tych samych salonach, a niemal każdy pił dostarczany przez nich alkohol.

Niektórzy legalnie handlują bronią, truciznami i zarządzają sieciami zakładów pogrzebowych, inni wyzyskują tysiące robotników, nabijają ludzi w butelkę, udzielając pożyczek i naciągając na kupno akcji, a jeszcze inni nielegalnie handlują alkoholem, który wszyscy niemal legalnie piją. A wszyscy razem robią interesy, chleją, chodzą na dziwki, do kasyn oraz na wyścigi. I tylko sobota z niedzielą sprawiają, że ich drogi się rozchodzą, bo jedni idą na szabas do synagogi, a drudzy na pamiątkę zmartwychwstania odwiedzają kościoły. Wszyscy i tak spotkają się w The Loop i to z rodzinami, w drogiej knajpie lub w operze.

Większość gangsterów mieszkała tak, jak się prowadziła, ubierała i bawiła – na bogato. Al Capone był wyjątkiem, bo żył z rodziną w dość skromnym domu. Może miał upartą matkę albo żonę? Fakt faktem, dom miał niewyglądny, a najlepiej się czuł w hotelu Lexington i na Florydzie. Po półgodzinnej jeździe taksówka stanęła pod piętrową willą z żółtej cegły. Okna i drzwi obramowane były jasnym kamieniem, a spadzisty dach pokryty dachówką. Uroczy domek, w którym mieszkał jeden z najskuteczniejszych morderców w Chicago, a może i w całej Ameryce. Nad wejściem był balkon, na którym stał Machine Gun. Gangster palił papierosa.

– Ooo, jesteś – wyraził zdziwienie, jakby Heniek mieszkał tuż za rogiem.

– Dojazd do ciebie zajmuje ładnych parę minut.

– Zmień adres, tu jest ładnie!

– Lubię miasto i wysokie domy – odparł Heniek.
– Znudzi ci się i zamieszkasz kiedyś w podobnym miejscu
– zaśmiał się Machine Gun. – Już schodzę, mój kierowca czeka.

Parę minut później jechali cadillakiem, a Jack McGurn wyciągnął piersiówkę i bardziej zakomenderował, niż zaproponował:

– Łyknij, poprawi ci się nastrój!

Łyknął, a później, gdy dojeżdżali na miejsce, raz jeszcze.

– Co takie małe łyczki? – zaśmiał się McGurn. – Tu nie chodzi o smak, tylko o zdrowie. – To lekarstwo, a nie alkohol, nie ma boli, trzeba pić! W torbie z kijami mam jeszcze jedną piersiówkę, starczy na grę.

Dojazd zajął im mniej niż dziesięć minut, bo choć Jack był udziałowcem w Evergreen, to bliżej domu miał Columbus Park.

– Tu mniej ludzi mnie zna i jest bliżej – wyjaśnił.

Heńkowi to pasowało, chciał pograć z Machine Gunem, odwalić towarzyski obowiązek, wrócić do domu i pójść spać. Jeszcze parę kolejek z piersiówki i będzie miękki w nogach. Całe szczęście, że tylko taki był kaprys gangstera, zawsze mogło być gorzej. Wszystko wyglądało na zwyczajną rozgrzewkę przed sezonem wiosennym, o ile zwyczajna może być gra w golfa na polu, którego sporą część pokrywał śnieg. Kogo innego być może by splawiono, ale telefon od człowieka pokroju Jacka McGurna otwierał poważniejsze drzwi niż te, które miał klub golfowy w Chicago. Tłukli sobie w dal, stojąc obok siebie i zamieniając od czasu do czasu po parę zdań. O filmach, kobietach, samochodach i sporcie. Ze dwa razy zapalili, od czasu do czasu pociągnęli z piersiówki i tak mijał im czas. O dziwo, Jack miał rację, kac zaczął mijać i Heńkowi grało się coraz lepiej. Po półgodzinie Machine Gun nagle przestał i dał do zrozumienia, że zabawi się w nauczyciela. Heniek oddał kilka

uderzeń, a McGurn patrzył zamyślony.

– Okay, całkiem nieźle, ale może być lepiej, płynniej. Swing, kumasz? To musi być swing! Popatrz, zrobię to wolniej, bez uderzenia w piłeczkę, sam ruch.

Faktycznie był bezbłędny, poruszał się płynnie i harmonijnie jak tancerz w walcu. Był z pozoru powolny, potem coraz szybszy i ruszał biodrami z tym wyczuciem, którego Heńkowi zawsze brakowało.

– To jest właśnie swing! – pochwalił siebie samego Jack McGurn. – A teraz na pełnym gazie! Walnę pod tabliczkę oznaczającą dwieście pięćdziesiąt jardów.

Machine Gun wykonał niezwykle silne uderzenie, piłeczka szybowiała, a on jakby od niechcienia rzucił w kierunku Heńka:

– Szykuje się robota, raczej nie planuj niczego na Środę Popielcową, następnego dnia masz być na chodzie, trzeźwy i gotowy.

Ostatki były dwunastego, a środa popielcowa trzynastego lutego, po niej następował tajemniczy czwartek. Co się tego dnia wydarzy? Bo chyba nie chodzi o to całe święto zakochanych. Tymczasem piłeczka wylądowała na polu, tuż obok tabliczki z napisem 250 y.

– Dobry strzał! – Mimo komunikatu, który mógł oznaczać wszystko, Heniek nie zdołał się powstrzymać, by nie skomentować wyczynu Jacka.

– Dobry, ale nie doskonały – zaśmiał się Jack. – A my mamy być doskonali. Na dziś kończymy, nie jest aż tak ciepło, jak myślałem, poza tym interesy wzywają.

Po drodze do domku klubowego gangster wyjaśnił Heńkowi, co go czeka.

– W Dzień Świętego Walentego, czyli w czwartek, czternastego, mamy małą wyprawę na North Side. Dostałem

cynk, że goście od Morana trzymają w swojej siedzibie ładną sumkę. Rezydują w okazałym garażu przy North Clark Street 2122. Zwykle nie bawimy się w takie rzeczy, ale tu chodzi o ściągnięcie długów. Te łachmyty nie płacą Alowi działki, a wpięprzają się w nasze interesy. Gównozjady nie płacą, więc zapłacą, co nie?

Heniek pokiwał głową, zastanawiając się, jaka w tym wszystkim ma być jego rola.

– Mogą nie chcieć otworzyć kasy, zresztą to kasa na dwa zamki, jeden klucz ma Moran, a drugi... Tego nie wiemy. Tak czy owak, zrobimy im niespodziankę. – Machine Gun uśmiechnął się, jakby chodziło o jakiś żart. – Weźmiemy ich na muszkę, a ty pomajstrujesz i chodu! Niby można palnikiem, ale mają pewnie kasę z trucizną w ściankach.

Heniek pokiwał głową, amerykański patent zabijał nieostrożnych złodziei jak muchy, znał go doskonale, przecież sami robili takie kasy na zamówienie.

– Zresztą szkoda czasu na takie pierdoły jak butle z gazem, te wszystkie graty, a potem prucie, maski gazowe i tak dalej. Ty jesteś czempionem, pokazałeś mi to w Green Mill.

– Tam był śmiech, a nie kasa.

– Nie pieprz, jesteś w tym dobry, czuję to. Rach-ciach i będzie po wszystkim. A zemsty się nie bój – ciągnął Jack.

– Postawimy gamoni twarzami do ściany, nie będziemy do ciebie mówić po imieniu, a ty nie będziesz się odzywać. Gra?

Musiało grać, nie było innego wyjścia.

– Okay, wszystko w porządku, skompletuję narzędzia. Nie będzie z tego nowej wojny?

– Nieee – zaśmiał się Jack McGurn. – Oni nigdy się nie dowiedzą, kto to zrobił! To co? Jeszcze po kolejecze?

Nie było wyjścia, pewnym ludziom trudno odmówić,

a poza tym był już na dobrej fali. Miał nadzieję, że alkohol utopi wątpliwości. Następna runda wzmogła miły szum w głowie, ale nie poprawiła nastroju. Prowadził tu spokojne życie, robił swój szemrany interesik, było mu dobrze i nie potrzebował żadnych drak. Ale z tej nie mógł się wykręcić. Czuł się podobnie jak cztery lata temu, gdy Julek Beniowski i jego koleżka z „dwójki” wciągnęli go w skok na czerwoną kasę. Wtedy ratował własny tyłek, ale przy okazji zrobił też coś dla Polski. W najbliższy czwartek będzie chodziło wyłącznie o jego własną dupę i interesy. Przybocznemu Ala Capone, który dawał mu zarobić, nie można było powiedzieć nie, to był jego obowiązek. A najważniejsze w tym wszystkim było to, że nie szykowała się żadna mokra robota.

Temperatura znowu spadła, mroźne powietrze przeszywało Heńka na wylot, tegoroczne walentynki zostaną zapamiętane jako niemiły czwartkowy dzień, który nabierze temperatury dopiero wieczorem. Jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, to po robocie sobie zabaluje. Chcąc nie chcąc, musiał zwlec się z łóżka i jeszcze raz zatelefonować do Ronniego.

– Pamiętasz, że dziś mam umówione spotkanie i będę dopiero po południu?

– Się wie, szefie, się pamięta – zaśmiał się chłopak. – Będę szefa zastępował!

– Okay, sprawuj się dobrze, chłopaku!

Heniek spakował graty. Nie było ich wiele, wytrychy i stetoskop, wszystko to trzymał w skórzanej lekarskiej torbie. Wciągnął na siebie gruby płaszcz, zabrał szalik, rękawiczki i kapelusz, dobrał zestaw nierzucający się w oczy, szedł przecież na robotę, na poważną robotę. W umówionym miejscu podjechał po niego lincoln, za którego kierownicą siedział szofer Jacka. Heniek usiadł z tyłu koło cyngla Ala i ruszyli w kierunku North

Side. Jechali powoli i bez pisku opon, bez zbędnego zwracania na siebie uwagi. Stanęli dwie przecznice od North Clark Street i czekali. Ciekawe na kogo? Heniek aż podskoczył, gdy zatrzymał się koło nich czarny policyjny wóz. Wychylił się z niego mundurowy, który niedbale zasalutował Machine Gunowi.

– Wszystko okay? – zapytał gangster.

– Prawie – odparł policjant.

– Co znaczy prawie? – Machine Gun był zaniepokojony.

– Otarł się o nas samochód kuriera.

– I co?

– Zwróciliśmy mu uwagę – zaśmiał się mundurowy. – Był zesrany aż miło, fajnie być glina! Pogroziłem mu palcem, a on kłaniał się jak Żyd w synagodze!

– Spisaliście go? Daliście mandat?

– Chyba żartujesz?

– Nie żartuję! Czy widzieliście, żeby glina za zarysowanie samochodu nie przysolił mandatu?

– Nie mamy druczków, nie wiemy, jak to się robi!

Machine Gun machnął ręką, ale był już podminowany.

Zaczęło się od lekkiego smrodu, ten kurier może ich zapamiętać. Może, może... Kurwa, na pewno ich zapamięta. Nie było jednak czasu na roztrząsanie wątpliwości.

– Zajeżdżajcie do garażu, my będziemy za dwie minuty.

– Okay, będzie tak, jak się umawialiśmy.

Gliniarski samochód pojechał, a Machine Gun wyjaśnił Heńkowi:

– To nasi ludzie, dwóch mundurowych i tajniacy. Będą udawać gliniarski nalot, a my wejdziemy tam jako tajni agenci federalni. Są w komplecie, bo umówiliśmy się z nimi na dostawę whisky. My, czyli nasi ludzie podszywający się pod chłopaków

z Detroit. Czekają, że przyjedzie ferajna, która da im dobry pieniądz za ich alkohol. Za ich alkohol na naszym terenie, bez naszego procentu. Skurwysyny... – Jack splunął przez otwarte okno auta. – Ale tym razem wszystkie pieniądze trafią do właściciela, i to z zaległymi odsetkami. Pięknie to wymyślone, prawda?

Faktycznie plan trzymał się kupy. Poczekali trochę i ruszyli. Zaparkowali obok gliniarskiego auta. Jack McGurn i Heniek wysiedli i czekali w napięciu. Po chwili uchyliły się drzwi garażu i stanął w nich mundurowy. Dał im znak ręką, więc weszli do środka. Pod ścianą stało siedmiu gości. Słyszając kroki, drgnęli, wtedy policjant warknął:

– Nie oglądać się, to tajni agenci federalni!

Do policjantów dołączyło dwóch ludzi Machine Guna, rozchyliłi jesionki i wyciągnęli pistolety maszynowe. Stojący pod ścianą nie wiedzieli, że teraz są na muszkach dwóch łuf mogących w kilkanaście sekund wypluć z siebie deszcz ołowiu. Policjanci usunęli się na bok, przypominali jednak o swojej obecności.

– Nie ruszać się! Hej, ty drugi z lewej, przestań się wiercić! Oprzyjcie wszyscy łapy na ścianie!

– Ja jestem tylko optykiem, nazywam się Reinhardt Schwimmer, czy to już zakazane zrobić komuś dobre okulary?

– Gównu mnie obchodzi, kim jesteś. Nie pajacuj, stój równo i spokojnie!

– My jesteśmy spokojni, ale słyszę, że to psy się grzeją – wypalił jeden z gangsterów.

– Stul pysk, bo to ty będziesz szczekał. Interesuje nas tylko to, gdzie jest Moran.

– Tam, gdzie ma być!

– Już mówiłem! Nie pyskuj, stój spokojnie i odpowiadaj na

pytania!

McGurn dał Heńkowi znak i ruszyli na zaplecze. Wtedy jeden ze stojących odwrócił głowę.

– Machine Gun? – wykrzyknął zdziwiony i sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

To było ostatnie, co zrobił w życiu. Dwie lufy thompsonów plunęły gradem kul, rozległ się hałas, jakby byli we wnętrzu maszyny do pisania rozmiarów samochodu albo nawet lokomotywy. Skowyt rozstrzeliwanych szybko przestał się przebijać przez miarową pracę automatów, a powietrze wypełnił zapach prochu, dym i pył. Kule rozbijały ciała i ściany, tynk sypał się, tworząc z dymem chmurę. Ciała mężczyzn osuwały się po ścianie, a następnie wiły na podłodze, krew bryzgała na boki. Po kilkunastu sekundach, gdy wszyscy leżeli już na ziemi, strzały ustały. Dla pewności jeden z egzekutorów, typ z niesamowitym zezem, wyciągnął obrzyn i oddał dwa strzały. Zez mu nie przeszkodził, ciała pokryły się śrutem jak trzeba.

– Kurwa! – zaklął jeden z policjantów. – Musimy się zmywać, zaraz przyjedzie połowa glin z Chicago!

McGurn był wściekły.

– Czemu pytałeś ich o Morana?

– Bo go tu nie ma! – odparł mundurowy.

– A ten? – Machine Gun wskazał na jednego z trupów.

– Po mojemu to Albert Weinshank, skurczybyk jest podobny do Morana, jakby był jego bratem. Sylwetki mają identyczne, ale twarze różne.

Policjant odwrócił zwłoki, mimo że dwie kule rozbiły twarz, McGurn pokręcił głową.

– Cholera, to faktycznie nie on. Ile czasu potrzebujesz na tę kasę? – zwrócił się do Heńka.

– Nie wiem, muszę ją zobaczyć.

– Dawaj!

– Machine Gun, zmywamy się! – krzyknął mundurowy.

McGurn nie słuchał policjantów, ale przystanął i krzyknął do nich:

– John, Fred, wiejcie lincolnem! – Jack McGurn rzucił kluczyki w kierunku egzekutorów, a ci, nie pytając o nic, dali nogę. – Chłopaki spadają naszym autem, a nas wyprowadzicie jako aresztowanych, zyskamy na czasie! – wyjaśnił fałszywym policjantom, co mają robić. – Jak będziemy walczyć z sejfem, to pobawcie się w gliny i spiszcie zabitych. No co się, kurwa, gapisz, sprawdź, kogo od dziś brakuje na liście płac u Morana!

Wbiegli z Heńkiem do pokoju na zapleczu, był tam pancerny sejf z otwartymi na oścież drzwiami. Heniek odetchnął z ulgą, bo McGurn był tak do tego wszystkiego zapalony, jakby zakładał, że otwarcie sejfu to dla fachowca jak otwarcie puszki konserw. Szafa była prymitywna, z tym, że na dwa zamki, Heniek otworzyłby ją w trzy miga, ale w trzy miga mogła się tu także zjechać połowa chicagowskich psów. Skupił się, wyteżył umysł, wykonał precyzyjne ruchy i... Rozległo się miłe kliknięcie, a po nim delikatne skrzypienie drzwi. Nie nasmarowali, co za flejtuchy, a przede wszystkim zostawili kasę otwartą! Co jest grane? – pomyślał.

Nie zdążył sobie odpowiedzieć na to pytanie, bo Jack McGurn odepchnął go, jakby się chciał wpakować do środka szafy.

– Kurwa – jęknął Machine Gun. – Kurwa mać, pieprzyć to! – przeklął po raz kolejny. – Pusty, nie mieli już pieniędzy, czekali na to, co dostaną od nas!

Weszli z powrotem do wnętrza garażu, gdzie leżało siedem posiekanych kulami ciał.

– Wiejemy! – rzucił McGurn. – Wiejmy, bo, kurwa, mamy

dzisiaj pecha.

– To chyba oni mieli pecha – powiedział Heniek, patrząc po raz ostatni na ludzi Morana.

– Mieli, kurwa, pecha od momentu, w którym związali się z Moranem! – wrzasnął McGurn. – A teraz skończ pieprzyć trzy po trzy, tylko zagraj mi pięknie zaaresztowanego przez psy zabójcę.

Wyszli przed garaż prowadzeni przez mundurowych, a żeby było naturalnie, trzymali do góry ręce.

Spokojnie weszli do auta i ruszyli. Ze wszystkich stron słychać było walenie policyjnych gongów, klaksony i gwizdki. Wyrwali z piskiem opon i pojechali w kierunku The Loop.

– No i co? – zagadnął mundurowych McGurn.

– Co, co? – odpowiedział ten, który prowadził samochód.

– Pięć minut jesteś gliną i już zgłupiałeś? – warknął McGurn. – Mieliście ustalić, kogo kropnęliśmy!

– Aaa, no tak – zmitygował się drugi policjant. – Po pierwsze, to właściciel tej budy Adam Heyer, a drugi to ten podobny do Morana, czyli Al Weinshank.

– Kojarzę go teraz, to kutasina, co siedzi w związkach.

– Siedział – poprawił go z uśmiechem gangster. – Kolejny to James Clark, cyngiel Bugsy’ego. – Jack McGurn kiwnął głową, bo doskonale znał Clarka. – To on narobił kłopotów, bo cię rozpoznał i chciał nas powystrzelać, ale mu się trochę nie udało.

– Z czego się cieszysz? – uciął gniewnie McGurn. – To nam się nie udało, mieliśmy trafić Bugsy’ego Morana, to był główny cel, a reszta miała być przy okazji. Wyliczaj dalej!

– John May, mechanik i kasiarz, oraz bracia Gusenbergowie.

– To sześciu, a siódmy?

– To jakiś frajer, który się przypadkiem zaplątał, zresztą mówił, że jest optykiem.

– W sumie i tak jesteśmy na plusie, zaliczyliśmy punkt z przyłożenia, a oni żadnego. Jest sześć zero dla nas.

Heniek wyczuł, że Machine Gun robi dobrą minę do złej gry.

– Nie odważą się szybko podnieść łbów, to była dla Morana lekcja, że my nie żartujemy!

Nikt się nie wtrącał. I przebierańcy w policyjnych mundurach, i Heniek wiedzieli, że McGurn uklepuje teraz wersję dla Ala i sam się do niej przekonuje, a jedno niepotrzebne słowo mogłoby doprowadzić do wybuchu.

– Co tak, kurwa, milczycie?

– Zastanawiam się, co dalej, pewnie wszystkie psy z wyjątkiem naszych dostały szału! – zaśmiał się Heniek.

– Powyskakiwały z psiarni, węszą i ujadają! Słysząc, jak krążą po mieście, jakby im kto dupy terpentyną posmarował. Taki widok jest bezcenny, choć oczywiście lepiej im teraz nie wchodzić w drogę.

Żarcik spodobał się Machine Gunowi.

– Taaa, latają w wywieszonych ozorami. – Zaśmiał się i uderzył z zadowolenia dłonią o kolana. – Wszyscy jadą na North Side, a my do Loop, zgubimy się w tłumie! – Napijesz się?

Heniek nie miał w tej chwili ochoty na cokolwiek. Oglądanie egzekucji siedmiu ludzi, nawet jeśli byli gangsterami, nie nastrajało pozytywnie.

– Napijesz się? – powtórzył McGurn i podetknął Heńkowi piersiówkę z whisky.

Pociągnął solidny łyk...

– Zabawimy się?

– Potrzebuję trochę spokoju – uciął Heniek.

– Co jest? – zaśmiał się gangster. – Nie raz i nie dwa widziałeś pewnie podobne rzeczy, sam też strzelałeś! O dwóch razach wiem, odjechałeś dupka od Dutcha Schultza i tego Koszernego Rekina, o co więc chodzi? Owszem, poszło trochę nie tak, ale to nie były anioły. Powiem ci nawet, że im się należało, szkoda, że sejf był pusty, ale mówi się trudno i żyje się dalej, a Morana dopadniemy kiedy indziej. No, Henry, rusz tyłek, umówmy się na drinka! Nie teraz, wieczorem, bo jakby się kto pytał, dzisiaj byłem i jestem u Louise, a ty masz jakieś blond alibi? Najważniejsze to mieć dziewczynę, która wygląda jak milion dolarów, jest dobra w łóżku i wie, co powiedzieć policji!

Nie miał, więc wrócił do domu i to, co wypił z McGurnem w samochodzie, poprawił szklaneczką whisky. A potem jeszcze jedną, po której zadzwonił do Ronalda.

– Cześć, Ronnie, wezmę dziś sobie wolne, chłopaku. To spotkanie było męczące, a ja wczoraj trochę zabalowałem.

– Okay, szefie, wszystko ogarnę, można na mnie liczyć!

– Dobra, a jakby było coś pilnego, to dzwoń, cały czas będę w domu.

Położył się na kanapie i nalał sobie jeszcze jedną porcję whisky. Jak tak dalej pójdzie, to zaraz zrobi się na perłowo.

Im więcej pił i im więcej myślał o tym, czego był świadkiem, tym bardziej dochodził do wniosku, że Machine Gun zrobił to, co zaplanował, tyle że w innej kolejności. Na pewno chciał ich rąbnąć, może nie wszystkich i nie od razu. Na bank chodziło mu przede wszystkim o wykończenie Bugsy'ego Morana. Heniek sądził też, że McGurn zakładał, że znajdzie przy Moranie i jego księgowym klucze, a jego zabrał tylko tak, na wszelki wypadek. Wszystko poszło na opak, zamiast zabrać po ogołoceniu kasy grube ryby na przejażdżkę, kropnięto

wszystkich i to niemal na dzień dobry, a kasa stała przed nimi otworem. Drzwi miała uchylone szeroko jak uda kurwy i była w środku pusta. Kurtka na wacie, przyjechał tam kompletnie niepotrzebnie, był tam na gwizdek i choć nic nie zrobił, to jednak ubabrał się po uszy. Obciążył się ponurą wiedzą i obecnością, bo jakby co, to dla glin i tak będzie współuczestnikiem i współnikiem zbrodni.

Nie miał wątpliwości, że psy z całego miasta, a i pewnie federalni, zainteresują się tą sprawą. Bywały różne cyrki, podróże w jedną stronę, rozwalanie kogoś w knajpie, dyskretne zaciśnięcie garoty na szyi czy kosa wsadzona między żebra w jakimś ciemnym zaułku. Zabijano pojedynczo, czasem parami, bywało, że w strzelaninie ginęły i trzy osoby. On sam miał na koncie udział w dwóch zabójstwach, w tym jednej egzekucji na zlecenie, ale czegoś takiego jak to, co się stało w garażu przy North Clark Street 2122, jeszcze w tym kinie nie grali. Popołudniowe gazety wypełnią się informacjami, a radio już pewnie grzeje o tym w kółko i na okrągło. Jemu już się nie wydawało, on był pewien, że tym razem Al Capone i Machine Gun przesadzili. On też, bo w krótkim czasie wtłoczył w siebie prawie całą flaszkę whisky. Głowa mu opadła, zasnął na dzieciola, ale tylko na moment. Gdy nadszedł sen, który miał mu przynieść ukojenie i odciąć od niechcianej rzeczywistości, obudził go telefon. Dzwonił Ronald.

– Wie szef, co się stało?

– No co takiego? – Doskonale wiedział, o co chodzi, ale zgrywał głupa.

– Na North Side rozwalono siedmiu gości od Bugsy’ego Morana, prawdziwa masakra!

– Opowiadasz!

– Tak było! Siedem trupów, sześciu gangsterów Morana

i jakiś gość, który przypętał się tam przypadkiem. Podziurawieni jak sito, normalnie western jak w kinie i to wszystko w Dzień Zakochanych!

– No, faktycznie jak w kinie, fiu, fiu – zagwizdał bełkotliwie do słuchawki Heniek. – Całe szczęście, że trzymamy się od takich spraw z daleka.

Trzasnął jeszcze szklaneczkę i zapalił lucky strike'a. Po dopaleniu papierosa rozciągnął się na kanapie. Obudził się pod wieczór, wstał i zaświecił światło. W głowie huczało, ale nie czuł bujania, pewnie stał na dwóch nogach i mógł się zmierzyć z rzeczywistością. Prysznic, szykowne ciuchy, rolka dolarów do kieszeni i trza z fasonem ruszyć w miasto, pomyślał.

XX

Million dollar baby

Tego wieczoru postanowił wyjść na miasto sam. Pojechał do Tower Town, dzielnicy na bliskim North Side. Była to okolica wokół starej wieży ciśnień, która stała przy Michigan i Chicago Avenue. Wieża, jako jedna z nielicznych budowli w mieście, przetrwała wielki pożar[44]. W okolicy było mnóstwo klubów, kawiarni i knajp, w których rządzili artyści. Bawiono się klawo, więc można tam było spotkać przeróżnych ludzi. Pisarzy, poetów, malarzy, kurwy, żebraków, uczonych, bandziorów i adwokatów. Brakowało za to gangsterów, a tych Heniek nie chciał widywać. Najważniejsze w tym wszystkim były flapperki, wyzwolone młode kobiety, takie, na których nieświadomie wzorowała się Leokadia. Samodzielne, niezależne i przebojowe. Lodzia nie wyobrażała sobie jednak, dokąd dochodzą granice tych swobód. Dziewczyny i kobiety zza oceanu były jeszcze bardziej do przodu, a swoją walkę o kobiecą wolność opierały na zabawie, pijaństwie i paleniu tytoniu, szukały też okazji do tego, by zrobić parę przyjemnych rzeczy bez zobowiązań.

W poszukiwaniu takiego towarzystwa wszedł do Dill Pickle Club, krzyżówki kabaretu z warszawską Ziemiańską i herbaciarnią Grubego Joska. Były występy, a publikę, wśród której nie brakowało miejscowych tuzów pióra i pędzla, uzupełniali ludzie z różnych parafii, także tacy, co wyglądali na włóczęgów. Było gwarno, a w powietrzu unosił się gęsty dym papierosowy. Akurat wystawiano jakieś przedstawienie, które bardzo zajmowało publiczność. Jego jednak nie wciągnęło, nie znał tych literatów, ich książek, nie rozumiał żartów i zawiłych wywodów. Wypił ze dwie kolejki i odbił się od kaca, który

pozostał mu po przedpołudniowym pijaństwie. Klin dodał energii, więc pozełgował dalej, do kolejnej wyspy chicagowskiej bohemy. Little Club, The Paradise, Tent i w końcu Kelly's Stables. Wszedł do tego ostatniego lokalu, bo tam grali jazz. Od razu mu się spodobało, nie było recytacji, mędrkowania i nadętej artystowskiej atmosfery. Towarzystwo było weselsze i co najważniejsze, widział więcej młodych, dobrze wyglądających kobiet.

Usiadł z boku, sączył whisky i lustrował salę. Zamówił też coca-cole, która była popularniejsza niż soki czy oranżady. Whisky, na którą trafił, nie była jakaś szczególna, więc zapijał ją tym napojem. Alkohol coraz mocniej krążył w jego żyłach, coraz skuteczniej pozwalał zapomnieć o tym, co stało się w garażu przy North Clark Street. Życie znów stawało się znośne i barwniejsze, a kobiety coraz atrakcyjniejsze. Zwłaszcza jedna. Patrzył na nią od dłuższego czasu, siedziała przy barze w mieszanym damsko-męskim towarzystwie. Byli dobrze ubrani, hałaśliwi, ale grzeczni. Złota młodzież, synkowie z kasą i wyzwolone córeczki, które postanowiły pokazać, że kobieta może mieć w życiu coś więcej niż męża, dzieci i prawa wyborcze. Z pozoru nie wyróżniała się niczym, tak jak inne miała odsłonięte ramiona i nogi, które eksponowała, siedząc na stołku barowym, krótką fryzurę, fikuśny kapelusik, makijaż i sznur pereł obracanych w palcach. Jej towarzystwo szalało na parkiecie i się obściskowało, ale ona tańczyła mniej i nie spoufalala się z nikim. Miał wrażenie, że zabrała się z nimi, ale wrócić chciała z kim innym.

W tym lokalu ludzie nie mieli kłopotu, by dobrać się w pary, kontakty nawiązywano szybko, alkohol i taniec zmniejszały dystans. Ale ona nie rzucała się na byle co, siedziała jak wytrawny łowca, czekając na grubego zwierza. Taksowała

otoczenie, pijąc drinki i paląc papierosa w długiej fifce. Niby siedziała, była w miejscu, ale zachowywała się trochę jak wyścigowa klacz przed startem. Był w niej jakiś nerw, energia i siła. To ją wyróżniało, ta poza niby niezainteresowanej, obojętnej panny, która tak naprawdę non stop lustrowała towarzystwo w Kelly's Stables. W tej pozornie zwykłej dziewczynie było coś wyjątkowego, coś, co miała w sobie Leokadia. A może tylko mu się tak wydawało, może na siłę szukał cech podobieństwa, tymczasem ona była może jakaś nienormalna, felerna? – przemknęło mu przez głowę. Zezowata albo jeszcze inaczej ułomna?

Gdy podszedł bliżej, dostrzegł, że nic jej nie brakuje, była ładna, ale nie jak Joan Crawford. Miała jasne włosy, w oczach coś czupurnego, awanturniczego i bardzo niezwykłego. Wyobrażał sobie, że musi też ładnie pachnieć. Heniek przemieszczał się coraz bliżej baru, aż w końcu, gdy wszyscy znajomi dziewczyny poszli na parkiet, stanął obok niej. Owszem, pachniała ponętnie. Panna prima sort, prawdziwe cacuszko, coś dla niego! Alkohol wyostrzył jego ciekawość i osłabił czujność. Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę z tego, że stoi przed nią i gapi się jak na towar wyłożony na sklepowej wystawie. Dostrzegła go i obejrzała z zainteresowaniem, a on uchylił grzecznie kapelusza.

– Blisko, coraz bliżej, aż w końcu doszedłeś do baru.

– Mówiąc, okręcała na palcu sznur pereł. – Myślałam, że zdążę wyjść, zanim cię obejrzę z bliska.

A więc to nie tylko on patrzył na nią, także ona zerknęła na niego. Nie zauważył tego, musiała być z niej niezła spryciara.

– Co mogę pani zaproponować? – zapytał, uśmiechając się szeroko.

– Mary Pickford, mój nieznajomy... – Skarciła go za to, że

się nie przedstawił, ale zrobiła to w sposób, który nie odpychał, lecz przyciągał jeszcze bardziej. Miał nadzieję, że nie była kurwą. Słyszał o takich, które wyglądały na młode damulki z dobrych domów. A ona akurat wyglądała na młodą damę. Zastanawiał się, ile może mieć lat. Dziewiętnaście, dwadzieścia? Na pewno nie była starsza od Łodzi.

– Haas, nazywam się Henry Haas. – To mówiąc, uklonił się elegancko.

Ten pokaz europejskiej etykiety zrobił na młodej kobiecie wrażenie. Wystawiła dłoń do ucałowania.

– Jesteś chyba Europejczykiem, też jesteście wyzwoleni, przynajmniej ci w Paryżu, ale macie maniery. – Uśmiechnęła się, a Heniek już wiedział, co to znaczy wyglądać jak milion dolarów. – Mów mi Priscilla.

Jej głos był czarujący, dość niski, aksamitny, powodujący gęsią skórę. Gdy podnosił po pocałunku głowę, spojrzał w jej piwne oczy i utopił się w nich. Było w nich jakieś wspomnienie, coś, co już znał. Kurwa czy nie, Heniek stał się zarazem jej niewolnikiem i zdobywcą, i tego samego oczekiwał od tej młodej kobiety.

Przysiadając się, krzyknął na barmana, żeby podał butelkę szampana.

– Henry, mój drogi, wypijesz sam butelkę szampana?

– Wypijemy razem, Priscillo, oczywiście, jeśli będziesz chciała. Ja tylko proponuję.

– To po co zamawiałeś drinka?

– Bo tego chciałaś – uśmiechnął się, patrząc jej w oczy.

– Co nie zmienia faktu, że niezależnie od tego, czego chcesz, podaruję ci to, co wydaje mi się dla ciebie najlepsze, ale wybierasz ty, ja tylko proponuję. Bierz, co chcesz.

– A dasz mi wszystko, czego zechcę?

– Zrobię, co w mojej mocy, najlepiej jak potrafię.

– A jeśli każę ci pójść precz?

– To z żalem pójdę, ale czy każesz mi to zrobić? Zresztą żądaj, czego chcesz.

– Uważaj, bo dziś jest Dzień Zakochanych, więc nie można zawieść kobiety, zwłaszcza samotnej kobiety zagubionej w gwarnym klubie.

Zdecydowanie nie wyglądała na zagubioną, ale grała ją znakomicie.

– Wyglądasz na mocnego, takiego, który dostaje to, czego tylko zapragnie, jesteś *self-made man*[45], lubię takich, pociągają mnie.

– A co to znaczy?

– Mam ci wytłumaczyć, co to znaczy, że mnie pociągają?

– Priscilla szepnęła mu do ucha, a Heńka otoczył zapach perfum. Ich woń odurzała, myślał teraz tylko o niej, tymczasem dziewczyna ciągnęła. – Przekonasz się i to szybko.

Tego było już aż nadto, dobrze, że siedział na stołku barowym, ale przecież nie będzie tak siedział w nieskończoność. Gdyby wstał, wszyscy zobaczyliby, o czym teraz myślał i co go pochłaniało. Musi się opanować, pomyśleć o czymś innym, ale jak tu zmienić temat?

– Nie wiem, co to znaczy *self-made man*... – odparł Heniek, choć nie powinien już o nic pytać, szkoda było czasu na rozmowę, ale z drugiej strony oderwanie się od baru i hokera groziło kompromitacją. Żałował, że nie jest w tej chwili ubrany w płaszcz.

– Jesteś nim i nie wiesz? – Znów zaszepotała wprost do ucha: – Mężczyźni, którzy kokietują, tego jeszcze nie słyszałam, ale to ciekawe, zwłaszcza jeśli są silni i przystojni.

Zagrała muzyka, teraz zgodnie ze wszystkimi zasadami

powinni zatańczyć, a ich ciała powinny się o siebie otrzeć. Nie teraz, nie teraz, Henry!

– Barman, co z tym szampanem?

– Już podaję. – Z zadymionego drugiego końca lady doszedł go głos obsługi. – Mary Pickford i szampan! – Barman niósł kubełek z butelką, dwa puste kieliszki do szampana oraz trzeci, wypełniony różowym drinkiem.

– Biały rum, sok z ananasa, grenadyna i parę kropel maraschino – wyjaśniła. – Szaleję za tym. – Upiła łyk, pozostawiając na szkle ślad szminki. – Spróbujesz? Będziemy jak Mary Pickford i Douglas Fairbanks...

Podawała mu kieliszek, trzymając go w obu dłoniach. Przekazywała go tak, by ich dotykał, ale nie wypuściła nóżki. Heniek objął jej dłonie i się napił.

– Pociągający...

– Też mi się tak wydaje – powiedziała Priscilla i wypila kolejne dwa łyki. – Ale nie tak pociągający jak szampan!

W tym momencie barman otworzył butelkę, rozległ się odgłos strzelającego korka, a nad ciemnozielonym szkłem ukazała się jasna chmurka.

– Nasze zdrowie – powiedział Heniek.

– Nasze... – Priscilla uśmiechnęła się ponętnie.

Stuknęli się kieliszkami, patrząc sobie głęboko w oczy. Później była jeszcze jedna i jeszcze jedna kolejka szampana. W końcu Heniek opanował swe podniecenie i był w stanie ruszyć na parkiet. Nie lubił tańczyć, ale potrafił, zwłaszcza gdy był pod lekkim gazem i miał z kim. Taniec nie był przyjemnością, był narzędziem, punktem na drodze do sukcesu. Porwał ich swing, ale mimo że muzycy nie zwalniali tempa, kolejny kawałek w ich wykonaniu bardziej przypominał tango niż szalone chicagowskie podrygi. Objął ją i przycisnął do

siebie.

– O, właśnie tacy jesteście – zamruczała. – Sami siebie stworzyliście, sami doszliście do wszystkiego i bierzecie, co swoje. Czy mnie także chcesz zdobyć?

Nagle Heniek przyspieszył, wirując między innymi parami w kierunku wyjścia z sali. Po drodze zahaczyli o bar, tam rzucił po zwitku dolarów kelnerowi i barmanowi. Po chwili ogarnął ich szum ulicy. Taksówka, dom, sypialnia, łóżko. Noc była ich.

– Jak się nazywasz, piękna?

– Właśnie tak – zaśmiała się. – Piękna Priscilla.

– Okay, to wiem, ale to chyba nie jest całość? Jestem dla ciebie Henry The Self-Made Man, ale wiesz też, że na nazwisko mam Haas. – Pogładził ją po policzku.

– Piękna Priscilla, po prostu tak, a jak już koniecznie chcesz wiedzieć, kto ci zrobi dobrze, to nazywam się Hopkins, Priscilla Hopkins.

To mówiąc, dotknęła go tam, gdzie pragnął tego najbardziej. Przyglądała się, jak wzmaga się jego podniecenie, po czym drugą ręką wyjęła z jego dłoni papierosa i zaciągnęła się.

– Gdyby moja mama wiedziała, że palę papierosy...

Zaczęło się od nowa, kochali się tak, jakby świat miał się skończyć i nie dać im kolejnej szansy. Po wszystkim trzymała głowę na jego torsie, a on gładził jej włosy.

– Jak cię znajdę?

– O to się nie martw, znam twój adres.

– Ale ja nie znam twojego, nie będę mógł do ciebie pisać listów!

– To takie romantyczne...

– I tajemnicze, a ja lubię rozwiązywać zagadki.

– A ja jestem Kopciuszką, ale nie gubię pantofelków!

A na nazwisko naprawdę mam Hopkins – uśmiechnęła się czarująco. – Nie lubię go, jest takie banalne, jak banalne są dziewczyny – pomidory. One nie wiedzą, co to nowoczesność, życie pełną piersią i prawdziwa zabawa. Pomidory to nudziary, za to my, flapperki, nie potrafimy się nudzić, bo życie jest pełne przygód i namiętności.

Heniek kiwnął głową, pomidorem nie była, była flapperką, która oddawała się namiętnościom i przygodom, a jej najnowszą stał się on sam – Henry Haas.

– I vice versa, laleczko – szepnął, gdy wyszła. – Ty też jesteś moją namiętną przygodą, *million dollar baby!*

Tak, Priscilla Hopkins była jego nową przygodą, która pozwoliła zapomnieć o całym bałaganie związanym z tym, co się stało w Dniu Świętego Walentego. Chicago i cała Ameryka szalały, a Al Capone z Robin Hooda i dobrego wujaszka zmienił się w nowego Heroda, bo prasa z miejsca okrzyknęła go winnym. Al skupił na sobie uwagę całej opinii publicznej, a policja nie przestawała węszyć za nim i jego ludźmi. Zrobiło się słabo, trzeba było uważać, przyczać się. Heniek czekał w klubach, na potańcówkach i w łóżku, czekał razem z Priscillą. Miała dwadzieścia jeden lat i korzystała z pełnoletności, a to oznaczało, że w pełni cieszyła się z wolności i pieniędzy swoich rodziców. Z dumą oświadczyła mu, że należy do Molly Pitcher Club, organizacji założonej przez nowojorskie wariatki, które walczyły z prohibicją. Walczyły aż miło; dzięki takim dzielnym kobietom i adorującym je mężczyznom interesy ludzi takich jak Heniek kwitły i przynosiły zyski.

Priscilla i jej koleżanki nie były pijaczkami, choć na pewno piły więcej niż kobiety w Polsce. Bardziej jednak chodziło o sposób, a nie o wymiar picia, oraz o zachowanie. Na pewno Amerykanki robiły to z ostentacją i niebywałym wdziękiem,

a w czasie zabawy były bardziej bezpośrednie niż Polki. Panienci z dobrych domów tańczyły, przytulały się do kawalerów i licytowały w znajomości drinków oraz nazw, którymi tytułowano nielegalne lokale; *doggery*, *blind pig*, *blind tiger* – popisywały się znajomością slangu panny z Molly Pitcher Club. Najbardziej ubawiło Heńka sięganie do piersióweczek, które były dla nich piersióweczkami tylko z nazwy, bo dzielne wojowniczkami z prohibicyjnym systemem chowały buteleczki za podwiązkami.

– Poczęstujesz mnie swoją whisky? – zapytał Priscillę.

– Nie masz u siebie alkoholu?

– Mam, ale od ciebie lepiej smakuje.

– Słucham?

– Chcę popatrzeć na twoje nogi – zaśmiał się Heniek.

– Na to zawsze możesz liczyć! Na to i nie tylko na to...

Dobrze mu było z tą dziewczyną, bawili się, kochali, popijali, palili marihuanę, chodzili do sal koncertowych, kin i teatrów. Dopiero z nią poznał całe Chicago i jego najelegantsze lokale. Priscilla nie tylko była lepszym przewodnikiem od Ronalda, ale także potrafiła, po wspaniałym wieczorze, zapewnić mu jeszcze ciekawszą noc. Bez zobowiązań, bez trosk, bez zbędnych pytań. Odpowiadało mu takie życie, w którym skłonności Priscilli do buntu oraz zabawa w luksusie dawały niepowtarzalną mieszankę.

– Twoi rodzice wiedzą, co robisz? – zapytał ją po kolejnej szalonej nocy.

– Ja ich nie pytam, więc oni też nie pytają – zaśmiała się.

– Widujemy się rzadko, nie jestem im do niczego potrzebna, nie będę dziedziczką tronu, mój starszy brat John jest oczkiem w głowie. On robi to, co ja, choć ma żonę i dwójkę dzieci, ale udaje, że jest świętoszkiem. To samo rodzice, nadęci jak

ropuchy, prawi i sprawiedliwi, ale ze swoimi grzeszkami. Jak usłyszeli, że popieram Molly Pitcher Club, to nieomal chcieli mnie wydziedziczyć! – powiedziała wesoło Priscilla. – W sumie i tak to zrobili, spadkobiercą ma być John, a mnie płacą pensję, żebym ich nie kompromitowała.

– Szkoda...

– Czego szkoda?

– Twoich pieniędzy albo mojego szczęścia, bo bardzo chciałbym, żebyś ich tej nocy jeszcze choć raz skompromitowała...

Priscilla uśmiechnęła się, podeszła do patefonu i włączyła płytę z *Błękitną rapsodią* Gershwina.

– Lubisz tę melodię?

– Chyba każdy lubi.

– Ale nie każdy ma ją w takim zestawie...

Priscilla wyszła na środek pokoju i zaczęła tańczyć w rytm muzyki. Na początku snuła się, wymachując boa, później zaczęła wirować, kręcąc piruety. Wyglądała zachwycająco i dość niewinnie, ale mniej więcej po minucie nagle postawiła stopę w pantofelku na oparciu fotela, na którym siedział Heniek, i ruchem brody wskazała, by rozpiął paseczki. Gdy to zrobił, zrzuciła bucik i podwinęła w górę sukienkę, odpięła pończochę i zaczęła ją w zmysłowy sposób zdejmować. Rzuciła nią w Heńka.

Zdejmując jej pantofelek, czuł, że ogląda najpiękniejsze przedstawienie na świecie. Kolejna pończocha poleciała w jego kierunku. Teraz, kręcąc biodrami i ramionami, zaczęła zdejmować sukienkę. Gdy rozpoczęło się fortepianowe solo, była już w samej bieliźnie. W koszulce i pasie od pończoch wyglądała jak bogini. Chciał wstać, lecz wstrzymała go ruchem ręki. Odwróciła się do niego tyłem, lekko wypinając pośladki.

Jego podniecenie narastało, ale to nie był koniec spektaklu. Weszła za okienne zasłony, a gdy zza nich wyszła, piersi zakrywała już tylko dłońmi. Podeszła wolno do fotela i ocierając się o Heńka, usiadła mu na kolanach i zaczęła zdejmować krawat. Rozpinając kołnierzyk koszuli, powierciła się chwilę i szepnęła mu do ucha:

– Czuję wyraźnie, że jesteś już gotowy, by pomóc mi kompromitować moją rodzinę.

Przez kolejne minuty kompromitowali rodzinę Hopkinsów na różne, często bardzo wymyślne sposoby. W końcu padli i leżeli przytuleni do siebie.

– Co oni na to? – zapytał Heniek.

– Na co?

– Na to, jakie życie prowadzisz.

– Że ich kompromituję?

– Sama tak mówisz.

– Kompromitacja będzie, jeśli zdarzy się naprawdę jakiś wielki skandal, jak napiszą o mnie w gazetach, jak zatrzyma mnie policja albo zwiążę się z jakimś przestępcą... – Pogładziła go po torsie i pocałowała w usta. – Jesteś przestępcą?

– Jestem przedsiębiorcą, pewnie takim jak twój ojciec, ale nie odniosłem tak wielkiego sukcesu.

– Nie jesteś takim skurwielem jak on – zaśmiała się i pogładziła go po policzku.

– Tego nie wiesz, nie znasz mnie przecież.

– Wystarczy, że jest mi z tobą dobrze, a moim rodzicom wystarcza to, że używam nazwiska matki ojca i jako Priscilla Hopkins nie robię im wstydu. Mamy taki układ, bez większych zobowiązań.

– A jaki jest nasz układ?

– Dokładnie taki sam, ale ich nienawidzę, a ciebie lubię...

Bardzo cię lubię, Henry, po dniu bez ciebie zaczyna mi czegoś brakować, a po dwóch zaczynam do ciebie tęsknić. Nie nudzę się z tobą, jest mi przy tobie dobrze...

Jemu też było dobrze, chociaż po raz któryś już wszedł w związek bez przyszłości. A może po prostu tak miało być? Po co narzekać, skoro można cieszyć się chwilą? Podał swojej *million dollar baby* skręta i zapalili. Przede wszystkim trzeba mieć wspólne zainteresowania, a tych mieli aż nadto.

CZEŚĆ PIĄTA

POWRÓT DO DOMU

Floryda, Miami, 21 kwietnia 1986

W drugiej godzinie emisji programu *Tajemnica krypty Ala Capone*

Piwko jest okay, ale dałby wiele za dobrego mezza. Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Chłopcy z Kuby mieli czasem coś naprawdę wybornego. Zabawne, kiedyś to my u nich, a teraz to oni u nas robili piękne interesy. W przerwie między reklamami poszedł do garażu i z torby na kije golfowe wyciągnął małe zawiniątko. Skręcił sprawnie papierosa i wyszedł do ogródka. Zapalił. Od razu zrobiło mu się lepiej. Bawiła go ta konspiracja, bo lekarz zabraniał alkoholu i narkotyków, ale przecież piwo to nie alkohol, a trawka to nie narkotyk, co nie? Dolores była innego zdania, więc dym nie miał prawa wpaść do mieszkania.

Program bawił go coraz bardziej. Czego oni chcą się doszukać, skoro Al nie miał czego schować? Ale co tam, niech szukają, może go zadziwią na stare lata. Geraldo Rivera był tak podniecony jak ludzie, którzy w 1928 i 1929 roku kupowali akcje. Naiwniaki i tyle. Teraz też się w to pakują. I w kredyty. Ludzie nic nie zmadrzeli, wierzą w bajki i w skarby, wierzą w to, że Geraldo znajdzie jakiś skarb w piwnicy hotelu Lexington. Skarbem to była Louise Rolfe – Blond Alibi, piękna babka Machine Guna! Właśnie udzielała wywiadu Geraldo. Wyglądała świetnie i mówiła z biglem. Taka kobieta to skarb, potrafiła się znaleźć i dawała Jackowi alibi. Inni nie mieli takiego szczęścia i musieli wiać, jeśli byli przytomni.

Zaśmiał się na samo wspomnienie. Jak ktoś był szybki i sprytny, to nawet te oferty od Eliota Nessa nie mogły go dopaść. Bo to nie ci chłopcy, a księgowi byli tymi, którzy

potrafili znaleźć prawdziwe haki. W Iron Castle nie znaleziono zupełnie nic. Gorzelnia była zwinięta, a księgi równie ciekawe, jak te w parafii. Zatrzymali wszystkich z wyjątkiem Ronalda, a później wypuścili i jeszcze musieli przeproszać. Pismacy notowali słowa ich papugi, a federalni prysnęli do swoich pokoi jak uczniaki.

Zaczął się śmiać jak szalony i do końca nie wiedział, czy to z powodu trawki, czy z powodu min, jakie mieli wtedy federalni. Zamiast szukać w Chicago, powinniście byli polecieć do Sewilli! Wtedy nie mieli na to szans, lotniska nie były podłączone do komputerów, a federalni nie mieli swoich samolotów, to były piękne czasy!

XXI

Dziewczyna gangstera

Karnawał roku 1929 przeciągnął się do maja, a interesy poszły precz, schowały się gdzieś z tyłu za zabawą i Priscillą. Heniek kompletnie wszystko odpuścił, ale na szczęście Ronald i Hrubeschowie trzymali sprawy w swoich rękach. On pojawiał się tylko przy rozliczeniach, rozmawiał, reprezentował i kasował, to wystarczyło, naoliwiona maszyna jechała dalej. O dziwo, mieli nawet jakiś mały dochodzik z sejfów, dzięki temu łatwiej było wszystko księgować i udawać normalną firmę. W większym stopniu szło tu o centralę w Berlinie i Warszawie i czujne oko kapitana Beniowskiego niż o amerykańską skarbówkę. Przecież tu za podatki jeszcze nikogo nie zamknęli! Pieniądze wypełniały kieszenie, jakby mieli ich fabrykę i drukowali sobie tyle, ile było im do życia potrzeba.

A potrzeba było coraz więcej, przynajmniej Heńkowi, który żył jak król; kluby, knajpy, kina, teatry, kabarety i jazz. Jazz, Priscilla, jazz, alkohol, trawka, Priscilla, jazz... kompletny zawrót głowy. Zwiedził modne knajpy i kluby, poznał niemal wszystkich muzyków, z największymi gwiazdami na czele, a jego faworytem był młody Polak Gene Krupa. Nikt nie grał na perkusji tak jak on. Tłukł nie tylko z taką siłą, że igła gramofonowa niemal skakała na płycie, ale przede wszystkim wygrywał na swej perkusji melodie. To było nie do pomyślenia, ale grając w dobrych zespołach, ten szczeniak miał swoje solówki. Dziewiętnastoletni perkusista!

Nie poznali się bliżej, bo Gene miał tyle propozycji, że wkrótce porwał go Nowy Jork. A pomyśleć, że chciał być księdzem i był już w seminarium, tak przynajmniej opowiadał. Doskonałych muzyków było dziesiątki, jeśli nie setki, ale jeden

wyróżniał się z tego zestawu gwiazd. Był to oczywiście Mezz Mezzrow. Ten zawsze miał dobry towar. Jak Heńkowi kończyły się skręty, to walił prosto do niego. Nigdzie indziej, tylko do Muggles Kinga. Nie będzie przecież kupował byle czego, jak palić, to mezza, a mezza miał tylko sam Mezz.

Tak poznał Benny'ego, świetnego klarncistę. Ktoś powiedział Heńkowi, że Mezz ma występować w Green Mill, więc pojechali z Priscillą na North Side. Muzyka była pierwszorzędna, tylko że na scenie nie było Mezza. Swoją muzyką popisywał się inny starozakonny grajek, Benny Goodman. On nie handlował trawką, ale grał lepiej niż Mezz. Grał tak, że choć mieli wpaść tylko na chwilę, to jednak zakotwiczyli w Green Mill na dobre. Po występie Heniek podszedł do muzyka.

- Fajnie grałeś, ale tak w sumie to wpadłem do Mezza.
 - I po mezza? – zaśmiał się Goodman.
 - Dokładnie!
 - Niestety ja w jego zastępstwie mogę tylko zagrać
 - uśmiechnął się skromnie. Podobnie jak Mezz, był wysokim, szczupłym okularnikiem.
 - W zastępstwie... Grasz rewelacyjnie!
 - Dziękuję.
 - Czy może wiesz, gdzie dziś gra Mezz?
 - Nie wiem, ale sądzę, że trzeba pojechać na The Stroll.
 - Do którego klubu?
 - Nie wiem, ale nie straciecie czasu, bo to tak samo, jakbyście pojechali do Nowego Orleanu albo na Harlem, w każdej knajpie ktoś gra!
 - To wiem, ale najchętniej spotkałbym tam Mezza i ciebie. Mezz ma najlepszy towar, a ty pięknie grasz na klarncie.
- Goodman się uśmiechnął.

– Dziękuję, na pewno będzie tam Jimmie Noone. Chłopak gra w klubowym bandzie Apex Club Orchestra. Nie stracisz czasu, sami pierwszorzędni muzycy, same asy! Ale Noone i pianista Earl Hines są najlepsi.

– Jak klarncista, to pewnie Żyd?

– Noone to facet z plantacji, czarny jak smoła – zaśmiał się Goodman. – Gra inaczej niż ja, można powiedzieć, że się uzupełniamy. My, Żydzi, Polacy, Włosi i biali Amerykanie, jesteśmy w tym nowi. Tam, gdzie się urodził mój ojciec, nie było ani czarnych, ani jazzu.

– A gdzie się urodził?

– W Warszawie, w Rosji.

– W Polsce.

– Ojciec mówił mi, że to była Rosja, rządził car, jego urzędnicy i Kozacy.

– A co robił ojciec?

– A co mógł robić? – Goodman wzruszył ramionami. – Był krawcem.

– Znałem ich kilku w Warszawie – westchnął Heniek. – Ale nie wszyscy Żydzi w moim mieście byli krawcami.

– Tak jak nie wszyscy klarnciści w Chicago to Żydzi – zaśmiał się Benny. – Jesteś z Warszawy?

– Z Chicago, a może z Berlina – odparł zagadkowo. – Ale najbardziej to z Warszawy.

– Powiem ojcu, tu rzadko się spotyka...

– Goja z Warszawy?

– Dokładnie.

– Widzisz, z Warszawą jest jak z Chicago, do Warszawy częściej się przyjeżdża, niż z niej wyjeżdża.

– Ja wyjeżdżam, taki jest los muzyka. Chicago jest w porządku, ale to Nowy Jork rządzi.

– No to powodzenia!

Pożegnali się. Heniek wrócił do Priscilli.

– Myślałam, że mnie zostawiłeś – zauważyła z pretensją w głosie. – O czym tak długo rozmawialiście?

– Pytałem klarncisty Benny’ego o Mezza, ale nie wie, gdzie dzisiaj gra. Polecił nam za to jeden klub na The Stroll. Chcesz tam jechać?

– Oczywiście, ale kiedy w końcu pojedziemy gdzieś dalej? Ja tak lubię podróżować! Nie mówię od razu o Europie, ale Nowy Jork, Kalifornia albo chociaż Atlantic City.

– W Kalifornii byłem, w Nowym Jorku też, ale w Atlantic City jeszcze nie. Ale czy warto tam jechać?

– Warto, bo tam jest morze i też sprowadzają doskonałych artystów. Niby to kurort dla robotników, ale to nie jest cała prawda. Byłam w Atlantic City dwa razy i wiem, że jest tam kilka pierwszorzędnych hoteli i że można zobaczyć w nich wszystkich najlepszych muzyków, śpiewaków i komików, a do tego tam nie ma *speakeasy*[46]! Żadnych melin, żadnego pokątnego sprzedawania alkoholu, tam czegoś takiego nie znają!

Heniek popatrzył na Priscillę uważnie, bo albo się przesłyszał, albo ona się przejęzyczyła.

– Dobrze słyszałem? – Zmarszczył brwi. – Powiedziałaś, że nie ma tam *speakeasy* i nie handlują pod stołem alkoholem?

– Priscilla potaknęła. – To po co tam jedziemy? Chcesz się bawić na potańcówce Armii Zbawienia?

– Bo tam wszystko działa tak, jakby nie było prohibicji, tam jest jak w normalnym świecie! – Klasnęła w ręce jak mała dziewczynka. – Tak, tak, tak! Koniecznie musimy tam pojechać. Henry, w maju będę mogła się wyrwać...

– Ale najpierw walimy do The Stroll, tam jest Apex Club, Benny go poleca.

– W tym czarnym zakątku zawsze jest wesoło, ale nie chce mi się tam iść, chodźmy do mnie, a może do ciebie? – Spojrzała zalotnie. – Nie mogę się doczekać podróży nocnym pociągiem, już teraz czuję się podniecona. Chodź, Henry!

Nie trzeba było go dwa razy namawiać, poszli do niej, a jedenastego maja ruszyli pociągiem do Atlantic City. Była to najprzyjemniejsza podróż, jaką przeżył. Wygodny wagon Pullmana miał wystarczających rozmiarów łóżko, a miarowy stukot kół dodawał pikanterii ich szalonej podróży.

– Następnym razem spróbujemy na wodzie lub w powietrzu, co ty na to, Priscillo?

– Ta tat ta tam, ta tat ta tam, ta tat ta tam – mruczała Priscilla, imitując miarowy stukot kół. – Tatattatam, tatattatam, tatattatam – przyspieszyła rytm, uśmiechnęła się znacząco i przeciągnęła na pociągowym łóżku. – Jest mi z tobą dobrze w każdym miejscu, w hotelu, w mieszkaniu, na łóżku, na kanapie, na dywanie i w łazience. W pociągu też i pewnie tak samo na statku lub w samolocie. Nigdy nie leciałam samolotem, słyszałam, że znacznie skraca to podróż, tylko że jest ona niewygodna.

– To prawda, jest to trochę dziwne, ale mi się podobało, leciałam do San Francisco i z powrotem i jeszcze nieraz wybrałbym się w taką podróż – rozmarzył się Heniek.

– Wprowadzono nowe samoloty, nazywają je Latającymi Pulmanami.

– Świetnie, to będzie nasza kolejna podróż.

– A tę zaczniemy od odespania nocy.

– Zanim pójdziemy w hotelu do łóżka... – Spojrzała na niego wymownie. – To miałeś na myśli, mój rozpustniku?

– Naprawdę myślałem o spaniu!

– Nic z tego! – Zrobiła minę nadąsanej dziewczynki.

– Zanim się położymy, chcę się przejść po promenadzie, o tej porze roku powinno tam być pusto. Chcę tego, słyszysz?

Słyszał. Ale co zrobić, trudno, po prostu się nie wyśpi i nie będzie to pierwszy ani ostatni raz z Priscillą. Z nią nie spało się wtedy, gdy inni odpoczywali po ciężkim dniu. To jej szalony zapał i chęć do zabawy sprawiły, że zaczął naprawdę się bawić. To z nią zwiedził całe The Stroll, od najmniejszego klubiku po wielki Savoy Ballroom, nie było też eleganckiego lokalu w The Loop, w którym nie zjedliby dobrej kolacji. W ich krótkim wspólnym życiu było wszystko: seks, alkohol, taniec, marihuana i wspaniałe jedzenie. Pławili się w luksusach oraz oddawali zabawom w podziemnych lokalach, czerpali z życia pełnymi garściami, a teraz zaczęli wspólnie podróżować. Dla takiej dziewczyny można było być trochę niewyspanym. Pogładził ją po głowie, którą trzymała mu na kolanach, i zaczął się zastanawiać, kim dla niego jest. Kumplem do zabawy czy kimś więcej.

– Już jesteśmy, Henry, to już Atlantic City, wolny, wesoły świat!

Wjechali na dworzec, który nie był okazały jak te, które znał z Chicago i Nowego Jorku, ale liczba wagonów widzianych przez okno była imponująca.

– Ho, ho, niezły jest tutaj ruch! – powiedział, wychodząc na korytarz.

– Niezły? – skomentował konduktor. – Proszę pana, latem bywa, że dziennie przyjeżdża tu setka pociągów, a po sezonie i tak jest ich nie mniej niż sześćdziesiąt, tak słyszałem od kolejarzy.

– Gdzie ci wszyscy ludzie się mieszczą?

– W hotelach! – Konduktor był dobrze poinformowany.

– Hoteli i pensjonatów jest tu ponad tysiąc, grubo ponad tysiąc!

– Podkreślił, by nie było wątpliwości, że miasto jest pełne pokoi do wynajęcia. – Wiem, co mówię, już parę lat jeżdżę na tej trasie, może w przyszłym roku przyjadę tu z rodziną – rozmarzył się. – Bo widzi pan, są tu różne hotele. Można znaleźć drogie i tanie noclegi, każdy zdoła tu wybrać coś na swoją kieszeń. Gdyby tak nie było, to latem nie mieliby tu czterystu tysięcy gości naraz!

Tanie i drogie, oni oczywiście jechali do tego najwspanialszego i najdroższego, do hotelu Ritz-Carlton, który, tak jak wszystkie najlepsze hotele Atlantic City, stał przy położonej wzdłuż brzegu drewnianej promenadzie. Na peronie czekał już na nich bagażowy, który zaprowadził Heńka i Priscillę do stojącego przed dworcem samochodu.

Wcisło inaczej wyobrażał sobie Atlantic City, myślał, że to mniejsze miasto, tymczasem hotele i pensjonaty stały wszędzie, było dokładnie tak, jak mówił konduktor z pociągu, były ich setki, a wiele z nich mogło pomieścić tysiące gości. Ritz też był potężny, niemal dwudziestokondygnacyjna ceglana budowla stała bokiem do promenady i rozciągającej się za nią plaży. Ich pokój znajdował się w tej węższej części, w której okna były skierowane wprost na ocean. Rozgościli się i poszli na spacer, który mógł trwać bez końca.

– Jak długa może być ta promenada? – zapytał Heniek portiera.

– Jedenaście kilometrów, proszę pana!

Wyszli i spacerowali najpierw tam, a później po plaży. Zdjęli buty i brodzili w wodzie. Było ciepło, przyjemnie, beztrasko.

– Bywałeś też na plaży w Chicago?

– Nawet nie zauważyłem, że jest, tylko przejeżdżałem, ale jakoś mnie nie ciągnęło – odpowiedział Heniek.

– A ja lubię wszystkie plaże, oczywiście ta jest o wiele ciekawsza – ciągnęła plażową rozmowę Priscilla.

– Najciekawsze sprawy czekają na nas w hotelu...

– Henry, przestań, musisz na to zasłużyć! Najpierw spacer, ocean, piasek i słońce, a to, co moglibyśmy robić, nie wyjeżdżając z Chicago, później!

Bawiło go to, ale jednocześnie poczuł się jak facet, który ma żonę. Jak już dasz się zaobrączkować, to umarł w butach – tak mawiał Mietek Kosiorek. Czy Priscilla też była taka?

– O czym myślisz?

– Myślę o tym, czy ty też taka jesteś.

– Taka jak kto?

– Jak inne kobiety?

Zaśmiała się.

– Czemu się śmiejesz?

– Bo z kolei ja myślałam o tym, czy jesteś taki jak inni faceci.

– I co wymyśliłaś?

– Że jesteś inny niż ci, których do tej pory znałam. Może dlatego, że to byli ludzie z tego samego kręgu, chłoptasie z dobrych szkół, synkowie bogatych rodziców.

– W sam raz dla córeczki bogatych rodziców.

– W sam raz dla każdej innej, ale ja chyba nie jestem jak każda inna... – Stała, wysunęła nieco biodro i położyła na nim lewą rękę, prawą zaś dyrygowała, mając wyciągnięty do przodu palec wskazujący. – Chyba że się mylę, bo chciałeś po prostu poderwać jakąś bogatą kozę. Czy tak było?

– Z ciebie niezła wariatka, a takie dupki z dobrych domów nie lubią wariatek. Stałaś więc sama przy barze, to pomyślałem, że w piękny wieczór taka dziewczyna nie może się marnować.

– Czyli ty też nie lubisz wariatek. – Skierowała w niego

oskarżycielsko palec... – Wolałeś jakąś Gibson Girl, panienkę jak z obrazka, albo jakiegoś głupiego pomidora? – Dla flapperek, wyzwolonych, samodzielnych dziewczyn, określenie „dziewczyna Gibsona” było prztyczkiem, a „pomidor” obelgą. Tym drugim mianem Priscilla i jej koleżanki określały ładne, ale głupiutkie i pozbawione woli oraz odwagi dziewczyny.

– Wycisnąłbyś jakiegoś „pomidorka”, ale nic takiego nie było i po prostu brałeś, co się nawinęło?

– Tak. – Heniek zrobił teatralną, skwaszoną minę.

– Brałem, co było, nudziłem się i...

– I dalej się nudzisz? – Tupnęła nogą.

– Potwornie, ale...

– Co ale?

– Moglibyśmy już wrócić do hotelu, wtedy byłoby mniej nudno, miałbym nawet parę pomysłów na to, jak moglibyśmy się tam razem ponudzić.

– Typowy facet – zaśmiała się Priscilla.

– To jak, idziemy?

Popatrzyła na niego z wyrzutem i raz jeszcze gniewnie tupnęła stopą, po czym poderwała w górę chmurę piasku.

– Jeszcze trochę pochodzimy, przecież tu jest tak pięknie, ten piasek jest taki cudowny!

– Ty jesteś piękna i cudowna – westchnął Heniek. – A poza tym...

– Poza tym co?

– Jesteś typową kobietą!

– Nie, bo typowa oddałaby ci się w podskokach, a ja chcę jeszcze pospacerować!

Zaśmiali się, a Heniek złapał Priscillę za rękę.

– Pamiętaj, że typowego faceta trzeba nakarmić, mężczyźni muszą jeść i pić, by czuć się dobrze – powiedział, podkreślając

wagę słów wskazującym palcem.

– Najpierw muszą coś upolować. – Priscilla szeroko rozłożyła ręce i pokazała mu język.

– Ja już skończyłem polować, moja panno. – Mówiąc to, wycelował w nią jak z karabinu. – Upolowałem ciebie, to mi całkowicie wystarczy...

– I chcesz mnie zjeść?

– Wiele razy! Ale najpierw obiad!

– Pójdźmy do hotelu Breakers, tam mają świetną kuchnię.

– I coś do picia?

– Tu wszędzie jest coś do picia, przecież ci mówiłam, że tu prohibicja nie obowiązuje!

Weszli z powrotem na promenadę, włożyli buty i ruszyli w kierunku hotelu Breakers. Od promenady odchodziły pomosty, po których można było przekroczyć wydmę i znaleźć się nad samym morzem. Były dziesiątki sklepów, kawiarni, zakładów fryzjerskich i knajpek, ludzie siedzieli wewnątrz i widać było przez szyby, jak bez skrępowania popijają alkohol.

– Tu jest jak na Riwierze, tu jest jak w Europie, nie ma tych wszystkich pieprzonych purytańskich zakazów, zakłamania i prohibicji – zachwycała się Priscilla.

– Jak to możliwe? – zdziwił się Heniek.

– Jest tutaj ktoś, kto stoi ponad burmistrzem; to polityk, szef gangu i butleger. Nazywa się Nucky Johnson i ma w kieszeni wszystkich policjantów, sędziów i polityków. Bawią się tu u niego, są na pensji i przymykają na wszystko oko. Ten cały Al Capone chyba nawet nie marzy o czymś takim.

– Pewnie nie. Daleko do tego hotelu?

– To już tutaj, widzisz?

Priscilla wskazała odległy budynek. Nietrudno było go zauważyć, był biały z zielonym mansardowym dachem. Bryła

składała się z trzech części, dwie dolne kondygnacje, parter i pierwsze piętro, miał wysokie, a nad nimi było dziewięć pięter z pokojami hotelowymi. O ile Ritz był nowym, pudełkowatym budynkiem, o tyle ten wyglądał jak staroświecki pałac.

– Taki trochę jak w Paryżu – zauważył Heniek.

– Byłeś w Paryżu?

– Byłem, ty na pewno też byłaś, więc czemu się dziwisz?

– Dziwię się, bo tylko niektórzy tam jeżdżą, bogacze i artyści. Inni siedzą w Stanach.

– Ale my nie jesteśmy tacy jak inni, myślałem, że już to ustaliliśmy. Wczoraj się jest tu, dzisiaj tam, a jutro jeszcze gdzie indziej.

Trochę ją tym zaskoczył, spojrzała na niego uważnie i zapytała:

– A gdzie będziesz jutro? Czy tam, gdzie ja?

– Pewnie tak.

– Nie jesteś romantykiem.

– A oczekujesz tego po *self-made manie*?

– Oczekuję od ciebie różnych rzeczy.

– Może jakoś dam radę, a jak nie...

– Tylko spróbuj, musisz!

– Najpierw obiad!

Weszli do pięknego hallu i skierowali się w stronę restauracji. Portier przywitał ich i zlustrował, jakby był stróżem, który decydował o tym, kto wchodzi do parku Łazienkowskiego, a kto nie. Tam, w Warszawie, wpuszczano tylko gości ubranych porządnie i „po europejsku”, co automatycznie eliminowało posiadaczy chałatów. Tu chodziło mniej więcej o to samo, lecz rygory były ostrzejsze.

– Jesteś katolikiem? – zapytała Priscilla.

– Tak, a co, chcesz brać ślub?

– Jestem nowoczesną kobietą, chcę tylko sprawdzić, czy masz prawo tu być, to jest hotel tylko dla WASP[47], dla białych anglosaskich protestantów, tylko elita, tylko ojcowie założyciele Ameryki. Żadnej świeżej emigracji, żadnych południowców i katolików z Irlandii. Murzyn czy tradycyjnie ubrany Żyd zostaliby odstawieni do drzwi natychmiast, reszta zaś po chwili.

– A jak poznają, że jestem katolikiem?

Zanim Priscilla zdążyła odpowiedzieć, kierownik sali wyskoczył zza kontuaru:

– Dzień dobry, kogo mogę powitać? – zapytał dziarskim głosem.

– Henry i Priscilla Haas! – odpowiedział Heniek.

– Zatem witam serdecznie państwa Haas – rozpromienił się szef sali.

Nazwisko Haas było dobre, ich rysy twarzy też. Oboje o jasnych włosach i takiej samej karnacji pasowali do modelu gościa tego miejsca. Na wszelki wypadek cerber przyjrzał im się raz jeszcze, po czym, kłaniając się, powiedział:

– Czy życzą państwo sobie coś chłodnego? Może na początek po kieliszku szampana? Polecam też zimne przekąski, mamy doskonałą hiszpańską szynkę – dorzucił, jakby chciał im dać ostatnią szansę, by się przyznali, że są Żydami.

Zamówili po lampce szampana, a także porcję szynki, bo Heniek był ciekaw, czym różni się od zwykłej. Była smaczna i najbliższej jej było do tego, co wyrabiali włoscy wędliniarze. Do obiadu podano białe wino, bo jedli ryby i owoce morza. Jakby to powiedział Mietek Kosiorek: „te całe owoce morza to byli niezłe wynalazki”. Na pierwszy rzut oka jakieś surowe albo ledwie podsmażone tałatajstwo, które jeszcze niedawno pływało i pełzało, ale Priscilla jadła, więc nie robił scen i spróbował. Dobrze, cholera, to było dobre! Alkohol podawano w sposób, od

jakiego przez ostatnie dwa lata już się odzwyczaił, tu serwowano go jak wodę czy sok, a o dobór wina dbał specjalnie do tego celu wyszkolony kelner.

– Sommelier – ucieszyła się Priscilla. – Myślałam, że wraz z prohibicją ten zawód został uznany za nielegalny!

W ten sposób Heniek zrozumiał, jak nazywa się kelner, który zajmuje się wyłącznie trunkami.

– Droga pani – zaśmiał się sommelier. – Bez nas nie byłoby udanego posiłku. Dobrze dobrane wino to podstawa i żadna osiemnasta poprawka do konstytucji tego nie zmieni.

W królestwie Nucky'ego Johnsona była swoboda, o jakiej nie śniło się chicagowskiemu burmistrzowi Williamowi Thompsonowi. Skoro Chicago pod rządami Big Billa Thompsona uchodziło za ognisko zepsucia, które było tolerowane przez władze miasta, to Atlantic City było stolicą zepsucia, które władze nie tylko tolerowały, ale wspierały i współorganizowały. Tu prohibicja nie istniała. Atlantic City było jak stan, który odłączył się od unii, ale nadal miał z nią połączenie kolejowe.

– Podoba mi się tutaj – powiedział Heniek.

– Mnie też, dlatego tu przyjechaliśmy.

Obiad był wykwintny i podlany dobrymi trunkami. Gdy byli przy deserach, od strony recepcji doszły do nich jakieś odgłosy. Najpierw był szum, jakby przybył wagon gości, a następnie zrobiła się wrzawa.

– Co to za tumult? – zapytała Priscilla.

Heniek obejrzał się przez ramię. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Przy ladzie recepcji kłębił się tłumek gangsterów. Tylko oni się tak ubierali i tylko oni mieli to coś, co wyróżniało ich na kilometr. Niektórzy z nich byli z kobietami, które obowiązkowo nosiły drogie ubrania oraz futra i biżuterię. Nawet

gdyby całe to towarzystwo było ubrane zwyczajnie, bez tego całego blichtru i świecidełek, to i tak nie byłoby żadnych wątpliwości, kim są, bo tym, który awanturował się najbardziej, był Al Capone! Obok bossa kręcili się Greasy Thumb, Frankie Rio i Jack McGurn. Heniek natychmiast się odwrócił i zapadł w krzesło.

– Kto to jest? – zainteresowała się Priscilla.

– Nie wiem – łgał jak z nut.

– Wiesz – powiedziała z taką pewnością, jakby mówiła, że dwa razy dwa jest cztery. – Wiesz na pewno, rozpoznałeś kogoś i z miejsca się odwróciłeś!

Jej wyraz twarzy mówił wszystko, Priscilla koniecznie chciała wiedzieć, kto stoi przy recepcji. Podniosła się więc z krzesła i spojrzała w tamtym kierunku.

– Henry... oni wyglądają na gangsterów.

– Dlatego się odwróciłem, lepiej nie mieć z nimi nic wspólnego.

Skończyli jeść, Heniek zapłacił rachunek, wstali od stołu i ruszyli w kierunku drzwi prowadzących na ulicę. Priscilla popatrzyła na niego uważnie i delikatnie pociągnęła za rękaw.

– Nie wydaje mi się...

– Co ci się nie wydaje?

– Że nie chcesz mieć z nimi nic wspólnego, w zasadzie to chciałam powiedzieć, że chcesz stąd jak najszybciej wyjść, by się nie okazało, że ich doskonale znasz!

– Czemu?

– Facet, który przyjeżdża z Europy i tak szybko dochodzi do takiego poziomu! – zachnęła się. – Do takiej elegancji, pieniędzy, biura i mieszkania?

– Są tacy, którzy przyplývają do Ameryki pod pokładem, w trzeciej klasie, są i tacy, którzy jak ja przyplývają

w eleganckich kajutach. Przybyłem pierwszą klasą i kieruję firmą, która ma swoich właścicieli w Berlinie. Zdecydowano o tym jeszcze w Europie, więc byłem, moja droga, skazany na sukces.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia pięć.

– Myślałam, że tylko w Ameryce robi się tak szybkie kariery.

– Wszędzie się robi, jak ma się koneksje i rodzinę. Swój sukces zawdzięczam wujkowi. – Kłamał jak najęty.

– Szkoda. – Priscilla wyduła wargi, jakby była bardzo niezadowolona. – Myślałam, że sam do wszystkiego doszedłeś.

– Czyli jak nie jestem self-made manem, to nie mam czego u ciebie szukać?

– Tego nie powiedziałam, myślałam...

– Że jestem gangsterem?

– Nie wiem, co tak naprawdę myślałam, trudno mi to opowiedzieć. – Zasepiła się. – Na pewno wyglądałeś mi na kogoś, kto osiągnął wszystko sam, bez pomocy innych. A teraz najwięcej takich samodzielnych młodych ludzi to gangsterzy.

– Ale ja nawet nie jestem ubrany jak oni!

– I nie jesteś nudziarzem jak faceci, którzy wożą się na cudzych plecach. Jesteś inny, zdecydowanie inny.

– Ty też nie jesteś nudziarą, choć jesteś panną, która wydaje to, co zarobili jej rodzice. Nie pracujesz, prowadzisz rozrzutne życie, czyż takie młode kobiety nie są okropne?

– Tak, wiem, jestem okropna – zachichotała Priscilla i przytuliła się do Heńka.

Stali tak na środku ulicy prowadzącej do hotelu, gdy nagle Priscilla zeszywniała i szepnęła:

– Spójrz, to znowu oni!

– Jacy oni?

– Ci mężczyźni, ci gangsterzy i ich kobiety, to całe towarzystwo, którego nie chciano przyjąć w hotelu!

Istotnie to byli gangsterzy, których widzieli przy recepcji. Wylali się przez hotelowe drzwi i zmierzali w ich kierunku. Byli wyraźnie wzburzeni.

– To Al Capone! – powiedziała Priscilla.

– Tak? – zdziwił się Heniek. – Ten słynny gangster?

– Nie udawaj, że nie wiesz. Nie czytasz gazet?

– Tylko strony sportowe.

Heniek szybko zrozumiał, że przesadził.

– A może chodząc do Green Mill, nie wiesz, kto jest jego właścicielem? – Priscilla spojrzała na niego, czekając na odpowiedź.

– Wiem, Al Capone.

Miał już właśnie wyprowadzić wywód, że nie widzi w tym żadnego związku, gdy Al wyraźnie popatrzył w ich kierunku, po czym wykonał z daleka gest powitania, a Priscillę dodatkowo obdarzył czarującym uśmiechem. Zauważył to także idący obok Ala Frankie Rio, ale Machine Gun pociągnął go za rękaw i szepnął mu coś do ucha.

– Ty go znasz – wyszeptała. – Ty go znasz! Co więcej, on zna ciebie!

– Znam wielu ludzi.

Gangsterów i ich kobiety dzieliło od Heńka i Priscilli już tylko kilka metrów, gdy nagle zajechała z piskiem opon kawalkada limuzyn. Z pierwszej z nich wysiadł potężny, elegancko ubrany mężczyzna. Nie wyglądał jak wychodzący z hotelu gangsterzy. Olbrzym ujmował tradycyjną elegancją, a w klapie miał czerwony goździk.

– Al, przyjacielu! – krzyknął, rozkładając ręce.

– Przyjacielu? Jak przyjechałeś na walkę Dempseya z Tunneyem, to cię gościłem jak księcia. Najlepszy hotel, dziwki i szampany, a tu? Skandal, nigdy nikt mnie tak nie obraził! Mnie, Amerykanina, wyrzucają z hotelu, bo jestem za ciemny, bo jestem Włochem? Jestem...

W tym momencie wielki elegant podszedł do Ala, chwycił go za kłapy, pociągnął w kierunku samochodu i ryknął tubalnym głosem:

– Zamknij się! – Po czym zwrócił się do reszty: – Hej, gnojki, za mną, ładujcie się do aut, szybko i bez szemrania, bo nie chcę, żebyście mi narobili wstydu. Przenosimy się do hotelu, gdzie nas lubią. O nic się nie martwcie, nikt nie zgubi waszych bagaży, spokojna głowa.

Niższy o głowę Al zamachał jeszcze rękoma i próbował się wyzwolić z uścisku, ale olbrzym wepchnął go do limuzyny, nim Frankie Rio i Machine Gun zdążyli zareagować. Na ten widok reszta towarzystwa, w typowy dla Włochów i Żydów sposób machając rękoma i głośno mówiąc, zapakowała się do samochodów, które odjechały z piskiem opon. W ich miejsce podjechały nowe auta, do których hotelowa obsługa zaczęła pakować walizki i kufry.

– Żydki, makaroniarze i trochę Ajriszy – skomentował to boy dźwigający ogromny kufer. – To nie są klienci naszego hotelu.

– To jasne, ale jak właścicielowi posypie się kiedyś interes, to będzie się reklamował, że ma najlepszy koszerne hotel w mieście – zaśmiał się Heniek. – A ten potężny mężczyzna z czerwonym goździkiem w klapie, kto to był? – zapytał boya.

– Jak to kto? – Chłopak zdziwił się, jakby zapytał go o śnieg w środku sierpnia. – To pan Enoch Johnson, Car z Ritza, to on rządzi Atlantic City! Zabrzmiało to ciekawie, więc Heniek

włożył boyowi do kieszeni zwitek dolarów, a ten podziękował i opowiadał dalej. – Pan Johnson mieszka w Ritzu i Ambassadorze, ma tam biura i przyjmuje swoich gości. Na jego koszt bawią się w całym Atlantic City policjanci, sędziowie, prokuratorzy, kongresmani i senatorowie. On jest niezwykle hojny i potrafi zrobić zabawę z wielką pompą. Nikt mu tutaj nie podskoczy, jest mocny!

– Są jakieś zatargi?

– W hotelach? Skąd, to doskonały klient, tylko czasem ma nieodpowiednich gości.

– Nie, pytam o miasto, czy nie ma nieporozumień w interesach? Rozumiesz, co mam na myśli?

– To nie Chicago, psze pana!

Heniek nie musiał dłużej słuchać, ten Johnson był tutaj kimś takim jak Al Capone w Chicago, tylko silniejszym i skuteczniejszym.

– Co cię tak śmieszy? – zapytał Priscilli, która chichotała jak szalona.

– Bo akurat Nucky’ego Johnsona znam, bo każdy, kto był w Atlantic City, zna Johnsona. Trudno go nie zauważyć, jest wszędzie tam, gdzie dzieje się coś ważnego.

– To zupełnie jak z Alem Capone.

– Słuchaj, Henry, ja wiem, jak wygląda Nucky Johnson, ale on nie wie, kim ja jestem. Może znać mojego ojca, ale kompletnie nie ma pojęcia, że jestem jego kochaną córeczką. Podobnie jest z Alem Capone, zna go każdy, ale za to on nie każdego zna. – Wbiła w niego wzrok. – A ciebie akurat tak. Ciekawe.

– Też się dziwię. – Heniek wzruszył ramionami.

– Musisz mi o tym opowiedzieć, znamy się tyle, a ja nic o tobie nie wiem.

– Porozmawiajmy w hotelu!
– Ty tylko o jednym.
– I to jest jeden z powodów, dla których chcesz ze mną być!

– Nie zmieniaj tematu, powiedz prawdę! – Zastąpiła mu drogę i tupnęła nogą. – Chcę wiedzieć!

Heniek położył jej dłoń na ramieniu i ciężko westchnął.

– Znam ich wszystkich, robię z nimi interesy. Handluję sejfami, sprowadzam szafy z Niemiec, robię na zamówienie i konserwuję je. Gangsterzy, tak jak inni ludzie, boją się złodziei i też są moimi klientami, to wszystko. Oni tu się mają lepiej niż w Chicago – zauważył. – My zresztą też. Alkohole, rozrywki, kasyna...

– Bo to jest, kochanie, zakazane imperium!

Zakazane imperium nad drewnianym nadmorskim deptakiem, kto by pomyślał! A swoją drogą Priscilla ładnie to nazwała, no ale w końcu była łebska, i była dziewczyną gangstera. Nie wiedziała o tym i choć zaprzeczał, chyba się jednak domyślała.

XXII

Zakazane imperium

Priscilla miała rację, Atlantic City, w którym rządził Nucky Johnson, było prawdziwym zakazanym imperium, które nie tylko rozciągało się wzdłuż jedenastokilometrowego deptaka, ale sięgało także w głąb lądu, lichy wie, jak głęboko, ale na pewno aż do Waszyngtonu. Al przekupywał sędziów i policjantów, a w polityce nie wyszedł poza lokalnych urzędników i ludzi burmistrza. Tu było inaczej, Johnson sam był politykiem, ale nie chciał oficjalnych stanowisk. Dzielił i rządził, obsadzając urzędy w Atlantic City, gdy tymczasem Al walczył z innymi gangsterami na śmierć i życie o obsadzanie stanowisk w związkach zawodowych i włoskich organizacjach emigranckich. Tu był święty spokój, bo Johnson był władcą absolutnym, mógł więc w spokoju korumpować ludzi z prawdziwego szczytu władzy.

Nikt nie wie, kogo dokładnie gościł tu Nucky Johnson, kto się u niego stołował i pił drogie trunki, a kto miał tutaj zapewnione najlepsze dziwki i żetony w kasynie, bo odwiedzających były dziesiątki, jeśli nie setki. Na pewno Nucky premiował swoich gości w zależności od ich pozycji i swoich potrzeb, a ich korzyści nie ograniczały się tylko do samego pobytu. Heniek był gotowy założyć się o każde pieniądze, że na pożegnanie z Atlantic City goście Cara z Ritza dostawali na drogę nie tylko solidną wałówkę, ale i kosztowne prezenty. Nie minęła chwila, a przekonał się o tym na własne oczy. Gangsterzy byli w hotelu ledwie kilka minut, a ich kobiety zostały obdarowane przez Johnsona futrami. Potężny elegant chodził między nimi i rozdawał szykowne futrzane pelerynki. Ma skurczybyk gest, nie ma co!

– Piękne futerka! – zauważyła Priscilla.

– Chcesz mieć takie?

– Mam takie. – Wydęła wargi, jakby usłyszała coś obraźliwego. – Mam nawet lepsze, ale chodzi mi o to, że żadnego z nich nie dostałam od ciebie!

Odetchnął z ulgą, temat zszedł na futra i prezenty, nie na długo jednak.

– Tu nie kupisz mi takiego futra, takich rzeczy nie dostaniesz od ręki. Musimy poszukać, ale już teraz możesz mi opowiedzieć o swoich kolegach gangsterach...

Była wprost niemożliwa! Jeszcze parę razy tego dnia zamęczała go pytaniami o kontakty z gangsterami, a Heniek za każdym razem był coraz bliżej powiedzenia prawdy. Po prostu miał wrażenie, że tego po nim oczekuje, że podnieca ją myśl, że jest jednym z nich. Kobiety są dziwne, pomyślał. Pod tym względem Priscilla nie różniła się od pozostałych.

Po męczącym dniu była kolacja, trunki i badanie, ile może wytrzymać hotelowe łóżko. Ono wytrzymało, ale oni nie. Padli jak zabici, a Priscilla zasnęła szybciej od niego.

Znów wrócił garaż na North Side. Ten sen powracał do niego co jakiś czas. Wchodził z Jackiem Machine Gunem do pomieszczenia, mijali stojących pod ścianą ludzi, a później zaczynał się koszmar, który doskonale pamiętał. Tym razem było jakoś inaczej, nikt z gangsterów stojących pod ścianą nie odwrócił się i nie rozpoznał Machine Guna. Nic takiego się nie stało, myślał więc, że pójdzie dalej, do pomieszczenia, w którym była kasa. Zrobił o dwa, trzy kroki więcej niż w każdym poprzednim śnie i wtedy Jack pociągnął go za rękaw.

– Henry, dokąd to? Jest robota do zrobienia.

– Mam otworzyć kasę... – Nie miał większych nadziei, że właśnie o to chodzi, bo jeden z fałszywych policjantów podał

mu maszyn gana.

– Henry, przyjacielu, to wszystko dla ciebie! Jeden z nich to twój koleżka Franky Wlazło. – Machine Gun śmieszenie wymówił imię i nazwisko Frania.

Heniek ścisnął broń za lufę, po czym podrzucił ją na ramię.

– Ładuj – powiedział Jack. – Ładuj, jak leci, ten twój człowiek to jeden z nich, wal śmiało po wszystkich, to podłe śmiecie. Nie wiedzą, co jest grane, nie rozumieją, o czym mówimy, bo nie rozumieją po angielsku – zaśmiał się. – Taka rosyjska ruletka, tylko troszkę inaczej, bo chcesz kropnąć jednego, ale musisz zmieść wszystkich.

A jeśli żaden z nich nie jest Wlazłą, pomyślał. Pokusa i chęć zemsty były jednak zbyt wielkie, nacisnął spust, ale do uszu nie wdarł się przeraźliwy dźwięk wyrzucanych z lufy pocisków, lecz stukanie: puk, puk, puk, puk. Puk, puk, puk, puk, puk, puk! A po chwili jeszcze głośniejsze: puk, puk, puk, puk, puk!!!

Nie wiedział, jak długo spał, gdy obudziło go pukanie do drzwi. Mocne, pewne siebie, pytające bardziej o to, kiedy zostanie otworzone, a nie tak jak w przypadku służby hotelowej, czy czasem się nie przeszkadza. Wywiesił zresztą stosowną kartkę, ale najwidoczniej ten, kto stał pod drzwiami, nic sobie z tego nie robił.

Pukanie powróciło, jeszcze mocniejsze i bardziej natarczywe.

Podniósł się z łóżka i włożył szlafrok.

– Henry, dokąd idziesz?

– Śpij, zobaczę, kto to. Pewnie służba hotelowa, skarzę ich za namolność i zaraz wrócę...

– Wróc, wróc, Henry. Nie mam się do kogo przytulić.

Dyskretnie wyjął z torby pistolet i trzymając go w dłoni,

podszedł do drzwi. Gdy był już blisko, usłyszał doskonale znany głos.

– Henry, tu twój przyjaciel Jack...

Uchylił drzwi, na jego widok Jack McGurn uśmiechnął się, unosząc w górę dłonie. Kciuk i palec wskazujący lewej ustawił tak, by imitowały dziurkę, po czym zaczął jeździć w niej w lewo i prawo palcem wskazującym prawej dłoni.

– Fajna babka, he, he. – Zaśmiał się lubieżnie, ale zaraz spoważniał. – Mamy parę ważnych spraw do omówienia. Jak pewno zauważyłeś, w Atlantic City odbywał się mały zjazd...

– Zauważyłem.

– Przyjechali ludzie z całej Ameryki, wszyscy, którzy się liczą w naszej branży, jest Nowy Jork, oni mieszkają na twoim piętrze na końcu korytarza, to Lansky z nową żoną i Luciano – wyjaśnił z poważną miną, by do Heńka dotarło, że to grube ryby. – Są chłopcy z Detroit, Filadelfii, Bostonu, Kansas City i New Jersey, jest Kalifornia, my i oczywiście miejscowi z Atlantic City. Wykluczono tylko starych upartych makaroniarzy z Nowego Jorku, nazywają ich Wąsatymi Piotrkami. Oni faktycznie noszą wąsy i nie chcą syndykatu, który się marzy wszystkim innym. W związku z tym zginą marnie. – Uśmiechnął się, jakby mówił o jakimś towarzyskim nieporozumieniu. – Rozmawiamy o tym, jak prowadzić biznes, ot, takie tam obrady prezesów, coś jak w tych wszystkich firmach, które są na giełdzie. Trzymamy się zasady, że każdy ma małą osobistą obstawę, ale ja nie ufam tym skurwysynom. To znaczy, kilku z nich nie ufam. Jeden rewolwer więcej to już coś, cieszę się, że tu jesteś...

To nie była propozycja, to brzmiało jak rozkaz.

– Co mam robić?

– Pójdź jutro z tą swoją panną na promenadę, wiem tylko,

że tam się zbieramy, pospaceruj, miej oczy otwarte. Okay?

– Okay.

Jack klepnął go po makaroniarsku w policzek, po czym raz jeszcze powtórzył obsceniczny gest.

– Dobrego pukanka. Jutro po śniadaniu, pamiętaj! Chcę cię zobaczyć na promenadzie. Z tobą, cwaniaku, będzie różnie!

Szlag by to trafił! Chciała spaceru, będzie miała spacer.

Pod koniec śniadania, które jedli w sali z widokiem na promenadę, plażę i morze, wyczuł odpowiedni moment i zakomenderował:

– Dziś spacerujemy!

– Tak? – Wyglądała na rozczarowaną.

– Przecież wczoraj domagałaś się spaceru, czyż nie?

– Och tak, ale to było wczoraj. – Uśmiechnęła się słodko.

– Wczoraj także rozmawialiśmy o futerku dla małej Priscilli...

Jak za nią nadażyć, czego ona właściwie chce? – pomyślał. Chce, bym był gangsterem, ale pewnie chce także, bym nim nie był. Chce być zbuntowana i samodzielna, ale po to, by za chwilę być małą, bezradną dziewczynką, która kocha luksusy. Nie cierpi swoich rodziców, ale chętnie wydaje ich pieniądze, chce być zwykłą dziewczyną, ale mieszka w najlepszym hotelu, domaga się spaceru, ale po chwili chce kupować futro... Odpowiedź była jedna. Ona chce wszystkiego! W sumie nic łatwiejszego, ale trzeba było się domyślić, jaka jest kolejność jej oczekiwań.

– Pójdziemy wzdłuż promenady, są na niej różne sklepy, te z futrami pewnie też – zaproponował kolejność zdarzeń.

Priscilla pokiwała głową, a w oczach zapaliły jej się wesołe ogniki. Trafił! Teraz jeszcze musi ustalić właściwy kierunek.

– Idziemy? – Dziewczynie zaczęło się spieszyć.

– Potrzebuję jeszcze jednej kawy...

– Na promenadzie jest tyle kawiarni... Och, Henry, chodźmy już, chodźmy!

Na szczęście gangsterzy wylegli w końcu z hotelu na zewnątrz. Wysypali się z Ritza jak hałaśliwa czeredka dzieciaków, kupowali smakołyki, wozili się na fotelach na kólkach i rozmawiali. Towarzystwo szybko się wymieszało. Grupa z Chicago: Al, Greasy Thumb, Frankie Rio, Machine Gun, Frank Nitti oraz dwóch ludzi, których nie znał – starszy facet, na oko Włoch, oraz Irlandczyk, tylko przez moment była razem. Heniek szybko pojął, że jego zadanie jest kompletnie pozbawione sensu, chciał odpuścić, ale wtedy do akcji wkroczyła Priscilla. Zamiast pójść do sklepu po futro, zażądała stanowczym głosem:

– Futro kupisz mi kiedy indziej, bardziej jestem ciekawa, dokąd pójdą gangsterzy! Może będzie strzelanina?

Więc poszli ich śladem niemal na koniec promenady, gdzie panowie zdjęli buty i przeszli przez pomost prowadzący wydmami na plażę. Tam byli pewni, że nic nie przeszkodzi im w rozmowie o interesach. Priscilla zaspokoila swoją ciekawość, zatem mogli wracać do hotelu. W Ritzu Heniek dowiedział się, że dziś cała grupa miała rozmawiać w wynajętej sali stojącego po sąsiedzku hotelu Ambassador, a jutro w sali prezydenckiej Ritza. A więc po rozmowach w parach i grupkach przechodzą do konkretów! Zaczął się zastanawiać nad tym, o czym gangsterzy z całej Ameryki mogą debatować, co chcą osiągnąć i ile może być warta taka wiedza. Postanowił dowiedzieć się tego sam, okazało się jednak, że sale były pilnie strzeżone.

Gangsterski zjazd dobiegł końca. W piątek siedemnastego maja mieli się rozjechać do swoich miast, skoro tak, to na pewno będą podsumowywali między sobą to, co tutaj ustalili. Na jego piętrze, po drugiej stronie korytarza, mieli pokoje gangsterzy

z Nowego Jorku, przynajmniej tak mówił Machine Gun. Jeden faktycznie przyjechał z żoną i był z wyglądu koszerny, drugi zaś gościł zastępy dziwek i z całą pewnością makaroniarz. Nazywali się zresztą odpowiednio: Lansky i Luciano. Do ich okien prowadził gzyms, a gdyby tak...

Było już po północy, gdy zostawił śpiącą Priscillę i postanowił iść na podsłuch. Kamienny występ stanowiący wraz z oknami ozdobny dodatek do ceglanej fasady hotelu nie był zbyt szeroki, ale nieco ponad pół stopy się mieściło. To było pierwsze piętro hotelu, położone ponad wysoką salą restauracji. Jeśli spadnie, to w najlepszym razie połamie sobie nogi. Priscilla by mu tego nie wybaczyła, bo jutro mieli zaplanowaną wyprawę po futro. Odetchnął głęboko, podniósł okno do góry i wyszedł na zewnątrz. Zgodnie ze starą lipkarską zasadą szedł na bosaka. Najtrudniejsze były fragmenty między oknami; bo tam nie było się czego chwycić ręką. Okna miały kamienną oprawę i na górze zwieńczał je gzymsik, nie za duży, ale można go było złapać palcami. Odпочywać musiał jednak między oknami, sterczeć na widoku, trzymając się wygodnie jego kamiennej ramy, byłoby zbyt dużym ryzykiem. Ktoś mógł to dostrzec albo nie daj Boże wypchnąć, widząc, że ktoś zagląda do jego pokoju. Po kwadransie żmudnej wspinaczki przetraversował pod okna nowojorczyków. Trafił dobrze, siedzieli, pili i gadali.

– Myślisz, że dzięki temu wykończymy Wąsatych Piotrków? – zapytał jeden z nich.

– Lucky, oni też ich nie potrzebują i dają nam wolną rękę. Zrobimy to cicho, bez takich fajerwerków jak te cymbały z Chicago. Będą znikać po kolei, bez masowych egzekucji.

Imię, a raczej ksywka Lucky pasowała zarówno do nazwiska Luciano, jak i Lansky.

– To się wie – powiedział ten drugi, nazywany Luckym.

– A swoją drogą to Al wyglądał na skruszonego.

– Tak, powietrze z niego zeszło, grubas najchętniej zapadłby się pod ziemię.

– Sądysz, Meyer – a więc ten drugi nazywał się Meyer, a skoro Meyer, to na bank miał na nazwisko Lansky – że zrobi to, co obiecał?

– Zrobi, bo nie ma wyjścia. Trochę się awanturował – odpowiedział Lucky.

– Musisz zniknąć, Al, musisz zniknąć! Tak mu powiedziałeś, a on wybuchnął – zaśmiał się Meyer Lansky.

– Tak, zrobił się nerwowy, najpierw wypalił, później był osowiały, pocił się. – Nastąpiła dłuższa pauza. – Coś mi się wydaje, że Snorky jest chory, plotkują, że ma syfa i parzą go jaja. Coś w tym jest, zauważyłeś, że mało pije i nie posuwa panienek? Zrobił się z niego jakiś ciapciak.

– Może dlatego w końcu uznał, że musi spasować. Syf go zżera i czasem ma po prostu dość. Z syfem czy bez, musi się dać zamknąć i wszystko jedno, czy będzie to szpital, czy pierdel – ton głosu Meyera był stanowczy.

– Stawiam na jakiś przyjemny pierdel, tam będzie miał więcej znajomych i mocniejsze plecy niż w sanatorium czy szpitalu – zażartował Lucky.

Luciano i Lansky przez chwilę milczeli, a przez otwarte okno słychać było bulgotanie nalewanego do szklanek płynu. Wypili i wrócili do rozmowy.

– Zapanuje pokój i jednocześnie znikną nasi wrogowie – zaśmiał się Luciano.

– I nie tylko oni. Słyszałeś, co mówił stary Torrio?

– Myślisz, że naprawdę wróci do Włoch?

– Tak, myślę, że nie żartował. Po zamachu sprzed paru lat podupadł na zdrowiu i nie jest już taki wyrywny, inaczej nie

oddałby swojemu cynglowi Chicago.

– Al miał kupę szczęścia, najpierw Torrio usunął swojego wujka Colosima, a później Polaczek Weiss o mało nie palnął Torria. Inaczej Snorky nie doszedłby nigdy do władzy.

– Nie miałyby szans.

– Żadnych!

– Teraz też ma chyba niewielkie.

– Nie, narobił za dużo hałasu, a nasz biznes nie cierpi rozgłosu.

– Najwyższy na niego czas, powinien zrobić to samo co Torrio. Ma szmal, ale nie potrafi przestać.

– A ty byś potrafił?

Gangsterzy się zaśmiali. Chwilę milczeli, po czym znowu napełnili szklanki. Stuknęli się, wypili, a za moment Heniek usłyszał odgłos kroków. Ktoś szedł w kierunku okna, stukot obcasów stał się coraz wyraźniejszy. Heniek przywarł do ściany, gangster był już tak blisko, że czuć było wypuszczany przez niego tytoniowy dym. Nie widział jego twarzy, ale zobaczył żar wystawionego za okno cygara. Nieważne, kto to był, ważne było, by się nie wychylił i nie zobaczył człowieka pająka, którym był w tej chwili Heniek.

– Podobno chciał wyjechać na Kubę albo Bahamy
– usłyszał głos Lucky'ego Luciano, który dobiegł do niego z odległości nie większej niż pół metra.

– Kierunek nie jest zły, my też tam się wybieramy, ale po pieniądze. My nie musimy wiać. Załatwimy Wąsatych Piotrków i będziemy spokojnie rządzić. Dobrze, że dogadaliśmy się z Nuckym, zrobił pierwszorzędną konferencję – zaśmiał się w głębi pokoju Meyer.

– Jeszcze lepiej, że wszyscy dorośli do tego, że mamy to, czego chcieliśmy, a teraz potrzebujemy spokoju. Wszyscy

możemy zostać legalnymi milionerami, tylko nie możemy sobie wchodzić w paradę, na szczęście każdy to zrozumiał. Mamy jednego wspólnego wroga – federalnych! – gruchnął Luciano.

– Weź jeszcze tubę i wyjdź na promenadę – syknął Meyer.

– Daj spokój, Meyer, daj spokój – zaśmiał się Lucky.

– A kto to może usłyszeć, chyba jakieś mewy albo pieprzony człowiek pajak.

Heniek zobaczył, jak Lucky wychyla się przez okno i wyrzuca cygaro, żarzący się punkcik poleciał w kierunku promenady i plaży.

– Spadająca gwiazda – zaśmiał się Lucky – pomyśl jakieś życzenie, Meyer!

Żebyś tak w końcu z powrotem schował się w środku, pomyślał Heniek.

– Żebyś tak w końcu z powrotem schował się w środku – powiedział Lansky – omówiliśmy już chyba wszystko.

Heniek z ulgą usłyszał, jak Lucky odchodzi od okna. Znowu milczenie, zapalanie cygara, nalewanie whisky do szklanek, a później cisza.

– Kończymy? – zapytał Lucky Luciano. – W końcu przyjechałeś w podróż poślubną, a na mnie czeka w pokoju dziwka od Nucky’ego. Żałuj, że wziąłeś ślub akurat teraz, Car z Ritza ma do dyspozycji doskonale dziewczyny, naprawdę żałuj.

Heniek też miał do kogo wracać, już się obracał, by ustawić stopy tak, by rozpocząć powrotną drogę, gdy usłyszał Meyera Lansky’ego.

– Uważasz, że Kuba to dobry pomysł?

– Meyer, sam mówiłeś, że dobry – powiedział zdziwionym głosem Luciano. – Mieliśmy już kończyć, a ty masz jeszcze jakieś wątpliwości?

– Do tej pory kupowaliśmy swoich polityków, a teraz...
– Sam mówiłeś, że ci biorą jeszcze chętniej.
– Tak mówiłem. Chyba jestem zmęczony, zmęczony na zapas – zaśmiał się. – Myślę o tym, co nas czeka, gdy skończy się prohibicja. Trzeba być na to gotowym, kupować gorzelnie, winnice i browary. I organizować hazard, u nas i po dziurach takich jak Las Vegas i na Kubie. Popatrz na Atlantic City, kasyna, knajpy, burdele, publiczność chce takich miejsc, a nikt nie zna się na tym lepiej niż my. Musimy im to dać i zrobimy to lepiej niż inni, nawet jeśli to będzie legalne!

– Dasz radę, Meyer, dzięki syndykadowi odpadnie nam sporo problemów, to był naprawdę bardzo udany wyjazd.

– Tak – zaśmiał się Lansky. – Nikt nie zginął i wszyscy zarobią. Zaczęły się nowe czasy!

Wiedział już wszystko, mógł wracać. Ruszył więc z powrotem, męcząc się coraz bardziej. Kilkadziesiąt poprzednich metrów i ładnych parę minut wiszenia za oknem mocno go wyczerpały. Parę razy się zatrzymywał, pamiętając to, co wbijano mu do głowy w Tatrach: wiedz, że najwięcej wypadków jest przy schodzeniu, powroty są niebezpieczniejsze niż zdobywanie szczytu. Pamiętał o tym i zachował koncentrację do samego końca. Dotarł wreszcie do swojego pokoju, przełożył obolałe, obtarte stopy do środka i zobaczył, że Priscilla go obserwuje.

– Co tu robisz? – zapytali niemal jednocześnie.

– To, co muszę! – wyjaśnił takim tonem, jakby każdy mieszkaniec hotelu Ritz-Carlton miał zapewnioną taką rozrywkę w postaci chodzenia po gzymsie.

– Obudziłam się, jak wychodziłeś przez okno, obserwowałam cię. Poszedłeś na drugą stronę i siedziałeś przy oknie. Mówisz, że nie jesteś gangsterem, to może pracujesz dla

rządu? – spytała z ożywieniem. Najwyraźniej mógł być dla niej zarówno gangsterem, jak i tajnym agentem federalnym.

– Pracuję dla siebie.

– Po co ci to?

– Kto ma informację, ten ma pieniądze.

– Sprzedasz to gazetom?

– Na gazetach tyle nie zarobię.

– To po co?

– Słyszałaś o Rothschildach?

– Kto by nie słyszał!

– Pewnie znajomi papy, a wiesz, jak zarobili największe pieniądze?

– Masz rację, znali wynik bitwy pod Waterloo i opanowali giełdę w Londynie!

– Teraz rozumiesz, informacja to pieniądz, chcę zarobić na swojej wiedzy – powiedział dumnie, choć jeszcze nie miał pojęcia, jak to robi.

Siedzieli w Atlantic City jeszcze parę dni, po czym wsiedli do pociągu i wrócili do Chicago. Na miejscu gazety krzyczały wielkimi nagłówkami: Al Capone skazany w Filadelfii na rok więzienia za nielegalne posiadanie broni! A więc Al naprawdę się schował i to schował na dobre. Wszystkie gazety niemal identycznie opisywały incydent, który doprowadził do zapuszkowania Ala. Wraz ze swoją ochroną wyruszył limuzyną do Chicago, ale po drodze auto nawaliło i cała ekipa postanowiła zatrzymać się w Filadelfii, stamtąd mieli jechać do Chicago pociągiem. Mieli już bilety, ale do odjazdu było sporo czasu, więc poszli sobie do kina. Jakiś tajniak rozpoznał Ala i policja postanowiła się z nim zabawić. Tajniacy i mundurowi czekali przed kinem i nie dali im szans, zresztą Al i jego ludzie nie próbowali stawiać oporu, bo co im mogła zrobić policja?

Kompletnie nic! Ci z Filadelfii byli niezwykle pilni i uparci, przeszukali ich i wtedy okazało się, że Snorky ma broń, na którą nie ma zezwolenia. Zawieźli go więc na komendę i zapuszkowali w areszcie za nielegalne posiadanie broni. Śmiech na sali, bo w Chicago przesiedziałby parę godzin, przyjechałby papuga albo wystarczyłoby przesłuchanie. Wiele razy go już zatrzymywali za byle co, nawet za rzekome włóczęgostwo, ale tym razem nie pomogli ani miejscowi prawnicy, ani propozycja wysokiej kaucji.

Odsiedział noc na komisariacie, a następnego dnia urządzili mu proces! Jemu, Królowi Chicago, którego nie spotkało nic złego nawet wtedy, gdy po pijaku zderzył się z tramwajem i podawał się za szeryfa. Ale to było dawno temu i w Chicago, gdzie puszczano go wolno, nie potrafiąc lub nie chcąc postawić przed sądem. Tymczasem teraz, w Filadelfii, wystarczyło szesnaście godzin, by znalazł się w sali sądowej, a sędzia wydał wyrok! Rok, Al dostał rok więzienia! Rok za taką błahostkę! Do tej pory Snorky nie siedział ani razu, a teraz spędzi w puszcze okrągły rok. Przypadek czy strategia? Czy planował to także Frankie Rio, bo przy nim również znaleziono broń i on także dostał rok odsiadki? Cokolwiek by się tam stało, to na pewno był to dla Heńka sygnał, że trzeba skorzystać z tego, co podsłuchał pod oknem Meyera Lansky'ego i Lucky'ego Luciano. Zakazane, półlegalne imperium Nucky'ego Johnsona miało się stać federacją oplatającą nie tylko całe Stany Zjednoczone, ale także Kubę. Trzeba było z tej wiedzy skorzystać i załapać się, jeśli nie na konfitury, to chociaż na przyzwoity dżem.

XXIII

Wall Street

Lato było gorące, pora znów wybrać się nad ocean. Priscilla bardzo chętnie się na to zgodziła, bo zaproponował Los Angeles. Wiadomo – Kalifornia, Hollywood, gwiazdy kina. Zgodziła się, nie znając prawdziwego powodu podróży. Tak po prawdzie powinni polecieć na Kubę, bo przecież zgodnie z tym, co usłyszał w Atlantic City, warto tam było mieć swój przyczółek. Inwestycje z hazardu i burdele go nie interesowały, ale w nieruchomości oraz w firmie produkujące rum jak najbardziej. Była to jednak kolejna sprawa, którą zepchnął na Ronalda.

Chłopak był ciekawy świata i wprost przebierał nogami, by się wyrwać z Chicago. Po pierwsze, zadbał o rodzinę i kupił dom, ale z miejsca wprowadziła się tam teściowa. Z jednej strony było to bardzo pomocne, z drugiej zaś Ronald stał się dzięki tej zrzędlivej i wścibskiej kobiecie prawdziwym pracusiem, a jak pracować, to w takim miejscu jak Kuba czy Bahamy. To było dla niego jak zbawienie, jak prawdziwe wczasy, a poza tym... okazało się, że chłopak tylko raz w życiu wyjeżdżał z Chicago, i było to wtedy, gdy objeżdżali Heńkowego chryslera. Przejazdźka do St. Louis to była jego podróż życia, ale grał, jak to zwykle on, światowca i wszystkowiedzącego. Nie puścił skubaniec farby, że cały jego świat to Chicago i jego przedmieścia.

Wszyscy więc byli zadowoleni, Ronald miał wyprawę na Kubę, Priscilla, bo cieszyła się z wycieczki do Hollywood, a on... Po pierwsze sama podróż, znów miał lecieć samolotem i cieszył się jak małe dziecko. Poprzednim razem leciał maszyną, która była ledwie przystosowana do zabrania dwójki pasażerów, tym razem zaś miał to być samolot skonstruowany

specjalnie po to, by transportować ludzi. Boeing 80A, wielki dwupłatowiec z trzema silnikami od Pratt i Whitneya i potrójnym statecznikiem pionowym, był pasażerską maszyną z prawdziwego zdarzenia. Mieścił aż osiemnastu podróżnych i momentami mógł walić z prędkością dwustu dwudziestu jeden kilometrów na godzinę, a prędkość przelotowa tego cacka była powyżej dwustu! Heniek był podekscytowany i nie mógł zrozumieć, dlaczego Priscilla nie czuje tego, co on. Może się bała? Czego się tu bać, latające maszyny są coraz nowocześniejsze.

Pojechali na lądowisko w Maywood taksówką, ona cały czas mówiła o Hollywood, on o samolocie. Na polu startowym zobaczył w końcu maszynę, była cudowna, potężna! Jej rozmiary znał na pamięć, wiedział, że boeing 80A ma długość ponad siedemnastu metrów, że rozpiętość skrzydeł to blisko dwadzieścia pięć metrów, a wysoki był na cztery i pół metra. Wyrecytował to wszystko Priscilli, która popatrzyła na niego obojętnym wzrokiem i zapytała:

– I coś jeszcze?

– Tak, Priscillo – mówił podniecony, nie wyczuwając podstępu. – Silniki ma potężne, wyobraź sobie, to trzy razy pięćset dwadzieścia pięć koni mechanicznych, razem tysiąc pięćset siedemdziesiąt pięć!

– Doprawdy?

– Tak, wyobraź sobie, że tak! Mój chrysler jest zrywny i jego sześciocyndrowy silnik pięknie pracuje, ale ma tylko siedemdziesiąt pięć koni!

Heniek mógłby mówić tak jeszcze długo i Priscilla to zrozumiała. Stała naprzeciw niego tak, by zasłonić mu widok na samolot, i słodkim głosem zapytała:

– A potrafiłbyś mi dobrać bieliznę? Czy w ogóle

pomyślałeś o tym, by kupić mi coś pełnego seksapilu? Nie, bo nie znasz moich wymiarów!

– Są doskonale. – Mówiąc to, Heniek nie patrzył jej w oczy, tylko starał się obserwować samolot. – Są boskie, idealne, tak bym zamówił dla ciebie bieliznę, a poza tym uwielbiam cię nagą.

– Henry, ty bardziej chcesz przelecieć swoją Priscillę w Los Angeles, czy przelecieć się tym cholernym samolotem?

Uwielbiał, gdy była na przemian słodka i wulgarna.

– Przeleciałbym cię w samolocie!

– Ależ panie Haas, co by sobie pomyśleli o panu moi rodzice?

– Najpierw musieliby wiedzieć o moim istnieniu, mam tę przewagę, że wiem o nich, choć ich kompletnie nie znam.

– Och, ale czy to wszystko nie jest tajemnicze?

Było, ale było też denerwujące dla Heńka. Nie chciał wchodzić w niepotrzebną wymianę zdań, raz, że było mu z tym dobrze, bo była to przygoda, dwa, za chwilę mieli wejść na pokład samolotu, którym polecą na Crissy Field. Niebo, Los Angeles i bajkowy hotel Biltmore, kto wie, czy nie najlepszy w całym Los Angeles. Ale wybrał go nieco przypadkowo, tu nie chodziło o luksus, sławę i słynnych gości, to miała być niespodzianka. Najpierw jednak musieli dolecieć, lądując po drodze trzy razy, za każdym razem po to, by uzupełnić paliwo i olej, a w Salt Lake City dodatkowo, aby zabrać nowych pasażerów. Cała podróż trwała dwadzieścia godzin, cóż za postęp w porównaniu z tym szalonym lotem sprzed roku. O ileż krócej i w jakich warunkach! Duże okna, wygodne miękkie siedzenia, po trzy w każdym rzędzie, toaleta i umywalka z ciepłą i zimną wodą, a do tego wentylacja i ogrzewanie. Nie trzeba było siedzieć okutanym w futro, ten lot był jak podróż

pociągiem!

Priscilla nie potrafiła jednak tego docenić i tuż po wyjściu z samolotu zażądała, by z powrotem wrócili koleją.

– Dużo dłużej niż samolotem, ale mogę leżeć, chodzić, pójść do wagonu restauracyjnego albo do fryzjera! I nie ma tych strasznych turbulencji. Koniec, kropka. Nie wracam samolotem i przyjmij to do wiadomości.

Przyjął, a co miał zrobić?

Trzy dni zajęło mu udobruchanie Priscilli, na pewno pomógł sam hotel, piękny, złocony, urządzony podobno na wzór rzymskich Pompejów. Wśród gości byli także znani aktorzy, zresztą tak jak poprzednim razem, załatwił objazd Hollywood limuzyną oraz zwiedzanie studia filmowego. Kulminacja nastąpiła podczas kolacji przy Hollywood Boulevard.

Doradzono mu, by zarezerwował stół w Musso & Frank, i okazało się to najlepszym z możliwych wyborów. Nie była to wymyślna kuchnia, ale takiej wołowiny jeszcze nie jadł, z kolei Priscilla chciała zamówić to, co gwiazdy, które odwiedzały tę knajpę, i wzięła pieczoną kaczkę. To był piękny wieczór, po którym w pokoju wypili butelkę szampana. Wtedy wyjął z kieszeni bransoletkę, którą chciał podarować kiedyś Patricii. Czy się spodoba? Kosztowała piętnaście kawałków, ale Priscilli nie zadowalało byle co. Tym razem to był strzał w dziesiątkę, była szczęśliwa, rzuciła mu się na szyję i zapomniała o fatalnym locie samolotem. Życie znów stało się piękne i proste.

Nazajutrz delikatnie obudził dziewczynę, a ta przeciągnęła się i zamruczała:

- Dokądś się wybieramy, czy nie lepiej trochę pospać?
- Warto podnieść się z łóżka, nie pójdziemy zbyt daleko, tylko do okna.
- Henry, oby było warto, bo będę się gniewać. – Zarzuciła

szlafroczek i kołysząc biodrami, poszła w kierunku okna, oparła się o parapet i...

Za oknem na wysokości kilkudziesięciu metrów unosił się dostojnie gigantyczny sterowiec.

– Wielki Boże, co to jest?

– Niemiecki sterowiec Graf Zeppelin!

– Wykorzystałeś mnie Henry, w całej tej podróży chodziło o lot samolotem i o tego potwora. On jest ogromny...

– Ogromny jak co?

– Henry... już dobrze wiesz co... – Prowokowała, ale Heniek nie mógł sobie odpuścić tego widoku, zbliżał się do niej i do okna, trzymając butelkę szampana i dwa kieliszki. Odstawił szkło i wystrzelił korkiem.

– Nie za wcześnie?

– To nie my wybieraliśmy porę. – Rozlał szampana do kieliszków, podał jeden z nich Priscilli, a drugi zostawił sobie.

– Za Grafa Zeppelina!

Stuknęli się i wypili po kilka łyków. To było doskonale lekarstwo po tym, co wyprawiali poprzedniego wieczoru.

Wznieśli kolejny toast, po czym Priscilla stanęła w oknie, niemal zupełnie blokując widok na zbliżający się coraz bardziej sterowiec.

– Wykorzystałeś mnie, Henry, czuję się odrzucona, pokonana przez latające cygaro. Gdyby za jego sterami stała kobieta, zdradziłbyś mnie z nią...

– Nie zdradziłbym cię, a co do wykorzystania, to dopiero to zrobię.

Podszedł do okna, przyparł ją do parapetu. Podczas gdy jedną ręką pozdrawiał przelatujących ludzi, drugą podwinął w górę szlafrok Priscilli. Była tylko w samej koszuli. Dla tych ze sterowca byli jedną z wielu par, które podziwiałały ich przelot,

żadna z nich nie była jednak w tak doskonałym nastroju jak oni. Jeszcze długo stali w oknie, sycąc się sobą i widokiem...

Po wszystkim poczuli głód, a przede wszystkim pragnienie.

– Kawy – szepnęła Priscilla. – Chcę się napić kawy.

Wzięli prysznic i zeszli na dół. W hotelu panował szalony ruch.

– Będziemy mieli specjalnych gości, pasażerów Grafy Zeppelina – wyjaśnił portier. – Stąd taki szum. Załoga pozostanie w sterowcu, ale posiłki dla nich przygotuje nasza kuchnia. To dla nas zaszczyt, że weźmiemy w tym udział.

– To gest ze strony właścicieli hotelu?

– Za wszystko płaci pan William Randolph Hearst – odparł kelner. – Za noclegi, jedzenie i nie tylko za to! Pan Hearst jest sponsorem tej wyprawy, dlatego w jego gazetach ukazują się relacje. Tam w powietrzu są jego ludzie.

– Czy jest tutaj? – zapytała Priscilla.

– Oczywiście! Pan Hearst często u nas bywa.

Nazwisko magnata prasowego wprowadziło Priscillę w zakłopotanie. Gdy kelner zniknął, Heniek zapytał wprost:

– Znajomy tatusia?

– Kelner? – uśmiechnęła się Priscilla. – Chyba żartujesz, kochanie.

– Nie, to ty żartujesz. – Heniek także się uśmiechnął, bo bawiły go naiwne próby zmiany niewygodnego dla Priscilli tematu. – Chodzi mi oczywiście o Hearsta.

– Pójdiesz do niego i zapytasz, kim jestem?

Zaśmiał się i przytulił ją do siebie.

– Wiem, kim jesteś, jesteś po prostu moja i tyle, nic mnie więcej nie interesuje. To twój problem, jeśli tatuś i mamusia cię wydziedziczą.

– Daj spokój, lepiej, żeby do tego nie doszło!

Nie wiedział, czy żartuje, czy mówi poważnie, dla lepszego samopoczucia uznał, że był to żart, i zaśmiał się głośno, ona też się zaśmiała i pogłaskała go po policzku tak, by zadzwonić bransoletką.

– Jest piękna, Henry... – uśmiechnęła się szeroko. – Ty naprawdę wiesz, o czym marzą dziewczyny. Na zawsze zapamiętam dzień, w którym dałeś mi to cacuszko...

– To proste, dwudziesty szósty sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku. Dzień, w którym Graf Zeppelin przyleciał z Tokio do Kalifornii.

– A wiesz, że czymś takim mogłabym się przelecieć?

Heńkowi długo nie trzeba było powtarzać. Przez najbliższy kwadrans opowiadał jej o tym, jak wygląda lot sterowcem, że kabiny przypominają te z pulmanów albo statków, że jest wyśmienite jedzenie i że można szybko polecieć nim do Rio de Janeiro albo do Europy. Priscilla słuchała go, cierpliwie sącząc szampana, zasłużył na tę przemowę, w końcu bransoletka była taka piękna. Ale w sprawie powrotu pociągiem zdania nie zmieniła, żadnej podróży samolotem nie będzie, sterowcem też.

– Polecimy sterowcem, prawda? – Heniek był jak w transie. – Rio de Janeiro, to jest chyba najciekawszy kierunek, nie sądzisz?

– Tak, Rio de Janeiro albo Buenos Aires, oczywiście, że polecimy!

Słuchać i obiecać może, zasłużył na to, ale czy polecą, to już zupełnie inna sprawa. On wierzył, że tak będzie. Widział już ich, jak lecą Grafem Zeppelinem do Ameryki Południowej, marzył o tym nawet wtedy, gdy do Chicago wracali pociągiem.

Lato było piękne, ale jesienią powiało chłodem, federalni działali coraz śmielej i skuteczniej, co odczuł na swojej skórze kolejny z braci Capone. Dziewiątego października skarbówka

aresztowała Ralpa Capone. Al w więzieniu za nielegalne posiadanie broni, a Ralph w areszcie za składanie fałszywych zeznań, to było coś, co nie mieściło się w gangsterskich głowach! Wcześniej na coś podobnego trzeba było sobie zasłużyć, zabijając kogoś na oczach sędziego i ławy przysięgłych, nawet ewidentne morderstwa, oszustwa i przekupstwa uchodziły na sucho, siedzieć szli tylko frajerzy, złodziejska drobica albo pechowcy. To jeszcze nie był idący po plecach zimowy mróz, ale pogoda robiła się zła.

Do tego listy z kraju. Stefa pisała, że babcia czuje się coraz gorzej, a stryjek Janek był coraz mniej chętny do pomocy. Beniowski przebąkiwał coś o prawniku, który pracuje przy umorzeniu jego sprawy. Wspominał też o tym, że gdyby Heniek znalazł kupca, to może opylić firmę, ale za nie mniej niż siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Był to jasny przekaz, jak przywieziesz pieniądze, to jesteś wolny jak ptak, a jak nie, to męcz się z tym dalej, póki cię jakoś od tego nie uwolnimy. Sprzedać to za taki szmal to marzenie ściętej głowy, bo kryzys nabierał tempa. Ale nie to było najważniejsze, w Chicago było mu po prostu dobrze... Wszystko wyglądało inaczej, gdy pojawiała się ONA; federalni znów stawali się bezradnymi ciapciakami, Warszawa była dubeltowo daleko, a życie stawało się piękniejsze i prostsze. Nie przeszkadzały mu nawet jej kaprysy, wręcz przeciwnie, cieszył się nimi.

Tym razem Priscilla stanowczo zażądała pójścia do opery, było to o tyle niespodziewane, że w tym samym czasie planowała wyjazd do Nowego Jorku. Mieli tam zrobić rajdy po klubach jazzowych i zajrzeć do słynnego Cotton Clubu, a wszystko to na początku miesiąca, tymczasem Priscilla oświadczyła, że musi być na otwarciu nowego gmachu opery, dokładnie czwartego listopada.

– Ja muszę, muszę tam być! Przecież Rosa Raisa będzie śpiewała partię Aidy! Henry, rozumiesz to? Czy to rozumiesz?

– Mówiąc to, tupiała i zaciskała dłonie w pięści, z niezależnej flapperki, pociągającej z piersiówki w jazzowych spelunkach albo na *petting parties*, Priscilla znów przemieniła się w bezbronną kruchą panienkę z dobrego domu. Znów była małą, rozpieszczoną dziewczynką, ale w tej roli też mu się podobała.

– To już nie chcesz jechać do Nowego Jorku do ichniejszego Cotton Clubu? Nie chcesz Duke’a Ellingtona i tej całej reszty? – zapytał całkiem spokojnie. – Sądysz, że da się zdobyć bilety?

Priscilla zrobiła dramatyczną minę, po czym zamrugła powiekami i całując go w ucho, wyszeptała:

– Ależ, Henry, moja matka zajmuje się sobą, a ojciec pieniędzmi i lichem wie czym, tylko ty możesz zadbać o małą Priscillę, zrobisz to?

Babki, jak muszą liczyć na siebie, to są zaradne jak jasna cholera, ale gdy mają już swojego księcia z bajki, to wsiadają na niego jak na konia i jadą na oklep, bo bolą je stópki. Kobiety to potrafią, nie ma co! *La donna e mobile* – przez głowę przeleciał mu fragment *Rigoletta*. Cholera, że też znał takie rzeczy, ale przed operą nie dawało się uciec; jak nie gangsterzy, to Priscilla. I oni, i ona swobodnie zmieniali rodzaje słuchanej muzyki, Heńka ciągnął tylko jazz i zadymione kluby, w których bywało się dla muzyki. Tymczasem oni potrafili pójść do opery w eleganckich strojach, a później zabawić się w czarnej tancbudzie.

– Henry, bądź moim rycerzem, powalcz o swoją księżniczkę, kiedyś mężczyźni potrafili zabić, by uratować lub uszczęśliwić kobietę! Teraz brakuje romantyków, którzy potrafiliby być silnymi mężczyznami...

Najchętniej to by ożywiła tych poetów, co to jeden siedział w więzieniu, a drugi był najemnikiem, handlował bronią i niewolnikami. Verlaine i Rimbaud się nazywali. Kryminaliści i łobuzy, których wiersze czytała mu na głos, egzaltując się przy tym jak pensjonarka. Tylko że te Francuziki miały feler, bo z kobietami to oni nie za koniecznie, a i ze sobą też nie do końca, bo się o mało nie pozabijali. Babki marzą o gruszkach na wierzbie i grzebią w historii, a wystarczy się rozejrzeć wokół siebie. W Chicago byli pełnowartościowi faceci, którzy umieli przypalantować komuś w łeb i pięknie się wzruszyć. Nie miała pojęcia, że taki O'Bannon namiętnie układał bukiety i z podobną pasją kosił wrogów. Al wzruszał się, słuchając arii operowych, i potrafił ukatrupić razem ze swoim kolegą innego gangstera, Colosima, jak raz w chwili, gdy tamten słuchał opery. Można być niezłym łajdakiem i przy okazji całkiem romantycznym typem, bo jak to mówił Mietek Kosiorek, kawka nie wyklucza herbatki.

On sam też był chyba taki, ale nie zawsze wyczuwał, w jakim charakterze Priscilla chciałaby go widzieć. Na wszelki wypadek grał porządnego gościa, by nadażyć za jej kapryсами, bo dziewczyna potrafiła zacząć wieczór szampanem w eleganckiej knajpie i skończyć bimbrem w podrzędnej speluncie albo wystartować w operze, a na finał chwiać się z kieliszkiem pod jazzową sceną. Starał się za tym wszystkim nadażyć, ale do końca nie wiedział, kiedy rzucić się do stóp z bukietem kwiatów i być szarmanckim, stając się jednocześnie zaborczym i brutalnym. Kobiety chciały wszystkiego, a już na pewno chciała tego Priscilla. Zrozumiał to w Atlantic City, tam też dotarło do niego, że najważniejsze, to sprzeczne ze sobą żądania realizować w odpowiedniej kolejności.

– Wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko! – Mówiąc to,

przesuwał wargami po jej policzku.

– A zabiłbyś dla mnie?

Tak, do tego to zmierzało, musiała zadać to pytanie.

– Oczywiście – powiedział, czule ją całując.

Tak zapewniali niemal wszyscy faceci, ale akurat Heniek wiedział, o czym mówi, i nawet się zastanawiał, czy pozbawienie kogoś życia nie byłoby najprostszym rozwiązaniem problemów z biletami. Palnąć komuś w łeb za dwa zaproszenia na inaugurację opery. Chyba by to doceniła?

– Kogo mam zabić, kto ma bilety, kto stoi na drodze twojego szczęścia? – zapytał, uśmiechając się.

– Wystarczy, byś je kupił, głuptasie – zaśmiała się i powiesiła mu na szyi.

Romantyczny bohater, rycerz, zabójca, głuptas...

Kimkolwiek by był, musi zdobyć te bilety!

Od tamtej rozmowy minęło siedem dni, jeszcze dwa tygodnie i będzie ten dzień. Poniedziałek, czwarty listopada, dzień premiery nowej opery w Chicago. Dobrze byłoby mieć te cholerne zaproszenia w ręku! Wszedł do biura i od wejścia zawołał:

– Ronald!

– Słucham, szefie!

– Załatwiłeś zaproszenia na otwarcie opery?

Chłopak, zwykle rezolutny, szukał jakiejś odpowiedzi lub wyjaśnienia, tym razem jego mina wyrażała porażkę i dezorientację.

– Szefie, szef wie, że nie da się nadrukować biletów, to nie mecz!

Heniek słuchał z uwagą, a później myślał, co mu odpowiedzieć. Jemu też nic nie przychodziło do głowy. Stukał palcami o blat biurka, aż uznał, że rozwiązanie może być tylko

jedno.

– A mówiłem ci już, że zapłacę każde pieniądze?

– Nieee – uśmiechnął się rudzielec. – Ale...

– Co ale? No co?

– To może być straszna kasa, niewyobrażalna, to może kosztować tyle, że taniej byłoby sobie sprowadzić na chatę tę Texas Guinan i jej gang albo...

– Nie ma albo! Ten dzień, to miejsce!

– Okay, nie ma sprawy, ale niech szef się nie dziwi, jeśli wyjdzie tyle, co za opancerzoną limuzynę. Mówię serio.

Heniek popatrzył na niego uważnie.

– No, może przesadziłem, ale na najlepsze miejsca chcą jak za auto szefa. To jakieś cholerne szaleństwo!

Heniek tylko westchnął i odprawił go machnięciem ręki. Miał odkładać forszę na interes w Warszawie, a może nawet i na resztę życia, ale w końcu są rzeczy ważne i ważniejsze. Nie było ceny, której by nie zapłacił za uśmiech Priscilli. Postanowił się nie denerwować, Ronald był miglancem i lubił się trochę pobujać, ale na koniec zawsze robił to, o co go proszono. Luz i relaks, nie ma się czym denerwować, trzeba się bawić! Cały czwartek dwudziestego czwartego października byli po południu w kinie, później w klubach na The Stroll. Wpadli tam w taneczny trans i nie mieli pojęcia, co się dzieje na świecie. Tam nie słuchano radia, bo po co, skoro było mnóstwo klubów. Spacerować po The Stroll, to tak, jak kręcić gałką na radioodbiorniku, ale takim, który odbiera tylko jazzowe stacje. Nad ranem zwalili się do łóżek i spali, tak jak lubili, do południa. Tym razem w okolicach jedenastej zadzwonił Ronald.

– Szefie, jestem dłużnikiem do końca życia! – Ronald był wyraźnie poruszony. – Kto wie, może musiałbym sobie strzelić w łeb, a tak jestem bogaczem!

- Co się stało?
- Akcje poleciały na pysk, krach na giełdzie. Ludzie pozbywają się tego chłamu, przed bankami kolejki, czegoś takiego jeszcze nie było! A ja mam wszystko, ja jestem bezpieczny!
- To bardzo dobrze, Ronnie, to bardzo dobrze. – Heniek był jeszcze zaspany i nie rozumiał radości chłopaka.
- Kupiłem akcje RCA za sto parę dolarów, a sprzedałem po czterysta od sztuki.
- Bardzo się cieszę, Ronnie, bardzo się cieszę, chłopaku, dobrze je wydaj.
- Kupiłem dom za piętnaście tysięcy, a zostało mi prawie sto, jestem bogaczem!
- Bardzo się cieszę, bardzo, a teraz daj mi spać
- powiedział Heniek i położył słuchawkę na widełki.
- Co się stało, Henry? – spytała Priscilla.
- Nic, jakiś krach na giełdzie.
- Cooo, krach na giełdzie?
- Co się tak wierzisz, masz akcje?
- Mam akcje swojego ojca! – krzyknęła.
- Nie ma nic gorszego niż akcje, nigdy ci tego nie mówiłem? – leniwym, zasnym głosem odpowiedział Heniek.
- Obudź się! – krzyknęła jeszcze głośniejsze.
- Po co?
- Dzieje się, skoro jest panika, to ludzie tracą fortuny.
- Ja nie straciłem, mogę spać spokojnie. Już we wrześniu, jak akcje zaczęły spadać, mówiłem, że maklerzy załatwili frajerów. Leciało już wtedy na pysk, ale wszyscy byli jak chciwe małpy.
- Nie mogłam sprzedać tych akcji, to nasza rodzinna firma!
- Priscilla wstała, wykapała się, ubrała i włączyła radio.

Mówili, że w całej Ameryce jest wielkie poruszenie, że akcje spadły w dół, że w bankach zaczyna brakować pieniędzy, bo ludzie się boją, że i one upadną. Chcąc nie chcąc, wstał, bo jego dziewczyna była mocno zdenerwowana. Poszli do The Loop, a tam było tak jak kiedyś w Warszawie, gdy wybuchła wojna światowa. Miał wtedy dziesięć lat, ale doskonale to pamiętał. Jak tylko zarządzono mobilizację, to ludzie chcieli wypłacać pieniądze z banków. Po piętnastu latach zobaczył podobne kolejki i podobne twarze, on już wiedział, że dla większości za późno, a ci, co utopili flotę w akcjach, których wysokość pęczniała jak żaba pompowana przez słomkę, nie mieli w ogóle żadnych szans. Życie, pomyślał sobie. Pieniądzy nikt darmo nie daje, a oni byli równie głupi, jak chłopaki, którzy przegrywali wszystko, co zarobili na targu w trzy karty. Najpierw cię podpuszczają, dają wygrać jeden raz, drugi, a czasem i trzeci. Kto mądry, ten idzie, kto głupi, gra dalej. Dobrze, że jak Ronnie wziął ślub, to zrozumiał, że ma sprzedać akcje. Rudzielec zarobił kupę forsy i uratował tyłek, bo on, chłopak z warszawskiej Woli, powiedział mu: „Niech kupują, niech się bawią, ale kiedyś będzie tego koniec, śmierć frajerom!”. Śmierć frajerom, pomyślał, zaciągnął się ostatni raz i rzucił na chodnik niedopałek papierosa.

Priscilla była smutna, ceny akcji spadały, podobnie było z cenami nieruchomości.

– Jak masz gotówkę, to jesteś spokojna, dolar się trzyma.

– Ale prawie nie mam gotówki, trzymam wszystko w banku...

– Jakby co, utrzymasz się z bransoletki – zaśmiał się Heniek. – Starczy na parę lat, choć przy twoich wydatkach pewnie góra na rok.

– A co, ty nie lubisz się bawić? – Szturchnęła go w bok, to

znaczy, że znów była zadziorną flapperką, jednak zaraz stała się bezradną panienką z dobrego domu. – Henry... – zaczęła, tuląc się. – Henry, co z otwarciem opery?

– Ależ oczywiście, że idziemy.

– Na pewno? Nie chciałabym brać biletów od ojca, a jeszcze bardziej od matki. Pamiętaj o smokingu lub fraku, jutro pójdziemy na zakupy!

Wpadł do biura, klnąc pod nosem. Zapomniał o tej cholernej operze, zawiódł ją, to znaczy zawiódł go Ronald.

– Ronnie... – zaczął spokojnie.

Rudzielec siedział za biurkiem, bezczelnie rozłożony z nogami na blacie.

– Ronnie? – kontynuował o ton wyżej.

– Słucham? – Ronnie odpowiedział nie do końca wyraźnie, bo w ustach miał cygaro wielkości pochodni.

– Ronnie!

Chłopak westchnął ciężko i sięgnął do kieszeni swej kraciastej marynarki, z której wyjął dwa kawałki papieru. Wypuścił pod sufit kłęb dymu, po czym wyjął cygaro z ust i z uśmiechem powiedział:

– Pewnie rozchodzi się o te bilety do opery?

– Ronnie!!! – wykrzyknął z zachwytem Heniek. – Ronnie, załatwiłeś je!

Ronald Kennedy zrobił kamienną twarz Bustera Keatona, a puszczając kolejny kłęb dymu, spokojnie powiedział:

– Jak coś mam załatwić, to załatwiam, i to z reguły tanio.

Na mordobicie na Soldier Field, co to Tunney obił Dempseya, się dodrukowało, a tu...

– Co zrobiłeś?

– Poczekalem, aż spadły ceny, paru gościom zmiękła rura po tym, jak stracili na akcjach, ja akurat zyskałem, bo dzięki

szefowi opitoliłem ten chłam wtedy, kiedy trzeba było.

Ronald podniósł się, odłożył cygaro do popielniczki i uroczyście wręczył Heńkowi bilety.

– To prezent ode mnie i całej rodziny. Gdyby nie szef, bylibyśmy golasami, a tak...

Heniek wziął bilety i uściskał Ronniego.

– Dziękuję ci bardzo, dziękuję.

– To ja dziękuję!

– Chodź do mojego pokoju, wychylimy po szklaneczkę whisky!

Nie ma co, Ronnie miło go zaskoczył, do tego poczuł radość z jego sukcesu i z tego, że tak go pokierował, zupełnie jakby wyprowadził na ludzi młodszego brata. Ale nie miał brata. W Chicago był tylko przyszywany brat Ronnie, a w Warszawie prawdziwa siostra Stefa. Zakłuł go wyrzut sumienia, ale szybko znieczulił ból buteleczką whisky, którą wypili wspólnie z rudzielcem.

Pięć dni później wysiedli wraz z Priscillą z taksówki i spojrzeli na gmach opery. Ta w Warszawie była niczego sobie, taka jak starożytna świątynia, z kolumnadą i z tym trójkątnym czymś nad nią. Elegancka sprawa, ale tu stał prawdziwy gigant, drapacz chmur, do którego sala operowa była tylko dodatkiem. Gdy w Berlinie oglądał film *Metropolis*, widział czystą fantazję, ale gdy przyплыł do Ameryki, zobaczył, że to nie fantazja, tylko przyszłość. Budynek wyglądał, jakby był wyjęty z tego filmu, miał czterdzieści pięć pięter i prawie sto siedemdziesiąt metrów wysokości, ponad trzy razy więcej niż najwyższy warszawski budynek, Cedergren przy Zielnej!

Weszli do rozświetlonego hallu. Teraz lepiej było widać Priscillę. Podziwiał ją nieustannie, bo wyglądała olśniewająco. Wyjątkowo, nawet jak na nią. Nie była ubrana jak flapperka ani

nawet jak gwiazda, tylko jak wielka dama. Nie zdążył jej powiedzieć żadnego komplementu, bo to ona rzuciła do niego:

– W tym ubraniu jesteś bardziej pociągający niż zwykle.

– Pogłaskała go po klapie smokingu. – Czuję, że doprowadzisz mnie dziś do szaleństwa.

– W zwykłych ciuchach daję radę – uśmiechnął się.

– Poradzę też sobie w tych śmiesznych szmatach. Tysiące kelnerów, facetów z orkiestry, lokai i zwykłych milionerów robi to ze swoimi babkami.

– Jesteś pewny siebie...

– Nie inaczej, moja droga, nie inaczej. – Uśmiech nie schodził z jego twarzy. – Mam przecież bilety na premierę, a to tak, jakbym zabił smoka. Czyż nie jestem twoim rycerzem?

Tak, był jej rycerzem i był starszym bratem dla Ronniego. Znów pomyślał o Stefie, jak wróci do Warszawy, będzie musiał jej to wszystko wynagrodzić.

XXIV

New York, New York

Prohibicja trwała w najlepsze, ale ich sprawy kulały. Gdyby nie zarobili w Nowy Rok i w czasie karnawału, to teraz byłoby ciężko. Co prawda ceny alkoholu były dobre, ale wiosną 1930 roku federalni stali się mocni jak nigdy. Ryzyko robiło się coraz większe, skończyło się chichranie z policji, wpadkę zaliczyło już wiele nielegalnych hurtowni i rozlewni. Wyjście z pudła Ala niczego nie zmieniło, a jeśli już, to na gorsze. Z miejsca się czuło, że już nic nie będzie takie samo jak kiedyś. Snorky był osaczony, ale kłopoty Ala były niczym wobec tego, co spotkało Johna Obertę. Dingbat ledwie parę miesięcy wytrzymał jako następcą Big Tima Murphy'ego, a jego żona ponownie została wdową. Znalezione go wraz z jego szoferem w aucie porzuconym pod miastem, byli podziurawieni jak sito. Podobno szło o władzę w związkach.

Pogrzeb miał wspaniały, wdowa kupiła elegancką trumnę z mahoni, za którą zapłaciła piętnaście kawałków, a jedynymi kwiatami były białe orchidee. Stawiła się cała ekipa Dingbata, dotarli też chłopcy z innych ferajn. Al nie przyszedł, ale pojawiły się inne ważne twarze. Heniek wyłowił wśród żałobników Joe Saltisa, Bugsy'ego Morana i Spike'a O'Donnella. Polityków i związkowców nie znał, ale mówiono, że takich gości było z kilkudziesięciu. Wszystko odbyło się z pompą, przy okazji Heniek dowiedział się, że Dingbat należał do Kościoła polskokatolickiego. Mieli tu w Chicago taki Kościół, który pogniewał się na Watykan, i do niego wstąpiła rodzina Oberty. Teraz zrozumiał, dlaczego John tak mocno musiał do siebie przekonywać Irlandczyków.

Nie obyło się bez scen, matka Dingbata zaczęła szlochać

i nie chciała puścić trumny z synem, prosiła, aby jej go pokazać, a tego, po jatce, która go spotkała, chciano kobiecie oszczędzić. Tak czy owak, było z pompą i z tysiącami żałobników i gapiów. Pożegnanie Oberty śmiało mogło konkurować z pogrzebem byłego prezydenta i zarazem urzędującego sędziego Sądu Najwyższego Williama Howarda Tafta. Zbieg okoliczności sprawił, że dwudziestego siódmego prezydenta Stanów Zjednoczonych żegnano dokładnie w tym samym czasie.

– Obaj byli republikanami – powiedział Ronald, kładąc wieniec.

– A teraz obaj są sztywni – odrzekł stojący obok Abram Sycowski. – Tylko że Dingbat miał tylko dwadzieścia dziewięć lat, a Taft siedemdziesiąt trzy. Zdrowiej być prezydentem, tylko Lincoln i McKinley mieli pecha, a w naszym fachu długo się nie pociągnie. Myślę, żeby się wycofać.

– A jak?

– Sprzedać wszystko i wiać.

– Komu i jak? Jest kryzys.

– Nieważne komu, nieważne, za ile, nawet za pół ceny, nawet za ćwiartkę warto, bo życie też jest mocno przecenione, a wolność jeszcze bardziej. Urząd skarbowy depta mi po piętach – syknął do ucha Heńkowi. – Ciebie nie ścigają?

– Nie.

– Jesteś za mały, dobrze teraz być małym. Dni Ala są policzone, skarbówka liczy każdy jego cent.

– Musi dać większe łapówki – wtrącił się Ronald.

– Za późno, chłopaku, moim zdaniem za późno. Tak to wszystko się ma, takie mam przeczucia. – Sycowski wyglądał na zatroskanego, mimo że szedł w kondukcje, wyciągnął papierosa i zapalił. – Federalni są teraz inni niż kiedyś, bo pojawili się wśród nich tacy, których nie można przekupić.

– Nie są przekupni, nie biorą pieniędzy na boku? – Heniek i Ronald byli zdziwieni.

– Dalej biorą, ale już nie od nas. Grupa bogatych dupków zeźliła się na Ala, mieli dość tego, że ich kojarzą z gangsterstwem. Jedzie taki gdzieś poza Chicago albo do Europy i od razu pytają: O, Chicago, tam, gdzie są gangsterzy i Al Capone? A to dopiero początek, później mówią: A nie boisz się pan? A czy znasz pan tego Ala Capone? Ale najgorsze są pytania o przekupstwo, o policję, o burmistrza, o federalnych. Cały świat się śmieje z kulawej prohibicji.

– Boli ich to? – zapytał Heniek.

– Jak jasna cholera, a do tego psuje im interesy, więc taki jeden, szef Chicagowskiego Zrzeszenia Handlu, Randolph, Robert Isham Randolph, zaczął zbierać pieniądze na federalnych. Dali drugą pensję Alexandrowi Jamiemu, który kieruje Biurem Prohibicyjnym, więc ten stara się jak nikt przedtem. Mówią, że ma ekstraforsę na wyróżniających się agentów, do tego jednym ze swoich przybocznych zrobił swojego kuzyna Eliota Nessa, a ten zebrał małą ekipę, do której ma zaufanie. Ciężkie czasy, powiadam ci, idą ciężkie czasy!

Sycowski był dobrze poinformowany albo tylko takie sprawiał wrażenie. Na pewno zaś był cwaniakiem i lawirantem pierwszej klasy i na pewno nie był już tak blisko Ala jak kiedyś. Może więc tylko mantykował, bo był rozczarowany, że nigdy nie został tak bliskim współpracownikiem Snorky'ego, jak by tego chciał?

W nieco ponad dwa tygodnie później okazało się, że przecucia i informacje nie myliły Abrama Sycowskiego; „Chicago Tribune” zamieściło listę wrogów publicznych, którą sporządziła Chicagowska Komisja do spraw Przystępności. Listę otwierał oczywiście Al Capone, a trzeci był stojący w jego

cieniu brat Ralph, tuż za nim Frankie Rio i Jack McGurn, a dziesiątkę zamykał Jack Greasy Thumb. Jakby tego było mało, ostatnie listy z kraju też dawały dużo do myślenia. Babcia chorowała i stryj Janek musiał ją położyć do szpitala, do tego kapitan Beniowski uważał, że coraz bliżej jest Heńkowi do bezpiecznego powrotu. Mecenas zajmujący się jego sprawą miał uzyskać stosowne gwarancje.

Siostrzyczka jak zwykle bardziej go pocieszała, niż informowała, a Beniowski między pytaniami o firmę raportował o wydatkach z kasy Heńka. Pod koniec listu pojawiło się zdanie: podobno widziano Wlazłę w Warszawie, a policyjny informator doniósł, że uczestniczy w jakichś lwowskich interesach. To wszystko pogłoski. Nie można go szukać siłami „dwójki”, raz, że niewielu w samej „dwójce” wiedziało o Heńku, a dwa, że nikt nie miał pojęcia, co go łączyło z Juliuszem Beniowskim.

Heniek, paląc listy, zastanawiał się, czy kapitan nie zbywa go tą informacją, a może naprawdę Franio bywa w Warszawie? Nie sprawdzi tego, będąc tu, w Chicago. O zemście marzył, ale o własnych wygodach i życiu także. A jednak czuł, że nadchodzi czas, by wracać. Zrobił pieniądze, zobaczył świat, więc mógł znów wrócić do porządkowania swojego życia.

Na razie miał jednak w planach wyjazd z Priscillą w jakieś miłe, cieplejsze niż Chicago miejsce. Cieszył się na to, bo dobrze mu było z tą dziewczyną. Na początku wydawało się, że się szybko wypstrykają z pomysłów, że wariackie życie skończy się tym, że każde z nich znajdzie kogoś nowego, z kim będzie mogło robić te same rzeczy. Rutyna ich jednak nie dorwała, a wspólne doznania zachęcały do następnych. Złapał się na tym, że zdarzało mu się zostać u niej na dwa, trzy dni, a i Priscilla nie wychodziła z jego mieszkania przez tydzień... Może dlatego potrzebowali wyjazdu, by zamieszkać razem, by być ze sobą bez

przerwy? Czuł, że ona była jego, całkowicie i bezwarunkowo, i że było to w jego życiu coś nowego. Przecież najpierw była Ludmiła, służąca pułkownikostwa Nowickich, do której chadzał z doskoku pod nieobecność państwa i którą, jak się potem dowiedział, dzielił z jakimś parobkiem spod Białegostoku. Leokadia z kolei cała należała do Heńka, ale jej rodzina nie miała prawa się dowiedzieć, wiedział za to aspirant Denhel, który się w niej kochał i który zatruł mu życie, zmuszając do ucieczki za ocean. Patricia Robinson nie była jego w żadnym calu, to raczej on do niej należał, a dokładnie był częścią jej dworu, taką samą jak pokojowa, kierowca lub stangret albo guwernantka dzieci.

Z Priscillą było inaczej. Rodzice pewno nie zaakceptowaliby tego związku, ale ona nie musiała się niczego obawiać, miała własne mieszkanie, własne pieniądze, własne zdanie i przede wszystkim – własne życie. Jeszcze w czasie wyjazdu do Kalifornii była zaniepokojona, że w hotelu jest znajomy jej ojca, magnat prasowy Hearst, wpadła nawet wtedy w lekką panikę. Ale to się zmieniło, teraz nie było obawy, że ktoś ich nakryje. To była dla niego nowa sytuacja, do której się szybko przyzwyczaił i która coraz bardziej zaczynała mu się podobać. Po ponad roku od chwili poznania ten dziwaczny związek sprawiał wrażenie coraz bardziej scementowanego i sensownego. To pozwalało Heńkowi przetrwać ciężkie chwile i jednocześnie stało się kotwicą trzymającą go w Chicago. Zaniebął nawet przez to przenosiny interesu na Kubę, ale na szczęście czuwał nad tym Ronald. Wierzył mu na słowo i godził się na jego pomysły, bo przecież musiał mieć czas na to, by być z Priscillą. Gdy zaczynał myśleć o tym, że zaniebuje przez nią cały świat, zawsze zdarzało się coś, co znów kierowało uwagę na dziewczynę.

– Posłuchaj! – Priscilla odkręciła gałkę radia do oporu. Pokój wypełniły trąbki, do których przyłączył się kobiecy głos.

You do something to me

Something deep inside

Hanging on the wire

For love I cannot find

Zapaliła papierosa i naląła sobie szampana, krążyła po pokoju z papierosem w jednej i z kieliszkiem w drugiej dłoni. Heniek spoczywał w fotelu z identycznym zestawem, a ona pełna energii poruszała się w rytm płynącej z radia muzyki. Wyrwała go z fotela, przylgnęła do niego i zaczęła z nim tańczyć, wtulając głowę w jego ramiona, obejmowała go czule i szeptała do ucha słowa piosenki.

– Henry, wiesz, co to jest?

– Słyszę to niemal codziennie.

– Wszystkie stacje to grają, to *You Do Something to Me*, ty też robisz mi coś takiego, jak w tej piosence. Ona jest cudowna, Henry, cudowna.

Piosenka dalej leciała na cały regulator, a ona tańczyła, nucąc słowa.

– Wiesz, kto to napisał? – Widząc brak reakcji, wytłumaczyła: – Cole Porter, kochanie, Cole Porter. On jest wspaniały, co roku ma jakiś przebój i wielki musical. Ta piosenka jest z *Pięćdziesięciu milionów Francuzów...*

– I oczywiście chciałabyś to zobaczyć?

– Henry, ty czytasz w moich myślach! – Jej mina wskazywała, że to nie koniec próśb i żądań.

– Nowy Jork? Czy grają to w Nowym Jorku?

– Tak! Nowy Jork i Broadway, tam nas jeszcze nie było. Pamiętasz?

– Kiedy chcesz jechać?

– Natychmiast! – wykrzyknęła. – No, może być za tydzień. Nie kochał opery i musicali, ale w końcu nie była to wygórowana cena za obejrzenie Nowego Jorku. Tym razem zobaczy coś więcej niż port i dworzec kolejowy.

– A Cotton Club? – Heniek zapamiętał nazwę klubu, o którym po raz pierwszy usłyszał od *Herr* Magatha, a później od niemal każdego muzyka jazzowego.

– Cotton Club? Oczywiście. Henry, tam też nie może nas zabraknąć! Ale najpierw Lyric Theatre, ten musical grają tam i tylko tam!

– A zatem jedziemy przynajmniej na trzy dni?

– Tak, Henry. Trzy, może nawet cztery dni!

Priscilla objęła go czule i pocałowała, było to podziękowanie i obietnica nagrody.

Robisz coś takiego

Coś co trafia do środka

Tkwią w zawieszaniu

Przez nieodnalezioną miłość.

Zanucił pod nosem, żałując, że potrafi tę piosenkę przetłumaczyć i zrozumieć, za to jednak nie umie jej po polsku porządnie zaśpiewać. Lepiej to chyba jednak brzmi w oryginale, pomyślał, ale nie to było najważniejsze.

Nazajutrz Heniek wparował do biura, Ronald ucieszył się na jego widok.

– To co, pogadamy wreszcie o Kubie?

– Pogadamy, ale jak załatwisz bilety do teatru w Nowym Jorku, tam gdzie grają musical, coś o pięćdziesięciu Francuzach, wystawiają to w Lyric Theatre.

– Może i Lyric Theatre, ale jest to o pięćdziesięciu milionach Francuzów, szefie – zaśmiał się Ronnie.

– Załatwisz?

– A czy ja kiedyś nawaliłem?

– No nie, ale... – Heniek zamyślił się. Zamiast przeprosić, dobił chłopaka: – No właśnie, nie pojedę na Kubę, bo wyjazd do Nowego Jorku będzie właśnie w tym czasie. Te bilety, ten musical i cała reszta, to wszystko na przyszły tydzień.

Ronald o mało nie padł. Cokolwiek by wyczarował, to i tak było z nim jak z tym Grekiem Syzyfem: już się wydawało, że zrobił coś jak trzeba, okazywało się, że musi zaczynać od nowa. Podobno koleś taszczył jakiś kamień na górę, a jak tam dochodził, to kamień mu spadał i zaczynał od nowa. Znał paru Greków, różnych tam Stavrosów, Anthimosów, Giannisów, Nikosów i Panagtiosów, ale nigdy nie poznał żadnego Syzyfa. Myślał, że to bujda, ale dzisiaj po raz kolejny przekonał się, że to prawda. Musiał odwołać rezerwację hotelu i bilety na Kubę, a zamiast tego skołować bilety na musical. To mogło być trudniejsze niż załatwienie wejścia do opery. *Pięćdziesiąt milionów Francuzów* było popularne, a piosenka *You Do Something To Me* biła rekordy, niemal tak, jak *The Star-Spangled Banner*. Westchnął ciężko, podrapał się w rudą głowę i wziął do ręki słuchawkę telefonu.

Pobyty w Nowym Jorku był cudowny i pełen wrażeń, bo tym razem nie pojechał tam po to, by kogoś zabić.

– Henry, umrę przez ciebie z rozkoszy – zamruczała Priscilla, prężąc się w łóżku hotelu Piccadilly.

Tak mógł uśmiercać każdego dnia i każdej nocy. Robił to jak zawodowy morderca. Gorzej było, gdy znalazł się ulicy lub w teatrze albo klubie. W tłumie ludzi, jakby to mówił Mietek Kosiorek, miał głowę na gumce. Rozglądał się w lewo i w prawo, czy też nie trafi na ochroniarza Koszernego Rekina, którego dźgnął nożem na schodach dworca kolejowego w Chicago. Wtedy tylko go ranił, typ wyszedł ze szpitala

i zapewne powrócił do Nowego Jorku.

Ważne, że musical przeszedł bezboleśnie, a jeszcze ważniejsze, że Metropolitan Opera miała tournée i w związku z tym nie musiał jeszcze zaliczać i tej wątpliwej dla niego przyjemności. Czuł wyrzuty sumienia, gdy pomyślał o tym, że powinien być na Kubie, że powinien zobaczyć, co tam tak naprawdę kupili. Ale przecież nie mógł jechać z Priscillą, bo nie chciał jej wtajemniczać w swe interesy, nie chciał też być bez niej. Siedział więc w hotelowej restauracji i sycił się widokiem dziewczyny, zagłuszając wyrzuty sumienia. Wyglądała znakomicie, taka kobieta jak ona nie mogła się znudzić. Heńkowi wydawało się, że z dnia na dzień jest coraz piękniejsza i coraz bardziej pociągająca, wciąż miał na nią ochotę i cieszył się każdą chwilą w jej towarzystwie. Miał wrażenie, że wzbudza zainteresowanie bez mała wszystkich mężczyzn. Kelnerzy jej nadskakiwali, goście z innych stolików w restauracji zerkali w ich kierunku, a w czasie jazdy windą uśmiechano się do niej szeroko.

Jednym z tych, którzy na jej widok zmylili krok, był elegancko ubrany facet krążący od paru minut po restauracji. Był drogo, ale nie krzykliwie ubrany i poruszał się po hotelu jak po swoim terytorium. Nie był typem przystojniaka, jego twarz spośród innych wyróżniały mocno zarysowane kości policzkowe, mocna szczęka i sporych rozmiarów łysina. Wyglądał na twardego, ale sympatycznego gościa i był na pewno kimś znanym obsłudze. Kierownik sali? Wyżej, z pewnością wyżej... A może dyrektor? Mężczyzna zatrzymał się przy ich stoliku i zagadnął:

– Dzień dobry państwu, William Weber, jestem właścicielem hotelu. Czy państwo są zadowoleni z naszych usług?

Przedstawili się jako państwo Smith, co oczywiście wywołało delikatny uśmiezek na jego twarzy, zaprosili rzecz jasna właściciela hotelu do stolika i wspólnie wypili poranną kawę. Wpierw rozmawiali grzecznościowo, o wystroju, pogodzie i kryzysie, z czasem jednak *small talk* przerodził się w interesującą rozmowę.

– Panie Smith, czy gra pan może w golfa? – zapytał Weber.

– Tak, ale nie jestem pierwszorzędnym graczem

– uśmiechnął się Heniek.

– Ja też nie, mam za to dużo szczęścia – powiedział tajemniczo właściciel hotelu.

– Niech pan o tym opowie! – dołączyła się do golfowej rozmowy Priscilla.

Po minie Webera było widać, że tak poprowadził rozmowę, by móc się czymś pochwalić.

– Otóż niecały rok temu gościł u nas Graf Zeppelin...

– Byliśmy wtedy w Los Angeles – uśmiechnęła się Priscilla.

– Nie muszę więc państwu tłumaczyć szczegółów, zafascynowała mnie myśl o przelocie nad Atlantykiem i...

– Poleciał pan? – Heniek nie mógł uwierzyć w to, do czego zdawał się zmierzać Weber.

– Tak! – Weber skinął głową i uśmiechnął się szeroko.

– Jest pan szczęściarzem!

– I to podwójnym! Ja ten lot wygrałem w golfa!

– W golfa?

– W golfa, bo czasem się rywalizuje i w pracy, i w biznesie. Otóż moim konkurentem jest pan Nathan Wexler, właściciel hotelu Palace. Rywalizujemy o klientów i mierzymy się na polu golfowym, zagraliśmy więc partyjkę o to, kto funduje bilety na lot Grafem Zeppelinem do Europy. Zwykle wygrywał Nathan,

bo on jest lepszym golfistą, ale tym razem los się do mnie uśmiechnął. Pisały o tym nawet gazety, bo przecież nieczęsto zdarza się wygrać tak piękną nagrodę!

– A co z przegranym?

– Poleciliśmy razem, bo byliśmy umówieni na wspólną przygodę, kwestią naszego zakładu i golfowej rozgrywki pozostawało tylko to, kto za to szaleństwo zapłaci. Tak się złożyło, że to ja triumfowałem i fundatorem biletów został Nathan Wexler. Wziąłem na siebie kolację w Niemczech, starałem się, by była wystawna, ale nawet nie zbliżyłem się do kosztów, które poniósł mój kolega z hotelu Palace.

– Za pozwoleniem, ile kosztowały bilety? – zapytał Heniek.

– Dziewięć tysięcy dolarów... – zaczął Weber.

Czyli za dwa bilety osiemnaście tysięcy, a później jeszcze trzeba pokręcić się po Europie, gdzieś zamieszkać, no i wrócić do Ameryki transatlantykiem, ma się rozumieć pierwszą klasą. Ile razem to pochłonie? Pewnie ze trzydzieści tysięcy. Nie był sknerą, ale poczuł, że pieniądze parują z jego kieszeni.

– Ma się rozumieć dziewięć tysięcy to cena za cały lot dookoła świata – ciągnął William Weber. – Lot z Ameryki do Europy to tylko dwa tysiące dolarów plus pięciodolarowy podatek.

Heniek pokiwał głową, drogo, ale nie była to już fortuna, która mogła wydrenować kieszeń. W jego głowie zaczęły się kłębić myśli.

– Pan cały czas wygrywa, dlatego stanęliśmy u pana, a nie u pana Wexlera w Palace. – Priscilla posłała Williamowi Weberowi czarujący uśmiech. – Pana hotel otacza zwycięska aura, aura sukcesu i spełnienia...

– Ale tak serio, to zamieszkali tu państwo zapewne dlatego, że u Nathana nie było wolnych miejsc? – Weber powiedział to,

jakby był przy zamawianiu noclegu.

– Ale nie żałujemy – odpowiedział Heniek – bo poznaliśmy pana, panie Weber.

– Henry zaraz pana zarzuci pytaniami o podróż sterowcem, czyż nie tak, mój kochany?

Tak w istocie było, następne pół godziny William Weber opowiadał o swoich przeżyciach na pokładzie Grafa Zeppelina, a Heniek słuchał jak urzeczony. Trwający dwa dni lot z lądowiska w New Jersey do bazy Zeppelinów był najpiękniejszą rzeczą, o jakiej kiedykolwiek słyszał. Jak każdy dobry hotelarz, a Weber był znakomity w swoim fachu, potrafił odgadywać życzenia klientów. Gdy Priscilla wyszła przypudrować nos, właściciel hotelu Piccadilly z miejsca rozpoczął szybki wykład.

– A teraz, panie Smith, przejdźmy do konkretów.

– Nazwisko Smith hotelarz wypowiadał tak, że Heniek nie miał wątpliwości, że Weber wie o tym, że jego gość nazywa się inaczej. – Ja znam ludzi i mógłbym być niezłym detektywem. Wiem, że chciałby pan zabrać panią Smith w podróż Zeppelinem, widać, że kocha pan swoją... żonę. – Tu zrobił minę świadcząca o tym, że nie wierzy w to, że są małżeństwem. – A także statki powietrzne...

– To prawda, leciałem dwa razy na trasie Chicago – San Francisco – Chicago. Raz zabrałem Priscillę, szybko się jednak znudziła.

– W sterowcu nie ma mowy o nudzie, Graf Zeppelin to inna klasa! To jak powietrzny lot transatlantykiem. Poza granicami Stanów Zjednoczonych serwują szampana, jest doskonałe jedzenie, no i te widoki... Kajuty są małe, ale to najmniej ważne. A czy pan wie, że szykuje się nowa podróż sterowca? Tym razem po Ameryce, statek ma lecieć z Niemiec przez Hiszpanię,

będzie w Sewilli, potem do Brazylii, a następnie przez lądowisko w New Jersey powróci do Niemiec, z międzylądowaniem znowu w Sewilli.

Heniek słuchał tego jak jakiejś bajki.

– Panie Weber, czy są bilety? Do których drzwi pukać, do kogo dzwonić, koszty nie grają roli!

– Koszt to około czterech tysięcy dolarów, ceny spadły.

– Weber rzucił tę sumę, jakby chodziło o drobne, w tym przypadku tak było, bo Heniek był w stanie zapłacić znacznie więcej. – Dostałem ofertę na ten lot, zastanawiałem się nad nią, bo to wielka przygoda i do tego możliwość zwiedzenia Hiszpanii. To podobno ekscytujący kraj.

– Czy chce się pan pozbyć biletu?

– Ja nie chcę się go pozbywać, chętnie bym poleciał po raz drugi, ale interesy... Muszę więc zrezygnować z tej pięknej przygody i przekazać zaproszenie na lot w godne ręce. Mam do jutra dać odpowiedź...

– Jestem zdecydowany! Kiedy będzie lot?

– Sterowiec wystartuje z lądowiska w Lakehurst drugiego czerwca.

– Drugi czerwca, to bardzo mi pasuje – zamyślił się Heniek.

– Zresztą nieważne, kiedy by to było, muszę lecieć. Panie Weber, mogę natychmiast wpłacić pieniądze, pan wskaże adres!

– Ciiiicho – szepnął Weber. – Panna, o przepraszam, pani Smith zaraz będzie przy stoliku, a to ma być niespodzianka. Nieprawdaż? – Po czym szepnął: – Biuro Hamburg – American Line, mają przedstawicielstwo w porcie, ale szybciej i wygodniej będzie pójść na Broadway pod numer czterdzieści pięć!

Heniek uściskał dłoń Webera, bo ten miał rację. Już wyobrażał sobie podniebne rozkosze, a widok Priscilli, która zbliżała się do stolika, kołysząc biodrami, nakręcał jego

wyobraźnię; lot, niezwykle widoki, szampan, własna kajuta... Prawdziwe szaleństwo. A jeśli nie będzie chciała, jeśli odmówi? Trudno, to nie ona była jego dziecięcym marzeniem. To, co zobaczył w sierpniu tysiąc dziewięćset czternastego roku, wryło mu się w pamięć, jak niewiele innych zdarzeń. Cień Zeppelina zrzucającego ulotki i wizja lotu tą maszyną powracały nie tylko w myślach. Przez całą wojnę biegał na Pole Mokotowskie, gdzie Prusacy zorganizowali lądowisko dla swoich gigantycznych latających cygar. Lot sterowcem nachodził go zarówno w pięknych snach, jak i w koszmarach. Po tym, jak w szynku u Grubego Joska dostał po głowie i stracił przytomność, przeniósł się na pokład Zeppelina, który był jak Latający Holender prowadzony przez upiornego kapitana. Marzeń o sterowcu nie osłabiły loty samolotem, może nawet je pobudziły. Zrobi to, jest o krok, z Priscillą lub bez niej. Jej nie było w planach, gdy jako bosonogi dziesięciolatek, biegnąc po Dworskiej z pogrzebaczem i fajerką, zobaczył na niebie sterowiec.

Ostatniego wieczoru dotarli do słynnego Cotton Clubu, który położony był na rogu 142 ulicy i Lenox Avenue. Ta część Harlemu była dla Nowego Jorku i Manhattanu tym, czym dla Chicago The Stroll. W czarnej dzielnicy Chicago kluby były dla mieszanej publiczności, tylko w The Loop znajdowały się lokale, gdzie był bezwzględny podział ról; Murzyni przygrywali, śpiewali, tańczyli i usługiwali, a biali się bawili. W Cotton Clubie, tak jak w eleganckich lokalach The Loop, publiczność była wyłącznie biała. Klub urządzone był tak, by goście siedzieli nie w środku Nowego Jorku, lecz gdzieś na południu, na dziedzińcu posiadłości właściciela plantacji bawełny. Scena wyglądała jak weranda domu białego pana włości lub zarządcy, a tło stanowiły obrazy drewnianych domów niewolników

i gospodarczych zabudowań. Publiczność, wytwornie ubrana, oglądała show, siedząc przy stolikach. Kelner podszedł i się uklonił.

– Co mogę państwu zaproponować?

– Dobry alkohol i jeszcze lepszy show!

– Tylko tyle? – zaśmiał się. – To mamy u nas każdego wieczoru! Najlepsi kompozytorzy z Broadwayu piszą dla nas muzykę, a alkohol jest wyborowy, żadnej lewizny, tylko najlepsze gatunki; szampan, whisky, wino, wódka, każda butelka w najlepszym gatunku.

– Najlepsi kompozytorzy z Broadwayu, to pracują tam czarni kompozytorzy?

– Nie – zaśmiał się kelner. – Biali, bo to repertuar dla białej publiczności, ale za to czarni potrafią to najlepiej zagrać i zatańczyć.

– Tancerki też są niczego sobie – zauważyła Priscilla.

– Nie może być inaczej, te dziewczyny są Trzy T: *tall, tan and terrific*[48]! Każda ma nie mniej niż sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu!

– Czyli ja się nadaję – ucieszyła się Priscilla. – Mam tylko troszkę więcej lat, a opalić mogę się latem, przyjmiecie mnie?

– Ja bym się z miejsca zgodził, ale decydują właściciele, natomiast ja mogę przyjąć zamówienie.

– Szampana – zaordynował Heniek.

– Robi się, szanowny panie!

Kelner sprężystym krokiem udał się po butelkę, a Heniek uważnie przyjrzał się Priscilli.

– Czemu mi się tak przyglądasz?

– Bo zastanawiam się, jak byś wyglądała z taką opalenizną.
– Mówiąc to, wskazał na scenę, gdzie występowały Murzynki i Mulatki.

– Podobają ci się?
– Wyglądają dobrze.
– Podnieca cię ich widok?
– Wciąż nie bardziej niż ty sama, chętnie zobaczyłbym twój występ.

– Już teraz?

– Nie, w hotelu, chcę mieć cię tylko dla siebie.

– Jesteś zazdrosny...

– Tak, jestem zazdrosny.

Nagle usłyszał znajomy głos.

– Co ty tu robisz? – Ton Patricii Robinson nie był przyjemny, ale świdrujący, wysoki, dziwnie wibrujący, wyrażający nieukrywane oburzenie.

– Jak to, co ja tu robię? Bawię się, jak każdy inny!

– Kpisz sobie ze mnie? To w takim razie co ty tutaj robisz, Priscillo?

Heniek był coraz bardziej rozbawiony.

– Jesteś zazdrosna, przecież nie jesteście już razem! I skąd znasz moją towarzyszkę?

Miał wrażenie, że usłyszał od strony Priscilli jakieś dziwne syknięcie, odgłos zdziwienia połączonego ze złością.

– Ona się mnie pyta, co ja tu robię, bo to moja matka!

Ożeż jasna cholera! Wiedział, że jest córeczką dzianych rodziców i że ma wredną matkę, ale czegoś takiego się nie spodziewał, chociaż... tak, kogoś mu przypominała, ale nie sądził, że to wszystko może przybrać taką postać. Gdyby przytrafiło się to komuś innemu, to uznałby, że to niezwykle zabawne. Ale jemu nie było do śmiechu, a matka i córka wpatrywały się w niego uważnie.

– No to mamy qui pro quo, drogie panie. – Heniek próbował jeszcze ratować sytuację.

– Nazywasz to nieporozumieniem, bydlaku? – zasyczała Patricia.

– Ty i moja matka? – dodała Priscilla.

– Spałeś z moją córką? Jak długo jesteście razem?

Nie ulegało wątpliwości, Heniek Wcisło alias Henry Haas znalazł się w krzyżowym ogniu pytań, które szybko przerodziły się w groźby.

– Zniszczę cię! – powiedziała zimnym głosem Patricia Robinson. – Mam ochotę wydrapać ci oczy!

– Jak mogłeś? – dołączyła się Priscilla.

– A skąd miałem wiedzieć?

– To, co z nami zrobiłeś, było odrażające, zapamiętasz swój błąd! – Gdyby zmije umiały mówić, to brzmiałyby tak jak Patricia.

Heniek spojrzał na Priscillę, chciał ratować, co się da.

– Doskonale wiesz, Priscillo, że nie mogłem mieć o tym pojęcia. Gdybym... – Chciał jeszcze dodać: „Nie zrobiłbym tego, gdybym tylko wiedział”, ale powstrzymał się. Nie wyobrażał sobie ostatnich miesięcy swojego życia bez tej dziewczyny, gdyby tylko mógł cofnąć czas, to zmieniłby wiele rzeczy, ale z niej by nie zrezygnował. Zawahał się, stanął w pół zdania. – Gdybym... – zaczął po chwili namysłu.

Ale było już za późno, chwilę zawahania wykorzystała Patricia, która ścisnęła Priscillę za rękę. Dziewczyna patrzyła to na matkę, to na Heńka i nic nie mówiła. Wzięła oddech, jakby chciała coś powiedzieć, ale spojrzała na matkę, a ta przemówiła, jakby była prokuratorem lub sędzią:

– Poznają tę bransoletkę – zaśmiała się. – Każdej ją dajesz? – I spojrzała wymownym wzrokiem na Priscillę. – A teraz słuchaj uważnie, draniu – zasyczała. – Mój mąż jest w grupie Randolpha, słyszałeś o niej? – Słyszał, mówił o nich na

pogrzebie Dingbata Sycowski, wiedział, że to wpływowe dupki walczące z gangami, znał ich moc, ale starał się tę informację zbagatelizować i z pewnością jego twarz wyrażała co innego, niż myślał. A myślał, że żarty się skończyły, bo słyszał o pomysłach i działaniach Randolpha. – To usłyszysz i ty, i ci twoi kumple spod ciemnej gwiazdy. Robert Randolph jest prezesem Chicagowskiego Zrzeszenia Handlu, on i inni ludzie biznesu mają już dość tego cyrku, tych gangsterskich wojenek, tego westernu w naszym mieście i kompromitowania go. George myśli podobnie, bo tak jak inni, ma już was dość, psujecie interesy i przynosicie miastu i całej Ameryce wstyd. Czy wiesz, że na Riwierze boy zapytał nas, czy znamy Ala Capone? Boy, rozumiesz, hotelowy boy, a dokładnie to samo pytanie powtórzył podczas koncertu francuski baron! Wszyscy mają was dość! Skończysz jak ten grubas Al Capone, zgnijesz w więzieniu!

– Czyżby? – Groźby były poważne i był zdenerwowany nie na żarty. Grał jednak twardziela i zucha. – Ty też tak sądzisz, Priscillo? Czy faktycznie jestem złoczyńcą?

Priscilla miała jeszcze szansę stanąć przy nim, ale trzymana za rękę przez matkę wypaliła:

– Wystarczy, że ktoś doniesie na ciebie, że brałeś udział w masakrze w Dniu Świętego Walentego – krzyknęła.

Zrobiła to na tyle głośno, że na moment jej głos przebił się przez gwar panujący w klubie.

W pierwszej chwili drgnął, zdawał sobie sprawę z tego, że Priscilla nie mogła wiedzieć o jego obecności podczas gangsterskiej egzekucji, ale zrozumiał też, że nie żartuje. Zrozumiał, że bezpowrotnie ją traci. Dziewczyna wybrała; stanęła po stronie matki i wystąpiła przeciwko niemu.

– Tak, to temat, którym zainteresuje się każdy śledczy – podchwyciła Patricia. – Brawo, to dobry pomysł, Priscillo,

wystarczy szepnąć coś na ten temat panu Randolphowi. Myślę, że go to zaciekaWi...

Gdyby tylko wiedziały, że był jednym z nich, że choć nie strzelał, to jednak był tam, gdy odbyła się egzekucja. Same w to nie wierzyły, ale wiedziały, że taki donos, że dobrze trafiony donos może mu zatruć życie. W jego przypadku efekt zemsty mógłby przekroczyć ich najśmielsze oczekiwania. W tych czasach każdy miał coś do ukrycia, zwłaszcza ktoś, kto szybko doszedł do pieniędzy. Nie był jeszcze w potrzasku, ale być może to tylko kwestia dni. Coś takiego nie mogło dobrze działać na samopoczucie, podobnie jak to, w jaki sposób zareagowała Priscilla. A nie był to jeszcze koniec.

– Nie potrzebuję jej – powiedziała całkiem spokojnie Priscilla, która zdjęła bransoletkę i błyskawicznie wsunęła mu ją w kieszeń marynarki. – Nie będę nosić czegoś, czego nie chciała moja matka.

To już był koniec, co zdecydowało? Uległość i strach przed wydziedziczeniem, czy jednak ambicja i urażona duma kochanki, która dowiedziała się, że była nagrodą pocieszenia po własnej matce. Możliwe, że jedno i drugie, a tak czy owak, umarł w butach, nie ma już tu czego szukać. Do tej pory starał się być wygładzony, miły i poprawny, ale teraz, gdy był już przegrany, nie wytrzymał:

– To, co z wami robiłem, drogie panie, nie było odrażające, mam wrażenie, że wszyscy bawiliśmy się wyśmienicie. Odrażające byłoby, gdybym poszedł do łóżka z matką i córką. Tymczasem po pierwsze, nie miałem jeszcze okoliczności z dwiema paniami naraz, a po drugie, nawet gdyby tak było, nie miałbym pojęcia, że jesteście rodziną. Oczywiście możemy to jeszcze kiedyś nadrobić, ale raczej nie dzisiaj, bo resztę wieczoru zamierzam spędzić sam.

Matka i córka wyglądały jak harpie, które najchętniej obdarłyby go ze skóry.

– Mój pokój będzie za pięć minut wolny, rób, co chcesz, mam nadzieję, że nie zostaniesz wydziedziczona. A teraz...

– uchylił kapelusza – panie pozwolą, że zostawię je same.

Do odlotu sterowca Graf Zeppelin były niespełna dwa tygodnie, dla nowoczesnego człowieka w świecie szybkich kolei i aeroplanów to tyle, co nic, ale dla kogoś, kto postanowił, że będzie to lot w jedną stronę, bardzo mało. Zdecydował, że wraca; już go tutaj nic nie trzymało, miał pieniądze i stracił bezpieczeństwo i anonimowość. Tymczasem w Warszawie wszystko wracało do normy, do tego babcia i Stefa go potrzebowały. Poza tym czuł złość, którą chciał koniecznie na kimś wyładować. Był taki człowiek, nazywał się Franciszek Wlazło, i jego poszukiwania należało rozpocząć od Warszawy. Powodów, by wrócić, było bez liku.

Spakował się w try miga, to akurat było proste, teraz czeka go bezsenna podróż pociągiem, chyba że szybko opracuje plan na to, jak się pożegnać z Chicago. Do tego wyjazdu musiał się przygotować bardzo starannie.

XXV

Odlot

To był nerwowy dzień i samotna noc. Musiał jakoś z tego wybrnąć, gdyby mógł, to od razu wskoczyłby w ekspres do Chicago. Trzeba było jednak poczekać do rana. Pojechał pierwszym szybkim pociągiem. W przedziale na wygodnym pulmanowskim łóżku mógł się wyciągnąć jak długi i planować najbliższą przyszłość. Myślał przez kilka godzin, paląc na przemian marihuanę i papierosy. W końcu poskładał w myślach wszystko do kupy, już wiedział, co robić; jeśli szatan istniał, to na pewno był teraz razem z nim w gnającym z Nowego Jorku do Chicago ekspresie 20th Century Limited. Czuł, że to mezz go rozluźnił i oczyścił z brudu ostatnich godzin, z mezzem było przyjemniej, po nim oddychało się pełnymi płucami. Mezz dodawał duchowi głębi, poruszał duszę, myśli płynęły swobodnie i krzyżowały się w niespodziewany sposób. Patricia i Priscilla Robinson, żona i córka George'a Robinsona, głównego udziałowca Robinson & Co... Kim był dla niego? Szwagrem czy zięciem? – Aż zachichotał na myśl o tym, jak witałby się z panem Robinsonem.

– Henryk Wcisło!

– Kto?

– Henryk Wcisło, inaczej Henry Haas, pana zięć i szwagier, ha, ha, ha! Szwagier, dupku, jeśli w ogóle wiesz, co to znaczy[49]! – Tak by mu powiedział, tak by zrobił. – Jesteśmy zatem rodziną, jak dobrze pójdzie, możesz pan być papierowym ojcem mojego dziecka i całkiem formalnie dziadkiem drugiego! – Rozbawiło go to do łez, o mało nie pękł ze śmiechu. No właśnie, panie Wcisło – Haas, a czemu by nie zostać z panem Robinsonem rodziną? – zaśmiał się w duchu. – Kto dla

kapitalisty jest rodziną – matka, babka, ojciec, dziadek, córka czy syn? Niece, ha, ha, ha, niece – Śmiał się jak szalony.

– Wspólnik, wspólnik przede wszystkim! Czarny, biały, żółty, Żyd albo makaroniarz, wszystko jedno, ale wspólnik. Zostanie więc jego wspólnikiem. Niedużym, takim dalekim krewnym w wielkiej rodzinie.

Nie był hazardzistą, w Warszawie na wyścigach grał tylko wtedy, gdy miał wszystko skalkulowane i ustawione, nie ryzykował, grał na pewniaka. Tutaj nie był w układzie, więc nie grał, bo nie wiedział jak. Nie stawiał także na psy, bo Oberta i Sycowski szybko mu wytłumaczyli, że o kolejności decyduje miska. Przekarmione kundle biegły ociężale, niedożywione wyrwały się na starcie, ale nie miały sił na finisz, a zwyczajnie głodne miały w sam raz i sił, i motywacji, by gonić sztucznego zająca. W karty zagrał tylko raz, z Alem. Nie planował tego i pewnie drugi raz by się nie odważył, ale wtedy miał w czubie, niosły go alkohol i marihuana oraz szczęście, które sprzyja debiutantom. Jak to wtedy powiedział Al? Łatwo przyszło, łatwo poszło. Nie lubił hazardu, nie považał akcji, a dla pań Robinson był wrogiem publicznym numer jeden. Pewnie gdyby George Robinson wiedział o wszystkich jego zasługach, to Heniek byłby trupem. To wszystko składało się w ciekawy układ.

Wciągnął dym i zmrużył oczy, pomyślał i wszystko coraz bardziej go bawiło. Wygrał sto tysięcy dolarów, a skoro łatwo przyszło, to niech łatwo pójdzie. Państwo Robinson, będziemy jak rodzinka, będziemy wspólnikami. Sodoma i gomora, pomyślał i się zaśmiał. On, który nie znosił giełdy, wróg Robinsonów, zdecydował się wydać sto tysięcy na ich akcje! Spadły ostatnio na pysk, jak wszystko inne, ale Priscilla po początkowej panice była pewna siebie, widać było, że fabryczka papy nie upadnie. Nie dzisiaj i nie jutro, a więc... – Znów się

zaciągnął, po czym zachichotał. – Al i chłopaki grali wtedy jak gamonie i w sumie podarowali mu te dolary, więc jak przegra, to Robinsonowie będą mieli... – Zaczął szukać tej formułki, której używali prawnicy. Przypomniał sobie i aż się zaśmiał.

– Zadośćuczynienie za straty moralne!

Był z siebie zadowolony, zrobi to i basta. Piękny plan, piękny, zasłużył zatem na południowego burbona i coś do żarcia. Mezz domagał się wspomagania, nowego bodźca, a do tego piekielnie wzmaczał apetyt. Nacisnął dzwonek, by wezwać konduktora. Po minucie był u niego czarny mężczyzna w uniformie.

– Pan sobie życzy?

– Burbon i kanapki, dużo kanapek!

Gdy się najadł, poczuł się błogo, jeszcze szklaneczka i mach mezza, a potem lulu. Taka podróż to jest podróż.

Obudził się pod wieczór, teraz trzeba było pomyśleć o reszcie. Ból głowy nieco przeszkadzał, ale burbona w butelce było dość, by nie tylko się podleczyć, ale i nabrać wigoru. Nie będzie pił jak byle pijak. Znow zadzwonił po konduktora, tym razem po to, by poprosić o lód. Do północy wymyślił resztę planu, nawet to, komu sprzeda firmę, by Beniowski miał swoje dolary. Był dumny z siebie i swoich pomysłów, czuł, że ma, jak to mówią artyści, wenę. Teraz tylko musi się wyspać, później przebrać, a następnie przekazać wszystko Ronaldowi. Bez niego nic się nie uda, ale wierzył w chłopaka, że nie tylko zgodzi się na wszystko, ale i da radę poprowadzić firmę.

Trzeba się będzie spieszyć, nie żeby gonić, po prostu poskładać wszystko do kupy i wynieść się stąd. Prawie trzy lata poza domem, wystarczy, szlus.

Zaraz po powrocie prosto z dworca Heniek wpadł do biura. Był jeszcze nakotłowany towarem od Mezza i alkoholem, miał

więc nastrój jak sztubak i wszystko go bawiło. Rudzielec siedział i przeglądał kolumny sportowe, zaszedł więc go od tyłu i gruchnął:

– Ronald!!! – Chłopak podskoczył jak oparzony, ale nie był to koniec niespodzianek. – Czy nie chciałbyś kupić domu na Florydzie?

Kennedy wybałuszył oczy.

– Ja? – zapytał zaskoczony.

– A czy jest tu jakiś inny Ronald?

– Nie, ale...

– Nie chcesz kupić domu na Florydzie? – powiedział Heniek głosem tak obojętnym, jakby mówił o zakupie nowej pary butów albo biletu na mecz baseballowy.

Ronnie zdębiał i popatrzył na szefa z uwagą.

– Że co?

– Czy chciałbyś mieć dom na Florydzie? Nie taki pierwszorzędny jak Al Capone, ale całkiem przyzwoity. Kroci się niezła okazja.

– Szef wie, że bym chciał, ale mnie nie stać, na razie ledwie co skleciłem chatę dla staruszki i rodzeństwa. Zrobiłem, jak szef kazał, oszczędzam, jak mogę – powiedział Ronnie, odruchowo obciążając mankiet, by zakryć złoty zegarek.

– I to mi się bardzo podoba, chłopaku! Coś zaradzimy, masz jeszcze u mnie trochę pieniędzy...

– Jak to, przecież wszystko poszło na zakupy nieruchomości i złota? – Był coraz bardziej zdziwiony.

– Ale ja zrobiłem parę błędów w obliczeniach, a poza tym należy ci się premia i podwyżka!

– Podwyżka, premia?

– Ten dom nie będzie szczególnie drogi, siedemnaście tysięcy to pieniądź, który masz...

– Ja?

– Jak ci mówię, że masz, to znaczy, że masz!

– Szefie, co jest grane?

Heniek podszedł RONALDA i chwycił go za ramiona.

– Siadaj, mam ci parę rzeczy do opowiedzenia. – Mówiąc to, wyciągnął karafkę z whisky i szklanki. Zanosiło się na dłuższą rozmowę.

Heniek wyjaśnił RONALDOWI, co jest grane, że przypadkiem narozrabiał, że musi wracać do domu i że rudzielec zastąpi go na dubeltowym stanowisku szefa firmy i gangu. Zamiast się ucieszyć, chłopak był załamany.

– Wszystko się tak pięknie kręciło, a teraz...

– odpowiedział RONNIE.

– A teraz będzie się kręcić jeszcze szybciej, masz łeb jak sklep, dasz sobie radę! – Heniek był entuzjastycznie nastawiony do planu, który wymyślił w pociągu, więc trudno go było zbić z tropu.

RONNIE, który gdy tylko była okazja, popisywał się błyskotliwymi uwagami i sypał pomysłami jak z rękawa, wyglądał teraz jak rozbitek na bezludnej wyspie.

– Dasz sobie radę, dasz sobie radę – mamrotał. – To tak, jakby szef wrzucił kogo do wody i krzyknął: radź sobie, a jak nie umiesz pływać, to się nauczysz!

Heniek przytaknął.

– Jest dokładnie tak, jak mówisz. Rzucam cię na głęboką wodę, to najlepsza pora. – Widząc, że RONNIE kręci na boki swą rudą łepetyną, złapał go za ramiona i potrząsnął nim. – Przecież zawsze chciałeś być bossem, czyż nie tak? – Heniek czuł, jakby wygrał jakąś zgadywanke, bo widział po twarzy rudzielca, że trafił w czuły punkt.

– Co innego chcieć, a co innego być.

– Czy nie ciągniesz czasem tego interesu sam od blisko roku? Myślałem, że to od ciebie usłyszę, że w końcu się wkurzysz, a ty mi wyjeżdżasz z gadką, że nie dasz rady! Nie ma to tamto, rozpoczynamy nowe życie, i ty, i ja, i firma.

– Jest szef pewien?

Ronnie patrzył na niego ni to z przerażeniem, ni to ze zdziwieniem. Heniek tylko czekał, jak jego pracownik i adiutant wypali, że szef jest nawalony i nie powinien teraz podejmować żadnych ważnych decyzji. Może i tak było, ale Heniek był tego pewien. Wszystkie mniej lub bardziej szalone pomysły wprowadzał w życie, niezależnie od tego, czy był na haju, czy też nie.

– Niech boss posłucha – Ronald mówił ostrożnie, łagodnie, wręcz przymilnie. Najwyraźniej chłopak nie chciał wywierać na nim presji. To było dobre podejście, bo gdyby uderzył z wysokiego „c”, Heniek doprowadziłby go do pionu.

– Marzyłem o tym, żeby kiedyś ze swoim chłopackim gangiem z mojej ulicy stworzyć najpierw poważną bandę, a później firmę. Każdy, kto ma choćby paru ludzi na krzyż, marzy o czymś takim. Ja jednak jestem rozsądny, wiem, że przy szefie będę mocniejszy i bogatszy. Być silnym i bogatym to jest to. Nie jestem tchórzem i myślę od czasu do czasu o tym, że szef się kiedyś wycofa, a ja zostanę nowym bossem. Byłoby wspaniale, ale nie dzisiaj i nie jutro, i nie za tydzień. Jakby każdy, kto ma kłopot z babkami, wyjeżdżał z Ameryki, to zrobiłoby się tutaj pusto. Każdy robi zupełnie na odwrót niż szef, bo jak ktoś odniesie sukces, niezależnie, czy jest koszerny, makaroniarz, szkop czy Polak, to z miejsca ściąga tu rodzinę...

Nigdy o tym nie myślał, nawet mu to nie przeszło przez głowę. Nieźle go podszedł mały Ronald, nie ma co. Opór, a później pomysł rudzielca, by sprowadził tu babcię i Stefę,

sprawił, że zaczął się zastanawiać, czy jego plan ma sens. Wymyślił to wszystko, jadąc pociągiem, po wypaleniu kilku skrętów i wypiciu solidnej dawki burbona. Był dumny z tego planu, ale może warto byłoby sobie raz jeszcze, w spokoju i na trzeźwo, wszystko przemyśleć? Tymczasem Ronald kuł żelazo, póki gorące.

– Te baby kłamią! – powiedział z pewnością w głosie.
– Kłamią głupie suki i tyle! Nie podpieprzą szefa, zrobiłby się zbyt duży rwetes. Ile razy jakaś babka groziła szefowi, że mu wystawi rzeczy za drzwi? Zawsze tak robią, ale jak przychodzi co do czego, wszystko wraca do porządku.

Heniek pokiwał głową, jego to nigdy nie spotkało, ale słyszał o takich numerach. Miecia Kosiorka żona nieraz chciała eksmitować z domu, ale jak ten zrywał się i szedł do drzwi, to rzucała się na niego i robiła dziką awanturę, że chce odejść. Takie już są kobitki.

– Może tak, a może nie... – odpowiedział Heniek, ale już bez poprzedniego entuzjazmu.

Chłopak miał chyba rację, te wariatki blefowały, nie doniosą na niego, nie będą takie głupie. Tak pewnie będzie i Ronnie ma rację, nie może mu się jednak do tego przyznać. Tak, decyzja o wyjeździe to błąd, musi się wziąć w garść i jeszcze raz przemyśleć wszystkie za i przeciw. Na powrót do Warszawy jest stanowczo za wcześnie, babcia wyzdrowieje, a Stefą ma się kto zająć. Beniowski pisał, że jest bezpiecznie, ale prosił go też, by został jakiś czas w Chicago. Chłopaki z Warszawy i Berlina najchętniej spieniężyliby amerykański interes, bo bali się doniesień o kryzysie. Może najrozsądniej byłoby, gdyby to on był kupcem? Zachowa tereny, będzie miał magazyny, dokończy to, co już zaczęli na Kubie i Karaibach, a jak się skończy prohibicja, będą mieli znakomity legalny

interes. Ściągnie wtedy do Chicago babcię i Stefę. Może to jest właśnie to najlepsze wyjście, chłopak ma rację, przecież wszyscy tak robią. Ronald zasiał niepewność, od której kotłowało mu się w głowie, z jednej strony miał go ochotę wyściskać, a z drugiej walnąć w łeb. Nie zrobi ani jednego, ani drugiego, ma plan i bilety i może wylecieć drugiego czerwca, tak jak to planował. Może też i zostać, są całe dwa tygodnie na to, żeby podjąć właściwą decyzję. Niezależnie od tego, co robi, musi zwijać alkoholowy interes, złote czasy się skończyły i przede wszystkim to Ronald musi przyjąć do wiadomości.

– A teraz posłuchaj – zaczął Heniek. – Nawet jeśli nie będziesz chciał przejąć firmy, to i tak od teraz ona będzie inna. Kończymy z alkoholem. Dalej kupujemy firmy na Kubie, Karaibach, a w Chicago zwijamy wszystko, co łączy nas z alkoholem.

– Wciąż można dobrze zarobić, federalni...

– Federalni są coraz skuteczniejsi. Kończymy z alkoholem. Z nielegalnym alkoholem, możemy wejść w wino w kostkach.

– To chyba dobry interes, chyba że i tego zabronią
– zaśmiał się Ronald.

Heniek też się zaśmiał, bo był to zabawny patent. Sprzedawano sprasowane kostki wina w proszku, nazywając to sokiem, w ostatnim zdaniu była jednak notatka, by nie trzymać za długo, bo sfermentuje. A przecież wszystkim o to chodziło. Spoważniał jednak i ciągnął:

– Ale to tylko tak, by dorobić, przyjmij w końcu do wiadomości, że prohibicja się skończy wcześniej, niż ci się wydaje. Na własne uszy słyszałem w Atlantic City, co planują największe gangi. My też idziemy w stronę legalizacji interesu i robimy to od dzisiaj! Będziemy zarabiać na kasach, to będą grosze, ale chyba masz jakieś oszczędności? Pociągniesz za

tysiaka miesięcznie?

Ronald uśmiechnął się szeroko.

– Za granda dalej będę żył jak panisko i to ze wszystkimi, których mam na utrzymaniu.

Heniek spojrzał na niego i wybuchnął śmiechem.

– Czego się boss śmieje? Powiedziałem coś nie tak?

– Trzy lata temu bym w to nie uwierzył, przehulałbyś pieniądze w parę miesięcy. Czyż nie tak?

– Pewnie by tak było – zgodził się Ronnie. – Bez dwóch zdań przepieprzyłbym wszystko. Już nie jestem głodny, nasyciłem się, dorosłem, no i widziałem paru, którzy się udławili swoimi bogactwami. Teraz potrafię czekać na okazję, no i nie chce mi się ryzykować, bo mam Normę i dzieciaka. Nie chcę, żeby oni, tak jak moja matka i ja, byli sami.

– Zmieniłeś się, żebyś jeszcze tylko chciał mi zdjąć ten garb z pleców... – westchnął Heniek. – A teraz zbierz chłopaków i demontujcie sprzęt, chcę, by jak najszybciej było tu czysto.

– A nasze zobowiązania?

Ronald miał rację, ale i na to Heniek znalazł odpowiedź.

– Nikt nie chce współpracować z tymi, na których są naloty...

Chłopak popatrzył na niego uważnie.

– Do tej pory nie było.

– To będą – zaśmiał się Heniek – będą, wystarczy tylko zadzwonić na pocztę! Jak już posprzątam, to doniesiemy sami na siebie. Po ich wizycie będziemy spaleni, a chłopaki od Ala dowiedzą się, że tu, w siedzibie Iron Castle, nie kupi się już whisky.

– Ale niczego nie znajdą.

– Coś tam znajdą. Zostawimy parę butelek, dostaniemy

grzywnę ze nielegalną konsumpcję, może nawet nas zatrzymają. Będzie trochę cyrku, ale nic wielkiego się nie stanie. Nie wsadzą nas, najważniejsze, że księgi mamy czyste. Proste?

– Proste – zaśmiał się Ronald. – Szef to ma jednak łeb!

– Ty też masz, tylko nie chcesz podjąć odpowiedzialności, wygodnie ci, jak jest!

Ronald Kennedy milczał. Tak faktycznie było, Henry Haas trafił w sedno sprawy. Ronnie chętnie by porządził, ale nie chciał brać odpowiedzialności.

– Pamiętaj, jak trzeba będzie, to spadnie to wszystko na twój rudy łeb, miej się na baczności. – Heniek zaśmiał się, ale wcale nie żartował.

Ronald ruszył, by rozpocząć demontaż interesu, a Heniek nalał sobie burbona, zapalił i się zamyślił. Miał dziesięć dni, by podjąć decyzję.

Minał tydzień, Heniek myślał i nic nie wymyślił. Zdążyli już zwinąć interes, teraz pozostawało już tylko czekać na federalnych. To dziwne, ale po tym, jak zlikwidowali swój punkt zlewania nielegalnego alkoholu i wzmacniania piwa, miał wrażenie, że Iron Castle znalazło się pod obserwacją. Nie tylko jemu tak się zdawało, Ronald, Hrubeschowie oraz reszta chłopaków, niemal każdy z firmy dostrzegł w okolicy jakichś nowych, ciekawskich typków. Może się okazać, że nie trzeba będzie dzwonić do federalnych, bo przyjdą sami.

Do lotu, na który miał wykupiony bilet, zostały trzy dni, a on nadal nie podjął decyzji. Na co czekał? Sam do końca nie wiedział; może na telefon od Priscilli, a może na jakieś ekstrawydarzenie. Na cokolwiek, by obwieścić Ronaldowi, że zostaje, ale musiał to podać tak, by szczeniak nie powiedział triumfalnie: A co, a nie mówiłem? Wtedy do jego biura przyszedł goniec z kartką od Sycowskiego.

Henry, spotkajmy się dziś o siódmej w Won Kow na Chinatown przy 2237 South Wentworth Avenue. Zaczynij kolejką, a po dwóch, trzech stacjach przeskocz na taksówkę, patrz, czy nikt za tobą nie ciągnie. Weź dziesięć tysięcy papierów. To może być jedyna taka okazja, znasz mnie, wiesz, że nie blefuję. Little Tiger.

PS. Mogę się trochę spóźnić, stolik będzie na hasło „jestem od pana Lee”.

Little Tiger Sycowski zawsze blefował i był kutym na cztery nogi cwaniakiem, ale nigdy nie wysyłał takich listów. Po prostu przychodził do niego pogadać albo dzwonił. Dziwne, bardzo dziwne i jeszcze ta notka, żeby zmienić po drodze środek transportu i uważać na ogon. Odetchnął głębiej, bo z miejsca przypomniało mu się to dziwne wrażenie, że są obserwowani.

Heniek podszedł do drzwi, uchylił je i rzucił do RONALDA, jakby chodziło o drobny bilon:

- Przynieś mi dziesięć kawałków.
- Ile?
- Dziesięć.
- W grandach?
- W czym tam będzie, lepiej się pospieszyć.

Ronald przyniósł dwa spore pliki.

- W każdym po pięć – poinformował.
- Aż tak bardzo się nie spieszę, dobiez trochę grubszych, żebym nie wyglądał jak balon.

Po takim anonsie, jaki otrzymał od Sycowskiego, zapakował do kieszeni marynarki colta, więc miejsca na pieniądze zaczęło brakować.

- Zbieraj się, jedziemy na Chinatown.
- Tam nas jeszcze nie nosiło – zdziwił się Ronald. – Idę po samochód.

– Nie jedziemy samochodem, ja wychodzę pierwszy i idę do kolejki, jak przejdę na drugą stronę ulicy, odczekaj jeszcze trochę i rusz za mną. Rozejrzyj się, czy ktoś za mną nie idzie.

Ronald kiwnął głową, że rozumie.

– Jadę na północ i po dwóch stacjach przeskakuję na drugą stronę, zmieniam kierunek, a ty dalej sprawdzasz, czy ktoś się do mnie nie przykleił.

– Co potem?

– Spotykamy się na postoju przy Union Station. Podjadę po ciebie taryfą.

Ronald zrozumiał, że sprawa jest poważna.

Ruszyli na raty do kolejki. Heniek z miejsca dostrzegł, że idzie za nim dwóch gości. Gdy szli na ulicy, mogło to być przypadkiem, ale zauważył ich także na peronie, a później w wagoniku kolejki. Nie widział za to Ronalda, który musiał być na tyle dyskretny, że trzymał się w bezpiecznej od niego odległości. Po dwóch przystankach wysiadł, wmieszał się w tłum i zszedł na ulicę. Podszedł do kiosku, kupił gazetę i gdy usłyszał pociąg jadący z przeciwka, ku zaskoczeniu śledzących rzucił się między biegnących po schodach. Wpadł wraz z innymi spóźnialsłymi na peron i wskoczył do wagonu. Niemal natychmiast ruszyli, tamci nie mieli prawa zdążyć. Dotarł na Union Station, tam wziął taksówkę i zarządził, by zrobili małą pętlę i za dziesięć minut wrócili na postój. Ronald już czekał.

– Wszystko okay, możesz z nami jechać? – zapytał Heniek.

– Wszystko jak najbardziej okay – odpowiedział Ronald, podkreślając wypowiedź wyciągniętym do góry kciukiem.

Pojechali do Chinatown. Wysiedli o dwie przecznice wcześniej przed restauracją. Teraz mogli rozmawiać bez skrępowania.

– Zgubiłem ich? – zapytał Heniek.

– Tak – potwierdził Ronald. – Widziałem dwóch tajniaków. Zgubił ich szef na przesiadce.

– Nie pojechali kolejnym pociągiem?

– Nie. Spasowali i poszli do taksówki. Kto to był?

– Sam chciałbym wiedzieć. Może Sycowski coś powie.

Dziękuję za pomoc, możesz zmiatać do domu, a ja do pana Lee.

– Do kogo?

– Na takie nazwisko zarezerwowano stolik.

Wszedł do knajpy, w jej wnętrzu siedzieli sami Azjaci. Poczuł się nieswojo, z drugiej zaś strony nie słyszał, żeby Chińczycy byli cynglami czy tajniakami.

– Jestem od pana Lee – powiedział.

Stojący przy wejściu Chińczyk wskazał mu jedyny wolny stolik.

– Goście pana Lee są zawsze mile widziani, proszę siadać – powiedział ze śmiesznym akcentem, po czym wydał dyspozycje personelowi. Wszyscy mówili po chińsku, zupełnie jakby trafił do innego świata. W czarnych dzielnicach grano muzykę, której słuchał, mówiono po angielsku, ubierano się podobnie jak w The Loop, tyle że taniej, meble też były europejskie, a tu... Inny świat, małe Chiny w Ameryce. Nim ochłonął, do lokalu wszedł Alex Sycowski.

– Zamówiłeś dim sum? – powiedział na dzień dobry.

– Co jest grane? – zapytał go Heniek.

– Dim sum? To zakąski, są tu najlepsze w mieście.

– Sycowski doskonale wiedział, że Heńkowi chodzi o co innego, ale bawił się tą sytuacją.

– Nie chodzi mi o żadne pieprzone zakąski, co tu się, kurwa, dzieje? – Heniek mówił szeptem, ale swoje pytanie najchętniej wykrzyczałby na całą knajpę.

– Dowiesz się wszystkiego, ale czy masz dziesięć tysięcy?

Muszę coś mieć z tego, że uratuję ci tyłek. – Bez żadnych ceregieli Sycowski przeszedł do interesów.

– Słucham?

– To, co słyszałeś, lubię cię, ale moje informacje kosztują. Łapówki, prezenty, kolacje, panienki, wyjazdy do Atlantic City... Od lat inwestuję w swoich informatorów, powiedzmy, że ciebie lubię, więc policzę ci tylko za zwrot kosztów.

– Stoi. A więc?

– Płatne z góry.

Alex Sycowski wypowiedział te słowa z pełną powagą, ale Heniek zapytał:

– To żart?

– Żaden żart. Kładziesz pieniądz na stół, a ja zeznaję, jakbym się przechrzczył i do tego zostałem katolikiem. Wyciągasz dziesięć tysięcy i jesteś moim spowiednikiem. Okay?

Heniek sięgnął do kieszeni, ale zatrzymał się w pół drogi.

– Nie bój się, są przyzwyczajeni, że pan Lee załatwia tu interesy – zaśmiał się Sycowski. – A pan Lee to ja!

– Jesteś tu jedynym białym.

– Co za spostrzegawczość – odpowiedział, licząc pieniądze.

– Nie ma żółtków w policji i wśród federalnych, nie ma żółtych cyngli.

Alex Sycowski zaśmiał się na tyle głośno, że zwrócił uwagę terkoczących po chińsku sąsiadów. Przeprosił gestem ręki, po czym przyciągnął do siebie głowę Heńka.

– Jeszcze nie – uśmiechnął się, szepcząc mu do ucha

– jeszcze nie są federalnymi i glinami, ale są znakomitymi cynglami. Potrafią wszystko, a ich Triady wezmą niedługo więcej niż makaroniarze i my.

Heniek słuchał oszołomiony.

– Tak, tak, mój drogi, Triady będą silniejsze od mafii

camorry. Zapamiętaj! A teraz moja kolej. – Dał znać ręką i kelner przyniósł flaszkę burbona. Sycowski był jak dyrygent, a kolejny ruch dłoni skierowany był do Heńka. Ten zrozumiał go w mig. Wcisło nalał burbon, a Sycowski wyciągnął dwa cygara.

– Pożegnalne – uśmiechnął się kwaśno.

– Co?

– Nie będziemy się przez jakiś czas widzieć, mój drogi.

Heniek planował wyjazd, ale to nie było nic pewnego i skąd, do cholery, mógł o tym wiedzieć Sycowski? Wiedział wiele, ale nie tyle, poza tym nie planował za niego przyszłości...

Alex jeszcze raz przeliczył pieniądze.

– Zgadza się. – Jego twarz wyrażała zadowolenie, jak zawsze, gdy myślał o pieniądzach.

– Ale mnie się nie zgadza! – niemal krzyknął Heniek.

– Przestań się mną bawić, tłumacz! Kto mnie śledził?

– Brawo, zgubiłeś ich, wszedłeś tu bez ogona, wiem o tym, bo moi ludzie patrzyli, czy kogoś nie przywlokłeś. Jesteśmy bezpieczni. Na razie.

– Co jest grane, tłumacz. – Heniek niecierpliwił się coraz bardziej.

– Co tu tłumaczyć. – Sycowski rozłożył ręce. – Jest na ciebie zlecenie.

Heniek patrzył osłupiały.

– I to niejedno – ciągnął Alex Sycowski. – I to niejedno...

– Kto?

– Wszyscy!

– Jak to wszyscy?

– I kowboje, i Indianie – zaśmiał się Alex. – Nieźle narozrabiałeś, człowieku! Nieźle...

– Za dziesięć kawałków powinienes mi powiedzieć coś więcej!

Alex zaciągnął się cygarem i z szerokim uśmiechem zaczął opowiadać:

– Nie wiem, od czego zacząć. W sumie to chyba od tego, że powinienem cię skasować na dwie dychy. Już ci tłumaczę, czemu to powinno tyle kosztować. – Wzniósł szklaneczkę burbona i upił łyk. – Po pierwsze, federalni. Może nie tyle federalni, co niejaki Robert Randolph, prezes Chicagowskiego Zrzeszenia Handlu. Mówi się tam o tobie, a te dupki mają spory wpływ na federalnych i Alexandra Jamiego, szefa Biura Prohibicyjnego.

– Wiem, opowiadałeś mi już o nich.

– Ale ty mi nie mówiłeś, co im takiego zrobiłeś, że o tobie gadają. Chyba cię nie lubią – zaśmiał się Sycowski, ale Heńkowi nie było do śmiechu.

A jednak... Słowa Patricii nie były puszczane na wiatr. „Skończysz jak ten grubas Al Capone, zgnijesz w więzieniu!”. Naprawdę mu tego życzyła i poszczuła psy na niego. Cholera, nie jest dobrze...

– No, opowiadaj... – zaśmiał się Alex. – To musi być jakiś specjał!

– Przyprawiłem jednemu dupkowi rogi...

– Ha, ha, ha! Nie pchaj kluczyka do niewłaściwej dziurki, to stara zasada!

Żeby Alex wiedział, jaka jest prawda...

– Komu sprawiłeś poroże? – Alex wił się ze śmiechu.

– Federalny czy raczej ktoś z socjety? – Nagle jednak spoważniał, twarz mu stężała. Strzelił szybki łyk burbona i trzymając między palcami prawej dłoni dymiące cygaro, zaczął coś na podobieństwo wykładu. – A teraz słuchaj, masz mało czasu. Cholernie mało. Chcą cię chyba doszyć do Dnia Świętego Walentego... Rozumiesz?

Rozumiał. Doskonale rozumiał. Córeczka krzyknęła, mamusia kupiła. Federalni kochają ten temat, cała Ameryka go kocha, dlatego Al znalazł się na widelcu, dlatego musiał wiać do więzienia. Heniek starał się mieć minę pokerzysty, ale odruchowo złapał za szklaneczkę burbona i opróżnił ją do końca. Chciał się podnieść, ale Sycowski przytrzymał go za rękę.

– Lepiej, żebyś siedział – powiedział, nalewając do pełna.
– Mówiłem, że interesują się tobą i Indianie, i kowboje. O kowbojach już wiesz, są tak wkurwieni, że wezwali kawalerię, którą dowodzi niejaki Eliot Ness, a Indianie...

– Indianie?

– Chłopaki z Nowego Jorku przeklęli cię i chcą cię przywiązać do pala męczarni. Ich łowcy skalpów są gotowi. Wiedzą, że dzwoni, ale jeszcze nie wiedzą, w którym kościele. Mój drogi, oni płacą za ciebie dziesięć tysięcy dolarów!

– Najęli amatorów? – Heniek próbował żartować.

Sycowski spojrzał na niego z politowaniem.

– Tyle to płacą za informacje o tobie. Gdybym nie był przyjacielem, przyjąłbym ten pieniądz...

Gdyby był Franciszkiem Wlazłą, na pewno by to zrobił.

– Killerzy biorą więcej, a najwięcej zarobi ten, który cię pochwyci sam i przywiezie ciebie lub twój nekrolog do Nowego Jorku.

Eliot Ness i jego Nietykalni z jednej, killerzy z Nowego Jorku z drugiej strony.

– I jeszcze jedno. Nowy Jork może zażądać twojej głowy w ramach dobrych stosunków między Alem i Luckym Luciano... na razie nie wiedzą, kogo ścigać, nie wiedzą, czy jesteś z Nowego Jorku, czy z innego miasta, Koszernego Rekina nie wiążą na razie ze sprawą Gentile i Grimaldiego.

– Skąd ty o tym wiesz?

- O czym? – zapytał z niewinną miną Sycowski.
- O Koszernym Rekinie i tamtych dwóch...
- Bo ja wiem o wszystkim – uśmiechnął się skromnie.
- Z tego żyję. – A po chwili dodał: – A co najważniejsze, jeszcze żyję.
- Dziękuję ci, Alex... – wyszeptał Heniek – te informacje są warte więcej niż głupie dziesięć tysięcy dolarów.
- Cieszę się, że to doceniasz, ale co ja z tego będę miał?
- zapytał Alex.
- Dam ci dobry procent od załatwienia mi biżuterii.
- A więc uciekasz z żoną rogacza i nie chcesz, by biedaczka była goła? – zaśmiał się Sycowski.
- To trochę więcej niż na jedną szyję, i to nawet bardzo długą. Muszę mieć małe, drogie fanty, żeby wywieźć swój majątek.
- Domyślałem się tego, żony milionerów nie odklejają się tak łatwo od suto zastawionego stołu.
- Córki też – wymknęło się Heńkowi.
- To w końcu żona czy córka?
- Nieważne, kobieta.
- Ważne, żeby pieniądze się zgadzały, ale najważniejsze, żebyś mi się odwdzieczył w Europie. O ile zdążymy stąd prysnąć. – To zdanie Sycowski wypowiedział już poważnym głosem. – Robi się gorąco, bardzo gorąco. Znajdę cię i jak trzeba będzie, pomożesz mi, wtedy będziemy kwita. Jesteś łebski, więc na pewno zrobimy coś razem, ale już nie tutaj. Little Tiger też się pakuje i jak tego nie zrobi we właściwym czasie, to wpadnie w sidła i to w podwójne, Departament Skarbu robi się coraz bardziej ciekawski, a z kolei nasi przyjaciele coraz bardziej nerwowi. Al słabnie, a Lucky i Meyer mają coraz dłuższe ręce.
- To czemu nie wiejesz?

– Mam jeszcze jeden, dwa interesiki do zrobienia. Jak mi się udadzą, to podpiszę na siebie kilka wyroków. – Sycowski był wyraźnie zadowolony, Heniek wywnioskował, że chce na odchodnym zrobić jakiś poważny przekręt, po którym nie będzie miał już prawa powrotu. – Gdzie cię znajdę?

– W Polsce.

– Jakiś adres?

– Najpewniej na wyścigach, na Polu Mokotowskim.

– Gdzie?

– Mokotowskie Field, zapamiętaj!

– Pole Mokotowskie – zaśmiał się. – Jeszcze nie zapomniałem polskiego i pewno go sobie przypomnę. Skie, ski, tak bliżej Radomska i mojej wsi niż Karaibów.

– Tam też chcesz się urządzić?

– Myślałem o tym, ale jeśli mi się uda to, co planuję... Aha, Ejdz Ejdz, nie mów o niczym ważnym przez telefon, jeśli cię śledzą, to znaczy, że pewnie cię podsłuchują, dlatego umówiłem spotkanie listownie.

Jeszcze jedno ostrzeżenie na koniec, ale wcześniej Alex pochwalił mu się, że zrobi coś, co zaboli gang z Chicago. Heniek nie pytał o szczegóły, sam miał dość na głowie, przede wszystkim musiał się spakować. Limit wynosił sześćdziesiąt sześć funtów, czyli mówiąc po ludzku, trzydzieści kilogramów bagażu. Na pewno weźmie ze sobą rozpylacz, ważył prawie pięć kilogramów, dwa magazynki na pięćdziesiąt nabojów po dwa i pół kilograma każdy i jeden bęben na sto, to kolejne cztery kilogramy. Cholera, to już czternaście kilogramów. Ale musiał zabrać większy zapas, bo tutaj w Ameryce nabój, który pasował do machine guna, koltowski ACP[50], był popularny, ale w Europie nie aż tak bardzo. Kusiło go, żeby zapakować go w futerał do skrzypiec, ale wiedział, że to prowokuje. Ach,

a więc gra pan na skrzypcach, posłuchałabym jakiej pięknej melodii. Oczywiście skrzypkowie uwielbiali takie sytuacje i popisywali się swoim talentem. Ale on nie był skrzypkiem. Tak czy owak, zostało mu jeszcze szesnaście kilogramów. Ciuchy, szczoteczka do zębów i półtorej sztabki złota. Miał złote sztabki, ale każda z nich miała dwanaście kilogramów i była warta kilka tysięcy dolarów. Zupełna lipa, bransoletka, która mu została po paniach Robinson, kosztowała blisko dwa razy tyle, a mieściła się w kieszeni. Dlatego zdecydował się na biżuterię. Na biżuterię, grandy i setki. Leciał do Europy, więc mógł nabrać trefnej biżuterii, takiej, którą mieli na składzie paserzy. Sycowski na pewno postara się, aby obaj zrobili na tym dobry interes. Teraz pozostały mu do zrobienia jeszcze trzy rzeczy: poinformowanie o wyjeździe Ronalda oraz telefon do Machine Guna i depesza do Beniowskiego.

Następny dzień zaczął od wyprawy do siedziby federalnych.

– Ronnie! – zawołał rudzielca – jedziemy na pocztę.

– Co się stało? – zapytał chłopak. Wczoraj jego szefa śledzono, a dzisiaj wyglądał, jakby wysiadł z diabelskiego młyna.

– Stało się tyle, że jednak nie miałeś racji. Muszę wracać do kraju, walimy na pocztę, bo trzeba nadać depeszę. Po drodze wszystko ci wyjaśnię.

Ronald milczał, wiedział, że teraz się nie wywinie. Za chwilę zostanie się szefem Iron Castle, czy mu się podoba, czy nie.

– Wracam do kraju, bo te harpie narozrabiały i wkrótce będziemy tu mieli federalnych. To, że nas obserwują, to nie był przypadek, to także oni ciągnęli się za mną, gdy jechałem do Chinatown. Mam na głowie federalnych, obserwują mnie

i pewnie także podsłuchują. Od dziś żadnych ważnych rozmów przez telefon, pojedziesz do warsztatu i powiesz o tym chłopakom. – Nie czekał, aż Ronald oswoi się z tą myślą, i ciągnął: – Mam na głowie nie tylko federalnych, pamiętasz ten mój wyjazd do Nowego Jorku?

– Co szef pojechał za tą starą małpą?

– Nie – uśmiechnął się kwaśno Heniek. – Ten, który zaliczyłem po to, by zastrzelić pewnego starego rekina...

– Jezu... – W samochodzie było ciemno, ale Heniek dałby sobie uciąć palec, że Ronald zbladł. – To szef? Kosher Shark, to szef jego...

– Tak, to ja. A w dwa dni później na schodach Union Station w Chicago zraniono pasażera z Nowego Jorku nożem, śmiałeś się, że teraz kieszonkowcy będą czuli mores, bo na dworcu można oberwać kosą.

Heniek wyjął z kieszeni dwa scyzoryki, które kupił w Nowym Jorku, i zaczął je rozkładać. Ronald, prowadząc, zerkał jednym okiem, jak jego szef wyciąga z rękojeści ostrza, pilniki i małe piłki.

– Ładna skautowska zabawka, sprzedawali w Nowym Jorku w promocji – zaśmiał się Heniek. – Pchnąłem nią tego gościa. Przyjechał za mną z Nowego Jorku. Weź jedną dla siebie, będziesz miał jakąś pamiątkę po mnie.

Gdy się zatrzymali na skrzyżowaniu, Ronald sięgnął po scyzoryk i schował go do kieszeni. Ruszyli, a Heniek dalej mówił.

– Musieli mieć na głowie inne problemy, ale nie zapomnieli o mnie. Właśnie dowiedziałem się, że sama tylko informacja o tym, kto to zrobił i gdzie go szukać, warta jest dziesięć tysięcy dolarów. Jak chcesz zarobić, to masz na to tylko trzy dni – zaśmiał się Heniek.

Chciał tym żarciem rozładować atmosferę, ale wyraźnie mu nie wyszło.

– Głupi żart – wypalił Ronald – beznadziejny!

– Przepraszam cię, Ronnie...

– Szef lepiej mówi, co się teraz będzie działo, bo mnie się wydaje, że kiła i mogiła.

– Nie pękaj – pocieszył go Heniek. – Zlikwidowaliśmy interes, a na ciebie i chłopaków nic nie mają. Tu chodzi o mnie.

– A więc klamka zapadła – powiedział Ronald głosem niewyrażającym emocji.

– Tak, Ronnie – potwierdził Heniek. – Od dzisiaj jesteś tu szefem.

Samochód zatrzymał się przed pocztą i mogli przybić po piątce.

– Jest jeszcze jedno – rzucił Heniek.

– Co takiego? – zaniepokoił się Ronald.

– Nic wielkiego. Kupujemy tę firmę i uniezależniamy się od Berlina. Umówiłem się z szefami, że mogę to od nich odkupić. Tak zrobimy. Chcieli siedmiu dyszek, dostaną sto, bo wiele im zawdzięczam.

– Ale ja nie mam tyle pieniędzy!

– Częściowo weźmiemy je z konta firmy – zaśmiał się Heniek. – Przecież oni nie kontrolują naszych rachunków.

Zaśmiali się, patrząc, jak spośród zaparkowanych przed pocztą aut federalnych jedno właśnie ruszyło w drogę.

– Pieprzeni pocztiarze – zaklął Ronald.

– Listonosze, listonosze – zaśmiał się Heniek, a potem dodał: – Kto wie, może trzeba będzie zadzwonić na pocztę, żeby się listonosze pospieszyli i wycofali firmę Iron Castle z rynku. Mam nadzieję, że ci tutaj nie pojechali do nas, mimo wszystko byłoby lepiej, gdyby to zrobili po moim wyjeździe. – Heniek

uśmiechnął się i klepnął Ronalda. – Jakoś to będzie, nadam depeszę i jedziemy, muszę się spakować.

Zostawił chłopaka samego z jego myślami i wszedł do budynku. Depesza była krótka i adresowana na berlińskie biuro:

MUSZĘ WRÓCIĆ STOP WAŻNE SPRAWY RODZINNE
STOP ZASTĘPSTWO WYZNACZONE STOP TRANSAKCJA
SFINALIZOWANA STOP POINFORMUJCIE WSZYSTKICH
W CENTRALI STOP HEINRICH HAAS

Miał to z głowy, teraz musi się zacząć pakować. Wsiadł do samochodu i popatrzył na Ronalda, który nerwowo się uśmiechał.

– Głowa do góry!

– A Hrubeschowie?

– Zarządziłem spotkanie jutro wieczorem w biurze, porozmawiam z nimi i z resztą chłopaków. Zacząłem od ciebie, bo jesteś teraz szefem. – Zaśmiał się i poklepał rudzielca po plecach. – Sprzedam im bajer, że masz nieco dłuższe zastępstwo. Będą czuli mores, bo powiem, że w każdej chwili mogę wrócić i zrobić porządek. Każdą decyzję będziesz konsultował ze mną. – Zaśmiał się jeszcze raz. – To znaczy tak im powiemy. – Heniek klepnął Ronalda w ramię raz i drugi. – Będiesz dobrym szefem, który da sobie radę. W sumie zazdroszczę ci, nie będzie łatwo, ale chyba jesteś szczęściarzem, co miał o parę niepotrzebnych przygód mniej niż ja. Mocno się zmieniłeś przez te trzy lata, zmężniałeś, wydorostałeś, stałeś się odpowiedzialny. Jak cię poznałem, to byłeś dzieciakiem, a teraz jesteś mężczyzną.

Mówił szczerze, nie zalewał. Bo Ronald grał rozrabiakę, ale tak naprawdę był gościem, który nauczył się kalkulować i w wyważony sposób dążyć do siebie. Był jego spokojniejszą wersją, szybko się wyszumiał i pojął, że najlepsze przygody to

te, które się starannie planuje, a nie te, w które człowiek nurkuje na wariata. Ronnie był szczęściarzem, co nie znał konspiracji, wojny i zabijania. On w jego wieku miał już grubą księgę wariackich historii, a rudzielec coraz grubszy i bezpieczniejszy portfel, cieszył się domem, autem, żoną i dzieckiem. Był spryciarzem, co dojdzie do sporego majątku i spokojnego życia. On miał tylko draki i forszę, ale nie miał spokoju. A przecież miało być zupełnie inaczej...

Ronnie był dzieckiem ulicy, a on majstrowskim synem, który chodził do dobrych szkół; kolejówka, a potem Wawelberg, nie zrobił jednak matury, nie został panem inżynierem, oficerem ani nawet zawodowym podoficerem. Nie został, bo nie chciał, bo niosło go tam, gdzie granda, przygoda i wódeczka. Tymczasem Ronald, który też szkół nie pokończył, ma rodzinę, buduje swoje życie, ma gdzie mieszkać i z kozaka z ulicy robi się rekinem w biznesie. Dwadzieścia lat z grosikiem i ustawia sobie życie, choć wyglądało na to, że to pierwszy kandydat do jakiejś katastrofy. Heniek miał w tym udział i cieszyła go ta myśl.

Teraz do odhaczenia została mu jeszcze jedna sprawa. Powinien się nauczyć walić z maszyn gana. Skoro wraca do Warszawy, to będzie musiał zrobić porządek z Wlazłą. Załatwi tego gnoja tak, jak to widział w garażu na North Side. Rozpruje drania z rozpylacza, ale by tak się stało, muszą się wydarzyć trzy rzeczy. Należy wrócić do Warszawy, znaleźć skurwysyna i rozwalić go. Bilet miał, jak się zaprze, to znajdzie tego bydlaka, ale najpierw musi się nauczyć korzystać z chicagowskiej maszyny do pisania. Mógł być na podsłuchu, więc skorzystał z patentu Sycowskiego i umówił się z Machine Gunem. Niespodzianki nie było, Jack McGurn kazał mu się stawić na polu golfowym. Znów zgubił federalnych i zajechał

taksówką do klubu McGurna.

Gdy byli na środku pola, mogli przejść do sedna sprawy.

– Przyjechałeś tu na partyjkę czy masz do mnie jakiś interes? – zapytał Jack, gdy byli już kilkaset metrów do domku klubowego.

– Jack, czy nauczysz mnie strzelać z maszyn gana? W golfa byłeś dobrym belfrem.

– Dobrym? – zaśmiał się Machine Gun. – Najlepszym! Pewnie, że tak, umówimy się w przyszłym tygodniu.

– Muszę jutro.

– Co muszę?

– Muszę i już, mam coś do załatwienia.

– Pomogę, kumple są od tego, żeby w takich sytuacjach sobie pomagać.

– Sprawa honorowa, muszę to załatwić sam. Tylko ja i on.

– Nie kłamał, mówił prawdę.

– Koniecznie jutro?

– Tak, bo pojutrze wyjeżdżam. – Znow nie kłamał.

– Dokąd?

– Do Nowego Jorku. – Teraz też mówił prawdę.

Machine Gun popatrzył na niego uważnie.

– Ty masz jakąś wojnę z Nowym Jorkiem? Hej, żadnych takich!

– Wiem, o co chodzi, ale to nikt z tych ludzi, którzy mają z wami sztamę. – Znow zeznawał jak na spowiedzi.

– Wąsate Piotrki? – zdziwił się Jack. – Lucky i Meyer cię najęli?

– Nie – uśmiechnął się Heniek i dodał zgodnie z prawdą:

– To nikt z Nowego Jorku, to nikt z gangu.

– Cywil... – skrzywił się Machine Gun. – Zwyczajny koleś. Niedobrze.

– To bandyta i skurwysyn, notowany i poszukiwany przez psy. – Z pewnością tak należało opisać Franciszka Wlazłę. – Nie mieszka w samym Nowym Jorku. – Na koniec Heniek pozwolił sobie na małą nieściskość, ale fakt faktem, Franio w Nowym Jorku nie mieszkał. Kłamać jak z nut to prostu mówić prawdę, ale tylko tę, która ci pasuje.

– A to już lepiej. – Jack wyglądał na uspokojonego i odprężonego. – O takiego kogoś policja nie będzie się zabijać, jeszcze będą zadowoleni, że im zszedł z kartoteki, przyjedzie koroner i powie, że się zastrzelił, ha, ha, ha! Ale żeby dobrze się zastrzelił, musimy zacząć już dzisiaj!

Wsiedli do auta i pojechali za miasto, na pustkowie. Tam na jakiejś farmie przesiedli się w forda T i ruszyli drogą wyżłobioną przez wozy. Tylko stary poczciwy wynalazek Henry’ego Forda mógł tamtędy przejechać, limuzyna szorowałaby podwoziem.

– Tutaj mamy swoją strzelnicę – poinformował go Machine Gun. – Kiedyś wystarczyło wyjechać za ostatni dom w Chicago i znaleźć kawałek pola albo wysypisko śmieci, ale od paru miesięcy trzeba się trochę nagimnastykować.

Heniek ćwiczył na sucho, wiedział, jak odbezpieczyć, jak założyć magazynek, jak skonstruowane było to niezbyt duże urządzenie do seryjnego plucia ogniem.

– Wiesz, co i jak? – zapytał Machine Gun.

– Tak, thompson działa na zasadzie odrzutu zamka półswobodnego – powiedział, dłubiąc przy broni. – Ma poduszki olejowe, które smarują zamek. Przyjrzałem się dokładnie i rozkładałem go, rączka zamkowa jest podczas strzelania ruchoma, jest na górze komory zamkowej...

– Ha, ha, ha, co ty pieprzysz, Ejdz Ejdz, co ty pieprzysz? – zaśmiał się Machine Gun. – A na co mi ta wiedza, ja tylko muszę wiedzieć, że z lewej strony jest wajcha bezpiecznika. Jak

jest obrócona w tył, to gan jest zabezpieczony, a jak ją popchnę w przód, to...

Jack podrzucił w rękach broń i spruł serią ustawione kilkanaście metrów dalej butelki.

– Żadna filozofia, spróbuj! – zachęcił Heńka.

Heniek zrobił tak, jak McGurn. Podrzucił pistolet maszynowy do góry, docisnął kolbę do ramienia i przymierzył jak z karabinu. Nacisnął i poczuł na barku uderzenie, jakby walnęło młotkiem przez drewnianą deskę. Trafił, ale tylko część butelek, które stały w jego rzędzie. Spróbował raz jeszcze, chciał jak Jack rozproszyc ogień, ale wyglądało to niczym malarskie próby człowieka, który pierwszy raz w życiu dostał do ręki pędzel i próbował namalować długą prostą linię. Opuścił broń i pokazał Jackowi gestem ręki, że wie, o co chodzi. Jeszcze jedna próba i kicha. I jeszcze raz, nieco lepiej, i kolejny, już prawie dobrze. W końcu przeliczył wszystko w myślach, skoncentrował się i skosił rząd butelek.

– Brawo, Ejdz Ejdz! – zakrzyknął Machine Gun. – Brawo! A teraz spróbuj tak!

McGurn, który trzymał swój automat opuszczony, nagle wykonał błyskawiczny ruch. Tym razem nie podniósł go do ramienia, nie docisnął kolby, nie przymierzył jak z karabinu. Ledwie pistolet maszynowy osiągnął linię bioder, już zaczął strzelać. Walił, niemal nie celując. Nisko stojąc na nogach, strzelał do beczek, które aż furkotały. To były ułamki sekund, wyrwanie broni, seria i gruchot pocisków o metal. Gdyby na miejscu beczek stali ludzie, byłiby rozsiekani w try miga. Paru chłopca zamieniłoby się w durszlaki odcedzające krwawą masę.

Jack stał na szeroko rozstawionych nogach, w lewej ręce trzymał dymiące cygaro, a w prawej thompsona. Opierał kolbę o zgięcie w przedramieniu, a lufa z potężnym bębnowym

magazynkiem na sto pocisków sterczała do góry, ponad jego głową. W dwukolorowych błyszczących butach, białej jedwabnej koszuli z wyłożonym na kamizelkę kołnierzem, w kapeluszu i z thompsonem, z którego lufy unosił się dymek, Machine Gun wyglądał jak pomnik bożka Chicago.

– Robi wrażenie, co? – Gangsterski monument odezwał się swoim mocnym, chrapliwym sycylijskim głosem. – Jak robisz zasadzkę, to masz czas przymierzyć jak z karabinu, spokojnie, niczym na strzelnicy, ale maszin gan to także odpowiedź albo nagły atak. Wyciągasz spod płaszcza i walisz.

Heniek wiedział, że dopiero teraz zaczyna się prawdziwa lekcja. Nie było to proste, bo broń podrywało w górę i przenosiło pociski ponad celem. Z kolei ściągając broń w dół, walił w ziemię. Machine Gun był jednak równie dobrym instruktorem strzelectwa, jak nauczycielem golfa i opanowanie strzelania z biodra po dwóch dniach było zakończone.

– Dasz radę, potrafisz, robiłeś to na innym sprzęcie.
– McGurn poklepał Heńka po plecach. – Masz do tego dryg, mógłby być z ciebie fachowiec.

– Może... ale tamten też jest dobry. Mogę nie wrócić, czuję to... – Nie kłamał, Franciszek Wlazło był specem, a Heniek nie miał zamiaru wracać do Chicago.

– Chodź, napijemy się, trzeba się rozluźnić, nie możesz tak gadać! Zastrzelisz skurwysyna i wrócisz do nas! Jeszcze będzie okay.

Napili się i pożegnali. Heniek wiedział, że raczej nie zobaczy już Machine Guna. Tacy jak on rzadko kiedy dożywali trzydziestki, a Jack miał już trzydzieści dwa lata i dalej kusił los. A czy on sam nie kusił? Kusił i to jak, ale będzie to robił znów w Warszawie.

Siedział sam w biurze przy 53 West Jackson Boulevard.

W zasadzie był już gotowy do wyjazdu, pozostawało tylko spotkanie z ferajną. Przyzwyczał się do tych ludzi, do Ronniego i jego bandy z dzielnicy, do robotników, którzy pracując przy kasach, dawali całej reszcie przykrywkę. Nawet do Hrubeschów. Zbierał się już do wyjścia, bo umówili się o szóstej, dość późno, więc ludzie trochę narzekali. To już było po godzinach pracy, słyszał zresztą, jak pustoszały biura na piętrze. To była jego ostatnia wizyta w tym miejscu. Posprawdzał raz jeszcze rachunki, przygotował bagaże, w których miał maszynę, szmal i biżuterię. Dzięki pomysłowi z biżuterią spakował się w jedną torbę. Zagra eleganckiego kochanka, którego wybranka wystawiła do luzu. Z dużą ilością gratów w wytwornym towarzystwie budziłby niepotrzebną ciekawość, lepiej nie rzucać się w oczy, co w tej kompanii znaczyło mieć na sobie najlepszej klasy buty, jedwabie i wełny za kilka tysięcy dolarów oraz zegarek rozmiarów busoli okrętowej. Prawdziwe i fałszywe paszporty oraz zawartość torby były jego przepustkami do nowego życia. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, ustawi się w Warszawie i będzie mógł jeszcze wrócić do Chicago, jeśli pójdzie mniej dobrze, to spotka Ronalda lub kogoś z ferajny na Karaibach, a jak pójdzie źle...

Zadzwonił telefon, odebrał.

– Trochę się spóźnię, szefie – mówił Ronald, niby spokojnie, ale jakoś inaczej niż zawsze. Zwykle mu się nie tłumaczył z drobnych spóźnień, a teraz czuł, że chłopak jest jakby stremowany, zbyt szybko wyrzucał z siebie słowa. – Bo wie szef, pomyśl, żeby się umawiać u tego Żydka Lee, nie był zbyt szczęśliwy, ja mam tam od cholery daleko.

Heniek zrozumiał, że coś jest nie tak, że Ronald nie może mu wszystkiego powiedzieć, w końcu sam go ostrzegał, że mogą być podsłuchiwanie.

– Wiesz co, Ronnie – starał się przedłużyć rozmowę, żeby coś wymyślić – spotkamy się tam, gdzie mieliśmy się spotkać.

Teraz był ruch rudego.

– Tak, spotkamy się, tak jak to było umówione, u tego Żydka Lee, przyjadę, jak tylko będę mógł najszybciej. Aha, niech szef nie czeka na listonosza, może zostawić jutro po prostu przesyłkę na portierni – powiedział Kennedy i trzasnął słuchawką.

Nigdy tak nie kończył rozmów, nigdy nie spotykali się u żadnego Żydka Lee... Lee, co to nazwisko? Pan Lee! Chińska restauracja i stolik na pana Lee, tak nazywano tam Alexa Sycowskiego, który był przecież Żydem. Musi jechać do Chinatown, ale o co chodziło z listonoszem? Listonosze pracują na poczcie, na poczcie urzędują także federalni! Poczciarze, listonosze, tak ich nazywał Ronnie! Idą tu, ale skąd Ronnie ma cynk? Nieważne, trzeba wiać! Ubrał się, wziął torbę, w której były biżuteria, pieniądze i maszyn gan. Mogą już być na dole, mogą być na schodach. Szybko podjął decyzję, wyszedł z biura, zostawiając w nim światło, i zamknął drzwi na klucz, po czym poszedł korytarzem w kierunku schodów przeciwpożarowych.

Ruszył w dół z ostatniego, piętnastego piętra Monadnock Building, zanosilo się na długą drogę. Zszedł jakieś trzy, cztery piętra, gdy usłyszał, jak pęka szyba w drzwiach jego biura. Agenci za chwilę będą w środku, narobią hałasu i ich koledzy przylecą pod schody pożarowe. Rozejrzał się, piętro niżej było otwarte okno. Jego parapet znajdował się jakieś pół metra od bariery żelaznego rusztowania, w którym znajdowały się schody. Konstrukcja nie ułatwiała jednak zadania, musiał wyjść poza jej obręb, robiąc rozkrok nad ponadtrzydziestometrową przepaścią. To nie był kłopot dla człowieka wyćwiczonego w górskiej wspinaczce, ale w górach nikt nie wspina się z ciężką

torbą ani nie musi się wślizgiwać do okna. Przeklinał teraz Amerykę i jej kretyńskie, podnoszone do połowy okna. Zawsze ich nie lubił, a teraz wprost nienawidził.

Stał, trzymając się jedną ręką barierki, a drugą z torbą rozhuśtał jak wahadło. Jeden, drugi, trzeci ruch i teraz! Wrzucił torbę w otwarte okno, uderzyła o górną część ramy i z hukiem wpadła do środka. Teraz on, słyszał już głosy agentów drących się do siebie w jego biurze. Prawa noga oparta o konstrukcję schodów, lewa o gzyms, prawa ręka na barierce, jeszcze chwila i... puścił dłonią metalową barierkę, przeniósł ciężar na lewą nogę i błyskawicznie chwycił dłonią za ramę okna, skulił się i wślizgnął do środka.

W tym momencie usłyszał wrzask z góry:

– Na schodach przeciwpożarowych go nie ma!

Co dalej? Może przeczekać? A jeśli podsłuchiwali rozmowę z Ronaldem, to wiedzą, że jest w budynku, zaczną przeczesywać biura, może wezwą posiłki. Spróbuje wyjść. Okno było otwarte, ale drzwi na korytarz zamknięte na klucz. Nie był federalnym pierdołą, tylko najlepszym warszawskim kasiarzem. Wyciągnął z kieszeni scyzoryk i w try miga otworzył zamek. Był na korytarzu, doszedł do schodów. Nie były w klatce schodowej, lecz w otwartej przestrzeni, więc słyszał i widział, co się dzieje nad i pod nim.

W prawej dłoni miał torbę, a w lewej schowanej w kieszeni colta. Zaczął delikatnie, po cichu, na palcach zbiegać w dół. Posuwał się piętro po piętrze, chwala Bogu, nie wszyscy poszli już do domu, na trzecim piętrze do windy wsiadało kilka osób. Przyspieszył kroku, dobrze będzie, jeśli dotrze na dół równo z nimi. Guzdrali się, więc zanim ruszyli, przeleciał dwa piętra. A teraz cicho i spokojnie... Na parterze ktoś się kręcił, o tej porze, dobiegała siódma, byli to pracownicy urzędnicy

i sprzątacze. Gdy winda stanęła, ruszył. Kiedy ludzie zaczęli wysiadać, z miejsca pojawiło się przy nich dwóch facetów wyglądających na tajniaków, wtedy szybko zszedł i dał dwa kroki do znajdującego się przy schodach baru Cavanaugh's. Nie przepadał za tym miejscem, ale dziś błogosławił, że jest. Miał farta, że na parterze biurowca były sklepy i punkty usługowe, do których wejścia prowadziły zarówno z ulicy, jak i z korytarza. Były tu dziesiątki drzwi, więc federalni nie mieli szans wszystkich obstawić, machnął barmanowi serwującemu prohibicyjne piwo i wyszedł drzwiami prowadzącymi na ulicę. Szybko wmieszał się w tłum podążający do stacji kolejki przy Van Buren Street. Z ulgą zobaczył wolną taksówkę, machnął ręką i wskoczył do środka.

– Do Chinatown, 2237 South Wentworth Avenue – rzucił do taksjarza.

Ruszyli, poczuł się bezpieczny. Był zmęczony i dałby teraz wszystko za kolejkę whisky lub skręta, by uspokoić skołatane nerwy. Miał kupę szczęścia. I to od samego początku, bo gdyby wynajął biuro w innym budynku, to pewnie byłoby z niego tylko jedno wyjście. Miał też szczęście, że wyszedł, zanim agenci weszli na jego piętro. Miał szczęście, że spotkał po drodze ludzi, którzy wsiedli do windy i przyciągnęli uwagę pilnujących parteru federalnych. No i miał szczęście, że Ronald go ostrzegł. Skąd wiedział? Tego się dowie za chwilę. Dojechał do knajpy. Ronnie czekał na niego, siedząc w samochodzie.

– Udało się! – powitał go zadowolony.

– Udało się dzięki tobie. – Uściskał go. – A teraz opowiadaj, skąd wiedziałeś, takich rzeczy nie wie nawet Sycowski.

– Po prostu głupi zawsze ma szczęście – uśmiechnął się rudzielec. – Co robimy?

– Muszę być następnej nocy w Lakehurst, w sumie powinniśmy tam wiać, ale najpierw chcę coś wypić i zjeść
– powiedział Heniek i ruszył do drzwi chińskiego lokalu.

– Psa w sosie z koników polnych czy pieczone szczury?
– skrzywił się Ronald.

– Głupi jesteś, w Won Kow mają najlepsze dim sum w całym mieście! – powiedział z miną znawcy Heniek.

– Chyba że tak – jęknął Ronald.

Kilka chwil później siedzieli przy stoliku, Heniek pił whisky, a Ronald opowiadał, co się wydarzyło.

– Faktycznie muszą nas podsłuchiwać, bo przyszli do nas, tak jakbyś ich zaprosił na zebranie. Przyjechał ten ważniak Eliot Ness, a wraz z nim z dziesięciu federalnych i pismaki. Całe szczęście, że zwinęliśmy tydzień temu interes, spóźnili się tyci, tyci. Musieli nam założyć obserwację i podsłuchy już po demontażu, bo byli pewni, że wejdą do gorzelni, a tu... Gówno!
– zaśmiał się Ronald. – Mieli siekiery do rąbania beczek, a pismacy aparaty do robienia zdjęć. Nie mieli nas za co zatrzymać, ale zaczęli przeglądać papiery, guzik tam znajdują! Wtedy postanowiłem się oddelegować.

– Co zrobiłeś, uciekłeś?

– Co ja, głupi? Żeby mnie zastrzelili? Wszyscy pilnowali Hrubeschów, bo duzi, albo grzebali w papierach, więc sobie po prostu wyszedłem. – Ronnie rżał ze śmiechu, aż Chińczycy zaczęli im się przyglądać. – Poszedłem do najbliższego baru, wybrałem numer i zagadałem tak, żeby nie ściągnąć sobie na kark ciekawskich!

– Nieźle to obmyśliłeś, co za szyfr! – chwalił go Heniek.

– I za to wszystko pieczony szczur?

– Zamknij się, my nie mówimy po chińsku, ale oni doskonale rozumieją po angielsku.

– Co dla panów? – zapytał ze śmiesznym akcentem kelner.
– To, co zwykle zamawia mój przyjaciel pan Lee, tylko dwa razy! – zarządził Heniek.

Godzinę później byli już w drodze do Filadelfii, tam stanęli w hotelu Penn's View i czekali na odlot Heńka. W dzień odespali emocje i podróż z poprzedniego dnia oraz nadrabiali przed kolejną zarwaną nocą. Graf Zeppelin miał wystartować przed świtem, więc siedzieli i gadali, wspominali stare czasy oraz zastanawiali się, co przyniesie przyszłość. Heniek poczuł smutek, że wyjeżdża i zostawia Ronalda samego, widać było, że tamten czuje to samo.

– Teraz, jak już wiem, że szef odlatuje, to czuję też, że dam radę! Nie mogę narobić kichy!

– Nie narobisz, nie narobisz.

Wypili po małej whisky i wezwali taksówkę, to była najwyższa pora, dochodziło pół do drugiej, a z Filadelfii do Lakehurst w New Jersey jechało się nieco ponad godzinę.

Na lądowisku kłębił się już tłumek pasażerów i ich pomagierów. Silniki aut pracowały, puszczając dym, który unosił się w świetle reflektorów. Było jeszcze ciemno, ale zaraz wstanie świt i wtedy Graf Zeppelin wzniesie się w górę. Heniek pożegnał się przy aucie z Ronaldem i ruszył w kierunku trapu i towarzystwa. Pasażerowie witali się ze sobą, taksując się wzajemnie, wszak spędzą w gondoli sterowca kilka dni. Heniek świetnie dobrał ubranie, chciało mu się śmiać, bo z pewnością był najdrożej ubranym pasażerem. Tysiąc dolarówki, uzupełnione o setki, tylko wypełniały mu kieszenie marynarki. Krawiec, który z powodzeniem szył eleganckie garnitury z kieszeniami na wielkie gnaty, bez trudu przerobił mu ubranie tak, by było jak jeden wielki, wytworny portfel. Nikt tego nie wiedział, tak jak nie mógł przypuszczać, że w jego torbie jest

pistolet maszynowy Thompson.

Z łatwością wtopił się w eleganckie towarzystwo, ale czyż najlepsi doliniarze nie byli dandysami, czyż Szpic nie prezentował się jak osoba godna zaufania, więc czemu on nie miałby być wytworny? Henryk Wcisło alias Henry Haas, szef poważnej firmy, butleger, kasiarz i uczestnik masakry! To go nie spinało, dodało mu pewności siebie. Hej, frajerzy, ja wiem, kim wy jesteście, ale wy nie wiecie, kim jestem ja! On przynajmniej domyślał się, że to prezesi, dyrektorzy, właściciele i rentierzy oraz dziennikarka. Z miejsca rozpoznał słynną lady Grace Drummond-Hay, Brytyjkę, która pobiła wszelkie rekordy w podróżach sterowcem. Znał ją ze zdjęć zamieszczanych przy artykułach, poza tym gazety rozpisywały się, że leci w swoją kolejną wielką podróż. Podszedł bliżej, dziennikarka opowiadała coś kilku osobom, które słuchały z wyraźnym przejęciem.

– Tamten lot skończył się na początku września ubiegłego roku, to było więc aż osiem miesięcy przerwy! W rejsie dookoła świata odwiedziłam Rosję i Japonię i napisałam masę artykułów. Tym razem lecę prywatnie, bo chciałam zobaczyć nowe widoki i poczuć cieplejszy wiatr – uśmiechnęła się lady Grace.

– W ubiegłym roku wiele czasu spędziliśmy nad Syberią, krajobrazy piękne, ale trochę marzliśmy. Trzeba było wrzucić na siebie niemal wszystkie ubrania i pokrzepiać się ciepłymi napojami. Teraz nie było kryształków lodu zbierających się na szybach i futra zarzuconego na plecy, było za to cudownie ciepło, a do tego to boskie Rio de Janeiro... Musi pan to kiedyś zobaczyć, to morze i wzgórza. Na jednym z nich budują wielki posąg Chrystusa, pewnie w następnym rejsie będzie go można obejrzeć z nieba. Czekają nas jeszcze inne cuda. Zawsze chciałam zetknąć się z hiszpańskim temperamentem, a o Sewilli mówią, że to prawdziwe serce Hiszpanii, flamenco, korrida

i podobno nadzwyczajne jedzenie. Cieszymy się z Karlem na tę podróż. Jeśli tylko będziemy mogli, to co roku będziemy się udawać w taki rejs, jeśli oczywiście zeppelin będą zmieniać trasę. Nie ma lepszego, szybszego i wygodniejszego sposobu na zwiedzanie świata.

– Jeszcze nie wszedłem na pokład i nie uleciałem nawet metra tą piękną maszyną, ale zgadzam się z panią w całej rozciągłości. Dla mnie to przyszłość komunikacji.

– Komunikacji i turystyki – dodała lady Grace. – Nie spodoba się to armatorom, którzy mają transatlantyckie statki.

– Niemcy stracili swe wielkie statki, ale teraz górują nad resztą świata, budując sterowce – wtrącił korespondent Hearsta Karl von Wiegand, z którym pani Drummond-Hay oblatywała świat. – Ale Ameryka szykuje odpowiedź, najdalej za rok wzbiją się równie wielkie jak Graf Zeppelin statki powietrzne.

– Mało tego, przecież ten rekordowo wysoki drapacz chmur, który ma stanąć w Nowym Jorku w miejscu hotelu Waldorf-Astoria, ma być przygotowany do cumowania sterowców! – Heniek pochwalił się wiadomością z gazety. – Ma mieć czterysta czterdzieści trzy metry wysokości.

– Na naszych oczach dokonuje się wielki postęp, panowie, dziś jesteśmy pod Nowym Jorkiem, a za chwilę będziemy po drugiej stronie Atlantyku w Sewilli. Świat staje się coraz mniejszy!

– Aż chciałoby się wznieść za to toast, ale nastąpi to dopiero po tym, jak wylecimy poza granicę Stanów Zjednoczonych – powiedział mężczyzna stojący za Heńkiem.

– Dzień dobry, nie zdążyliśmy się jeszcze poznać, Hugo Eckener. – Zasalutował. – Mam zaszczyt dowodzić tym wspaniałym statkiem powietrznym.

– Ależ oczywiście, wiem, kim pan jest. – Heniek uklonił się

nisko i uścisnął dłoń mężczyzny. – Nazywam się Henry Haas, a pan, doktorze Eckener, jest dla mnie legendą! – By zaskarbić sobie uwagę Eckenera, szybko przeszedł na niemiecki.

– W zasadzie każdy z was! Podziwiam zeppelin i ich załogi już od lat. Pierwszy raz widziałem je w akcji w czasie wojny!

– A więc nie widział mnie pan – westchnął Eckener.

– Miałem zakaz lotów. Dla dowództwa liczyłem się jako instruktor, moja wiedza była zbyt cenna. O ironio, czasem wiedza hamuje, przeszkadza, jest balastem... Żałuję, że nie mogłem osobiście uczestniczyć w misjach.

– Ale dokonał pan wielkich rzeczy, te loty dookoła świata, wyprawy, jak z książek Jules'a Verne'a.

– Nawet on chyba nie przypuszczał, że jego *Pięć tygodni w balonie* przestanie być fikcją tak szybko. Dziś bliżej nam do *Metropolis* Langa.

– Zdecydowanie tak, zwłaszcza tu, w Nowym Jorku...

– Połączenie amerykańskich drapaczy chmur z niemieckimi maszynami... – zamyślił się Eckener. – Czy tak będzie wyglądała przyszłość świata? – Po chwili się rozmarzył. – Być może za rok, dwa przycumujemy do tego wielkiego gmachu, który mają wznieść na Manhattanie. Pan wybaczy, panie...

– Haas, Henry Haas – przypomniał swe nazwisko Heniek.

– Jest pan Niemcem. – Bardziej stwierdził fakt, niż zapytał Eckener. – Panie Haas, chętnie z panem porozmawiam, ale widzę, że wchodzą kolejni pasażerowie, muszę ich przywitać. To mój obowiązek, ale i przywilej, wy też jesteście pionierami, ludzie tacy jak wy, wasza odwaga, zaangażowanie i pieniądze, budują przyszłość awiacji.

Heniek odruchowo strzelił obcasami, jakby nie był bogatym pasażerem sterowca, tylko podwładnym doktora Eckenera. Steward wziął od niego torbę wypakowaną pistoletem

maszynowym oraz biżuterią i ruszył do wnętrza maszyny. Heniek podążył za ubranym w białą marynarkę mężczyzną, wspięli się po trapie i przeszli przez szerokie drzwi, które były umiejscowione tuż za szklanym dziobem gondoli.

– W prawo jest mostek kapitański – wyjaśnił po niemiecku steward, który przysłuchując się rozmowie swojego dowódcy z pasażerem, zorientował się, że ten mówi biegle po niemiecku. – Stamtąd *Herr* doktor kieruje zeppelinem. – Wypowiedział te słowa z najwyższym szacunkiem, widać było, że Eckener był prawdziwym kapitanem, którego pozycja nie podlegała najmniejszej wątpliwości. – Naprzeciwko wejścia jest pomieszczenie nawigacyjne, tam trzymane są mapy, my idziemy w lewo, to jest pokój radiotelegrafisty, po przeciwnej stronie kuchnia, a tu... – steward zawiesił głos i wykonał gest wolną od walizki ręką – salon, w którym będą państwo spędzać czas.

Przystanęli i Heniek z podziwem objął wzrokiem pomieszczenie, w którym ustawiono stoliki i krzesła. Z miejsca podszedł do okna, ale wiele nie zobaczył, bo byli tuż nad ziemią.

– Gwarantuję, że widoki są niezapomniane – zapewnił go steward.

– Wiem, oglądałem film z poprzedniego lotu dookoła świata.

– Z całym szacunkiem, *Herr* Haas, nic pan nie widział, tego nie odda żaden obraz kinowy. Zapraszam do środka, tu są kajuty.

Weszli do ciasnego korytarza, niemal takiego jak w wagonie kolejowym, z tym że po obydwu jego stronach były drzwi. Po każdej stronie rozmieszczono pięć dwuosobowych kabin. Doszli prawie na sam koniec.

– Tu jest pańska kajuta, a tuż za nią dwie umywalnie oraz toalety, damska i męska. Lecieć może dwudziestu pasażerów,

a załoga liczy czterdziestu ludzi, to taka latająca wioska
– uśmiechnął się steward, wprowadzając go do kabiny
przypominającej przedział w wagonie sypialnym.

– Podobno leci pan sam, a zatem nie będę podnosił
drugiego łóżka.

Heniek przytaknął. W istocie leciał sam i tylko on wiedział,
że będzie to lot w jedną stronę. Do Ameryki wróci, gdy nastanie
stosowny czas, a na razie się na to nie zanosilo. Przynajmniej tak
sobie wmawiał i robił to z uporem, bo nie tylko stęsknił się za
Warszawą, ale i miał w niej parę ważnych spraw do załatwienia.

Pasażerowie wypełnili salonik, kapitan wszystkich powitał,
a mechanicy zapuścili potężne silniki.

– Piękny dźwięk. – Eckener uniósł palec do góry. – Niech
się państwo wsłuchają, jest z nami moc pięciu silników
Maybacha. Dwunastocylindrowych, a każdy o mocy pięciuset
pięćdziesięciu koni!

– Ależ to moc – jęknął dżentelmen, który podobnie jak
Heniek, dołączył do rejsu w Nowym Jorku. – Dwa tysiące
siedemset pięćdziesiąt koni mechanicznych, nie do wiary, nie do
wiary!

– Oczywiście nie cała moc będzie wykorzystywana, nie
chcemy ich szybko zużyć i musimy oszczędzać paliwo, więc
silniki będą pracowały na poziomie tysiąc czterysta obrotów na
minutę, wtedy ich moc wynosi mniej więcej po czterysta
pięćdziesiąt koni.

– To i tak kolosalna moc. – Mężczyzna pokręcił głową.
– A za przeproszeniem, jestem finansistą, nie inżynierem, jaka
benzyna jest używana?

– Benzyna i *Blau Gas*, szanowny panie. *Blau Gas* to
wynałazek niemieckiego chemika Hermanna Blaua, to
przyszłość, drodzy państwo, to przyszłość. Wierście mi, że

kiedyś samochody będą jeździć na gaz. A teraz muszę państwa przeprosić, udaję się na mostek sterowy, bo za chwilę startujemy.

– Będzie szampan? – zapytała nieśmiało jedna z kobiet.

– Na początek herbata, kawa i sok pomarańczowy, szampana podamy państwu niezwłocznie po tym, jak miniemy granicę Stanów Zjednoczonych, wszak w Ameryce wciąż jest prohibicja, nieprawdaż, drodzy państwo?

Pasażerowie się zaśmiali, a po paru minutach sterowiec ruszył w górę. Heniek dopiero teraz poczuł, że jego marzenie się spełnia. O dziwo, było tak, jak w tym koszmarnym śnie, gdy został ogłuszony przez pułkownika Nowickiego. Maszyna szła w górę, a świat stawał się coraz mniejszy. Budynki wokół lotniska stały się jak klocki, jak dziecięce zabawki, nawet hangary były śmiesznie małe. Z pewnością prędkość stu siedemnastu kilometrów na godzinę nie została jeszcze osiągnięta, ale czuło się, że powietrzny statek coraz szybciej pędzi na północny wschód. Zostawiali za sobą lądowisko i Cristal Lake, które stawało się błyszczącą łzą pośród otaczającej je zieleni. Mogli od razu ciąć w kierunku Atlantyku, ale każdy chciał zobaczyć z góry Nowy Jork. Nie ulegało też wątpliwości, że gdyby zapomnieli o tym pasażerowie, to pamiętaliby doktor Eckener i jego załoga. Zeppelin miał się pokazywać nad wielkimi miastami świata, robiąc reklamę swoim konstruktorom i państwu niemieckiemu.

Jeszcze Niemcy nie zginęły, bo zeppelin lata, zaśpiewał w myślach Heniek.

Czy kiedyś taka maszyna powstanie w Polsce? Najpierw niech powstaną porządne ulice, odpowiedział sobie w myślach. No i drogi. Takie jak ta 66, która tysiącami kilometrów biegła z Chicago nad Pacyfik. A może niebotyki, drapacze chmur albo

metro, jak w Nowym Jorku? Zebrałoby się tego, rzeczy niezbędnych albo ważnych, więc zeppelin pewnie byłyby na końcu tych potrzeb. Po trzech kwadransach dostrzegł na horyzoncie wieże Nowego Jorku, po kwadransie byli już nad Manhattanem. Wydawało się, że ludzie będą trajkotać jak najęci, jak wtedy, gdy z pokładu Majestica zobaczyli Nowy Jork. Teraz jednak dostrzegł nabożne skupienie, dopiero po dłuższej chwili zaczęto rozpoznawać budynki i ulice, wymieniać nazwy miejsc pierwszy raz w życiu widzianych z tej niezwyklej perspektywy. Jak w jego śnie sprzed lat było widać kratkę ulic, ale nie podwórek studni, lecz wieżowców widzianych z góry.

Puszczono cumy i sterowiec zaczął nabierać wysokości, nie tak szybko jak wtedy, gdy u Grubego Joska dostał w łeb i wydawało mu się, że leci nad Warszawą. I widoki też były inne. To, co widział wtedy, a raczej wyobrażał sobie, że widzi, to było miasto z kamiennym sercem i ciasną kratką ulic, nieregularna szachownica stworzona przez połączone ze sobą kamienice, które stykały się oficynami, tworząc kwadraty i prostokąty podwórek studni. Wąskie ulice sprawiały, że gęsto zabudowane kwartały zlewały się w całość – szachownicę albo plaster miodu. Warszawa z pewnością była kuzynką Paryża, który z wysokości wieży Eiffla wyglądał podobnie, za to Nowy Jork to było już zupełnie coś innego. O ile w Warszawie i Paryżu były place i plamy zieleni, o tyle serce amerykańskiego miasta – Manhattan – wyglądało jak kamienny mur wokół zielonego placu. Central Park był otoczony ciasną zabudową, zupełnie inną niż w europejskich miastach. Tę różnicę czyniły drapacze chmur, które wyrastały jak nieregularnie rozrzucone wieże.

Czy kiedyś ludzie właśnie tak będą się zapoznawać z miastami, czy za parę lat tak właśnie będzie wyglądało

przywitanie z Nowym Jorkiem? Z powietrza, z promenady sterowca, a nie z morza i pokładu transatlantyku? Tak chyba będzie, sterowce mają niebywały zasięg oraz komfort. Lot samolotem nie miał absolutnie żadnego porównania – boeinga 80A okrzyknięto pulmanem, ale to nieprawda. Prawdziwym pulmanem przestworzy był Graf Zeppelin. Tu, jak w luksusowym wagonie, można się było wygodnie położyć. Łóżka nie były zbyt szerokie, bardziej przypominały eleganckie koje, ale było tu bez porównania lepiej niż w pociągu czy samolocie. Delikatny pomruk silników dochodził z tylnej części sterowca i nie przeszkadzał w kontemplowaniu widoków.

Gdy wznieśli się w górę, zrobiło się zimno, ale nie było to uciążliwe, trzeba było tylko włożyć płaszcz, a o resztę zadbali kelnerzy i stewardzi. Kolacja w przestworzach była najlepszą, w jakiej Heniek uczestniczył, a widok zachodzącego słońca był przynajmniej równy temu, co widział w górach i wtedy gdy płynął po oceanie.

Oblecieć tak cały świat! Pewno tak zrobi, bo pieniędzy mu nie brakowało, a loty staną się coraz powszechniejsze. Był pewien, że przyszłość komunikacji należeć będzie do sterowców. Transatlantyki na pewno bronią się jeszcze przepychem, ale czas to pieniądz, a właśnie sterowiec dawał przy podróży z Ameryki do Europy zarobić prawie trzy doby. Statki przewoziły też więcej pasażerów, ale było tylko kwestią czasu, by zeppelin zabierały na pokład nie dwadzieścia, a sto lub więcej osób. Będą ich latać dziesiątki, zaroją niebo tak, jak latające maszyny na filmie *Metropolis*.

Świat się zmienia i to szybko, w Nowym Jorku w rok mają zbudować Empire State Building, najwyższy gmach świata, który będzie przystanią dla sterowców. Amerykanie pozazdrościli Niemcom i wejdą z nimi w podniebny wyścig, to

dobrze, taka konkurencja przyda się wszystkim. Ludzie chcą latać coraz dalej i budować coraz wyżej. W Warszawie też budują drapacz chmur, który ma zawstydzić inne niebotyki i to nie tylko te nad Wisłą. Przy placu Napoleona pnie się w górę drugi co do wysokości gmach Europy. Co jeszcze się zmieniło, jak wyglądają babcia, Stefa i oczywiście Leokadia? Czy na niego czeka, czy zechce jeszcze na niego spojrzeć? A dlaczego by miała na niego patrzeć inaczej niż kiedyś, przecież nie wie i nie dowie się nigdy o Patricii, Priscilli i całej reszcie. On też nie będzie o nic pytał, choć wiedział, że język będzie go świerzbiał. Na razie trzeba odegnać wspomnienia o przygodzie z matką i córką. Im bardziej chciał je wyrzucić z pamięci, tym bardziej się wpychały do głowy. Chcąc nie chcąc Heniek zaczął sobie przypominać epizody z tej znajomości i kładąc się spać, zaczął żałować, że żadnej z nich nie było na pokładzie. Cokolwiek by było, będzie je dobrze wspominał.

Central Park był wielką zieloną plamą, starał się znaleźć Broadway, Times Square i 5th Avenue. Lornetki krążyły z rąk do rąk i tak minęło pół godziny lotu. Ekscytacja trwała aż do momentu, gdy miasto ledwie majaczyło na horyzoncie. Z tej odległości też wyglądało wspaniale, jak górski masyw wyrastający z nad wody. Teraz wpatrywano się w bezkresny ocean, w statki płynące w dole, śledzono ich kilwater, szukano czegoś nowego. Było zupełnie jak na mostku statku, który zagrożony jest wpadnięciem na górę lodową. Zanim ktokolwiek znudził się tym zajęciem, oficer nawigator ogłosił, że Graf Zeppelin wyleciał właśnie poza amerykańskie wody terytorialne. Rozległy się oklaski, podano szampana. Zaczęła się napowietrzna uczta.

CZĘŚĆ SZÓSTA
Z DNIA NA DZIEŃ

Floryda, Miami, 21 kwietnia 1986

Końcówka programu *Tajemnica krypty Ala Capone*

Co może najskuteczniej przykuć ludzi do telewizorów? Najlepiej program na żywo, transmisja, tak by widzieli historie i czuli emocje; finał Superbowl[51] i lądowanie na Księżycu. Żeby zebrać kilkadziesiąt milionów ludzi bez pomocy astronautów oraz kosmonautów, trzeba być kozakiem. Albo uderzyć w zbrodnię i tajemnice. Pięć lat temu osiemdziesiąt milionów Amerykanów czekało na specjalny odcinek serialu *Dallas: Kto zastrzelił J.R.?* „Prezydent” miał w dupie, co się stało z jakimś Rossem Ewingiem Juniorem, przecież to nie był quarterback Chicago Bears ani nawet ten cały Michael Jordan. Swoją drogą ten chłopak z Chicago Bulls miał dryg do gry i jak dojdzie do siebie po złamaniu stopy, to będą z niego ludzie.

Ale nieważne. Chodzi o to, że wtedy z powodu jakiegoś fikcyjnego dupka zapanowało szaleństwo, a w kampanii wyborczej demokracji drukowali koszulki, że J.R. zastrzelili republikanie. Rzecz jasna chłopaki od Reagana rozdawali T-shirty mówiące, że to sprawka tych od Cartera. Teraz wszyscy szaleli za Geraldem Riverą i tajemnicami Ala Capone. Gangsterzy, zbrodnie i tajemnice, a wszystko to na żywo. Miliony ludzi dały się w to wciągnąć. Sukces? Zobaczymy, ludzie dalej oglądają *Dallas*, ale z karierą Geraldem może być różnie, program już się kończy, a facet nie znalazł żadnych fantów. Już tylko minuty do końca, burzą ścianę, otwierają pomieszczenie i co? I kicha. Geraldo żegna się z głupią miną, nerwowo i nieskładnie dziękuje widzom, współpracownikom i robotnikom, którzy jako jedyni mieli powody do zadowolenia. Wystąpili na żywo w TV i zgarnęli ekstrapremię.

Z Alem zawsze tak było, robił dużo szumu, a najlepiej wychodzili na tym ci, którzy byli z zupełnie innej branży. Snorky odszedł tak, jak większość chłopaków z ferajny. Dość wcześnie i w kłopotach. Kojfnął w styczniu 1947 roku, tu niedaleko, niemal po sąsiedzku, w swej rezydencji na wodzie. Miał czterdzieści osiem lat, niezłego szmergla i kondycję jak emerytowany cyrkowy słoń, bo syfilis zżarł go niczym rdza stary samochód. Machine Gun nie żył już od jedenastu lat. Pewnie chciał śmierci na polu golfowym, tymczasem palnęli go zimą po grze w kręgle.

Inni skończyli podobnie; jak nie kule konkurencji, to federalni i utrata pozycji oraz majątku. Alex Sycowski przechytrył wszystkich, i chłopaków z miasta, i federalnych. Jednych naciął na kasę, a drugim obiecał, że zapłaci zaległe podatki. Tyle go widzieli. A może to tylko mit, tak jak ze skarbem Ala? On nie zostawił rodzinie nic poza domem na Florydzie. Był jednym z najbogatszych ludzi w Stanach, a został z niczym. Jego majątek rozszedł się tak szybko, że nie zdążył nic ukryć. Ani w hotelu Lexington, ani nigdzie indziej.

Czy ktoś się na tym obłowił? No jasne, znał ich nazwiska, każdy je znał, tylko niewielu sobie z tego zdawało sprawę. Ludzie, którzy korzystali ze skarbu Ala, byli rozsiani po całym świecie.

XXVI

Uśmiech losu

Kolejne dni niektórym pasażerom wydały się monotonne, ale Heniek się nie nudził. Marzył o locie wielkim cygarem i marzenie się spełniło. Czytał, patrzył na wschody i zachody słońca, myślał o przyszłości; co go czeka w Warszawie, jak na nowo ułożyć sobie życie. Musi się zaopiekować Stefą, która kończy szesnaście lat. Trzeba wymyślić sobie jakieś sensowne zajęcie, ulokować dobrze pieniądze, ustawić się i przede wszystkim załatwić sprawę z tym skurwysynem Franciszkiem Wlazłą.

No i Leokadia, co będzie, gdy ją spotka? Być może jest w Paryżu, ale Beniowski na pewno będzie w Warszawie. Muszą się zobaczyć i zamknąć sprawę firm Eisenschloss i Iron Castle. Na razie delectował się lotem i czytał swoją pierwszą książkę po angielsku. Była to niezbyt gruba powieść faceta nazwiskiem Hammett, a nazywała się *Sokół Maltański*. Zaczytywał się tym Ronald, który kupował magazyn „Black Mask”. „Czarna Mask” była miesięcznikiem, w którym królowały *pulp fiction*, brukowe powiastki kryminalne. Zapytał się kiedyś Ronalda, czemu nie czyta porządnych książek, a ten mu odpowiedział, że przyzwyczał się do gazet i krótkich opowiadań.

– Jak biorę do ręki gazetę, to się nie boję, że nie zdążę jej przeczytać, a książka... Tyle stron, no i taka pisanina nie dla ludzi, wolę pisemka!

Heniek zajrzał kiedyś do tej jego „Czarnej Maski” i zaczął czytać *Sokoła Maltańskiego*. Spodobało mu się i gdy szykował się do podróży zeppelinem, kupił sobie książkę.

To była inna opowieść niż te, które pokazywano w kinach, nie było dobrych glin i złych gangsterów, nie było

romantycznych bohaterów ani wielkich strzelanin. Ta powiastka zawierała niezłą kabałkę, trudno było powiedzieć, kto jest dobry, a kto zły, zupełnie jak w życiu. Na razie jego życie było bardziej po jasnej stronie i postanowił się tym cieszyć. Pokład Grafy Zeppelina dawał mu spokój i poczucie swobody, wiedział jednak, że kiedyś wylądują.

Po trzech dniach dolecieli do Europy. O świcie piątego czerwca chętnych, a byli to niemal wszyscy pasażerowie, obudzono, by mogli zobaczyć Stary Kontynent z góry.

– Jesteśmy nad Portugalią, to Lagos, największe miasto w tej części wybrzeża – poinformował nawigator. – Teraz zrobimy lekkie koło, żeby zobaczyli państwo Słupy Heraklesa.

Widok przesmyku łączącego Morze Śródziemne z Atlantykiem robił wrażenie. Afryka była wielka, a jej góry niespodziewanie wysokie.

– Po prawej stronie Afryka i góry Atlas – usłyszeli. – A po obydwu Hiszpania. Oczywiście z małym wyjątkiem, z tej odległości można się tylko domyślać, że jest tam skalna kropka, nazywana Gibraltarem.

Z zapartym tchem Heniek patrzył na Hiszpanię. Zielony pasek tuż przy morzu ustąpił skalistej ziemi. Nie tak sobie wyobrażał ten kraj. Pełno gór, mało miast, dziko... Wreszcie zaczęli opadać i zobaczył miasto. Duże, stare i białe-beżowe. Trudno było określić jego kolor, bo w zależności od tego, jak padało słońce, inaczej odczytywał barwę. W końcu pojawiła się także jakaś rzeka. Z atlasu odczytał jej nazwę.

– Gwadalkiwir – wymówił z trudem.

– Tu pełno nazw, które są pamiątką po Maurach – uśmiechnął się Amerykanin, który mieszkał w kajucie obok i którego nazwisko Heniek już zdążył zapomnieć. – Ja i moja żona wysiadamy właśnie tutaj. W Niemczech już byłem, teraz

chcemy zwiedzić ten niezwykły kraj.

Heniek też by zwiedził, ale plany miał zupełnie inne, jak najszybciej musiał dotrzeć do Warszawy.

Graf Zeppelin wylądował wśród tłumu pełnych entuzjazmu Hiszpanów. Byli ciemni jak Sycylijczycy, ale drobniejsi. Wojsko nie wyglądało zbyt dobrze, ale było go dostatecznie dużo, by zabezpieczyć teren i przycumować sterowiec. Oczywiście oficerowie, podobnie jak w Polsce, byli dumni, w czystych odprasowanych mundurach i błyszczeli elegancją.

Po kilku dniach podróży znów dotknęli ziemi. Heniek miał parę godzin na to, by zwiedzić miasto. Zamknął kajutę, zabezpieczył cenne bagaże. Ryzyk-fizyk, pomyślał. Nikt obcy nie wchodzi na pokład. Ale zaraz dopadły go wątpliwości. To była masa pieniędzy. I do tego maszyn gan.

– Jedzie pan, panie Haas, taksówka czeka? – usłyszał.

– Źle się czuję, mam migrenę – skłamał.

W tym samym momencie ponownie usłyszał swoje nazwisko.

– *Señor Haas? Señor Haas?* – To jakiś dziwny mundurowy zmierzał w jego kierunku.

Ki diabeł?

– To listonosz, panie Haas, jest do pana depesza! – wyjaśnił po niemiecku młody hiszpański oficer.

Heniek dał pocztylionowi w rękę srebrną monetę, co przyjęto szmerem podziwu. Zaczął czytać.

*Wsiądź w Sewilli STOP Jedź do Zurychu STOP Bank
Werner und Krammer STOP Stań w Savoyu STOP JB*

A więc znów jakaś heca! Beniowski chce coś zrobić z kasą, ukryć ją, zabezpieczyć, cholera wie, co kombinuje. Żeby tylko nie było z tego powodu jakieś chryi, żeby się nie okazało, że teraz kapitan jest spalony, a on wraz nim.

– Jest tu jakiś dobry hotel? – zapytał hiszpańskiego oficera, który zagadał do niego po niemiecku.

– *Señor?! –* zawołał wyrzutem. – Pan się pyta o dobry hotel w Sewilli?

– Przepraszam, jeśli uraziłem pana oficera – zmitygował się Heniek. – Domyślam się, że w tak pięknym mieście jest ich wiele, ale nie wiem, który jest najlepszy?

– *Señor...* – uspokajającym głosem zaczął oficer. – Liczy się tylko jeden hotel, to coś specjalnego, to hotel Alfonso XIII[52]! Otworzono go przed rokiem, ale wygląda jak z jakiejś starej baśni. Wygoda i atmosfera, kuchnia oraz zawsze pierwszorzędne towarzystwo. Stanowczo rekomenduję panu ten wybór! – Oficer strzelił obcasami i zasalutował. – Porucznik Alfons Jesus Maria Calderon y Bahamonde!

Heniek z trudem zachował powagę. Jezus Maria i do tego Alfons?! Ależ zbitka, u nas na dzielnicy taki chłopak nie miałby życia. Już z Alfonsem byłoby ciężko, a do tego jeszcze na barana ktoś mu wsadził świętą rodzinę, brakowało tylko starego Józefa, ale pewnie jakby się zajrzało w papiery tego elegancika, to i ten święty by się znalazł. To Bahamonde też nieźle dęte nazwisko, coś jak bachanalia, czyli te starożytne seks gimnastyki z winem, a do tego włosy na brylantynę, wąsik i mundur noszony z operetkową gracją. Heniek powstrzymał się jednak od najdrobniejszego choćby uśmiešku i z paradną elegancją oraz powagą zawołał:

– Henry Haas, do usług!

Porucznik zasalutował i miał ochotę mówić dalej, ale Heniek mu przerwał:

– Pan oficer wybaczy, muszę wypakować swe rzeczy z kajuty.

– Ależ oczywiście!

Gdy Heniek pożegnał się z komendantem sterowca, steward wyniósł jego walizkę, a porucznik czekał przy trapie w asyście dwóch żołnierzy.

– *Señor*, mój ordynans i kierowca pomogą z bagażami i odwiozą pana wprost do hotelu!

– Jestem zobowiązany, *señor*!

– Cała przyjemność po mojej stronie!

Gdy byli już w aucie, porucznik Calderon y Bahamonde zapytał:

– Pan jest Amerykaninem czy Niemcem?

– Niemcem, Amerykaninem, Polakiem...

– Polakiem! Ależ to świetnie się składa, w tym hotelu odbyło się wesele infantki Izabeli z polskim księciem Zamoyskim. Wszystko poszło znakomicie, wielka ceremonia i z jakim finałem! Jesienią urodzi się potomek związku Burbonów z Zamoyskimi. Jeśli to będzie chłopiec, to nazwą go na cześć ojca oraz naszego monarchy Karol Alfons! Musi pan wiedzieć, że hotel, do którego zmierzamy, także nazwano na cześć jego wysokości Alfonsa XIII i że Jego Królewska Mość osobiście zainaugurował tę działalność, miałem zaszczyt być na uroczystości...

– Wiem, kim są Zamoyscy, ale nie jestem arystokratą.

– A może oficerem? – wypalił porucznik, jakby się chwycił ostatniej deski ratunku.

– Jestem, tak chyba mogę powiedzieć – zaczął Heniek – człowiekiem majątnym, ale nie jestem ani arystokratą, ani oficerem. Dosłużyłem się na wojnie ledwie stopnia kaprała...

– A więc był pan na wojnie! – z podziwem zawołał porucznik. Żal, że Heniek nie był ani arystokratą, ani oficerem, minął, jak ręką odjął. – Musi mi pan o tym opowiedzieć. Koniecznie, bo widzi pan, ja nie zdążyłem...

- Opowiem, jeśli ma pan takie życzenie.
- Spotkajmy się w restauracji hotelowej punkt dziewiąta.
- Porucznik był wyraźnie podekscytowany. – No chyba że ma pan inne plany.

– Jak pan się zapewne zorientował, dość gwałtownie przerwałem swoją podróż i wcale nie planowałem tego wieczoru, miałem go spędzić w kajucie sterowca.

Rozstali się w recepcji, gdzie porucznik użył swoich wpływów, by zapewnić Heńkowi jak najlepszy numer. Dostał piękny apartament, a służba hotelowa traktowała go jak księcia. Zajął pokój, rozpakował się, chwilę odpoczął i ruszył w niezwykle miasto; w przeciwieństwie do Chicago i Nowego Jorku nie było tu prohibicji, drapaczy chmur ani potoku aut. Były za to knajpki, świetne wino, swojska atmosfera i budowle tak stare, że nawet Stare Miasto i Krakowskie Przedmieście mogły przy nich wyglądać całkiem młodo. Zobaczył królewski pałac Alkazar, katedry i Plac Hiszpański. Zdziwiło go, że plac, który wyglądał jak ze starej bajki, jest nowiutki, wzniesiony ledwie rok wcześniej. Ładnie tu było i obiecał sobie, że kiedyś wróci do Sewilli. Na razie musiał iść do hotelu, gdzie w restauracji czekał na niego porucznik, który natychmiast zamówił wino i przystąpił do rozmowy.

– *Señor* Haas, jestem młodym oficerem, *teniente*, to znaczy porucznikiem, i nie zdążyłem walczyć. Wstąpiłem do Głównej Akademii Wojskowej w Saragossie już po bitwie o Alhucemas. To był wielki triumf nas i Francuzów, a jedną z czołowych ról odegrał mój daleki kuzyn, generał Francisco Franco Bahamonde. Był wtedy majorem, ale za kampanię marokańską został hiszpańskim generałem i oficerem francuskiej Legii Honorowej. To mój mentor i przewodnik, bo musi pan wiedzieć, że jest teraz komendantem akademii w Saragossie, którą ukończyłem.

„Kochaj ojczyznę i króla“ to motto generała Franco i naszej akademii. Kochaj ojczyznę i Marszałka, powiedział w myślach Heniek. Czy jeszcze ich kocha? Czy ma jeszcze ojczyznę, co zrobił Marszałek po zamachu majowym i czy faktycznie warto bić się o kogoś i za coś? Z rozmyślań wyrwał go porucznik.

– Tyle mówię, niech wreszcie pan coś opowie, o wojnie, o pana kampaniach!

Ciężkie wino uderzyło Heńkowi do głowy, więc opowiedział o tym, jak zwiął z domu na wojnę bolszewicką, jak ponownie uciekł z budy, by odbijać dla Polski Śląsk, i wreszcie, że stanął po stronie Marszałka w maju dwudziestego szóstego roku.

Tymczasem poszła kolejna butelka wina, a porucznik po zakończeniu Heńkowej opowieści wstał i powiedział:

– Jest pan bohaterem, to zaszczyt poznać człowieka takiego jak pan, panie Haas! Prawdziwe szlachectwo zdobywa się w bitwach, dla mnie jest pan godny tego, by dać mu szlify i tytuł!

Porucznik był już wstawiony, Heniek też, więc nie opierał się specjalnie, gdy Hiszpan zawołał:

– Jedziemy do kasyna oficerskiego, tam, a nie w hotelu, jest tego wieczoru pana miejsce!

Po drodze do kasyna porucznik ścisnął Heńka za ramię i powiedział szeptem:

– Walczył pan, odzyskiwał pan ziemię dla swojego narodu, wreszcie bił się pan z wrogiem z wewnątrz, ze szkodnikiem chcącym zniszczyć ojczyznę... Panie Haas, ja wkrótce też stanę do takiej walki, to bardziej niż pewne, że przyjdzie mi walczyć w wojnie domowej... Kochaj ojczyznę i króla, tak mówi generał Francisco Franco Bahamonde, tak i ja myślę, tak będę czynił, tak mi dopomóż Bóg! – zakończył patetycznie porucznik.

– A z kim się pan będziesz bił? Z komunistami? – zapytał Heniek.

– A żeby tylko z nimi! – wykrzyknął porucznik Calderon y Bahamonde. – Ich jest mrowie, komuniści, anarchiści, Baskowie, Katalończycy, związkowcy, demokraci, a wszyscy oni to re-pu-bli-ka-nie! – wysylabizował z obrzydzeniem. – Ledwie co królowie katoliccy odzyskali tron, ledwie co ojciec naszego króla Alfonsa odzyskał koronę dla dynastii i zakończył rok republikańskiego chaosu... Żyją jeszcze ludzie, którzy pamiętają rok tysiąc osiemset siedemdziesiąty czwarty! Niech ten rok hańby będzie przestrogą, nigdy więcej! – zawołał porucznik, próbując wstać w aucie. W końcu wyszarpnął się w górę, dobył szabli i wymachując nią jak podczas szarży, krzyczał: – Śmierć republice, śmierć republice i republikanom, niech żyje król Alfons XIII!

Nastroje panujące w kasynie były podobne i nie mogły być inne, skoro porucznik Calderon y Bahamonde przedstawił swoim kolegom Heńka jako uczestnika *pronunciamiento*, czyli wojskowego zamachu stanu. Wygłosił niemal wykład na temat maja dwudziestego szóstego roku, a oficerów najbardziej interesowały szczegóły dotyczące transportu wojska.

– Cholerne związki zawodowe, w Polsce pomogły. *Señor Mariscal*[53] wygrał dzięki nim, ale u nas...

– Transport morski, panowie! – krzyknął ktoś inny. – Trzeba zabezpieczyć sobie poparcie we flocie. We flocie nie decydują cywile, tylko oficerowie, tam nie ma związków zawodowych, nie ma cholernych *sindicalistas*!

– A marynarze?

– Tak, marynarze, pamiętajmy o tych sowieckich!

– U nas w Kadyksie nie powtórzy się pancernik Potiomkin, nie będzie też żadnej Aurory!

Zrobił się szum, oficerowie zaczęli rozprawiać o polityce i o tym, że detronizacja króla Alfonsa mogłaby doprowadzić do przejęcia władzy nie tylko przez republikanów, ale i komunistów, chyba że znalazłoby się nowego Miguela Primo de Riverę. Heniek dowiedział się, że król jest tylko marionetką i że nie było normalnego rządu, tylko wojskowa junta, która go udawała. Na jej czele stał generał Primo de Rivera, który jednak w styczniu ustąpił ze stanowiska. Widać musiał, bo miękł z czasem, co było pewnie wynikiem jego choroby. Generał zmarł trzy miesiące temu.

– Cukrzyca, panowie, cukrzyca! – mówił z zapalem zażywny pułkownik. – Gdyby nie ona, generał byłby silny i nie dopuściłby do rozluźnienia szyków!

– Premier Dámaso Berenguer! – grzmiał inny z oficerów. – A któż to jest, no kto? Może i generał, może i dyktator, ale *dictablanda, dictablanda*.

– *Dictablanda, dictador dictablanda!*

– Co to znaczy? – zapytał Heniek porucznika. – O czym oni mówią?

– Że generał Primo de Rivera był wspaniałym dyktatorem, ale że cukrzyca go zmiękczyła, a jego następcą, premierem generał Berenguer, jest *dictador dictablanda* – bezzębny dyktatorem. To dyktator, który nie potrafi ugryźć, zatem jego dni są policzone. Wszyscy się boją, że król nie panuje już od dawna nad niczym, a Berenguer nad prawie niczym, że wybory mogą wywrócić Królestwo Hiszpanii do góry nogami. Monarcha, nawet jeśli słaby, jest potrzebny, co ja mówię – potrzebny! Nam, szlachcie i oficerom, jest niezbędny. Jesteśmy po to, by w chwili słabości króla ratować dynastię i kraj, moim zdaniem powinniśmy wziąć na siebie ciężar władzy, kto wie, może nawet ustanowić regencję?

– Co teraz krzyczą pana koledzy?

– Wznoszą toasty na cześć monarchy i ulubionych generałów oraz na pohybel republikańskim wrogom
– powiedział z zadowoleniem porucznik i dołączył się do wrzasku.

Heniek też wzniósł toast, stawiają, więc pije, wino dobre, a każda okazja jest dobra, by wypić, nawet pogrzeb i wojna. Większość oficerów to wypomadowane dupki, ale to nie jego sprawa, to nie jego interes. Nie moje małpy, nie mój cyrk! – Tak by powiedział Mietek Kosiorek. Więc pił z nimi i cieszył się udanym wieczorem, który rozpędzał się w tempie kolejowego ekspresu.

– *Señor* Haas, czy chce pan ożywić wieczór? – zapytał porucznik. – Jako cudzoziemiec ma pan szansę na małą prowokację. – W oczach młodego oficera zapaliły się wesołe ogniki. Widać było, że jest pod gazem i chce wykręcić jakiś numer, a do takich rzeczy Heńka nie trzeba było długo namawiać. Kiwnął więc głową, a Alfons Calderon y Bahamonde szybko wytłumaczył mu, o co chodzi. Po paru minutach instruktazu Heniek przebił się przez okrzyki, które już rozumiał: „Precz z republiką!” i „Niech żyje król!”. Mówiąc na przemian po niemiecku i angielsku, zapytał:

– Panowie oficerowie, w moim mieście są trzy dobre kluby piłkarskie: Legia, Polonia i Warszawianka, ten ostatni trenował zresztą dżentelmen, który był wcześniej w waszej Barcelonie...

Nie był to dobry strzał, po sali poszedł pomruk niezadowolenia, widać było, że nazwa tego klubu wywołała spore zamieszanie, po chwili jakiś major powiedział stanowczym głosem:

– Jest pan w gościach i bardzo pana szanujemy, po co więc pan mówi o tych Polacos? – Zapadła cisza. – *Oh, pardon*

– zmytygował się pułkownik. – Zapomniałem, że jest pan *polaco*, że pochodzi pan z Polski. Proszę mi wybaczyć, ale nie lubimy Katalończyków i Barcelony, tak się niefortunnie składa, że nazywamy ich Polacos. Pan wybaczy!

– Ależ oczywiście, nie żywię urazy. Myślałem, że lepiej przedstawię sytuację w warszawskim futbolu. – Heniek się uklonił i wznosił kieliszek z winem, patrząc w oczy pułkownikowi. – *Señor*, po prostu słyszałem, że tu są dwa doskonałe zespoły, i chciałem się zapytać, który z nich jest lepszy?

Oficerowie uśmiechnęli się z zadowoleniem, po czym zaczął się konkurs krasomówczy. Raz jedni, raz drudzy zachwalali przewagi swojego ulubionego klubu.

– Oczywiście, że FC Sevilla, to jasne jak słońce!
– wykrzyknął oficer wyglądający na kawalerzystę. – Sevillistas dwanaście razy wygrali puchar Andaluzji, a w ostatnich derbach zwyciężyliśmy dwa do jednego.

– Ale przyszłość będzie nasza, Verdiblancos! – zawołał starszy oficer. – Idę o zakład, że to my, Real Betis Balompié Sevilla, pierwsi wejdziemy do Primera Division i pierwsi zdobędziemy mistrzostwo Hiszpanii! Niech panowie nie zapominają, że dwadzieścia trzy lata temu to właśnie my, studenci medycyny, szykujący się do służby w armii, zakładaliśmy Real Betis Balompié! Miałem zaszczyt grać w pierwszych meczach razem z braćmi Castillo, Wesołowskimi, Cascales i Gutiérrez! W żadnym zespole nie było tylu braci! Poza tym mamy piękną hiszpańską nazwę: *balompié*, a nie futbol!

Zakotłowało się jak na wyścigach, szybko zawarto zakłady na jakieś niebotyczne sumy, tak przynajmniej mówił porucznik Calderon y Bahamonde. Zgiełk był ogromny, a oficerowie, którzy do tej pory starali się mówić po angielsku, niemiecku

oraz francusku, przeszli na hiszpański. Skończyły się kwieciste przemowy, a zaczęły krótkie urywane zdania. Parę słów się powtarzało, zwłaszcza *puta*. Porucznik był tym wyraźnie rozbawiony.

– A pan komu kibicuje? – zapytał go Heniek.

– Ja? – Był tak zdziwiony, jakby Heniek zapytał go, czy jest Hiszpanem. – Co prawda mój wspaniały wuj Franco y Bahamonde Salgado Pardo urodził się w Galicji, ale ja jestem Kastylijczykiem. Moje korzenie są w Madrycie i kibicuję królewskiemu klubowi!

Wariaci, pomyślał Heniek. Tacy sami jak Beniowski i jego koledzy.

Oficerowie najpierw się śmiertelnie poobrażali i pewnie parę pojedynków wisiałoby w powietrzu, gdyby nie to, że Alfons Calderon y Bahamonde poprosił Heńka o pomoc. *Señor* Haas wznosił toast za przyjaźń polsko-hiszpańską i zaczęło się pijaństwo w dobrym stylu, z grą w karty, z jakimś lupanarem i bolącą głową. Wygrał czy przegrał, chyba wygrał... A może jednak przegrał, kurwa mać, kiedyś był ostrożniejszy! Nawet jak był szczeniakiem, pił zawsze tak, by wiedzieć, co jest grane, ale ci oficerowie, wino, karty, *señority*, dzika muzyka grana przez Cyganów...

– Urwę sobie łeb... – zajęczał, podnosząc się z łóżka kolejnego ranka i niemal na czworakach dotarł do szafy.

Było wszystko, walizka z ubraniami i torba, w której miał pistolet maszynowy, forszę i precjoza. No, nie przegrał, chyba nie przegrał, a jeśli tak, to nie naruszył oszczędności i pieniędzy Beniowskiego. To już nieźle, to już nieźle, pomyślał. Wtedy ktoś zapukał do drzwi, a w zasadzie załomotał.

– *Señor, señor* – rozległ się głos.

Señor, czyli ja? – pomyślał.

– *Señor* Haas, *señor* Haas!

A więc go szukają, ale po co i czemu z takim jazgotem? Nie rozumiał lawiny hiszpańskich słów wypluwanych z jakichś nieznanych mu ust znajdujących się po drugiej stronie drzwi.

– *Señor* Haas – dołączył się drugi głos. – *Señor* Haas, tu dyrektor hotelu. – To zrozumiał, bo mówiono po angielsku. – Niech pan wstaje, samochód i ordynans pana porucznika Calderona y Bahamonde czekają na pana! Pana pociąg do Madrytu odchodzi za kwadrans!

A więc o to chodzi... Faktycznie! Sewilla, Madryt, później przesiadka we Francji i kierunek Zurych. Taaak, pociąg, bilet, podróż, woody!

– Panie Haas, *señor* Haas!

– Idę, idę – zawołał i zaczął się pospiesznie ubierać.

Na dworcu czekał na niego porucznik.

– Bałem się, że nie zobaczę pana, *señor*! – powiedział zadowolony. – Nie docenił pan mocy hiszpańskiego wina!

– A to było wino? – zaśmiał się Heniek.

– Za przeproszeniem, ale jako weteranowi mogę to panu powiedzieć – zaśmiał się porucznik. – Sangrię pił pan jak sok! Byliśmy pełni podziwu, podobnie jak dla innych umiejętności...

– Lupanar...

– *Señor* – zaśmiał się Calderon y Bahamonde. – Tam każdy szarżował w swoim pokoju, natomiast w kwestii tańca i gry w karty dał pan publiczny popis! Mnie też szło niezgorzej i dzięki temu jesteśmy sąsiadami!

Teraz zaczęło mu coś świtać w głowie. Karty, najpierw pieniądze, później jakieś fanty, wreszcie... Tak, ziemia!

– Panie poruczniku, za pozwoleniem, upiłem się jak świnia. Zwykle nie gram w karty, nawet nie za bardzo za tym przepadam...

– Ale ziemię pan wygrał! Ja zresztą też – ucieszył się porucznik Calderon y Bahamonde. – To spore działki, ale żadne tam latyfundium, parę hektarów, do tego niewiele znaczące, bo gdzieś na wybrzeżu Andaluzji. Nazwa tej okolicy nic panu nie powie, nie każdy Hiszpan wie, gdzie jest Marbella. Ważne, że wygraliśmy, a ziemia to ziemia – zaśmiał się. – W dodatku z doborowym sąsiedztwem. Kapitan, który do nas przegrał, ma tam swój majątek. Dopełnię wszelkich formalności, będę pana plenipotentem w Hiszpanii, tylko na jaki adres pisać?

Para buchnęła spod kół lokomotywy, rozległ się gwizdek zawiadowcy, za chwilę nastąpi szarpnięcie, a skład rozpędzi się i zniknie.

– Dawaj pan adres, ja nie wiem, dokąd mnie zaniecie.

Porucznik wyciągnął pospiesznie z kieszeni kartkę i szybko coś na niej skreślił.

– Ja tym bardziej nie wiem, chcę jechać do Maroka, zostać, jak mój kuzyn, oficerem w Legii Cudzoziemskiej, niech pan pisze do mojej matki.

Kolejny gwizdek, lizak zawiadowcy poszedł w górę, pociąg szarpnął, rozległ się metaliczny chrzęst.

– *Adios, señor Haas!* – Porucznik podał mu dłoń, po czym przekazał mały bukłak z winem.

– *Adios, señor teniente!* – odpowiedział Heniek.

Pomachał chwilę porucznikowi, po czym zwałił się na siedzenie w przedziale. Po takiej nocy jak ostatnia należał mu się odpoczynek, wino, ta cała sangria, panienci, flamenco czy jak mu tam i wreszcie karty. Henryk Wcisło, znany ostatnio jako Henry Haas, posiadacz ziemski gdzieś w Hiszpanii. Kto nie ma szczęścia w miłości, ten ma w kartach, wszystko się zgadzało! Warto byłoby sprawdzić, gdzie ma te nieużytki. Pociągnął łyk wina z bukłaczka od porucznika i poczuł się lepiej. Lepiej, to

znaczy senniej.

Po dwóch dniach dojechał do Zurychu. Miasto jak miasto, po paru dniach w Berlinie i Paryżu, po Chicago i Nowym Jorku żadne halo, za to wszędzie blisko. Ulice jak w jakiejś nudnej zabawie dla dzieci; dworzec kolejowy i banki były przy ulicy Dworcowej, a hotel przy Pocztovej. Wszędzie te cholerne banki, bank na banku. Szpic powinien tu zamieszkać! – uśmiechnął się w duchu. Znalazł bank i zdziwił się, był dość niewyglądny, kamienica niezbyt okazała, a tabliczka Domu Bankowego Werner und Krammer jedną z wielu, jakie przykręcono do fasady. Czuł się tak, jakby szedł do papugi, lekarza albo księgowego, a nie do banku.

Portier, ma się rozumieć najprawdziwszy Szwajcar, wprowadził go do środka, a na miejscu, bardziej w biurze niż w bankowym pomieszczeniu, przywitał go gość w muszce wyglądający jak skrzyżowanie przedsiębiorcy pogrzebowego z profesorem matematyki.

– Witam pana, panie Haas. Nazywam się Adolf Werner, pan Beniowski uprzedzał nas o pana przybyciu i nawet wysłał do pana list. Oto pańska korespondencja!

Heniek otworzył kopertę i wyciągnął kartkę, nie ulegało wątpliwości, że zapisał ją Juliusz Beniowski.

Drogi Heniu!

Wybacz, że fatygowałem Cię do Zurychu i nakazałem Ci opuścić sterowiec w Sewilli. Oczywiście z Friedrichshafen do Zurychu jest znacznie bliżej, ale jestem ostatnio niezwykle ostrożny. Kontrola graniczna w Hiszpanii nie jest tak ostra jak w Niemczech, a oficerowie i strażnicy tak pilni. Uważałem, że bezpieczniej będzie, jeśli udasz się do Zurychu z Sewilli. Herr Werner to sprawdzony, zaufany bankier, u niego pieniądze będą bezpieczne. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów z tych należących do

Eisenschloss zabierz do Polski, a resztę zdeponuj. Nie jestem, rzecz jasna, i nie będę dysponentem Twoich pieniędzy, ale radzę Ci po starej przyjaźni zrobić podobnie. Spotkamy się w Warszawie, znajdziesz mnie, bo adresów i przyzwyczajęń nie zmieniłem.

JB

Co zrobić? – pomyślał.

Werner jakby czytał w jego myślach.

– Jeśli korespondencja od *Herr Beniowskiego* ma jakiś wpływ na pana decyzje, to proszę spocząć i się zastanowić. Proponuję herbatę i czekoladki.

– Nie, dziękuję, już wiem, co mam robić, chyba wiem. Jaki jest w tej chwili kurs złotówki do dolara?

– Osiem i dziewięć do jednego, szanowny panie!

Jeśli weźmie do Polski tyle samo, ile zażądał dla siebie Beniowski, jeśli wszystko wpłaci, jeśli zdeponuje biżuterię, to będzie miał pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a to jest czterysta czterdzieści pięć tysięcy, prawie pół miliona złotych. Krezus, bogacz, pan! Tyle mu wystarczy, a jak będzie chciał zainwestować, to wyjmie z banku. Tak więc Heniek wpłacił pieniądze zgodnie z sugestiami Beniowskiego oraz zostawił w bankowej skrytce biżuterię. Ze sobą zabrał tylko bransoletkę, może tym razem to cacko będzie miało więcej szczęścia. Obracając ją w rękę, zastanawiał się, co go czeka w Warszawie, kogo tam spotka i co przeżyje.

XXVII

Uroda życia

Nie ma to tamto, sterowce były przyszłością komunikacji. Szybciej dostał się z New Jersey do Sewilli, niż potem zajęło mu przejechanie z Zurychu do Warszawy. W pociągu musiał podjąć ostateczną decyzję, kim jest, obywatelem Polski, Niemiec czy Stanów Zjednoczonych. Z Lakehurst wyleciał z niemieckim paszportem, ale podczas lądowania w Sewilli podstawił amerykański. I niech tak zostanie, niech paszport obywatela Stanów Zjednoczonych z hiszpańskim stemplem otworzy nowy rozdział w jego życiu. Klamka zapadła, do Warszawy wracał jako Henry Haas, urodzony w Polsce obywatel Stanów Zjednoczonych, tak będzie najwygodniej. Po dramatycznie długiej podróży przez Salzburg i Wiedeń dotarł po trzech dniach do granicy z Polską, tam dostał pieczętkę z orzełkiem, a po kilkunastu godzinach od wyjazdu ze stolicy Austrii pociąg wjechał do Warszawy. W piątek, trzynastego czerwca 1930 roku, po trzech latach znów widział swoje miasto.

Spoglądał przez okno wagonu kolejowego na Czyste i na budynki gazowni, tam gdzieś była Dworska, a za nią Wolska, tam się urodził i wychował. Od bocznic dworca towarowego i placu Zawiszy pociąg szedł już wykopem, a nad Towarową i Żelazną były wiadukty, pobudowano to niedawno. Zobaczył doskonale sobie znany gmach kolejówki przy Chmielnej i wreszcie pociąg wtoczył się na ten sam co przed wyjazdem drewniany Dworzec Główny. Minęły trzy lata i dalej wizytówką Warszawy był tymczasowy budynek. Wielki dworzec, który miał być największy w Europie, pozostawał w planach, a linia średnicowa, co miała pójść w tunelu pod Warszawą, wciąż była w budowie. Wysiadł ze swoim skromnym bagażem i przebił się

szybko przez tłum stojący na peronie, nie dając szans bagażowym. Miał zbyt mało przy sobie i zbyt cenne rzeczy, by powierzać je komukolwiek na zatłoczonym i pełnym złodziei dworcu. Tego mógł być pewien, doliniarze i pospolite złodziejaski oraz farmazony czekali na frajerów, którzy przyjechali z prowincji do wielkiej Warszawy. Kogo nie próbowano skubnąć na peronie, tego starano się otumanić w budynku dworca lub na ulicy, wielu jeleni, co zachowywali się jak spuszczeni ze smyczy, kończyło w pokoikach kurew, które wspólnie z alfonsami ograbiały ich z pieniędzy i cennych fantów.

Po knajpach, gdzie przesiadywali szemrani, śmiano się, że często okradziony bardziej bał się policji niż alfonsa i jego dziwki. Stateczny tatuś z prowincji wolał stracić pieniądze albo cebulę po dziadku, niż ryzykować, że Pelagia czy inna Genowefa dowie się o tym, co małżonek wyprawiał w stolicy. Dlatego też często sutenerzy i dziewczynki nie tylko sięgali do kieszeni natychmiast, ale także ratalnie, szantażując prowincjonalnych ogierów. Kto się nie załapał na to czesanie, ten mógł wpaść w szpony obrotnych dryndziarzy i taryfiarzy, którzy potrafili z rogu Chmielnej i Marszałkowskiej na róg Hożej z Marszałkowską jechać nie pięć minut, lecz prawie dwa kwadransy, nabijając przyjezdnych w butelkę. Heniek oszczędził sobie takiej przejażdżki i nie dał na nią szoferowi najmniejszych szans. Z miejsca wyprowadził z błędu kierowcę taksówki, który wziął go za cudzoziemca.

– *Bonjour, Monsieur!* – zaśpiewał jak słowik taksówkarz.
– Hotel Bristol, Europejski, Polonia Palace *par excellence*?
– *Good evening!* Bo już wieczór, panie szofer. Słuchaj mnie, kochany, do Polonii to bym poszedł z bagażowym, bo to na drugim winklu. Wieź mnie pan na Młynarskie, bez cudów,

znam drogę.

– Się robi – odparł taksówkarz już z mniejszym entuzjazmem.

Nieczęsto mu się to zdarzało, ale bywały takie przypadki. Raz trafił się taki beżowy, Murzyn w zasadzie, którego chciał elegancko oszwabić, a ten, jak tylko się zorientował, że wiezie go na okrągło, zastukał laską w siedzenie i poinformował go:

– Te, szoferak, ja w gastronomii robię w jazz-bandzie, więc mnie nie próbuj w butelkie nabijać.

Zdrętwiał wtedy i pomyślał, że skoro ten tak po warszawsku szwargocze, to może i prawda z tym, co mówią, że Jezus był nie tylko żydowskim królem, ale i do kompletu Żydem.

Jego ojcu na dorożce takie numery się nie przytrafiali, pomyślał taryfiarz i ruszył bez objazdów, serpentyn i zwiedzania Mokotowa w kierunku Woli i Młynarskiej.

Na otarcie łez, że nie dał się zrobić na szaro, Heniek dał mu dwa złote ekstra, będzie miał na obiad z piwem. Po drodze z Głównego na Młynarską nie zauważył nic nowego, miasto niewiele się zmieniło, nie urosło do rozmiarów Nowego Jorku czy Chicago, przybyło samochodów, ale tak jak w Sewilli, było ich w porównaniu z Ameryką tyle co kot napłakał. Domy nie były wyższe, brakowało drapaczy chmur, a przez zapadający zmrok nie przebijały się setki neonów, przynajmniej na Żelaznej i Wolskiej. Kercelak nie wydawał mu się już wielkim wesołym placem, a raczej miejscem smutnym i prowincjonalnym.

Wszedł, wbiegł niemal po schodach do swojego starego mieszkania, zapukał. Nic, głucha cisza. Spróbował raz i drugi, także nic. Poszedł więc na górę, gdzie mieszkał stryjek Janek. Tu otworzono mu w okamgnieniu, jednak powitanie nie było ani ciepłe, ani wylewne.

- Wróciłeś – bardziej spytał, niż stwierdził fakt Jan Wcisło.
- Wróciłem, stryжку, a gdzie babcia i Stefa?
- Babcia nie żyje, zmarła niedawno, pogrzeb był przed tygodniem, leży w grobie z twoimi rodzicami.
- Jak to...
- Tak to. Co, nie pisała ci Stefa, że babcia była w szpitalu?
- Pisała, ale...
- Co ale, co ale, wszystko było na naszej głowie. – Stryjek dalej stał w progu, jakby dawał do zrozumienia, że cała rozmowa odbędzie się w drzwiach.
- Stefa?
- W szkole z internatem.
- Gdzie ta szkoła?
- W Szymanowie, u urszulanek. Dobrze, że przyjechałeś. Za parę dni koniec roku szkolnego, to ją weźmiesz. Wakacje idą, byłoby głupio, gdyby je przesiedziała w internacie, co nie?
- Nie wzięlibyście jej do siebie?
- A co ja czas i pieniądze na loterii wygrałem, żeby się opiekować rodziną kombinatora?
- Słucham?!
- Słuchaj dalej. – Stryjek puścił uśmiezek. – Już po morderstwie twojej matki wiedziałem, że coś jest nie tak, a później, po tej twojej ucieczce, już nie miałem wątpliwości, co z ciebie za ziółko. I po to cię twój ojciec, a mój brat, słał do kolejówki i Wawelberga? No i co teraz, no i co?
- Jajco! – warknął Heniek. – Po to, żebyś miał dobry warsztat, żebyś miał co do gara wrzucić i żebyś dzieciaki do szkół posłał!

Stryjek Janek sprawiał wrażenie, jakby Heniek ukradł mu warsztat i uciekł z nim do Ameryki, tymczasem zostawił mu go w całości, doinwestował, zrobił z budy murowany budynek ze

stacją benzynową.

– Ale wcześniej stryjek o nic nie pytał, prawda? Było gites, tak? Wszystko było w porządku, a teraz? Przyzwyczałeś się, stryjek, że jesteś na swoim, i nie chcesz oddać mojej połowy, więc mnie bierzesz pod włos. A może policję naślesz? Nie jestem pamiętliwy, ale powiem ci tyle: wzięliśmy całą waszą rodzinę pod dach, jak pojechałeś z fabryką do Rosji, a ty... Jesteś łachudra i tyle, po prostu zasraniec, łachudra i niewdzięcznik, a nie rodzina. A ja, wracając, kombinowałem, jak mocniej rozkręcić interes! Sam go sobie teraz rozkręcaj!

Obrócił się na pięcie i zszedł po schodach. Wiedział, że już tu nie wróci, czuł nawet zadowolenie z tego, że nie nazywa się już Wcisło, tylko Haas, ale na tym skończyła się chwila triumfu i satysfakcja, jutro musi znaleźć Stefę. Teraz po ciemaku nie pojedzie na grób babci ani do Szymanowa. Nie wejdzie na cmentarz jak hiena, nie będzie walił po nocy w drzwi szkoły urszulanek. Musi się przespać, może też i zabawić, gdzie by tu stanąć? Bristol, Europejski czy Polonia, a może Grand? Tak, niech będzie Grand, to prawie przy placu Teatralnym, w Galerii Luxenburga, więc blisko Oazy i kabaretów.

W Galerii było kino w egipskim stylu i teatr Qui Pro Quo. Trafi się pewnie jazz, a więc to dobre miejsce, ale czy gra tam jakiś Mezz? Raczej nie, ale na pewno można zjeść porządnego schaboszczaka i popić regularną, dobrze zmrożoną wódeczką. Poza tym w Galerii Luxenburga miał swoje biuro Beniowski, więc wszystko będzie w zasięgu ręki. Teraz tylko złapać taksówkę, a jak nie, to pojedzie tramwajem, o tej porze tłoku nie ma. Okazało się jednak, że taryfy szukać nie musiał, pod kamienicą stał ten sam gość, który przywiózł go z dworca.

– Wiedziałem, że jeszcze pana przewiozę – zaśmiał się.
– Jesteś pan stąd, nasz, chłopak z Warszawy, że tak powiem.

Bez urazy, szefie, ale mogię tak powiedzieć?

– Tak jest – westchnął Heniek. – Chłopak z Warszawy.

– Więc tak sobie pomyślałem, skoro szef wygląda na zagranicznika i nikt szefa z dworca nie odbierał, to wcześniej czy później pan zakotwiczysz w jakimś hotelu!

– Do Granda, mistrzu!

– A nie mówiłem!

– A jeśli bym chciał zrobić jakiejś pani niespodziankę?

– Panie, co ja jestem nowy w tym fachu i pierwszy dzień na świecie? – zaśmiał się taryfiarz. – Przecież gdyby tak było, tobyś pan tej damie jakieś kwiaty kupił. Jak na szefa patrzę, to bez bajeru byłoby to z tuzin róż, i to nie takich sobie, tylko po byku. Co ja mówię, zajechałbyś pan z koszem! Mam rację czy nie? Jak nie, to więzę pana szanownego za friko!

– A jak tak?

– Klejent nasz per pan, szefie, nie mnie decydować!

– Masz pan rację, tak by było.

– Ha, ha! – zaśmiał się. – Bo ja już parę lat robię w tym fachu.

Przez jakąś minutę taryfiarz był spokojny, przymknął jadaczkę, ale gdy jechali przez Leszno, wypalił:

– A szef długo był za granicą?

– Jakiś czas – uciął.

– A gdzie?

– Daleko. – Heniek był już zmęczony pytaniami szofera.

– A bardzo daleko?

– Bardzo. Bardzo, bardzo.

– A może skoro pan nie zajechał dziś do żadnej madame, to ja mogię jakąś prima sort skołować. Mam parę adresów, gdzie mieszkają babeczki, jak to mówią, mało wstydlive i otwarte na nowe znajomości. – Zaśmiał się obleśnie.

– Radzę sobie, jak chcę, to zapoznam sam.

– W porządziu, jakby co, to ja Warszawkę szanownemu klejentowi przypomnę, może podzęgluję jutro swoją bryczką pod Granda?

– Dziękuję, jutro śpię do południa, a potem pieszo do rodziny.

– Aaa, to co innego, ale uważaj pan, z rodziną to się dobrze wychodzi tylko na zdjęciach!

– Będę o tym pamiętał. – Wkurzał go już ten taksjarsz, ale to, co powiedział o rodzinie, było jak strzał w dychę.

Zapłacił gadule i wszedł do hotelu Grand, zameldował się, po czym zapytał:

– Dobry program dają w kabarecie?

– Jak to w Qui Pro Quo, zawsze pierwszorzędnny! – zachęcił recepcjonista.

Rozgościł się, rozpakował, wziął kąpiel i ruszył w miasto. Najpierw posilił się w hotelowej restauracji, gdzie obowiązkowo zjadł schaboszczaka z młodymi kartofelkami i ogórkiem kwaszonym. Kelner namawiał go na jakieś frykasy, ale frykasów najadł się w Chicago, teraz pora na swojskie żarcie. Popił prawdziwym, a nie podkręcanym piwem, ech, pięknie smakował haberbusch! Potem po schodkach w dół do kabaretu, w zasadzie do teatru, a nie kabaretu, a jak mówili wszyscy, których pytał, do teatrzyku. W kabarecie powinny być stoliki, a tu były miejsca w rzędach, teatrzykiem by tego jednak nie nazwał.

– Ile tu wchodzi ludzi? – zapytał biletera.

– Ze trzystu!

– Sporo jak na teatrzyk – zaśmiał się.

– Publika płaci, więc ma teatrzyk, klient ma zawsze rację.

Życzy pan sobie program?

Kupił program i zobaczył nazwiska, których nie znał:

Hanka Ordonówna, Eugeniusz Bodo, Chór Dana, no i jakiś Węgier chyba, Fryderyk Járosy, tego kojarzył. Podobało mu się. I Ordonówna, i ten Bodo, ci rewelersi i gospodarz programu Járosy. Nie był to Broadway, nie było dzikich tancerek, jak w Cotton Clubie, nie było może takiego jazzu jak na The Stroll, ale było fajnie. Chwytliwe melodie, dobre teksty piosenek i skeczy. Wyszedł zadowolony, podśpiewując piosenkę, która jako hymn kabaretu zamykała wieczór:

*Qui Pro Quo – kochana stara buda,
Qui Pro Quo – ten teatr nam się udał.*

Później zaszedł jeszcze do Oazy, a tam grał jazz-band Golda i Petersburskiego. Potańczył z fajnymi babkami, napił się wódki, dużo wódki ze śledzikiem i tatarkiem, więc żadnego romansu nie było. Próbował ciągnąć ze sobą jakąś damę, ale okazało się, że nie była na wynajem, przynajmniej takiego zdania był małżonek. Obyło się na szczęście bez mordobicia, nad ranem wparował do hotelu.

O świcie budzik dzwonił jak szalony, strącił go ręką, gdy zobaczył, że wskazówki pokazują pół do siódmej. Nie ma takiej godziny, nie istnieje, finito i szkoda gadania! Minęło parę chwil, gdy zadzwonił telefon. Zignorował go, wytrzymał atak, ale zaraz rozdzwonił się od nowa.

– *Hallo!* – stęknął z angielskim akcentem.

– Dzień dobry, panie Haas, zamawiał pan budzenie
– powiedział miły damski głos. – Prosił pan, żeby w razie czego powiedzieć, że ma pan odwiedzić siostrę...

– Aaa tak, dziękuję bardzo!

Był wczoraj zalany, ale jeszcze miał w sobie mechanizm obronny. Wracając, zahaczył o recepcję i zamówił budzenie. Był czerwiec, więc za oknem jasno. Umył się, ubrał i zszedł na śniadanie, a w recepcji zamówił taksówkę.

– Możemy sprowadzić limuzynę!

Podziękował, nie chciał żadnej hotelowej limuzyny, to nie dawało dyskrecji.

– Poproszę taksówkę od Makowera.

– Słucham?

– Taxi Makowski[54], ta firma chyba jeszcze działa?

– Działa, ale...

– Ale co?

– Limuzyna...

– A kiedy będzie?

– Za pół godziny.

– A kierowca od Makowera będzie w try miga, dzwoń pan.

Wybrał Makowera, bo ten miał kilkadziesiąt taksówek, a Heniek nie chciał wpaść na cwane go typa, jak wczoraj, który by się do niego przyssał. Tu przyjedzie kierowca firmy i tyle, a jak będzie miał więcej czasu, to podjedzie do Miecia Kosiorka i zapyta, czy by mu kogoś nie polecił.

– Szymanów, daleko to? – zapytał kierowcy.

– To za Grodzkiem Mazowieckim, niedaleko Żyrardowa, jakaś godzina najmniej.

– Pojedźmy przez cmentarz Wolski.

– W porządku, będzie po drodze.

Na cmentarzu odwiedził grób rodzinny, na którym leżały jeszcze kwiaty po pogrzebie babci. Nie było żadnego okazałego wieńca, stryjek okazał się sknerą. Sknerą i łajzą. Później ruszyli do Szymanowa. Tam nie było łatwo, zanim dotarł do Stefy, przeszedł przez gabinet siostry dyrektorki, musiał pokazać swoje amerykańskie papiery oraz stare polskie. Całe szczęście, że miał dokumentację z „dwójki”, czyli możliwie najlepszą. Beniowski załatwił mu cały komplet, włącznie z kwitami, na przyznanie obywatelstwa i zmianę nazwiska. To była cała piękna historia,

jak jakaś legenda od A do Z jak po sznurku.

– Zmienił pan nazwisko?

– Zmieniłem – powiedział twardo, chcąc uciąć gadkę.

Pingwinica była jednak ciekawska.

– Dlaczego?

– A siostra w cywilu też nazywała się inaczej, nie wnikiem, jak i czemu siostra zmieniła nazwisko. Chcę się zobaczyć z moją siostrą. Czy są jakieś zaległości w czesnym?

– Nie.

– To w porządku, proszę przyprowadzić Stefę.

Zakonnica chciała zaprotestować, ale Heniek szybko ją zgasił:

– Jechałem tu specjalnie z Ameryki, spóźniłem się na pogrzeb własnej babci, więc siostra może zawalić kawałek lekcji, żeby się ze mną pomodlić za jej duszę, prawda?

Po kwadransie przyszła Stefa, prawie jej nie poznał, była ubrana w strój z marynarskim kołnierzem, włosy miała grzecznie uczesane, a twarz smutną. Przede wszystkim jednak była o wiele wyższa niż wtedy, gdy ją widział ostatni raz. To już nie była dziewczynka, tylko pannica, w zasadzie kobieta.

– Stefa!

– Heniu, to ty, mój braciszku!

Rzuciła się do niego, uwiesiła na szyi i zaczęła płakać. Całowała go w policzki i szlochała, po czym nagle zaczęła okładać pięściami.

– Jak mogłeś nas zostawić, jak mogłeś!

Przytulił ją i pogłaskał po głowie.

– Wiesz, że musiałem, wiesz...

Opanowała się, otarła łzy.

– Wiem, wiem.

Zakonnice nie protestowały, była sobota i pozwoliły, by

Stefa spędziła kilka dni w Warszawie.

– Nie chcę tu wracać – powiedziała, gdy szli do taksówki.
– Gdybyś nie przyjechał, tobym uciekła. Już wszystko miałam obmyślane!

– Moja krew! – Heniek przytulił ją mocno, po czym spojrzał w oczy i powiedział: – Ale dobrze, że tego nie zrobiłaś.

– Przyjechałeś w ostatniej chwili.

– A stryj?

– Ma to w nosie.

– Nie prosił o pomoc Zośki Wyględy?

– To ona prosiła, żeby się mną zająć, ale on zdecydował inaczej. Zośka mnie tu odwiedzała, ona jest kochana, a stryjek nigdy nie przyjechał.

– Gdzie mieszka Zośka?

– Przy Zielnej, ma tam z Wickiem pokoik bez wygód.

Doszli do taryfy.

– Wracamy do Grandu?

– Nie, na Zielną, a potem się zobaczy.

Zośka Wyględa mieszkała skromnie, ostatnie parę lat było dla niej trudne, ale widać było, że się stara, by Wicus, który miał już osiem lat, miał czyste i dobrze pocerowane ubranie.

– Dobrze, że wróciłeś, mogę ci podziękować za te pieniądze, które od ciebie dostawałam, pan Juliusz je regularnie przynosił. Ten człowiek to solidna firma.

Julek Beniowski, kapitan Beniowski, firma solidna i niebezpieczna, pomyślał. To był jednak jego problem, musiał od tego trzymać jak najdalej Stefę oraz Zośkę z Wickiem.

– Co dalej, co ze Stefą, co z tobą?

– Czemuś się nią nie zaopiekowała?

– Henius, myślisz, że ja taka jestem? Chciałam, ale Janek, stryj Janek nie chciał, on...

– Co on?

– On położył łapę na pieniądzech od ciebie, więc chciał rządzić.

– To drań.

– Drań. Rodzina, a jednak drań.

– Muszę to jakoś poukładać, podumam, co będzie.

Powiedz, co teraz robisz?

– Sprzątam po domach, gdyby nie pieniądze od ciebie, na nic by nie starczyło. Mam luksus dzięki temu, chodzę pracować wtedy, jak Wicus w szkole, i oczywiście wtedy, jak ta robota jest. Nie jest łatwo, nie jest.

– Wiem Zosiu, wiem. – Heniek ją przytulił. – Bardzo ci dziękuję za to, że nie zostawiłaś babci samej w szpitalu.

– A co ja jakaś świnia jestem?

– Ja byłbym świnia, jakbym ci za to nie podziękował.

A teraz się zmywam do hotelu, nie będziemy się kisić na kupie. Zostawiam wam Stefę, chyba lepiej tak, niż wracać do internatu.

Stefa potaknęła, skromny, wręcz biedny kącik u Zośki był jednak miejscem przy rodzinie, której tak mocno jej ostatnio brakowało.

Heniek pożegnał się i pojechał do Grandu, tym razem nie było żadnego dokazywania, musi pomyśleć, co dalej, i przede wszystkim znaleźć Mietka Kosiorka, człowieka z ferajny, któremu ufał i który mógł mu pomóc. Kosiorka poznał jako kierowcę Szpicbródki, gdy przyjechał go zaprosić na spotkanie z królem kasiarzy, później się jednak zaprzyjaźnili. On nie był stryjkiem Jankiem, na pewno nie zmienił się przez te trzy lata. Heniek wyspał się, a rano wziął torbę i pojechał na Kamionek, tam na Grochowskiej była kamienica Korszanowskiego, a w niej mieszkał człowiek, który mógł rozwiązać jego problemy.

Nie był tu nigdy, więc zapytał ciecica:

- Szukam pana Mieczysława Kosiorka.
- A kto pyta? – burknął, ściskając bojowo miotłę.
- Swój.
- Nie mój – zaśmiał się cieć.

Heniek wyjął z kieszeni monetę i zaczął ją obracać w palcach.

– A teraz swój – ucieszył się. – Teraz to już możliwie jakoś pan gadkie prowadzisz, pierwsze piętro, po prawej.

Cieć wyciągnął rękę, Heniek podrzucił monetę i złapał ją w lot.

– Najpierw muszę rozmienić, chyba bym się z koniem na łby zamienił, gdybym ci zapłacił za obowiązek. Pamiętaj pan, panie stróż, grzecznie do klienta, a pan grzeczny nie byłeś.

Minął ciecia, który stał z rozdziawioną gębą, a po paru chwilach pukał już do wskazanych drzwi.

– Słucham. – W drzwiach stała słusznych gabarytów niewiasta.

– Dzień dobry, pani Genowefo, czy zastałem Miecia?

Rozległ się rumor, to Miecio wyskoczył z kuchni, wywracając jakieś sprzęty.

– Heniu kochany, Heniu, jak bogackiego, to ty! Chłopaku, wróciłeś!

Ledwie przeżył jego potężny uścisk, a od klepania plecy jeszcze długo miał sine.

– Wróciłeś, opowiadaj!

– Nic szczególnego, mam trochę pieniążków i będę się ustawiał. Muszę jakoś urządzić siostrę, kończy niedługo szesnaście lat, więc jestem jej jedynym opiekunem, babcia właśnie zmarła.

Kosiorek kiwnął głową.

– Przykro mnie, Heniu. Uwierz, przykro.

Uściskał go serdecznie i wyciągnął papierosy.

– Egipskiego?

– Wiesz, co lubię!

Zaciągnął się z lubością dymem, tego mu brakowało!

Amerykańskie fajki były dobre, ale egipski to egipski.

Przyzwyczajenia nie oszukasz.

– Opowiadaj!

– Już nie pracuję dla Szpica.

– Czemu?

Widać było, że nie będzie to łatwe opowiadanie, Miecio pokręcił się w krześle, po czym zaświergotał:

– Geniuchna, mój aniele złoty, podasz mi i Heniowi buteleczkę i kieliszczyki.

– I co jeszcze? – Nie wiadomo było, czy pyta z troską, czy też to początek focha.

– Złociutka, to Henio przecież, pamiętasz? Widzieliśmy się w teatrze...

Popatrzyła na niego, jakby go chciała przeświecić.

– W teatrze, w teatrze, jak ty mnie cały czas jakieś kino fundujesz!

Pani Genowefa Kosiorek mówiła gniewnie, ale po chwili na stole stała zalakowana jeszcze flaszka czystej, kieliszki, syfon z wodą oraz zakąska.

– Chlebek i kiełbaska, żebyście na pusty żołądek nie pili.

– Po małej furii w Genowefę Kosiorek wstąpiła matczyna troska.

Wypili, zagryźli kiełbasą, a Miecio zaczął opowieść:

– A więc, mój kochany, wszystko się rypnęło w styczniu tego roku. Był taki mały interes do zrobienia, jakieś...

Dwadzieścia, trzydzieści milionów z kasy Banku Polskiego w Częstochowie. Tak, Heniu, tyle tam trzymali. Szpic zażegnywał się, że już nie zrobi żadnego skoku, ale...

– Dwadzieścia, trzydzieści milionów... – Heńka zatkało.

– Więc, mój kochany, potrzebna była flota na skok.

Mieszkanie ściana w ścianę z bankiem stało dziesięć tysięcy złotych. Wymyślili więc ze Stemplem, że buchną kasę u jubilera, u Edwarda Jagodzińskiego na Nowym Świecie pod sześćdziesiątym pierwszym. Byłem tam, choć nie było Szpica. Kierował wszystkim Adam Stempel.

– Stempel?

– Co się dziwisz, nie wiesz, że uciekł trzy lata temu z ulą?

Doskonale wiedział, to on wywiózł z Poznania współnika Szpica, który siedział w miejscowym areszcie po nieudanym skoku.

– To było dziewiętnastego stycznia, zrobiliśmy go na jakąś stówkę, w tysiącach rzecz jasna, a dzień później...

– Wpadka?

Miecio rozlał po kieliszku.

– Gorzej. Ten cały Jagodziński został zrobiony po raz trzeci, więc splajtował.

– Zdarza się...

– Ale nie każdy skacze z czwartego piętra na bruk.

Mietek otarł czoło i walnął kolejkę, Heniek poszedł w jego ślady.

– Słabo, dostałem rozumiesz, zarzutów.

– Jakich zarzutów?

– No, sumienia! – Kosiorek patrzył na Heńka zdziwiony.

– Do tego Geniuchna wiedziała, że ja do nich należałem. Ech, szkoda gadać. A potem już poszło z górki, posadzili tych z Nowego Świata i Szpica też. Mieli spotkanie na melinie, policja zrobiła kocioł, a na całe szczęście go tylko podwiozłem i pojechałem załatwiać inne interesy. Miałem kupę szczęścia.

– Co ze Szpicem?

– Skomplikowana sprawa, znaleźli przy nim plany banku i blaszkę do blokowania alarmu. Krok po kroku doszli, co i jak, po czym raz-dwa zawieźli Szpica do kryminału w Częstochowie. A wszystko było przygotowane... To byłby piękny mająteczek, ja w tym nie byłem udziałowcem, wiesz, kierowca do wynajęcia, ale stówkę pan Stanisław obiecał. A teraz żadnej roboty, auto w proszku, małżowinka w nerwach...

Kosiorek był rozgoryczony, więc nawet jak na niego tempo picia zrobiło się wysokie. Nalał po kielichu i walnął, mówiąc:

– Za lepsze czasy!

– Za lepsze! – przytaknął Heniek. – Kiedy proces?

– Jak go znajdą – zaśmiał się Mietek. – Dał nogę! Robił tam za frezjera, bo on zasadniczo frezjer jest z zawodu. – Mietek mrugnął do Heńka porozumiewawczo.

Szpicbródka, wielki pan i elegant, inteligent i przedsiębiorca, był fryzjerem!

– Skołował ciuchy i papiery, po czym wyszedł z kicia jak gdyby nigdy nic. Pewnie gdzieś się zamelinował.

– Więc jesteś chwilowo wolny?

– Ha, ha, ha, wolny – zaśmiał się Kosiorek. – Nawet szybki! Totalna kłapa, bezrobotny jestem, samochód mnie nawalił, drugi sprzedałem, żeby z czegoś żyć. Może pójde do Makowera kręcić fajerą jako taksówkarz, a może najmę się na wykidajłę? W ryj mogę dać! – Miecio naprężył mięśnie i zacisnął pięść. – Mogę też frajerów skubać po zmroku albo zaczepić się do jakiej bandy.

– Nie wydaje mi się...

Heniek spojrzał porozumiewawczo na Miecia, a ten w mig zrozumiał.

– Heniu, nie potrzebujesz może kierowcy bez auta?

– Skoro nie masz już zobowiązań wobec Szpica, to możesz

podjąć nową robotę.

– Z przyjemnością, Heniu, z przyjemnością!

– Poszukaj co dobrego, wygodne, żeby nie powybijać zębów na wertepach.

– Coś wynajdę i zaproponuję.

– Dobrze, a teraz jeszcze jedno, znasz jakiegoś dobrego doktora?

– Niejednego, a co dolega?

– Nic, ma dolegać. Moja siostrzyczka Stefa ma się rozłożyć tak, żeby dostać dwa tygodnie zwolnienia ze szkoły.

Miecio popatrzył z ulgą.

– Tak mi mów, ja myślałem, że to jakaś kozacka historia, a tu chodzi o bumażkę do szkoły. – Zaśmiał się. – Na kiedy to potrzebujesz?

– Na jutro, pojedziesz tam jako mój kurier i dasz papierek siostrzyczkom. Nie wracaj bez cenzurki.

– Mają być same piątki?

– Ma być spokojnie i elegancko. Dam ci flotę na otarcie łez, bo Stefa wraca do szkoły w Warszawie. Aha, będą potrzebni prawnicy, napiszę ci pełnomocnictwo, więc...

– Się wie, mam dobrego rejenta i papugę od spraw cywilnych.

– Ludzie Szpica.

– Ludzie bogatej Warszawy. Jakby psy złapały taki ślad, to musieliby zaaresztować paru kupców, ze trzech hrabiów, paru przemysłowców i niejednego artystę. Zagranicznicy, co mieszkają w Warszawie, też są ich klejentelą. Bezpieczna sprawa – zaśmiał się. – Jak pieniądze w szwajcarskim banku.

– Mam nadzieję.

– Mnie nie wierzysz?

– Tobie zawsze, ja się zastanawiam, czy szwajcarskie banki

są w porządku.

Kosiorek popatrzył na niego uważnie i zażartował:

– Jak masz, Heniu, cykorie, to dymaj do tych zegarmistrzów, wypłać pieniążki i ładuj do skarpety, tylko żeby cię jakiś sprytny kasiarz nie obrobił.

– Na pewno nie Szpic.

– Na pewno nie. Szkoda szefa.

– Głowa do góry, pracujesz teraz dla mnie.

– To jasne, ale szkoda, że pan Stanisław w ulu.

– Szkoda. Pewnie, że szkoda, masz tu dwie, no, trzy stówki na naprawę auta, oraz akonto wypłaty. Nareperuj samochód.

– U stryjka Janka?

– Wszędzie, tylko nie tam!

– Ale to rodzina, no i...

– Mój warsztat? Należałem do tego, ale już nie należę, wyszedłem na tym jak Zabłocki na mydle.

– Bo z rodziną się wychodzi dobrze tylko na zdjęciach

– burknął Mietek znane już Heńkowi słowa i klepnął go po plecach. – Trudno, co zrobić, rodziny się nie wybiera, ale przyjaciół tak.

– I auto – zaśmiał się Heniek. – Poszukaj czegoś naprawdę dobrego!

– W końcu wróciłeś nie tylko z kraju pana Ala Capone i Chaplina, ale i z kraju pana Forda.

– Mieciu, i jeszcze jedno.

– Słucham cię, mój szefie i młody przyjacielu.

– Przyjechałem tu z torbą.

– Jakieś fanty?

– Powiedzmy – powiedział Heniek i otworzył bagaż.

– Co to jest?

– Machine gun, mała maszynka, pluje pociskami jak

maxim.

– Cie choroba – zadumał się Heniek. – Mam go zamelinować?

Kiwnął głową z uśmiechem.

– Niedźwiedzie mają sen zimowy, a ten tu śpi latem, bez konkretnego płaszcza czy jesionki albo palta z takim nie pospacerujesz. A masz coś na wypadek, jakbyś się chciał ubrać na letniaka? Jak tak, to mówisz i masz, a jak znam życie i Heńka Wcisłę, to nawet jakby się nazywał Haas, to będzie potrzebował browninga.

Mieciowi niczego nie trzeba było tłumaczyć, dobrze było go mieć koło siebie. Heniek pożegnał się z Kosiorkiem i pojechał do skromnego mieszkania Zośki. Już wiedział, co będzie dalej. Długo się męczył, aż nagle wymyślił w try miga. To proste: kupi mieszkanie, dwa, trzy pokoje, takie, żeby potem było wianem Stefy, prezentem od niego na dorosłe życie. Miała szesnaście lat, a czas szybko leci. Dobrze będzie jej dać taki mająteczek, do tego należy ona do spadku po rodzicach, czyli do placów w okolicach Skoroszy. Na przyszłość siostrę ustawił, teraz trzeba zadbać o to, co się stanie w najbliższym czasie, jutro, pojutrze, za dwa, trzy lata. Zamieszkają tam wspólnie z Zośką i jej Wicusiem, kuzynka będzie robiła to, co kiedyś u Beniowskich. Poprowadzi dom i będzie doglądać Stefy. Powiedział im o swoim pomysle, wszyscy byli zachwyceni, był pisk, radość i łzy. Teraz musiał się tylko zakręcić za mieszkaniem, a potem da dyspozycje, jak je odnowić i urządzić. Zostawi tę sprawę na głowie Zośce i Mieciowi, a sam pojedzie ze Stefą na wywczasy nad morze. Miesiąc w Zoppot, a wcześniej zakupy u Hersego, to się jego siostrzyczce należy! Ale dziś niedziela, agenci mieszkaniowi i biura podróży nie pracują, a sklepy zamknięte, czynny jest za to lunapark!

– Stefa! Jedźmy na Pragę do zoo i lunaparku! – powiedział już po wyjściu od Zośki, nie chciał bowiem, by Wicusowi było przykro, że go nie zabierają. Stefa miała pierwszeństwo, w końcu to jego rodzona siostra.

Stefa spojrzała na niego bez spodziewanego entuzjazmu. Z początku nie zauważył jej rozczarowania, wziął je raczej za strach czy nieśmiałość. Zaczął więc opowiadać o atrakcjach, a gdy nadal widział na twarzy Stefy pewne zakłopotanie, pocieszył ją:

– Nie bój się, Stefciu. Kolejka górską nie jest taka straszna, tam podobno boki można zrywać!

– A pójdziemy później do kina?

– A na co?

– Na *Gwiazdzistą eskadrę*, to romans o amerykańskich lotnikach, którzy bili się z bolszewikami.

– Widziałem tych chłopaków, na film o lotnikach zawsze chętnie pójde!

Dopiero teraz do niego dotarło, że jego siostra jest już prawie kobietą. Dorosłą i piękną, na pewno na ulicy muszą się za nią oglądać. Tak było, tylko on tego nie zauważał, bo dla niego wciąż była małą Stefą. Ma niespełna szesnaście lat, ale jeśli byłaby inaczej ubrana... Toż to niewypał z tym lunaparkiem, ale trudno. Wsiedli do taksówki i pojechali. Najpierw było zoo, a później park. Im bliżej bramy byli, tym wyraźniej docierał do nich szum wagoników, gwar podekscytowanej publiczności i dźwięki orkiestry.

Słysząc było, że przyszły tłumy, zwabiło je letnie, czerwcowe słońce. Zwiedzających okazało się więcej niż tych, którzy płacili za atrakcje. Nic dziwnego, zaraz letniaki, pieniądze będą potrzebne, więc kieszenie czekał niezły drenaż, ale na watek cukrowy czy pańską skórę stać było niemal każdego. Często

właśnie sprzedawcy tanich łakoci robili najlepszy interes. Poszli ze Stefą na karuzelę, szalone tempo, wir, pisk dobywający się z gardeł współpasażerów i przede wszystkim złudzenie lotu sprawiły, że siostra przestała się dąsać.

– Jeszcze raz, Heniu, jeszcze raz!

Później Heniek sprawdził się, strzelając z wiatrówki. Z każdym pociągnięciem cyngla strącał kolejny cel, którym były butelki. Wygrał mnóstwo fantów, które porozdawał małym obdartusom krążącym po parku.

– Daj im parę groszy na karuzelę – poprosiła Stefa.

Jasne, że dał. Sam taki nigdy nie był, ale w takim towarzystwie się wychował.

– A teraz chodź tutaj, proszę! – Stefa uwiesiła mu się na ramionach.

– Dokąd?

– Tam, do wróżki!

I Stefa pociągnęła brata w kierunku szafirowego budyneczku, przed którym krążyli naganiacze przebrani za trefnisiów.

– Szanowni państwo! – zaczął typ w pelerynie. – Za monetę tu wydaną przyszłość mieć będziecie znaną!

– Misteria prawdy się tu odbywają, czy teściowa będzie dobrą mamą, czy potworem i szantrapą, czy pieniędzy nam obrodzi, czy dostaniem co od Bozi!

– Panienko, kawalerze, migiem wam wywróżą, czy będziecie parą długo!

Trefnisie nawijali jeden przez drugiego, aż pojechali o jedno zdanie za dużo.

– Niech panienka sprawdzi, czy kawaler nadaje się na męża, bo po odejściu od ołtarza reklamacji nie uwzględnia się!

– Widzisz, jacy to wróże, siostrzyczko? – zaśmiał się

Heniek. – Szklana kula wam szwankuje, możecie się panny zapytać, kiedy jej brat się ożeni, a mnie, czy i kiedy będę miał szwagra!

Naganiacze zostali z niewyraźnymi minami, ale za chwilę na widok kolejnej pary rozległy się wrzaski:

– Szanowni państwo! Za monetę tu wydaną przyszłość mieć będziecie znaną!

Heniek i Stefa poszli do cukierni i tam przy herbacie i ciastkach naradzali się, co jeszcze warto zobaczyć. Dansing nie wchodził w grę, choć Stefa się do tego paliła. Orkiestra grała dziarsko, a kawalerka rozglądała się za pannami, by dołączyć do roztańczonych na deskach werandy par. Nadwiślańskie tanga były dla młodych jak syreni śpiew, muzyka ciągnęła ich na parkiet. Heniek widział, że Stefa patrzy na tańczących, ale poczuł w sobie zew ojcowsko-braterskiej krwi. Szybko zarządził, że idą na kolejkę, jacyś obcy goście nie będą obściskiwać w tańcu jego ukochanej siostry.

Przeszli obok karuzeli, na której niedawno sami jeździli, łańcuchy furkotały, a wszyscy mieli szczęśliwe miny świadczące o tym, że to było dobrze wydane trzydzieści groszy. Tyle płacili dorośli, dzieci i wojskowi połowę tej sumy. Darmo nie było, ale przed kasą i drzwiami prowadzącymi do urzędu była już spora kolejka. Podobnie do jazdy konnej. Każdy chce być choć w niedzielę, choć przez parę minut ułanem lub kawalerzystą. Nieważne, że większość mężczyzn starych i młodych w wizytowych ubraniach wyglądała wprost śmiesznie. Każdy czuł się ułanem, szwoleżerem, husarzem albo kowbojem. Publika patrzyła zazdrośnie i czekała, aż się coś wydarzy. Jednym brakło pieniędzy, a innym odwagi, ale każdy był ciekawy tego, co się wydarzy na padoku. Oni też przystanęli, a Stefa zapytała:

- Umiesz jeździć konno?
- Umiem jeździć na żelaznym koniu – zaśmiał się.
- Potrafię ujarzmić konie mechaniczne, a nawet je leczyć, ale te żywe...

W tej chwili komuś „przez przypadek” strzelił balon. Poszedł huk, a spokojny do tej pory konik, który woził w spacerowym tempie, noga za nogą, swoich jeźdźców, znarowił się. Wierzchowiec bryknął, jeździec się zachwiał, a po chwili rozpoczął się galop. „Prrr, prrr, stój” stajennego mieszało się z wrzaskiem przerażenia i przekleństwami jeźdźca, i z krzykiem tłumu. Z miejsca zrobiło się tak, jakby publika nie była w praskim lunaparku, lecz na Polu Mokotowskim. Słychać było okrzyki znane z wyścigów konnych.

- Dawaj, jedziesz, w galop, mongole, bo przegrasz!
- Stawiałem na niego, wygra!!!
- Zaiwaniasz, królu złoty, już jesteś na celowniku!

Na szczęście dla niefortunnego jeźdźca koń uspokoił się, a stajenny skrócił lonżę, dobiegł do konia i chwycił za uzdę.

Publika była rozczarowana.

- Co jest?
- Niech kasa zwraca za bilety!
- No żeż kurka, ustawili gonitwę, łobuzy!
- Skandal, idę na policję!

Śmiechom i wrzaskom nie było końca, a jeździec wzrokiem mordercy patrzył na tłum. Gdy już ochłonął, zawołał:

- Ty łachudro szarpany, cieciu na korbkę! Tak, tak, do ciebie wołam, tak, dokładnie do tego podobnego do małpy w kaszkiecie w kratkę, co stoi z szantrapą w niebieskiej chustce.
- Cooo? – rozległo się zza padoku.
- Nie o ciebie się rozchodziło, bo twoja makolągwa nie ma niebieskiej chustki. Kolorów nie rozróżniasz, konusie? Ale

śmiałaś się, łachudro, więc ciebie też dorwę, ale w drugiej kolejności...

Sytuacja zrobiła się nerwowa, ale szybko pojawili się policjanci. Na ich widok znów był wersal i Francja-elegancja.

Po drodze kolejne atrakcje, wyścigi w workach i wyścigi z jajkami na łyżce. Konferansjer i kierownik całego zamieszania w jednej osobie, elegancik o doniosłym głosie, ogłaszał start kolejnej ludzkiej gonitwy.

– Wyścigi w workach są dla młodzieży męskiej, proszę kupować bilety wstępu i pobierać worki!

– A co dostanę za wygraną? – rozdarł się może dziesięcioletni nygus. Za chwilę dołączyli do niego inni i zrobił się harmider nie z tej ziemi. – Za friko nie pobiegnę.

Konferansjer cierpliwie przeczekał zamieszanie i zrobił uciszający gest ręką.

– Szanowna publiczności, nagrodą jest zegarek!

– Zegarek! – poszło przez tłum.

Za chwilę z kilkanaście pociech zostało wypchniętych przez podnieconych rodziców, by walczyły o zwycięstwo w praskich igrzyskach. Chętnych było tak wielu, że nie dla wszystkich starczyło sprzętu. W końcu chłopcy powłazili w worki i ustawili się na starcie. Mistrz ceremonii odliczył i wystrzelił z korkowca. Ruszyli! Z miejsca dwóch zawodników złapało zająca i padło na starcie przy pierwszym skoku. Inni różnie sobie radzili. Blondynek, który był ciekawy wygranej, wyłożył się w połowie dystansu, upadkiem zawodników towarzyszyły jęki zawodu i znacznie głośniejsze odgłosy triumfu. Reszta cieszyła się z odpadnięcia rywali, tak jakby sama już wygrała wyścig i dostała do ręki zegarek.

Wygrał niepozorny szatyn.

– Mały, ale szybki, skubaniec – podsumował ktoś z boku.

– Czy go nie oszwabia, czy na pewno dostanie zegarek?

Dostał! W ręku chłopaka znalazła się wielka niklowana cebula. Widzowie patrzyli z uznaniem i dopytywali się, co dalej. Teraz każdy już wiedział, że to nie lipa i że można wrócić do domu z własnym zegarkiem. Nic dziwnego, że do biegu z jajkiem zgłosiło się jeszcze więcej chętnych. Każdy dostał łyżkę i surowe jajko. Łyżka wędrowała w zęby, a na niej kładziono jajko. Trzy, dwa, jeden – trach! Strzał z korkowca ogłosił start, ruszyli. Znow, jak w przypadku biegu w workach, jęki zawodu przeplatały się z triumfalnymi okrzykami. Parę jajek spadło bez szkód dla zawodników, niektóre tak niefortunnie, że brudziły spodnie. Tym razem zwyciężył mały Żydek.

– Taki szczeniak, a już z zegarkiem.

– Wielka jak skurczybyk ta cebula.

– No i na co takiemu gówniarzowi zegarek? – szeptano zazdrośnie.

Tymczasem chłopak podszedł do ojca i zaczął porównywać jego i swój czasomierz.

– Tate! O, się spieszy, to tandeta, jak nic zepszuje się!

– *A nar git, a kliger nemt*[55] – skarcił go ojciec. – Bierz ten zegarek. Rano nie miałeś zegarek, a teraz masz!

– Ale ja go za friko nie dostałem, wygrałem wyścig!

Przegrani patrzyli na niego z nienawiścią.

– A co ty byś chciał, ja się ciebie pytam, co ty byś chciał?

– Słyszysz, tate, ktoś gra na organkach!

To grał jakiś pętaś, który zdobył instrument za rzucanie piłkami do puszek.

Obaj patrzyli na swoje zdobycze, każdy uważał, że ten drugi ma coś lepszego.

– Zamienisz się? – zapytali niemal równocześnie.

– Pewnie, tylko potem nie mów, że cię Żydek oszwabił, słyszałeś, co mówiłem?

– Zegarek to zegarek!

Zamienili się, a ludzie trochę pokomentowali tę giełdę zwycięzców i zaczęli się dopytywać o nowe konkurencje. Tymczasem Heniek i Stefa ruszyli dalej, do kolejki górskiej. Kupili bilety i stanęli w ogonku do następnego kursu. Wagoniki wspięły się na górę, chwilę postąły i ruszyły! Rozległ się pisk panien i pohukiwanie kawalerów. Mały pociąg z wielką prędkością runął w dół, a później wił się w ciasnych zakrętach.

– Jak kto jadł, to może zwrócić posiłek – zastanowił się starszy wąsaty mężczyzna. – Wiem, co mówię, jestem lekarzem.

– Dziadku, pojedziemy? – pytał uczepiony jego rękawa chłopak.

– Jadłeś zbyt obfite śniadanie, wnusiu.

– Trudno, będzie haft szamerowany – zaśmiał się jegomość, który był chyba nie tylko po obfitym śniadaniu, ale i po piwku.

– Boję się – dobiegło z innej strony.

– Ziuta, nic się nie bój, dasz radę.

– Nie, za nic!

– A jak jechałem z Elką, to ta piszcziała z radości!

– Świnia!

– Żartowałem – zaśmiał się kawaler. – To co, jadziem?

– Nie bój się pani, my całem towarzystwem jadziem, chłopaki i dziewczyny! Jak kojfniem w wyniku tej podróży, to przynajmniej jednym wagonikiem do nieba pofruniem.

Panna Ziuta dała się przekonać, ale chyba bardziej dlatego, że nagabujący ją kawaler był przystojny, niż dlatego, że przestała się bać.

– Synuś, a ty na serce jesteś chory! – Jakaś kobieta w słusznym wieku krzyczała do całkiem dużego syna.

– Mama, mię to serce pęknie przez te mamine spazmy, a nie od górskiej kolejki!

– Karol! – westchnęła kobieta. – Jesteś zupełnie jak nieboszczyk ojciec!

– A co mam być, jak sąsiad? – odpysknął gówniarz.

Skończył się kurs, pasażerowie wysiedli, ich miejsce zajął kolejny rzut. Przyszła kolej na Wcisłów, żołądek podszedł Heńkowi do gardła, wrzask rozległ się nad lunaparkiem, było pysznie! Momentami jak w aeroplanie.

Stefa też była zadowolona.

– Pięknie, ale to nie to samo, co samolot?

– Zgadza się, Stefciu. A może pofruniemy do Lwowa?

– Naprawdę? Heniu, jesteś kochany!

– A może do Bukaresztu?

– A czemu nie do Paryża?

– Może być do Paryża!

– Ale pierw polatamy z *Gwiazdzistą eskadrą!*

Seans w Colosseum był niezwykle udany, rozmawiali w drodze powrotnej o filmie, życiu, przyszłości.

– Podobał ci się ten wieczór?

– Tak, ale szkoda, że nie mieszkamy razem, że muszę wrócić do Szymanowa na te parę dni roku szkolnego.

– Nie musisz.

– Muszę...

– A jak będziesz chora?

– Heniu?

– Coś się zaradzi, mamy całą niedzielę, żeby znaleźć lekarza, który dopatrzy się jakiejś choroby – zaśmiał się Heniek.

– A czy tak wolno?

– Wolno, a nawet trzeba! Chcesz tam wracać czy pojechać ze mną nad morze?

– Nie chcę tam wracać, chcę jechać z tobą nad morze!

– To nie wrócisz, od nowego roku pójdziesz do starej szkoły!

Stefa rzuciła mu się na szyję, zaczęła płakać.

– Heniu, ale teraz już nas nie opuścisz, prawda?

– Nie, nie opuszczę już nigdy.

Kłamał, choć nie chciał. Kłamał, bo znał siebie, że to się nigdy nie uda, bo komuś takiemu jak on trudno się będzie ustatkować, ale przecież każdemu wolno marzyć, taka już uroda życia.

XXVIII

Przeznaczenie

Przed wyjazdem nad morze pozałatwiał najważniejsze sprawy, przede wszystkim musiał odnaleźć kapitana Beniowskiego, ulokować w banku pieniądze i kupić mieszkanie. Sprawa poszła nadspodziewanie szybko, już pod koniec tygodnia był formalnie właścicielem pięknego lokalu w nowej kamienicy przy Czerwonego Krzyża. Nie żaden niebotyk, ale budynek był ładny, a lokal w miarę jasny i dobrze zaplanowany.

Miał wielką kuchnię z wnęką, taką by mogła tam mieszkać służąca, piękną sypialnię, gabinet, salon i łazienkę. Były większe mieszkania z oddzielną klatką dla służby, ale uznał, że to przesada. Za to zapłacił czterdzieści tysięcy złotych, czyli pięć i pół tysiąca dolarów. Śmiechu warte! Miał więc już posag dla Stefy, a jak ta będzie dorosła, to poszuka czegoś dla siebie. Od razu wprowadził do mieszkania swoje zasady. Kuzynkę Zośkę, która była kiedyś służącą i myślała, że znów będzie rezydowała w kuchni, przeniósł do salonu.

– Zamieszkasz z Wicusiem w salonie, a kuchnia jest na tyle duża, że nam będzie służyła także za jadalnię. Stefa będzie miała sypialnię z wejściem od salonu, a ja gabinet. Wstawię sobie łóżko, fotel i szafę. To tylko tymczasowe, póki nie znajdę sobie własnego mieszkania.

– O Jezu, tak to nie mieszkałam nawet u inżynierostwa Beniowskich!

To prawda, służące, choć mieszkały w klitkach, to jednak i tak miały lepiej od większości warszawiaków. Klitka nie klitka, ale przy sporej kuchni i spiżarni, z własną toaletą i bieżącą wodą. O takich luksusach nie marzyli zwykli robotnicy, drobni

sklepiarze, mrowie starozakonnych z Murdziela i mieszkańcy przedmieść. Teraz jednak Zośka zaczynała mieszkać, jakby była prawdziwą panią.

– Żeby to ten łachudra Klajster zobaczył, toby mu oko zbielało!

Klajster, Ryszard Klajster, to był faktycznie łachudra, łachudra i łobuz, dawniej mąż Zośki i ojciec Wicusia. Drobny kombinator, dziwkarz i pijak, który z jej życia zrobił piekło i którego Heniek pogonił gdzieś na koniec świata.

– Heniu, jak pragnę zdrowia – zapłakała Zośka, tuląc Wicusia. – Heniu, jesteś naszym dobrodziejem. Co rodzina to rodzina, a mówią, że z nią wychodzi się dobrze tylko na zdjęciach!

I znów to usłyszał, więc się zaśmiał:

– No i chyba że się z tej fotografii wytnie Rysia Klajstra.

Tak zaczęli nowe, wspólne życie przy Czerwonego Krzyża, w pięknym mieszkaniu z wanną i telefonem. Żyć nie umierać, ale nie spędził tam nawet nocy, bo niemal zaraz po zakupie wyruszył ze Stefą na wakacje. Nie zrobił jednak wszystkiego, co sobie zaplanował. Od poniedziałku do piątku po dwa razy dziennie odwiedzał biuro Beniowskiego. Stukał, pukał i nic, nul, głucha cisza. Spytał portiera, a ten powiedział, że w biurze Towarzystwa dla Handlu Zagranicznego Bałtyk – Świat, Gdynia, Warszawa, Lwów, Berlin było od końca zeszłego tygodnia pusto.

– Musi pan dyrektor gdzieś wyjechał.

Musi tak, pomyślał Heniek. Może do Gdyni, a może do każdego innego z miast znajdujących się na szyldzie. On sam pojechał w kierunku Gdyni, do Zoppot, uzdrowskiej części Wolnego Miasta Gdańsk. To miejsce spodobało mu się bardziej niż Atlantic City. Grand Hotel nie był tak wielki, jak hotelowe

niebotyki stojące w Ameryce, a miasto tak hałaśliwe. Pod koniec zrobili wycieczkę statkiem na Hel, gdzie zabrano ich do Juraty, a tam spotkał dziarskiego kapitana szwoleżerów Ignacego Bielińskiego. Poznali się parę lat temu w Zakopanem, na wódeczce, podczas której Heniek uspokoił trzech bogatych, rozbrykanych chamów.

– Witam, pana kapitana!

– Majora! – Bieliński wypiął dumnie pierś. – Majora, był awans!

– O, przepraszam, nie spojrzałem na pagony, gratuluję panu! – Mimo że był cywilem, trzasnął obcasami. – A ja dalej jestem kapralem – zaśmiał się. – Stacjonuję tu z siostrą, na wywczasach, a pan?

– To ja gratuluję – powiedział, spoglądając na Stefę, która w ubraniu od Hersego, jakie jej sprezentował przed wyjazdem, wyglądała olśniewająco. – Pańska siostra jest piękną młodą kobietą. Ja też tu jestem na wywczasach, ale także trochę w interesach. Próbują mnie namówić na zakup działki i budowę domu. Waham się, bo się pobudowałem na Żoliborzu, ale to miejsce...

– To miejsce jest piękne. I ja słyszałem, że można tu ulokować pieniądze z bardzo korzystnym zwrotem!

– No to raz kozie śmierć, panie Wcisło!

– Raz kozie śmierć, wchodzimy w ten interes, tylko widzi pan, ja nie jestem teraz Wcisło, tylko Haas.

– Nie Wcisło, tylko Haas, opowiadaj czemu, opowiadaj, bo przecież my jesteśmy już po bruderszafcie, pamiętasz?

– ucieszył się major.

– Faktycznie tak było!

– Mój drogi, a co się stało z tym sympatycznym panem...

– Murakami?

– Tak, ten Japończyk to był klasa gość!
– Zginął w lawinie, ja też byłem bliski śmierci i nie tylko...
– Mój Boże, mój Boże, czemu zabierasz do swojego niebieskiego szwadronu najlepszych ludzi? – Bieliński pokręcił głową. – No, ale chwała Bogu żywy i jak widzę, w doskonałej formie! – Nagle wojskowy zamyślił się i zapytał: – A czy to prawda, że...

– Tak, to prawda, pewien ambitny policjant chciał ze mnie zrobić mordercę rządu barona Jungenfelda, owszem, miał z nim ponoć jakieś porachunki nasz przewodnik, ale ten chory człowiek wykoncypował w swoim umyśle jakąś szaloną historię. Dlatego wyjechałem do Ameryki, ale nazwisko zmieniłem z przyczyn praktycznych, bo kto by wymówił Wcisło?

– Zmieniłeś nazwisko, jakbyś był artystą – zaśmiał się major Bieliński. – A może nim jesteś? Jak na ten przykład Bodo.

– Tak, słyszałem o nim, nawet go widziałem, to chyba teraz wielka gwiazda? Do Ameryki jego sława jeszcze nie sięga.

– A u nas... Czyste szaleństwo, uważaj, żeby ci nie wyszedł z szafy albo nie wypadł z pawlacza...

– Aż taki popularny?

– Mój drogi! Kino, teatr, płyty, gazety, no i ta reklama. Wszędzie go pełno, kobiety za nim szaleją, choć... – Oficer podkręcił wąsa. – Jak tak patrzę na siebie w lustrze, to myślę, że porównując się do tego Bodo, nie mógłbym się opędzić.

– Panie majorze! – Z daleka zamachała do nich jakaś atrakcyjna dama.

Major Bieliński zaszalutował, strzelił podkutymi obcasami swoich szklanek i odklonił się z gracją.

– Prezesowa Leszczycka, piękna kobieta jest z pani prezesowej Ireny – westchnął. – Ale cóż, jestem żonaty. *C'est la vie!*

– Nie możesz pan mówić, panie majorze, że jest źle, masz powodzenie, mój Ignacy!

– A czy ja mówię, że mam źle, ja się tylko dziwię, że z tego całego Bodo taki amant. Na scenie demon, ale tak w ogóle... Nie wiem, co te kobiety w nim widzą, bo tak po cywilu, bez kostiumu, bez świateł...

– Podobno wy, kawalerzyści, też sporo tracicie po zejściu z konia...

– Ależ z pana Amerykanina żartowniś – zaśmiał się major.
– Ty i w gębę potrafisz przyłożyć, i umiesz się ubrać z wielkim szykiem, a słuchać cię to prawdziwa przyjemność, o picciu już nic nie wspomnę. Kolejczkę?

– Chętnie.

– Dobrze, że nie jesteś w służbie czynnej, bo nie moglibyśmy tak razem dokazywać.

– Nie mógłbym już, zmieniłem nie tylko nazwisko, ale i obywatelstwo.

Wypili po małym kieliszku wódki.

– Mówiłeś, że on to jak ja, czy ja jak on... – ciągnął Heniek.

– Ach, drogi Henryku, rozchodziło się o nazwisko. I nie tylko o nazwisko, bo on zrobił tak, jak wielu innych aktorów. Niemal wszyscy artyści, a już każdy starozakonnego pochodzenia, zrobili sobie nowe nazwisko. Ale z tym Bodo to inna sprawa, on się nazywał jakoś tak po francusku, bo to Szwajcar.

– Szwajcar?

– No tak, mówią, że Szwajcar, że się urodził w Genewie i że ma szwajcarski paszport. A i ty zmieniłeś nazwisko i masz amerykańskie obywatelstwo, jesteś więc drugi Bodo. A za pozwoleniem, czemu akurat Haas?

– Bo to mój pseudonim, walczyłem pod nim.

– Z całym szacunkiem, na legiony czy POW jesteś stanowczo za młody.

– A zdziwiłbyś się pan. Z POW miałem coś wspólnego, ale rzecz jasna jako dziecko. To przez ojca i znajomych, wszyscy albo w Pogotowiu Bojowym, albo w POW. A pseudonim dostałem, jak pojechałem na Śląsk.

– Nie chwaliłeś się tym w Zakopanem!

– Bo to wtedy była tajemnica wojskowa – roześmiał się Heniek. – A tak serio, to jakoś na to nie zeszło, minęły lata, mam pamiątkową odznakę, Śląsk jest przy Polsce, a ty nie pracujesz w niemieckiej ambasadzie... Takim to bym opowiadał na okrągło!

– Umiesz rozbawić publikę! – Major zaśmiał się tak głośno, że zwrócono na nich uwagę. – Już widzę minę szwaba, któremu opowiadasz o śląskich przygodach. Byłeś tam, gdzie myślę?

– Jako Heinrich Haas byłem w dywersji u kapitana Puszczyńskiego.

– U Wawelberga, znaczy się – rozpromienił się major!

– Tak przypuszczałem, tak przypuszczałem. Iluż wspaniałych ludzi tam się biło, ci bracia, lotnik i marynarz, oni chyba nie musieli zmieniać nazwisk?

– Myślisz o Meissnerach?

– Oczywiście!

– A jednak zmienili – skwitował Heniek. – Janusz był na Śląsku dla nas Januszem Orskim, a dla Niemców Alfredem Bujokiem.

– Ach, ta konspiracja, ja sam byłem w POW, ale nie dodałem sobie do nazwiska pseudonimu, jak Orlicze, Role, Dęby, Grzmoty, Rydze i inni.

– Czemu?

– Bo ze względu na nazwisko nazywali mnie w organizacji Marszałkiem, wiesz, Henryku, nie dość, że po marszałku Bielińskim, to jeszcze od tego, że mieszkałem przy jego ulicy, czyli przy Marszałkowskiej. A teraz Marszałek jest tylko jeden – zaśmiał się Ignacy Bieliński.

– Kapitan Puszczyński też nie pozostał przy swoim pseudonimie...

– Puszczyński-Wawelberg, to by brzmiało, jakby był dyrektorem szkoły, a on, z całym szacunkiem dla wszystkich dyrektorów szkół, to przede wszystkim wspaniały oficer, piękna postać, znamy się, znamy!

– Za pozwoleniem, panie majorze...

– Słucham pana kaprała!

– Skoro okazuje się, że mamy wspólnych znajomych, to może wiesz, co się dzieje z moimi komendantami z czasów wojny bolszewickiej, z kapitanami Broniewskim i Beniowskim... Władysław Broniewski i Juliusz Beniowski. Służyłem pod nimi, byłbym zobowiązany za informacje o nich! Kapitan Beniowski wciągnął mnie do Wawelberga, chodziliśmy nawet do tej samej szkoły, oczywiście w innych latach.

– Nie ma sprawy! Na pewno będę miał dla ciebie jakieś wieści! O Broniewskim to już teraz mógłbym coś panu powiedzieć, Piękny Bolek... – uśmiechnął się major i szeptem dodał: – Tak właśnie w sztabie i kręgach artystycznych nazywają adiutanta Marszałka, majora Długoszowskiego. On sporo mi o Broniewskim opowiadał. Mówił, że to utalentowany poeta, a Wieniawa zna się na tym jak mało kto! Ale...

– Co ale?

– Ale ma słabość do komunistów!

– Do komunistów?

– Tak, do komunistów!

– Niesłychane, tak pięknie bił bolszewików!

Major już o tym nie myślał, wyłowił z tłumu kogoś, z kim chciał się spotkać i porozmawiać.

– A teraz pan wybaczy, muszę jeszcze spełnić parę obowiązków towarzyskich, spotkamy się w Warszawie, mój drogi! – Major zasalutował i odszedł, po czym wrócił po kilku krokach. – Ale nie mamy naszych adresów i telefonów, spotkajmy się zatem w Oazie, tam grają Gold i Petersburski. Posłuchasz, ocenisz, opowiesz o Ameryce, a ja postaram się dowiedzieć tego i owego o kapitanie Beniowskim. W piątek za tydzień o pół do dziewiątej w Oazie!

– Przyfrunąłbym jak na skrzydłach, ale po trzech latach nieobecności obiecałem siostrze, że po zakończeniu pobytu w Zoppot pojedziemy na dwa tygodnie do Juraty. Spodobało się jej tutaj i wracamy do Zoppot tylko po to, by zabrać bagaże i może zwiedzić Gdańsk.

– To zrozumiałe, to zrozumiałe – zamyślił się major Bieliński. – Ale w sobotę dziewiątego sierpnia będą już państwo w Warszawie?

– Tak.

– Mam przedni pomysł, spotkamy się na stadionie Legii, będzie jego premiera, a nasi chłopcy z WKS zagrają z Hiszpanami. Interesujesz się futbolem?

– Tak, bywałem na meczach.

– No to byczo, cieszę się na to spotkanie! Na wszelki wypadek wymieńmy jednak karty wizytowe.

– Nie, bo dopiero od paru dni mam adres. Proszę mi wysłać zaproszenie na Grand Hotel.

W tym momencie Heniek postanowił, że będzie miał tam pokój. Wpadł na ten pomysł, patrząc na nogi prezesowej Leszczyckiej. Faktycznie, piękna kobieta, a on, podobnie jak

major, lubił piękne kobiety, ale nie był żonaty. Miał za to piękne mieszkanie, które dzielił z siostrą, kuzynką oraz jej dzieckiem. Lokal był duży, ale dla prezesowej ani żadnej innej kobiety miejsca w nim nie było, za to w hotelowym pokoju... Al Capone nie zawsze miał dobre pomysły, choć większość z nich była znakomita, a ten, by mieć stały numer w hotelu, był fenomenalny.

Tymczasem major zniknął w tłumie innych galowych mundurów oraz smokingów. Heniek zapalił papierosa i spojrzał na towarzystwo bawiące się w Juracie. Pewnie za rok, dwa będą jego sąsiadami. Stracił dom na Florydzie, który zobaczył tylko na fotografii, więc tutaj będzie miał swoją Florydę. Podobało mu się to miejsce, a Stefie jeszcze bardziej. Gdyby tak nie było, to nie prosiłaby o przedłużenie pobytu nad morzem. Zastanawiał się też, czy dobrze zrobił, zadając wprost pytanie o Beniowskiego. By nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń, zapytał także dla niepoznaki o Broniewskiego, bo jakby ktoś chciał podrażnić sprawę, to okazałoby się, że obaj faktycznie byli jego dowódcami. Poza tym Ignacy Bieliński to szwoleżer, a nie dwójkarz, a już na pewno nie pies.

Na początku sierpnia wrócili do Warszawy. Wybrane przez niego meble stały w domu, wyglądało też na to, że będzie miał i nowe auto.

– Heniu, szefie złociutki!

Mietek Kosiorek był podniecony, jakby szło o jakiś niewyobrażalny majątek albo wielki interes.

– Słucham cię, Mieciu.

– Otóż, Heniu, jest niebywała okazja, niebywała!

A więc jednak! – pomyślał Heniek. Znał Kosioraka zbyt długo i zbyt dobrze, by nie odczytać z jego gestów i głosu, o co idzie.

– Jaka?

– Jest do zrobienia...

– Skok?

– Nieee – zaśmiał się Mietek. – Przecież wiem, kochany, żeś to porzucił, a jak pamiętasz, i ja mam mniejszą ochotę na wybryki po wpadce Szpica.

– No więc co?

– Interes...

Mietek miał oczy jak sprzedawca, który chce obźenić naiwnemu klientowi tombakowy sygnet w cenie złotego. I faktycznie chodziło o handel.

– Ralf-stetysz... – szofer z Grochowa wypowiedział te słowa, jakby był heroldem zapowiadającym królowi przybycie bohatera.

– Ralf Stetysz? – Heniek nigdy nie słyszał tego nazwiska.

– Nie znam człowieka.

Mietek zaczął się śmiać do rozpuku.

– To nie człowiek!

– A kto? – zdziwił się Heniek.

– To auto!

– Auto?

– Tak, auto. Naprawdę nie słyszałeś? Można kupić najlepsze auto tego świata! Ralf-stetysz. RALF-STETYSZ – powtórzył Kosiorek natchnionym głosem. – Najlepsze auto na nasze kulawe polskie drogi.

– Co to za wynalazek?

– To projekt hrabiego Tyszkiewicza.

– Sportowy?

– Nie.

– Piękna limuzyna?

– Nie.

– To co?

– Ralf-stetysz to ralf-stetysz! – Kosiorek mówił, gestykulując tak, że Heniek zaczynał się przyglądać jego fizjonomii. Miecio nigdy nie wspominał, że jest starozakonnym, a wyglądał teraz jak nie byle jaki spec z Nalewek, Kupieckiej czy placu Muranowskiego.

– To auto się nie psuje i droga nie poobrywa mu kół. Przypomnij sobie, że tu nie Ameryka. Bruk, jak jest, to mamy prawdziwe święto. Tu warszawiak, poczciwy ford T jest autem pierwszorzędnym, no przynajmniej jeśli chodzi o zawieszenie.

Nie utknie na wsiowej drodze, a u nas, nie ma co ukrywać

– Miecio zrobił strapioną minę – większość dróg jest wsiowa. Ma dyferencjał i hamulce na wszystkie cztery koła.

– Nie słyszałem o tym aucie, to jakaś nowa marka?

– Nowa i stara. Hrabia Stefan Tyszkiewicz zaczął produkcję w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym, zaraz po twoim wyjeździe, ale w dwa lata później fabryka przy Przemysłowej się sfajczyła i interes diabli wzięli.

– I nikt nie chciał dalej produkować, skoro to takie cudo? Mietek Kosiorek machnął ręką.

– Ludzie są głupie i chytre. Udziałowcy, a przede wszystkim ci od mostów, Rudzki i spółka, zostawili hrabiego na lodzie.

– I mam kupić auto, którego już nikt nie składa?

– zastanowił się Heniek. – I do tego nowe, chociaż fabryka dawno temu poszła z dymem?

Dopiero teraz Miecio zapalił się na całego.

– Ocalało z pożaru parę sztuk i kupa części, znam typa, który pracował przy tych autach dla hrabiego. Są lepsze niż oryginały, bo hrabia chciał stetysza ulepszyć. Żeby zachęcić udziałowców, włożył większy, mocniejszy silnik. – Heniek

znów uważnie przyjrzał się Mietkowi, który mówił z takim zaangażowaniem, że przebiłby się ze swoją ofertą w tłumie najdoskonalszych handlarzy z Kercelaka i Nalewek.

– To automobil cud! Można go kupić z furą części, a do tego nie rzuca się w oczy, a wiem, że nie chcesz się rzucać w oczy...

Tak w istocie było. Nie chciał, by było o nim głośno, ale niestety było. Fama o Henrym Haasie z Ameryki roznosiła się po Warszawie.

– Kiedy kupujemy?

– Auto ma być gotowe na poniedziałek, jedenastego sierpnia.

– Ile za niego wołają?

– Pięć tysięcy złotych, a z częściami siedem.

– Powiedz, że bierzemy za sześć tysięcy dwieście trzydzieści złotych.

– A dlaczego akurat za tyle? – zdziwił się Mietek.

– Bo to dokładnie siedemset dolarów.

Był od ponad miesiąca w Polsce, ale cały czas wszystko liczył w dolarach.

– Jakby robili sceny, to dołoż pięćdziesiąt.

– Złotych?

– Nie, dolarów.

Mietek zaczął żmudne obliczenia, w końcu wykrzyknął:

– To jest czterysta czterdzieści pięć złotych!

– A razem sześć tysięcy sześćset siedemdziesiąt pięć.

Dobra pamięć i szkoła Wawelberga robiły swoje, liczył szybko i sprawnie, ale i tak nigdy nie pokochał matematyki.

Zgodnie z obietnicą major Ignacy Bieliński wysłał mu zaproszenie na mecz Legii z hiszpańską drużyną. To była Europa Barcelona. Gdyby wiedział, toby się podpytał o nich

w Sewilli u hiszpańskich oficerów. Ciekawe, czy ich także nie lubili tak samo jak tych z FC Barcelony. Pewnie tak, bo wyraźnie nie kochali Katalończyków i Basków, choć jeszcze bardziej wkurzali ich republikanie, związkowcy i anarchiści. Tyle się dowiedział o Hiszpanii w ten jeden wieczór, który spędził w Andaluzji. W sumie niewiele, jak na posiadacza ziemskiego w tym kraju. Na pewno futbol rozpalał tam ludzi mocniej niż w Polsce, przynajmniej tak wynikało z reakcji oficerów z Sewilli. A jednak polscy oficerowie interesowali się sportem, a ci nasi mieli swój wojskowy klub – Legię oraz stadion. Rządzili nie tylko tu, przy Łazienkowskiej, ale także w innych klubach. Wojskowi byli również we władzach Polonii i Warszawianki.

Mietek dowiózł go do Myśliwieckiej, dalej nie dało rady, bo tłumy były wielkie, pewnie największe do tej pory. Nie widział takich nawet przed derby na Polu Mokotowskim, nie mówiąc o Dynasach czy Cyrku Staniewskich przy Okólniku. Sam stadion to nie było może Soldiers Field, ale też robił wrażenie. Trybuna z dachem wyglądała okazale, nie będzie więc padać na głowę. Jak na środek lata było nie tylko chłodno, ale i deszczowo. Padało już od jakiegoś czasu i najwyraźniej nie miało zamiaru przestać. W innych okolicznościach być może pogoda wystraszyłaby ludzi, ale to przecież było otwarcie najlepszego stadionu nie tylko w Warszawie, ale i w całej Polsce. Ludzi więc nie brakowało i jak to często bywa, było ich więcej niż biletów i zaproszeń. Te dawno zniknęły z kas, więc koniki pokrzykiwały:

– Bileciki na wielkie widowisko, Legia już za momencik zagra z Barceloną, za dyszkie można zostać świadkiem tego epokowego wydarzenia!

Jakiś przechodzień przystanął koło cwaniaka oferującego

bilety.

– Z jaką Barceloną, z jaką Barceloną? – zaperzył się.

– Z hiszpańską – odpowiedział konik. – A z jaką niby inną, włoską, a może czeską? Życzy sobie pan szanowny korepetycje z geografii?

– Bo to nie Barcelona, tylko Europa Barcelona, słabiaki, za nich dychy nie dam! Spuść pan z ceny, bo inaczej pan zmokniesz z tym biletem i bez pieniędzy zostaniesz.

– Spokojna głowa, chętnych nie brakuje!

– To czemuś pan jeszcze nie sprzedał? – zaśmiał się koneser futbolu. – Jakby to nie byli słabiaki, to te bileciki już by dawno poszły!

– Słabiaki? A czytałeś pan, że tam gra siedmiu reprezentantów Hiszpanii? I to ich trener mówił, tak stało napisane w „Przeglądzie Sportowym”!

– Bardziej chyba byłych mają tych reprezentantów i tam też napisali, że to mistrzowie Hiszpanii, a jak raz mistrzem to jest Barcelona, ale FC, a nie Europa!

– To idź pan na lekramację do „Przeglądu”, a mnie gitary nie zawracaj. Gazeta pisała, że to ta Barcelona, co jest mistrzem, więc jak masz pan jakieś wąty, to nie do mnie. Zajeżdżaj pan z pretensjami do redakcji, tylko migiem, bo zanim pan obrócisz, to się mecz skończy.

– Za tę Barcelonę mogę dać piąta... – Dobrze poinformowany kibic był nieustępliwy. – To tak, jak płacić dyszkę za chłopaka z Sosnowca, ale na scenie zobaczyć nie Jana, tylko jego brata Władka.

– Nie mydlj mnie pan oczu Kiepurami, dyszka to dyszka, najważniejsze, że nowy stadion roztwierają, przymusu nie ma. Chcesz pan przyoszczędzić, to idź pan na Agrykolę popatrzeć, jak dzieciaki za piłką ganiają, tam można wejść za darmo

i jeszcze jakąś fajową mamuszkę albo niańkie zapoznać
– skrzywił się złośliwie konik i znów zapiał: – Za dyszkie
bilecik na wielkie widowisko, tylko dyszka, nie skąpić
pieniążków na historyczne chwile, kto pierwszy, ten lepszy.

– Płacę piątaka, to moje ostatnie słowo!

– Za piątaka to pan możesz sobie siostrę, jak ją pan masz,
tutaj zaoferować! – Konik był już wyraźnie zniecierpliwiony.

– Może i ja bym się skusił, jak nie kulawa.

– Ożeż ty... – ryknął jego niedoszły klient.

– Rączki przy sobie, bo jak przypalantuję, to ząbki jak
perełki ze sznureczka na trotuar polecą! – syknął handlarz,
pochylając głowę jak kogut. – Smaruj do domu, skąpy dziadu!

Heniek nie śledził dalszego ciągu, minął awanturników
i podszedł do bramy, pokazując zaproszenie. Po minucie
wchodził już po schodach prowadzących na trybunę honorową,
na półpiętrze było wyjście na stadion, a wyżej w sali klubowej
odbywał się bankiet. Panował tam niemiłosierny tłok, Heniek
wszedł więc na trybunę, na której stało zaledwie kilkanaście
osób, głównie mundurowi. Postanowił się rozejrzeć, ale nie za
Bielińskim, lecz Beniowskim. Wciąż nie mógł go złapać, biuro
Towarzystwa dla Handlu Zagranicznego Bałtyk – Świat było
zamknięte, za to przed oczami stały mu słowa z listu przyjaciela:
„Spotkamy się w Warszawie, [...] adresów i przyzwyczajęń nie
zmieniłem”. Jeśli jest w mieście, to na pewno tu będzie. Był
fanatykiem futbolu i nawet coś działał w Legii, a już na pewno
miał tu przyjaciół. Zlustrował gości na trybunie honorowej, ale
żaden z nich nie był Beniowskim. Spotkał za to majora
Bielińskiego.

– Piękny stadion, piękny, robota inżyniera
Dudryk-Darlewskiego, wszyscy się tu pomieszczą i lekkoatleci,
i kolarze. Na koniec miesiąca ma być ukończony tor kolarski.

Piękna sprawa, piękna – zachwycił się Bieliński. – Są plany, by rozbudować go później do czterdziestu i więcej tysięcy miejsc. A jak ze stadionami i futbolem w Ameryce?

– Stadiony mieszczą i sto tysięcy widzów, a co do futbolu, to jest, ale inny. Tam są inne gusta, boks gromadzi tysiące ludzi, baseball, oczywiście – jak wszędzie – wyścigi konne, a bardzo popularny w towarzystwie jest golf!

– I jazz!

– Oczywiście, jazz!

Heniek rozejrzał się po ludziach wchodzących na trybunę, przed oczami mignęła mu kobieta, którą widział w Juracie.

– Widziałem tu chyba prezesową Leszczycką...

– Przedstawić pana? – zapalił się major. – Henryku?

– Wystarczy, że mi pan major powie, gdzie ta piękna dama bywa.

– Wszędzie – uśmiechnął się major. – Wszędzie tam, gdzie dzieje się coś ciekawego: premiery, rauty, otwarcia stadionów Legii – zaśmiał się major. – To żart, bo następne otwarcie takiego stadionu będzie pewnie za jakieś osiemdziesiąt lat, więc lepiej szukaj jej pan na wyścigach. Idę o zakład, że na pewno będzie tam pierwszej niedzieli po wakacjach, czyli siódmego września. Ja też będę.

– A prezes Leszczycki, skoro prezesowa, to...?

– Prezes Waclaw Leszczycki... będzie tu albo tam, on stale podróżuje. Wszyscy się dziwią, skąd dżentelmen w tym wieku ma tyle sił na wojaże, a jeszcze bardziej temu, jak jego żona to znosi w ciągłym celibacie. To jest małżeństwo z rozsądku, ale i bez ekscesów.

– A może tak jest, bo nic się o tym nie mówi?

– Wielu próbowało to sprawdzić. – Major uśmiechnął się tajemniczo.

- Wiesz z pewnego źródła, któremu można zaufać?
- Ja jestem żonaty! – teatralnie oburzył się Ignacy

Bieliński.

- A ja nie – zaśmiał się Heniek.
- Ale czy grasz pan w brydża, panie amancie?
- Nie...

– No to nie próbuj pan zawracać sobie głowy, drogi Henryku. Ta dama ma słabość tylko do mężczyzn, którzy dobrze grają w brydża. To jej pasja. Jedyna para, jaką z nią można stworzyć, to ta przy karcianym stoliku.

- Mogę się nauczyć?
- A grywasz w szachy?
- Grałem, nawet dość dobrze, mam dobrą pamięć.

– A w karty?

– Mało, ale z wielkim szczęściem, może dlatego pani Irena Leszczycka nie jest mi pisana.

– Musimy się umówić na brydża, nauczę cię tego i owego.

– Będę zobowiązany.

– No to o pani prezesowej wiesz pan wszystko, panie Henryku, a teraz kilka słów o twoim znajomym, kapitanie Beniowskim. Oczywiście nie ma on takich skłonności jak pan Broniewski...

– I nie jest poetą – uśmiechnął się Heniek.

– Zdecydowanie nie. – Twarz majora spoważniała. – To człowiek czynu. Podobno pojechał do znajomych na Wschód, a w ostatnich dniach rozgorzała tam ukraińska ruchawka. Pałamiennie, napadają na konwoje z pieniędzmi, niszczą słupy telegraficzne. Był kiedyś w „dwójce”, ale to pewnie wiesz, w końcu zwerbował cię na Śląsk. Teraz jest cywilem, ma biuro handlowe, dużo podróżuje...

– Sądzisz, że pojechał walczyć z Ukraińcami?

– Wiem tylko, co się tam dzieje i że na pewno człowiek tak doświadczony jak on przyda się we dworze. – Widząc zdziwienie Heńka, wyjaśnił: – Ukraińscy bandyci napadają także na dwory, palą domy i folwarki, więc w takiej sytuacji ktoś, kto umie zebrać ludzi, dowodzić i strzelać, może być na wagę złota.

– Tak, na pewno nie pojechał tam przypadkowo, a jeśli wyjechał na letniaki, to postanowił zostać i pomóc.

– Miejmy nadzieję, że wróci cały i zdrowy. Tak à propos, on też grywa w brydża, dowiedziałem się od przyjaciół, zresztą po co ja to mówię, dziś każdy gra w brydża.

– Ale nie każdy z panią prezesową...

– Ona grywa tylko z asami! Jak już powiedziałem, dam panu kilka lekcji, szukać pana w Grandzie?

– Nie tylko, mam już karty wizytowe! – Heniek wyjął elegancką wizytówkę.

– Czerwonego Krzyża... – zadumał się major. – Kiedyś okolice Tamki to nie było eleganckie miejsce, oczywiście z wyjątkiem Dynasów, ale teraz coraz ładniej się tam buduje. Na Herbutowskiej[56], wie pan, ta ulica między Wybrzeżem Kościuszkowskim i Dobrą, pobudowali się znajomi. Ale co tam nieruchomości, są rzeczy ważniejsze. Ci przyjezdni to nie są mistrzowie Hiszpanii, to nie Barcelona, ale też doskonały zespół, doskonały. Niedawno Hiszpanie rozbili Włochów i w ich drużynie byli aktorzy dzisiejszego widowiska: golkipier Florenza, obrońca i kapitan Europy Alcoriza, środkowy pomocnik Layola, no i wreszcie kierownik napadu Miro – delectował się oficer.

– Mnie te nazwiska kompletnie nic nie mówią – zaśmiał się Heniek. – Mogę opowiedzieć o walce Dempseya z Tunneyem.

– Widziałeś ich?

– Widziałem, a jakże!

– To opowiadaj!

– Nie starczyłoby dnia, a już na pewno czasu w trakcie meczu. Lepiej, żebyś mi opowiadał, co się dzieje na boisku.

– No jasne, mój drogi, no jasne. Musimy się zatem umówić, koniecznie chcę wiedzieć, co się z tobą działo, coś porabiał w tej Ameryce. A na razie zajmijmy miejsca, nie mogę się już doczekać!

Na boisko, przy wrzawie tysięcy gardeł, wyszły obie jedenastki. Ta z Barcelony ubrana w niebiesko-białe trykoty, a Legia na biało-czarno.

– Żukowski, Martyna, Zajączkowski, Szaller, Cebulak, Przeździecki drugi, Wypijewski, Nawrot, Łańko, Przeździecki pierwszy i Rajdek – major z namaszczeniem wymienił nazwiska piłkarzy Legii.

– A trener?

– Trafiłeś pan w punkt, do listopada był nim Elemér Kovács, potem społecznie wziął to na siebie Kałuża, a od tygodnia nie mamy już nikogo.

– Zupełnie jak na inaugurację ligi z Warszawianką!

– A jednak coś pan o futbolu i Legii wiesz! – zagrział radośnie major, klepiąc Heńka po plecach. – Czuję, mój Henryku, że mimo wszystko będzie dobrze. Pada, jest grząsko, więc Hiszpanie nie rozwiną skrzydeł. To genialni technicy, lubią grać podaniami, a dziś... Dziś pogoda dla piłkarzy silnych i sprytnych, takich jak Martyna!

– Który to? – zapytał Heniek.

– O ten, ten, który rozmawia z naszym bramkarzem.

Heniek nie mógł uwierzyć, że major komplementuje pękatego, niskiego piłkarza, który ze swoją wyraźną nadwagą wyglądał raczej jak miniatúrka zapaśnika niż gracz futbolowy.

– Ten jak... beczka?

– Tak, on! Henryk Martyna, nasz Antałek. W taką pogodę przyda się jego niezwykle uderzenie. Piłka jest śliska, bramkarze tego nie lubią, więc jak przyłoży z daleka... Zobaczysz pan, każdy rzut wolny, nie mówiąc o karnym, to egzekucja!

Zaczęła się gra. Faktycznie mocno reklamowani Hiszpanie walczyli nie tylko z legionistami, ale i z murawą. Widać było, że piłka kleiła im się do stóp, ale gorzej było z celnymi podaniami.

– Patrz, próbują grać krótką piłką, chcą podawać z tak zwanej klepki, ale futbolówka grzęźnie w błocie, nie toczy się jak trzeba, tu mus podawać górą, a to nie jest hiszpańska specjalność.

Piłkarze się ślizgali, nie pomagały nawet najeżone kołkami buty, piłka ich nie słuchała, gra była chaotyczna, ale za to szybka i widzowie się nie nudzili. Narzekać mogli ci, którzy się źle ubrali.

– Dobrze, że wziąłem piersiówkę – konfidencjonalnym szeptem powiedział major. – Zimno jak cholera, napijesz się?

– Oczywiście, ubrałem się tak jak wielu, na letniaka, a parasol ciepła nie daje.

Rozgrzali się na moment, a major wrócił do komentowania gry.

– Nasi radzą sobie coraz lepiej, popatrz, popatrz!!!

Piłka wpadła w pole karne gości, a tam biegnącego do niej legionistę powalił Hiszpan.

– Faul, faul! – zakrzyknęli ludzie na stadionie. – Faul!

– Teraz wywrócił Rajdka i mamy karny – ucieszył się Bieliński. – Dwudziesta druga minuta gry i mamy jeden zero!

– Karnego trzeba jeszcze wykorzystać.

– Co ty opowiadasz? – Ignacy Bieliński spojrzał na Heńka z politowaniem. – Przecież będzie bił Martyna, rycerz polskich boisk.

– *Allez, allez, Antałek!* – krzyczał stadion. – Martyna, gola!!!

Pękaty piłkarz ustawił futbolówkę, wziął rozbieg i uderzył tak, że huk słycać było na całym stadionie. Bramkarz poleciał tam, gdzie piłka, ale nie mógł jej złapać.

– Nikt by jej nie złapał, nawet ten słynny Czech Planiczka, a co dopiero Florena! – tokował szwoleżer. – A nie mówiłem, że Martyna plus karny to pewny gol?

Parę minut później nie było już tak wesoło.

– Co ten Żukowski najlepszego zrobił – biadolił wojskowy.
– Panie Władku, panie bramkarzu, tak się nie łapie!

– Panie oficerze, ale Girones pięknie uderzył z kornera.
– Ktoś z rzędu niżej bronił bramkarza Legii. – Poza tym jest błoto, piłka jest śliska.

– Takie piłki się piastkuje! Jak mocno bita i kręcona, a w dodatku śliska, to tylko pięścią, tego się nie łapie! – Major Bieliński zakończył dyskusję fachowym wywodem i ktoś nawet bił mu brawo za jego słowa.

Więcej goli nie padło, Legia zremisowała z Europą 1:1.

– I jak się panu podobało? – zapytał major, jakby był szefem sali, który sprawdza satysfakcję gościa po posiłku.

– Szkoda, że nie wygraliśmy...

– Szkoda, szkoda! – obruszył się. – Toż to pierwszorzędny europejski zespół i to nie tylko z nazwy. To osiemnasty mecz ich europejskiego tournée. Znasz ich wyniki? – zaciętrzewił się szwoleżer. – Szesnaście razy wygrali i tylko raz zremisowali. I to nie z byle kim. Pokonali nawet trzy do dwóch drużynę narodową Szwecji, a jedyny remis odnotowali z reprezentacją Danii. Powinniśmy się cieszyć, to dobry rezultat dla naszych chłopców, mam nadzieję, że nie będziemy na tak wspaniałym stadionie czekali na mistrzostwo Polski! A teraz wybaczn, idę do

kolegów z klubu powinszować wyniku i gry, a my widzimy się za tydzień w Oazie! Tam grają najlepszy polski jazz – Petersburski i Gold, rozumiesz, Henryku? Posłuchamy razem, zjemy, wypijemy, powspominamy Zakopane – mrugnął okiem – no i powiesz pan, panie Jankesie, czy nasza orkiestra jest gorsza od murzyńskiej! A przy okazji porozmawiamy o brydżu i... pani prezesowej, ona też często tam bywa.

Zasalutował, widać było, że się spieszy. Po chwili major ruszył zatłoczonymi schodami w górę, a Heniek pustymi w przeciwną stronę. Niemal wszyscy szli na pomeczowy bankiet, więc on spokojnie zszedł na dół i w minutę był już przy kościele na Łazienkowskiej. Myślał, czy Beniowski wróci z Kresów i co by się stało, gdyby miał tam pecha, gdyby dorwały go jakieś chachoły[57]. Byłby mocniejszy o pieniądze, które miał przekazać Julkowi, i słabszy o jego plecy. Nie, nie życzył mu źle, nie tylko dlatego, że w ostatecznej kalkulacji jego śmierć więcej by mu zabrała, niż dała. Mimo wszystkich zależności między nimi kapitan Juliusz Beniowski był dla niego przede wszystkim Julkiem Beniowskim. Nikogo nie znał tak długo jak jego, chyba tylko własną siostrę i kuzynkę Zośkę. Inni poodchodzili ze starości albo od kuli na wojnie czy od noża mordercy. Ten morderca nazywał się Franciszek Wlazło, musiał go odnaleźć i zrewanżować się za matkę i Antka Bożyczkę. Bez dwóch zdań miał znaleźć i zabić tego skurwysyna. Wciąż padało, postawił więc kołnierz i zaczął się rozglądać za taksówką.

Weekend, bo tak teraz z amerykańska mówił na sobotę i niedzielę, spędził z rodziną na Czerwonego Krzyża. Urządził *shopping*, bo przecież Stefę ubrał naprędce, a Zośka i Wicek nie mieli w zasadzie nic. Chyba żadna ze służących w ich kamienicy nie miała tak starego ubrania jak Zośka Wyględa, a już na pewno

nie było żadnego dzieciaka, którego ciuchy byłyby połatane tak, jak Wicusiove. Stefa była gotowa na jesień, a Zośka w nowych ubraniach wyglądała młodziej, znów była tą samą wesołą babką, która cieszyła się życiem, zanim poznała tego łotra, swojego męża. Jedynym dobrem, jakie zostało po tym przybłędzie Rysiu Klajstrze, był Wicuś. W końcu zrzucił połatane rzeczy i wyglądał jak mały panicz.

– Jakby mnie zobaczyli na starych śmieciach, toby mnie przetargali po rynsztoku, żebym tak czysto i ładnie nie wyglądał.

– Zrobiliby to? – zapytał Heniek.

– O, takiego by zrobili – wrzasnął Wicuś, pokazując wała.

– Ani mi się waż, gówniarzu jeden! – krzyknęła jego matka, okładając go ścierką.

– Daj mu spokój – zaśmiał się Heniek. – Może nie powinnaś tego wiedzieć, ale powinien tak zrobić!

Dalszą edukację Wicka przerwał dzwonek do drzwi. Heniek wiedział, kto to jest, bo Miecio Kosiorek był punktualny jak zegarek. Pewnie zajechał swoją starą gablotą już z kwadrans temu, po czym czekał, żeby wejść równo o czasie. Pojechali na plac, na którym hrabia trzymał swoje ostatnie auta. Ralf-Stetysz nie wyglądał imponująco, ot, przeciętny pojazd, ani za duży, ani za mały, dość wysoko zawieszony. W drzwiach od garażu stali umorusani ludzie, jeden z nich w pilotce na głowie i goglach przesuniętych na czoło. Miał drobny podbródek, długi, mocny nos, wąsy i przenikliwy wzrok. Heniek domyślił się, że może to być hrabia – inżynier. Tak było, mężczyzna ruszył w jego kierunku energicznym krokiem. Heniek wysiadł z samochodu.

– Pan Henry Haas! – Hrabia Tyszkiewicz wyciągnął do niego rękę na powitanie. – Wiele o panu słyszałem! Dzień dobry.

Diabli nadali tę popularność, pomyślał Heniek, ale z drugiej

strony fakt, że arystokrata oraz słynny konstruktor znali go ze słyszenia, mile połechtał jego próżność.

– Dzień dobry, panie hrabio, a więc wystarczy wrócić z Ameryki...

– Nie każdy wraca z majątkiem...

– A mnie się wydaje, że niemal każdy myśli, że z Ameryki wracają sami milionerzy – uśmiechnął się Heniek.

Tak naprawdę nie było mu do śmiechu, fama o bogatym rodaku z Ameryki rozchodziła się stanowczo za szybko. Źródło tej popularności było aż nazbyt wiele. Zakup mieszkania w kamienicy, w której mieszkali ustosunkowani i dość majątni ludzie, dwa tygodnie spędzone w luksusowym Grand Hotelu w Zoppot i kolejne dwa w spartańskich warunkach w Juracie. O ile w Grandzie było towarzystwo z samej góry, o tyle w Juracie był już sam szczyt, śmietanka jaśniepaństwa, która zażywała wypoczynku w dość prostych warunkach, ale za to z poczuciem bycia w środku lasu z elitą kochanej Warszawki. Wieści w Warszawie rozchodziły się szybciej niż gdziekolwiek, mając ponad milion mieszkańców, była zarazem najmniejszym miastem na świecie, tu wszyscy wszystkich znali i o wszystkich sporo wiedzieli.

– Milion... – odpowiedział z uśmiechem hrabia. – Cóż jest milion, trzeba mieć ich kilka, by stać było człowieka na prawdziwe szaleństwo. Jestem człowiekiem majątnym, ale...

– Hrabia Tyszkiewicz rozłożył ramiona w geście bezradności.

– Nie mam aż tyle, by wznowić produkcję.

– Mój szofer powiedział, że to najlepsze auto, więc tym bardziej szkoda, że i ja nie mam stosownej sumy, by wskrzesić pana projekt.

– Gdyby pan miał te pieniądze, to już bym o tym wiedział – zaśmiał się hrabia. – Przyglądałem się każdemu bogaczowi

w Warszawie z nadzieją, że znajdę w nim współnika. Niestety na próżno. Wiem, że jest pan przy pieniądzach, ale nie przy takich, by uratować moje dziecko. Ma pan jednak środki, by kupić bardziej eleganckie auto. Czemu ten wybór?

– Jak już mówiłem, ufam swojemu szoferowi. – Heniek wskazał na buicka i siedzącego w nim Kosiorka. – A on odmalował pana auto jako pierwszorzędne.

– Nieskromnie powiem, że jest – uśmiechnął się arystokrata. – W Paryżu dostałbym nagrodę, ale tam nagradzają tylko Francuzów. Wszyscy doceniali dyskretną elegancję, wygodę i wytrzymałość. Ja stetysem przejechałem Rajd Monte Carlo, a to już jest coś!

Heniek kiwnął głową, bo słyszał o tej samochodowej rozgrywce.

– Doceniło mnie Ministerstwo Robót Publicznych i akcjonariusze, ale sukces nie był mi pisany. Zimą od piecyka w fabrycznym kantorku poszedł ogień i fabryka spłonęła, a wraz z nią marzenia o polskiej motoryzacji. AS i CWS się nie przebija, my mieliśmy zaplecze w postaci dobrej fabryki i potencjału firmy Rudzki i Spółka... Ale było, minęło.

– A może jednak jeszcze będzie?

– Nie będzie. Wygrają licencje, nie jesteśmy aż tak nowocześni, jak nam się wydaje, pan chyba wie, o co chodzi?

– Wiem, pobyt w Ameryce każe spojrzeć na Polskę inaczej.

– Jak na kolonię – kwaśno uśmiechnął się hrabia. – Jak na kolonię, bo wie pan, ja mojego ralfa-stetysha skroiłem pod nasze drogi i Francuzi to zauważyli, mówiąc o moim dziele „dobre kolonialne auto“. Tak, drogi panie, jesteśmy taką europejską kolonią, w której mieszkają biali ludzie, ale poruszają się między swoimi miastami przez wsie podobne do tych z Afryki, bo żyją tam analfabeci, którzy prowadzą prymitywną gospodarkę.

A drogi i koleje, które łączą miasta, są tej jakości, co na Czarnym Łądzie. O Indiach nie wspomnę, tam Brytyjczycy pobudowali drogi żelazne, których brakuje na wschód od Bugu oraz Lwowa. Idę o zakład, że pewnie nie był pan na Polesiu czy we wschodnich województwach: stanisławowskie, poleskie, nowogródzkie, wileńskie, wołyńskie. Najłatwiej poruszać się po Polesiu, oczywiście jak ktoś ma, dobrą łodzią. W Pińsku jest nawet flotylla rzeczna marynarki wojennej, to taka ciekawostka i polecam to zobaczyć. To piękne strony, ale dzikie, czasem nieprzyjaźnie dzikie. Romantyzm i tajemniczość przechodzą w prymitywność z dawnych wieków, szkoda gadać. Mazowsze z koślawymi drogami, z wioskami bez elektryczności i kanalizacji, to wielki, dostatni świat! Smutne to, ale prawdziwe, my jednak marzymy o Polsce od morza do morza, bo pokonaliśmy Sowietów. Ale smutki precz, zapłacił pan pieniądze, mój księgowy odnotował wpłatę i został pan posiadaczem unikatowego auta, którym może pan jechać nawet za Bug!

Hrabia wyciągnął z kieszeni kluczyki i dokumenty.

– Gratuluję wyboru, panie Haas!

– Dziękuję, panie hrabio.

Heniek wszedł do wcale wygodnego wnętrza i odpalił silnik. Maszyna mile zaburczała i zaczęła równą pracę. Dźwięk spodobał mu się, więc zapytał hrabiego:

– Mój szofer mówi, że to specjalny silnik.

– Mercedesowski, podobnie jak skrzynia biegów, daje moc, przyspieszenie i miłe doznania. Ale najważniejsze jest zawieszenie, dojedziesz pan nie tylko do każdego dworu, ale i do każdej chałupy w Polsce!

Heniek zostawił pracujący silnik i wyszedł z auta.

– Mówią, że pan jest inżynierem – zagadnął hrabia

Tyszkiewicz.

– Trochę mnie przereklamowano, ale znam się co nieco na tym i owym. Sprawy techniczne nie są mi obce. Pięknie pracuje.

Wsluchiwali się przez chwilę w pracę silnika, po czym Heniek już na odchodnym zapytał hrabiego:

– A nad czym pan będzie teraz pracował?

– Nad robieniem pieniędzy, mam trzydzieści sześć lat, pora zadbać o siebie, skoro nie zbawiłem polskiej motoryzacji. Będę sprowadzał auta, może założę montownię? Na pewno nie spocznę, a jak pan uzna, że dyskrecja i praktyczność przestały pana bawić, to pomogę panu w znalezieniu odpowiedniego wozu, a jest z czego wybierać... – rozmarzył się hrabia.

Heniek podziękował i ponownie wszedł do wozu. Pożegnali się już, ale podjechał jeszcze w stronę Tyszkiewicza i zatrąbił.

– Słucham.

– Za pozwoleniem, panie hrabio, stetyż to się domyślam, to od Stefana Tyszkiewicza, a ralf?

– Ralf, drogi panie, to Rolniczo-Automobilowo-Lotnicza Fabryka. Fabryka Stefana Tyszkiewicza. Ale to już nieaktualne, półtora miliona złotych poszło z dymem!

To mówiąc, hrabia wyciągnął z kieszeni srebrną papierośnicę i zapalił papierosa. Heniek odjechał, dumając nad tym, jak szybko sukces może przemienić się w klęskę. Czasem to twoja wina, a czasem przeznaczenie, a wtedy nic już się nie poradzi.

XXIX

Mocny człowiek

Szum i wirowanie, coraz szybsze i coraz gwałtowniej działające na jego równowagę i żołądek. Jak wir w Wiśle, wciągający w kierunku dna i ostatecznego końca. Za chwilę to nastąpi! Nie nastąpiło, za to nastąpiła cisza i ze strzępków obrazu wyłonił się widok garażu przy North Clark Street 2122. Dalej było to, czego się spodziewał, to, co znał, to, co widział. Pod ścianą stało siedmiu mężczyzn, a naprzeciwko nich dwóch mundurowych, dwóch cywilów w płaszczach oraz on i McGurn. Wiedział, co będzie dalej. Jeden z facetów spod ściany obrócił się, spojrzał i na widok McGurna zawołał:

– Machine Gun? – I sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Zamiast ognia z Tommy Gunów, zamiast jatki, nastąpiła cisza. Żaden z ludzi Jacka McGurna nie miał w ręku broni, za to ci spod ściany wyciągnęli pistolety maszynowe ukryte pod płaszczami. Rozległ się huk i krzyk.

Heniek obudził się gwałtownie, wyrywając się jednocześnie z sennego koszmaru i ratując przed atakiem torsji.

– „Kuuurier Warszaawski!!!” – wrzeszczał na ulicy gazeciarz. – Kuuu... – Jego krzyk zakłócił łomotanie tramwaju, który przejeżdżał przez rozjazd na skrzyżowaniu Senatorskiej z Wierzbową, Bielańską i placem Teatralnym. Gwałtowne przebudzenie, któremu towarzyszyły zawrót głowy i sensacje jak z przelotu przez strefę turbulencji, nie były miłym początkiem dnia. Przesadził wczoraj. I to bardzo. Orkiestra Golda i Petersburskiego cieszyła uszy jazzem, a kelnerzy polewali mocne trunki, popędzani przez śmiejącego się bez przerwy majora Bielińskiego. Ma ten cholerny Ignacy głowę! A na

koniec jeszcze dogrywka w dorożkarskiej knajpie. To było chyba gdzieś na Starym Mieście, a może jednak blisko Chmielnej. Pewnie i tu, i tu. Rozejrzał się w lewo i prawo, chwała Bogu był sam, nie przywłókł tu ze sobą żadnej z wielbicielek nowej gwiazdy warszawskich salonów. Chciał zwolnić, ale był umówiony z majorem, a poza tym jazz robi swoje. Może dlatego przyśniło mu się Chicago?

Co to było, zwyczajny koszmar czy może ostrzeżenie, że powinien uważać albo wręcz odpuścić to, do czego zmierzał? Znowu bowiem całą mocą odżyła w nim myśl o zemście na mordercy matki, Franciszku Wlazle. Obdzwonił i odwiedził w ciągu ostatniego tygodnia różnych ludzi, sprawdził szynki, zajrzał do najgorszych nor. Ani śladu, ani śladu, nikt nie potrafił powiedzieć nic ponad to, że tego łotra Wlazłę widziano we Lwowie, że podobno bywał w Łodzi, że mignął komuś na Czerniakowie, ale że było to trzy lata temu. Wyglądało na to, że mieszka jeszcze gdzieś indziej, a w tych miejscach ma swoje interesy albo po prostu przyjeżdża się zabawić.

Zrezygnował więc z szukania Wlazły. Teraz chciał znaleźć jego współników, a jeśli do nich nie dotrze, to ich stworzyć, ulepić i wystawić mu na wabia. Uznał, że należy także zmienić metodę, skoro nie znalazł śladu diabła w szynku, to może znajdzie go w kościele. Tu trzeba pójść na całość, wystrzelić z grubej rury, zrobić niewąskie przedstawienie, zabawę, a nikt nie zapewni ferajnie z Czerniakowa lepszej zabawy niż dziany frajer z Warszawki.

Z szafy wyciągnął najlepsze ubranie, takie, które nie pozostawiało wątpliwości, że jest dzianym gościem z osiedla na Sadybie albo przybyszem z Warszawy. Wyciągnął, po czym je schował, bo to jego ubranie, a on musi być tego dnia kimś zupełnie innym. Musi im się pokazać, rzucić w oczy, ale nie jako

Henry Haas i nie jako Heniek Wcisło. To byłoby proszenie się o kłopoty, lepiej już było rozdać tam karty wizytowe z adresem i dopiskiem: Pana Franciszka Wlazłę alias Paprockiego uprasza się o zgłoszenie pod powyższy adres celem poddania się odwetowi i krwawej zemście. Ten bandzior pewnie już wie o jego powrocie, ale po co mu ułatwiać zadanie? Należy pograć z nim i jego koleżkami, musi skorzystać ze sprytu i przenikliwości Szpica. Oczywiście Szpica sprzed lat, gdy był kasiarzem nieomal doskonałym, nieomylnym i nieuchwytnym. Teraz jego dawny pryncypał miał kłopoty, z których należy wyciągać wnioski. Trzeba więc udoskonalić jego metody, odtworzyć dawną perfekcję.

Bo mimo ostatnich wpadek Szpicbródka tak cuzamen do kupy więcej do tej pory w życiu wygrał, niż przegrał. Heniek analizował jego postępowanie i wiedział już, co zgubiło księcia podziemnej Warszawy. Po pierwsze, nie potrafił powiedzieć „nie“. Zarobił dość, by wieść dostatnie życie, ale przygoda i chęć zysku były silniejsze. Czyżby miał w sobie żyłkę hazardzisty, czy też może dała o sobie znać niepoohamowana ambicja? Po drugie, zbyt duża ferajna, rozmach, który prowadził do fuszerki. Policja i banki nie były już takie jak przed laty, w carskiej Rosji, by zrobić skok, jak ten w Rostowie, i zgarnąć wielki majątek, nie trzeba było tylu ludzi i takich pieniędzy jak teraz.

Ameryka otworzyła Heńkowi oczy, pokazała, jak wielką można zrobić fortunę i karierę i jak koncertowo można ją stracić. Ostrożność, którą miał w sobie, pożeniona została z doświadczeniem, tym złym i tym dobrym. Nauczył się legalizować interesy, zobaczył, jak wyglądają prawdziwe gangi, dowiedział się jeszcze więcej o chciwości i pazerności. Punktem wyjścia pozostawał jednak udział w słynnym,

nierozpracowanym przez Urząd Śledczy, skoku na Gwiazdę Polski, sklep jubilerski z Marszałkowskiej. Wtedy nauczył się najwięcej, wtedy też poznał dwóch ludzi mogących mu teraz pomóc. Dumał nad dalszymi krokami przez dobre dwie godziny, paląc papierosy, słuchając płyt i kreśląc schematy działania na kartce leżącej na biurku. Gdy wiedział, co robić i kogo zatrudnić do pomocy, zszedł do kawiarni hotelu Grand, w której siedział Miecio Kosiorek.

– Mieciu, czy wiesz, gdzie można w tej chwili znaleźć Szymona Słupnika i mistrza Kaletę? – zapytał.

– Nasz mistrz grzebienia, sztucznego wąsa i peruki praktykuje teraz na samym pornosie sztuki...

Miecio w swoich przeinaczeniach był wprost niemożliwy!

– Na parnasie, Mieciu, parnasie! – Heniek poprawił go z uśmiechem.

– A parnas to nie są te klawe obrazki i filmy z gołemi babkami? – zmarszczył czoło Kosiorek. – Nieważne, tak czy owak, jeśli akuratnie Kiepuroszczak zbłądza w nasze strony, to masz pewność, że gra w operze, znaczy się tam vis-à-vis ratusza, troszkie w bok od Oazy, to wtedy jak raz pacykuje go Kaleta. Po tym, jak nasz koleżka sympatyczny odmalował Bodo jak nowego po tym jego wypadku pod Łowiczem, stał się najbardziej wziętym szpeniem w swoim fachu. On już nie ma czasu na takie zabawy jak kiedyś.

Heniek pokiwał głową.

– A Słupecki?

– Słupecki wsiąkł. – Mietek rozłożył szeroko ręce. – Zapadł się jak kamień w wodę, rozplynał się we mgle.

– Jak to Słupecki...

Nazywany Szymonem Słupnikiem Szymon Słupecki był geniuszem w fachu tworzenia nowych tożsamości, załatwiania

dokumentów i lipnej własności. To on kupił dla żony, której nigdy nie miał, sklep futrzarski, by przerobić go na bar Labirynt, z którego poszedł podkop do jubilera. To on jednego dnia był ziemianinem, a drugiego ekscentrycznym podróżnikiem. On mógł być każdym. Bez tych dwóch będzie ciężko, bardzo ciężko.

– Szeffie, dzisiaj niedziela, czyli dzień wyścigowy!

– Dzień wyścigowy, ale za godzinkę, dwie.

– Nieważne – prychnął Kosiorek. – Koniki nie biegną, ale Lardelli stoi na swoim miejscu, jak pan Bóg przykazał, na rogu Polnej i Mokotowskiej. Jak tylko maestro grzebień jest w sobotę albo w niedzielę w naszej kochanej Warszawce, to tam przesiaduje. To jego rytuał!

– Rytuał...

– No właśnie. Wali na kawkę, spotyka koleżków i aktorów, jak jest sezon, idzie na wyścigi, a jak nie, to wymyśla co innego. Jadę do niego!

– A Słupecki? – Heniek zapytał sam siebie, bo przecież człowiek kameleon nie mógł mieć stałych przyzwyczajęń.

– Nie ma ludzi niezastąpionych – rzucił od niechcienia Kosiorek.

– Byłoby dobrze...

– A co miałyby nasz Szymonek zmajstrować?

– Potrzebuję auta z takimi blachami, żeby mucha nie siadała.

– I w tej sprawie do Słupeckiego, jak masz mię, szefuńciu kochany, pod ręką? – obruszył się Kosiorek. – Ja myślałem, że trzeba kupić lokal, kamienicę czy założyć konto w banku na słupa, a tu taki drobiazg! Mam się obrazić czy co, jak pragnę zdrowia?

Szofer naburmuszył się jak małe dziecko i nerwowo zapalił

papierosa.

– Poczekaj. Skoro tak, to w porząsiu, mój drogi, ale chcę, by auto nie było kradzione i żeby je zarejestrować na kogo mocnego, mecenasa, wojskowego, wojewodę...

– Na jakąś szyszkę? – uśmiechnął się Mietek.

– Tak, na szyszkę, na grubą rybę.

– Zrobi się, mamy niecały tydzień, ale może damy radę.

A teraz pryskam do Lardellego, żeby napić się kawki, wtrząchnąć eklera i spotkać mistrza grzebienia.

Heniek klepnął olbrzymiego szofera po plecach. Może i Mietek sprawiał wrażenie ociężałego, może lubił wypić, może przekręcał słowa, ale jak przychodziło co do czego, to nie tylko potrafił nacisnąć na gaz i zakręcić fajerą, ale i dać komu trzeba w mordę, i wykazać się sprytem. Złoty facet, nie ma co! Gdyby go miał w Chicago, gdyby on nauczył Ronniego swoich sztuczek i przekazał mu swoje doświadczenie. I w drugą stronę, gdyby Miecio nauczył się tam języka, a Rudzielec wytłumaczył mu, co i jak w Chicago. Miałyby koło siebie taki duet... Ale jest w Warszawie i ma inne problemy na głowie.

Po kilku godzinach wrócił Mietek, którego roześmiana facjata mogła znaczyć tylko jedno: cel został osiągnięty. Nawet gdyby zachował twarz pokerzysty, to i tak pierwsze słowa, rzucone już od drzwi, mówiły wszystko.

– Lej kropelki, kochany szefuniu, za tydzień będziesz in blanko na cacy i w pięknej cudzej gablocie!

– Whisky? – zapytał Heniek.

– Może być nawet ta belura na rudych myszach pędzona!

– Zaśmiał się po szelmowsku. – Przecież wiesz, że ja nie jestem obrzydliwy! Najważniejsze, że rzeczona łyszka prawidłowy procent zaposiadywuje. Lej, panie hetmanie, póki bar nie upadł!

– Czytałeś *Ogniem i mieczem*?

– Jakie tam *Ogniem i mieczem*, jak czekam na *Ogniem i z Mieciem* – zaśmiał się Kosiorek. – Przecież wiesz, kochany, że tak detalicznie to ja tylko gazetki z pisanych rzeczy obracam. Po co mnie książki, skoro można wszystko obejrzeć w kinematografie albo w teatrze?

– No to skąd znasz cytat o tym, że Bar upadł?

– Cytaty to insza inszość! Wszystko, co najciekawsze, i tak jest w gazetkach. To jak, będziemy się tak przyglądać czy łykamy kropelki, jak pan doktor przykazał?

Heniek nalał po szklaneczce, stuknęli się szkłem i wypili po głębokim łyku.

– No to co tam zwojowałeś, przyjacielu? – zapytał Heniek, wyciągając papierośnicę.

– Załatwiłem wszystko jak ta lala. Kaleta się ucieszył, jak mnie zobaczył, i powiedział, że lubi takie wyzwania. „Nawet wielkie gwiazdy powszednieją, a te największe, jak Kiepura, nie są na co dzień. A ja potrzebuję...” – Tu Mietek się skrzywił.

– Powiedział, że czegoś na „a”. Andrenaliny czy coś w ten deseń. No i forsy potrzebuje – zaśmiał się Mietek Kosiorek.

– Bo za Bóg zapłać w tej przygodzie udziału nie weźmie.

– Puści nas z torbami?

– Aż tak to nie, ale fryzjer z Kamionka, do którego chodzę, kosztował mnie w ostatnie pięć lat mniej, niż Kaleta sobie zaśpiewał. Co ja mówię, jakie pięć lat, pięćset złotych to tyle, ile nie wydam u niego przez całe życie, a żyć, Heniu, zamierzam długo!

To był solidny pieniądz, ale Piotr Kaleta wart był każdej kwoty. Parę lat temu ucharakteryzował Heńka tak, że nikt nie miał wątpliwości, że ma do czynienia nie z młokosem, tylko z o kilkanaście lat starszym bywalcem warszawskich salonów i słynnym kasiarzem. Na tym opierał się misterny plan zmylenia

policji i zrobienia warszawskiego Urzędu Śledczego w balona. Teraz zmiana wyglądu ma mu pomóc wpuścić w maliny łobuzów z Czerniakowa, a w konsekwencji samego Franciszka Wlazłę. Pięćset złotych to niedużo wobec tego, co planował od lat.

– A auto? – zapytał o drugą część zadania, które powierzył Mieciowi.

– To się okazało bajkowo proste. – Mietek upił łyżek whisky i zaciągnął się papierosem. – Poszłem na herbatkę do Eksztajnowej. – Widząc, że Heniek nie bardzo rozumie, o co chodzi, wyjaśnił: – No, na rogu Karmelickiej i Nowolipia jest miła cukierenka, w której spotyka się uzdolnione towarzystwo.

– Czyli?

– Czyli arystokracja warszawskich fałszerzy. Jeszcze nie wszystkie sieroty po Bachrachu uciekły do Argentyny.

– Kosiorek puścił do Heńka oko. – Poza tem to nie był ich jedyny tata, a i sam pan aspirant ma się dobrze.

Heniek pokręcił głową ze zrozumieniem i z powątpiewaniem równocześnie. Tuż przed jego wyjazdem Warszawą wstrząsnęła informacja, że na podstawie doniesienia z policji wiedeńskiej rozbito szajkę fałszerzy dokumentów i pieniędzy, na której czele stał... policjant. I to nie byle jaki, bo szef brygady fałszerskiej, aspirant Daniel Bachrach. Na ławie oskarżonych miał zająć miejsce nie tylko policjant – herszt, ale i cały kwiat fałszerskiego półświatka; Elias Goren, Dawid Cukier, Moszek Pfefferbaum, Aron Kołodny, Józef Grünblatt, Józef Robiński, Maks Green, Lewi Uryszew, Judka Szmuczkiwicz i bracia Echftowie. Razem z pomniejszych specami było ich aż dwudziestu dziewięciu! Wszyscy jednak oczekiwali na proces na wolności, bo wyszli za kaucją, a gdy już nadszedł ten dzień, okazało się, że policja i sąd mogły szukać

wiatru w polu. Fałszerska ferajna rozjechała się po świecie, a niektórzy z nich znaleźli nowe zatrudnienie w Buenos Aires! Z powodu braku świadków Bachracha uniewinniono. Przez kilka lat ich następcy mogli wyrosnąć na wcale dobrych specjalistów, poza tym nie wszystkich wtedy pochwycono i nie wszyscy po wyjściu za kaucją uciekli. Heńka martwiło natomiast to, że policja zbyt dobrze poznała to środowisko. Mietek wyczuł, co go gryzie.

– Boisz się, czy nie nawiązałem znajomości z agentem Urzędu Śledczego? – Heniek przytaknął, przymykając powieki.
– Nie bój się, złociutki, u Eksztajnowej obcy szybko są rozpoznawani, a ja gadałem ze starozakonnym, którego znam od szczeniaka. Spokojna głowa, nic trefnego się nie stało, bo stać nie mogło. Stanie się natomiast w przyszłym tygodniu piękna gablota. Nówka sztuka, cytryna C cztery, auto rumuńskiego radcy z ambasady, który wyjechał na miesiąc do kraju.

– Myślałem, że nie lubisz francuskich aut.

– Ta dorożka z silnikiem to twój problem, Heniu! – zaśmiał się Kosiorek. – Auto właśnie zawinęli i przemaalowali. Za dwa dni sprzedadzą je tobie...

– Czyli?

– Czyli Przemysławowi Reissowi, kupcowi z Wielkopolski. Tylko nie kręć nosem, że to nie mecenas, wojskowy ani wojewoda...

– Żartowałem wtedy – zaśmiał się Heniek. – Ale z kradzionym autem nie żartowałem. To trefna gablota!

– Dla gliniarzy to wciąż legalny pojazd. Rumun zgłosi zaginięcie wozu dopiero po świętach.

Heniek wstał i przeszedł się po pokoju. Pomyślał przez chwilę i wziął w rękę butelkę.

– To się trzyma kupy, auto rumuńskiego dyplomaty

i Przemysław Reiss, kupiec z Wielkopolski. Brawo, Mieciu!

– To mówiąc, połał jeszcze po szklaneczce bursztynowego płynu. – Zdrowie, królu fajery!

– Król fajery, księżę Grochowa i baron Kamionka.

– Mietek udał natchnienie, przymknął oczy i z godnością wznosił szklanekę, po czym wyciągnął do przodu drugą dłoń, jakby dawał do pocałunku, i wyniosłym głosem powiedział:

– Tylko nie po sygnetach, bo zardzewieją.

Heniek miał się pokazać ferajnie z Czerniakowa na pierwszej mszy po wakacjach, w niedzielę trzydziestego pierwszego sierpnia. Plan był prosty, zajechać dobrą gablotą pod kościół i stanąć na wabia.

W sobotę wieczorem Heniek ruszył do mistrza Kalety, który przystąpił do rozmów w typowy dla siebie sposób.

– Jak szanowny pan chce wyglądać? – zapytał Wcisłę zaraz po powitaniu.

– Może znów coś à la Szpic – zastanowił się Heniek.

– Rozumiesz pan, ja muszę się rzucić w oczy.

Mistrzowi charakteryzacji Piotrowi Kalecie nie trzeba było długo tłumaczyć. Po godzinie Heniek był kimś zupełnie innym.

– Tym razem poszło szybciej – zdziwił się Heniek, patrząc w lusterko. – A efekt znakomity.

– Bo wtedy miałeś pan być Szpicem, a teraz tylko kimś zupełnie niepodobnym do pana. Bródka, okulary, peruczka. Po prostu charakteryzatorskie abecadło. Dołożysz pan, panie Heniu, inne niż zwykle łaszki i będziesz pan kompletnie nie do poznania.

– Do Poznania – zaśmiał się Miecio Kosiorek. – Bo typ, którego będzie miał Henio w papierach, jak raz jest właśnie z Poznania.

– Tylko uważaj pan, bo jak poseł, to zaraz bez immunitetu

– zaśmiał się charakteryzator.

– A to czemu?

– Nie słyszałeś pan, sejm rozwiążali!

Gdy wszystko było gotowe, mogli jechać na Leszno, gdzie w jednym z zakładów fotograficznych sporządzono zdjęcie potrzebne do stworzenia nowych dokumentów. Nad ranem maestro Kaleta przyszedł sprawdzić, czy Heniek daje sobie radę z samodzielną charakteryzacją. Było w porządku.

– Tylko nie zdejmuj pan lepiej kapelusza. Chyba że w kościele.

Heniek podziękował i ruszył w drogę. Mietek Kosiorek podwiózł go pod budynki policyjne przy Ciepłej, gdzie złodzieje zaparkowali trefny pojazd, bo uznali, że tylko tam auto będzie bezpieczne. Gdy Heniek szykował się do wyjścia, złapał Kosioraka za rękę.

– Tylko pamiętaj, Mieciu, jadę sam. Poradzę sobie, żadnego niańczenia.

Szofer z Grochowa niechętnie pokiwał głową.

Heniek wysiadł z wozu i przesiadł się do citroena. Był kremowy, podobnie jak jego płaszcz. W życiu by się tak nie ubrał, wyglądał teraz jak cymbał, ale trudno, miał wyglądać jak nie on sam. Silnik zaterkotał i strzelił spalinami, Wciślak zwolnił sprzęgło i ruszył w kierunku Bernardyńskiej. Nie był to jego samochód marzeń, ale na pewno citroen zostanie dostrzeżony pod czerniakowskim kościołem, tam zresztą każde auto rzuci się w oczy. Nie postawił wozu pod świątynią, lecz po drugiej stronie ulicy, przy restauracji Czerniaków, i stamtąd obserwował sytuację. Bez dwóch zdań, patrzono na niego. Nawet ci z nowej, eleganckiej części dzielnicy nie zajeżdżali autami, więc od samego początku był na widelcu. Widział, że taksowano go, szeptano o nim, że pantoflową pocztą roznosi się wiadomość, że

jakiś sztyfcik kręci się pod restauracją i przygląda się im, jak jaki podróżnik. Wyglądał zresztą obco, jasny płaszcz i garnitur czyniły z niego przybysza z jakiegoś południowego kraju.

W końcu od młokosów i cwaniaków wystających pod kościołem oderwała się grupka, która niespiesznym krokiem ruszyła w jego kierunku. Było ich czterech, typowi apasze, w cyklistówkach, z kolorowymi chustkami, w kraciastych marynarkach i z papierosami w kącikach ust. Jeden z cwaniaków minął go bokiem, podszedł do auta i oparł nogę o próg, jakby był przy swoim pojeździe.

– Ładna maszynka – zagaił.

– Przez grzeczność nie zaprzeczę – odparł Heniek.

– Panowie sobie życzą?

– Święta są, szefie – zaśmiał się ryży typ wyglądający na ochlapusa. Chłopaki z Czerniakowa na pewno nie byli zwolennikami prohibicji, ale ten wyglądał na skończoną łajzę i pijaka. Typowy błazen harcownik, którego zadaniem jest zacząć nawijkę i nawiązać kontakt z frajerem.

– A jakie święta, jeśli mogę zapytać? Bo przecież Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny było dwa tygodnie temu.

– Ale my pobożni jesteśmy, można powiedzieć, święte ludzie.

– Poza tem urodziny w niedzielę – dodał drugi.

– A zatem... – Heniek zgrywał nierozgarniętego przybysza z centrum miasta.

– No, wypiłoby się... – zaczął ten drugi.

– I z panienkami, niekoniecznie przenajświętszymi, zawarłoby się parę znajomości na godziny – zaśmiał się apasz w angelce i z czerwoną chustką pod szyją.

– A jak ja mogę panom pomóc? – Heniek zgrywał idiotę.

Zaśmiali się chórem, byli tak rozbawieni, że aż klepali się wzajemnie po plecach.

– A co w tym śmiesznego? – grał dalej.

Ochlapus i ten w angielce nie wyglądali wprawdzie na mocarzy, ale było jeszcze dwóch. Jeden typowy goryl i mocny, niski typ żujący papierosa, który zachowywał się tak, jakby był tylko widzem. Heniek z miejsca uznał, że to przywódca ferajny. W płaszczu miał browninga, którego skołował mu Miecio, a w wewnętrznej kieszeni marynarki, czyli jak to określali kieszonkowcy – za parkanem, trzymał paragraf, sprężynę zakończoną ołowianą kulką. Musiał pogrywać frajera, by uśpić ich czujność. Mieli go lekceważyć, a gdyby posunęli się za daleko, to wiedział, co robić, bo na oczekaniu rozpisał sobie scenariusz.

Różnica wzrostu zachęcała do tego, by wyjechać gorylowi z dyńki, a potem poprawić go ze szpica podjajecznym. Miałyby pajaca z głowy na parę chwil, a banda byłaby zaskoczona. Wtedy sięgnąłby po paragraf i zbadałby, jak twardą czaszkę ma ich milczący herszt. Pistolet wyszarpnąłby tylko w ostateczności. Awantury nie chciał, zwracanie na siebie uwagi policji byłoby mu tak samo potrzebne jak apaszom. Na razie szło zgodnie z planem, ale wolał być przygotowany na gwałtowniejsze działania.

– O flotę się rozchodzi, szefuńciu – przemówił goryl.

– O czyją flotę? – Heniek dalej zgrywał przybysza z bogatszego, ale kulawego świata. – Mam nadzieję, że nie o flotę kajzera, bo tej już nie ma.

Ferajna znów zaniósła się śmiechem.

– Flota, czyli pieniądze, teraz rozumiesz? – odezwał się wreszcie ten wyglądający na szefa grandy[58]. Mówił beznamiętnie, jakby ogłaszał odejście pociągu.

– Czyli... – Zdziwienie Heńka było tak wielkie, jakby się dowiedział, że czwórka apaszy reprezentuje interesy chińskiego cesarza. – Panowie chcą ode mnie pieniędzy?

– No, dokładnie tak! – Głos herszta był już mniej uprzejmy. – Wyskakuj z kasy, frajerze, bo szkoda czasu! – Mówiąc to, zerknął na policjantów, którzy usiłowali uspokoić szczeniaków próbujących za pomocą małych petard zachęcić do podskoków kilku mieszkańców eleganckich domów z Okrężnej.

– Pięknie strzelają, jak na rezurekcji. – Heniek próbował lekceważyć swoje położenie.

Szef apaszy wysunął się na pierwszy plan i podszedł do Wcisły. To była ta chwila, ten moment, żeby zrobić zakłopotaną minę i od niechcienia wybić mu zęby albo złamać nos. Fajno byłoby zobaczyć na jego bandyckiej japie zdziwienie... Są chwile warte dużych pieniędzy, ale są także takie, o których się mówi, że są wręcz bezcenne. Wizja zaskoczonego i pokiereszowanego bandziora była pociągająca, ale on grał o wiele wyższą stawkę i silniejsze doznania.

– Ależ oczywiście – powiedział Heniek zdenerwowanym głosem. – Pięćdziesiąt złotych wystarczy?

– Złociutki, nawet wypijemy twoje zdrowie – wyskoczył niepytany rudy ochlapus.

Zamiast aprobaty dostał lekkiego plaskacza w tył głowy, aż czapka opadła mu na oczy. Szef apaszy splunął Heńkowi pod nogi i wycedził:

– Pięć dych to na dzień dobry, a na do widzenia drugie pięć. Tylko bez kantów, bo zwiskamy kieszenie...

– Drogo mnie kosztuje ta wycieczka – powiedział łamiącym się głosem Heniek. W tym momencie malował się czerniakowskiemu towarzystwu jako kompletny frajerzyna, elegancik, co wdepnął swymi lakierkami w poważne gównno.

– Bo to nie miejsce na wycieczki, jak się tu nie ma znajomych! – Teraz rozmawiał z nim już tylko szef grandy.
– Tylko nie myśl o wołaniu stójkowych. Te gamonie są zajęte pętakami, co ładują z petard i korkowców, nie usłyszą i nie zobaczą, jak cię pojedę kosą po żebrach. – Typ rozchylił marynarkę i Heniek usłyszał charakterystyczny odgłos otwierającego się noża sprężynowego.

– Ale akuratnie w moim przypadku składa się tak, że ja mam tu przyjaciela...

– Ciekawe kogo – prychnął wódz bandziorów.

– Franciszek Wlazło... – zagadnął przymilnie. – Sądzę, że panowie znają Frania, on reklamował się wszem wobec, że...

– Zmarszczył brwi, jakby szukając w pamięci. – Już wiem!

– ucieszył się jak ktoś, kto właśnie wygrał los na loterii. – Franio powiedział, że jakbym miał tu jakie kłopoty, to mam się powołać na niego, bo on jest na Czerniakowie prawdziwa persona i ma u ferajny poważanie – wyrecytował wyraźnie z siebie zadowolony.

Zapanowała cisza.

– Że jak?

– Franciszek Wlazło to mój kolega.

– Ciekawe skąd? – herszt zapytał niby groźnie, ale już mniej pewnym siebie głosem.

– Od kieliszka i interesów, ma się rozumieć! Poznałem go w tysiąc dziewięćset dwudziestym, poszedł na ochotnika, bo miał pewne... kłopoty.

– Pewne kłopoty... – zaśmiał się typ. – Poniekąd nawet wiem jakie. No, faktycznie miał kłopoty i to niewąskie, ale kto ich nie ma! No cóż, kolegi Franka Wlazły kroić nie będziemy, zwłaszcza że to świętej pamięci koleżka – zaśmiał się diabolicznie herszt. – Z piekłem lepiej nie zadzierać!

- Z piekłem? – zdziwił się Heniek.
Teraz znów odezwali się wszyscy, cała czwórka.
- A z czym, z niebem? – Rechotali jeden przez drugiego.
- Piekło to drugi dom Wlazły!
- Nie sędzę – powiedział Heniek, poprawiając okulary.
Śmiali się wszyscy, tylko nie przywódca. Jego twarz stężała.
- Koleżko sympatyczny, co ty za farmazony wstawiasz?
- Słucham?
- Znasz go, kurwa jego mać, czy nie?
- Oczywiście!
- To czego się dziwisz?
- Wiem o... – Szukał zdenerwowany właściwego słowa.
- O pewnych ciemnych kartach z życia Franka, ale...
– Ale uważasz, że się wyświadczył i został świętym, czy może że ze względu na młode lata został zaliczony w poczet aniołków?
- Znów gruchnął śmiech.
- Nie. – Heniek uśmiechnął się nieśmiało. – Oczywiście, że nie, ale sędzę, że on żyje...
- Dość tego pieprzenia! – Herszt wyglądał na zdenerwowanego. – Został się sztywnym bohaterem. Rodzina dostała pismo, że go ruskie zabili.
- Heniek cofnął się i wskazał ręką na lidera bandy.
- Chodź pan, no chodź pan!
- Bandzior podszedł, a Heniek wyciągnął dłoń w kierunku jego ucha, po czym przybliżył swoją głowę i wyszeptał:
- Ja wiem, że on wtedy na wojnie nie zginął, wiem, że on był potem Paprocki...
- Typ spojrzał na niego z uznaniem, ale za chwilę gęba mu się zaśmiała.

– Wiesz, że dzwoni, ale w którym kościele, to już tak niekoniecznie.

Heniek raz jeszcze przysunął się do ucha apasza.

– Ale to było cztery lata temu. Wtedy raz, a potem jeszcze jeden raz zmienił sobie nazwisko.

Herszt odwrócił się do swojej zastawy i rzucił:

– Grzejcie na melinę, ja zara dojdę, tylko mam tu z szanownym panem troszkie do pogadania. – Po czym rzucił do Heńka: – Masz co palić?

Nim Heniek odpowiedział, ochlapus zawołał:

– A na którą?

– Na burą – warknął bandzior. – Przecież umawialiśmy się z dziewczynkami na śniadanie!

– Ale nie mieliśmy floty, za damski chuj nam nie dadzą!

– Coś czuję, że będzie flota. – Bandzior się uśmiechnął i popatrzył porozumiewawczo na Heńka. – I to całkiem niekiepska flota.

– No to zmiatamy na Podrapeć.

– Zmiatajcie – odburknął. – To w końcu szanowny koleżka nieboszczyka Wlazły ma co palić?

– Mam – powiedział Heniek, otwierając srebrną papierośnicę, w której były tylko trzy papierosy.

Zapalili po egipskim, co wyraźnie poprawiło nastrój bandziorowi.

– Lubię dobre fajki!

– A kto ich nie lubi!

– Franek na ten przykład...

Bandzior próbował go wypuścić.

– Franek na ten przykład lubił te, które uważał za lepsze od innych.

– A były takie?

– A nie? Rarytasy takie jak egipskie to dla niego był szajs, lubił, jak to mawiał, konkretne, takie żeby waliły po płucach, a nie Francja-elegancja. Będzie mnie jeszcze pan śledczy egzaminował? Słucham!

Heniek zaciągnął się i patrzył na typa. Ten już nie miał wątpliwości, że ma do czynienia z kimś, kto dobrze znał Wlazłę.

– Kim ty jesteś?

– Kolegą sprzed wojny, mieliśmy pewną okoliczność.

– Pytam się, kurwa, kim, a nie skąd go znasz! – Typ podniósł głos.

– Nie rozdaję wizytówek, moje interesa nie znoszą rozgłosu, a poza tym...

– Co, kurwa, poza tym?

– A poza tym, grzeczniej, proszę.

– Bo co?

– Bo przy sobie mam stówkę, ale w banku dużo więcej.

– A ile za to będę miał tych pieniążków? Pucuj się, gościu.

– Już raz prosiłem, grzeczniej. Z szacunkiem. A to, ile zarobisz, zależy od tego, do czego będziesz mógł się przydać, przyjacielu...

Przyjacielu! Ktoś, kto normalnie wyjechałby do niego z taką gadką, pokazałby za chwilę towarzystwu, czy ma zdrowe zelówki w butach. Strzeliłby takiego frajera w ryj, aż by mu się zęby wpasowały w gardło jak ta lala. Zanim ochłonął, Heniek dobił go słowami, jakich nie słyszał od czasów, gdy był powstańcem chcącym się przypodobać starszym z ferajny.

– Słuchaj mnie uważnie, chłopaku, bo być może spełnisz dzięki temu parę marzeń – powiedział Heniek, zaciągając się z gracją i spokojem, jakby był... na jakim raucie u ambasadora angielskiego króla, a nie na tête-à-tête z jednym z podlejszych bandziorów w mieście. Powiedział to jednak z taką pewnością

i spokojem, że typ poczuł się petentem.

– Kim ty, kurwa, jesteś... – powtórzył po raz kolejny, ale teraz nie z butą, lecz z nutką podziwu.

Heniek w try miga wsiadł mu na kark, bo wiedział, że zdobył w tej konwersacji przewagę, i nie miał zamiaru jej oddać.

– To cię nie obchodzi i obchodzić nie będzie. Ważne, że Franek mnie zna i gdyby tu był, to na pewno dałbym mu ciekawą robotę, a temu, co by zapośredniczył, odpaliłbym działkę. Dobrą działkę. No i co, mogę liczyć na jakieś sensowniejsze podejście do sprawy? Nie wpadłem tu popieprzyć o dupie Maryny, tylko ukręcić pierwszorzędny interes. A ty? Chcesz robić małe robótki ze swoim czerniakowskim wojskiem czy może miałbyś ochotę na poważną karierę? Chcesz być w tym zakonie rabinem czy marnym pentelewiczem?

Heniek myślał, że urobił już typa, że czerniakowski apasz zrozumiał, jakie jest jego miejsce w szeregu. Okazało się, że nie. Bandzior przymrużył oczy, zaciągnął się i splunął w bok. Patrzył uważnie na Heńka, jakby go chciał przeświecić.

– Co ty masz mnie za debila, dojdę, kim jesteś, po numerach auta! – uśmiechnął się. – Zobaczymy, kto ty jesteś, czy naprawdę kozak, czy frajer, co przypadkiem ma gadane i miał okoliczność z dobrym kiziozem.

Heniek nie odpowiedział, chciał, by ten się wystrzelał do końca.

– Raz czy dwa z nim wypileś i pokotłowaliście się z dziwkami to jeszcze nie znaczy, że jesteś jego kumplem – ciągnął przywódca apaszy. – Czy uważasz, że każdy, co był w wojsku, jest funflem Marszałka? Służyliśmy razem, ja na zielono, a on cały na szaro, z wąsem. Mój znajomek Marszałek pali egipskie i parę lat temu zrobił w maju porządek na wszystkich dzielnicach. Na pewno go znasz, każdy go zna, ale

czy on ciebie?

Heniek spokojnie dopalił papierosa, od niechcienia rzucił go na ziemię i starannie, ale niezbyt szybkimi ruchami rozmaślił go obcasem.

– A więc jesteś frajerem. – Mówiąc to, patrzył bandycie w oczy. – Ciężkim frajerem, który traci swoją szansę na wyjście z tego grajdołka. Szkoda, wielka szkoda, bo zrobisz parę marnych robótek, przejedziesz kogoś kosą po żebrach, zatłuczysz pięściami. Będziesz królem w kryminale, ale na wolności wyżej dupy nie podskoczysz. Każdy podskok skończy się wpadką, bo takich jak ty wsadzają po pewnym czasie za nazwisko. Pretekst zawsze się znajdzie. Będziesz się tak bujał, aż wreszcie ten pijaczyna Maciejowski[59] założy ci stryczek na szyję i polecisz w dół, jak gówno do szamba. Taki będzie koniec. Nie posmakujesz pierwszorzędnych pańienek, nie dorobisz się porządnego ancuga, będziesz po drodze na szafot mieszkał w norze na Czerniakowie, a później na Mokotowie, a może nawet w wilgotnej celi na Świętym Krzyżu. Tak czy owak, nabawisz się reumatyzmu albo gruźlicy, a w gratisie zapoznasz się jeszcze z syfilisem. O ile będziesz miał szczęście, bo w kryminale będziesz co najwyżej jechał w derby, a nie miewał okoliczność z dziewczynkami.

Być może apasza stać by było jeszcze na jakąś ripostę, ale Heniek przygotował dla niego krótkie przedstawienie.

– Nie wiem jak ty, ale ja chętnie zapalę jeszcze jednego egipskiego. – Mówiąc to, sięgnął po papierośnicę tak, że odchylił marynarkę. Nie trzeba było być specjalnie spostrzegawczym, by zauważyć kulkę paragrafu wystającą z wewnętrznej kieszeni. – Ooo, skończyły się papierosy!

– Heniek zmarszczył czoło, zaglądając do srebrnej papierośnicy. Sięgnął więc do drugiej kieszeni i wyciągnął z niej mniejszą, ale

za to cenniejszą – złotą i wysadzaną diamentami, którą dostał w knajpie od Ala Capone. – Ładne cacko, nieprawdaż? Dlatego muszę do kompletu nosić paragraf, bo nie brakuje pacanów, którzy chcą się zapoznać z moją pamiątką.

Heniek poczęstował papierosem bandziora, po czym z namaszczeniem ujął wypielęgowanymi palcami egipskiego i włożył go w usta. Szef czerniakowskiej ferajny patrzył z podziwem, rachując w myślach nieustannie i bezskutecznie. Auto, złoty sikor, spinki, ciuchy i do tego papierośnica z brylantami. Wiedział, że to dużo, bardzo dużo, tak wiele, jak nigdy nie miał i nie będzie mieć w swym bandyckim życiu. A przecież gość musi jeszcze gdzieś mieszkać, ma na pewno inne fanty, znaczy się bogacz, panisko pełną gębą.

– Co się tak gapisz? Złoto pasuje do wszystkiego, zarobisz, to się dowiesz! A co do auta... – Uśmiechnął się, ale nie drwiąco, co najwyżej pobłażliwie, może nawet po kumpelsku. – Poszukasz, znajdziesz, więc dojdiesz do jednego z moich wpływowych przyjaciół albo do kogoś, kto nie jest przyjacielem, bo od przyjaciół pożyczają się auta, uprzednio pytając. Bywa, że ja nie pytam. A ty mnie jeszcze o coś zapytasz?

Ten uśmieszek ze środka wypielęgowanej brody i wąsów, pewność siebie, gadka o Właźle-Paprockim, a do tego paragraf wystający z kieszeni szykownego ancuga. Kto to jest?

– Kim ty, kurwa, jesteś?! Czego ty chcesz? – Tym razem z tonu głosu apasza przebijała bezradność. – Jesteś, kurwa, jakiś Szpicbródka?!

Heniek się zaśmiał.

– O, dziękuję, to mi bardzo pochlebia. Pan Stanisław to as i szczycę się jego znajomością, ale to ja jestem młodszy i to przede mną przyszłość stoi otworem. Poza tym ja się nie ukrywam ani nie siedzę, a to ostatnio robi Szpic. A co do tego,

czego ja chcę... – zawiesił teatralnie głos. – To wystarczy, abyś mnie słuchał, bo ja tylko chcę zarobić i dać zarobić innym.

– To musimy się lepiej zapoznać.

– Owszem, ale na moich zasadach. Musimy pogadać gdzie indziej, tutaj robimy przedstawienie.

Faktycznie przyglądało im się szemrane bractwo spod kościoła oraz parę osób z lepszego towarzystwa, które zwróciły uwagę na to, że grupa apaszy oblegała eleganckie auto i jego właściciela. Właśnie spod kościoła ruszyło dziarskim krokiem dwóch oficerów, którzy gestem ręki zawołali policjanta.

– Jadziem gablotą? – ucieszył się bandzior.

– Ja jadę, ty idziesz na piechotę.

– Co?

– Po pierwsze primo, nie będziemy robić sensacji, a po drugie primo, nie podwożę nieznajomych, *adieu!*

Heniek ruszył, a bandzior zrobił kilka szybkich kroków i zawołał:

– Jestem Teoś Wątorski, Teoś z Podrapcia[60]!

– Jutro o pół do pierwszej u Kohna na Krochmalnej!

Samochód przyspieszył i pogrążył Teosia Wątorskiego w chmurze spalin i kurzu. Sapiąc, wyrzucił z siebie: Teoś Wątorski z Podrapcia się nazywam, znaczy się Teodor, a kim, kurwa, jesteś ty?!

Heniek uśmiechnął się z ulgą, apasz chwycił przynętę, uwierzył w swoją szansę. W poszukiwaniu zemsty na Franiu Właźle Teoś Wątorski z Podrapcia stał się jego nową nadzieją. Tym samym on był dla Teosia mocnym człowiekiem, który wprowadzi go na przestępczy szczyt.

XXX

O czym się nie mówi

W poniedziałek u Kohna przy Krochmalnej pojawił się w trzy kwadranse po Mietku Kosiorku i w piętnaście minut po umówionej z Teosiem Wątorskim godzinie. Miecio siedział w kącie i sączył piwo, na widok wchodzącego Heńka Reissa dał dyskretny znak – wszystko w porządku. Heniek podszedł do stolika, przy którym siedział cwaniak, i zapytał:

– Namysliłeś się?

– Że co?

– Nie udawaj frajera, nie mam czasu na takie pierdoły.

Wiem, że chcesz kaski i protekcji, więc zobowiążesz się, że znajdziesz Franka Wlazłę, po tu przyszedłeś. Nie wiem tylko, czy to cię nie przerasta.

Wątorski milczał.

– Wiesz czy nie?

– No tak detalicznie...

– Mnie głównie obchodzi, czy w hurcie, czy w detalu...

– On bywa rzadko – wydusił w końcu. – Ma przesrane nie tylko u psów, ale jeszcze u kogoś, wiesz, taki jak on nie pęka, nie zna cykorii, ale głowy pod topór nie wsadzi, bo i po co?

– Dlaczego ma wsadzać łeb po topór?

– Hola, hola! – obruszył się Wątorski. – Co ja jestem jakieś chomąto, żeby się nie domyślić, że to ty jesteś tym, którego nie chce spotkać?

– Skoro tak myślisz, to znaczy, że chcesz go mi sprzedać? Mam ufać komuś takiemu?

– A ja mam ufać jemu?

– Teraz to ja nie rozumiem.

– Postaw, szefie, kolejkę. – Wątorski wyszeptał tę prośbę

tak, jakby nie siedział przy stoliku w szemranym lokalu, tylko klęczał przed konfesjonalem.

Walnęli po maluchu, Heniek poczęstował Teosia papierosem, ten odpalił i się zaciągnął, jakby to miał być ostatni papieros w jego życiu.

– Ja się go boję i mu nie ufam, on nie jest honorny.

Zrobił pauzę, ale Heniek jak dobry spowiednik wyczuł, że ponaglanie do niczego nie doprowadzi. Nie chciał go spłoszyć, chciał, by bandzior sam mu wszystko opowiedział.

– Była taka nieklawa sytuacja. Na jakimś bajzlu czy melinie strzelił swoją dziwkę w twarz, tak że aż jej nos poszedł. Szkoda, bo ładna była. Podobała mi się. Nie była to jakaś laleczka, ale taka charakterna dziewczucha, z biglem i tak dalej.

Miał ochotę zapytać, czy miała na imię Mańka i czy była ruda, ale powstrzymał się, to Teoś mówił, a on słuchał.

– To znaczy on jej tego nosa tak od razu nie złamał, na początku po prostu ją stłukł przy wszystkich, bo on lubi przyłoić. Niby każdy lubi, ale on ma większą przyjemność niż inni. Poszło o to, że ona mu skubnęła pięć złotych. Zdarza się, co nie? W ryj można dać albo jakoś tam inaczej ukarać, ale on ją strasznie zbił. Wtedy ona zaczęła krzyczeć: Taki honorny jesteś, a jak ci się przy dupie paliło, to nasłałeś psy na Wcisłę.

Heńkowi nie drgnęła nawet powieka, bo wiedział, że Franio go wypucował i to nie zwyczajnie, tylko dubeltowo. Nagadał im więcej, niż Heniek zrobił, obciążył go swoimi starymi sprawami.

– Takie śmieszne nazwisko, więc zapamiętałem, zwłaszcza że on Wlazło, a tamten Wcisło. Mnie się wydawało, że ona tylko tak powiedziała, ale to musiała być prawda. Był pijany i ryknął: A gównu cię to, dziwko, obchodzi, nie twoja sprawa! I wtedy trafił ją tak, że złamał jej nos. Mogę jeszcze kolejeczkę?

Heniek zamówił ćwiartkę i rozlał po kieliszku.

– Boisz się, że kiedyś i ciebie sypnie.

Teoś pokiwał głową.

– Bardzo was doi?

Teoś znów przytaknął.

– On tu jest panem. Rządzi wszystkim, godziłem się na to, bo był kimś. Bohater, psia jego mać, co donosi. Takiemu nie można ufać, taki nie może być szefem.

– Ale nie mieszka w Warszawie.

– Ma tu małą, ale poważną ferajnę. Mordercy i alfonsy. Razem z Żydami z Argentyny szmuglują dziewczuchy do burdeli. Żydówek najwięcej, to ci z Murdziela, a przede wszystkim z prowincji naganiają, ale za chrześcijanki odpowiada Wlazło. Mają tam takiego Słodkiego Michasia, który podrywa panienki, bałamuci, a potem...

– Niezłe skurwysyny.

– Ten Michaś to nawet i męska kurwa. Tak mówią.

Wszystkiego nie wiem. Franio zagląda od czasu do czasu, bo więcej panienek złapać można na prowincji.

Morderca, alfons, sadysta, handlarz żywym towarem i donosiciel, ten człowiek musiał umrzeć.

– Ale ty nie jesteś z Urzędu Śledczego?

To pytanie Teosia rozbawiło Heńka.

– Tak pytam, bo ty nie jesteś podobny do tego typu, którego sypnął Wlazło. Z opisu był inny.

– Powiedzmy, że pracuję dla niego.

– To kim ty w końcu jesteś?

– Powiedzmy, że przyjacielem Henryka Wcisły, nazywam się Przemysław Reiss.

– Mnie to pasuje – odpowiedział Teoś. – No to zdrowie Henryka Wcisły!

Wypili. Po raz pierwszy od trzech lat ktoś pił z nim zdrowie

Henryka Wcisły. Dziwne uczucie. Dał Wątorskiemu stówkę i umówił kolejne spotkanie, za dwa tygodnie w kawiarence Szlojmele przy Solnej pod czternastym.

Miecio zabrał go do siebie, tam zdjął ubranie i peruczkę oraz charakteryzację, chyba już mu nie będzie potrzebna. Zdaje się, że Teoś jest jego, powie mu to na następnym spotkaniu. Teraz musi zrobić coś, na co wcześniej nie wpadł, dopiero apasz z Czerniakowa przypomniał mu o dziwce, która była kochanką Frania. Wieczorem Miecio podjechał po niego do Grandu i zajechali na Stare Miasto. Zajrzał na Kamienne Schodki, do dawnego rewiru Mańki. W końcu spośród dziewczyn i kobiet, które oferowały swe wdzięki, wyłowił tę właściwą.

– Mańka? – zawołał. – Ruda Mańka?

– Czego szanowny królewicz z bajki sobie życzy?

– odpowiedziała kobieta o utlenionych włosach, i w znoszonej kiece. Po jej twarzy trudno było się domyślić wieku. Niby młoda, ale oczy miała zmęczone, a suche spękane usta otaczały bruzdy, nie miała wszystkich zębów, a jej nos był lekko zwichrowany. A więc było tak, jak mówił Teoś. – Wygodny numerek w wyrku czy tak coś na szybciotko, na stojaka? No pytam się, ręczna robótka za małe pieniądze czy większy wydatek? A jak szanowny klejent dopłaci na fryzjera, to mogę znów być ruda, póki co jest ze mnie już jakiś trzeci rok blondyna! – zaśmiała się chrapliwym głosem.

– Te, blondyna, chcesz mieć syna? – zawołał jakiś mały ulicznik, który zaplątał się późną porą.

– Spadaj, gnojku, bo jak ci przypalantuję, to cię rodzona matka nie pozna. No już, bujaj się stąd, bękarcie! – krzyknęła w kierunku chłopaka, który wiał tak, że po chwili w ciemności było widać już tylko jego bose stopy.

– No to co? – Mańka się przeciągnęła. – Jak tata z mamą

w łóżeczku czy może troszkę Francji w Warszawie? Pokońuje się królewicz z królową Starego Miasta i Kamiennych czy brakuje mu wigoru?

Nie były to propozycje, na które czekał. Wprost przeciwnie, przez głowę przemknęła mu myśl, jak bardzo trzeba byłoby być wyposzczonym lub pijanym, by pójść z nią na numerek.

Podszedł bliżej i ustawił się tak, by blade światło latarni jak najmocniej padało na jego twarz.

– Nie poznajesz mnie?

Prostytutka wbiła w niego wzrok. Wsadziła papierosa w usta i ręką przesunęła po jego torsie. Heniek złapał ją za nadgarstek.

– Już raz mi buchnęłaś zegarek... – uśmiechnął się. – Drugi raz nie dam się nabrać, ale mogę ci dać porządnie zarobić.

Mańka próbowała go złapać drugą dłonią za krocze.

– Nie o to mi chodzi.

– Ciota czy chory?

Kiedyś faktycznie trzeba było być chorym albo mieć zupełnie inny pomysł na stosunki damsko-męskie, by się nią nie zainteresować. Mańka w każdych włosach, rudych, czarnych czy blond, była piękną i pociągającą dziewczyną. Sam stracił dla niej i głowę, i zegarek, a mógł i więcej, gdyby nie znał jej alfonsa. Wiele się jednak przez te lata zmieniło. Ile to już? Sześć, siedem czy jeszcze więcej? Wtedy się w niej nieomal zakochał, ale teraz budziła nie tyle odrazę, ile współczucie. Miał jednak do niej interes, a w zasadzie nie do niej, tylko do jej byłego alfonsa i fagasa.

– Jak jesteś troszkę inny, to mogę ci dostarczyć tych samych wrażeń... – kusila. – Każda usługa dla szanownej klienteli jest możliwa – zaśmiała się demonicznie.

– Jestem zainteresowany innymi usługami.

Zmęczona twarz Mańki ożywiła się.

– Wszystko, czego chcesz, jak masz pieniądze, to masz wszystko, może się czegoś nauczę? Tylko pamiętaj, bez żadnego poważnego bicia, przylać możesz, jak cię to kręci, ale...

– Naprawdę mnie nie poznajesz?

– Coś faktycznie twoja facjatka wydaje mi się znajoma...

– Dziwka zmarszczyła brwi i zaciągnęła się porządnie. – Czy to nie ty jesteś ten lamus, co był w wojsku z tym skurwysynem z Czerniakowa?

– Podoba mi się to, co mówisz.

– Że jesteś lamus? – zaśmiała się ochryłym głosem.

– Niezupełnie – zimnym tonem odparł Heniek. – Podoba mi się, że myślisz to samo co ja o naszym wspólnym znajomym.

– Tak myśli wielu! Zakładasz jaką spółdzielnię, żeby wyrwać tego chwasta?

– To nie chwast, to zgniłek, i już nie żyje, muszę go tylko złożyć do grobu.

– Coraz bardziej cię lubię. – Znów próbowała się o niego otrzeć. – Jakby co, to możesz mnie używać, ile chcesz, jeśli zrobisz mu jaką porządną krzywdę. Masz w gratisie wszystko, co chcesz, jeśli zobaczę nekrolog tego łobuza.

– A jak nie będzie nekrologu? Nie wystarczy ci zimny trup?

– I tak, i nie, chciałabym, żeby ten łotr jeszcze trochę pocierpiał przed śmiercią. Widzisz mój nos, a moje zęby? To on!

– Jaki numer mu wykręciłaś?

– Raz próbowałam go orznąć na kaskę.

A więc się zgadzało.

– I wtedy mu powiedziałaś, że jest kapusiem?

– Tak, powiedziałałam o tym przy paru gościach, dwóch czy trzech ich było. On mi kiedyś się tym pochwalił po pijaku, gdy się zapytałam, jak udało mu się wyjść z aresztu. – Nagle jakby

się ocknęła. – A skąd ty wiesz?

– Bo ja dużo wiem.

– Ale nie wiesz, gdzie go szukać. Znaczy się, nic nie wiesz.

– Wiem, że się nad tobą znęcał.

– Jego to kręci, on to lubi!

Zaciągnęła się i odrzuciła w tył głowę, tak jakby chciała pozbyć się ciężaru strasznych wspomnień.

– A tobie co zrobił, oprócz tego, że cię wsypał?

– Wystarczająco wiele, bym nie chciał o tym wspominać.

Daj ognia – powiedział, wyciągając papierosy.

– A ty daj zapalić, wspólniku.

– Wspólniku?

– Tak, wspólniku. Możesz się ze mną kotłować, możesz u mnie mieć przystań, jak chcesz. – Uśmiechnęła się zalotnie, jak zalotnie mogła się uśmiechnąć zniszczona, przepita prostytutka z przestawionym nosem i powybijanymi zębami.

– Mańka, ja potrzebuję od ciebie tylko jednej rzeczy.

Informacji, gdzie i jak mogę dorwać tego skurwysyna.

– Mówią, że wyjechał, że podobno widziano go we Lwowie.

– Tyle to i ja wiem, słyszałem za to, że widziano go w Warszawie.

– Ta wiadomość wracała jak zły szeląg, zawsze ktoś go widział, ale nikt na pewno. Gdybym wiedziała, gdzie go szukać, od razu bym ci go wydała. Pojawia się od czasu do czasu, podobno wysyła naiwne dziewczuchy do burdeli w Argentynie.

– Słyszałaś o Pięknym Michasiu?

– Męska dziwka i bajerant głupich chamek, które myślą, że się w nich zakochał. Faktycznie, wiesz sporo, ale nie wszystko, inaczej Wlazło byłby zimnym trupem.

Potwierdzało się to, co mówił Teoś. Wszystko, co do joty,

więc chyba może mieć do niego zaufanie.

– Jaśnie pan nie chce numerka w gratisie?

– Nie dzisiaj.

– Kiedyś to aż musiałeś zegarek zastawić, spłukałeś się, a na mnie wydałeś ostatniego grosza – zaśmiała się, odchylając głowę do tyłu. Miało to być pociągające, a było żałosne.

– Nie jestem w formie – odpowiedział.

– Zakochałeś się?

– Dokładnie.

– Szczęściara.

– Masz tu dwie dyszki, spotkamy się za tydzień.

– A jakbym coś o nim usłyszała?

– To zadzwoń do restauracji Pod Kogutem, do tej na Wolskiej, i zostaw wiadomość dla pana Henryka, to wszystko. Mańka prosi o spotkanie, a ja odnajdę cię na Kamiennych Schodkach.

Wymyślił to na poczekaniu, musi jutro sprawdzić, czy lokal istnieje i czy dalej urzęduje tam Tasiemka. Heniek wyszedł z bramy i ruszył w kierunku auta, w którym czekał na niego Kosiorek. Na Kamiennych Schodkach nikt go nie zaczepił, wyglądał na klienta, a klienta się nie rusza, ale dalej, w obcym rewirze, chłopaki z innej ferajny mogą czegoś od niego chcieć. Nie pomylił się, z bramy leniwie wypłynęły trzy postacie. Wszyscy wyglądali tak, jakby się przed wyjściem z domu umówili: kraciaste marynarki, apaszki i cyklistówki. Gdyby nie to, że każdy z nich palił papierosa, to można by rzec, że są sportsmenami. Silni, sprężyści, o przeszywających spojrzeniach. Badali go, grzecznym gestem uchylił im kapelusza i minął, jakby szedł sobie po Saskim Ogrodzie.

– Halllooo! – usłyszał, gdy był już o parę kroków przed nimi, a do auta miał tylko kilkanaście metrów.

– Gdzie się tak szanowny pan spieszy?
– Idę w przeciwnym kierunku niż panowie.
– A to się okaże, ej, ty!
– Darujcie sobie, chłopcy.
– Chłopcy? Tylko grzecznie proszę! – rzucił apasz
wyglądający na szefa bandy.
– Jestem grzeczny. – Heniek odwrócił się i czekał
ustawiony blisko ściany, by go nie otoczyli.
– Jak cię palnę, to polecisz na Krochmalne!
Wersal się skończył, zacznie się ring? Typ nie miał jednak
zamiaru brudzić sobie ancuga w kratkę. W marnym świetle
latarni błysnęło ostrze motylka.
– Doigraliście się – powiedział spokojnym głosem Heniek.
– Powiedzmy, że mnie nie zaczepialiście, że nie spotkaliśmy się
tego wieczoru.
– Cooo? – zdziwili się bandyci.
– To – odpowiedział. – Proponuję remisik. Założmy, że
jesteśmy na Polu Mokotowskim i że kiepsko postawiliście, ale
na wasze szczęście gonitwa się nie odbyła.
Zapanowała cisza, ale chłopaki mieli refleks.
– Może i się nie odbyła, ale kasa wypłaca pieniążki, tak jak
my tego chcemy, co nie, chłopaki?
Zarechotali i ruszyli w jego kierunku. Heniek z niechęcią
sięgnął po browninga, wtedy pojawił się nareszcie Miecio
Kosiorek, który wygramolił się z wnętrza pojazdu.
– Hola, hola, kawalerka!
Siedział długo w aucie i nieco zdrętwiały mu nogi. Szedł
więc niezbyt zgrabnie i był elegancko ubrany, więc zamiast
wystraszyć apaszy, tylko ich rozbawił.
– Te, duży, nie wtrącaj się, bo ci ktoś kichawę i auto
porysuje.

Kosiołek wysłuchał tego z politowaniem.

– Uuu, chłopaczku, widzę, że ci mamuśka lekcji kurtury nie udzieliła.

Bandziory się rozdzieliły. Jeden szachował Heńka wyciągniętym przed siebie sprężynowcem, dwaj pozostali ruszyli na Mietka. Wtedy szofer wyjął spod płaszcza łyżkę do zmiany opon i zaczął nią wywijać jak szablą.

– Chodu! – rozległ się okrzyk i cała trójka błyskawicznie dała nogę.

– To już? – Mietek Kosiołek był wyraźnie zde gustowany postawą łobuzów. – Młodzieży brakuje ambicji. Kiedyś to by się chcieli spróbować, ale teraz... Tchorzostwo, mizeria i upadek obyczajów.

– Upadek to by był, jakby mnie pocięli!

– No, nie pocięliby cię, kochany, bo byś ich powystrzelał – uśmiechnął się Kosiołek. – Żartowałem oczywiście, myślałem, że się rozejdzie po kościach. Dokąd jedziemy?

– Do Grandu. Jest już późno i nie chcę zrobić na Czerwonego Krzyża rabanu.

Gdy dojechali, Mieciu, zagadnął:

– O której jutro?

– Z samego rana, nie planuję żadnych zabaw, mam trochę do pomyślenia, a tak w ogóle to najchętniej bym się wyspał.

– No to siemano, szefuńciu.

Heniek wysiadł i wyjął pudełko z egipskimi. Zapalił papierosa i wszedł do hotelowego baru. Wtedy podeszła elegancko ubrana kobieta. Wydała mu się znajoma, więc nie był bardzo zaskoczony, gdy zapytała:

– Pan pałący, czy mogę prosić ognia?

Wyciągnął z kieszeni zapalki i gdy zbliżał się z ogniem do damskiego, którego trzymała w dłoni ubranej w elegancką

rękawiczkę, usłyszał:

– Gdzie będzie bliżej? Do mnie czy do ciebie?

Oniemiał, teraz już wiedział, skąd ją zna. Mieszkała od kilku dni w hotelu, mijali się w hallu i przy śniadaniu.

– Nie ma się co zastanawiać, na pewno jak ja szedłeś do baru, żeby coś zjeść, wypić, posłuchać muzyki i kogoś zapoznać... Już poznałeś, szkoda czasu.

Była zgrabna, elegancka, dobrze ubrana, nie wyglądała na zdesperowaną, raczej sprawiała wrażenie, że wybrała go spośród innych.

– Obserwowałam cię, nikogo tu nie masz, ja też. Pasujemy do siebie na tę noc, jutro wracam do domu, jestem zdecydowana, pragnę cię...

On też pragnął, może nie jej, po prostu chciał kobiety, więc mogła być ona. Zgrabna, elegancka, z biglem.

– Idziemy do mnie – odpowiedział i podał jej ramię.

Barman udał, że jest zajęty, gdy szli razem do windy. Są takie rzeczy, których się nie widzi, a nawet jak się widzi, to się o nich nie mówi.

Poniedziałek Heniek musiał zacząć od wizyty u Taty Tasiemki. Dawny bojowiec PPS był człowiekiem, któremu mógł zaufać, dlatego to właśnie na telefon knajpy, w której przesiadywał, kazał dzwonić Mańce, gdyby miała dla niego jakąś pilną wiadomość. Musiał przede wszystkim sprawdzić, czy stary bek[61] nie zmienił siedziby, przecież minęły trzy lata od chwili, gdy widział go po raz ostatni. Z drugiej zaś strony Kercelak stał w tym samym miejscu, a właśnie tam Tasiemka robił swoje interesy.

Był takim warszawskim Obertą; związki zawodowe, polityka i geszefty, o których policja wiedziała, ale przymykała oko. Miał zbyt wiele znajomości i był zbyt ważny dla wielu

ludzi na samym szczycie polityki, by chciano ryzykować awanturę o jakieś drobiazgi. No bo jak można posadzić człowieka, który pomagał uwolnić dziesięciu z Pawiaka z rąk carskich siepaczy, beka, który walił do niemieckich szpicli, i wreszcie kogoś, kto w maju cztery lata temu nie tylko rozprawiał się z komunistami, ale i wyprowadził przeciwko oddziałom rządowym uzbrojonych ludzi. Walczył obok Marszałka i za niego, był wierny, miał za dużo zasług, żeby się ktoś czepiał o byle drobiazgi, a nawet gdyby, to i tak łapówki dla posterunkowych i przodowników miały wielką moc, więc Tasiemka robił na Powązkach i Woli, co chciał.

Miecio wiózł Heńka pod Kercelak, jechali wolno, by przyjrzał się okolicy. Niewiele się zmieniło, rogatki wolskie jak stały, tak stały, na Kercelaku handlowano w najlepsze, a restauracja Pod Kogutem nadal była tam gdzie kiedyś, czyli przy Wolskiej 6, niedaleko skrzyżowania z Towarową, Okopową i Chłodną. Budynek był ten sam, parterowy, z wysokim poddaszem, a na kominie stał blaszany kurek, od którego knajpa wzięła nazwę. Wszedł do wnętrza i się rozejrzał. Nie zobaczył ani Tasiemki, ani nikogo, kto mógłby wyglądać na gościa z jego ferajny.

– Szanowny pan sobie życzy? – zapytał kelner.

– Szukam pana Łukasza Siemiątkowskiego, czy znajdę go pod tym adresem? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– To już adres nieaktualny, mocno nieaktualny! – Kelner wypowiedział te słowa stanowczo i z pewną ulgą, a może nawet zadowoleniem. – Pan Siemiątkowski przesiaduje ze swoim towarzystwem w kawiarni Aleksandrówka, to jest przy samym placu Kercelego, tuż u wylotu Ogrodowej. Czy mogę jeszcze czymś panu służyć? – zapytał, mając nadzieję, że kompletnie niczym.

Widać było, że ani Tasiemka, ani jego znajomi nie byli tu pożądanymi klientami.

A jednak coś się zmieniło w tej naszej kochanej Warszawie, pomyślał Heniek. Tata zmienił lokal, choć nie odzeglował daleko. Heniek podziękował kelnerowi, położył monetę na blat i wyszedł z lokalu, w którym pięć lat temu walnięty glina, aspirant Denhel, straszył jego i Tasiemkę służbowym naganem. To było dawno, w innym życiu, gdy był Henrykiem Wcisłą, ambitnym szczeniakiem, który dla córki pewnego notabla chciał zdobyć świat albo przynajmniej go podpalić.

Dał znać Mieciowi, by ten czekał na niego przy Ogrodowej, i poszedł sobie między budami Kercelaka na swoje stare rewiry. Gdy był dzieciakiem, myślał o tym miejscu jak o ósmym cudzie świata. Gdy pokazywał je Walkowi z Czerniakowa, to ten miał oczy na szypułkach i gębę otwartą tak, że połknąłby nie tylko muchę, ale i małego wróbla. Kiedyś robiło to wrażenie. Setki bud i kramów, pokrzykiwania przekupniów, melodie grane z patefonów oraz przez ulicznych grajków. Były wróżki, sprzedawcy wódeczki, którą trzymało się pod spódnicą i piło na jednej nodze, były też i tłumy sprzedających z ręki. Od nich można było kupić wszystko, od psa przez trefne obrączki aż po pistolet, taki prawdziwy, na chodzie i z pociskami.

Tu była szansa zapoznać miłość, która mogła się spełnić szybciej za półtora złotego, ale w większym luksusie za całe dwa złote. Tu się stawało bogaczem. Widział szczęściarzy, którzy robili w trzy karty i inne gierki pięciominutowe fortuny, widział, jak pęcznieli z radości, jak liczyli w myślach, ile to przyniosą do domu, tymczasem kończyli z niczym, zgrani i oszukani do cna. Teraz po Chicago, po trzech latach poza Warszawą, ten świat stracił niemal wszystkie kolory. Stał się

biedny, szary, mały. Heniek oglądał Kercelak, jakby patrzył przez zadymioną szybkę albo widział jego odbicie w starym popękany i zaśniedziałym lustrze. Pojął, że nie ma do tego miejsca sentymentu, że chce je opuścić i nie mieć z nim nic wspólnego.

Przyspieszył kroku i jak biegacz, który znalazł się na finiszu, chciał pokonać ostatnie metry dzielące go od drzwi kawiarni Aleksandrówka. Przeszedł próg i zobaczył widok niezwykle, nawet jak na to miejsce; jakiś stary Żyd tańczył zadyszany na środku knajpy. Starozakonny jechał ostatkiem sił, a Tasiemka wymachiwał rękami jak zadowolony treser. Nagle zauważył Heńka.

– Henio, mój młody psyjaciel i syn towarzysza partyjnego – zapiał, sepleniąc. – Wracasz z Chicago! Ha, ha, ha, od tego Ala Capone! Tutaj to ja jestem Al Capone!

Wyściskali się i ucałowali z dubeltówki. Heniek spojrzał na Tasiemkę. Dawny konspirator i bohater walki o niepodległość wyglądał jak karykatura Ala Capone. Snorky przesadzał z limonkowymi i żółtymi garniturami, z krzykliwymi krawatami i poszetkami, kilogramami biżuterii, świecącymi jak lampki na choince brylancikami. Mimo wszystko jego garnitury zawsze były dobrze skrojone i z najlepszych materiałów, kapelusze eleganckie i wszystko razem, choć ostentacyjnie drogie, to jednak znakomicie do siebie pasujące. Tasiemka zaś wyglądał jak bohater komedii, jak bogaty lump, który zebrał garderobę z różnych parafii. Nie dostrzegał, że nosi się jak dureń. Nie było w tym żadnej awangardy czy wyrafinowanej fantazji, lecz bezguście i prostackie bogactwo, z którego Tasiemka był dumny.

Jego banda wyglądała podobnie, niedomyci, ale wysztafirowani jak klauny, czy trochę jak czarni chłopcy z The

Stroll. W ubraniach Murzynów z jazzowego kwartetu były jednak ekstrawagancja i szyk, a chłopaki Tasiemki przypominali świnie w kamizelach. Gdyby była zima i mieliby na sobie kożuchy, to pewnie powpinaliby sobie w nie kwiatki, a co tam!

– Żyje się w naszej kochanej Warszawce, co? – wyseplenił zadowolony z siebie Tasiemka. – A ty tańcz, tańcz, kurtka na wacie! – ryknął na Żyda, który na chwilę przystanął.

– Czemu każesz mu tańczyć?

– Tańczy w zastępstwie żony i córki – zaśmiał się Tasiemka. – A co ty myślisz, że mam przyjemność patrzeć, jak to stare Żydzicho podskakuje? Ja to chętnie miałbym okoliczność z tą jego córeczką. Cycuszki, pupcia, nóżki, ta to by tańczyła, aż miło!

– Ale dlaczego?

– Bo nie chciał mi płacić, skąpy łachudra, rozumiesz? Mnie, Tacie Tasiemce, nie chciał płacić za pomoc! Taki *puryc*[62], a paru złotych żałuje! Ale ta lekcja go nauczy, będzie czuł mores!

Nagle do środka wszedł policjant, popatrzył na tańczącego Żyda, ale nic nie powiedział. Z kolei starozakonny stanął i zziębnięty wydusił z siebie:

– Ai waj, panie władza...

– Chaim, ty masz mnie tu tutaj tańczyć! – wrzasnął Tasiemka, po czym zapytał policjanta: – A pan przodownik wpadł na kolejeczkę?

– A tak, ale nie będę przeszkadzał, przyjdę później – powiedział wyraźnie zmieszany, po czym zasalutował i opuścił knajpę.

– Tańcz! – ryknął na starego Żyda Siemiątkowski. – Nie zarządziłem przerwy!

Stary Żyd, dysząc ze zmęczenia, wrócił do podrygiwania

i zastękał:

– Co ja ciebie zrobiłem, panie Tasiemka?

– Nic, o to chodzi, że nic, więc jesteś mnie winien grubą flotę, parchu! Fikaj girami, bo Pantaleon z Judką zabiorą się za twoje baby! Pantaleon Karpiński i Judka Sztajnwort, mocne chłopaki – wyjaśnił Heńkowi Tasiemka.

Heniek znał Sztajnworta ze słyszenia, był kuzynem jego kolegi Adasia Goldfarba, który wyjechał do Palestyny. Adaś go nie lubił i uważał za bandytę, a gdyby był tutaj, to pewnie bardziej by go nie polubił.

– Widzisz – zaśmiał się Tasiemka. – Ja tu rządzę. Ja!

– podkreślił z dumą. – Żydek tańczy, a stójkowy słucha się mnie jak swojego komendanta. Piękny porządeczek tu ustanowiłem, co? Chciałbyś może do tego należeć?

Heniek nie wiedział, co powiedzieć. Najchętniej by wyszedł, ale miał do Tasiemki sprawę.

– Ja już prowadzę tylko spokojne interesy – odpowiedział.

– Zarobiłem swoje i swoje przeżyłem.

– Pan rentier, kurdebalans! – zaśmiał się Tasiemka. – Ale chyba uderzysz jednego?

– Ale tylko jednego.

Tasiemka, choć wyglądał na rozczarowanego, szybko znalazł wyjście.

– Skoro jednego, to walimy po angielce, będzie raz, a dobrze!

Tak też zrobili. Kelner w podskokach przyniósł dwie setki i golnęli je pod śledzika.

– Skoro mamy katolika na talerzu i wódzię w kieliszkach, to i ty, stary skąpcze, masz wolne. – Tasiemka pokazał Żydowi, że może odejść. – Leć do domu po mamonę i żebyś cię więcej nie musiał prosić na rekolekcje, bo wtedy przyjdiesz z żoną

i córką, rozumiesz?

Kupiec najwyraźniej zrozumiał, bo kłaniając się nisko, tyłem opuszczał restaurację.

– Ciężka robota, kochany, to nie jest łatwy pieniądz, bo ludzie głupie i chytre – westchnął Tasiemka, jakby był urzędnikiem ze skarbowki, który dorwał oszusta naiwnie wymigującego się od płacenia podatków. – Muszą wiedzieć, że ja nie urząd i pieniądze zgarnę akuratnie, co do grosza i w try miga. Jak nie chcesz pić, to zapal.

Zapalili, a Tata Tasiemka, puszczając dym, zapytał:

– No to po co wpadłeś, złociutki?

– Po prośbie.

– Mów.

– Nie każdemu daję swój numer telefonu, a czasem może się zdarzyć pilna sprawa. A ty tutaj siedzisz jak naczelnik, więc jakby co, to będą dla mnie zostawiać informacje.

– Kapuję – zaśmiał się Tasiemka. – Szkoda, że tylko tyle. Pamiętaj, że zawsze możesz przystąpić do mojej ferajny, a zresztą zawsze w niej byłeś, co nie?

Heniek przytaknął. Łączyło ich wiele, to jego ojciec melinował i szykował Tasiemce broń, to przecież on, jako szczeniak, pomagał mu wystawić do odstrzału niemieckiego szpicla, to Tasiemka podarował mu browninga i nauczył go na polach pod Warszawą bić z pistoletu i karabinu. To Tasiemka wciągnął go do bójek z komunistami, do krwawych porachunków na 1 Maja, a w końcu to on zwerbował go do milicji PPS, która wyszła z bronią na ulice wspomagać Marszałka. Tak, był w jego ferajnie mocno, na pewno był bardziej człowiekiem Tasiemki niż Ala Capone, ale przede wszystkim był człowiekiem kapitana Beniowskiego.

Całe jego życie to jakieś zależności; PPS i Tasiemka,

banda, do której wciągnął go Wlazło, „dwójka” i na koniec gangsterzy z Chicago. Był uwikłany w sprawy, których trudno było się pozbyć. Z gangsterami skończył, bo wyjechał ze Stanów, ale wracając do Warszawy, wracał do starych przyjaźni i układów. Ze wszystkim tak było, kogokolwiek poznał, to łądował się w nową historię. Tasiemkę trzeba potraktować z szacunkiem, ale koniecznie pożegnać jako partnera do interesów, bo to już nie był jego świat, przynajmniej chciał, żeby tak było.

– Gdzie mnie do twoich interesów, ja odłożyłem trochę pieniędzy, a ty tu rządzisz jak sam Al Capone!

To wyraźnie zaimponowało Tasiemce.

– W Chicago też bym porządził, co nie?

– Dałbyś radę – odpowiedział Heniek. – Byłbyś jednym z nich, bez bajeru. A teraz już na mnie pora, muszę iść. Wiesz, zmarła babcia, więc opiekuję się siostrą.

– Już idziesz? Szkoda, zaraz przyjdą panienki, żadne kopciuchy, same eleganckie!

Patrząc na Tasiemkę i jego kompanię, Heniek wątpił, by panienki były eleganckie i czyste. Złapać syfilis jak Al Capone każdy potrafi. Zostawił przyjacielowi na kartce numery do Grandu oraz do mieszkania na Czerwonego Krzyża i poszedł.

Faktycznie spieszył się do Stefy, spieszył się tak bardzo, że nie miał czasu jechać na Stare Miasto, by szukać Mańki i mówić jej o zmianie telefonu kontaktowego. Poprosił o przysługę Miecia, który miał tam pojechać z jakąś zastawą[63], bo po ostatniej wizycie miejscowi apasze mogli chcieć rewanżu na gościu, który pogonił ich tak, że wiali co sił w nogach. Heniek miał tego wieczoru być przykładowym ojcem rodziny, zjeść ze Stefą, Zośką i Wicusiem wspólną kolację i spokojnie przenocować na Czerwonego Krzyża. Porządek zburzył tylko na

moment dzwoniący telefon. Był to Miecio, który mówił głosem pełnym emocji:

– Heniu, ona mówi, że dowiedziała się czegoś nowego o tym Wlazle i że dowie się jeszcze więcej. Jest panienka, która ma z nim coś wspólnego i powie o tym bandycie tylko jej. Ma to od niej wyciągnąć jak przyjaciółka, jak dziwka od dziwki, więc musi to zrobić sama. Chce się spotkać z tobą w piątek, prosi, żebyś do niej przyszedł, jeszcze w dzień przed klientami, klawo, co nie?

Tak, było klawo, Wlazło był blisko i jeśli tylko się dowie o jego powrocie z Ameryki, to będzie chciał tego samego co on, czyli konfrontacji na śmierć i życie, bez litości, do końca. Czekał na piątek, na spotkanie z Mańką i na nowe informacje.

Kolejną noc zarwał popisowo, ale nie w kabarecie czy w knajpie, lecz przy brydżowym stoliku. Uczył się pilnie i robił postępy, bo miał motywację. Hotelowy romans zaspokoił go na jakiś czas, ale nie odsunął myśli o prezesowej Leszczyckiej. Nachodziły go tak często i tak mocno, że postanowił zagrać o nią ze światem w karty. Tylko stając się dobrym graczem, miał szansę na tę znajomość. Coś go trafiło, nie przestawał myśleć o kobiecie, którą widział ledwie kilka razy. Mógł poszukać innej, trudno nie było, mógł pójść na dziwki, ale interesowała go tylko ona. Po prostu chciał jej i tyle, bo coś go chwyciło, nie tylko za jaja, ale i za serce, jakieś otumanienie, cholera jasna!

Brydżowy wieczór odbył się tym razem nie w klubie brydżowym przy Nowym Świecie, lecz w Gastronomii. Zmiana została dokonana na wyraźne życzenie kupca Wojciechowskiego.

– Nie szła mi ostatnio karta, więc należy mi się mała zmiana. Spotykamy się we wtorek w Gastronomii!

Heniek dopiero uczył się gry, ale wiedział, że ta zmiana

Wojciechowskiemu i tak nic nie pomoże. Przerzucał się, zapominał o tym, jakie karty zeszyły, a jakie mogli mieć rywale z drugiej pary, więc to nieuwaga, a nie brak szczęścia, była powodem porażek. Licytował za to bardzo dobrze, czego Heniek szczerze mu zazdrościł. Wiedział o swoich ułomnościach, ale major, który wprowadził go do tego towarzystwa, bardzo Wcisłę chwalił.

– Wyobraźcie sobie, panowie, że pan Haas po raz pierwszy usiadł do brydża w połowie sierpnia. Minęły trzy tygodnie z drobnym okładem i nie ma wstydu! Już niedługo będzie można z nim grać w parze.

– Wciąż się uczę, żaden ze mnie gracz, licytacja to dla mnie wciąż jak chiński język.

– Nooo, licytować to się będziesz pan uczył latami, ale rozgrywkę prowadzi pan pięknie! – z nieukrywaną zazdrością i uznaniem powiedział Wojciechowski.

– Co za pamięć!

– I przenikliwość.

– Nie widziałem, żeby pan Henryk się przerzucił

– komplementowano Heńka.

Zwykle grali tak, że Heniek dosiadał się do majora i śledził jego licytację i grę, zaglądając mu w karty. Coraz częściej też rozgrywał i szło mu to naprawdę nieźle, nigdy jednak w poważnej rozgrywce nie był czyimś partnerem. Okazało się jednak, że tego wieczoru musiał nastąpić ten pierwszy raz.

– Panie Henryku, nie ma rady, musisz pan grać, miały być cztery pary, a jest nas siedmiu grających, no, pan jako dziadek z cenzusem – zaproponował mecenas Marsch.

– Wolne żarty – zawołał pułkownik. – To już jest gracz. Za pozwoleniem, a kto nie przyszedł?

– Nie ma z nami pana komisarza Piotrowicza, dzwonił, że

nie może. Dziwne, bo jak się umawiał, to zawsze przychodził.

– Pana Jana Piotrowicza? – zapytał Heniek.

– Tak jest, naszego kochanego pana Jana – zaśmiał się major. – To nie wiesz, że on jest komisarzem w defensywie?

No ładnie, pomyślał Heniek. Jeszcze trochę i siądzie do stolika z Urzędem Śledczym, kto wie, może już tak było? Oficerowie, przemysłowcy, urzędnicy i cholera wie kto? Rznął w karty z elitą Warszawki, więc mógł spotkać przy stoliku każdego, choć tak naprawdę marzył tylko o jednej osobie.

Karta szła mu nieźle, ale ważne, że nie popełniał dużych błędów w licytacji. Rozumiał już coraz lepiej, o co chodzi, ta zabawa wciągnęła go bardziej niż szachy i poker razem wzięte. Rozkręcał się przy stoliku wśród ochów i achów, gdy nagle zadzwonił telefon.

– Wołają pana majora – powiedział kelner.

– Żona?

– Obawiam się, że nie.

Bieliński wrócił po chwili wyraźnie wzburzony.

– Co się stało?

– Już wiadomo, czemu nie przyszedł Piotrowicz, właśnie aresztowano kilkunastu byłych posłów, podobno jakieś malwersacje i planowanie zamieszek.

– Zamieszek, Jezus Maria, ledwo co rozwiązano sejm, a teraz zamieszki?

– A to pan Marszałek jeszcze za to nie siedzi? – wyrwało się jednemu z graczy. – On parę lat temu zafundował nam nie lada jakie zamieszki. I co?

– Pewnie on sam dyktował Składkowskiemu, kto malwersant, a kto wichrzyciel – odezwał się drugi.

– A wasz generał Zagórski to pewnie święty i dlatego zniknął?

– Wiadomo, kto za tym stał!

– Wiadomo? A ja się zapytam, kto może czyhać na malwersanta i złodzieja? Inny malwersant i złodziej!

– Francopol, łobuzy i złodzieje!

– To Marszałek jest łobuzem!

Awantura wisiała w powietrzu. Ze zgodnego grona graczy zrobiła się grupa zwolenników różnych partii, która skoczyła sobie do oczu.

– To klub brydżowy, a nie sejm – łagodnym, lecz donośnym głosem przemawiał kierownik sali. – *Silentium*, proszę o ciszę, bez polityki, panowie, jutro wszystko będzie w gazetach.

I faktycznie było. W środę dziesiątego września czołówki gazet krzyczały o aresztowaniu jedenastu posłów. Tak było przez najbliższe dni, ale Heńka interesowało jednak zupełnie coś innego.

Kolejna śmierć w środowisku prostytutek! Warszawski Kuba Rozpruwacz nie ustaje w swych krwawych morderczych zamachach i w wyścigu z legendarnym londyńskim potworem. Tym razem targnął się na życie dwudziestoczteroletniej Marianny Szymańskiej oraz dziewiętnastoletniej Ludwiki Dziury, kobiet od dawna znanych policji obyczajowej. Urzędujących przy ulicy Kamienne Schodki prostytutkom, zwanym Mańką i Landrynką, krwawy łotr zadał szereg uderzeń młotkiem, miażdżąc palce, a te ostatecznie, śmiertelnie, poczynił nożem, co dowodzi jego coraz większego rozbestwienia. Przedtem warszawski Rozpruwacz mordował młotkiem bądź nożem, ale nigdy temi obiema narzędziami, nigdy też nie mordował z taką zapalczywością. Szczęściem tym razem obyło się bez pożaru. To już piąta i szósta podobna zbrodnia w naszym mieście, do której doszło w ostatnich miesiącach. Stanowczo żądamy, by Urząd

Śledczy położył kres zbrodniom, które wydarzają się w tem roku w naszym mieście! Warszawski Kuba Rozpruwacz ma być ujęty!

Dla Heńka było jasne, że to nie żaden Kuba Rozpruwacz, tylko Franciszek Wlazło. Bandyta wyczuł jakimś psim swędem, że jego była i zapewne obecna kochanka spiskują przeciwko niemu, i zadał im okrutną śmierć, nie tylko mszcząc się na nich, ale i zmuszając je do zeznań. Czego mógł się dowiedzieć? O nim niewiele, tyle tylko, że wrócił oraz że mógł przesiadywać w knajpie Pod Kogutem. Na szczęście nie podał Mańce, że ów adres jest nieaktualny. Szkoda dziewczyn, ale ich los był przesądzony od pierwszego spotkania z tym draniem, podobnie jak jego. On jednak miał zamiar wyjść z tego żywy, uwalniając jednocześnie świat od gangreny, jaką był Wlazło.

CZEŚĆ SIÓDMA

VABANK

Floryda, Miami, 21 kwietnia 1986

Po zakończeniu programu *Tajemnica krypty Ala Capone*

Wyrzucił butelki po piwie, a jak Dolores powie, że pił, to przecież odpowie, że jedno piwo. Trzeba umieć po sobie sprzątać. Al nie umiał, nie zostawił żadnego skarbu, zostawił za to księgę rachunkową i listę wydatków, dzięki której federalni obliczyli jego majątek i wsadzili go za niepłacenie podatków. Zanim umarł, ginął w różny sposób i pod różnymi nazwiskami: Louis Scorpio, Goldie Gorio, Big Fellow Maskal, Duke Morgan, Sam Belmonte i Tony Camonte. Ci goście byli bohaterami filmów *Tajemnicza szóstka*, *Bad Company*, *Wielkowiejskie ulice*, *Okay, America!*, *The Beast of the City* i *Człowiek z blizną*, ale każdy wiedział, że chodzi o Ala. Filmowcy robili na nim kasę aż miło, bo jego historia była prawdziwym skarbem, z którego on sam nie skorzystał.

Dawali mu dwa miliony dolarów, na dzisiejsze to grubo ponad dycha, żeby mogli wydać jego oficjalną biografię. Olał to, a po jego śmierci rodziny nie było stać na papugę, który by wygrał z cwaniakami od serialu *Nietykalni*. Zarobili fortunę na tym, że pokazali ponad sto odcinków bredni o głupim Alu i dzielnym Eliocie Nessie. Ten cały Ness nigdy nie wystrzelił i zmarł jako alkoholik, ale z telewizji ludzie dowiedzieli się czegoś innego. A to nie koniec. Chodzili z Dolores do tej modnej knajpy The Forge[64], można tam było spotkać Liz Taylor albo Richarda Burtona (zabawne, gdy wpadają tam na siebie), a nawet Richarda Nixona. Ostatnio najczęściej przychodzi ten chłopak z Hollywood, Brian De Palma[65]. Brian kręci filmy, po których młodym poprzestawiało się we łbach, a frajerstwo nabrało przekonania, że wie wszystko o świecie

gangsterów i mafii. W finałowej scenie *Człowieka z blizną* kubańskie gangusy wystrzelały tyle amunicji, ile nie ma na całej Florydzie. Ale film to film, ludzie lubią takie cudactwa. Teraz ma na warsztacie film o Alu Capone i tym cwaniaku Eliocie Nessie[66]. Będzie przebój, dostaną jakiegoś Oscara albo dwa, zarobią kupę pieniędzy. Ważne, że i on, Ronald Prezydent Kennedy, wyniósł z tej historii coś więcej niż scyzoryk, który dostał od Henry'ego. To jego talizman, zawsze nosi go w kieszeni, dzięki niemu i naukom bossa żyje i ma się dobrze, a swojej ksywki nie zawdzięcza jedynie temu, że wybory wygrywali JFK i Teflonowy Ronnie[67]. Po prostu umiał rządzić. Ronald Prezydent Kennedy, to brzmi nieźle, co nie? Miał dobrego nauczyciela, który zawsze powtarzał mu: *Tisze jediesz, dalsze budiesz*, choć nie zawsze sam tej zasady się trzymał. On też potrafił uszczknąć coś dla siebie ze sławy Ala Capone. Jakby wziął jakiegoś cwaniaka, co potrafi pisać, to z życia Ejdz Ejdża można byłoby zrobić niezłą książkę albo film. I co najważniejsze, nie trzeba byłoby zmyślać.

XXXI

VIP

Zamiast wiadomości od Mańki i jej koleżanki otrzymał komunikat wprost od Wlazły. Bandyta informował, że jest w mieście, że pilnuje swoich dziwek i że karze za każdy przejaw nielojalności. Co Franio o nim wiedział? Chyba niewiele. Tyle samo, co on o nim, że wrócił do miasta i że jest gotowy na starcie. Gdzie i kiedy ono nastąpi? Na pewno w żadnym z miejsc, w których bywał ostatnio Heniek, bo Wlazło nigdy nie ubierał się jak ktoś z towarzystwa. Nie umiał założyć gadki jak piszpan[68] ani nie miał znajomości na salonach. Bywało, że dziwki, które dla niego pracowały, należały do pierwszorzędných, ale nigdy z tych, które trafiały pod najlepsze adresy. A skoro tak, to także ich alfons nie mógł zrobić kariery na salonach.

Na pewno nie spotkają się dziś wieczorem przy Chmielnej na premierze amerykańskiego filmu, na którą, jak zapewniali Heńka major Bieliński oraz znajomy od brydża mecenas Marsch, miała przybyć prezesowa Leszczycka. Ignacy Bieliński nie mógł się zjawić, więc Heniek poszedł z mecenasem do otwartego na początku roku kina Atlantic. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc na wszelki wypadek wziął ze sobą browninga.

W przeciwieństwie do chicagowskich kolosów kino nie szokowało rozmiarami ani wyszukanym wystrojem. Atlantic był skrojony podług nowoczesnej mody, w której obowiązywała przede wszystkim prostota i wygoda. Po filmie, którego tytuł i treść niemal natychmiast zapomniał, rozpoczął się koktajl. Dla warszawskiego towarzystwa była to najważniejsza część wieczoru. Rozmawiano przy lampce wina, najmniej o filmie, a najwięcej o obecnych na premierze postaciach. Ci, którzy mieli

siłę przebicia lub znajomości, dostępowali zaszczytu pogawędki z gwiazdami. Jedną z nich niespodziewanie stał się on – Henry Haas, rodak z Ameryki, który odniósł sukces za oceanem. Sukces, i to znaczny, taką reklamę robił mu mecenas Piotr Marsch, który przedstawiał go wszystkim swoim znajomym, a miał ich wielu. Po nieco więcej niż kwadransie niemal każdy, kto był w Atlanticu, wiedział, że Henry Haas jest człowiekiem interesu i sukcesu, bywalcem, światowcem. Z miejsca zaczęto go rozpytywać o różne rzeczy związane z Ameryką, wszak nikt nie był w Hollywood, a Henry Haas widział je z bliska.

Nie pomagało tłumaczenie, że był tam tylko jako turysta! W końcu widział plenery, w jakich rozgrywały się amerykańskie filmy, zwiedzał ulice, na których stały wille gwiazd, a opowieść o tym, że zajrzał do hali zdjęciowej i minął się z Gretą Garbo, przyjmowana była przez wielu jako przyznanie się do uczestnictwa w produkcji filmowej. Przecież jadł posiłki w tych samych restauracjach, w których bawiły postacie znane z ekranu, i mieszkał w Chicago, a więc na pewno, jak nie poznał, to przynajmniej widział Ala Capone. Jego słów słuchano z nabożnym skupieniem, a stare powiedzonko *Tisze jediesz, dalsze budiesz* już dawno poszło w ką. Heniek zasmakował w tej sławie i na premierowym wieczorze w Atlanticu dopadła go choroba Ala Capone.

Wirus popularności nie zdążył się rozwinąć aż w tak ciężkiej postaci. Na razie było to wczesne stadium choroby, ale jej symptomy kazały rozpocząć natychmiastowe leczenie. Można było jeszcze przed tym uciec, ale im mocniej się wyrywał, tym bardziej się w tym wszystkim pogrążał. Opowiadał, błyszczał i przede wszystkim rozglądał się za Ireną Leszczycką. Nie widział jej, byli za to ludzie, którzy usłyszeli od znajomych, że jest tu ktoś, kto był kimś w Ameryce.

Jakiś starszy jegomość z brodą zaczepił go i zapytał ze śpiewnym akcentem:

– Pan Haas? Słyszałem o panu, pan teraz jesteś bardzo ważna osoba! Bardzo ważna osoba, a więc, jak to mówią za oceanem, *Very Important Person*, VIP! Spędziłem parę lat w Nowym Jorku, mieszkałem na Brooklynie, opowiadaj pan.

Więc opowiadał, bo popularność towarzyska wciągała go jak bagno. Stracił już nadzieję na spotkanie Leszczyckiej, ale za to wyłowił w tłumie piękną kobietę otoczoną wianuszkami adoratorów.

– Kto to jest? – zapytał Marscha.

– To sama Xenia Grey[69], wschodząca gwiazda estrady! Piękna kobieta, nieprawdaż? Grała księżną Chicago w Operetce Reprezentacyjnej na Nowym Świecie, czyli też, jak pan, ma coś wspólnego z tym miastem – zaśmiał się mecenas. – Mówią, że zarabia krocie, że za debiutancki sezon dostawała sześćset złotych miesięcznie.

– To dużo? Nie mam pojęcia, ile zarabiają artyści.

– Dużo i mało. – Marsch zrobił minę buchaltera. – Pan komisarz Piotrowicz zarabia ze wszystkimi dodatkami, z funkcyjnym i warszawskim[70], jakieś czterysta złotych, a pan major Bieliński nie więcej niż pięćset, tak więc można powiedzieć, że panna Grey zarabia znakomicie. Znakomicie, ale nie tak jak Ordonka. Jej płacą sześćset za dwa przedstawienia dziennie, po trzysta za każde! I to jest pieniądz! Ale Ordonka to gwiazda tak wielka jak Bodo. Dlatego w pierwszych rzędach bilety w kabarecie stoją po szesnaście złotych, dyrektor jakoś musi utrzymać swoje gwiazdy. Gdyby panna Grey chciała rzucić operetkę dla kabaretu, miałyby szanse. Ale nieważne, nie jesteśmy impresariami, tylko koneserami kobiecej urody, przedstawię pana towarzystwu i znikam. Pewna dama, która mi

się podoba, przyszła najwyraźniej bez swego adoratora!

Podeszli do młodej diwy, a Marsch zaprezentował Heńka:
– *Madame*, śpiewała pani w *Księżnej Chicago*, a to pan Henry Haas, który wrócił niedawno z Chicago! – zaanonsował z wprawą konferansjera z *Qui Pro Quo*.

Heńkowi nie pozostawało zatem nic innego, jak skorzystać z okazji i wkleić się w otoczenie śpiewaczki. Opowiadał więc jak najęty o tym, o czym mówił już tego wieczoru kilka razy: o Chicago, Nowym Jorku, Kalifornii i Ameryce, budząc tym wyraźne zainteresowanie śpiewaczki, która choć urodziła się w Ameryce, to kompletnie jej nie znała. Rodzicami chrzestnymi panny Grey byli Eskimoska i traper, a jej pierwsza szkoła stała w kanadyjskim Edmonton. Była jednak wtedy małym dzieckiem, a najwięcej wspomnień miała z Sosnowca, do którego przeniosła się wraz z rodziną na dwa lata przed wybuchem wojny światowej. Życiorys doprawdy fascynujący, ale tego dnia panna Grey nie chciała opowiadać o sobie. Woląa słuchać.

Nie tylko zresztą ona. Pytano o to, co zwykle, o ogrom miast, o drapacze chmur, jazz i wodewile, a nawet o walki bokserskie, więc Heniek z ochotą opowiedział o słynnym pojedynku stulecia. Także Xenia Grey z niekłamanyim zainteresowaniem słuchała o stutysięcznym tłumie na Soldier Field i o dramatycznym przebiegu walki między Dempseyem i Tunneyem. Zgromadzeni z wypiekami na twarzach chłonęli opisy, jak wyglądała runda, w której Dempsey posłał Tunneya na deski, ale największe ożywienie wywołało nazwisko Ala Capone. Opis słynnego gangstera rozmawiającego z kibicami boksu rozpałił towarzystwo. Proszono o więcej szczegółów, zadawano kolejne pytania. Heniek czuł, że powoli staje się atrakcją wieczoru, a już na pewno kimś, kto przykuł uwagę

artystki i jej otoczenia. Nie wszystkim się to jednak podobało.

– Mówi pan dużo o sporcie, a czy jest pan także *sportsmenem*? – zapytał z przekąsem i znudzoną miną człowiek, który przedstawił się wcześniej jako mecenas Eligiusz Krzycki. Zaczęszy do góry brunet z wąsikami, nie czekając na odpowiedź Heńka, zaczął przemowę: – Bo ja, szanowny panie, tak. – Krzycki mówił bardziej do Xenii Grey niż do Heńka.

Popisuje się amancik, pomyślał Heniek, szykując jakąś odpowiednią ripostę.

– Latem uprawiam hippikę, gram w tenisa, poświęcam się też jachtingowi, a zimą jeżdżę na nartach, a pan? – Krzycki zakończył swój wywód i się wyprężył, dumny jak szkolny lizus.

– A ja...? – zaczął niepewnie Heniek. – Ja mam proste upodobania. – Uśmiechnął się nieśmiało, jakby przepraszająco. Po czym zastosował metodę Krzyckiego i spojrzał na artystkę. – Ćwiczyłem trochę boks, strzelanie i walkę na bagnety...

Ironia przypadła do gustu kilkunastoosobowej publiczności i niemal wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Rozumie pan, to takie wojskowe zajęcia, ot, pospolite młodzieńcze pasje, wyniesione z Pierwszego Pułku Piechoty Legionów, bo widzi szanowny pan, ja nie jestem *sportsmenem*, co więcej... – Heniek zawiesił głos i zrobił pauzę, wzbudzając tym samym zainteresowanie słuchaczy. – Wybacz pan, mam na ten temat podobne zdanie, co pan Stanisław Ignacy Witkiewicz. Sądząc po pana minie, wnioskuję, że nie czytałeś pan *Pożegnania jesieni*? – Parę osób spojrzało na niego z uznaniem, inni z pewnym zdumieniem. – Tam pan Witkiewicz wyjaśnia, czemu nie pała sympatią do świata *sportsmenów*, choć sam jest pierwszorzędnym narciarzem i taternikiem. Bo to w dużej części pozerzy wykazujący się dumą i pychą tak wielką, że nie sposób jej nazwać inaczej jak pyszałkowatością lub arogancją. Pana

Witkiewicza zapewne pan zna, bo skoro jeździ pan na nartach, to bywał pan pewnie także i w Zakopanem, i na tamtejszych salonach. A wracając do mojej skromnej osoby... Ja jestem patriotą i przez pewien czas moją rozrywką było zabijanie wrogów Polski. Mogę pana zapewnić, że to lepsze niż sport, choć i ten uprawiam, ale bez niepotrzebnego afiszowania się. Robię to dla siebie, a nie dla poklasku, i nie jestem z tego tak dumny jak z obrony naszych polskich granic i służby dla pana Marszałka. To najważniejsza dyscyplina, w której mógł się sprawdzić Polak i z dumą o tym rozgłaszać, ale o tym chyba nie muszę pana przekonywać. Pan zapewne służył w wojsku, czyż nie tak?

Krzycki był wyraźnie zmieszany.

– Tak, służyłem, ale już po wojnie, jestem nawet podporucznikiem rezerwy. – Mecenas próbował odzyskać rezon.

– Podczas wojny z bolszewią miałem siedemnaście lat.

– A ja szesnaście i jakoś dałem radę. Być może dlatego, że nie rwałem się do nauki. Mają oczywiście państwo prawo tak pomyśleć – uśmiechnął się Heniek. Xenia Grey także się uśmiechnęła. – A na nartach nie jeżdżę zbyt dobrze. Ale jeżdżę i wciąż się uczę. Za to wcale nieźle się wspinam. W tenisa nie gram, mogę za to panu służyć partyjką golfa, podobno w Warszawie jest pole i klub?

– Nie gram w golfa – odpowiedział z zaciętą miną Krzycki.

– Ale ja gram, szanowny panie! – włączył się w rozmowę kędzierzawy blondyn przypominający swą postawą greckiego Apollina. – I czytałem *Pożegnanie jesieni*! To pierwszorzędną powieść, wspaniała i odważna, a Witkiewicz to artysta wyśmienity, choć zupełnie niedoceniany. Leopold Walewski, Leopold hrabia Walewski – dodał z werwą, podając dłoń Heńkowi.

– Myślałem, że hrabiowska linia Walewskich wygasła?
– zauważył lekceważącym tonem Krzycki.
– A ja myślałem, że Krzyccy, o pardon, von Krzyccy, są tylko w Niemczech. – Walewski nie dał się zbić z tropu.
– Cieszę się, że nie wszyscy wybrali Berlin. – Po czym odwrócił się do Heńka i wykonując elegancki ruch ręką, powiedział:
– Chętnie zaproszę pana na nasze pole, nie jest zbyt imponujące, ledwie dziewięciodołkowe... Przepraszam, a pana godność? Podszedłem już po pana prezentacji.

Krzycki miał już ochotę się wciąć, ale nim otworzył usta, odezwała się Xenia Grey:

– Leopoldzie, drogi hrabio, to przecież pan Henry Haas, który po latach powrócił do Polski z Ameryki!

Diwa mówiła takim tonem, jakby dla wszystkich w Warszawie było oczywiste, kim jest Heniek i skąd przyjechał.

– Pan Haas opowiadał nam zajmujące historie o Ameryce, a przede wszystkim o Chicago, w którym mieszkał! Niech pan opowiada dalej, Henry, i o Alu Capone, i o jazzie, który szturmem zdobywa także nasze estrady.

– Jeśli mam opowiadać o Chicago, szanowna pani – Heniek skłonił się i pocałował artystkę w dłoń – to mogę tylko dodać, że tytuł księżnej Chicago absolutnie do pani nie pasuje.

– Wydawało się, że w obecności nowej bogini warszawskiej sceny Heniek popełnił niewyobrażalne bluźnierstwo, on jednak nic sobie z tego nie robił i patrząc prosto w oczy, wziął diwę za dłoń, skłonił się i ucałował. – Księżna Ameryki! Ten tytuł byłby, moim zdaniem, jedynym stosownym wobec takiej damy!

Zaczęto klaskać. Xenia Grey uśmiechnęła się przepięknie, a Heniek już wiedział, że Krzycki nie ma tu czego szukać. Sportsmen od siedmiu boleści powinien zwijać żagle i to jak najszybciej, ale żeby dobić tego pewnego siebie dupka, dorzucił

jeszcze:

– Dziękuję, panie hrabio, za zaproszenie, skorzystam z niego niezwłocznie, ale pod warunkiem, że pani Grey zaszczydzi swą obecnością nasz pojedynek!

Śpiewaczka uśmiechnęła się jak anioł i kiwnęła głową.

– Z przyjemnością obejrzę tę rozgrywkę!

Przedbiegi Eligiusza Krzyckiego zostały zakończone.

– Przepraszam państwa, ale jestem umówiony z tymi dżentelmenami. – Wskazał na mężczyzn zmierzających w kierunku szatni. – Czekają na mnie!

Xenia Grey, hrabia Walewski i Heniek kiwnęli na pożegnanie głowami. Mecenas jak niepyszny skłonił się i z zaciśniętymi zębami oddalił się w kierunku grupki mężczyzn.

– Panowie, a ja muszę opuścić to miłe przyjęcie, jutro w południe czekają mnie próby nowej operetki. Panie Henry, bardzo dziękuję za wspaniałe opowiadanie o Ameryce!

– Henryku! – uśmiechnął się Heniek i zawiadacko strzelił obcasami, jakby Xenia Grey była Marszałkiem albo przynajmniej jakimś generałem. – Panno Grey, panie hrabio, szanowni państwo, proszę do mnie mówić po prostu Henryku, jestem obywatelem amerykańskim, ale nie zapomniałem, że na podwórku byłem Heńkiem, a w wojsku i pracy Henrykiem. Henry to tylko urzędowe imię.

– A zatem... – zaczęła Xenia Grey. – Panie Henryku, panie hrabio, pragnę widzieć panów za miesiąc. W operetce przy Bielańskiej odbędzie się premiera *Mężów na urlopie*, śpiewam tam duety z Józefem Redo. Czy mogę na panów liczyć?

– Oczywiście, *madame* Grey! – wykrzyknęli niemal równocześnie Heniek i hrabia.

Xenia Grey odpowiedziała im czarującym uśmiechem i powiedziała na pożegnanie:

– Proszę mnie nie zawieść, zaproszenia będą na panów czekały w sekretariacie, do zobaczenia!

Po odejściu panny Grey atmosfera siadła. Dało się wyczuć, że koktajl ma się ku końcowi. Ludzie zaczęli się rozchodzić, a hrabia Walewski zaproponował pójście do jakiegoś lokalu.

– A może do któregoś z tych innych, dających nieosiągalne doznania. Nie Gastronomia, nie Oaza, rozumie pan...

– Europejski?

– Nie, drogi panie Henryku, zdecydowanie nie! Coś mocnego, naturalnego, nieokiełzanego. Poszukuję czegoś prawdziwego! Lubi i zna pan takie adresy?

– Pod Setką?

Oczy hrabiego się zaświeciły.

– Mniej więcej o to mi chodzi, bywam tam czasami, ale tak naprawdę to bardziej chodzi mi o lokal w stylu tej herbaciarni u Grubego Joska.

A więc młody pan hrabia szuka wrażeń, pomyślał Heniek.

– A którą mamy? – zapytał Walewskiego.

– Jest pół do jedenastej.

– To o dwie, trzy godziny za wcześnie, u Joselego Beczki otwierają dopiero w środku nocy.

– Szkoda, zawsze chciałem tam pójść.

– A tak w ogóle, to bywał już pan w lokalach o podobnej reputacji?

– O tak, na Czerniakowie...

Heniek przerwał mu ruchem ręki.

– Za chwilę powiem to, co pan chciał mi opowiedzieć, ale z małym dodatkiem. Upewnię się tylko, że chodzi o Atlasa?

Hrabia spojrzał na niego jak na Houdiniego.

– Tak, dokładnie tak!

– A więc zajechali państwo taksówkami pod zakład pana

Moryca Atlasa, a tam pod drzwiami stały typy spod ciemnej gwiazdy, ale wtedy wyszedł właściciel i zrobił groźną minę, więc typy się rozstąpiły. Weszliście do środka, gdzie w magiczny sposób znalazł się wolny stolik. – Heniek mówił spokojnym, pozbawionym emocji głosem. – To niesamowite, bo w knajpie były same zakapiory, ale takie czyste i z pewną ogładą. Zaczęli wrywać damy do tańca, a wy tańczyliście z ich dziewczynami, aż wtem... O jedną z pań z towarzystwa wywiązała się bójka. Bili się, że hej, aż nagle ktoś krzyknął: Psy idą, chodu! Apasze się rozbiegli i zostaliście sami, pijąc, tańcząc, jedząc, a nade wszystko wspominając emocjonujące chwile. Czyż nie tak?

– Dokładnie tak było! Kto panu o tym mówił? Kapitan Koziorowski czy może pani Podhorecka?

– Nie znam tych państwa, to znaczy znam tylko ze słyszenia...

– Więc kto panu opowiedział?

– Nikt, po prostu pan i pańscy przyjaciele... Pan wybaczy, ale nazwę to po imieniu, bogatym frajerstwem z eleganckiego towarzystwa, dla którego wystawia się u Atlasa takie draki. Robi to się od lat, drogi panie.

– A więc...

– Tak, tak, to było pięknie zrobione przedstawienie. Też tam byłem, dawno temu. Pooglądałem i szybko się zorientowałem, o co chodzi, więc zagadałem do właściciela. Nie miałem urazy, towarzystwo bawiło się dobrze, ja też, ale chciałem poznać szczegóły. Pan Moryc wiedział, że nie ma co kręcić, i opowiedział mi wszystko jak na spowiedzi, a ja pogratulowałem mu udanego *show*.

Hrabia sprawiał wrażenie oszołomionego.

– Ale przecież się bili!

– Ale byli czyści, nikogo nie wzięli pod fleki, nikt nie był w trupa pijany. A krew pan widział?

– Nie.

– A myśli pan, że jak ludzie, a zwłaszcza źli ludzie z przedmieścia, mają swoje porachunki, to krew nie leje się strumieniami? Leje się, i to jak, trzeszczą kości, łamią się nosy i wylatują zęby.

Hrabia smętnie pokiwał głową.

– Nie widziałem więc prawdziwego świata...

Rozbawiło to Heńka.

– Nic straconego, niedaleko, na rogu Chmielnej z Marszałkowską, jest szynk Pod Cegiełkami, można spotkać tam kilka interesujących postaci. Zaręczam panu, że nie trzeba jeździć na Czerniaków, ale z góry uprzedzam, bójki nie gwarantuję.

– Przeto chodźmy! – z entuzjazmem zawołał hrabia.

Pod Cegiełkami było lokalem, do którego zaglądali nie tylko szemrani, ale także patrole policji i ajenci Urzędu Śledczego. Nie był to żaden Wersal, ale też daleko mu było do knajp poukrywanych w gęstwinie śródmiejskich ulic oraz szynków z Murdziela, Czerniakowa, Marymontu i Targówka. W końcu była to Marszałkowska, o rzut kamieniem od Polonia Palace, dwa kroki od Dworca Głównego, obok najlepszych kabaretów i kin, tuż obok najnowocześniejszego z nich, Atlanticu. Po chwili byli już na rogu Chmielnej i Marszałkowskiej pod kamienicą, której ściana była wykładana jasnymi polerowanymi ceglami.

– To już rozumiem, czemu Pod Cegiełkami – powiedział Walewski, z nabożnym skupieniem podchodząc do drzwi.

Weszli do środka zadymionego lokalu. Paru zakapiorów spojrzęło na nich spode łba. Obaj w swych eleganckich

ubraniach budzili zainteresowanie, zwłaszcza Leopold Walewski rozglądający się tak, jakby miał głowę na gumce.

– Niech pan się tak nie przygląda, to nie zoolog, szoruj pan pod bufet i wypatrz co ciekawego do zjedzenia.

Hrabia potaknął głową, zdjął kapelusz i podszedł do lady.

– Czego sobie szanowny pan życzy? Brudne nóżki, piwko, kolejeczkę? – zapytała zażywna barmanka. – Małpkę czy od razu angieleczkę?

Walewski stał jak zahipnotyzowany, nie potrafiąc wydusić słowa. Heniek przyszedł mu z pomocą. Nie było go w Warszawie trzy lata, ale Pod Cegielkami u Niewiadomskiego wiele się nie zmieniło. Za kontuarem stała bufetowa, zwana przez bywalców panną Manią.

– Pani Marianno, skoro królowa stoi osobiście za bufetem, to zawinszujemy sobie brudne nóżki panny Mani i ćwiarteczkę. Obtańcujemy to z koleżką sympatycznym na spółkę, bo jesteśmy po kolacji, a potem się zobaczy.

– Wodę?

– Coś mię męczy zgaga, więc poproszę o syfonik, królowo – powiedział Heniek, mrugając porozumiewawczo okiem.

– Z mikadek, ze szczeniaczków czy z angielek[71], jaki dżentelmeni mają spust? – Bardziej głośno pomyślała, niż zapytała panna Marianna. Otaksowała wzrokiem hrabiego i zdecydowała sama: – Z mikadek – po czym uśmiechnęła się z matczyną wyrozumiałością.

Leopold Walewski chłonał to wszystko i sprawiał wrażenie, jakby był gimnazystą z prowincji, a nie obytym w świecie arystokratą. Hrabia patrzył, jakby zeszli się razem Solski z Houdinim i odgrywali spektakl, do którego śpiewał w tle sam Kiepura, więc pewnie dlatego miał półotwarte z wrażenia usta i oczy jak spodki.

Po chwili, gdy siedzieli już przy stoliku, Walewski nieco ochłonął, po czym przemówił do Heńka z nieukrywanym podziwem:

– Ależ pan ma obycie, jest pan gwiazdą na salonach, ale i znakomicie pływa pan w mętnej wodzie! To słownictwo, znajomość tej niezwykłej etykiety – zachwycił się Walewski.

– Chciałbym mieć ten dar i taką wiedzę.

– Trzeba umieć założyć bajer, żeby w życiu nie być frajer
– uśmiechnął się Heniek.

– Pan mnie zadziwia. – Tę kwestię hrabia wygłosił z absolutną szczerością.

Uderzyli po kieliszku, popili, a Walewski zakąsał nóżkami.

– Genialne, genialne! Pan nie je?

– Nie lubię meduzy.

– Meduzy?

– Nóżek w galarecie, panie hrabio. Nóżki w galarecie to meduza, nie wiedział pan?

– Pierwszorządne, doprawdy pierwszorządne. Jak pan mówi? Meduza?

Wypili po następnej kolejce, młody hrabia pałaszował nóżki, a Heniek się tylko przyglądał.

– Nie zamówi pan czegoś innego?

– Tu nie ma czegoś innego. Tu się pije, panie hrabio. Pije i ewentualnie popija oraz zakąsza. Jedyna fantazja to zamówienie oranżady, jaśnie państwo tu nie wpadają.

– Nawet pan nie wie, jak takie miejsca są popularne. Byłem parę razy z doborowym towarzystwem w dorożkarskich knajpach – powiedział z dumą Walewski. – No, w takich prawdziwych, nie jak u Atlasa. – Po czym dodał mniej pewnym głosem: – Przynajmniej tak sędzę.

– Tylko u Atlasa są takie przedstawienia – uśmiechnął się

Heniek. – I to nie co dzień, lecz na zamówienie. Ale przyzna pan, że do szynku dla dorożkarzy albo do przybytku, w którym teraz pijemy, Xeny Grey byśmy nie zaprosili. Zdrowie naszej diwy!

Wzniesli kolejny toast. Hrabia miał zaczerwienione policzki i lekko poluźnił kołnierzyk.

– Gdyby nie panna Grey, byłby to banalny wieczór, ale ona wszystko potrafi zamienić w złoto. Niezwykła, porywająca kobieta – powiedział ze swadą hrabia. – Lubi pan operetkę?

– Niestety nie.

– A ja uwielbiam, a panna Grey jest pierwszorzędną śpiewaczką!

– Przez grzeczność nie zaprzeczę, panie hrabio – odparł Heniek. – Za to pan Krzycki... W Ameryce nazywają takich *asshole*.

– Za pozwoleniem, a co to znaczy? – zaciekawiał się hrabia.

– Dupek, panie hrabio, zaprawdę powiadam: dupek!

– obwieścił głosem kaznodziei Heniek.

Hrabia zaniósł się śmiechem.

– Myślałem, że opanowałem język Szekspira! A z pana niezły żartowniś.

– Proszę się nie przejmować, na salonach to się panu nie przyda, a Szekspir jest przeciętnemu Jankesowi znany mniej niż Babe Ruth Polakowi.

– A któż to taki, na Boga? Jakiś aktor?

– Nie, baseballista. – Widząc zdumioną minę hrabiego, wyjaśnił szybko: – To taka gra, ichniejszy palant, który rozpala Amerykanów jak nas wyścigi na Polu Mokotowskim.

– Muszę pojechać do tego osobliwego kraju, czytałem to, co napisał o Ameryce Sienkiewicz, znam powieści kowbojskie i nieco kryminałów, no i nasłuchałem się w Paryżu. Wie pan,

tam jest wielu Amerykanów. – Hrabia zaśmiał się, po czym nagle spoważniał i szeptem zapytał: – Panie Henryku, za pozwoleniem... – Widać było, że Leopold Walewski trochę się krępował.

– Panie hrabio, proszę się nie krępować i pytać o to samo, co inni – zaśmiał się Heniek. – Tak, mieszkając w Chicago, poznałem gangsterów, a między innymi Ala Capone. – Klepnął młodego arystokratę po plecach. – Mieszkać w Chicago, robić tam interesy, bawić się, a nawet pracować, to znaczy znać gangsterów, tak jak u nas zna się bankierów, przemysłowców, artystów oraz oficerów!

Heniek zaczął opowiadać, gdy podszedł do nich zawiany typ.

– Czy wypiją panowie kolejeczkę z funkcjonariuszem państwowym? – zachrypiał.

Nim Heniek zdążył cokolwiek powiedzieć, mężczyzna przysiadł się i nalał wódki do kieliszka, który przyniósł ze sobą.

– Ale dziś towarzystwo. Nic, tylko się powiesić. – Zaśmiał się w taki sposób, że Walewski aż podskoczył. – Nic, tylko się powiesić albo kogoś powiesić. No co pan tak wybałuszasz gały? Masz pan szczęście pić wódkę w towarzystwie fachowca klasy europejskiej – wyrzęził. – Europejskiej! Rozumiesz pan? Fachowo, w białych rękawiczkach, eleganckim kitlu i z klasą. To już prawie setka, a każdy z nich za stówkę premii. Piękny pieniądz, nieprawdaż?

Heniek już wiedział, kto to jest, nigdy go nie widział, ale to musiał być on!

– Dziesięć tysięcy złotych, panie Maciejowski, to ładna sumka, bardzo ładna...

– Znasz mnie pan – zachrypiał zadowolony. – A więc w towarzystwie jestem sławny...

– Kata Stefana Maciejowskiego zna każdy – skłamał Heniek.

Twarz hrabiego bladła, a Heniek wyglądał, jakby prowadził dialog nie z katem, tylko z bileterem w kinie.

– Dajesz pan głośne przedstawienia, choć niewielu je oglądało, ale aktorzy i pan zdobyli sporą popularność – ciągnął Heniek. – Gazety zawsze o tym pisały, a jak nie pisały, to ludzie mówili.

– A co, powiesiłem kolegę szanownego pana? – Kat Maciejowski ponownie zaśmiał się diabolicznie, a hrabia zrobił minę, jakby za chwilę miał zemdleć.

– Nie bój się, kawalerze, bez wyroku sądu nie wiem, ale gdyby trzeba było... Zrobiłbym to w try miga, bezszelestnie. Takich jak ty też wieszałem, cherubinków, aniołków kochanej mamusi, którzy wzywali ją, gdy stali na szafocie. Ale wtedy było już za późno... Żaden z nich nie trafił tam przez przypadek.

Maciejowski nalał sobie kolejkę, golnął ją tak, jakby to była ostatnia szklaneczka wody na pustyni, i chwiejnym krokiem oddalił się od stolika.

– Nie za dużo wrażeń? – zapytał Heniek.

– To faktycznie był ten Maciejowski?

– Tak, ten sam.

– Niebywałe, niebywałe!

Z hrabiego schodziło napięcie, które powoli przeradzało się w entuzjazm.

– Zdawałoby się, że to całkiem normalny człowiek! Jak pan i ja, tylko trochę pijany. Niebywałe, niebywałe! Opowiem o tym kolegom literatom. Wańkowicz, Cat-Mackiewicz i Kaden-Bandrowski zachwycają się tym Sergiuszem Piaseckim. Wie pan, to były agent wywiadu i bandyta, a do tego... Kokainista! To nie byle kto, żadne tam małe sprawki, bo

wsadzili go do Świętego Krzyża! Niepospolity bandyta, ale mówią, że też niepospolity talent i materiał na pisarza. Być może, ale ten Maciejowski, to indywiduum... Gdyby on przemówił, gdyby napisał o sobie i o swych przeżyciach. A może by tak wywiad rzeka, spowiedź kata? – myślał głośno Leopold Walewski. – Tylu ludzi wysłać na tamten świat, niebываłe, niebываłe! – powtarzał jak w amoku.

– Wielu spośród tych, których wieszał, było też zapewne normalnymi, przynajmniej z pozoru, ludźmi. Bierz pan pod uwagę, że każdy z nich zabił choć po jednej osobie, a niektórzy po trzy, cztery i więcej... Razem to krąg kilkuset zbrodni, siła zła tkwiącego nie tylko w bestiach, ale i w normalnych ludziach. W większości wszyscy oni są normalni, a niektórzy wręcz sympatyczni.

– Literatura tego nie oddaje. Zwyczajności zła, zwyczajności morderców, to jest coś, co należy opisać, ale jak to ugryźć? – zadumał się hrabia. – Nie wiem, nie wiem, nie pojmuję tego, mój drogi panie Henryku, ja nie widziałem jeszcze czyjejś śmierci, ja dopiero co poznałem kogoś, kto uśmiercał innych!

Rzeczywiście, poznałeś, pomyślał Heniek.

– A wojskowi? – zapytał hrabiego, jakby odganiając skojarzenia ze swoją osobą. – Znasz ich pan bez liku.

– Wojskowi, wojskowi! – zachnął się Walewski.

– Wojskowi to co innego. Oni zadawali śmierć w szlachetniejszy sposób, w słusznej sprawie!

Heniek wyczuł ten sam entuzjizm, który miał hiszpański porucznik. I hrabia Walewski, i *teniente* Calderon y Bahamonde zafascynowani byli śmiercią i zabijaniem, widzieli w tym przygodę i wielkie, męskie wyzwanie. Trudno, co zrobić, jemu też się tak kiedyś wydawało.

– Być może, ale zadawanie śmierci samo w sobie piękne i szlachetne nie jest. Śmierć nie ma miłej twarzy, a zresztą, czy kat także nie zabija w słusznej sprawie?

Heniek zaciągnął się dymem, po czym szybko wypił mikadkę wódki i jeszcze szybciej nalał kolejną porcję. Trzymając tempo, wlał ją sobie do gardła.

Dwa szybkie, nerwowe strzały z alkoholu nie uszły uwagi hrabiego.

– Panie Henryku... Czy pan?

– Jeśli pan o to pyta, to byłem w wojsku, biłem się w Kijowie... W Kijowie i nie tylko.

Heniek ponownie napełnił szkło i podniósł w górę kieliszek.

– Za kolegów, którzy nie wrócą!

Wypili. Widać było, że hrabiego aż skręca, żeby zapytać Heńka o wojnę, strzelanie, śmierć. Łaknął informacji o sprawach ostatecznych i lgnął do knajackiej atmosfery, ale delikatność nie pozwoliła mu na przekroczenie bariery trudnego pytania. Teraz to Walewski nalał kolejną i wznosił szkło.

– Za Chicago i Amerykę!

Wypili, a potem Heniek przez bitą godzinę zabawiał hrabiego Walewskiego opowieściami o Chicago, a na koniec, gdy już hrabiowska głowa nie była w stanie wytrzymać kolejnych dawek alkoholu, ustalili, że pojutrze muszą zagrać w golfa. Hrabia chciał jeszcze wstąpić na Gnojną do Grubego Joska, ale Heniek delikatnie mu wytłumaczył, że jutro, czyli tak naprawdę już dzisiaj, arystokrata nie będzie miał ochoty na jakąkolwiek rozrywkę. Dał na pożegnanie Walewskiemu swoją kartę wizytową, opłacił taksówkę i zapowiedział taryfiarzowi, że jak pod domem naciągnie pasażera na jakąś dodatkową płatność, to mu z dupy nogi powyrywa. Ze strony półprzytomnego

Walewskiego spotkało się to z takim entuzjazmem, jakby sam Kiepura zakończył występ.

Knajacki język, opowieści o wojnie i śmierci oraz szemrane towarzystwo, to wszystko podniecało Walewskiego jak dzieciaka czytanie przygód Winnetou i Rinalda Rinaldiniego. Heniek ruszył na piechotę do hotelu, chciał się przewietrzyć i Pod Setką walnąć kolejkę na dobranoc. Pod Cegielkami nie było jego ulubionym miejscem, za to Pod Setką dla niego było jednym z obowiązkowych przystanków. Poza tym czuł ssanie w żołądku, miał ochotę na serdelka z pulchną bułką i musztardą. Tu zawsze był wielki ruch, więc nic nie mogło się odleżeć i za to najbardziej lubił ten lokal. Poszedł więc Pod Setkę, by samotnie zakończyć wieczór.

Nie rozsiadał się, bo wiedział, że teraz nie mógł się za bardzo spić i zapuszczać w niebezpieczne rewiry. Zamówioną na koniec pięćdziesiątkę zostawił, bo zdał sobie sprawę, że nie powinien szarżować. Kompletnie mu odbiło, stracił swoją ostrożność i wyrachowanie. Po jaką ciężką cholere popisywał się przed panną Grey, po co grał kozaka przed młodym hrabią? Rozgłos i pajacowanie nie były mu potrzebne, bo zbliżał się pojedynek z Wlazłą, który miał się odbyć na jego terenie oraz na jego warunkach. By tak się stało, musiał się trzymać swoich starych zasad. *Tisze jediesz, dalsze budiesz*. Ku zdumieniu barmana wylał wódkę na posadzkę, zostawił zapłatę z solidnym napiwkiem i opuścił lokal.

Sobotę spędził ze Stefą. Po szkole zabrał ją do kina i cukierni oraz na małe sprawunki. Siostra była szczęśliwa i nie zauważyła, że kochany braciszek działał, jak automat. Heniek przygotował listę rozrywek i niespodzianek, uczestniczył w nich, ale myślami był gdzie indziej. Jego głowa była pełna różnych żądy, bo jak nie roznosiła go namiętność i myśli o kochance,

którą chciał zdobyć, to pochłaniało go planowanie zemsty. Ciągnął zbyt wiele srok za ogon, za dużo chciał ugrać, wiedział o tym, ale uparcie parł do przodu, nie potrafiąc zrezygnować ani ze zdobycia prezesowej, ani z zabicia Wlazły. W niedzielę miał zajrzeć na Pole Mokotowskie, bo słyszał, że Irena Leszczycka często tam bywa, a w poniedziałek u Szlojmele przy Solnej umówiony był z Teosiem Wątorskim, a więc jedno nie wyklucza drugiego. Na wyścigach przeżył jednak rozczarowanie, bo prezesowa Leszczycka nie przyjechała.

Pokręcił się, porozglądał, ale kobiety, dla której przyszedł na Pole Mokotowskie, nie było. Zaczepiło go paru znajomych, widział, jak ludzie emocjonują się grą, ale on miał już hazardu powyżej dziurek w nosie. Dwa razy wygrał w karty, choć nie powinien, więc nie będzie kusił losu na wyścigach, zwłaszcza że nie wiedział, co i jak, a miał w zwyczaju grać tylko na polecenie przez swoich ludzi pewniaki. Popatrzył chwilę na szalejących graczy, na ich radość i złość, na to, jak zalewają smutki i świętują porażki, wypił mały kieliszek i opuścił tor, szerokim łukiem mijając kasy i naganiaczy oferujących zakłady. On swój los przegrał, zrozumiał, że Irena Leszczycka najwyraźniej nie będzie mu dana zbyt łatwo. To rozpalało go jeszcze bardziej, ale nie na tyle, by zapomniał o zemście na Franciszku Wlazle. Jutro w szynku na Murdzielu miał się spotkać z Teosiem Wątorskim. Ciekawe miejsce i ciekawy partner do rozmowy dla kogoś, kogo parę dni temu nazwano bardzo ważną osobą.

XXXII

Déjà vu

W poniedziałek rano musiał odgonić precz myśli o Leszczyckiej. Jeśli chciał ją zdobyć, to musiał być żywy. To już nie było tak, że to on ścigał Wlazłę i mógł go zaskoczyć, teraz jego wróg był gotowy na atak, więc znając go, planował uderzyć pierwszy. Kluczowe mogło być spotkanie z Teosiem Wątorskim, który, chcąc zdobyć panowanie nad Czerniakowem, musiał usunąć z drogi Wlazłę. Przynajmniej tak zapewniał i dodatkowo malował siebie jako obrońcę apaszowskiego honoru.

Czy można mu wierzyć, czy można zagrać w otwarte karty i powiedzieć: Słuchaj Maniuś, to ja, Henryk Wcisło, ten, którego oskarżył przed policją Franek Wlazło. Tu nie ma co zwoływać dintojry, tu sprawa jest jasna: czapa! W końcu jednak zwyciężyła ostrożność. Do knajpy przy Solnej przyszedł tylko Mietek, spotkali się później w Grandzie.

– Przyszedł?

– Nie. Sprawa śmierdzi, byłem kwadrans przed czasem, ledwie zamówiłem szczeniaczka pod katolika z cebulką[72], to wparowało dwóch apaszy, rozsiedli się przy stoliku, zamówili po kuflu piwa i siedzieli, jakby na kogoś czekali. Spytałem się później za barem, byli tu pierwszy raz. Przesiedzieli tak z godzinę. W tym czasie ten twój Wątorski się nie pojawił. Jak wychodziłem, to zobaczyłem, że przed szynkiem stoi jeszcze dwóch oprychów. Coś mi się wydaje, że ta zastawa zjechała po ciebie.

– Nie po mnie, tylko po Przemysława Reissa.

– Chwała Bogu, żeś się zdecydował na tę przebieranąkę.

– Ale nie wiadomo, czy ten łotr nie dowiedział się o moim

powrocie.

– A jak się miał dowiedzieć? W gazetach jeszcze o tobie nie piszą, a w takim towarzystwie jak ty to on raczej nie bywa. To chyba nie jest koleżka majora Bielińskiego, mecenasa Marscha czy hrabiego Walewskiego?

– Raczej nie...

– Ale... – zamyślił się Miecio – nie wiem jak ty, ja od dziś chodzę z kławką.

– To dobry pomysł, strzeżonego Pan Bóg strzeże, ja mam przy sobie pana browninga już od zeszłego tygodnia.

Za kilka dni był umówiony na wieczorne wyjście z Walewskim, nie pozostawało więc nic innego, jak znów włożyć amerykański garnitur albo załatwić sobie dyskretniejszą broń. Skrojony w Chicago ancug leżał jak ulał i nadawał się do trzymania broni, bo z prawej strony miał specjalną kieszeń na pistolet. Krawiec trochę kwękał, bo Heniek był chyba pierwszym mańkutem, dla którego robił takie zamówienie. Na pewno znajdzie kogoś o podobnym drygu w Warszawie, bo mistrzów igły i nici nie brakowało. Ale to mogło potrwać. Szybciej będzie kupić mały pistolecik, nie można przecież w kółko chodzić w tych samych garniturach. Tak trafił na Hożą 33 do sklepu Pawłowskiego Broń i Amunicja.

– Dzień dobry, czego szanowny pan sobie życzy?

– dziarsko zawołał ekspedient.

A czego mógł sobie życzyć człowiek wchodzący do sklepu z bronią? Heniek postanowił jednak nie robić cyrku i nie drwić ze sprzedawcy. Podtrzymał zatem pełną konwenansów i dętych frazesów rozmowę.

– Dzień dobry – odpowiedział, zdejmując kapelusz.

– Poszukuję jakiegoś małego, dyskretnego pistoletu.

– Czy może zechce szanowny pan obejrzeć polskiego

smoka? – zagadnął sprzedawca i niepytany sięgnął w kierunku szafy na broń, z której wyciągnął zgrabny pistolecik. – Polecam pana łaskawej uwadze to cacuszko! Nasz, polski wyrób, od Nakulskiego z Gniezna.

Heniek wziął broń do ręki i ważył ją w dłoni. Sympatyczny, o ile o broni można powiedzieć, że jest sympatyczna.

– Bije celnie i jak na taką zabawkę ma niezły kaliber
– sprzedawca dostrzegł, że Heniek zainteresował się smokiem, więc kuł żelazo, póki gorące.

– A niezawodność?

– Brawo, to najważniejsze pytanie, proszę szanownego pana, najważniejsze! Szanowny pan wie, o co pytać!

Nic tak nie działało na klientów jak komplementy. Kobiety zawsze wybierały najpiękniejsze i najmodniejsze sukienki oraz futra, dokładnie te same, które kupiły gwiazdy, hrabiny i córki milionerów, a mężczyźni zawsze znali się na technice jak najlepsi inżynierowie.

– Smok to sprawdzona konstrukcja – ciągnął niby od niechcienia wystrzałowy subiekt. – To udoskonalenie orła, który był z kolei polską wersją niemieckiego liliputa. To sprawdzony patent, wykorzystali go Menz i Karpiński przy produkcji swojego cyka! Lata praktyki oraz ulepszania i tak doskonałej już konstrukcji.

Heniek nie chciał grać wielkiego specja i niepotrzebnie chwalić się swą wiedzą praktyka, więc choć wiedział, co i jak, to jednak zapytał:

– A na ile naboji?

– Na sześć!

Tak naprawdę przyszedł po konkretny pistolet, ale chciał, by to sprzedawca wybrał za niego. Grał frajera, który coś słyszał i wie, że dzwoni, ale nie wie, w którym kościele.

- A jest coś, co mieści więcej?
- Tak, ale to dalece kosztowniejsza broń!
- Stać mnie, ja lubię rzeczy pierwszorzędne

i najwygodniejsze.

Klientów, którzy chcą wydać więcej niż inni, sprzedawcy lubią najbardziej. W tym przypadku nawet rozrzutność można uzasadnić nieprzeciętną umysłowością i wiedzą doskonałego bankiera.

– Jeśli chce pan wydać więcej na coś pierwszorzędnego, to mogę tylko powiedzieć, że jest broń, której zakup się zwraca jak lokata w szwajcarskim banku! – Sprzedawca, jak wielu innych, miał talent godny teatralnej sceny. – Lignose Einhand 3A! – wykrzyknął i zaprezentował doskonale Heńkowi znany pistolecik. – Perła w koronie kieszonkowych pistoletów, doskonałość nad doskonałościami! To najnowsza, ulepszona wersja z magazynkiem na dziewięć naboji, a do tego można przeładować jedną ręką. Piękna zabawka konstrukcji Bergmana z polskim patentem!

A dokładnie inżyniera Chylewskiego ze Lwowa, chciał dopowiedzieć Heniek, ale zamiast tego z entuzjazmem wypalił:

– Polski patent? Kategorycznie domagam się sprzedaży tej broni!

Klient przy forsie, klient lubiący markowy sprzęt, a do tego patriota, takiemu można sprzedać nawet Niderlandy!

– Znakomity wybór, a do tego pistolet pięknie wykończony!

Po chwili Heniek trzymał w ręku einhanda z rękojeścią zdobioną imitacją kości słoniowej.

– Czy... – sprzedawca zawiesił głos.

– Ależ oczywiście – uśmiechnął się Heniek. – Oto moje zezwolenie na broń.

Mając pieniądze i znajomości gdzie trzeba, można było mieć każdy dokument. Teraz mógł bezpiecznie dokonać wieczornego objazdu Warszawy.

Wieczór był udany, a Leopold hrabia Walewski okazał się wybornym kompanem, z którym zwiedzili wspólnie parę restauracji oraz kabaretów. Zaszli na premierę do Bandy i zgodnie z hrabiowską fantazją i obowiązującą modą poszli po niej zwiedzić fascynujące Walewskiego szynki. Heniek się wahał, nie wiedział, czy to mądry pomysł, ale w końcu pomyślał, że nie będzie żył w strachu przed Franiem, to on ma się go bać, a nie na odwrót. Co więcej, dał wolne Mieciowi, bo ten kwękałby jak stara Kornacka. Podróżowali zatem taryfą, nawinął im się wielki, wygodny benz z firmy Taxi – Lux. Kazali szoferowi, by czekał na nich, a oni w każdym z lokali wypijali po dwie kolejeczki i co nieco zagryzali, po czym jechali zwiedzać dalej. Ot, taki sport, etapowy rajd pijacki dookoła Warszawy.

Po rundzie przez wolskie knajpy Pod Kogutem i Pod Cyckami dotarli w końcu na Rynkową do Grubego Joska. Minęła druga, więc lokal był już otwarty. Zamówili flaki, a Heniek wyjął z kieszeni płaszcza butelkę wódki i napełnił kieliszki. Walnęli kolejkę, Heniek wytłumaczył hrabiemu, że przybytek Grubego Joska jest herbaciarnią i oficjalnie mocnych trunków się tu nie podaje. Josele Ładowski wypatrzył Heńka i podszedł do stolika.

– Dawno tu pana nie było, panie Heniek...

– A może nie powinienem się tu pokazywać?

Pięć lat temu trochę tu narozrabiał. Popił po śmierci matki i wdał się w awanturę z równie, a może bardziej, pijanym pułkownikiem Nowickim. Na to wszystko do knajpy wpadł kapitan Beniowski, do którego właśnie postanowiła się

wyprowadzić żona Nowickiego. Zakotłowało się... Pułkownik został ranny w nogę, a Heniek głową z rozbitą kolbą pistoletu spędził parę tygodni w szpitalu.

– Co się wydarzyło u Stary Josek, zostaje u Stary Josek – zaśmiał się szynkarz. – Wszystko *fertig*, panie Heniek?

– Wszystko *fertig* – skłamał.

Josek popatrzył na niego z uwagą.

– A mnie się wydaje, że nie wszystko, masz, panie Heniek, w głowie jakiś miszmasz, dzieją się jakieś *curesy*[73]?

– A kto nie ma kłopotów?

– Pewnie jakieś *geszefty*[74], a może jakiś *kapoc*[75] zaszedł za skórą, albo *oj gewalt sziksa*[76]? – zaśmiał się Josek.

– Taki *zajde*[77], taki dziadek jak ja, widzi te rzeczy! Panie Heniek, a nie napiłby się pan z drugim panem pejsachówki?

To mówiąc, szynkarz wyciągnął z kieszeni butelkę i nalał im po kolejce. Wypili niemożliwie mocny trunek.

– Ponad siedemdziesiąt procent, rzetelny nektar, w sam raz na podniebienia szanownych panów – zaśmiał się Josek, odchodząc w kierunku bufetu. – *Lechajim*[78], panie Heniek!

– *Harcikn dank*[79], panie Józefie – podziękował Heniek, po czym zwrócił się do hrabiego: – Faktycznie, to nie jakieś tam barachło, to prawdziwy alkohol – dodał, choć nie musiał. Moc zawartą w szczeniackach czuć było aż nadto wyraźnie.

Hrabiego oczywiście zatkało, ale bardziej z powodu pojawienia się przy stoliku legendarnego właściciela szynku niż po mocnym trunku.

– Pan go doskonale znasz! – wyszeptał.

– Wszyscy go znają, pan też.

– Ale mnie chodzi o co innego, że i on pana zna!

– Dawne czasy. – Heniek machnął ręką.

– Dawne, nie dawne. Widać, że jesteś pan bywalcem.

– Podziw Walewskiego nie małał.

– Tak, jestem byłym bywalcem szynków i obecnym salonów – zaśmiał się Heniek. – A przez pana znów zacząłem się szlajać po dawnych rewirach, zabawne to wszystko!

Dla Leopolda hrabiego Walewskiego nie było w tym nic zabawnego.

– Tajemnicza z pana postać, podziwiam pana za...

– Za to, że jestem self-made manem? Mówiły mi to w Ameryce kobiety! – powiedział Heniek, przepijając poprzedni toast łyżką flaków. – Popij pan flakami, nie zgrywaj pan gieroja, to nie wstyd po pejsachówce.

Hrabia posłusznie chwycił za swoją łyżkę i zaczął zajadać flaki, z których Jasek słynął bardziej niż z herbaty.

– Żadnej tajemniczości we mnie nie ma – ciągnął Heniek.

– W tym, że zrobiłem pieniądze, także. Wyjechałem stąd jako młody, niezbyt zamożny człowiek. W Ameryce zmieniłem nazwisko na filmowe, dorobiłem się i jako Henry Haas wróciłem do Polski. To wszystko.

– Czemu zmienił pan nazwisko?

– Z tej perspektywy można uznać, że tak jak wielu artystów, wziąłem sobie nazwisko lepiej brzmiące, ładniejsze. Nie każdy jest Szwajcarem i nazywa się Junod, a nawet jak się tak nazywa, to i tak zmienia na Bodo – uśmiechnął się Heniek, bo ubawiło go, że sprzedaje hrabiemu historię ułożoną przez majora Bielińskiego. – A nie wszystkie tancerki mają szczęście, że ich ojciec ma nazwisko niczym sceniczny pseudonim.

– Siostry Halama... [80] – rozmarzył się hrabia.

– Znakomite artystki, no i te nogi... Faktycznie, tych z wymyślonymi nazwiskami jest wielu. Pola Negri, Konrad Tom, Juliusz Osterwa, oczywiście Hanka Ordonówna, no i ten nowy artysta, Mieczysław Fogg, słyszał pan jego piosenki?

Fogga nie znał, faktycznie ktoś nowy.

– Coś więcej o tym śpiewaku, panie hrabio.

– On występuje z chórem Dana...

– Znam, znam, widziałem w Qui Pro Quo. Faktycznie wyborny zespół.

Heniek poczęstował hrabiego papierosem, sam również zapalił. Zaciągnął się dymem, co tylko nieznacznie zmieniło atmosferę nad ich stolikiem. W herbaciarni i tak było jak pod kominem, wewnątrz nie wietrzono, a niemal wszyscy palili ogromne ilości papierosów.

– Mam teraz interesujące nazwisko, ale nie był to jakiś kaprys, tylko potrzeba chwili. W Ameryce trzeba się nazywać tak, by ludzie bez trudu mogli to wymówić. Na przykład słynny gangster Weiss nazywał się tak na prawdę Wojciechowski, a niby-Irlandczyk O'Berta był po prostu Obertą. Nie tylko Polacy zmieniają tam nazwiska, słynny cyngiel Ala Capone McGurn jest Sycylijczykiem. O Żydach nie wspomnę, oni też zmieniają nazwiska, w Polsce także. Krótko mówiąc, nie ma w tym nic nadzwyczajnego, to było z mojej strony bardzo praktyczne, a teraz mam kłopot, bo jestem Henryk Haas, a moja rodzona siostra nazywa się Stefania Wcisło.

– To ma pan siostrę?

– Tak, nie wspominałem o tym?

– Ależ nie, zapamiętałbym! Pan opowie o niej coś więcej.

– Jest piękna, a niedługo, dwudziestego piątego września, kończy szesnaście lat i jest niezmiernie ciekawa świata. Nasi rodzice szybko odeszli, ja wyjechałem, więc tak naprawdę wychowywała ją babcia.

– Mówi pan – ciekawa świata! A może wyjdziemy do opery?

– Znakomity pomysł, opera na pewno ją ucieszy!

– Pójdziemy z moją siostrą!

– To pan hrabia ma siostrę? – Teraz z kolei zdziwił się Heniek.

– A nie mówiłem o tym? – zaśmiał się Walewski, rozbawiony powtórzeniem sekwencji sprzed chwili. – Tak, nie mówiłem, jest piękna, ale poza tym zupełnie inna niż pańska Stefania. Maria jest zmęczona wielkim światem i nudnym towarzystwem, najchętniej byłaby dziś z nami w tym niezwykłym miejscu. No i jest oczywiście starsza od pana siostry, bo my jesteśmy bliźniakami i mamy równo po dwadzieścia trzy lata. Na pewno przypadniecie sobie do gustu!

Wypili rozchodniaczka i rozjechali się do domów.

Rozmowa z hrabią przypomniła mu o urodzinach Stefy. Pamiętał tę noc sprzed szesnastu lat. To był początek wojny światowej; nalot pruskiego sterowca na Warszawę, wybuchające bomby i pociski artyleryjskie wystrzeliwane przez Rosjan w kierunku statku powietrznego, i wreszcie szczekanie karabinów maszynowych, tych walących z nieba i w jego kierunku. Pobiegł wtedy po akuszerkę, miał dziesięć lat i był swoją misją bardzo przejęty, bo myślał, że pomoże mamie, która urodzi mu braciszka. Tymczasem przyszła na świat dziewczynka. Dużo czasu minęło, zanim się do tego przyzwyczaił, a tak naprawdę pokochał ją dopiero po śmierci matki, gdy musiał jej zastąpić rodziców. To była jego mała siostrzyczka, niemal córeczka, a teraz dotarło do niego nieodwołalnie, że ma prawie dorosłą siostrę i że musi pogodzić się z tym, że za trzy lata po zdaniu matury stanie się ona samodzielną osobą.

Niedługo zaczną się poważne wizyty i wyjścia. Musi ją zacząć wprowadzać na salony, choć to nieco komiczne, gdy będzie przedstawiał siostrę, która ma inne nazwisko. Trzeba to

jakoś załatwić, chyba że szybkiej zmiany dokona jakiś mężczyzna, w którym się Stefa zakocha. Szwagier. Ale to nie może być byle kto. Poczuł to, co czują tylko ojcowie i starsi bracia. Jakoś to będzie, oby tylko nie doszło do skandalu, ale chyba nie będzie musiał gonić żadnego z kawalerów, lejąc po pysku albo, nie daj Boże, grożąc browningiem. Wymyślił, że kupi jej piękne futro, by wyglądała jak gwiazda filmowa, która podczas wyjścia do opery z rodzeństwem Walewskich będzie nawet przy hrabiach błyszczeć jak księżniczka. Zdaży zrobić zakup, robi to bez dwóch zdań, bo urodziny były w czwartek, a wieczór w operze trzy dni później. Postanowione, bo futro to jest to, co podoba się każdej kobiecie, niezależnie od wieku! Jutro pójdzie je obejrzyć, trzeba będzie szeroko otworzyć portfel, bo wiedział, że będzie to droga impreza. U słynnego Apfelbauma ceny sięgały pięciuset i więcej złotych.

Tego dnia zapomniał o tym, że ma do wyrównania rachunki z Frankiem Wlazłą i że powinien poświęcić czas na brydża, by zbliżyć się do Ireny Leszczyckiej. Najważniejszy był zakup futra dla Stefy. Zaczął od Murdziela, gdzie na samych Nalewkach mieli swoje składy Gotlib, Gliner i Eitingon, a na Kapucyńskiej i placu Krasińskich sprzedawał Jasek Rapaport. Obok, po sąsiedzku, także na placu Krasińskich, urzędowali bracia Karmazyn, a kawałek dalej, na Świętojerskiej, Weisbrodtowie, Ekhausowie, Tajcz i Fenigsztejn. Był też i polski sklep Józefa Borowskiego na Długiej. A to tylko te, o których wiedział, te najbardziej renomowane, bo były jeszcze te mniejsze, poupychane wśród setek sklepów i straganów Handlowej i Pasażu Simonsa. Oczywiście mógł pójść także w Aleje Ujazdowskie, na Nowosenatorską, Bielańską, na Krakowskie do Szmidta, który reklamował się w „Kurierze”, że ma najdoskonalsze ceny, oraz na Nowik[81], gdzie sprzedawali

najsławniejsi z najślawniejszych: Apfelbaum i Chowańczak.

Arpad Chowańczak zakasował konkurencję, sprzedając najmodniejsze wśród warszawskich elegantek lekkie futerka na lato. Heniek mógł zwiedzić te wszystkie miejsca i dostać prawdziwego oczopląsu, aż w końcu poszedł na łatwiznę. Wstąpił do Hersego. Dom Mody nie działał pełną parą, bo kilka miesięcy temu spłonął dach i czwarte piętro, na którym mieściły się pracownie krawieckie i szwalnie. Ucierpiało także trzecie piętro, gdzie mieszkali lokatorzy, ale na szczęście zniszczenia nie sięgnęły dolnych kondygnacji, drugiego piętra, gdzie mieli swe biura i apartamenty właściciele, oraz pierwszego poziomu i parteru mieszczącego Dom Mody. Nawet po Chicago i Nowym Jorku Herse robił wrażenie. Nie był tak wielki, jak te amerykańskie świątynie zbytku, ale wstydu Warszawie nie przynosił. Drzwi z paryskim szykiem otwierał elegancko ubrany portier, a parter pełen najlepszych materiałów, z których modyści Hersego mogli uszyć najmodniejsze ubrania, był tylko zapowiedzią tego, co znajdowało się na pierwszym piętrze. Wiodły na nie marmurowe schody, przez co klient czuł, że jest nie w domu, lecz w pałacu mody. Na piętrze królowały paryskie nowości, tak że nawet elegantki, które wróciły właśnie z Francji, nie czuły się rozczarowane. Tam też można było zdjąć miarę, bo Herse szył także na zamówienie oraz robił poprawki, dopasowując gotowe ubrania, by te leżały jak ulał. Na to Heniek nie miał czasu, a poza tym miała to być niespodzianka. Był tu już ze Stefą, więc znali jej wymiary, a pamiętający młodą damę subiekci szybko dobrali zestaw, którego ozdobą było futro z sobola syberyjskiego. Heniek szybko jednak pojął, że futro, choć piękne, nie nadaje się na wrześnieowy wieczór. Na wyjście w nim będzie musiała poczekać przynajmniej do końca października. Na siostrze się nie oszczędza, więc kupił jej także

etolę. W dniu urodzin Stefa popłakała się z radości.

– Heniu! – Nie mogła uwierzyć w to, co się wyprawia. Przymierzała przed lustrem futro i myślała, że śni. – Czy to wszystko dzieje się naprawdę?

– Tak i to jeszcze nie koniec.

Heniek wyjął z torby sobolową etolę i założył ją Stefie na ramiona.

– Mój Boże! – Tyle tylko była w stanie powiedzieć.

– Stefciu, to jest prezent dla ciebie, w którym zadebiutujesz w najbliższą sobotę w operze. Zaprosił nas mój przyjaciel hrabia Walewski.

Siostra rzuciła mu się na szyję.

Przed przedstawieniem spotkali się u Simona i Steckiego przy Krakowskim Przedmieściu. Stefa zaprezentowała się olśniewająco, podobnie zresztą jak siostra Leopolda. Maria była piękną blondynką o klasycznej urodzie. Ubrana była na pozór powściągliwie, ale jej prostą suknię zdobiła dyskretna, choć niezwykle kosztowna biżuteria. Heniek podziękował Bogu, że wpadł na pomysł, by już teraz obdarzyć siostrę etolą. Widać, że dodawało to Stefie pewności siebie, nie tylko zresztą to. Siostra zaskoczyła go znakomitą znajomością opery.

– To wybitna inscenizacja, idzie z wielkim powodzeniem już kolejny sezon! – zaczęła rozmowę. – Tak czytałam, bo słucham arii tylko z płyt i czytam o operach w gazetach.

– Byłem w operze, gdy partię Mefista śpiewał Szalapin – ożywił się hrabia. – Dziś go nie usłyszymy, ale podobno ma zjechać z Nowego Jorku sam Adam Didur! To nasze nadzieje, ale za to występ Kiepury jest gwarantowany! – Leopold Walewski mówił z ogromną pasją.

– Jan Kiepura? – zapytał Heniek.

– Oczywiście, że Jan, jego brata Władysława usłyszymy już

dzisiaj.

– Ach, usłyszeć ich razem, Didura i Kiepurę, wielkich polskich śpiewaków! – rozmarzyła się Stefa.

Heniek pomyślał, że lepiej było się nie odzywać, bo walnąłby gafę. Owszem, jako jedyny w tym towarzystwie był w nowojorskiej Metropolitan Opera, ale nie miał pojęcia, że śpiewak nazwiskiem Didur, którego tam słyszał, jest Polakiem.

Gęba na kłódkę, bo zaliczysz popisową wpadkę, rozkazał sobie. Z zamyślenia wyrwał go głos Marii, która podobnie jak on, dotychczas milczała.

– Panie Henryku, a pan nie interesuje się muzyką?
– zapytała beznamiętnym tonem, ale tembr głosu, dość niski jak na kobietę, nie był mu obojętny.

– Bywałem w operach w Nowym Jorku i Chicago, podobno jednych z najlepszych na świecie, i w Nowym Jorku widziałem nawet na scenie pana Didura, ale nie zostałem przyjacielem tej sztuki.

– Nie lubi pan muzyki, co pan zatem tutaj robi? – zapytała, jakby była księgową, która podliczając sumy, potwierdza wynik rachunku.

– Na razie jesteśmy w dobrym lokalu, a ja lubię dobre jedzenie i trunki – zaśmiał się Heniek. – Ale przede wszystkim jestem z państwem dla towarzystwa, a dla towarzystwa...

– Jeden Cygan dał się zaciągnąć do opery? – ucieszył się Leopold Walewski.

– Właśnie, dla dobrego towarzystwa można nawet pójść do opery.

– Pan się dla nas poświęca? – W pytaniu Marii była lekka ironia.

– Byłem i jestem zdolny do poświęceń, a czy państwo by się poświęcili i poszli posłuchać mojej ulubionej muzyki?

– A więc pan słucha jakiejś muzyki! – W pytaniu nie było radości, po prostu suche stwierdzenie faktu.

– Oczywiście, bo nie powiedziałem, że jej nie lubię i nie słucham, mówiłem tylko, że opera to nie jest to, co lubię najbardziej.

– A co pan lubi? – zapytała, zachowując ten sam obojętny, beznamiętny wyraz twarzy.

Nie mógł jej powiedzieć, co lubiłby teraz najbardziej i czego zaczął pragnąć, gdy tylko ją zobaczył. Najpierw spodobała mu się tak po prostu, bo była piękna i kobieca, ale gdy zaczęła mówić, gdy podjęła z nim rozmowę, poczuł, że obejmuje władzę nad jego wyobraźnią i poczynaniami.

– Najbardziej lubię jazz – powiedział spokojnie i rzeczowo, bez szczególnej ekscytacji.

– Jazz? – Po raz pierwszy Maria wykazała cień zainteresowania. – Ja także uwielbiam jazz, a operę uważam za nudną, przereklamowaną.

– Marysiu!

– Leopoldzie! Odpowiadam za własne gusta, a ty jako artysta za swoje. Nie rozumiem jednak, jak człowiek o tak nowoczesnych poglądach jak twoje może być takim konserwatystą!

– Nie jestem konserwatystą, bo jak nim może być ktoś, kto pasjami czyta skamandrytów?

– Każdy ma prawo do swojego wyboru! – włączyła się Stefa. – Ja także uwielbiam skamandrytów, ale od jazzu wolę operę!

Wydawało się, że hrabia za moment uklęknie przed Stefanią.

– Pani mnie rozumie!

– Pani Stefania nigdy cię nie zrozumie – zaśmiała się

Walewska. Heniek dostrzegł w tym coś pomiędzy strofowaniem a złościwością. Siostra zgasiła brata jednym celnym zdaniem, po czym zwróciła się do niego: – Panie Henryku, Poldek mówi, że mieszkał pan w Ameryce, a więc musiał pan bywać na koncertach.

– Bywałem i to dość często.

– Będzie mi pan musiał o tym opowiedzieć. – Ton głosu Marii wrócił do obojętności. – Obiecuję pan?

– Tak, obiecuję!

W tym momencie do stolika podszedł mężczyzna w średnim wieku.

– Przepraszam, że przeszkadzam i przerywam, jak sądzę, interesującą dyskusję, ale u mnie przede wszystkim się je!

– O, pan Jordan! – Hrabia ucieszył się jak małe dziecko.

– Co za niespodzianka!

– Najlepszych gości staram się obsługiwać osobiście!

– Pan Józef Jordan jest właścicielem lokalu! – przedstawił mężczyznę Walewski.

– A nie Simon i Stecki? – zapytała Stefania.

– Nie tylko, szanowna pani.

Józef Jordan skorzystał z pauzy i zaczął układać listę zamówień.

– Polecam państwu zacząć od kieliszka starki, jak wiadomo nasza jest najprzedniejsza. Oczywiście są tacy, którzy narzekają „a gdzie jej tam do korkozowiczówki”, ale dziwnym trafem mówią tak po pierwszej, a później zamawiają trzy, cztery kolejne i to mimo ceny!

– Mnie to nie przeraża, górę bierze ciekawość – powiedział Heniek.

Nie widząc znaku protestu, pan Jordan dał znać i zza jego pleców wyszedł kelner z tacką, na której stały cztery zgrabne

kieliszki.

– Moja siostra musi jeszcze poczekać...

– Pardon – skłonił się kelner.

– Skoro państwo się na mnie zdają, polecam śledzia w oliwie, sardynki i befszyk po tatarsku! – Pan Jordan zarządził, co będą jeść na przystawki.

Właściciel oddalił się bezszelestnie, a jego miejsce zajęli kelnerzy, którzy ustawili na stole zakąski.

– Bałem się, że zamówi pan całą butelkę – powiedział hrabia.

– Byłby to nietakt?

– Raczej bankructwo, musi pan wiedzieć, że wołają za nią trzysta złotych.

– A myślałem, że nie ma nic droższego niż dobra whisky w Chicago – zdziwił się Heniek.

– To dobre, tutejsza nalewka droższa od najdroższego trunku w Chicago! – odezwał się Walewski.

– Tego nie powiedziałem – zaśmiał się Heniek – trzysta złotych to drogo, ale to niespełna czterdzieści dolarów – za tyle w dobrym lokalu trudno o szampana!

Hrabia kiwnął głową, po czym coś zanotował. Heniek zauważył, że to już kolejna notatka, którą Leopold Walewski robi w jego towarzystwie.

Zjedli potem łososia i kartofle z masłem. Podano czerwone wino. Co prawda hrabia chciał zaprotestować i domagał się chablis, ale przy stoliku ponownie pojawił się Jordan i powiedział krótko:

– Panie hrabio! Skończmy z przesadami, że białe do ryb, a czerwone do mięs. Dobre wino pasuje do każdej potrawy.

Gdy zjedli i popili, Józef Jordan zaproponował kwiczoły, a po nich po kieliszeczku słodkiego, zimnego Château d'Yquem

oraz gruszki po kardynalsku.

To była iście królewska uczta! Po niej nastąpił równie królewski finisz. Gospodarz zaprosił ich na kawę do piwniczki, gdzie zaprezentował swoje wina. Na ich próbowanie nie było już czasu, do Teatru Wielkiego ruszyli pieszo, by się przewietrzyć i nieco odsapnąć po obfitym posiłku. Na pożegnanie wyszedł jeszcze do nich z kuchni mistrz Jan Ostrowski, a kolejni mistrzowie, śpiewu i muzyki, czekali już w operze. Władysław, młodszy brata Jana Kiepury, Tola Mankiewiczówna[82] i uznany dyrygent Grzegorz Fitelberg. Po przedstawieniu wszyscy z wyjątkiem Heńka zachwycali się widowiskiem, a hrabia popisami baletowymi.

Gdyby nie obecność Marii, Heniek uznałby ten wieczór za stracony, opera nie była jego żywiołem, a baletu wprost nie znosił. Wolałby pójść najpierw do Wróbla, później do kabaretu, następnie do Gastronomii dojeść i posłuchać jazzu, a na koniec zahaczyć jeszcze o jakiś szynk. Uważał, że trzeba zrzucić maskę. Trunki wypite u Simona i Steckiego oraz szampan z teatralnego baru dodały mu kurażu.

– Państwo wybaczą, ale jestem szczery, dla mnie balet to taka gimnastyka w rajtuzach, to mało męskie! – wypalił Heniek.

Hrabia zrobił oburzoną minę, a jego siostra zaśmiała się, jakby nie była hrabiną, lecz zwykłą kuchcią.

– Słyszysz, Poldek? Mało męskie! Brawo, panie Henryku.

– Za napaść na balet zrewanżuję się panu, bijąc go na polu golfowym! Wyzywam pana na szlachetny pojedynek!

– Umawiamy się, umawiamy i nie możemy się jakoś spotkać! – zaśmiał się Heniek. – Sądzę, że po takim wyzwaniu stoczymy w końcu pojedynek. Zanim jednak rozbije mnie pan na polu golfowym, zapraszam jutro na obiad do Wróbla. Wybaczą państwo, ale nie mam aż tak wyszukanego gustu i cieszą mnie

proste dania.

– Nie pana jednego, a zresztą Wróbel to nie tylko jedzenie, to przede wszystkim ludzie. Wróbel i Ziemiańska to światy, które się przenikają, pozwolicie, że zaproponuję, byśmy najpierw wypili coś w Ziemiańskiej, a później poszli obok na obiad. Na desery znów zasiądziemy w Ziemiańskiej.

– Oczywiście, jeśli państwo tak sobie życzą...

– z entuzjazmem wykrzyknął Heniek.

– Państwo, to znaczy Leopold – odrzekła na to Maria Walewska. – Ja jutro będę towarzyszyła rodzicom.

Heniek był rozczarowany, ale nie dał tego po sobie poznać. Ustalili jeszcze szczegóły jutrzejszego spotkania i się rozeszli. Heniek przystanął i popatrzył na oddalających się Walewskich. Podziwiał sylwetkę i wspaniałe nogi młodej hrabiny. Szkoda, pomyślał. Wielka szkoda, ale świat nie kończy się na tej sobocie, świat nie kończy się od dziś także na prezesowej Leszczyckiej.

Nagle poczuł narastające emocje, które zgasiła Stefa.

– Heniu, braciszku drogi, dziękuję ci za ten wieczór, dziękuję raz jeszcze za te wszystkie sprawunki i prezenty oraz to nadzwyczajne towarzystwo!

Spojrzał na swoją siostrę, która wyglądała kwitnąco i miała promienny uśmiech. Etola z soboli, opera i wreszcie towarzystwo sprawiły, że ten wieczór należał do najszcześniejszych w jej życiu. Pomyślał, że tak jak on patrzył na Marię Walewską, tak z pewnością inni mężczyźni spoglądali na Stefanię. Leopold Walewski także, to oczywiste, widział te jego badawcze spojrzenia i pełne natchnienia oczy.

– Miły ten hrabia. Jak na arystokratę wcale nie wyniosły i żaden mądraliński – zagaił Heniek.

– Tak, pan Leopold to niezwykle ujmująca postać, szarmancki, przystojny i taki...

– Jaki?

– Nie potrafię ci opisać, braciszku. – Stefa zmarszczyła brwi. – On jest jakiś inny niż wszyscy. To mnie w nim pociąga najbardziej.

– A więc arystokraci mają w sobie to „coś”?

– Być może, ale to jest coś zupełnie innego, nie potrafię tego opisać.

Wrócili do domu tuż po północy.

– Późno, panienki takie jak ty powinny grzecznie spać!

– Ale będę mogła pójść jutro razem z tobą? – zapytała Stefa.

– Przecież to było zaproszenie dla nas dwojga!

Stefa rzuciła mu się na szyję.

– Heniu, jesteś taki kochany, tak się cieszę na to wyjście!

– Tak bardzo podoba ci się Leopold Walewski?

– Braciszku! – Stefa tupnęła nogą. – Nie tak bardzo jak tobie panna Maria. Nie patrz tak na mnie, to widać... A co do Leopolda Walewskiego, to piękny mężczyzna, interesujący, inteligentny, ale nie dla mnie!

– Uważasz, że byłby to mezalians?

Stefa się zaśmiała, czym kompletnie zaskoczyła Heńka.

– Mezalians? Może i tak, ale kobiety też mają coś do powiedzenia! Po prostu hrabia nie jest w moim typie, jest taki... – Stefa szukała właściwego słowa. – Nie potrafię ci powiedzieć, nie wiem, jak to nazwać, ale... Wyobrażam sobie Leopolda Walewskiego jako wspaniałego przyjaciela, ale nie jako kochanka. Podoba mi się, czuję z nim nić porozumienia, ale tak bardziej jak z bratem.

Facet facetki nigdy nie zrozumie, pomyślał Heniek, po czym wziął gazetę i zaczął czytać kolejny odcinek powieści Dołęgi-Mostowicza *Ostatnia brygada*. Bohater książki Andrzej

Dowmunt przypominał mu jego samego. Był to człowiek, który zrobił pieniądze w Afryce i wrócił do Polski. Dowmunta mierzi to, że otaczają go karierowicze i cwaniacy, którzy wypływają na koneksjach i polityce. To mu się nie kleiło, bo skoro tak jest w Chicago, to jak się robi kariery w Afryce? Reszta jednak go poruszyła, bohater uwikłał się w romanse z młodą arystokratką oraz z żoną bankiera, która okazała się agentką sowieckiego wywiadu. Leszczycka agentką? Bez żartów, ale mimo wszystko ten fragment książki zabrzmiał jak alarmowy brzęczek. Zlekceważył go jednak. Ma jak Dowmunt forszę przywieziona z zagranicy i myśli o romansach z podobnymi kobietami, ale nie jest frajerem wymyślonym przez pisarza. Da sobie radę. Wypił jeszcze szklaneczkę burbona i usnął.

W niedzielę, zgodnie z planem, poszli do Ziemiańskiej. Dla Stefy było to niezwykle przeżycie, patrzyła na półpiętro, gdzie przy swoim stoliku siedzieli ludzie, których książki i wiersze czytała. Oniemiała, gdy Walewski wymienił z nimi porozumiewawcze spojrzenia, po czym przeprosił Heńka i Stefanię i udał się do stolika artystów. Gdy hrabia rozmawiał z poetami i pisarzami, Stefa wyszeptała Heńkowi do ucha:

- To niebывałe, on ich wszystkich zna!
 - Wielkie mi halo, wystarczy tu przychodzić.
 - Ale on ich nie zna tak jak ty, z bywania, widzenia i picia kawy w jednym wnętrzu, on... On jest jednym z nich!
 - Ach, poeta! To jest to coś niezwykłego, co ma w sobie pan Leopold?
 - Chyba tak!
- Przerwali, bo hrabia wrócił do stolika.
- Tuwim, Julian Tuwim, pan go zna!
 - Słonimskiego i Wierzyńskiego także.
 - A ten piękny mężczyzna, który też podszedł do stolika

i z którym pan tak szeptał na ucho?

– Ależ to Gombrowicz – powiedział z nieukrywanym zachwytem Walewski. – Witold Gombrowicz, postać absolutnie fenomenalna!

– To literat?

– Tak już można powiedzieć! Jego debiut będzie absolutną sensacją!

– Czytał pan? – Stefa nie mogła ukryć emocji.

– Tak, fragmenty, nie mogę się doczekać. Podobno Rój się nim interesuje – mówił podekscytowany Leopold.

– Debiut w Roju, to znaczy, że dostrzegają w nim poczytnego pisarza! – Oczy Stefy wręcz płonęły.

– Ale tu nie o poczytność chodzi, a o spojrzenie i odwagę. On planuje zbiór opowiadań. Jeśli całość będzie taka jak fragmenty, które poznałem, to będzie to coś rewolucyjnego!

– Doprawdy? – Stefania była rozemocjonowana. – Jak by go pan określił?

– Konserwatywny rewolucjonista – Hrabia powiedział to z pasją, patrząc na Gombrowicza, który już przy innym stoliku rozprawiał z grupką młodych ludzi.

– Konserwatywny rewolucjonista?

– On nie zna tabu, on będzie szokował!

– Jak Witkacy? – wtrącił Heniek.

– Inaczej – uśmiechnął się Walewski. – Gombrowicz nie jest dziwakiem, ale podobnie jak Witkacy chce walczyć z kołtuństwem i dewocją. Widzi też nierówności społeczne i zakłamanie elit, ale broń Boże nie jest socjalistą. Nie ukrywam, że opowiadanie, które czytałem, *Biesiada u hrabiny Kottubaj*, nie spodobałoby się moim rodzicom. On to napisał już dwa lata temu, czas najwyższy, by to dzieło ujrzało światło dzienne[83]!

Cała trójka piła herbatę, a Heniek z hrabią pozwolili sobie

wypić po kieliszku sherry.

– No to jesteśmy już chyba gotowi na zmianę lokalu.

– Bardziej zarządził, niż zapytał Heniek.

Byli już głodni, choć Stefa najbardziej obecności znanych literatów.

– Jak tu wrócimy, to na pewno będą albo sami zgłodnieją i przyjdą do Wróbla – uspokoił ją Walewski.

Heniek zapłacił rachunek, co było znakiem, że idą na obiad.

– Przeflancowujemy się do Wróbla, panie hrabio!

– Przeflancowujemy! Ależ pan to pięknie nazwał!

Cudownie pan to wymyślił, doprawdy cudownie.

– Ależ ja niczego nie wymyślam, tak mówi większość ludzi w tym mieście!

– Ale ja ich nie znam – uśmiechnął się czarująco Leopold Walewski. – Ja znam garstkę tych z górki w Ziemiańskiej, trochę arystokracji, oficerów, aktorki, drogich krawców, kierowników sal...

– Ładna mi garstka – skomentowała wyznanie hrabiego Stefa.

– Pani się wydaje, że te moje znajomości są takie... Takie nie wiadomo jakie. Ci tam, z górki, w zasadzie tolerują mnie ze względu na mych arystokratycznych przyjaciół. Tonio Sobański, Jaś Tarnowski oraz ich kolega Julek Sakowski są tam na prawach beniaminków, oni tam czasem siadają, a ja... Dla mnie ten parnas jest – hrabia szukał odpowiedniego słowa

– nieprzysiadalny!

– Pięknie pan to ujął. – Stefa chwyciła hrabiego za rękę.

– Czuć w panu poetę!

– Nieprzysiadalność... – uśmiechnął się hrabia. – Gdybym tworzył takie słowa na poczekaniu, gdybym je łączył z innymi, tobym był poetą, albo gdybym znał więcej takich jak

przeplacowanie, meduza czy mikadka, to wiedziałbym, jak pisać o prawdziwych ludziach i prawdziwej Warszawie, a ja, droga pani Stefanio, ślizgam się jedynie po powierzchni. Nieprzysiadalni, co emanują nieprzysiadalnością, tak ich nazwał młody poeta, który już tam z nimi siaduje, a na pewno ma miejsce koło Gombrowicza. Bo widzi pani, Witold ma własny stolik, a ja?

– Pan ma nas! – Stefa raz jeszcze ścisnęła Leopolda Walewskiego za rękę. – Pan ma nas – powtórzyła. – Chyba że nasze towarzystwo jest zbyt mało znaczące... Wiem, że tak jest, ale my pana lubimy!

– Ach, dziękuję pani, i proszę tak o sobie nie mówić! Dzięki państwu mój stolik jest teraz najważniejszy, bo siedzę z najpiękniejszą kobietą w Warszawie. – Hrabia ucałował dłoń Stefanii. – I z jednym z niewielu prawdziwych mężczyzn w tej sali. Może jak wpadnie Wieniawa, to będzie was dwóch!

– Schlebia nam pan, panie hrabio!

– Droga pani Stefanio, proszę przestać mówić do mnie „panie hrabio”. Jestem po prostu Leopold Walewski, dla przyjaciół Poldek! Czy możemy przejść na ty?

– Oczywiście, trudno nie przystać na taką propozycję!

Heniek machnął ręką na kelnera i zamówił po kieliszku wódki dla siebie i Leopolda Walewskiego oraz kieliszeczek sherry dla Stefy. Wypili bruderszaft i cmoknęli się jak z dubeltówki. Wtedy Heniek zobaczył przechodzącą przez salę znajomą postać, zerwał się natychmiast i krzyknął:

– Kapitanie!

Nie było żadnej reakcji. Poderwał się i położył przechodzącemu mężczyźnie dłoń na ramieniu.

– Kapitanie Broniewski! To ja, Heniek Wcisło.

Broniewski odwrócił się, spojrział na Heńka i padł sobie

w ramiona.

– Pamiętam cię! Odwrót, Drohiczyn, Białystok! Dostałeś Krzyż Walecznych?

– I krzyż, i awans na kaprala, panie kapitanie!

– A nie prosiłem cię, żebyś tak do mnie nie mówił?

– Tak jest, panie poeto!

– Tak mi mów, tak mi mów! – zaśmiał się Broniewski.

– Co u ciebie? Pamiętam, że byłeś w jakiejś szkole technicznej, to teraz, jak widzę, musisz być inżynierem!

– Ale gdzież tam, wyszło inaczej.

– Ale radzisz sobie, a ta piękna młoda kobieta? – zaszeptał mu do ucha.

– To moja siostra.

– Piękna, bardzo piękna.

– Podobno...

– Nie podobno, na pewno!

– Co innego miałem na myśli, podobno pan... – Mimo wszystko krępował się swojego pytania.

– Tak, siedziałem. Siedziałem w słusznej sprawie, ale dlaczego mówisz podobno?

– Nie było mnie wtedy w Polsce, spędziłem parę lat w Ameryce.

– Musisz mi kiedyś o tym opowiedzieć, miło było, ale na mnie już czas. Czekają w Ziemiańskiej.

– Na półpiętrze?

– Ja? Z nimi? Na tym targowisku próżności? Owszem, ja się z nimi wszystkimi witam, ale nie dla nich tam przychodzę, moje miejsce jest na zapleczu. Jeden z właścicieli, Karol Albrecht, to mój serdeczny przyjaciel z lat szkolnych, chodziliśmy w Płocku do tego samego gimnazjum. Ja tu wpadam całkowicie prywatnie!

– No, to rozumiem. Nie pasował mi pan do tego przedstawienia!

– Bywaj!

Pożegnali się i Heniek wrócił do stolika.

– Ja poetów znam o tyle o ile, można powiedzieć, że znam tych, co ich znają, a ty, Henryku, jesteś przyjacielem Broniewskiego! – rzucił hrabia.

– Nie przyjacielem, a podwładnym – zaśmiał się Heniek.

– Służyłem pod nim w czasie wojny z bolszewikami.

– Zaskakujesz mnie coraz bardziej.

– Przecież mówiłem ci, że byłem na wojnie. – Heniek wzruszył ramionami.

– Ale ta zażyłość ze wspaniałym poetą, zazdroszczę ci tego. Twoje znajomości, wojna, Ameryka, niezwykle doświadczenia... Zapewne znasz historie, które mógłbyś zamienić na książki.

– Czytać, czytam, ale nie piszę.

– A ja piszę, to znaczy próbuję pisać – nieśmiało wtrąciła Stefa.

– To proszę pozwolić mi przeczytać. Czy to poezja?

– Na razie na to za wcześnie.

Na stół wjechały zupy, zaczęła się prawdziwa uczta, bo u Wróbla zawsze można było liczyć na duże porcje i nikt nie wychodził stąd głodny.

Panowie chętnie by jeszcze zostali, ale matura Stefy była coraz bliżej, ustalili, że Heniek odwiezie siostrę do domu i szybko wróci taksówką.

– Ale już nie do Ziemiańskiej – zaordynował Leopold.

– Spotkajmy się na placu Saskim w IPS, w Instytucie Propagandy Sztuki, jest tam coraz modniejsza kawiarnia.

– To ten nowomodny budynek koło Fiata i Victorii?

- Dokładnie ten, jeszcze tam nie byłeś?
- A czy ja jestem artystą? – Heniek udał oburzenie.
- Pewno w jakiejś dziedzinie tak. W zarabianiu pieniędzy z pewnością.
- Wolałbym nim być w dziedziczeniu!
- Henryku, to było zupełnie niepotrzebne. – Hrabia zrobił minę rozczarowanego klienta sklepu, który przy kasie dowiaduje się o astronomicznej zapłacie.
- A jak tam ze stolikami w tym IPS-ie? Czy to jest lokal z taką samą jak w Ziemiańskiej nieprzysiadalnością? – zapytał Heniek.
- Tam panują trochę inne zasady. Pospiesz się, to zobaczysz!
- Hrabia pożegnał się ze Stefanią, a Heniek zatrzymał taksówkę. Ruszyli w kierunku domu.
- Nie wiedziałam, że znasz Broniewskiego.
- Wydawało mi się, że o nim opowiadałem.
- Jak wróciłeś z wojny, byłam malutka.
- To fakt.
- Wielu rzeczy o tobie nie wiem...
- Tak jak my nie wiemy o Leopoldzie Walewskim.
- Wszyscy są pełni zagadek.
- Ja też.
- Być może, siostrzyczko – zażartował Heniek.
- Ale nie tak wielkich jak ty.
- Zaśmiał się, ale nagle pojął, że Stefa nie żartuje. Zapadła krępująca cisza. Wysiedli z taksówki.
- Kiedyś ci o wszystkim opowiem.
- Opowiesz, gdy naprawdę będziesz chciał mówić wszystko od A do Z.
- Młodsza o dziesięć lat siostra zapędziła go w kozi róg. Po

tych słowach nie miał jej już kompletnie nic do powiedzenia. Domyślać mogła się wiele, bo przecież jej podwójny, pisany pod dyktando pamiętnik był dla policji dowodem na jego niewinność i pomyłkę aspiranta Denhela, ale nawet połowa z prawdziwej historii jego życia byłaby dla niej wstrząsem.

Odprowadził Stefę pod drzwi i chwycił ją za dłonie.

– Nie mogę ci o wielu sprawach opowiedzieć...

– To milcz. Ja nie będę pytała. Jedź z powrotem, Leopold pewnie się niecierpliwi.

– Mam nadzieję, że mi kiedyś wybaczysz.

– Wybaczam ci wszystko już teraz.

Heniek się uśmiechnął.

– Ależ ty nie wiesz, co masz do wybaczenia!

Stefa położyła palec na ustach.

– Jedź, dziękuję ci za wspaniałe popołudnie. Za wszystko ci dziękuję.

Ucałowała go i weszła do mieszkania. Czuł, że mówiła szczerze, że domyślała się tego i owego, ale go kochała i wierzyła, że robił to, co musiał robić.

Zbiegł na dół i wskoczył do auta. Taksówka szybko obróciła na plac Saski. Heniek zapłacił i wkroczył do kawiarni. Lokal był tak naprawdę dziedzińcem między pawilonami wystawowymi, tam pod parasolami stały stoliki. Nie padało i nie było gorąco, więc parasole były zwinięte i mógł w pełnej krasie zobaczyć młode, modne warszawskie towarzystwo. Na jego widok Leopold zerwał się i ruszył w jego kierunku, złapał go pod ramię i triumfalnie prowadził, jak jakiegoś bohatera, w kierunku stolików.

– Proszę państwa, to właśnie jest mój przyjaciel, pan Henryk Haas, Amerykanin i warszawiak...

– Pełną gębą? – zawołał ktoś.

– Dokładnie tak! Fascynująca postać i uwaga, panowie...
– hrabia wzniosł palec do góry – brat przecudownej panny Stefanii.

Hrabia przedstawił kolejno swoje towarzystwo. Mało kto nie był malarzem, pisarzem lub aktorem albo tancerzem. Byli młodzi, sympatyczni, kompletnie beztroscy i rozmowni. Kolejna sesja opowieści o Ameryce. Chicago, Nowy Jork, Kalifornia, Atlantic City, jazz, prohibicja, gangsterzy, wodewile. Powinien nagrać płytę albo wystąpić z pogadanką w radiu, bo ciągle pytają go o to samo. Niektórzy myśleli podobnie.

– Pewnie wszystkim pan opowiada to samo? – zapytała go modnie ubrana szczupła kobieta, którą Poldek przedstawił jako pannę Aldonę Glock. Była w tym towarzystwie kimś, tak się przynajmniej wydawało. Miała pod trzydziestkę, ale ubierała się jak flapperka.

– Z grubsza tak – odpowiedział.

– To niech pan napisze książkę, niech pan będzie drugim Sienkiewiczem! – zażądała. Tak, zażądała, była pewna siebie, a w jej niskim głosie i postawie było coś władczego.

– Zdecydowanie tak – ktoś krzyknął. – Powinien pan spisać wspomnienia i zawołać do czytelników: Panowie, idę po was!

– Dlaczego tylko panowie? – Modnie ubrana kobieta wypowiedziała te słowa z pretensją. – Ameryka to raj dla kobiet!

– Nie wszystkie, droga pani, są flapperkami i mogą się czuć wyzwolone i niezależne.

Rozgorzała dyskusja o Ameryce, nowoczesności i przyszłości.

Dobrze, że nie o sztuce, pomyślał Heniek.

Po paru minutach rozmowa toczyła się już w mniejszych grupkach, a nawet w parach. Heniek zbierał się już do wyjścia, bo chciał się wypać przed golfowym pojedynkiem z hrabią.

Poczuł w końcu, że jest sam, i chciał się podnieść z krzesła, gdy usłyszał:

– Panie Henryku!

Była to panna Glock.

– Słucham panią?

– Czy kobieta taka jak ja byłaby nazywana w Ameryce flapperką?

Pytanie było postawione mocno, ona sama sprawiała wrażenie napiętej, jakby gotującej się do skoku. Była jak dzika kotka, co się łąsi po to, by ugryźć lub zadrapać.

– To się okaże.

– A co mam zrobić? – zapytała, zaciągając się papierosem.

Wyglądała, jakby oczekiwała jakiegoś zadania.

Heniek wyjął z kieszeni małą piersióweczkę i podał ją Glock.

– Mam się napić? – Sprawiała wrażenie rozczarowanej.

– Nie, piliśmy już tego wieczoru. Ma pani schować tę buteleczkę za podwiązkę, a później mnie poczęstować.

– Schować ją mogę w toalecie, ale nie będę jej wyciągała na widoku!

Panna Glock nie wyglądała na osobę, która by się mogła wstydzić.

– Nie żądam, by robiła to pani przed całym towarzystwem.

– Czy u pana w domu jeszcze ktoś będzie, wtedy także czułabym się zawstydzona? – Glock uśmiechnęła się niepewnie, opierając palec o wargę, jak pensjonarka, ale taka goła od pasa w górę, z fikuśnego zdjęcia sprzedawanego na bazarze spod lady.

– Musimy to sprawdzić, ale nie sądzę. Jeśli ktoś wprowadził się do mojego pokoju w Grandzie, to wynajmę nowy – powiedział i skłonił się z galanterią.

– Jest pan przygotowany na wszystko.

– Na wszystko i ciebie, a to więcej niż wszystko.

Te słowa wyraźnie ją rozbudziły.

– Idziemy! – Jej głos, dość niski i lekko zachrypnięty, teraz stał się jeszcze mocniejszy.

– Ale najpierw wsadź za pończoszkę piersiówkę z whisky.

Tak zrobiła, a za dwadzieścia minut w Grandzie Heniek wyjmował ją na powrót. Glock była jak wulkan, zaborcza, niemal brutalna. Chciała przejąć inicjatywę, miał wrażenie, że w pewnym momencie zaspokoi nie tylko jego, ale samą siebie.

– Wolniej...

– Szybciej, mocniej, nie bądź taki delikatny, bądź zaborczy, brutalny!

Może by i był, ale nie wlał się tak, żeby robić jakieś cudactwa. Wreszcie nastąpił koniec. Lepiej taki niż żaden.

Rano, gdy się obudził, Aldony Glock nie było już w łóżku. Wygląda na to, że dostała to, czego chciała, i wyszła. On zresztą też otrzymał to, czego pragnął, a jej nieobecność przyjął z ulgą. Kobieta powiększyła swą kolekcję kochanków, a on osiągnął zaspokojenie. Myślami był jednak gdzie indziej, w jego głowie toczył się pojedynek między Ireną Leszczycką i Marią Walewską. Dojrzała mężatka i młoda arystokratka, obu ich mieć nie będzie... Dla pierwszej nauczył się grać w brydża, ale nie zamienił z nią nawet słowa, a druga weszła w jego życie z nienacką, obie zaś rozpałały wyobraźnię, którą próbowała opanować choć na chwilę panna Glock.

Poczuł, że znów wpakował się w historię z kobietami, które nie były dla niego. Najpierw Leokadia Rostocka, później Patricia i Priscilla. Nawet zwykła służąca z Mokotowskiej nie była dla niego, bo szykowała się do ślubu. Tu też jest pewnie jakaś pułapka. O Leszczyckiej, oprócz tego, że go pociągała i że była

dla adoratorów niedostępna, wiedział tyle, że ma męża. A siostra Leopolda? Ojciec, narzeczony, może także sam Poldek, który wzburzyłby się na wiadomość o tym, że bogacz z gminu pragnie jego siostry? I cholera wie, co jeszcze się za tym wszystkim kryje, pomyślał, paląc papierosa.

To „cholera wie co” najbardziej go niepokoiło, bo przecież miłość do Leokadii ściągnęła mu na głowę jej niespełnionego, zawistnego dobiegacza, który był aspirantem z Urzędu Śledczego, a w przypadku tych kobiet też każda z możliwych plag wydawała się realna. Miał na karku bandytę, z którym grał o życie, a tymczasem głowę zajmowały mu problemy z babkami, których jeszcze nie zdobył. Nie miał ich i nie miał problemów, które mogą za sobą pociągnąć, ale czuł, że jest to nieuchronne. Wiedział, że znów wpakował się w kłopoty, że już to przeżył. Jak na to mówią? Chyba *déjà vu*.

XXXIII

Uwikłanie

Wyprawę na pole golfowe zaczęli z samego rana. Po Heńka podjechał Miecio, a później z Alej Ujazdowskich zgarnęli hrabiego. Leopold Walewski skomentował wybór auta:

– Wóz dyskretny i uniwersalny – pochwalił, po czym zgłosił wątpliwość: – Ale czy twoja pozycja nie powinna wymagać posiadania jakiegoś odpowiedniejszego pojazdu?

– A niby jaka jest moja pozycja? Nie jestem gwiazdą jak Bodo czy Dymsza, nie potrzebuję się afiszować.

– Kobiety to lubią.

– Myślę, że i bez modnego auta dam radę.

– Zapewne tak, zapewne tak – zadumał się hrabia.

Z apartamentu Walewskich w domu dochodowym księżąt Woronieckich na pole golfowe było całkiem blisko, trzeba było tylko się puścić Agrykolą w dół, minąć Park Łazienkowski i koszary, po czym wyjechać prosto na stację pomp przy Czerniakowskiej.

– Stacja pomp, wodociągi – poinformował hrabia, tak jakby Heniek nie miał pojęcia, co się tam znajduje.

– Przecież wiem.

– Ale nie wiesz, jak się mówi na nasze pole?

– Tego akurat nie wiem – zaśmiał się Heniek.

– Na wodociągach! – triumfująco oznajmił Leopold.

– Okazuje się, że są dla ciebie w tym mieście też jakieś tajemnice.

– Przecenisz mnie!

– Ja, ciebie? – zachnął się Leopold. – Każde miasto ma swoją tajną arystokrację, nieformalnych baronów i księżęta, realnych władców ukrytych za fasadą urzędów i oficjalnej

struktury. Jestem pewien, że do nich należysz!

– A ja znakiem tego jestem szoferem, o pardon, stangretem i par excellence lokajem czy innem kamerdynerem! – nie wytrzymał i odezwał się zza kierownicy Mietek Kosiorek.

– Pan mi raczej wygląda na szefa książęcej gwardii!

– Dość tych żartów, bo jeszcze ktoś w to uwierzy!

Heniek próbował dowcipem zakończyć dyskusję, która zmierzała w niebezpiecznym kierunku. Hrabia zdawał się całkiem poważnie dochodzić do wniosku, że Heniek jest ważną postacią w szemranej Warszawie.

– Zdziwiłbyś się – dodał Heniek – jak bardzo mało wiem o tym, co się naprawdę dzieje w Warszawie. Na salonach jestem amerykańską atrakcją, a wśród szemranych kompletnie nikim, ot, chłopakiem z przedmieścia, który jest teraz piszpanem, co się dorobił.

– Piszpanem?

– Inteligencikiem, takim, co czyta, chodzi do teatru, może prowadzić księgowość i napisać podanie.

– Piszpan! – ucieszył się Walewski. – To też muszę zapisać!

– To dopisz pan jeszcze sobie gzysika – zaśmiał się Kosiorek. – Gzysika i powstańca!

– A to co znowu? – zaciekał się Walewski.

– Gzysik to pętaś, a powstaniec to gówniarzyna, co się chce wybić w ferajnie na dorosłego, poważnego gościa.

– Niesamowite, niesamowite – powtarzał hrabia i pracowicie notował.

Udało się zmienić temat dyskusji, a gdy już Leopold Walewski zdążył ołówkiem napisać w swoim kajeciku trzy nowe hasła, auto stanęło przed skromnym budynkiem klubu golfowego. Z domku wyszedł mężczyzna ubrany porządnie, ale

raczej w sposób bardziej pasujący do pracy w majątku niż w mieście.

– Witam panów!

– Panie kierowniku – Walewski zaczął prezentację: – Nasz nowy klubowicz, pan Henryk Haas, pan Jakub Holc, kierownik, buchalter, ogrodnik i bufetowy w jednej osobie.

– Jest pan człowiekiem orkiestrą! – skłonił się Heniek.

– A pan zapewne tym Amerykaninem, o którym opowiadał pan hrabia.

– Tak, pan Holc to prawdziwy człowiek renesansu!

– Ależ ja o panu słyszałem! – zawołał Holc.

– To dokładnie ten człowiek, o którym opowiadałem i którego gry jestem ciekaw!

– Herbatki? – zapytał Holc i nie widząc spodziewanej reakcji, dodał: – Herbatki z dużą ilością cukru?

– Tak, oczywiście, oczywiście – uśmiechnął się hrabia.

– Jest wcześniej rano!

Mówiąc to, zrobił porozumiewawczą minę, więc Heńkowi nie pozostawało nic innego, jak tylko kiwnąć głową. Holc przyjął to z ukontentowaniem i ruszył przygotowywać herbatę.

– To znaczy z koniackiem, ma się rozumieć! – zaśmiał się Walewski.

Wypili po herbacie z solidną dawką alkoholu i byli gotowi do dalszego ciągu poranka.

– Dziękujemy, zabieramy się do gry! – zarządził Walewski.

Heniek dobrał sobie kije i ruszyli na pole. Faktycznie było dość skromne, wręcz siermiężne. To nie było starannie zaprojektowane pod rozgrywkę pole, lecz dostosowana do gry łąka, uporządkowana dość tanim sumptem. Miało to jednak swój urok, w końcu atmosferę klubu tworzą ludzie i jego administrator. Klubowiczów nie znał, ale jeżeli są tacy jak

Poldek, to znaczy, że będzie tu w porządku. Także kierownik pola Jakub Holc przypadł mu do gustu. Weszli na tee, wtedy spod domku odezwał się kierownik Holc:

– Na pewno nie potrzebują panowie chłopców do pomocy?
– Damy radę, zagramy bez caddy! – odezwał się hrabia.
– Jesteśmy jeszcze młodzi, a pole małe.

– Niestety – westchnął ciężko Holc. – Warszawski Klub Golfowy ma plac tylko z dziewięcioma dołkami, ale jak na razie musi nam wystarczyć. To jeszcze nie jest popularna gra, na pewno golf nie jest rozrywką, która ma wzięcie takie jak tenis, nie mówiąc już o hippice czy myślistwie. I to nie tylko w Warszawie. Jednak ufam, że z czasem będzie coraz lepiej. Między stacją pomp, Nowosielecką i Bartycką jesteśmy dopiero pięć lat, ale już rozglądamy się za nową lokalizacją, sporo mówi się o Powsinie.

– To dużo dalej.

– Dużo dalej i dużo bliżej zarazem, bo po drodze do Konstancina, a na weekendy jeździ tam dużo publiczności, która może zagustować kiedyś w golfie. Poza tym tam jest atrakcyjniej, teren pofałdowany, są piaski, łatwiej będzie o stworzenie bunkrów, obok mamy też las. Tu, na Siekierkach, jest płasko z jakimiś krzaczkami i rachitycznymi drzewkami.

– Nie jest to wielki świat – uśmiechnął się, rozkładając ręce Leopold Walewski. – Siedziba skromna, ale już mówiłem, niedługo się przeprowadzimy, nie ma więc celu jej rozbudowywać.

Jako pierwszy uderzał Walewski. Hrabia użył wooda z gracją, ale popełnił błąd, który często przytrafiał się kiedyś Heńkowi. Najpierw o mało nie spalił strzału, bo wyszedł do góry i nie trafił w piłeczkę. Za drugim razem nogi były jak należy, ale i tak się nie udało. Wykonał mocny ruch rękoma, tak jakby był

drwalem, który chce przerąbać drzewo, ale bez należytego wsparcia ze strony nóg i bioder. Do tego był tak mocno skoncentrowany na piłeczce, że nie obchodziło go to, co robi. Uderzenie nie było złe, ale sporo mu brakowało do ideału, hrabia był jednak zadowolony. Heniek wiedział, jak to było z nim samym. Na początku ważne, aby trafić, mocno i daleko, nie pouczał więc Leopolda, tylko stanął na tee i uderzył. Nie było idealnie, ale o niebo lepiej, niż zrobił to Walewski.

– Brawo, brawo! – krzyknął hrabia. – Widać, że grałeś nie raz i nie dwa!

– Ty też tak możesz, jesteś ma dobrej drodze, ale musisz trochę postrzelać.

– Wiem, mam zaległości. Najpierw była przykra afery z chłopcami do podawania piłek. Wyobraź sobie, że działał tu bandyta, taki jak ten cały Tata Tasiemka i Doktor Łokietek. Słyszałeś o nich?

– Pamiętam, że byli tacy ludzie.

– To zasłużeni bojowcy, ale jednak ludzie z gminu, którzy mimo osiągnięcia pewnej pozycji i wykształcenia – ten Łokietek jest doktorem chemii, wyobrażasz to sobie – nie potrafili opuścić swego świata. Mówią, że bawią się w związki zawodowe, że ten pierwszy trzęsie bazarem na Woli, a drugi trzyma w ręku tragarzy. Niebawem jest to, że ten Tasiemka jest w radzie Warszawy, a obaj mają za przyjaciół ludzi z magistratu, oficerów i ministrów. Podobno sam Marszałek ich zna! Tu działał inny łotr, Stanisław Maron, on nie był, że tak powiem, człowiekiem z tak wysublimowaną przeszłością. To zwykły bandzior. Wyobraź sobie, że ten bezduszny typ zarabiał, nakładając na chłopców, którzy na naszym placu golfowym podawali piłki, bandycki haracz. Jakież to był wstyd, gdy dochodziło na oczach grających do scysji i awantur. A uwierz

mi, mamy naprawdę zacnych klubowiczów, tak jak wszędzie, grywają u nas arystokraci, dyplomaci i najlepiej sytuowani ludzie, jednym słowem, doborowe towarzystwo.

– Skazano go?

– A jakże! Na trzy lata! A w sumie na cztery, bo po ogłoszeniu wyroku ten bandzior porwał ze stołu krucyfiks i ruszył na prokuratora, porywając się na jego głowę!

– Ale nie trafił...

– Skąd wiesz?

– Nie dostałby czterech lat, tylko więcej! A jakby trafił akuratnie, to czapę!

Doszli na tee i zdjęli torby z kijami.

– Zdziwiasz mnie, masz wiedzę w każdej dziedzinie.

A wiesz, że badania naukowe dowodzą, iż inteligentni, obdarzeni wiedzą mężczyźni mają u kobiet największe powodzenie?

Heniek spojrział na Leopolda Walewskiego jak na dziecko.

– Mój drogi, a ja prowadząc badania zupełnie niezależnie i bez tytułu naukowego, doszedłem do wniosku, że są także damy, dziewczęta i kuchty, które mają inną kolejność wyboru. Że połowa kobiet, niezależnie od sfer, z których pochodzą, kocha się przede wszystkim w skurwysynach. Najidealniej byłoby, gdyby jeszcze byli silni i bogaci.

Hrabia oniemiał, stał jak wryty i nagle wystrzelił głosem pełnym podziwu:

– Doskonałe, do-sko-na-łe!!! Pozwolisz, że zanotuję!

Walewski wyciągnął z kieszeni marynarki kajecik i zaczął skrobać ołówkiem, szepcząc pod nosem:

– *Doszedłem do wniosku, że damy, dziewczęta i kuchty, niemal wszystkie bez mała kobiety kochają się przede wszystkim w skurwysynach. Najidealniej byłoby, gdyby jeszcze byli silni*

i bogaci – zanotował zadowolony.

Rozegrali kolejne dołki, Heniek górował nad Leopoldem i na piątym tee postanowił mu pomóc. Gdy Walewski pochylił się z kijem, Heniek podszedł do niego i próbował skorygować jego sylwetkę. Objął go i chwycił kij. Nim zaczął mówić, Leopold niespodziewanie odwrócił się, odrzucił kij i również próbował objąć Wciślaka. Heniek odstąpił o krok, ale Leopold chwycił go za dłonie i ukląkł przed nim.

– Henryku, jesteś moim bogiem...

– Co?

– Nie mogę się oszukiwać, nie mogę tego zatajać...

– Cholera jasna, co ty wyprawiasz?

Leopold poderwał się z kolan i próbował dotknąć jego twarzy.

– Dalej, jazda, bo cię trafię! – ryknął Heniek, rozglądając się nerwowo.

– Henryku!

Wciślak zrobił jeszcze krok do tyłu i pogroził palcem.

– Żadnych takich, rozumiemy się?

Leopold jakby skurczył się w sobie. Podniósł z ziemi kij i stanął naprzeciw Heńka. Wyglądał jak sto nieszczęść, smutny, przestraszony i z trawiastymi plamami na kolanach.

– Nie chciałem, by tak wyszło – mówił hrabia łamiącym się głosem. – Nie planowałem takiego finału. Ja owszem, miałem sprawę do ciebie, ale zupełnie inną. Potraktuj to wszystko jako *qui pro quo*, proszę!

Heniek milczał z zaciętą miną, po czym zarzucił torbę na ramię i ruszył w kierunku domku klubowego.

– Nie kończymy partii?

– Nie! – warknął. – Dość wrażeń jak na jedną golfową grę. Nie wiem, czy dasz temu wiarę, ale nikt nigdy mi się nie

oświadczał.

– Henryku!

Heniek się odwrócił i rzekł:

– Chodź tu, wrócimy razem, nie będziemy robić sensacji.

Powiemy Holcowi, że skreczowałeś. Słyszysz?

– Tak, słyszę!

Szli w milczeniu.

– Wszystko miałeś zaplanowane, boś odwołał chłopców.

Leopold Walewski milczał.

– Może nie jestem wykształcony, ale nie jestem głupi, chyba że to hrabiowie mają na wszystko patent – ciągnął Heniek.

Walewski nadal milczał.

– Gadaj od A do Z, tylko nie kręć!

– Naprawdę chodziło o pewien interes, teraz boję się powiedzieć – niechętnie odparł hrabia.

– A cóż to za tajemnica?

Leopold przystanął.

– Daj spokój, Henryku...

– Dać to ci mogę w mordę, przestań kręcić!

Hrabia miał minę, jakby przełykał olej rycynowy i jednocześnie tarł cebulę, ale próbował się uśmiechać, mrugając powiekami, spod których ciekły łzy. W końcu po krótkiej walce z samym sobą wydusił:

– Chciałem zaproponować ci spółkę!

Heniek zaczął się śmiać.

– No i zaproponowałeś. Akcyjną ze spółkowaniem!

– Nie bądź wulgarny!

– Wiem, o co, do cholery, ci chodziło.

– Nie o to, o czym myślisz, przynajmniej nie tak to zakładałem – powiedział już spokojniejszym głosem Leopold

Walewski. – Jestem literatem, to znaczy ze wszystkich sił, za wszelką cenę, chcę nim zostać.

– To wiem. I co z tego? Szukasz wydawcy, mecenasa?

Kogo?

– Ja już mam wydawcę. – Leopold Walewski zrobił dumną minę. – Moje książki wychodzą w Roju!

– Tak?

– Jako Aleksander Shreck popełniłem dwie mroczne powieści sensacyjne: *Morderstwo w Baden-Baden* oraz *Topielec z Zoppot*. To nic niewarte książeczki po dziewięćdziesiąt pięć groszy, ale w wydawnictwie dostrzegli we mnie talent.

– Leopold wyraźnie nabierał wiatru w żagle. – Podpisałem umowę, już nie na tanie zeszytiki, ale na prawdziwą książkę za trzy złote!

Leopold hrabia Walewski stał pośrodku pola golfowego na Siekierkach niemal zupełnie tak jak posąg Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu. Wieszcz nie miał jednak golfowej torby i ubrany był w płaszcz.

– I co ja mam do tego?

Powietrze znów uszło z hrabiego.

– Jak by ci tu powiedzieć? – mówił znów niepewnym głosem. – Stałeś się moją inspiracją...

– Gdyby nie ty... – powiedział hrabia przytłumionym głosem.

Heniek słuchał tych słów z rosnącym zdziwieniem, tracąc z każdym następnym krokiem cierpliwość.

– Jeszcze powiedz, cholera, że jestem twoją muzą!

– wypalił Heniek. – Czy to powiedziałaś tym swoim ciotom z IPS-u?

Hrabia bezradnie rozłożył ręce, czyniąc to tak niefortunnie, że torba z kijami zsunęła się z ramienia i gruchnęła o trawę.

– Prosiłem, żebyś nie był wulgarny! Łączy nas sztuka, kilku z nas owszem... Ale to nie reguła. Artyści to wrażliwi ludzie, a ty uogólniasz.

– Ale fakt faktem, prezentację zrobiłeś, że hej!

– Nic w tym niezwykłego, powinieneś mi być wdzięczny – uśmiechnął się Walewski. – Inaczej nie poznałbyś panny Glock i wielu innych niezwykłych kobiet.

Przede wszystkim nie poznałbym twojej siostry, pomyślał Heniek.

– Pytała o ciebie także prezesowa Leszczycka

– kontynuował Leopold w uniesieniu, jakby zrozumiał, że trafił na żyłę złota, która spłaci dług wobec naruszonej męskiej dumy Heńka. – Pani Irena mówiła o tobie, jakby cię znała. To od niej dowiedziałem się, że jesteś podobno zapalonym brydżystą. Ja także gram i nawet grałem z panią Ireną w parze, to doprawdy niezwykła osoba i często zachodzi do IPS-u!

– Gram w brydża od niedawna... – powiedział Heniek, czując, że powraca mu sympatia do Poldka Walewskiego. Cokolwiek by myślał o jego słabościach i niefortunnej propozycji, to facet był kluczem do najwspanialszych babek w mieście! Nadal jednak nie rozumiał, co to wszystko ma wspólnego z książkami hrabiego.

– Cudownie, że jesteś moim swatem, ale kurdebalans, kompletnie nie wiem, o co chodzi z tą spółką i czego miałyby się ona dotyczyć!

Heniek ruszył, ale hrabia został w miejscu, tak jakby naprawdę kontuzja nie pozwalała mu iść. Walewski postawił torbę i ciężko westchnął.

– Właśnie o to chodzi, o te kurdebalans, o meduzy, angielki i mikadki, knajacki język i szemranych ludzi oraz Chicago.

– Walewski rozpromienił się przez moment, po czym

spoważniał. – Henryku, jak spotkałem ciebie na premierze w Atlanticu, jak posłuchałem twojego opowiadania, a potem spędziłem w twoim towarzystwie wieczór w szynku, to przyszedł mi do głowy pomysł... Wymyśliłem sobie serię opowiadań o gangsterskiej Ameryce, bohaterem jest agent federalny polskiego pochodzenia Zbig Koval. Wyobraziłem sobie go dokładnie jak ciebie, wysokiego, wysportowanego szatyna, twardego i momentami nawet brutalnego, ale też wrażliwego i czytanego. Koval to człowiek, który bryluje na salonach i nie utonie w speluncie, mistrz boksu oraz strzelec wyborowy. Nie jest kryształową postacią, robi swoje pokątne interesy, ma znajomości w różnych, także przestępczych kręgach. On nie walczy z przestępczością, tylko ze swoimi wrogami. W wydawnictwie uznano to za absolutnie nowatorski pomysł!

Heniek drgnął. Na salonach co prawda nie brylował, ale coraz więcej na nich bywał i zyskiwał wcale niemałe powodzenie, mistrzem boksu nie był, ale bić umiał i prawie zawsze wygrywał, a strzelcem... Strzelcem był doskonałym. Cała reszta zgadzała się co do joty.

– Ale ja wcale nie rozeznaję się na boksie ani nie jestem strzelcem wyborowym! – skłamał Heniek, próbując zbić Walewskiego z tropu.

Hrabia wzruszył ramionami.

– Ja mówię, jak sobie ciebie wyobrażam, ciebie i bohatera. To wszystko kreacja, fikcja literacka! To nie jest książka o tobie, ale punktem wyjścia dla tworzenia postaci byłeś ty. Resztę sobie wymyśliłem, takie co by było, gdyby.

– A co by miało być?

– Wyobraziłem sobie, że twoja osobowość idealnie pasuje do portretu mojego bohatera. Wybacz, jeśli cię urażę, potraktuj

siebie teraz jak aktora, który ma odegrać tę rolę, bo ma predyspozycje. On jest przestępcą, a później agentem federalnym, który jest uwikłany w skomplikowane gangsterskie historie, człowiekiem honorowym, ale równocześnie walczącym o swoje, takim współczesnym kondotierem... Mój bohater zyskał twoją powierzchowność, twoje maniery i język.

– No i co z tego wynika, co ja mam z tym wspólnego oprócz tego, że zrobiłeś ze mnie bohatera powieści kryminalnej?

Hrabia ciężko westchnął.

– Podpisałem umowę na trzy części, to jest właśnie to dzieło, które zgodził się wydać Rój, to dzięki temu pomysłowi przesunęli mnie z listy książeczek po dziewięćdziesiąt pięć groszy do grona tych, które mają kosztować trzy złote. Ja dzięki temu literacko awansowałem i...

– I... – Heniek był już autentycznie zniecierpliwiony.

– Wziąłem zaliczkę... – ogłosił, jakby to było coś krępującego. – Wysoką, bo są podekscytowani pomysłem, a to ma być trylogia *Tajemnica skarbu Ala Capone* składająca się z części *Przybysz znikąd*, *Gangsterski ragtime* oraz finałowej *Tajemnica skarbu Ala Capone*. W Roju byli zachwyceni pomysłem na postać głównego bohatera i tytułami. Sam Wańkowicz gratulował tego ostatniego!

– *Tajemnica skarbu Ala Capone*... – zamyślił się Heniek.

– Tak, to chwytliwe. No i w czym problem? Przecież to wszystko ma zapach sukcesu, więc powinieneś wyglądać jak milion dolarów, a nie jak, z całym szacunkiem, zbity pies, który łasi się u moich stóp.

Wydawało się, że Walewski znowu będzie ciężko wzdychał albo powie z wyrzutem: Henryku! Tymczasem on, ku zaskoczeniu Heńka, na bezdechu wypuścił z siebie gniewną tyradę:

– W tym, że nie wiem, co napisać! Jest bohater, są tytuł i miejsce akcji, ale ogarnęła mnie niemoc twórcza! – wykrzyczał zrozpaczonym głosem. – Raz już skorzystałem z twoich opowiadań i twojej osoby, tylko ty możesz mnie uratować!

Tego się Heniek nie spodziewał.

– Na Boga, co mam zrobić?

– Opowiadać mi historie, które zasłyszałeś w Chicago, mówić o swoim życiu. Potrzebuję twojej narracji i twoich bon motów. Wymyśliłem, że bandyci z Chicago będą mówić językiem warszawskich przedmieść, to byłby przełom, to byłoby odkrywcze. Ja kompletnie nie znam tego świata, a ty i twój szofer oraz bywalcy miejsc, w których ostatnio dzięki tobie się znajduję, zasypują mnie lawiną gotowych zwrotów i całych zdań. To prawdziwy język, prawdziwi ludzie, a nie pogwizdujący Dymsha małpujący apaszy.

– Tak sądzisz?

– Jak najbardziej! Co zdanie, to jest w nim coś ciekawego. Jak powiedziałaś z tym milionem?

– Że skoro podpisałeś umowę i masz pomysł na pierwszorzędną książkę, to powinieneś wyglądać jak milion dolarów.

– Wyglądać jak milion dolarów – wykrzyknął zachwycony Walewski i zaczął notować. – Wyglądać jak milion dolarów, doskonale, doskonale!

Leopold schował do kieszeni notes i wyciągnął w kierunku Heńka dłoń.

– Henryku, proponuję spółkę autorską!

Heniek stał jak wryty i nie zrobił żadnego ruchu.

– Mówisz serio? Chyba muszę się uszczypnąć w policzek.

– Serio!

– Serio? Nie wiem, co jest bardziej zaskakujące,

matrymonialne wynurzenie przy piątym dołku czy propozycja literackiej spółki przy dziewiątym?

– Ach tak! – wybuchnął Walewski. – Gardzisz mną, jestem dla ciebie ciotą, odmieńcem, czyż tak?

– Nic z tych rzeczy, było minęło. Ale jak mam ci podać rękę, skoro ma to oznaczać spółkę?

– A czemu nie?

Tisze jediesz, dalsze budiesz krążyło mu po głowie. Jego opór jednak słabł, znajomość z Walewskim była prawdziwym skarbem. W Chicago znajomość z Alem Capone wpędziła go w kłopoty, ale per saldo odsunęła od niego jeszcze większe. Robił, co chciano, miał za to wsparcie i względny spokój, zarobił pieniądze, usamodzielniał się. Tutaj otwierały się przed nim nowe perspektywy. I mniej ryzykowne występy. To już nie będą strzelaniny i morderstwa, lecz tylko pisanie o nich. To nie będą czyny, lecz opowiadania, to będzie wyważenie drzwi na salony, kariera, towarzystwo i wygodne życie. Pieniądze już miał, a teraz zdobył bumagę na ich wydawanie, stanie się naprawdę kimś. *Tajemnica skarbu Ala Capone* była naprawdę skarbem. Makaroniarz w kanarkowym garniturze nawet nie wiedział, jak bardzo mu pomógł!

– Niech będzie!

Przybili dłońmi jak na końskim targu.

– Dziękuję ci i jeszcze raz przepraszam za tamto nieporozumienie.

Heniek machnął ręką.

– Dobra, tylko nie wracajmy do tego. Zdarza się.

Zdarza się... Pewnie gdyby zdarzyło się to w innej sytuacji, toby go strzelił w cyferblat[84], tak żeby mu urwało łeb przy samej dupie. Wszystko było dobre, byle być blisko kobiet, które jak magnes przyciągał Poldek. Skoro dla Ireny Leszczyckiej

nauczył się grać w brydża, to dla jego siostry może być literatem, a jak z tego nic nie wyjdzie, to i tak pocieszy go Aldona Glock. Kolejny bilans stanu posiadania znów wypadł korzystnie.

W drodze powrotnej już w aucie ustalili, że po południu spotykają się w domu hrabiego na pierwszą pisarską sesję. Obydwaj byli tego wydarzenia bardzo ciekawi, hrabia Leopold cały czas o tym mówił, ekscytując się każdym słowem i zdaniem, którego nie zdążyli jeszcze wspólnie napisać, a Heniek rozgrywał wszystko w swojej głowie. Oczyma wyobraźni widział Marię Walewską przynoszącą im herbatę i ciasteczka, myślał też o brydżu, który w towarzystwie Poldka może szybciej doprowadzić do spotkania z Ireną Leszczycką niż żmudne rozgrywki prowadzone z majorem Bielińskim i jego towarzystwem. Poczuł, że się towarzysko uwikłał, że może wziąć na siebie jakieś zobowiązania, ale w końcu czym miało być opowiadanie Walewskiemu historyjek z Chicago oraz sprzedawanie knajackich bon motów wobec tego, w co uwikłał się wraz ze swoimi starymi znajomymi.

Znów pewnie zapuka do drzwi Towarzystwa dla Handlu Zagranicznego Bałtyk – Świat i znów nie zastanie kapitana Beniowskiego. Czuł, że Julek prędzej czy później zgłosi się do niego sam i stanie się w to w najmniej oczekiwanym momencie. Trudno, niech tak będzie, nie strawi czasu na szukanie po Polsce, a może i całej Europie, oficera wywiadu. Nie mógł sobie za to pozwolić na odpuście poszukiwań Franciszka Wlazły. Jutro będzie pogrzeb Mańki, sprawdzi, czy wszystko gotowe, kto wie, ceremonia może przynieść więcej emocji niż niejedna partyjka brydża, i to nawet taka, przy której Irena Leszczycka uczestniczyłaby w zupełnym negliżu. Bez dwóch zdań, nowe towarzystwo było zajmujące i chciał, by ta historia trwała jak

najdłużej, ale by się tak stało, musiał zakończyć sprawy, które ciągnęły się za nim od lat.

XXXIV

W ciemności

Hrabia pisał jak natchniony, maszyna strzelała niczym pistolet Thompsona, a twarz hrabiego przypominała oblicze pianisty mierzącego się z subtelnym, ale szybkim utworem. Tak było od trzech tygodni; siedzieli z Heńkiem w bibliotece apartamentu Walewskich, który znajdował się w Alejach Ujazdowskich pod dwudziestym. Nie marnowali chwili, do planu nakreślonego przez Leopolda Walewskiego Heniek dodawał historie i szczegóły, wzbogacał słownictwo o wyrażenia z przedmieścia i szemranego świata, a Leopold stukał na remingtonie jak na maszyn ganie. Po kwestii dotyczącej opisu Ala Capone i jego świty skończyła się kartka. Leopold Walewski wyjął ją z maszyny i przeczytał z zadowoleniem.

– To jest dobre, naprawdę dobre – powiedział z szerokim uśmiechem. – I tak oto skończyliśmy kolejny rozdział. Teraz wprowadzamy do gry naszego przyjaciela Kowala. Henryku, skoro bohater jest agentem federalnym, gdzie zatem może mieć biuro?

– To proste, na poczcie!

– Czemu tam? – Hrabia byłby nie mniej zdziwiony, gdyby agent Zbig Koval urzędował na dworcu kolejowym lub w piekarni.

– Bo tam urzędują agenci federalni – ze spokojem odpowiedział Heniek.

– Przecież to nie listonosze!

– Ale poczta to budynek federalny – wytłumaczył Heniek.

– Wszystkie nieruchomości są prywatne albo stanowe, komendy policji też, ale poczta należy do rządu, dlatego agenci federalni organizują swe biura na pocztach.

- Niebywałe, policja, która nie podlega rządowi.
- Oto Ameryka – zaśmiał się Heniek.
- Ludzie nie zdają sobie sprawy z istnienia takiej Ameryki.
- A wiedzą, jaka naprawdę jest Polska? – odpowiedział pytaniem Heniek.

Leopold przepowiedział tekst, który miał zamiar przelać na papier, a Heniek wysłuchał i zrobił małą poprawkę.

- Jak dodasz jeszcze fragment o związkowcach, o którym ci wczoraj mówiłem, to będzie dobrze.

- Ciekawe, czy i u nas tak jest?

- To będzie opisanie naszej sytuacji. Nasi mali gangsterzy z Kercelaka i Murdziela też tak robią, ci wielcy z PPS, KPP i endecji także. Związki dają duże możliwości.

Leopold znów zaczął pisać jak szalony, a gdy skończył, uniósł głowę znad klawiatury.

- Czy byli gangsterzy niezwykli, tacy inni niż cała reszta?

- Brodaci? – zaśmiał się Heniek.

- Po prostu inni, poznałeś takich?

- Nie poznałem, ale słyszałem. Na przykład ten Hymie Weiss, nazywali go Żydem, ale był Polakiem. Zginął cztery lata temu. Opowiadano o nim niezwykłe historie. On i jego przyjaciel Dean O'Banion byli szczególni. Weiss nosił różaniec i często się modlił, a O'Banion był florystą...

- Florystą?

- Tak, florystą – potwierdził Heniek. – Nie wymyśliłem tego, on prowadził kwiaciarnię i nie była to tylko przykrywka. Żył wśród kwiatów, spędzał za ladą całe dnie, był nie tylko usłużnym i miłym subiektem, ale także komponował przepiękne wiązanki.

- Morderca, który kochał kwiaty – zadumał się hrabia.

- Toż to temat na oddzielną nowelę lub powieść... Tyle historii,

tylę historii – zastanawiał się. – Jak to poprowadzić, gdzie zrobić zwrot akcji? A jakaś zemsta, coś można wpleść do naszej powieści! Potrzebuję zemsty, bezwzględnej, krwawej i dla zwykłych ludzi niewytłumaczalnej.

Zemsta... O zemście myślał cały czas. O zemście i kobietach. Marzył na przemian o Leszczyckiej i siostrze hrabiego oraz o tym, co zrobi z Wlazłą. Najpierw go musiał znaleźć. Stał w miejscu, a jego wróg miał inicjatywę. Mańka i jej koleżanka zginęły, a Teoś wsiąknął. To nie były przypadki. Jak dorwie tego skurwysyna...

– Henryku? – Leopold wyrwał go z zamyślenia.

– A zemsta na koniu? – odpowiedział. – To dobry temat?

– Słucham?

– Zemsta na koniu, krwawa zemsta. Słyszałem, że był gangster, który jeździł konno i na jednej z przejażdżek spadł z konia. Był to upadek tak nieszczęśliwy, że zmarł, więc jego kumple z ferajny postąpili z koniem tak, jak z człowiekiem – poszli do stajni i zastrzelili go!

– Niebywałe, niebywałe. – Walewski nie mógł wyjść ze zdumienia. – Jakaż agresja, jakie przywiązanie do rytuałów, niczym u starożytnych wojowników! A to wszystko w najnowocześniejszym kraju świata. – Znow zaczął pisać. Pisał, walił w maszynę przez ponad pół godziny i na koniec krzyknął: – Mam, mam! To będzie podwójna zemsta! Najpierw za to, że koń poniósł szefa bandy, a później zemsta właściciela konia na organizatorach zamachu na jego zwierzę. Zaczyna się gangsterska wojna! Czy tak wtedy było?

– O ile wiem, to nie, ale gdyby koń przynajmniej w części należał do innego gangu i przynosił mu dochody na wyścigach, to z pewnością tak by się stało.

– Znakomicie, znakomicie – zaśmiał się Leopold i pisał

dalej. – Co mogli zrobić z wrogami?

– Rozstrzelać.

– Rozstrzelać? – zdziwił się hrabia.

– Dokładnie tak, ustawić pod ścianą i rozwalić z maszyną albo strzelić w tył głowy w aucie, albo po prostu kropnąć w barze. Podejść, wyciągnąć rewolwer i wpakować z bliska pocisk – Heniek opowiadał z pasją – trach, trach, trach!!!

Leopold Walewski patrzył na niego z uwagą, może nawet z pewnym przerażeniem.

– Szukam zemsty, której by dokonał nasz bohater...

– próbował stonować wizje Heńka.

– Zabijanie to zabijanie – zachnął się Heniek. – Myślisz, że nasz bohater będzie wrogów wykreślał z notesu?

Leopold pokiwał głową. Tak, zabijanie nie było przyjemną sprawą, ale bohater miał być miłym człowiekiem.

– Sam mówiłeś, jak zobaczyłeś kata, że to taki normalny człowiek.

– Tak, tu dobro i zło, bohaterstwo i nikczemność splatają się w całość – mruknął znad maszyny. – Tylko czy nasi czytelnicy są na to gotowi?

Pisali od rana do wczesnego popołudnia, po czym szli sami bądź z Marią na obiad, po którym zasiadali jeszcze na dwie, trzy godziny do pracy. Wieczorami hrabia porządkował tekst, a Heniek robił swoje, czyli zbierał informacje dotyczące Franciszka Wlazły. Miał kruchą nadzieję, że łotr pojawi się na pogrzebie Mańki, ale takie rzeczy dzieją się tylko w romansach, w powieściach kryminalnych za dziewięćdziesiąt pięć groszy oraz w nowelkach *pulp fiction*. Sam też nie poszedł, wysłał za to Miecia ze zorganizowaną przez Tatę Tasiemkę obstawą. Ludzie z Kercelaka nie byli na szczęście potrzebni, choć na pogrzebie były jeszcze ze dwie szemrane grupy. Tę bardziej rzucającą się

w oczy stanowili chłopcy ze Starego Miasta. Miecio rozpoznał ich, a oni Miecicia, nisko się kłaniając i przeprasząc za to, że szanowny pan musiał ich ostatnio gonić z łyżką do opon.

– A jednak jest jeszcze w młodzieży jakiś charakter i kurtula – powiedział zadowolony szofer. – Był też jeden znajomy z Urzędu Śledczego, taki aspirant, który jako żółtodziób próbował mnie przesłuchać. Pocieszny był wtedy z tego Strasburgera policjancik, ale teraz to co innego. Zamieniliśmy nawet ze dwa zdania, przedstawiłem się jako dawny klient nieboszczki i zapytałem, czy jak zwykle jestem dla niego podejrzany. Pan śledczy mruknął, żebym sobie z niego nie żartował, tylko powiedział, co się o tej sprawie mówi na mieście. Więc powiedziałem mu, co wiemy, co w zasadzie wszyscy wiedzą. Czyją ona była kiedyś bogdanką i co jej były alfons robi. Potwierdził, że zna tego łotra, ale głównie ze słyszenia i ze szpargałów w archiwum. Dodał jeszcze, że jest bezskutecznie poszukiwany po tym, jak nabił w butelkę niejakiego Denhela. Ten Strasburger mówił o tym z uśmiechem, chyba nie lubili się z tym palantem. Wtedy ja zeznałem mu o tym, o czym już nie wszyscy mówią, czyli o nowym interesiku Wlazły, o tem handlu kobitkami i tak dalej. Pan aspirant się ożywił, najwyraźniej o tym nie wiedział albo go z tym nie łączył. Nie czekał nawet na koniec pogrzebu, tylko wyszedł w te pędy. Jeszcze zapytał mnie z uśmiechem, czy nie wiem, gdzie jest Szpicbródka. Niezły żartowniś, co nie?

Niespodziewanie Heniek zyskał nowego sojusznika, ale i po drugiej stronie przybyło wojska. Ta druga grupa szemranych to byli chłopcy z Czerniakowa, tak sądził Heniek, bo najbardziej rzucał się w oczy apasz w angielce i z czerwoną chustką pod szyją oraz osobnik podobny z sylwetki oraz fizjonomii do goryla. Przypominali zbirów z bandy Wątorskiego. Ciekawe, czy

Teoś wysłał ich sam, czy też należeli już oni jako sieroty po nim do tej francy Wlazły. W tydzień później Heniek i Miecio poznali prawdę, a raczej poznała ją policja, a zaraz potem reporterzy „Czerwoniaka” i „Kurierka”:

*Kolejne ponure znalezisko w szuwarach nad Wisłą!
Harcerze ćwiczący przed rajdem zoczyli nieco swymi kajakami ze szlaku wodnego i chcąc odpocząć, próbowali podплыnąć do brzegu. Prąd zepchnął ich jednak w szuwary i tam dokonali przerażającego odkrycia, w wodzie pływał trup! Policja rzeczna zaalarmowana przez dzielnych wodniaków wyłowiła ciało. Bardzo szybko rozpoznano w nieboszczyku znanego policjantom z Czerniakowa i Sielc Teodora Wątorskiego, miejscowego apasza i rozrabiakę. Śledztwo w tej sprawie podjął już Urząd Śledczy. Liczymy, że zagadka tej zbrodni, podobnie jak tajemnicze zabójstwa kobiet lekkich obyczajów, których plagę mamy w naszym mieście, zostaną rozwiązane!*

Dla Heńka była to sprawa całkowicie jasna, to kolejny mord popełniony przez Wlazłę i jego ludzi, kolejna zbrodnia z wielu, a być może następną ofiarą będzie on sam! Mietek spuentował to w niezwykle sposób:

– Słuchaj, kochany, on tutaj rozgrywa sobie partyjkę szachów i tłucze pionki w drodze do króla!

– Chwała Bogu, to są na razie pionki z jego połowy szachownicy.

Heniek się pocieszał, ale słowa Miecia wracały do niego co jakiś czas.

Nagle z rozmyślań wyrwało go pukanie do drzwi. Po chwili do pokoju weszła Maria Walewska.

– Czy panowie będą pościć przez cały dzień? Rodzice wyszli na obiad do przyjaciół, my możemy pójść do restauracji?

– Chciałbym pisać cały dzień! – Leopold niemal

ekspłodował. – Czuję, że jestem w twórczym szale, poza tym musimy skończyć rozdział!

Dla Heńka był to ulubiony moment dnia, nie mógł z niego zrezygnować.

– Ruszamy! Jestem głodny, a ty zmęczony, a poza tym – zrobił tajemniczą minę – chciałem się pochwalić. Dziwiłeś się, że mam skromne auto. Koniec z tym, poszedłem na Królewską pod szósty i kupiłem u Grodzickiego mercedesa S!

Wydał na auto trzydzieści tysięcy złotych i do końca nie wiedział, czy zrobił to dla siebie, czy po to, by się popisywać przed kobietami. Irena Leszczycka nie miała jeszcze o tym pojęcia, ale Maria Walewska powiedziała o aucie kilka miłych słów. Ważniejsze jednak było to, co powiedziała do niego po obiedzie. U Wróbla Poldek zjadł ekspresowo, ale na deserach w Ziemiańskiej zwolnił tempo. Gdy poszedł do literatów, Heniek mógł spędzić parę chwil sam na sam z Marią.

– Pan spojrz na Poldka! – zaczęła rozmowę Walewska.

– Jest w swoim świecie – odparł Heniek. – To jego towarzystwo, zawsze to robił, tym się różni od nas, zwykłych klientów Ziemiańskiej.

– Ale dziś inaczej, niech pan spojrz, zrobił się pewniejszy siebie, urosły mu skrzydła, moim zdaniem to pańska zasługa.

– Maria spojrzała na niego w bardzo szczególny, pełen wdzięczności sposób.

– Tak pani sądzi?

– Ja to wiem, poczuł się silniejszy, uwierzył w swój talent. Bo on ma talent! – powiedziała z naciskiem.

Heniek zrozumiał wtedy, że Maria kocha Leopolda, że jest siostrą bliźniaczką, która zrobiłaby dla swojego braciszka wszystko.

– To wrażliwy mężczyzna, któremu brakowało wiary

w siebie, pan rozumie... On czuje się niepewnie, jest osaczony, wie, że nie każdy będzie go tolerował takiego, jaki jest.

– To porządny gość.

– Ale nie każdy tak uważa, więc żyje trochę jak piękny kolorowy ptak zamknięty w swojej klatce. On egzystował do tej pory w hermetycznym świecie, pan rozumie, ludzie z kręgu artystycznego i nieco naszych znajomych z arystokracji. Leopold chciałby z tej swojej klatki wyrzeć, odetchnąć innym powietrzem. Pan mu to dał, jestem za to wdzięczna. – Maria uśmiechnęła się czarująco.

– Pani uśmiech jest dla mnie najdoskonalszą nagrodą!

– Mam nadzieję, że i pan skorzysta na tej... przygodzie.

– O czym rozmawiacie? – Leopold wrócił do stolika.

– O tym, czy pisanie jest przygodą – odparła Maria.

– Bo jest! – z entuzjazmem powiedział Poldek.

– Z kim rozmawiałeś? – zapytał go Heniek.

– Raczej słuchałem, a mówił Franc Fiszer – odparł z dumą.

– To ten typ, tłusty jak wieloryb z czarną brodą, która wygląda, jakby nią wytarł komin?

– Faktycznie on tę brodę farbuje, mówi w żartach, że się sam oczernia – powiedział z namaszczeniem Walewski.

– A co on robi? Píše? Co napisał?

– Nic, ale dzięki niemu inni piszą.

– Bez żartów, inaczej wyobrażałem sobie muzę.

Maria Walewska zachichotała.

– To nauczyciel, przewodnik, filozof...

– Z czego żyje?

– Żyje z myślenia, poza tym tu każdy jest jego przyjacielem!

– A więc to darmozjad!

Siostra hrabiego znów się zaśmiała, tym razem już mniej

dyskretnie, tak że ludzie z sali spojrzeli na ich stolik.

– To autorytet! – zaprotestował Leopold Walewski.

– A ja dla niego będę autorytetem, jak postawię mu obiad?

– To przesada, gruba przesada!

– Wygląda jak jaki herszt, siedzi jak Al Capone ze swoją ferajną. Tylko Capone nie był taki gruby.

– Jak możesz tak o nich mówić! – zaprotestował Leopold.

– Sam mówiłeś, że zła recenzja Fiszera, złe słowo o sztuce potrafi zrujnować teatr niczym pożar – włączyła się w rozmowę Maria. – I sam Fiszer tak kiedyś powiedział dyrektorowi teatru, który poprosił go o zgaszenie cygara.

– Tak było – potwierdził Leopold. – Ja niejeden teatr już spaliłem, odpowiedział mu Fiszer. Witold – hrabia spojrzął na stolik Gombrowicza – nazywa ich terrorystami, a Irzykowski powiedział, że to nie parnas na górcie, a dintojra z Ziemiańskiej.

– A więc terroryści, dintojra... – wykrzyknął Heniek.

– A więc to gangsterzy, ten mały z dużym nosem...

– Tuwim – powiedział Walewski.

– Może być Tuvim. – Heniek machnął ręką. – To księgowy, ten przystojniak...

– Wierzyński?

– To egzekutor, reszta to żołnierze, a Fiszer to ich boss!

Zapadła cisza, a po chwili wszyscy się śmiali.

– Genialne, genialne! – zachwycił się po swojemu Leopold.

– Wprowadzamy do powieści króla podziemia Franka Fishera! Czym się będzie zajmował?

– Wszystkim! – odparł Heniek. – Będzie przedsiębiorcą, bankierem i macherem giełdowym w jednym.

– Ale gdzież takiemu do gangsterów? – nie wytrzymała Maria.

– A wie pani, co sądził o przemysłowcach, szefach giełdy

i bankierach Al Capone? Mówił, że to są ludzie gorsi i potężniejsi niż gangsterzy, że to prawdziwe zło, że przy nich Al, król Chicago, jest drobnym złodziejaszkiem!

Zapadła cisza, rodzeństwo hrabiów Walewskich milczało jak zamurowane.

– Frank Fisher będzie takim człowiekiem, potężnym graczem, który wyzyskuje pracowników, robi przekręty na giełdzie i okrada klientów swoich banków. Jest uosobieniem zła, zła nienasyconego i wciąż chciwego, dlatego chce także przejąć interesy gangsterów. Fisher jest obergangsterem, który wygląda jak ten nasz Fiszer i identycznie mówi. Posłuchajcie państwo: Frank Fisher wchodzi do teatru, który chce zmusić do płacenia haraczu. Jak gdyby nigdy nic strzepuje popiół z cygara, właściciel chce mu przeszkodzić, na początek prosi:

– Szanowny panie, tu się nie pali!

– A dlaczego to, łaskawy panie?

– Bo, bo... Może pan spalić teatr.

– Taki teatr to ja już niejeden spaliłem.

– Filozofujący szef gangu, czegoś takiego jeszcze nie było

– cieszył się Leopold.

– No i masz gangstera z brodą!

– Tak! – ucieszył się Walewski.

– Co lubi ten Fiszer? – zapytał Heniek.

– Powiedział kiedyś tak: Najlepsze są dania proste. Weźcie na przykład taki kawior, czy może być coś prostszego, a jakie to pyszne.

– To postawię mu beczułkę kawioru astrachańskiego oraz skrzynkę najlepszego szampana, a jeśli kiedyś powiem o nim „darmozjad”, to znaczy, że jestem skończony niewdzięcznik

– zaśmiał się Heniek.

W ciągu niespełna miesiąca powstała spora część książki,

wystarczająco duża, by Walewski mógł ją zaprezentować w Roju. Hrabia zadzwonił do szefów z dobrymi wieściami i przekazał im próbkę do czytania, a już następnego dnia został wezwany na spotkanie. Heniek czekał na jego zakończenie w Ziemiańskiej. Leopold Walewski wpadł do kawiarni jak na skrzydłach.

– Panowie Kister i Wańkowicz byli zachwyceni, te szczegóły, ten rozmach, to fantastyczna opowieść! Wańkowicz powiedział, że trzeba mieć głowę, żeby to napisać.

– Przecież wiesz, że niczego nie wymyślałem – uśmiechnął się Heniek. – To wszystko prawda.

– Ale jakże zachwycająca! Pan Melchior uznał, że to połączenie powieści z reportażem, że zaciera się granica między literacką fikcją i reporterską rzetelnością. Majstersztyk, majstersztyk! Tak powiedział i dodał, że ta próbka rozpałała wyobraźnię i rozbudziła nadzieje. To już nie są nawet nadzieje, to przekonanie graniczące z pewnością, że nasza książka będzie wydarzeniem, będziemy popularni i bogaci!

– Powiadasz, że tak sądzi Wańkowicz...

– Nic nie ubarwiam, nic a nic, pan Melchior jest wniebowzięty, ale...

– Ale?

– Chciałby dorzucić swoje trzy grosze, pan Wańkowicz proponuje, żebyśmy oprócz tego, co piszemy, stworzyli przewodnik po tym świecie, historię zwykłych ludzi w to uwikłanych, o życiu w gangsterskim imperium. Domy schadzek, podziemne kasyna, gorzelnie i magazyny. Chce, byśmy to opisali jak przewodnik po jakimś niezwykłym mieście.

Heniek słuchał z uwagą, to nie byłoby trudne zadanie.

– On ma nawet propozycję tytułu, moim zdaniem jest znakomita, wybitna – ekscytował się hrabia.

– Zamieniam się w słuch!

– Gomora!

– Faktycznie, mocny tytuł, ten Wańkowicz ma głowę!

– Oj, ma, świetnie pisze i ma dryg do interesów, dlatego

Rój jest tak mocnym wydawnictwem, on rozumie wartość słowa i to, jak działa ono na innych, nie bez powodu został właśnie doradcą Związku Cukrowników z piękną pensją i dodatkami. On i Dołęga-Mostowicz to symbole sukcesu, to nieprzekraczalna miara tego, co można osiągnąć, więc jeśli pan Melchior kogoś docenia, a to znaczy, że sukces jest gwarantowany! Słyszysz, rozumiesz to?! Doceniasz to, co się z nami i naszą powieścią dzieje? Będziemy jak Dołęga-Mostowicz!

– To poczytny autor, znam jego książki, pierwszorzędne

– zapalił się Heniek.

– Poczytny? – zachnął się Walewski. – Najpoczytniejszy, gwiazda literatury. Nie dość, że pisze dobre książki, to na dodatek stał się majątnym człowiekiem!

– Jak bardzo majątnym?

– Nie jest tak bogaty jak fabrykanci czy bankierzy, ale na pewno zarabia więcej niż pan prezydent. Ignacy Mościcki dostaje od państwa pięć tysięcy miesięcznie, a Dołęga-Mostowicz trzy razy tyle!

Piętnaście tysięcy złotych, czyli jakieś dwa tysiące dolarów. W Ameryce mało, ale tu dużo, wystarczająco dużo, by móc wszystko. Znajomość z Alem nie była lekka i łatwa, dopuścił się dla niego zbrodni i jest teraz w Chicago i Nowym Jorku ścigany przez najgroźniejszych bandytów. Taka była cena, ale zarobił na tym krocie. Al dał mu parasol ochronny, dał mu zarabiać pod swoim bokiem. Dzięki temu przyjechał do kraju z pięknymi pieniędzmi, co uchyliło mu drzwi na salony, ale miejsce na nich dał mu Al. Każdy przybysz z Ameryki otoczony był nimbem

niezwykłości, byle fujara wracał stamtąd, trąbiąc o swoich sukcesach. On nie tylko roztaczał woń dolarów, ale i dawał towarzystwu opowieści o tym, co znali tylko z kina. Snorky i jego kumple sprawili, że stał się w Warszawie postacią wyjątkową, a książka wywyższy go jeszcze bardziej. Alphonse Gabriel Capone to prawdziwy skarb, kapitał, który zaczął procentować lepiej niż ceny akcji w czasie giełdowej hossy. Zupełnie inny skarb dostawali czytelnicy, w ich książce skarb Ala leżał w podziemiach hotelu Lexington. To była taka chicagowska legenda, że w podziemiach kwatery Ala muszą być nieprzebrane bogactwa. Wcale tak nie było, ale ludzie wiedzieli swoje. Skarbem był sam Al, trzeba było tylko umieć na nim zarobić. A oni ustawili się w kolejce do tego skarbu.

– Co się tak kolega literat zamyślił? – zaśmiał się Poldek Walewski.

– Nie drwij!

– Nie drwię, mój drogi, nie drwię – zapewnił go Walewski.

– Zamyśliłem się, bo pomyślałem, że ta książka to dla nas prawdziwy skarb.

– Masz rację, masz rację!

Heniek kiwnął głową i z wdzięcznością chwycił go za ramię, po czym uściskał. Rozumiał i doceniał, bo wspólne pisanie z Walewskim wprowadziło go na zupełnie inne tory, poczuł jasną stronę życia i emocje inne niż te związane z kradzieżami, ciemnymi interesami czy wykańczaniem wrogów. Wszedł na salony, zyskał pewność siebie, jakiej przedtem nie miał, czuł się, jakby zaocznie zdał maturę, a może nawet i uzyskał dyplom jakiejś uczelni. Wyszedł z mroku, cieszył się życiem po jego jasnej stronie i jedyne, czym nie mógłby się pochwalić przed swoją siostrą, to coraz bardziej sporadyczne pijaństwa i dogadzanie sobie z panną Glock.

Żył jak tysiące przykładnych majątnych mieszczan i ludzi interesu. Był dobrze sytuowanym kawalerem bez zobowiązań, beniaminkiem złotej Warszawki i człowiekiem, którego kariera zdawała się rozpędzać jak pociąg ekspresowy. By opuścić mroki swej własnej przeszłości, by zerwać z nimi do końca, pozostało już tylko wyrwać się z zależności od Beniowskiego i Wlazły. Od tego pierwszego uwolni się, jak tylko ten wróci z Kresów. Nie powinno być z tym kłopotów, będą kwita, w końcu Heniek ładnie dał zarobić dwójkarzom. Wtedy zostanie jeszcze Franciszek Wlazło i rachunki, które miał z nim do wyrównania, ale może i to okaże się prostsze, niż mu się wydaje. Może ktoś posunie Wlazłę kosą, może zdechnie na syfilis, ucieknie przed policją gdzieś na drugi koniec Polski albo i świata? Byłoby dobrze, gdyby go dorwał ten cały Strasburger, któremu Miecio dał cynk o handlu kobietami.

Jakoś to będzie, pomyślał i chwycił za telefon. Najpierw zadzwonił do majora Bielińskiego, ten na początku fuknął na niego, że zaniedbał brydżową edukację, po czym zaprosił go na karciany wieczorek do swojej willi na Żoliborzu. Kolejny dzień spędził na rajdzie po kabaretach i kawiarniach, zostawiając sobie na deser Instytut Propagandy Sztuki. Aldona Glock nie zawiodła. Przyzwyczyił się, a nawet polubił te jej łożkowe dziwactwa, które wynagradzały mu oczekiwanie na pierwszą nagrodę, którą była Irena Leszczycka bądź Maria Walewska. A może obie, takim kozakiem nie był, ale kto wie... Nie o takich numerach słyszał. Z myśli o rozkoszach, jakich jeszcze nie spróbował, wyrwał go głos majdaniarza:

– Poteór morderca schwytyany, szajka Goliata rozbita, kupujcie „Eeexprees...”.

Po dwóch dniach szaleństw zadzwonił do Walewskich, odebrała Maria i jakimś nieswoim głosem poinformowała go, że

jej brat Leopold jest chory. Ta sytuacja trwała kilka dni, w końcu Heniek wsiadł do swojego nowego wozu i ruszył w Ujazdowskie pod numer dwudziesty, gdzie w domu dochodowym księżąt Woronieckich mieli swój apartament Walewscy. Ciec, wyjątkowo elegancki, bo w końcu książęco-hrabiowski, wpuścił go do bramy, grzecznie się kłaniając i uchylając czapki, w końcu zajechał pod dom pięknym autem, był sztykownie ubrany, a nade wszystko należał przez ostatnich kilka tygodni do stałych gości Walewskich. Heniek wbiegł na trzecie piętro, na którym znajdował się dziesięciopokojowy apartament hrabiów, i zadzwonił do drzwi. Nie otworzył mu służyący, lecz osobiście Maria Walewska. Jej zachowanie było niezwykle.

– To pan, panie Henryku! – wykrzyknęła głosem pełnym emocji. – Wierzyłam, że w końcu pan przyjdzie!

– Ależ pani Mario, ja cały czas byłem na to gotowy, ale... To nie były rozmowy na telefon, stanowczo nie!

Zapraszającym gestem wskazała mu drogę do salonu, po czym posadziła w fotelu. Sama usiadła tuż obok niego i szeptem zaczęła tłumaczyć.

– Stała się rzecz straszna!

Miała mówić dalej, ale zaczęła płakać. Chciał ją czule objąć, przytulić, ale ona jakby się usztywniła, po czym zrzuciła maskę nieszczęśliwej, bezradnej kobiety. Otarła łzy i pewnym, rzeczowym tonem zaczęła opowiadać:

– Leopold ma kłopoty... Pan zna jego orientację i wie także o jego szalonych pomysłach.

– Co się stało? – Heniek już wiedział, że Poldek popadł w tarapaty, nie wiedział jednak, w jak poważne.

– Szantażują go – powiedziała przez łzy Maria. – Wszyscy wiedzą o jego słabościach, ale skandal zabiłby rodziców. Interesy ojca mogłyby ucierpieć, a mama... – Walewska otarła

łzę płynącą po policzku. – Jej pękłoby serce. Rozumie pan, wiele można, wiele jest tolerowane, ale wszystko bez rozgłosu...

– Jak poważna jest ta groźba? – zapytał, choć wiedział, że to nie żarty.

– Oni grożą policją.

Te sprawy były karalne, wyrok nie musiał być surowy, ale proces mógłby być faktycznie zabójczy dla hrabiowskiej rodziny.

– Jak do tego doszło, co mogę zrobić?

– Na początek niech pan z nim porozmawia. Zrobi to pan?

– Oczywiście.

– Rodzice wiedzą?

– Wiedzą, ale znają tylko część prawdy – powiedziała, prowadząc go do gabinetu Poldka.

Zapukała do drzwi, po czym pchnęła je delikatnie.

W zaciemnionym pokoju siedział w fotelu młody hrabia. Heniek wszedł, a ona została na zewnątrz.

– Leopoldzie – szepnął i delikatnie dotknął ramienia hrabiego. – Leopoldzie, to ja, twój przyjaciel Henryk.

Spojrzeli na siebie, Leopold chciał się poderwać z fotela, ale syknął z bólu.

– Henryku!

– Co się stało?

– Przecież wiesz...

– Nie wiem, nie wiem o wszystkim, Maria powiedziała, że cię szantażują, ale nie mówiła, że nie możesz się ruszać, co się stało?

– Te dranie mnie pobiły – cichym głosem powiedział Walewski. – To było wczoraj, gdy zebrałem pieniądze. Chcieli dziesięć tysięcy, a przyniosłem im osiem, tylko tyle udało mi się zdobyć...

– Czemu nie powiedziałeś...

– Wstydzilem się, myślałem, że osiem im wystarczy
– zajęczał Leopold. – Tymczasem oni zaczęli się śmiać
i powiedzieli, że jestem krętaczem. Zabrali to, co im
przyniosłem, a później bili mnie otwartą dłonią po policzkach,
poniżali mnie tak, aż znudziło im się to, a wtedy przewrócili na
ziemię i skopali. Krzyczeli, aby nie bić po twarzy, po twarzy
będzie następnym razem. Dali w końcu spokój i kazali wrócić
z dziesięcioma tysiącami. Ich herszt powiedział, że to są odsetki
i kara za krętactwo.

Heniek usiadł naprzeciwko hrabiego i splótł dłonie,
trzymając nadgarstki oparte na kolanach. Pochylił głowę i zaczął
myśleć.

– Poldku, musisz mi powiedzieć, jak było...

– To krępujące...

– Musisz.

– Spotkałem go pod Udziałową na rogu Nowego Światu
i Alej. Nie miałem takich zamiarów, wracałem z miasta, byłem
pod dobrą datą, bo wypilem z przyjaciółmi za nasz sukces.
Wszedłem do szaletu, wtedy podszedł on... Był przystojny,
nawet dość dobrze ubrany, miły, ale i bezpośredni. Za bardzo
bezpośredni, od razu wyznał, że robi to z innymi mężczyznami
za pieniądze. Słyszałem o takich rzeczach, unikałem tego, nawet
to potępiałem, mój serdeczny przyjaciel Karol Hanusz[85]
ostrzegał mnie przed takimi znajomościami, ale... – Leopold
otał oczy. – Tego wieczoru coś we mnie pękło,
zapropnowałem piętnaście złotych, on odpowiedział, że będzie
to najlepiej wydane przez mnie dwadzieścia złotych. Głupi,
głupi, głupi, jestem głupi! – zaszlochał. – Gdy byliśmy nadzy
w jego pokoiku przy Chmielnej, wpadło do środka dwóch ludzi.
Od razu dostałem od nich w nerki, krzyczeli: Zostaw brata,
cioto, zapłacisz nam za to. Później powiedzieli, że nie pójda do

sądu, bo nie chcą skandalu, ale należy im się zapłata. Wtedy wbiegł kolejny i machał jakąś legitymacją, mówiąc, że jest z policji obyczajowej. Zaczęli rozmawiać, targować się, a później wspólnie ustalili sumę i adres, kazali przyjechać i zapłacić. A dalej wiesz, co było, to takie straszne, takie to wszystko poniżające. Targnąłbym się na życie, ale kto wie, może pozbawieni zysku zemszczą się na rodzinie. Mama nie przeżyłaby tytułu *Śmierć hrabiego pederasty* w prasie. Taki wstyd przed rodziną i przyjaciółmi.

– Gdzie to było? Gdzie im płaciłeś?

– W jakiejś budzie na Czerniakowie, tam chyba urzęduje dorożkarz.

– Dorożkarz? – Heniek znał jedną dorożkarnię w okolicach Czerniakowa. – A nie były to Siekierki, nie było to blisko pola golfowego?

– Tak, to blisko naszych wodociągów.

Czyżby? – pomyślał Heniek. A może to tylko zbieg okoliczności.

– Czy zapamiętałeś jakieś imię czy ksywkę? – zapytał Wcisło.

– Tak, na tego młodzieńca, który się prostytuował, mówili Piękny Michaś, mówili jeszcze o jakimś człowieku, chyba o Żydzie z Argentyny, Zvi Migdal[86]?

Heniek nie słyszał o żadnym Zvi Migdale, ale Mańka mówiła mu o męskiej dziwce i współniku handlarzy kobietami Słodkim Michasiu.

– Na pewno ten Michaś był Piękny, a może jakoś inaczej?
– zapytał Leopolda.

Walewski myślał, aż w końcu powiedział:

– Piękny to ja go sobie w duchu nazwałem, oni mówili o nim tak ordynarnie, Śliczny albo Słodki.

Heniek poczuł, że o pomyłce mowy być nie może. Iluż jest takich Michasiów, czy możliwe, by melina na Siekierkach nie była tą samą, w której wraz z bandą Stefańskich i Franiem dzielili łupy po skoku na sklep z dewocjonaliami? Czy mógł to być przypadek? Niejednemu psu Burek na imię, a na Siekierkach mieszka kilku dorożkarzy i nie każdy z nich musi być uczciwy, ale on czuł, wręcz wiedział, że znów zanurza się w ciemności, że wybiera się w podróż na samo dno, czyli tam, gdzie zwykł urzędować jego śmiertelny wróg, Franciszek Wlazło.

XXXV

Killerów dwóch

Siedzieli w pokoju Leopolda Walewskiego i milczeli. Poldek wyrzucił z siebie straszną prawdę, a Heniek myślał.

A więc to wszystko było takie proste... Czemu nie pomyślał o oczywistym rozwiązaniu, jakim było sprawdzenie meliny na Siekierkach? To przecież Franio zaprowadził tam Stefańskich, to do tej budy przywieźli z Nowego Świata kasę pancerną, to tam, podczas dzielenia łupów, Heniek dał prawdziwy pokaz swych kasiarskich umiejętności i wygrał zakład z panem Szafą. Zaimponował wtedy nie tylko Szafie – Karolakowi, z którym wygrał zakład, ale i szefowej. Wstąpił do gangu i został kochankiem Stefańskiej, tak rozpoczęła się jego kariera, dopiero później zaprosił go do współpracy sam Szpicbródka. To było takie oczywiste...

Chciał zemsty na Franciszku Właźle, ale wszystko to dzieje się w niewłaściwym momencie. Znów stanął na nogach, stał się porządnym i szanowanym obywatelem. Ale nie ma wyjścia, bo musi nie tylko wyrównać własne rachunki, ale też ratować rodzinę Walewskich. Stali się bliskimi przyjaciółmi, do tego Poldek był jego przepustką na salony, a Maria... Ona oraz Irena Leszczycka były jego marzeniami, chciał zdobyć każdą z nich, a koniec Walewskiego mógł być także końcem jego starań. Franio w tym nie przeszkodzi i przy okazji poniesie zasłużoną karę za to, co zrobił jego matce i Antkowi Bożyczce, zapłaci też za Mańkę i Wątorskiego, rachunki między nimi zostaną wyrównane raz na zawsze.

Czasu było mało, bo wyznaczony termin mijał za trzy dni. Nie będzie żadnych finezji i skomplikowanej strategii. Zrobi tak, jak to się robi w Chicago. Tylko on, Miecio i Pan Thompson.

Przejdą szybko jak burza, ołowiana burza.

– Jesteś zdecydowany, by to załatwić? – zapytał Poldka.

– Tak.

– A domyślasz się, co chcę zrobić?

– Chcesz ich... – Walewski szukał odpowiedniego słowa
– przestraszyć?

– Można tak powiedzieć, że chcę ich przestraszyć. Na śmierć. Raz na zawsze znikną z twojego życia. Już nigdy nikt nie będzie ci zagrażał.

Zapadło milczenie. Heniek zrozumiał, że Leopold Walewski doskonale wie, o co mu chodzi, ale odsuwa to od siebie. Nic nie mówił, tak jakby się bał, że jedno słowo za dużo będzie równoznaczne z wyrokiem śmierci.

– Milczysz, Leopoldzie...

– Nie wiem, co powiedzieć – szepnął, opuszczając głowę.

– A wiesz, co oni ci zrobili i co jeszcze chcą zrobić?

Do pokoju weszła Maria Walewska.

– Czy mój brat wszystko opowiedział, czy mówił o tym, że nie tylko go szantażowano, ale i pobito, że zabrano osiem tysięcy i zażądano kolejnych dziesięciu?

Heniek kiwnął głową.

– Wiem wszystko, pani Mario.

– Czy pan mu pomoże?

– Tylko jeśli tego zechce.

– Poldek? – zapytała.

– Ja już nie wiem, czy warto, czy trzeba...

– Co trzeba, co warto? Czy warto ratować twoje życie, przyszłość naszej rodziny, nas samych? O to się pytasz?

– powiedziała podniesionym głosem. – Nie ma ceny, którą warto by było za to zapłacić!

Takiej jej nie znał, nie przypuszczał, że ma w sobie tyle

energii, że emanuje z niej siła i zdecydowanie, którego pozazdrościłby jej niejedyn mężczyzna.

Na pewno nie miał tego w sobie jej brat bliźniak. Leopold ukrył twarz w dłoniach i ciężko westchnął.

– Nawet za cenę życia? – zapytał głosem wyrażającym bezradność.

– Nawet za taką cenę – odpowiedziała Maria. – Ale to nie może być twoje życie, rozumiesz? Gdybyś palnął sobie w łeb, byłoby to honorowe, ale daremne, to łotry, które by nie ustały w swoich działaniach.

Maria Walewska podobała się Heńkowi coraz bardziej. Piękna, w obyciu subtelna, ale gdy trzeba było, zdecydowana.

– A może jednak... – niepewnym głosem powiedział Leopold Walewski. – Mają już osiem tysięcy.

– Mają, no i co z tego. Gdyby byli... – Maria szukała odpowiedniego słowa, zdania.

– Uczciwymi złodziejami? – podsunął Heniek.

– Tak, uczciwymi złodziejami, jeśli są tacy ludzie.

– Bywają tacy, są honorowi złodzieje, ale to nie są honorowi ludzie. Znam jednego z nich, wiem, jakie krzywdy wyrządził i do czego jest zdolny. Jego nie zadowoli palnięcie sobie w łeb, on będzie wysysał was do końca.

– A zatem? – zapytała Maria.

– A zatem musi zginąć – twardo powiedział Heniek.

– Musi być inne wyjście! – zaprotestował Poldek.

– Zamilcz! – Maria zaskakiwała Heńka coraz bardziej.

Spodziewał się takiej odpowiedzi, ale po chwili zawahania. Ona jednak się nie wahała, dokładnie wiedziała, co ma się stać, nie miała żadnych wątpliwości. – On stoi na naszej drodze i jest bezwzględny, trzeba być bezwzględnym jak on, by go pokonać. Albo my, albo oni. Kto to tak w ogóle jest?

– Franciszek Wlazło, sutener, złodziej, morderca i handlarz żywym towarem. Wiele wskazuje na to, że pomógł w wysłaniu do argentyńskich burdeli setek dziewcząt.

– Henryku, czy ty jesteś może tajnym agentem federalnym?
– zapytał z nadzieją w głosie Walewski.

– Nie pracuję ani dla rządu Stanów Zjednoczonych, ani dla Urzędu Śledczego – spokojnie wyjaśnił Heniek. – Ale można powiedzieć, że z tą chwilą zacząłem pracować dla wymiaru sprawiedliwości.

– Dla wymiaru sprawiedliwości... – zamyślił się Walewski.
– Genialne, genialne – zapalił się po swojemu. – Doprawdy znakomite, mam piękne zdanie do naszej powieści: Nie jestem z policji, ale można powiedzieć, że jestem z wymiaru sprawiedliwości! Ludzie czekają na takie zdania, to myśli, które pozostają po przeczytaniu książki lub obejrzeniu filmu, to złote strzały, o których wypuszczeniu marzy każdy autor. Mamy to, mamy!

– Leopoldzie – zgasła go Maria. – Mógłbyś choć teraz nie bujać w obłokach? Leopoldzie, zejź na ziemię, są ważniejsze rzeczy niż poezja i książki, my teraz walczymy o życie!

Była w tym rodzeństwie prawdziwą lwicą walczącą o rodzinę i brata do końca i bez względu na środki, których trzeba będzie użyć.

– Ale jak, co mamy zrobić? – Hrabia wydawał się bezradny. – Czy będę potrafił zastrzelić tego łotra?

– Wystarczy, że mi trochę pomożesz – odparł Heniek.
– Mam już gotowy plan.

– Chcesz ich wybić? – zapytał niepewnym głosem hrabia.

– Należy im się! – włączyła się Maria.

– Wystarczy pozbyć się ich herszta, reszta będzie się bała. Ten łotr jest wart stu innych, gdy go zabraknie, te łobuzy

zmarnieją, stracą rezon.

– Co mam zrobić?

– Zagrać ze mną w golfa.

Leopold Walewski podniósł wzrok, jego oczy wyrażały bezgraniczne zdziwienie.

Heniek ruszył w kierunku drzwi.

– Odprowadzę pana, Henryku – powiedziała Maria Walewska.

Miał wrażenie, że czegoś od niego chce, że nie chodzi o pożegnanie, tylko o kontynuowanie rozmowy z pokoju.

– Henryku, w pana rękach leży nasza przyszłość – zaczęła łagodnie, powtarzając już to, co słyszał.

Milczał, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Pańska także. – Zaskoczyła go tymi słowami. Ton jej głosu zrobił się stanowczy, niemal władczy. – Pan ich zna, ja to wiem, kobiety czują takie rzeczy, pan ma rachunki do wyrównania.

– Tylko z jednym.

Stała naprzeciw niego, tak blisko, że czuł jej oddech, i patrzyła na niego swymi pięknymi oczyma. Pięknymi i chłodnymi.

– Znam jednego z nich – przerwał milczenie.

– I zabije go pan – zrobiła pauzę – a później resztę. Co do jednego!

Zrozumiał, że Maria Walewska szła na wojnę, na której nie chciała brać jeńców. Widząc jego zawahanie, podeszła jeszcze bliżej i powiedziała już zupełnie innym głosem:

– Co pan zechce w zamian? Czego pan oczekuje za ich głowy?

– Nie jestem mordercą... – Chyba zauważyła, że się zawahał. – Zabicie człowieka to nie jest prztyczek w nos.

Owszem, mam rachunki do wyrównania. Rachunki, których nie przekreśli ani czas, ani prośby czy przeprosiny. Nie ma takich pieniędzy, które mogłyby wyrównać moje krzywdy, ale tylko z jednym z nich.

Ścisnęła go za rękę. Poczul miły dreszcz, poczul jej ciepło, ale wyrwał się delikatnie, po czym uklonił się i powiedział:

– Załatwię to po swojemu.

Pocałował ją w rękę i wyszedł. Schodząc po schodach, bił się z myślami, czy tak powinien jej odpowiedzieć, czy nie powinien się zgodzić, ulec prośbie, pokusie, która była aż nadto odczuwalna?

Minęły trzy dni, to już były golfowe ostatki. Październik był słoneczny i dość ciepły, ale zdarzały się także dni deszczowe. Taki był właśnie ten październikowy poranek.

– A jednak panowie nas odwiedzili – ucieszył się Jakub Holc.

– Nie jesteśmy z cukru, panie kierowniku – odparł hrabia Walewski.

– Trzeba trenować, trzeba grać, by być lepszym – dodał Heniek. – A my szykujemy się do meczu z mecenasem Wrońskim i doktorem Krajewskim.

– A co, poprzedni panowie przegrali? – spytał kierownik pola.

– Jeszcze z nimi nie graliśmy, panie Holc – wyjaśnił Heniek.

– A ja myślałem, że ta czapka to jakiś honorowy zakład – zaśmiał się kierownik. – Pan wybaczy, jest taka fikuśna.

Heniek miał na sobie biret w szkocką kratę, w której przeważały różne odcienie czerwieni.

– To nie przegrany zakład, to prezent od damy, która wróciła ze Szkocji – tłumaczył Heniek. – Czapka jest dość...

Mmm, dość oryginalna. Dotknął dłonią pompona. – Ale już szalik w ten sam deseń to zupełnie inna para kaloszy.

– Faktycznie szalik prima sort! – powiedział Walewski, który miał na sobie szary kaszkiet i błękitny szal.

– Piękny, choć za pozwoleniem, jeśli bym miał coś wybierać z pańskich rzeczy, to zawinszowałbym sobie mercedesa – zażartował Holc. – Zagrają panowie bez caddy, wszyscy są w szkole, tuż po wakacjach łatwiej było kogoś ściągnąć, a teraz... – Kierownik pola rozłożył ręce. – Rozumieją panowie, dyscyplina, chłopcy po labie zostali wzięci w karby. Sam kierownik szkoły powszechnej prosił mnie, aby kategorycznie zabronić im pracy w trakcie lekcji, więc się do tego stosuję, zresztą panowie z reguły grają bez ich pomocy.

Sprowadzenie chłopców nie byłoby katastrofą, tylko poważnym problemem. Katastrofą byłaby nieobecność na melinie Frania Wlazły. Dziesięć tysięcy to jednak dziesięć tysięcy, poza tym ten łotr mógł chcieć czegoś więcej. Licho wie, jakie pomysły krążyły po chorych, zdegenerowanych bandyckich łbach. Heniek był pewien, że tamci planowali uczynić Poldkowi kolejne krzywdy, a może zrobić go swoim współnikiem? Zna całe towarzystwo, wie, na kogo warto by zagiąć parol, to mogłaby być ich dodatkowa zapłata.

Na pierwszych dwóch dołkach grali naprawdę, trzeci i czwarty przemknęli, ale tego już Holc nie widział. Mieli się męczyć na piątym, szóstym i siódmym, były one już mocno oddalone, a widok z domku golfowego zasłonięty częściowo przez krzaki. Obaj ubrali się podobnie, ale wyróżniały ich czapki. Heniek zdjął swoją i dał Poldkowi.

– Wiesz, co masz robić?

– Wiem. – Kiwnął głową.

– Powtórz raz jeszcze!

– Mam udawać, że gra nas dwóch, mam pokazywać się raz w swojej czapce i szaliku, a raz z twoimi dodatkami, mam to robić tak, by pan Holc był przekonany, że toczy my grę.

– Świetnie, to wszystko, czego od ciebie potrzebuję. A teraz znikam.

Uścisnęli sobie ręce i Heniek przeskoczył przez ogrodzenie pola, za którym była wiejska droga. Tam punktualnie o ósmej dwadzieścia pięć podjechał po niego Mietek Kosiorek.

Miecio był skoncentrowany i nawet lekko podenerwowany, bo wiedział, co się kroi, ale w swoim stylu rozluźnił atmosferę:

– No i co mi przyszło na stare lata? Zostałem taryfiarzem!

Zaśmiali się serdecznie i przywitali.

Żart był jak najbardziej na miejscu, bo Kosiorek przyjechał taksówką.

– A ja muzykiem, drogi Mieciu.

– Twoje skrzypce leżą na tylnym siedzeniu!

Istotnie, z tyłu leżał futerał na skrzypce, ale spoczywający wewnątrz instrument nie pochodził z pracowni mistrza Stradivariiego, lecz z manufaktury produkującej według wzoru opracowanego przez generała Thompsona. Wczoraj raz jeszcze wszystko sprawdził, maszyn gan był gotowy. Tak jak Wcisło, który wiedział, że czekające go zadanie może być równie trudne, jak trafienie Koszernego Rekina. Oby tym razem nie było żadnych niespodzianek.

– Cierpiarz[87] nie będzie szukał auta?

– Nie ma mowy, szoferak zalał wczoraj pałę tak, że nie wstanie do południa. Został rozprowadzony aż miło – zaśmiał się Kosiorek.

Było wesoło, ale była to wesołość wymuszona, taka, jaką pamiętał z frontu. Taki śmiech wynikający z nerwów i zagrożenia, śmiech i dowcip mający zagłuszyć niepewność.

Jechali wolno polną drogą na tyłach pola golfowego, a Heniek powtarzał scenariusz, który miał do odegrania. Plan był prosty, nie dać się zabić i nie zabić Wlazły za szybko. Najpierw musiał z niego wszystko wyciągnąć, dla kogo pracował, czy był, jak podejrzewał, współpracownikiem sowieckich szpiegów, czy też pracował dla siebie. Chciał jego cierpienia i jego słów skruchy. Tego chciał, ale przecież plan szybko może wziąć w łeb, może go zabić z miejsca na dzień dobry albo co gorsza może się okazać, że nie będzie go na melinie. Przedwczoraj przejechali się autem, które Mietek „pożyczył” na parę godzin. Z kolejnego rekonesansu zrezygnowali, bo obcy, w aucie, dorożce czy na piechotę, budzili sensację.

Wjechali w osadę Siekierki. Heniek błogosławił bandytów, że umówili się z Walewskim w swojej stojącej na uboczu melinie, a nie gdzieś w środku miasta, i do tego z samego rana. Tłum i gwar sprzyja słabszym, a oni w konfrontacji z hrabią byli siłą przeważającą. Zdziwią się jednak i to bardzo.

– Pójdę z tobą – powiedział Kosiorek, gdy byli już blisko.
– Przydam ci się, chłopaku.

– Jak zobaczą dwóch, to będą gotowi, domyślą się. Poza tym takie sprawy zawsze załatwiałem sam.

– Mówisz, jakby to nie była pierwszozna, to nie wojna, Heniu, to mokra robota.

– Wiem! – uciął Heniek. – Wiem lepiej niż ty.

Zapadła cisza.

– Chyba mi żeś wszystkiego o tej Ameryce nie powiedział...

– Nikomu wszystkiego nie mówiłem, nie ma takiej potrzeby, Mieciu. – Heniek poklepał szofera po plecach. – Takie sprawy załatwiam sam, pomożesz mi, jakby coś poszło nie tak.

Grał chojraka, ale wiedział, że gdyby coś poszło nie tak, to

Mietek go z tego nie wyciągnie. To była gra w ciemno, taka jak z Koszernym Rekinem, tu też nie wiedział, ilu będzie miał przeciwników i jakie na niego czekają niespodzianki. Pewny był tylko tego, że nie ma trefnej broni, że nie zostanie wystawiony na pewną śmierć, tak jak to było w Nowym Jorku. Była jeszcze jedna różnica – wtedy musiał, a teraz chciał.

Podjechali pod dorożkarską melinę, ale nie pod same drzwi. Stanęli na tyle daleko, by dźwięk silnika nie wywabił na zewnątrz Frankowej ferajny. Mietek Kosiorek został za kierownicą, a Heniek ruszył z thompsonem pod płaszczem w kierunku zabudowań. Miał na sobie charakterystyczny płaszcz Walewskiego, jasny z czarnym kołnierzem, oraz równie charakterystyczny kapelusz. Jak go dostrzegą przez okno, to pomyślą, że to hrabia.

Gospodarstwo dorożkarza stało nieco na uboczu. Sałaty nie było i długo nie będzie. Mietek, czekając na Heńka, widział, jak jechał na miasto. Dorożkarz mieszkał sam, więc miał na tête-à-tête z łobuzami parę minetek. Minał główne wejście do domu, poszedł od razu na zaplecze, gdzie w przylegającej do stajni przybudówce była melina. Z opisu Poldka wynikało, że nic się tam od jego czasów nie zmieniło. Rozejrzał się, czy nie ma niepotrzebnych świadków, i przy samych drzwiach rozpiął płaszcz, był gotowy. Nacisnął klamkę i tak po prostu wszedł do środka.

Łobuzy siedziały przy stoliku, było ich czterech, czuli się pewnie, rozparci wygodnie, leniwie rozrzucając karty i paląc papierosy. Jeden z nich siedział tyłem, jego twarz była ukryta, ale Henryk był pewien, że to Franciszek Wlazło.

– Już jesteś, cioto? – rzucił jeden z nich, a reszta zarechotała. – Tak ci się spieszyło do wujaszków z ferajny?

– Jestem – wycedził Heniek, wyszarpując spod płaszcza

maszin gana.

Dali się zaskoczyć, nie wyciągnęli ani kos, ani rewolwerów, tylko siedzieli w osłupieniu. Nie chodziło wyłącznie o zaskoczenie, ale też o to, jaką bronią groził im Heniek.

Popatrzył na ich twarze, każda z trzech nosiła na sobie piętno bandyckiego życia, ale ta Frankowa była bez dwóch zdań najbardziej paskudna. Trzech, a nie czterech, pomyślał, i żaden nie wygląda na cherubinka, żaden z nich nie ma przyjemnej buźki Słodkiego Michasia.

– Łapy w górę! – warknął Heniek. – Wszyscy zasrańcy i pan Franciszek też! W górę ręce, policyjny donosicielu!

– Ja? Donosiciel? – zaśmiał się. – A ty kto? Dwójkarz, co nie?

– Ja pytam, a ty odpowiadasz!

– Bo co?

– Pięć po!

Mówiąc to, Heniek wyjechał kolbą thompsona w twarz Frania tak, że ten zalał się krwią. Nie stracił przytomności, ale osunął się na ziemię, ciężko dysząc i brocząc krwią. Franio był charakternym gościem, więc próbował się pozbierać. Wypluł krew i przy okazji kilka zębów.

Heniek poczuł satysfakcję, o czymś takim marzył, choć nie potrafił sobie do końca tego wyobrazić. Poczuł, że chce więcej, czekał na to, że Wlazło znów go sprowokuje do działania.

– Czego ode mnie chcesz? Za co się czepiasz?

– Bo mnie wydałeś policji, bo zabiłeś Antka, bo... Zabiłeś moją matkę!

– To nie było tak, jak myślisz! – Oczy Frania były bardziej harde niż przerażone. – To nie tak! Wrobiono mnie, wszystko ci opowiem, jak na spowiedzi...

Heniek nie dał wiary tym tłumaczeniom, co tamten natychmiast odczuł. Kolba wylądowała na nosie, który trzasnął i ponownie zalał Frania krwią. Henryk czuł w sobie dziwną euforię, gdyby nie to, że chciał, by Wlazło był przytomny i mówił, pojechałby kolbą jeszcze raz.

– Pracujesz dla Sowietów! – ryknął. – Mów, co i jak, bo cię zakatuję na śmierć.

Franio, ciężko dysząc, wypluwając krew, która płynęła mu z nosa i dławiała gardło, próbował stanąć na nogach.

– Jak pragnę zdrowia, powiem ci, jak było – wydyszał, a jego twarz bardziej przypominała tatarą niż ludzkie oblicze. – Przede wszystkim wiedz, że nie zabiłem twojej matki. Jestem bandzior, to fakt. Chciałem cię załatwić, nie przeczę, przed wojną pociągnąłem kosą gościa, który się poskarżył policji. Dorwałem gnoja w szpitalu, dokończyłem go bez mrugnięcia okiem, ale twojej matki nawet nie dotknąłem. To ja pomagałem rąbać trupa kupca Łabędzia, tak, ja to robiłem! Na pewno słyszałeś o tej sprawie, cała Warszawa mówiła, co się stało za Niemca zimą osiemnastego roku. Nie ja go zabiłem, ale za to pomogłem rozczłonkować jego ciało i rozrzucić je po mieście. Ja wrzuciłem jego łeb do wychodka. Poderżnąłem też gardło lamusowi, który mnie wydał policji, kwiczał jak prosię, a ja jechałem mu kosą jak smykem. – Franio podniósł się i patrzył prosto na Heńka. – Tak, to ja zabiłem Mańkę, tę drugą dziwkę i Wątorka, bo coś zaczęli kombinować, teraz już wiem z kim – powiedział, wypluwając krew, która spływała mu do ust. – Tak, to ja cię wypucowałem... Ratowałem swoją dupę i tyle, ale to nie ja zabiłem twoją matkę. Nie ja! Rozumiesz? Nie ja też zabiłem Antka ani nie ja to zleciłem, bo było to niemożliwe. Rozumiesz? Niemożliwe nawet dla takiego mordercy jak ja – zaśmiał się Franio. – Wierz lub nie, ale to Antoś był bliższy

wysłania mnie na tamten świat.

W tym momencie jeden z apaszy odwrócił się i skoczył w jego kierunku z rewolwerem, Heniek nacisnął spust. Zakotłowało się, bo Franio i reszta ferajny zrozumieli, że nie mają nic do stracenia. W zamkniętym pomieszczeniu gruchnęło jak w środku maszyny, w kilkanaście sekund melina zasnuła się dymem i smrodem prochu. Drewniane ściany stworzyły pudło rezonansowe, o jakiego sile nie marzył żaden konstruktor skrzypiec czy kontrabasu, a do muzyki broni dołączył ryk rozstrzeliwanych ludzi.

Przez prochową mgłę oraz opiłki i wióry drewna syjące się ze ścian widać było podrygujące ciała, jakby wszyscy obecni, z wyjątkiem Heńka, rzucili się do tańca świętego Wita. Wkrótce niemal cała Franiowa kompania leżała na ziemi. Jednego, który próbował trzymać się ściany, Heniek oderwał kończącymi, pojedynczymi strzałami. Kurz i dym opadały, Heniek zaczął sprawdzać, czy ktoś przeżył masakrę. Ciała leżały jedno na drugim, krew cienkimi strumyczkami wypływała spod nich, tworząc w zagłębieniu nierównej podłogi kałużę.

Słysząc był jęk jednego z rannych, który próbował pełznąć do drzwi, drugi drgał w agonii, a reszta się nie ruszała. Heniek patrzył na bandziorów, a raczej na to, co z nich zostało. Mogło być tak, jak opowiadano, że serią z thompsona przecinało się człowieka na pół. Krew, mnóstwo krwi.

Nagle ta krwawa masa poruszyła się. Nim podniósł automat, ręka z rewolwerem wycelowała w jego kierunku. Zamiast posłać serię, odruchowo kopnął w rękę, rewolwer wystrzelił, ułamek sekundy po tym, jak obcas wprowadził go w ruch wirowy. Broń huknęła i poleciała pod sufit. Heniek podskoczył bliżej i szturchnął nogą bezbronnego Frania.

– Ciężko cię zabić, skurwysynu!

– Tak – uśmiechnął się, plując krwią. – Ciężko. Wielu się starało – powiedział i próbował się podnieść i oprzeć o ścianę. Było to jednak ponad jego siły. Heniek podszedł bliżej, bandzior chwycił go za nogawkę.

– Zachowałem się niehonornie, wykablowałem...

– Zachłysnął się krwią. – Dintojra kazałaby posłać mnie do piachu. Zasłużyłem na to, ale twojej matki nie zabiłem. Antka też nie, bo nie mogłem...

– Co?

– Powiem ci, co i jak, ale obiecaj... – wyszeptał Franio.

– Obiecaj...

– Co i dlaczego?

– Obiecaj, kurwa, proszę cię, jak wierzysz w Boga...

– Co i dlaczego? – powtórzył Heniek. – Z jakiej racji, łobuzie?

– Hersz... – Słowa Frania były ciche, tak bardzo ciche, że Heniek przyklęknął nad nim, aby cokolwiek zrozumieć.

– Kto?

– Hersz. Zegarmistrz z Chełma.

– Zegarmistrz z Chełma?

– Pomóż mu, pomóż mu, pomóż Lejbowi... – Mówił tak cicho, że Heniek niemal przycisnął ucho do jego ust.

– Komu? Jak?

– Pomożesz? – zajęczał.

– Pomogę, przysięgam, pomogę, ale mów! Mów, kurwa! Gadaj o matce i Antku!

– Przysięgasz?

– Przysięgam?

Franio chciał mówić, ale słabł coraz mocniej.

– Ja ci wierzę, bardziej niż jemu – wyjęczał – ty im pomożesz, ty jesteś inny. A ten tam...

– Kto, o czym mówisz?

Franio umierał i najwyraźniej nie wiedział, co mówi.

– Franek, nie rozumiem cię, o kim mówisz, miałeś mi powiedzieć, co z matką i Antkiem!

– Nie wierzę kurwom, nie wierzę... Kurwy zawsze cię wydadzą, ja mu nie wierzę, on im nie pomoże. Posłuchaj, ta kasa jest ich, a on ją zawinie.

– Jaka kasa?

– Dla Hersza i dla Lejba.

To wszystko nie trzymało się kupy, czas pracował na jego niekorzyść, Franio słabł, a policja musiała tu kiedyś przyjechać.

– Tam za drzwiami jest pokój, pamiętasz? Tam żeś otworzył kasę. – Zachłysnął się i zakasłał. – Na stole jest torba z flotą. Bierz ją i uważaj, tam jest chłopak z bronią.

Heniek wziął maszyn gana i zrobił dwa kroki w kierunku drzwi prowadzących na zaplecze meliny. Wytężył słuch, ktoś mógł czaić się w głębi pomieszczenia lub stać za drzwiami. W tym momencie zatrąbił Mietek ponaglający go do wyjścia. Drzwi drgnęły, ale zanim się uchyliły, Heniek pociągnął za spust. Raz jeszcze rozległ się huk i poleciała chmura ołowiu. Rozległ się wrzask, drzwi otworzyły się gwałtownie i wypadło zza nich bezwładne, posiekane kulami ciało. Był to młody chłopak z rewolwerem w ręku. Twarz miał zmasakrowaną kulami, ale Heniek domyślił się, że to Słodki Michaś. W prawej ręce miał broń, a w lewej jakiś tobolek. Heniek wziął go, starając się nie patrzeć w puste oczy Michasia. Była to spora torba. Zajrzał do środka. Tak jak przypuszczał, wypełniały ją kosztowności i banknoty.

– Masz flotę – zacharczał Wlazło. – A teraz posłuchaj... Beniowski, kapitan... On wie, Antek...

To były ostatnie słowa Frania, strużka krwi poleciała mu

z ust, umarł. Koniec dawnego wroga, później przyjaciela, a następnie kanalii, na której przez lata chciał się zemścić. Kim był naprawdę, w co z nim grał przed śmiercią? Ostrzegł go, wydał swojego człowieka, bo nie ufał mu za grosz? Bardziej wierzył swojemu zabójcy niż chłopakowi z ferajny! Zaprzeczył, że zabił matkę i Antka. Beniowski... Co Beniowski?

Znów rozległo się trąbienie auta. Heniek stanął w oknie i pokazał Kosiorkowi, że wszystko jest w porządku.

Szybko przeszukał Franiowe kieszenie, trochę floty, jakieś zakrwawione zdjęcia. Zostawił za to w szufladzie stołu kartkę, którą wziął ręką w skórzanej rękawiczce. Lepiej było nie zostawiać żadnych śladów, podobno policja mogła dojść do przestępcy po odciskach palców, w Ameryce niejednego tak dopadli. Schował to, co znalazł przy Franiu, do kieszeni, rozejrzał się ostatni raz po dorożkarni. Dziury po kulach i krew, to nie powinno dziwić, wystrzelił przecież w trzech seriach kilkadziesiąt kul. Dobrze, że zabrał rozpylacz, inaczej nie dałby sobie rady. Zajrzał jeszcze do szafek i do stojącej w kącie skrzyni. Nie było nic ciekawego, wyszedł więc na zewnątrz, zakładając wcześniej chustkę na twarz i chowając thompsona pod płaszcz. Był zamyślony i poparzył się o rozgrzaną lufę, syknął z bólu.

– Trafili cię? – jęknął Kosiorek.

– Nie, oparzyłem się o lufę – powiedział Heniek, kładąc pistolet maszynowy na podłodze auta. – Wiejemy, cała okolica już na nogach!

Ruszyli z kopyta, mijając gapiów, którzy powychodzili z chałup.

– Nie jestem ślepy – powiedział Kosiorek. – Załatwiłeś ich galopem, słyszałem, jak chodzi ta twoja kieszonkowa maszynka. Czemu tak się guzdrałeś, co to za kojber?

– Rozmawiałem z Franiem...

– O czym?

– Żebym to ja wiedział – zasępił się Heniek. – On mówi, że tego nie zrobił, że nie zabił mojej mamy i że nie mógł zabić Antka.

– On każdego by mógł...

– Ale tak powiedział: Bo nie mogłem. Na koniec ostrzegł mnie przed swoim człowiekiem i powiedział mi o torbie z kosztownościami. To jego spadek, a ja jestem wykonawcą testamentu.

– Się porobiło – jęknął Kosiorek. – Ilu ich było?

– Czterech, pięciu – poprawił się – było ich pięciu.

– Grubo, bardzo grubo, jesteś kozak.

Kosiorek skręcił w polną drogę i wysadził Heńka przy placu golfowym. Wcisło zostawił płaszcz i kapelusz, po czym ruszył na przełaj w kierunku, gdzie Poldek Walewski fingował ich wspólną grę. W tym czasie Miecio ruszył na północ, by między polami i stacją pomp wyjechać na Czerniakowską.

– Jesteś! – zawołał na jego widok Poldek.

– Jestem.

– Chwała Bogu, chwała Bogu...

– Nie rozklejaj się, musimy dokończyć partię, jak gdyby nigdy nic.

Walewski popatrzył na niego wielkimi oczami.

– Ty tak możesz? – zapytał drżącym głosem. – Bo przecież ty go...

– Raczej ja ich – poprawił spokojnym głosem. – Ja ich, całą piątkę, Wlazłę i jego trzech pomagierów oraz tego kochasia, ale co z tego?

– Także jego... – zamyślił się Poldek. – Zrobiłeś to tak, po prostu?

– Tak, a teraz tak po prostu dokończymy grę. Bo musimy. To łatwiejsze niż kropnięcie kilku gości – powiedział Heniek, po czym uderzył piłeczkę w kierunku przedostatniego dołka. Gdy byli już na greenie przy klubowym domku, usłyszeli wycie policyjnych aut.

Nie mają szans, pomyślał Heniek. Broń, której nikt nie zna, motyw jeden z tysiąca. Ofiarą był morderca, jeden z całego katalogu bandytów zamieszkujących Warszawę. Nie mają szans. Na pewno łykną fałszywy trop, bo czemuż by nie. Był dziwnie spokojny, ale nie dlatego, że przyzwyczyił się do zabijania ludzi, tylko dlatego, że co innego pochłaniało jego myśli. Ostatnie słowa Frania i to, że ocalił mu życie. Gdyby go nie uprzedził, Michaś mógł mu wpakować kule w plecy, tak mogło być. Franek Wlazło uznał, że bardziej przyda mu się on, a nie jego pomagier z bandy. Kim są Hersz i Lejb, czemu ma im pomóc, kto zabił matkę i Antka, co wie Beniowski...

W milczeniu wbili piłki do ostatniego dołka.

– Podaj mi rękę, nieważne, że nie było gry, musimy sobie podziękować jak gdyby nigdy nic – syknął do Walewskiego.

– Uśmiech na facjatę, wygrałeś!

– Nie potrafię.

– Potrafisz, weź się w kupę!

Weszli do klubowego domku, a tam...

– Pani prezesowa Leszczycka czeka na panów, choć już dziesięć minut temu powinna się zacząć jej lekcja gry w golfa – opisał zastałą sytuację kierownik Holc. – Panowie, pani Irena Leszczycka, pani prezesowo...

– My się znamy – uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia Leopold Walewski i ucałował dłoń kobiety.

– Henryk Haas – przedstawił się Heniek.

– Dużo o panu słyszałam. – Leszczycka nie dość, że posłała

mu czarujący uśmiech, to na dodatek miała piękny, aksamitny głos. W takiej kobiecie nie sposób się nie zakochać, nie sposób o nią nie zabiegać.

– Dopiero uczę się grać w golfa. – Znów ten uśmiech.

– Patrząc na panów, myślę, ile pracy mnie czeka.

– Henryk to mistrz – Walewski zdawał się dochodzić do siebie, odzyskiwał swój czar i szyk – ale dzisiaj to ja wygrałem!

– Gratuluję, panie hrabio. Mieliśmy okoliczność grać w brydża, ale słyszałam, że i pan Haas także grywa i to z coraz lepszym skutkiem. Mówiło mi tak wiele osób...

– Staram się nadrobić zaległości, łaskawa pani – odparł Heniek. – Wciąż jestem nowicjuszem.

– To nieprawda! – uśmiechnęła się prezesowa. – Słyszałam o pana licytacjach, a zwłaszcza o rozgrywkach zupełnie coś innego. Zapraszam dzisiaj panów na partyjkę. – Leszczycka stawiała się coraz bardziej pociągająca.

– Zrobię wszystko, by zagrać!

– Bagatela dziesięć, drugie piętro, numer trzeci, zaczynamy o ósmej.

Heniek się uklonił i na pożegnanie pocałował Irenę Leszczycką w dłoń. To był jego dzień, jego czas, czuł, że wraz z likwidacją Wlazły nie tylko ostatecznie wyrównał rachunki, ale także zaczął nowe życie.

Strasburger i Stolarczyk krążyli po podwórku dorożkarni i palili papierosa za papierosem. Policyjna bezradność mierzona była petami, które zaścielały obejście.

– Różni byli informatorzy, ale ten był najbezwzględniejszym gnojem – powiedział Stolarczyk. – Ubijał interesy z nami, łobuzami i cholera wie, kim jeszcze. Każdego by sprzedał, pewnie własną matkę też, a swoją drogą ciekawe, kim była ta kobieta i czy specjalnie byśmy jej nie obrazili,

gdybyśmy o nim powiedzieli: martwy skurwysyn.

Strasburger pokiwał głową. Wlazło, nad którego ciałem stali, był wyjątkowym bandziorem i w zasadzie nieobca była mu żadna sztuka przestępczego rzemiosła, no może poza doliniarstwem. Ostatnio było głośno o nim parę lat temu, gdy owinął sobie wokół palca aspiranta Denhela, naopowiadał mu o wyczynach jego osobistego wroga Henryka Wcisły, po czym nawiał. Podobno zamelinował się we Lwowie, będzie tam trzeba zadzwonić, a może nawet i pojechać. To może być trop, podobnie jak typek, któremu ktoś podciął gardło, jak się ten szczurek nazywał? Nieważne, sprawdzi i to dokładnie, bo jednym z podejrzanych był Franciszek Wlazło alias Paprocki alias ktoś tam, ktoś tam. Ciekawe, jak nazywał się we Lwowie? Ciekawe, z kim ostatnio zadawał się w Warszawie.

Człowiek, który pojmał rzeźnika Warszawy, polskiego Kubę Rozpruwacza, lubił palić, ale miał już dość. Dawno nie wypalił tyle fajek, ale co zrobić? Strasburger sięgnął po kolejnego, ostatniego już w paczce papierosa.

– A może kropnął ich jaki zwolennik Marszałka? – Z głupia frant zapytał Stolarczyk.

– Dlaczego zwolennik Marszałka? – zdziwił się Strasburger.

– Dlaczego? Panie komisarzu, a kto powiedział: Bić alfonsów, kurwy i złodziei? – zaśmiał się Stolarczyk. – Albo ktoś z naszych... – Uciął nagle. Widać było, że teraz stary śledczy nie żartuje. To aż zmroziło Strasburgera.

– Co ty opowiadasz? – powiedział zaniepokojony. – Zyg, co ty masz na myśli?!

– Tak mi się skojarzyło. – Zygmunt Stolarczyk głęboko się zaciągnął i wypuszczając dym, kontynuował: – Po pierwsze, taką broń ma tylko policja. To faktycznie było jak w Chicago

i użyto pistoletów maszynowych systemu Thompsona. Młody jesteś, nie byłeś wtedy jeszcze hintem[88], więc nie pamiętasz, jak kupiono amerykańskie pistolety maszynowe. Z siedem lat temu ministerstwo sprowadziło pięćdziesiąt takich zabawek, poszły do rezerwy i na granice. Nie miałem w rękę, ale cztery lata temu czytałem broszurkę *Instrukcja obsługi pistoletu maszynowego*. To się nazywa Tomas, Tom, czy coś takiego. Bije seriami i jest rozdzielane po jednym na czteroosobowy zespół.

– Myślisz więc...

– Tak myślę, Kornelu, tak myślę, zwłaszcza po tym, co powiedział ten mundurowy. To robota jak z Chicago, a ja czytałem różne rzeczy o tej masakrze w Dniu Świętego Walentego. Wiesz, kogo widziano na miejscu zbrodni?

Kornel Strasburger domyślał się, jaka jest odpowiedź, ale nie przechodziła mu ona przez gardło.

– Tam byli gliniarze! Rozumiesz?!

Strasburger nerwowo zaciągał się papierosem.

– Trzeba będzie zbadać wszystkie pistolety maszynowe, które są na stanie. Nie ma innego wyjścia.

– Może się okazać, że jakiegoś brakuje – dopowiedział Stolarczyk. – Tak czy owak, lista zainteresowanych ukręceniem łba naszemu Franiowi jest grubsza niż książka telefoniczna, ale... – Stolarczyk zawiesił głos. – Chętni zapelniliby książkę telefoniczną, ale takich, którzy by się odważyli go odstrzelić wraz ze świtą, i to tak po kozacku, jest zapewne tylu, że zmieściliby się tylko na liście apartamentów pierwszorzędných hoteli, a takich w naszym kochanym mieście mamy ledwie kilka.

Kornel Strasburger pokiwał głową. Chętnych do zabicia Franciszka Wlazły były całe tłumy, ale takich, którzy mogliby to zrobić w tym stylu, doprawdy niewielu. I w tym był właśnie problem.

– Na razie raz jeszcze przejrzymy ich kieszenie i sprzęty
– zarządził.

Po kilku minutach rozległ się triumfalny okrzyk
Stolarczyka.

– Jest, mam! – darł się, jakby go obdzierano ze skóry.
– W szufladzie stołu była karteczka. Śledczy ostrożnie, przez
chustkę do nosa, rozwinął kawałek papieru pakowego. Widniały
na nim naskrobane ołówkiem słowa:

*Tak kończą łajzy bez chonoru którzy jak wszy i pijawki żyją
z cudzej krwi... Za to co zrobiliście z Ludwisią piekło was dranie
nieominie*

– Myślisz, że ten, co to zorganizował, to aż taki prostak?
– zapytał Strasburger.

– Myślę, że to niezły cwaniak – odparł Stolarczyk.

– My się na to nie nabierzemy, ale nasi szefowie i inni
koledzy...

– Zrobi się zamieszanie, bałagan. To jak najszybciej musi
trafić do grafologa, a najlepiej, jak do Rafała Schermana[89].

– No i odciski palców. Chyba w marzeniach. Kartoteka
zawiera wszystko, tylko nie odciski palców. Słyszałeś, żeby
kogoś dzięki temu złapano?

– Też nie sądzę, ale spróbować trzeba, bo cuda się zdarzają.

– Ale tu trzeba wyjątkowych cudów, bo pół Warszawy
i kawałek Lwowa oraz cholera wie kto pragnął pomsty na tym
typie. W innym przypadku lecielibyśmy z listy, ale tu...

– zamyślił się Strasburger. – Nikt nie przychodzi mi do głowy,
bo nie słyszałem o kimś tak bezwzględny, sprawnym
i sprytnym. Ten list to blef, żaden z nas nie ma wątpliwości, że
nie chodzi tu o żadną Ludwisię.

– Zgadza się – przytaknął Stolarczyk. – Morderca
zabijający z taką gracją i pewnością to jak Bodo z Dymszą

w jednym.

– Taki mord to jak msza dla kardynałów celebrowana przez papieża – uzupełnił Strasburger. – To...

– To jak kwinta złożona z wygranych pięciu fuksów – usłużnie dodał Zyga Stolarczyk.

– Boję się, że tak jest, mamy do czynienia z jakimś papieżem zbrodni, z prawdziwym artystą, z mistrzem nad mistrze. Póki on i jego wspólnicy sami się nie wysypią, to możemy, co najwyżej, dać ogłoszenie do gazety, by się uprzejmię zgłosili.

Zapaliliby, ale już nie mieli czego. Z utęsknieniem czekali więc na przyjazd ekipy z Ciepłej, oni na pewno będą mieli co palić.

– Na początek połączyłbym to ze sprawą pomordowanych dziwek, bo mimo wszystko wychodzi mi na to, że to jest brakujący elemencik. Jak raz jedna z ostatnio zamordowanych miała na imię Ludwika. – Stolarczyk znalazł w tym całym galimatiasie coś pozytywnego.

– Masz rację, prędzej się na tych cholernych Siekierkach Matka Boska objawi, niż znajdziemy zabójców tych bandytów – westchnął Strasburger. – Dlatego zamknijmy coś do końca, może przy tej okazji dowiemy się czegoś nowego.

To, co później stało się z Heńkiem, mogło się równać tylko z religijnym uniesieniem, doznaniem niemal mistycznym, wejściem do nieba i to wielokrotnym. Po jatce na Siekierkach Heniek zaszył się w hotelowym pokoju, zapodał sobie szklaneczkę burbona i czekał na wieczór. Brydżowy wieczór. Myśl o spotkaniu z kobietą, której pragnął, była teraz jego motorem. Mimo wszystko i tak pogrążał się w myślach, w końcu nie co dzień robi się takie rzeczy, w końcu zabicie czterech ludzi to nie jest sprawa, o której w try miga można zapomnieć. Nie

pierwszy raz zabił człowieka, ale nigdy tylu naraz. Dopełnił zemsty i to z rozmachem, który go przeraził. Był w Chicago świadkiem poważniejszej egzekucji, ale tym razem sam pociągał za cyngiel.

Zabijał już wcześniej. Pierwszy raz na froncie, miał wtedy szesnaście lat. Być może zabił kogoś w Kijowie, tego nie wie, ale na pewno pod Drohiczynem kropnął kilku, być może nawet czterech, czerwonych kozaków. Ale tylko dwóm patrzył w oczy. Później w czasie wypadków majowych zabił gada, który strzelał z dachu do cywili, a w Chicago załatwił człowieka Dutcha Schultza. W Nowym Jorku wysłał na tamten świat Koszernego Rekina, a później załatwił tego wymoczka Grimaldiego i jego wspólnika Gentile. Był jeszcze ten facet na dworcu w Chicago, ale on chyba przeżył. Za każdym razem była to jednak walka albo przynajmniej jej namiastka. Na Siekierkach przeżył coś nowego, strasznego... To była egzekucja, zrobił to, co ludzie Machine Guna w Dzień Świętego Walentego.

Uderzył w delikatny gaz i położył się spać, wieczorem musi błyszczeć, musi się zaprezentować z jak najlepszej strony. Godzina ósma, Bagatela dziesięć i brydż u pani prezesowej.

Obudził się o pół do siódmej, w samą porę, by się przygotować do wyjścia. Wszedł do łazienki, rozebrał się i puścił wodę z prysznicą, ale nie potrafił zmyć z siebie zbrodni. Euforię po załatwieniu sprawy z Franiem i jego bandą zastąpiły wątpliwości. To, co powiedział tuż przed śmiercią bandyta Wlazło, było co najmniej zastanawiające. Czy naprawdę to nie on był mordercą matki i Antka? A może chciał go oszukać ostatni raz. Kim w takim razie byli Żydzi z Chełma, Hersz i Lejb? Po co ta historia, czy Franio chciał mu coś przekazać, czy też może chciał jeszcze po swojej śmierci wepchnąć go w jakąś pułapkę?

Wyszedł z łazienki, okręcił biodra ręcznikiem i ociekając wodą, ruszył w kierunku stolika. Nalał sobie do szklanki burbona i wrzucił parę kostek lodu, teraz by zapalił... I wtedy rozległo się pukanie. Kto i po co? Dlaczego? Policja? Może, ale przecież to niepodobna, by mogli go dostać. Kumple Frania? A miał jeszcze jakichś po tym, co stało się w dorożkarni? Jego chłopcy dzielili teraz władzę w gangu albo poukrywali się po mysich dziurach, by nie znaleźć się na liście nieboszczyków. Na wszelki wypadek nie zapalał światła w ciemnym przedsiionku, nie chciał, odsłaniając klapę judasza, pokazać natrętowi, że jest w domu. Gdyby on chciał kogoś załatwić, to przystawiłby lufę do wizjera i zaraz po tym, jak tamten zerknąłby na klatkę schodową, wypaliłby wprost w oko.

Ostrożnie odsunął klapkę, wyjrzał i zobaczył za drzwiami Marię Walewską. Otworzył, a ona rzuciła mu się na szyję.

– Panie Henryku, Heńku – poprawiła się szybko.

– Dziękuję ci za uratowanie Poldka. Ocaliłeś naszą rodzinę, a te łotry poniosły zasłużoną karę!

Później wydarzenia potoczyły się błyskawicznie, nie pamięta, kto pierwszy zaczął całować. Ręcznik spadł na ziemię, a Maria przyłgnęła do jego ciała. Mógłby tak bez końca, ale podniósł ją, mocno objął, a później zaczął rozbierać. Po chwili była już naga. Kochali się na kanapie w salonie, a potem wylądowali w sypialni. To było szalone popołudnie i szalona noc. Pili szampana i burbona, całowali się, pieścili, kochali. Wielokrotnie powtarzał, że ją kocha, że uwielbia i czci jak boginię. Nie mówiła prawie nic, oddana miłości i pożądaniu.

Gdy obudził się rano, nie było jej obok. Czy to był tylko piękny sen? – pomyślał. Nie, to nie był sen. W powietrzu unosił się zapach jej perfum, a z łazienki dobiegał szum wody, a jednak tu była!

Przymknął oczy, przeciągnął się. Nieco ponad trzy lata temu zmykał z Polski ścigany przez oszalałego śledczego Denhela, a teraz leżał w wygodnym łóżku stojącym w jego hotelowym apartamencie i czekał na kobietę, którą właśnie zdobył. Była jego i tylko jego, choć marzyło o niej pół warszawskiej socjety. Jakby tego było mało, był rentierem, który błyszczał na warszawskich salonach, i współautorem książki. Triumf literacki duetu Walewski–Haas miał być tak wielki, że sam Dołęga-Mostowicz powinien się obawiać utraty korony. Miał gdzieś politykę, kasiarstwo, intrygi wywiadu i przygody. To wszystko minęło, czniał komunistów, bo zlikwidował ich psa, czniał proces brzeski i brzeskie wybory, miał gdzieś tych, co wsadzali, i tych, co siedzieli lub się ukrywali. To nie był jego interes, to nie była jego gra. Miał dwadzieścia sześć lat i Warszawę u swoich stóp, czegoż więcej można było chcieć od życia?

Skrzypnęły drzwi, usłyszał kroki. Maria Walewska szła w jego kierunku. Z lubością czekał na nią, tak jak czeka zwycięzca na pierwszą nagrodę.

wrzesień 2015–wrzesień 2016

Warszawa, Bukowina, Trou Aux Biches

POSŁOWIE

Na początek podziękowania. Dziękuję za tę przygodę Wydawnictwu Muza, paniom Małgorzacie Czarzasty i Małgorzacie Burakiewicz oraz panu Marcinowi Garlińskiemu. Bez Waszej wiary w autora i jego bohatera nie byłoby tych książek. Gorące podziękowania należą się także panu Arkadiuszowi Nakoniecznikowi i pani Grażynie Muszyńskiej z Wydawnictwa Akurat. Dziękuję Państwu za wyrozumiałość i pomoc, dzięki niej udało się ukończyć w tym samym tygodniu dwie książki, moją autorską oraz biografię Czesława Langa. Mam nadzieję, że niepowtarzalna atmosfera, którą współtworzyły mury redakcji i biur z ulic Bagatela i Marszałkowskiej przejdzie z wydawnictwami Muza i Akurat do nowej siedziby przy ulicy Siennej.

Poprzednie książki z serii *Śmierć frajerom* zebrały bardzo dobre recenzje i świetnie się sprzedawały. Nie byłoby to możliwe bez współpracy z panią redaktorką Adrianną Michalewską. Ta drobna i subtelna kobieta potrafi ujarzmić upartego pisarza i pomóc mu w dokonaniu najwłaściwszego wyboru. Każdego roku wychodzi tysiące książek i wiele naprawdę doskonałych przepada w tłumie, ale z panią Anną Małysiak i ekipą Business and Culture jest to niemożliwe. Najwięcej pracy miała jednak rodzina. Beato, Józefie i Klemensie, dziękuję Wam z całego serca za cierpliwość i wsparcie, jak zwykle nisko się kłaniam swoim pierwszym recenzentom i czytelnikom – Sergiuszowi Ryczelowi, Pawłowi Budzowi i Tomkowi Sielickiemu.

Teraz kolej na Państwa, czytelników, dzięki którym żyjemy, ja jako pisarz i Heniek jako bohater książki. Gdyby nie Wasze zainteresowanie i życzliwe uwagi oraz wsparcie,

wszystko to nie miałoby sensu. Dziękuję za to, że wytrwali Państwo z Heńkiem do końca pewnego etapu jego życia. Z chłopaka z przedmieścia stał się dwudziestosześcioletnim bywalcem warszawskich salonów i uczestnikiem spółki literackiej. Droga wiodła przez niemal trzyletni pobyt w Ameryce, ale finał, zgodnie z oczekiwaniami nas wszystkich (taką mam nadzieję), nastąpił w Warszawie. Czy takie faktycznie było Chicago końca lat dwudziestych? Nieskromnie napiszę, że tak, a mniej skromnie, że na pewno na stronach *Tajemnicy skarbu Ala Capone* było ono bliższe historycznej prawdzie niż w dziesiątkach filmów, które opisały tamtą epokę. Walka policji i urzędów z prohibicją nie miała w sobie nic z przygód, które były udziałem słynnego Eliota Nessa. W serialu *Nietykalni* z lat pięćdziesiątych (w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych wyświetlano w Polsce jego wybrane odcinki, nazywając cykl *Al Capone i inni*, więc przez pewien czas jedni na podwórku byli gangsterami, a inni federalnymi) i w słynnym filmie De Palmy pod tym samym tytułem działania Nessa ledwie ocierały się o prawdę.

Po pierwsze, przypadki strzelanin między gangsterami a policjantami czy agentami federalnymi należały do rzadkości, po drugie, agent Ness prawdopodobnie nigdy nie wystrzelił ze swej służbowej broni. Prawda była mniej efektowna – Ala załatwiły skarbówka i jego nadmierna pewność siebie. Być może przetrwałby, jak Lucky Luciano czy Meyer Lansky, bo w wielu stanach osiemnasta poprawka była martwym prawem, a w samych tylko Chicago, Nowym Jorku i Atlantic City działały tysiące lokali sprzedających alkohol. Najlepiej oddaje to wyprodukowany przez Martina Scorsese znakomity serial *Zakazane imperium (Boardwalk Empire)*, w którym w rolę władcy Atlantic City Nucky'ego Thompsona wcielił się Steve

Buscemi. Wiele hrabstw i miast funkcjonowało właśnie tak, jak serialowe Atlantic City, z tą różnicą, że prawdziwy boss nazywał się Nucky Johnson. Być może była to pewna przewrotność autorów filmu, bo nazwisko Thompson należało do nazywanego Big Billem burmistrza Chicago, który choć sam nie uczestniczył w przestępczym procederze, to jednak nie robił niemal nic, by prohibicję wprowadzić w życie.

Postać Alphonse'a Capone starałem się przedstawić możliwie wiernie, nie tak, jak w *Zakazanym imperium*, gdzie przypominał źle ubranego konusa. Snorky był słusznej postury i zawsze ubierał się dobrze, nawet wtedy, gdy był nowojorskim biedakiem. Większość postaci (wszystkie ujęte przypisami) to prawdziwi bohaterowie chicagowskiej ery jazzu i prohibicji, a jedna z nich, Alex Sycowski, na pewno pojawi się jeszcze w życiu Heńka.

Jak we wszystkich moich książkach, mamy tu też wątek sportowy, a każde z opisanych wydarzeń jest prawdziwe; walka Tunneya z Dempseyem, finałowy mecz baseballowy, w którym popis dał legendarny Babe Ruth, i wreszcie otwarcie warszawskiego stadionu Wojska Polskiego i mecz Legii z drużyną z Barcelony. Opisane pola golfowe istniały w rzeczywistości, a Jack McGurn faktycznie był nie tylko utalentowanym bokserem, ale i profesjonalnym graczem golfowym i współwłaścicielem klubu. Jakub Holc, człowiek orkiestra z pola Na wodociągach, był duszą tej instytucji, a jego potomkowie żyją na warszawskim Wilanowie. Także amatorzy golfa z Nowego Jorku, hotelarze Weber i Wexler, faktycznie stoczyli pojedynki golfowe, którego stawką była podróż sterowcem. Pisała o tym amerykańska prasa. Golfowego wątku nie byłoby, gdyby nie panowie Andrzej i Jacek Personowie. Dziękuję Wielkiemu Kapłanowi Polskiego Golfa i Jego

Następcy za to, że zainteresowałem się tą grą, oraz maestro Jacinto Mena z Club de Golf El Coto z Estepony za podtrzymanie zapału oraz wskazanie najlepszych okolicznych restauracji. Nie gram jak Tiger Woods, ale przynajmniej jadłem jak trener Vicente del Bosque.

Na kartach powieści pojawia się wiele klubów muzycznych i artystów. Każdy z nich jest prawdziwy, a jeśli poniosła mnie fantazja, to tylko w momencie, gdy Louis Armstrong przedstawia na scenie swojego następcę, Caba Callowaya. Czy tak faktycznie było? Na pewno obaj, najpierw Armstrong, a później Calloway, grali na scenie zarządzanej przez Machine Gunna i Snorky'ego. Film *Wings* można zobaczyć w sieci, trzeba przyznać, że nawet po z górą osiemdziesięciu latach robi wrażenie. Niestety polska *Gwiazdzista eskadra* nie dotrwała do naszych czasów.

Warszawskie lokale U Wróbla, Ziemiańska (opisuję tylko najstarszy lokal przy ulicy Kredytowej, więc nie używam nazwy „Mała Ziemiańska”) oraz Instytut Propagandy Sztuki były miejscami, gdzie można było spotkać najwybitniejszych artystów, ale nie dam sobie uciąć głowy, czy czekający na debiut Witold Gombrowicz miał już tam wtedy swój stolik. Broniewski faktycznie wpadał do Wróbla tylko po to, by odwiedzić kolegę z płockiego gimnazjum, a Franc Fiszer chętnie przyjmował stawiane przez jego przyjaciół posiłki i napitki zarówno u Wróbla, jak i w Ziemiańskiej.

Czy hazardowe rozgrywki w Chicago lat dwudziestych wyglądały tak jak ta, w której Al Capone przegrał do Heńka fortunę? Być może, bo wszechwładny dziś „Texas” nie zdominował jeszcze wtedy Ameryki, a Al był raczej przygodnym graczem, w którym zabawa i ryzyko brały górę nad umiejętnościami. Nie był nałogowym hazardzistą, ale w kilku

spektakularnych rozgrywkach i zakładach przegrał sumę, za którą jego rodzina mogłaby do dziś żyć z procentu. Za pomoc w skonstruowaniu tej sceny dziękuję wspaniałemu brydzyście Tomaszowi Winciorkowi. Za warszawskie wsparcie dziękuję niezastąpionym panu Rafałowi Bielskiemu i redakcji „Skarpy Warszawskiej” oraz panu Januszowi Dziano. Gdyby nie szanowny pan Janusz oraz jego ferajna „Jestem z Woli” i „Gwara Warszawska”, w książce nie znalazłby się opis legendarnego szynku Pod Kogutem.

Na koniec słów kilka o broni. Trudno znaleźć relacje i zdjęcia funkcjonariuszy Policji Państwowej z pistoletami maszynowymi konstrukcji generała Thompsona, ale polska policja, jak i straż graniczna już w pierwszej połowie lat dwudziestych miały na wyposażeniu pięćdziesiąt sztuk tej broni (model 1921/3).

Przez całą książkę przewija się motyw domniemanych skarbów Ala Capone, które miały być wydobyte podczas emitowanego na żywo programu telewizyjnego *Tajemnica krypty Ala Capone*. Dwudziestego pierwszego kwietnia 1986 roku dziesiątki milionów widzów na całym świecie uczestniczyły w bezprecedensowym przedsięwzięciu firmowanym przez reportera Geralda Riverę. Widownia była niespotykana, sukces komercyjny osiągnięty, lecz ostatecznie show okazał się klęską. Ronald Kennedy rzeczywiście mógł zobaczyć w programie ogromną dawkę archiwalnych zdjęć i filmów z epoki oraz zetknąć się ponownie z bohaterami tamtych lat. Autorom udało się przeprowadzić wywiady z dziennikarzami i artystami popularnymi w latach prohibicji, a niewątpliwie hitem była rozmowa ze słynną Blond Alibi, czyli Louise Rolfe, dziewczyną Jacky’ego „Machine Guna” McGurna. Warto poświęcić półtorej godziny, by obejrzeć ten program,

który mimo upływu trzydziestu lat robi wrażenie. Rozmach produkcji, doskonałe materiały filmowe i wywiady... Oby powstał kiedyś podobny program w Polsce, oczywiście ze szczęśliwszym dla jego autorów zakończeniem. W bibliografii zamieszczam link do programu, bo jak wiadomo, w internecie nic nie ginie. Ten program, ta nieprawdopodobna telewizyjna porażka przy rekordowej widowni (30 milionów widzów!) była ostatecznym argumentem za wysłaniem mojego bohatera do Ameryki.

Być może wszystko zaczęło się prawie trzydzieści lat temu, gdy podczas zajęć na amerykańistyce zainteresował mnie tamtymi czasami młody doktor Bogusław Winid. Dziś ja piszę książki, a pan doktor jest od roku 2014 naszym ambasadorem przy ONZ. Po drodze było oczywiście wielokrotne oglądanie *Ojca chrzestnego* i serial *Zakazane imperium*. Jeśli ktoś nie widział, to mu zazdroszczę, wspaniale jest móc obejrzeć je po raz pierwszy. Po nich można zajrzeć na stronę internetową pasjonata tamtych czasów Maria Gomesa, który założył wirtualne muzeum Ala Capone.

Oddzielnym tematem do omówienia są tytuły rozdziałów. Przyjąłem pewien klucz, którego nie będę zdradzał, bo lubię, jak ktoś odkrywa podwójne dno. Potem wynikają z tego ciekawe rozmowy. Napiszę tylko o tych z siódmej części, bo to swoisty hołd i podziękowanie panu Juliuszowi Machulskiemu, który był łaskaw przeczytać moje książki i włączyć je do swojej biblioteki. Nie ukrywam też, że to jego kasiarski cykl, poświęcony kasiarzowi i muzykowi Kwincie, był jedną z moich inspiracji. Tytuł części, *Vabank*, jest zatem nieprzypadkowy, podobnie jak tytuły rozdziałów. Każdy z nich nosi nazwę filmu, który reżyserował lub produkował Juliusz Machulski. Jeszcze raz dziękuję, Mistrzu!

Czy to koniec tej historii? Uważni czytelnicy zauważyli zapewne, że w tym przedstawieniu zawieszono na ścianach parę dubeltówek. Nie wszystkie wypaliły w pierwszych trzech częściach książki, ale każda z nich gotowa jest do tego, by wystrzelić, a niektóre naprawdę z wielkim hukiem. Bohaterowie cyklu *Śmierć frajerom* oraz sam Heniek Wcisło alias Haas powrócą w powieści *Grzechy główne Kornela Strasburgera* oraz w czwartej części cyklu *Śmierć frajerom*. *Tego jeszcze nie grali.*

BIBLIOGRAFIA

Al Capone, gangi i jazz, Henrik Höjer, Wydawnictwo Sensacje XX wieku, 2012.

Al Capone. Gangster wszech czasów, Jonathan Eig, Wydawnictwo Dolnośląskie, 2010.

Bodo wśród gwiazd. Opowieść o losach twórców przedwojennych kabaretów, Anna Mieszkowska, Wydawnictwo Marginesy, 2016.

Było takie miasto... Warszawa na starych pocztówkach, Rafał Bielski, Agencja Wydawnicza Veda, 2012.

Chicago wczoraj i dziś, Longin Pastusiak, Oficyna Wydawnicza Branta, 2011.

Chochlą i mieczem, Jolanta Wachowicz-Makowska, Czytelnik, 2000.

Ciemne sprawy dawnych warszawiaków (Biblioteka Syrenki), Stanisław Milewski, PIW, 1982.

Doktor Łokietek i Tata Tasiemka. Dzieje gangu, Jerzy Rawicz, Czytelnik, 1968.

Dwudziestolecie międzywojenne, Sławomir Koper, seria wydawnicza, Bellona, 2013.

Gene Krupa, ojciec współczesnej perkusji, Iwona Bożek, Dziennik Związkowy 9 września 2014

<http://dziennikzwiązkowy.com/tag/gene-krupa/>

Gwara warszawska wczoraj, dawniej i dziś (Biblioteka Syrenki), Bronisław Wieczorkiewicz, PIW, 1974.

Historia hazardu, David G. Schwartz, Dast Consulting, 2009.

Korzenie miasta, tomy I–VII, Jerzy Kasprzycki, Wydawnictwo Veda, 1996–2004.

Mercedes a sprawa polska, Jan Tarczyński, Tomasz

Szczerbicki, Ośrodek Karta, 2006.

Nowy Jork zbuntowany, Ewa Winnicka, PWN, 2013.

Ojciec chrzestny. Lucky Luciano i tajemnice amerykańskiej mafii, Paul Sherman, Videograf, 2010.

Powróćmy jak za dawnych lat... Historia polskiej muzyki rozrywkowej lata 1900–1939, Dariusz Michalski, Iskry, 2007.

Rzeczpospolita zwycięska, Ziemowit Szczerek, Znak, 2013.

Szemrane towarzystwo niegdysiejszej Warszawy, Stanisław Milewski, Iskry, 2009.

Urodziłem się w knajpie, Wiesław Wiernicki, Rosner i współnicy, Warszawa, 2003.

Warszawa jakiej nie ma, Wiesław Wiernicki, wydawnictwo Wiesław Wiernicki, 1999.

Warszawa nieodbudowana, cykl artykułów Jerzego S. Majewskiego w „Gazecie Stołecznej” oraz seria książek pod tym samym tytułem.

Warszawska Wola, co było, co jest, co pozostanie..., Janusz Dziano, Wojciech Kępka-Mariański, Ireneusz Wywiał. Pod redakcją Danuty Koper, Magia Słowa, 2016.

Zakazane imperium, Nelson Johnson, Muza, 2013.

Życie przestępcze w przedwojennej Polsce, Monika Piątkowska, Wydawnictwo Naukowe PWN, 2012.

Życie uliczne niegdysiejszej Warszawy, Stanisław Milewski, Iskry, 2013.

Materiały internetowe i wideo:

Film *Skrzydła (Wings)*:

<https://www.youtube.com/watch?v=zccNRqtPfo4>

fzp.pl – Forum Żydów Polskich, zakładka *wzbogacaj słownictwo – słownik jidysz – polski opracowany przez Dagmarę Mańkę*, <http://www.fzp.net.pl/>

Pistolet maszynowy Thompson, Przemysław Konicki

<http://www.opisybroni.republika.pl/Thompson.html>

<http://www.pragagada.pl>

Walka Tunney – Dempsey, pełen zapis:

<https://www.youtube.com/watch?v=GeQB1V9Puuw>

Tunney – Dempsey, skrót:

<https://www.youtube.com/watch?v=-OeeCfbahwQ>

Wirtualne muzeum Ala Capone,

<http://www.myalcaponemuseum.com>

[1] Geraldo Rivera (ur. 1943) – prezenter i reporter telewizyjny, obecnie związany ze stacją Fox News.

[2] Program Geralda Rivery *The Mystery of Al Capone's Vaults*.

[3] „Dwójka” – Oddział II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, wywiad wojskowy.

[4] Peowiak – Żołnierz tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej.

[5] Skorosze – obecnie część warszawskiej dzielnicy Ursus.

[6] Cedergren – budynek centrali telefonicznej, najwyższy wówczas gmach w Warszawie, obecnie znany pod nazwą PASTA.

[7] *Firmen* – szef (z niemieckiego).

[8] Peerless – amerykańska marka samochodów produkowana w latach 1900–1931 w Cleveland przez Peerless Motor Company.

[9] Tata z mamą – spirytus z wodą (gwara warszawska).

[10] Maria Moczydłowska (1886–1969) – nauczycielka, działaczka społeczna, aktywistka w walce o prawa kobiet, propagatorka spółdzielczości i abstynencji, posłanka Narodowego Zjednoczenia Ludowego na Sejm Ustawodawczy 1919–1922.

[11] Ajrisz – Irlandczyk, od angielskiego *Irish*.

[12] *Are you my boss, mister Henry Haas?* – Jest pan moim szefem, panie Haas? (z angielskiego).

[13] Film *The Fighting Marine*, seria dziesięciu krótkich filmów zrealizowanych w roku 1926 przez Spencera Gordona Benneta. Główną rolę odtwarzał Gene Tunney, była to jego jedyna rola filmowa. Większą karierę aktorską zrobił Jack Dempsey, który wystąpił w latach 1920–1958 w ponad dwudziestu filmach.

[14] *C'mon Marine!* – Dawaj, Marynarzu! (z angielskiego). Tu marynarz w znaczeniu żołnierz piechoty morskiej.

[15] *Half. Another five for you if you will wait.* – Połowa, drugie pięć, jeśli poczekasz (z angielskiego).

[16] Paragraf – ołowiana kulka na sprężynie, nazywana niekiedy szpadryną, choć pojęcie to jest zarezerwowane dla kastetu.

[17] *Backyard* – podwórko (z angielskiego).

[18] Colt Peacemaker – Colt Rozjemca, uspokajacz, dosłownie: czyniący pokój (z angielskiego).

[19] *Hands up* – Ręce do góry! (z angielskiego).

[20] Dutch Schultz – wł. Artur Flegenheimer, nowojorski

gangster żydowsko-niemieckiego pochodzenia (określenie Dutch było stosowane w slangu zarówno do Holendrów, jak i Niemców), morderca i członek gangu Arnolda Rothsteina.

[21] John „Dingbat” Oberta, gangster polskiego pochodzenia, prawa ręka „Big Tima” Murphy’ego.

[22] Abram „Alex” Sycowski, polski Żyd spod Radomska, współpracownik Ala Capone, lubił się tytułować „Little Tiger” – Tygrysek.

[23] Timothy D. „Big Tim” Murphy.

[24] *White Lightning* – Biała Błyskawica.

[25] Określenie „teatr” dotyczyło i dotyczy w języku angielskim także kin. W Polsce długo był w użyciu termin „teatr świetlny”.

[26] W pożarze 30 grudnia 1903 roku zginęły 602 osoby, a rannych zostało 250.

[27] Była to najodważniejsza scena w tamtych czasach.

[28] Clara Bow (1905–1965), gwiazda kina niemego.

[29] Kantor albo chazan – Żyd prowadzący nabożeństwo, powinien się wyróżniać dobrym głosem i ukończyć kilkuletnie studia.

[30] Z angielskiego HH – inicjały Heńka.

[31] Putter – specjalny golfowy kij służący do uderzeń piłeczki na najkrótszych dystansach, to zwykle nim wykonuje się ostatnie uderzenie, po którym piłka trafia do dołka.

[32] Konstrukтором pistoletu maszynowego był generał armii amerykańskiej John T. Thompson.

[33] Wood – najdłuższy kij w zestawie, kiedyś robiony wyłącznie z drewna, za jego pomocą rozpoczyna się grę do nowego dołka.

[34] Tee – miejsce, z którego rozpoczyna się grę.

[35] Bunkier – piaszczysty dół, z którego trudno wybić piłeczkę.

[36] *Silent killer* – cichy zabójca (z angielskiego).

[37] Arnold Rothstein, pseudonim The Brain – Mózg, jeden z najpotężniejszych nowojorskich gangsterów.

[38] Uderzenie pozwalające zespołowi baseballowemu na zdobycie czterech baz przeciwnika, najczęściej pałkarz odbija piłkę poza boisko. Piłka wpada wtedy na trybuny lub wylatuje poza stadion.

[39] Postać Wielkiego Gatsby'ego z powieści F. Scotta Fitzgeralda była wzorowana na osobie George'a Remusa, prawnika i handlarza alkoholem.

[40] Murdziel – potoczna nazwa warszawskiego Muranowa, inaczej Dzielnicy Północnej, w którym mieszkali niemal wyłącznie Żydzi.

[41] Jake „Greasy Thumb” (Tłusty Kciuk) Guzik, urodzony pod Krakowem gangster żydowskiego pochodzenia, przyjaciel i zaufany księgowy Ala Capone.

[42] *Easy come, easy go* – łatwo przyszło, łatwo poszło (z angielskiego).

[43] *Diving range* – stanowiska do ćwiczenia uderzeń.

[44] Wielki pożar Chicago, między 8 a 10 października 1871 żywił strawił jedną trzecią miasta. Zginęło kilkaset osób, a 90 tys. zostało pozbawionych dachu nad głową.

[45] *Self-made man* – człowiek, który sam wszystko osiągnął (z angielskiego).

[46] *Speakeasy* – tajne lokale, gdzie sprzedawano alkohol. Nazwa wzięła się od próśb barmanów – *Speak easy!* – czyli „mówcie spokojnie, cicho!”.

[47] WASP – White Anglo-Saxon Protestants – biali Anglosasi, protestanci, potomkowie pierwszych osadników, „prawdziwi Amerykanie” w przeciwieństwie do Murzynów i nowej emigracji: Niemców, Skandynawów, Żydów, Słowian oraz katolików z Irlandii i Włoch.

[48] *Tall, tan and terrific* – wysokie, opalone i piękne

(z angielskiego).

[49] Szwagier – mężczyzna, z którym dzieli się kochankę (z gwary).

[50] ACP – Automatic Colt Pistol, przepisowy nabój kalibru 45 obowiązujący w armii amerykańskiej aż do połowy lat osiemdziesiątych XX wieku.

[51] Mecz o mistrzostwo NFL – Ligi Futbolu Amerykańskiego.

[52] Hotel z powodzeniem funkcjonuje do dziś.

[53] Mariscal – marszałek (z hiszpańskiego).

[54] Taxi Makowski, własność przedsiębiorcy z Konstancina nazwiskiem Makower, była największą firmą taksówkową w Warszawie. W roku 1937 Makower miał sto pojazdów.

[55] *A nar git, a kliger nemt* – Głupi daje, mądry bierze (z jidysz).

[56] Herbutowska – od roku 1934 Juliana Smulikowskiego.

[57] Chachoły – od „chachoł”, obraźliwie Ukrainiec.

[58] Granda – awantura, napad, zabawa, tu w znaczeniu banda, szemrane towarzystwo (z gwary warszawskiej).

[59] Stefan Maciejowski – kat, który w latach 1927–1932 wykonał ponad sto egzekucji.

[60] Okolice Sielc przy zbiegu ulic Czerniakowskiej i Nowosieleckiej.

[61] Bek – bojownik podziemnej PPS.

[62] *Puryc* – bogacz (z jidysz).

[63] Zastawa – grupa (z gwary warszawskiej).

[64] The Forge – jedna z najmodniejszych restauracji w Miami.

[65] Brian De Palma (ur. 1940) – amerykański reżyser, scenarzysta i producent filmowy. Podobnie jak wymienione osoby, bywalec The Forge.

[66] Film nosił nazwę *Nietykalni* i wszedł na ekrany w roku 1987. Rolę Ala Capone odegrał Robert De Niro, a Eliota Nessa Kevin Costner. Za rolę Jima Malone’a Sean Connery otrzymał Oscara i Złoty Glob. Film był efektownym widowiskiem, ale utrwalił mnóstwo nieprawdziwych stereotypów na temat Ala Capone i agentów federalnych.

[67] 35. i 40. prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki; JFK – John Fitzgerald Kennedy (kadencja 1961–1963), Teflonowy Ronnie – Ronald Reagan (1981–1989).

[68] Piszpan – inteligent (z gwary warszawskiej).

[69] Xenia Grey, właściwie Ksenia Martyszówna (1904 Alasko – 2003 Skolimów pod Warszawą). Gwiazda operetki i wodewilu, aktorka filmowa, córka Bazylego Aleksandrowicza Martysza (1874–1945), prawosławnego kapelana Wojska Polskiego, a po śmierci błogosławionego i męczennika Kościoła prawosławnego.

[70] Dodatki otrzymywali funkcjonariusze PP odbywający służbę w Warszawie i na Śląsku.

[71] Kieliszki do wódki – w warszawskiej gwarze: małpki – 25 ml, szczeniaczki, mikadki – 50 ml oraz angielki lub literatki – 100 ml.

[72] Katolik z cebulką – śledź z cebulką (z gwary warszawskiej).

[73] *Cures* – kłopot (z jidysz).

[74] *Geszefity* – interesy (z jidysz).

[75] *Kapoc* – wulgarne określenie członka (z jidysz).

[76] *Oj Gewalt sziksa* – o zgrozo, dziewczyna (z jidysz).

[77] *Zajde* – dziadek (z jidysz).

[78] *Lechajim* – na zdrowie, dosłownie: za życie (z jidysz).

[79] *Harcikn dank* – dziękuję (z jidysz).

[80] Słynne tancerki: Zizi (Józefina), Loda (Leokadia), Punia (Alicja) oraz Ena (Helena), córki tancerki Marty Cegielskiej i muzyka Stanisława Halamy.

[81] Nowik – ulica Nowy Świat (z gwary warszawskiej).

[82] Tola Mankiewiczówna, zanim została gwiazdą kina i kabaretu, do roku 1931 z powodzeniem rozwijała karierę śpiewaczki operowej.

[83] *Pamiętnik z okresu dojrzewania* wyszedł w roku 1933 nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Rój”.

[84] Cyferblat – twarz (z gwary warszawskiej).

[85] Karol Hanusz – aktor filmowy i kabaretowy, śpiewak. Zmarł w roku 1965, zamordowany przez młodego kochanka spotkanego na dworcu kolejowym.

[86] Zvi Migdal, albo Warszawskie Towarzystwo Wzajemnej Pomocy – przykrywka dla alfonsów, sutenerów i handlarzy żywym towarem w Buenos Aires. Jednym z jego założycieli był Zvi Migdal (Luis Migdal).

[87] Cierpiarz, cierp – taksówkarz (z gwary warszawskiej).

[88] Hint – pies, od niemieckiego *das Hund* (z gwary warszawskiej).

[89] Rafał Scherman (1874–1940 lub 1941), wybitny polski

psychografolog, autor prac naukowych i biegły sądowy.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz

